

CYKL Z NADKOMISARZEM ZAKRZEWSKIM

Mieczysław
GORZKA

**OSTATNI
ŚWIT**



BUKOWY LAS

Mieczysław
GORZKA

**OSTATNI
ŚWIT**

BUKOWY  LAS

Spis treści

Początek

Część pierwsza. Upiory na obrazach

Rozdział 1. Czerwiec 1993

Rozdział 2. Teraz

Rozdział 3. Czerwiec 1993

Rozdział 4. Teraz

Rozdział 5. Lipiec 1993

Rozdział 6. Teraz

Rozdział 7. Lipiec 1993

Rozdział 8. Teraz

Rozdział 9. Lipiec 1993

Rozdział 10. Teraz

Część druga. Demony w głowie

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Część trzecia. Wściekle psy

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Koniec

Wszystkie postaci i zdarzenia w książce są fikcyjne.
Jakiegolwiek podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest niezamierzone.

Copyright © by Mieczysław Gorzka, Wrocław 2023

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegolwiek formie.

Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Małgorzata Starosta

Korekta: Agnieszka Madyńska, Monika Kondela

Redakcja techniczna: Adam Kolenda

Wydawca:

Wydawnictwo Bukowy Las

ul. Sokolnicza 5/76

53-676 Wrocław

bukowylas.pl

ISBN 978-83-8074-535-3

Wrocław 2023

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

POCZĄTEK

Słońce pokazało już całą swoją twarz nad wschodnim horyzontem. Jego promienie zatańczyły w kroplach zimnej rosy gromadzących się na liściach osnutych poranną mgłą. Wstawał piękny świt.

Dziewczyna biegła. Na oślep, byle przed siebie, przedzierała się przez leśne zarośla jak spłoszona łania, czując za sobą zbliżanie się watahy wygłodniałych wilków.

To było polowanie z nagonką i ona już to wiedziała. Zrozumiała, co się dzieje, kiedy po raz pierwszy skręciła w bok i zaraz potem natknęła się na ponurego mężczyznę z wilczurem na smyczy. Pies wyglądał jak owładnięta obłędem bestia, tylko czekająca na okazję, żeby zatopić w niej swoje kły, a potem rozszarpać gardło. Omal nie zemdlała z przerażenia. Odwróciła się i zaczęła uciekać w przeciwną stronę. Niedługo potem usłyszała gdzieś z boku trzask gałęzi, następnie odgłos wystrzału, świst i gorący podmuch tuż obok głowy. Nie od razu zrozumiała, że strzelają do niej. Wtedy zerwała się do ostatniego biegu, resztką sił, jak łania ścigana przez wilki.

Szczekanie psów stawało się głośniejsze. Musiały być co najmniej dwa, z tyłu z obu stron, zbliżały się do niej nieubłaganie, ograniczały jej kierunek ucieczki, naprowadzały na zaczajonego gdzieś przed nią myśliwego. Była pewna, że tak jest. Resztki zdrowego rozsądku, wybijające się na powierzchnię paniki i śmiertelnego przerażenia, podpowiadały jej, że tak właśnie jest. W każdej chwili mogła wbiec prosto pod lufę. Musiała walczyć, zrobić coś szalonego, nieprzewidywalnego, inaczej zaraz stanie się trofeum myśliwego-psychopaty, polującego nie na zwierzęta, ale na ludzi. Czy istnieją psychopaci, dla których takie polowanie byłoby rozrywką? Na pewno istnieją. Obrzydliwie bogaci podstarzali mężczyźni z brzuszkiem, którzy w życiu próbowali już wszystkiego, w tym nielegalnych polowań na sawannie na nosorożce albo na słonie, czy też niedźwiedzie grizzly w Górach Skalistych. Nie polowali tylko na ludzi, więc gotowi byli zapłacić dużo za taką przygodę. A tam, gdzie jest popyt, natychmiast pojawia się podaż. I dlatego ona tu jest. Zwabiona na niewinne biznesowe spotkanie, otumaniona narkotykami i porwana, a potem porzucona w tym lesie gdzieś na krańcu świata, na pastwę nagonki i bezwzględnych myśliwych. Musi walczyć, inaczej zginie.

Tylko nie miała już sił, żeby walczyć. Potknęła się i upadła na pachnącą, wilgotną leśną ściółkę, płakała, a płynące po jej twarzy łzy

mieszały się z krwią sączącą się z zadrapań na policzkach i rany na czole, która pojawiła się nie wiadomo kiedy. Nie miała już siły. Pogodziona z losem, bezbronna ofiara wczołgała się za zmurszały ze starości zwalony pień wielkiego drzewa i zastygła w pozycji embrionalnej, drżąc na całym ciele. Szczekanie i warczenie psów z nagonki było coraz bliżej, słyszała już trzask łamanych gałęzi i ciężkie kroki naganiaczy, ich sapanie i zduszone przekleństwa sączące się z ust. Za chwilę psy ją dopadną i zatopią w niej swoje kły. I wtedy już nie będzie ratunku. Ale wołała zginąć z kłami na gardle, niż dać satysfakcję zwyrodnialcom ze sztucera. Nie da zrobić z siebie trofeum na ścianę, nie da się upodlić i odczłowieczyć. Zacisnęła mocno powieki i wstrzymała oddech. Odgłosy nagonki były tuż obok, a potem oddaliły się i przycichły. Ominęli ją. W ferworze pogoni psy zgubiły na chwilę jej trop, zdekoncentrowały się i pociągnęły nagonkę dalej.

Nagle poczuła wstępującą w jej serce nadzieję, a wraz z nią nowe siły. Może jeszcze jest jednak szansa na ucieczkę, może zdoła się wyrwać z tej matni. Musi tylko dotrzeć do ludzkich siedzib, do drogi, znaleźć kogoś, kto zdoła jej pomóc. Ostrożnie wstała. Nogi jej się trzęsły i musiała się przytrzymać pnia drzewa. Nasłuchiwała odgłosów oddalającej się nagonki. To jedyna szansa. Nie wiedziała, gdzie jest, nie miała pojęcia, w którą stronę uciekać. Wiedziała tylko jedno: ten pieprzony las musi się gdzieś kończyć, i to jest w tej chwili jej jedyna szansa. Spojrzała jeszcze w skryte za drzewami słońce, jakby prosząc o wskazanie właściwej drogi, po czym zaczęła biec na zachód.

Przez pierwszych dwieście metrów słyszała tylko swój przyspieszony oddech i pulsowanie krwi w skroniach w rytm szybkich uderzeń serca. Gałęzie tłukły ją po twarzy, potykała się o zbutwiałe konary, stopy zapadały się w grubą warstwę mchu pośród wysokich traw, lecz ona nie zwracała na to uwagi. Starła się mieć ciągle słońce za plecami, żeby nie zgubić kierunku i niepotrzebnie nie błędzić. To zmuszało ją do częstego zwalniania i oglądania się za siebie, ponieważ kluczyła między drzewami i zaroślami, ciągle szukając lepszej drogi. Na razie było dobrze, niczego nie słyszała.

Po następnych stu metrach szczekanie psa w oddali zmroziło jej serce. Zorientowali się, że coś jest nie tak, psy chwyciły nowy trop i pogoń ruszyła. Była głupia, robiąc sobie niepotrzebną nadzieję. Psów nie da się tak łatwo oszukać, zawsze znajdą trop, to właśnie jest ich zaleta, a czasem przekleństwo, jak teraz. Starła się jeszcze

przyspieszyć, lecz była coraz bardziej wyczerpana. Nagonka stała się głośniejsza. Już niedługo ją dopadną, to tylko kwestia minuty, może kilku minut, ale ją dopadną. Nie ma szans na uciezkę. Zwątpienie wkradło się w jej serce i zwolniła. Niech to wszystko już się skończy. Może jednak nie w psich paszczach. Lepiej już niech zjawi się ten myśliwy i zakończy jej życie strzałem ze sztucera w głowę. Jak do dzikiego zwierzęcia. Do łani, sarny, kłepy, a teraz do niej. Kim oni byli? Tak zachowywali się tylko faszyci w obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy. Teraz nikt nie poluje na ludzi. A jednak, fakty przeczyły tym rozpaczliwym myślom przemykającym przez głowę.

Nagle las się zmienił. Grube dęby i buki się skończyły i dziewczyna znalazła się pośród rzadkich sosen. Po kilkunastu kolejnych krokach stopy ugrzęzły jej w wysokiej trawie i zatrzymała się raptownie na brzegu niewielkiej rzeczki. Cztery, pięć metrów szerokości, strome brzegi, dla niej nie do pokonania. Poczowała ogarniającą ją falę rozpacz. Dlaczego wybrała ten kierunek? Za plecami szczekały psy, słyszała przekleństwa oprawców z nagonki. Nieuchronnie się zbliżali. Spanikowana zapatrzyła się w bystry nurt rzeczki. Brzegi były zarośnięte wysoką wodną roślinnością, przejrzysta woda o lekkim brązowym zabarwieniu płynęła bystro. Przy brzegach dostrzegła fałujące wodorosty, lecz im bliżej środka, tym nurt stawał się czystszy.

Przypomniała sobie filmy oglądane w dzieciństwie. Żeby zmylić psy, uciekinier zawsze wchodził do rzeki i starał się przejść jak najdalej. Psy nad wodą traciły trop. Nie wahając się ani sekundy, ześliźnęła się ze stromego brzegu i z pluskiem wpadła do zimnej o poranku wody. Przez kilka sekund się szamotała, zaplątana w wodorosty, lecz po chwili była już na środku i dała się ponieść bystremu nurtowi. Pływała bardzo dobrze, z wolna się rozpędzała, a potem widziała tylko umykające szybko brzegi. Odgłosy nagonki znowu zaczęły się oddalać.

Po kilku sekundach uderzyła w coś boleśnie tyłem głowy. Aż pociemniało jej w oczach i napiła się wody o posmaku stęchlizny. W poprzek rzeczki leżał spory pień zwalonego drzewa. Z trudem wspięła się na niego i weszła do wody po drugiej stronie. Musi pa-trzeć, dokąd płynie, bo to też się dla niej źle skończy.

Zaczęła płynąć. Było płytko, więc czasem odbijała się stopami od mulistego dna. Ale płynęła, szybko oddalała się od pościgu. Niczego już nie słyszała prócz łomotania puls w uszach i kojącego pluskania wody.

Pływała tak długo, jak tylko mogła. W końcu zdrętwiała z zimna i straciła czucie w rękach i nogach. Równocześnie rzeczka się zmieniła. Nurt zwolnił, brzegi się obniżyły i rozstały, woda stała się tylko kilkumetrowej szerokości kreską pośród zgniłej roślinności, by ostatecznie przeistoczyć się w bagnisko.

Z trudem wypełzła na brzeg i upadła. Dygotała z zimna. Dopiero świtało, chłód nocy nie zdążył się rozproszyć, było wilgotno i między drzewami przelewała się blada mgła. Żeby się rozgrzać, musi się ruszyć. Musi znowu zacząć biec, żeby ten świt nie był jednak jej ostatnim świtem. Z trudem wstała na nogi i zataczając się, pobiegła, tym razem na północ, ponieważ zachodni kierunek zablokowało jej bagno. Po chwili znowu zrobiło się sucho, a po kolejnych kilku minutach potknęła się i upadła. Kolana ugrzęzły w piachu, ale dłonie oparły się na coś twardym. Nie od razu zrozumiała. Leśna droga! Zerwała się i rozejrzała. To nie dukt biegnący wśród drzew dla leśniczego i pracowników leśnych. To była normalna polna droga, po której dziennie przejeżdża wiele samochodów w obu kierunkach. Może nawet łączyła jakieś wioski?

Z nową nadzieją w sercu ruszyła przed siebie, byle dalej od prześladowców. Po chwili zatrzymała się i słuchała uważnie. Mimo wczesnej pory nadjeżdżał samochód. Gdzieś z przodu. Przyspieszyła. Parę sekund później czerwone auto wynurzyło się zza zakrętu kilkanaście metrów od niej. Zebrała ostatnie siły i wybiegła mu naprzeciw, machając rękami. Chciała krzyknąć, lecz z gardła wydobył się tylko szept:

-- Ratunku! Pomocy!

Kierowca zatrzymał auto parę metrów przed nią, otworzył drzwi i wysiadł. Był to mężczyzna ubrany w wytarte dżinsy i nie pierwszej czystości flanelową koszulę w czarno-czerwonej kratce, narzuconą na czarną koszulkę. Patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Tuż przed nim nagle zabrakło jej sił. Upadła na kolana i zakreśliła jej się w głowie.

-- Proszę mi pomóc -- powiedziała już głośniejszym głosem. -- Chcą mnie zabić!

-- Kto? -- Miał dziwnie spokojny głos.

-- Porwali mnie, gonili z psami, chcieli zabić! -- krzyczała gorączkowo. -- Proszę wezwać policję!

-- Dobrze się pani czuje?

Stanął nad nią, przysłaniając swoją sylwetką słońce. Spojrzała na niego z nagłym przestraszaniem. W jego głosie było coś dziwnego. Kpina? Po raz pierwszy pomyślała, że nieznajomy wcale nie musi być wybawieniem. A jeśli jest jednym z jej prześladowców? Jeszcze raz na niego spojrzała i jej usta rozchyliły się w niemym okrzyku śmiertelnego przerażenia.

Część pierwsza
UPIORY NA OBRAZACH

1

CZERWIEC 1993

Remigiusz Nycz wysunął się spod samochodu i zmrużył powieki, kiedy słońce spojrzało mu prosto w twarz. Od kilku dni grzało jak cholera, w końcu lada moment zacznie się kalendarzowe lato. Klnąc, wstał, pogrzebał w kieszeni poplamionych smarem spodni i wyjął paczkę carmenów. Dopiero teraz zobaczył, że dłonie ma jeszcze brudniejsze niż spodnie. Nagimnastykował się, zanim długi, biały papieros znalazł się wreszcie między jego wargami. Zaciągał się dymem z wyraźną przyjemnością. Za komuny nigdy nie palił tych markowych fajek, bo miały filtr i kosztowały krocie. Nie dla klasy robotniczej, do której on się wtedy zaliczał. Teraz było inaczej. Szef był z niego zadowolony i któregoś dnia dał mu cały karton takich fajek z datą produkcji sprzed trzech lat. A Remigiusz się w nich rozsmakował.

Oparł się o maskę czarnego mercedesa 500e i palił, zapatrzony na szumiący po drugiej stronie polany las. Uwielbiał to auto. Od dzieciństwa fascynowały go samochody, pierwszy raz trafił do aresztu za nielegalną przejażdżkę dużym fiatem sąsiada. Pamiętał, że czuł się panem świata, kiedy pozioma kreska prędkościomierza przekroczyła liczbę 100. No a potem już poszło. Jeździł w rajdach, ścigał się z Bublewiczem, Krupą i jeszcze wieloma innymi znanymi wtedy kierowcami, aż przyszły czasy przekształcenia niesłusznej gospodarki socjalistycznej w jedynie słuszną kapitalistyczną i wszystko się skończyło. Stracił pracę, trochę za dużo popijał, ale na szczęście pamiętał go jeden z dawnych kolegów z tras rajdowych i polecił do tej roboty. Został kierowcą i trochę ochroniarzem faceta o ksywce "Orzeł". Nigdy nie pytał go o prawdziwe nazwisko, raz tylko słyszał, jak jeden z kontrahentów szefa zwrócił się do niego po imieniu. Sławek. Ale Nycz zaraz o tym zapomniał. Jeśli szef kazał mówić do siebie "Orzeł", to tak miało być.

W gruncie rzeczy Remigiusz bał się szefa. Nigdy nie spotkał człowieka o tak nieludzkiej twarzy. Prawdziwa teatralna maska, po której przepływały różne uczucia, jednak żadne nie wydawało się szczerze i prawdziwe. Do tego oczy jak u rekina -- nieruchome, czarne, puste w środku, jakby nie było w nich żadnych emocji. Tak naprawdę nie wiedział, czym Orzeł się zajmuje. Jeździli po kraju i głównie przewozili gotówkę. Dwaj goryle z obstawy Orła często pa-

kowali do bagażnika worki pełne amerykańskich dolarów, niemieckich marek i złotych. Czasem te worki komuś przekazywali na leśnych parkingach. Nycz myślał, że za taką gotówkę można było założyć bank albo wykupić wielkie upadające zakłady przemysłowe, będące kiedyś chlubą peerelu, a teraz dogorywające, przestarzałe i warte tyle co zgromadzony w halach złom. Nie przeszkadzało mu to aż do tamtego poranka kilka dni temu. Goryle wpakowali do bagażnika przestraszonego chudzielca i razem wywieźli go do lasu. Kiedy zniknęli na chwilę za drzewami, Orzeł popatrzył na Remigiusza tym swoim zimnym i pustym spojrzeniem, a potem wyjaśnił, że facet wisi mu kupę pieniędzy i chcą go tylko postraszyć. Kilka minut później goryle wrócili bez niego. Nycz nie był bandytą, a tym bardziej nie chciał być zamieszany w morderstwo, dlatego obleciał go strach. Dopóki wozili pieniądze, wszystko było w porządku, ale jeśli raz zdarzyła się taka historia, on już nie chciał brać w tym udziału. Tym bardziej że jak był jeden trup, pewnie będą następne. Taka kolej rzeczy - - kiedy przekraczane są nieprzekraczalne granice, wszystko zmienia perspektywę i wiele bardzo złych rzeczy staje się codziennością. On nie chciał już w tym uczestniczyć.

Tak naprawdę uciekłyby od razu, gdyby nie zakochał się w aucie. Roczny mercedes 500e był dla niego jak ósmy cud świata. Czarny, o eleganckich kształtach, doskonałych proporcjach, z silnikiem diesla mruczącym niczym kot, kiedy się go dłużej głaszcze. Wydawać by się mogło, że był delikatny, jednak kiedy Nycz na trasie wciskał gaz, budziła się w nim bestia. Zamieniał się w ważący prawie dwie tony samochód rajdowy, który dawał się prowadzić jak dziecko na spacerze po parku. Lekko i z wielką przyjemnością. Niemcy potrafili budować auta. To dlatego Remigiusz jeszcze nie uciekł od Orła. Przez auto, no i oczywiście przez Niemców.

Szef już na samym początku wyjaśnił mu, że mercedes został skradziony w Berlinie Zachodnim. Dlatego ciągle był jeszcze na niemieckich blachach, a w skrytce leżał dowód rejestracyjny na nazwisko Herman Ditrich. Orzeł śmiał się, że w razie kontroli policyjnej mają mówić, że to on nazywa się Herman Ditrich i jest Niemcem. Mówił po niemiecku, więc dalej poradzi sobie sam, bo przecież te tumany z policji nie znają żadnych języków prócz ojczystego w stopniu podstawowym. To niby miał być żart, jednak Remigiusz po pewnym czasie zaczął się zastanawiać, czy na pewno. Może Orzeł właśnie tak się nazywał, kiedy był w Niemczech? Tylko co tam robił? Góry pie-

niędzy i podejrzane interesy kojarzyły mu się z jednym -- komunistyczne służby specjalne. Zresztą Orzeł nie ukrywał, że za komuny pracował w wywiadzie i znał kilka obcych języków. Tylko po co teraz jeździł po kraju z gotówką, zamiast siedzieć spokojnie za biurkiem i prowadzić legalne biznesy? Czy byli funkcjonariusze różnych służb, którzy, odkąd zmieniła się władza, popadli w niełaskę, mościli sobie w nowym ustroju jakieś ciepłe i bezpieczne posadki i biznesy? Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej uznawał taką opcję za wielce prawdopodobną.

Teraz zgasił papierosa i się rozejrzył. Chciał wymienić klocki hamulcowe na oryginalne, które załatwił szef nie wiadomo skąd. Tylko zabrakło mu narzędzi. Ich bazą wypadową było dawne gospodarstwo na Kaszubach, niedaleko Bytowa, z dala od głównej drogi. Jeszcze niedawno była tu dziupla, gdzie wieśniaki z pobliskiej wsi rozkręcały na części jumanie bryki z Zachodu. Kiedy Nycz pierwszego dnia zobaczył, jak to robią, serce od razu zaczęło mu krwawić. Nowych modeli audi nie rozbiera się na części, używając młotka i przecinaka. Wspominał o tym szefowi i następnego dnia towarzystwo zaczęło się związać, patrząc na nich wrogo. Wszystkie wraki aut wywieźli w trzy dni i słuch po nich zaginął. Niestety, wraz z nimi zniknęła skrzynka z narzędziami należąca do Remigiusza. I teraz miał problem z odkręceniem jednej śruby. Wytarł dłonie w szmatę i poszedł szukać czegośkolwiek, dzięki czemu mógłby zmierzyć się ze śrubami.

Cała posesja była otoczona wysokim płotem, postawionym pewnie zaraz po tym, jak trafiły tu pierwsze kradzione auta. Niewielki budynek mieszkalny był wyremontowany, wyglądał ładnie w środku, niczego w nim nie brakowało, dlatego często przyjeżdżali tu na kilka dni w przerwie między wyjazdami do różnych miejsc w kraju. Czasem Orzeł gdzieś zniknął, nie tłumacząc im gdzie, a oni czekali na niego cierpliwie, pijąc markową whisky i zagryzając kielbaskami z grilla, podczas gdy wokoło szumiał las i śpiewały ptaszki. Życie nie umierać. Akurat teraz Orzeł wyjechał dokądś z goryłami starym audi. Nie powiedział Nyczowi, kiedy wróci, kazał mu tylko zająć się autem. Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Mercedes był wypucowany, jakby dopiero wyjechał z salonu. Zostały jedynie klocki hamulcowe do wymiany. Pewnie jeszcze by pojeździły, ale bezpieczeństwo ponad wszystko.

Do budynku przylegała drewniana szopa, która nie wyglądała już tak dobrze. To w niej kiedyś demontowano auta, była stara i trochę

przekrzywiona, jakby nieuchronnie chyliła się ku upadkowi. Nycz przeszukał ją teraz starannie, znalazł jakieś narzędzia, z którymi pewnie sobie poradzi przy odrobinie wysiłku, ale nagle postanowił sprawdzić jeszcze w jednym miejscu. Na tyłach gospodarstwa stała wybudowana niedawno z drewnianych beli leśniczówka czy też -- jak nazywał ją Orzeł -- domek myśliwski. Jego ludzie mieli przykazane, żeby trzymać się od niej z daleka. Tam mieszkali goście z zagranicy, których ich szef przyjmował często na popijawy i polowania. Bywały tam też kobiety, ale Orzeł kiedyś szepnął mu na ucho, że byłoby dla niego lepiej, gdyby żadnych kobiet tu nie widział, więc przestał zwracać na nie uwagę. Orzeł miał wyjątkowy dar przekonywania. Wystarczyło, żeby raz spojrzął na człowieka, i wszystko było załatwione tak, jak on sobie życzył.

Teraz Remigiusz patrzył na ten domek. Wyszedł przez tylne drzwi szopy i stanął zamyślony. Znalezione klucze upchnął po kieszeniach i ćmił fajkę, lecz prawdziwy ogień nie znajdował się na czubku papierosa. Palił się gdzieś w środku niego nieposkromioną ciekawością. Przecież nie ma nikogo, nikt nie zauważy, tylko podejździe do okna i zerknie. Zgasił fajkę pod butem, rozejrzał się i ruszył przed siebie. I zajrzał przez to cholerne okno.

Spodziewał się poroży na ścianach, lecz niczego takiego nie zauważył. Tylko surowe bele na ścianach, drewniany stół w salonie, kominek, szafa. Jedynym atrybutem myśliwskim była skóra dzika rozłożona na podłodze przed kominkiem. Były też drzwi do drugiego pomieszczenia. Poczuł zawód, ale też trochę ulgę. Bo niby czego mógł się tam spodziewać? Duchów, zjaw, upiorów, karabinów maszynowych na ścianach, sejfów na kasę, nagich kobiet zakutych w dyby? Takie bzdury podpowiadała mu tylko chora wyobraźnia. Mimo to nie odszedł, ale nacisnął klamkę w drzwiach. Ku jego zaskoczeniu zamek puścił, a drzwi uchylły się z lekkim skrzypieniem. Czując, jak serce mu wali, wszedł do środka. Gdyby tu coś było, szef na pewno zamknąłby drzwi na wielki klucz i trzymał go w kieszeni.

W nozdrza uderzył go przyjemny zapach drewna, buty zadudniły na podłodze z desek. Było prawie tak, jak widział przez okno. Kominek, stół, ławy, szafa ze szkłem, barek, w którym szef trzymał drogie trunki dla gości na specjalne okazje. Tylko że było coś jeszcze, czego nie dostrzegł przez okno. Po lewej stronie od wejścia znajdował się mały aneks kuchenny z lodówką i zlewozmywakiem, a ściany tam były ozdobione zdjęciami z polowań. Rzucił na nie okiem z daleka,

nie rejestrując żadnych szczegółów, i niepewnie poszedł w kierunku drzwi do drugiego pomieszczenia. Nie wiedział, dlaczego serce biło mu aż tak mocno. Przecież nie odnajdzie tu Bursztynowej Komnaty, nie ma się czym podniecać. A jednak napięcie nie ustępowało. Naciśnął na klamkę i poczuł ulgę. Zamknięte. Wrócił do aneksu kuchennego, spojrzął na fotografie i w jednej chwili zmienił się w lodową bryłę. Prawie zapomniał o oddychaniu, a strużki potu o temperaturze ciekłego azotu mimo upału zaczęły spływać mu po kręgosłupie. Zamknął oczy i zaraz je otworzył. Nic się nie zmieniło. To nie było złudzenie, te fotografie były jak najbardziej prawdziwe. Tak przerażających zdjęć jeszcze nie widział.

Nie wiedział, co zrobić. Chciał się rzucić do ucieczki, zapomnieć o tym miejscu, nigdy nie przyznać się, że tu trafił i to zobaczył.

Z pozoru zdjęcia wyglądały jak pamiątkowe fotografie z polowań. Kiedy jednak przyjrzał się im bliżej, zrozumiał, co jest z nimi nie tak. Na wszystkich zamiast upolowanych zwierząt uwieczniono młode kobiety. Zakrwawione, sponiewierane, brudne, martwe. Nad nimi stali myśliwi z bronią i szerokimi uśmiechami zadowolenia na twarzach. Otyły mężczyzna w bawarskim kapelusiku dumnie unosił w górę strzelbę i trzymał stopę na zakrwawionym ciele ładnej blondynki. Ponury facet o bystrym spojrzeniu kuczał przy innych zwłokach. Siwa kobieta i starszy mężczyzna w korkowych kapeluszach i ubraniach moro stali ramię w ramię, a u ich stóp leżała inna ofiara. Wyglądali, jakby wybrali się na polowanie na nosorożce na afrykańskiej sawannie.

Takich zdjęć było kilkanaście, od ich widoku Nyczowi zakręciło się w głowie i poczuł narastającą kulę w gardle. Nie wiedział, czy to przerażenie, czy może mdłości. Był w takim szoku, że nie usłyszał kroków. Ocknął się, kiedy ktoś odezwał się tuż za jego plecami.

-- Mówiłem, żebyś tu nie wchodził.

Omali nie zemdlął ze strachu. Odwrócił się gwałtownie. Przed nim stał jego szef. Facet po czterdziestce, wysoki, mocno zbudowany, z czarnymi, krótko ściętymi włosami z pasmami siwizny na skroniach i bladą skórą. Wpatrywał się w niego tymi swoimi oczami, pustymi jak studnia prowadząca na dno piekła, i przesywał go spojrzeniem. Remigiusz odniósł wrażenie, jakby dwa sztylety zagłębiały mu się w piersiach, powodując duszności i kłopoty z oddychaniem. Z jego gardła z trudem wydobywały się słowa tłumaczenia.

-- Było otwarte... szukałem narzędzi... -- Pokazał klucze wystające z kieszeni. -- ...Te wieśniaki od dziupli zapierdoliły moje... muszę... Przepraszam, nic nie widziałem.

Orzeł patrzył na niego. Przekrzywił głowę jak pies starający się zrozumieć właściciela. Tylko że był czymś o wiele groźniejszym niż największa wściekła czworonożna bestia. Musieli wrócić, kiedy Nycz był w szopie, a potem utknął tu, przed ścianą ze zdjęciami na długie minuty, zapominając o całym świecie.

Szef od razu zarejestrował drżenie rąk, kropelki potu na czole i odczytał te znaki po swojemu. Każdy sądzi według siebie.

-- Podnieciłeś się, Remik. -- Rozciągnął wargi w czymś, co w innych okolicznościach mogłoby uchodzić za uśmiech.

Nycz drgnął. Może to była jego szansa na przeżycie? Głośno przełknął ślinę.

-- Tak -- wyszeptał z trudem.

Orzeł stanął obok niego i teraz obaj wpatrywali się w fotografie. On z wyraźnie rysującą się satysfakcją na twarzy, Nycz, modląc się tylko o to, żeby mógł już stąd iść.

-- Podobasz mi się, Remik -- powiedział lekko Orzeł, jakby rozmawiali o pogodzie na najbliższy tydzień. -- Podobalesz mi się od początku. Nie zadajesz niepotrzebnych pytań, nie komentujesz worków z kasą, jak tych dwóch idiotów, z którymi jeździmy, trzymasz gębę na kłódkę, kiedy trzeba, i wiesz, kiedy możesz się odezwać. Szukam takich ludzi do współpracy. Dobrze się stało, że zobaczyłeś te zdjęcia.

-- Tak? -- Ponownie głośno przełknął ślinę.

Orzeł znowu opacznie zrozumiał jego pytanie. Poklepał go po plecach, dłoń miał twardą jak kowadło.

-- Już wiesz, czym tak naprawdę się zajmujemy -- powiedział i zamilkł na długą chwilę.

Dla Remigiusza upływające sekundy były jak oczekiwanie na szafocie, aż kat założy mu pętlę na szyję i otworzy zapadnię. Z jednej strony mijały szybko, a z drugiej -- na tyle wolno, żeby można było posmakować ostatnie chwile przed śmiercią i zastanowić się, dlaczego tak głupio się kończy.

-- Widzisz, Remik, pieniądze to gówno. Jakim problemem jest teraz zarobienie dużej kasy? Szczególnie w tych czasach, kiedy wszyscy oszukują, kradną, sprzedają za łapówki to, co kiedyś było chlubą naszego kraju. Pieniądze już mam i wierz mi, kiedy masz ich tyle, że stać cię na wszystko, czujesz tylko pustkę. No i co dalej? Mam już do

końca życia je wydawać na przyjemności? Wierz mi, że po pewnym czasie to staje się nudne. Dlatego pieniądze to nic niewarte gównu. Potrzebne do życia, ale w sumie nic niewarte. Rozumiesz?

-- Nie.

-- Wytlumaczę ci, co jest ważniejsze od pieniędzy.

-- Co? -- Głos Nycza drżał jak trącona struna gitary.

-- Wpływy -- wyjaśnił Orzeł i wskazał na jedno ze zdjęć. To z grubasem w bawarskim kapelusiku. -- To Hans. Jego ojciec był esesmanem, który poszedł na współpracę z Amerykanami i dlatego mu się upiekło. Od zawsze opowiadał synowi, jak to jest zabić człowieka. Bo on zabił ich setki. I syn zawsze chciał zobaczyć, jak to jest. Tylko przecież nie można bezkarnie zabić człowieka w takim kraju jak Niemcy. Ale już w tym naszym krajowym skorumpowanym burdelu jest łatwiej. Dlatego ucieszył się, kiedy zaproponowałem mu polowanie. Sam sobie wybrał ofiarę, która mu się podobała, dzień wcześniej mógł jej się przyjrzeć na uroczystej kolacji, a rano ruszyło polowanie z nagonką. Widzisz, jaki był szczęśliwy, kiedy wreszcie wpakował w nią dwie kule ze sztucera?

Nycz wzdrygnął się mimowolnie i miał nadzieję, że szef tego nie zauważył. Rzeczywiście ten cholerny szwab wyglądał na megazadowolonego. Tymczasem Orzeł spokojnym głosem kontynuował:

-- Oczywiście Hans zapłacił mi za tę przygodę górę pieniędzy, ale zachował się też lekkomyślnie. Sądził, że ma do czynienia z ogarniętym żądzą pieniądza polaczkiem, a tymczasem jest trochę inaczej. To ja zyskałem na niego wpływ. A wiesz, czym zajmuje się ten Niemiec? Jest w zarządzie wielkiej firmy motoryzacyjnej mającej swoją siedzibę w Monachium. I gdybym tylko chciał, zrobi teraz dla mnie wszystko. A widzisz tego?

Na fotografii elegancki mężczyzna koło pięćdziesiątki stał obok innego trupa.

-- To jest znany polityk z Francji -- wyjaśnił zaraz Orzeł. -- Wiesz, że ludzie w wielkiej polityce to w większości psychopaci? Zwykle raczej zadowolają się manipulowaniem i pragnieniem władzy, lecz ten ma jeszcze pociąg do zabijania. Więc pomogłem mu rozładować napięcie spowodowane tymi żądzami. Nawet chyba dwa albo trzy razy. Żądze zazwyczaj są na tyle silne, że zagłuszają zdrowy rozsądek. No i teraz ja mam na niego wpływ. Już rozumiesz, na czym polega ten biznes?

Nycz chwilę przetrwał te informacje.

-- Chyba już wiem -- odrzekł cicho.

-- Wiedziałem, że jesteś bystrym facetem -- pochwalił go zadowolony Orzeł. -- Już wiesz, dlaczego mówiłem, że pieniądze to nie wszystko?

Machnął ręką nonszalancko, jakby chciał wskazać na wszystkie fotografie wiszące na ścianie.

-- Jestem bogaty, ale nawet gdybym przepierdolił całą kasę, dzięki nim dalej będę bogaty. -- Zaśmiał się zgrzytliwie. -- Dlatego mnie i moim wspólnikom nie chodzi wcale o pieniądze, ale o wpływy. Na wielką politykę, na wielki biznes, na wszystkie sfery życia. Wiesz, że artyści też mają takie mordercze skłonności? I dziennikarze, i duchowni, i działacze społeczni, i milionerzy. Na nich wszystkich można mieć wpływ. Przecież w tym pieprzonym kraju dopiero rodzi się kapitalizm. A w większości tworzą go ci sami ludzie, którzy za komuny czerpali profity z władzy. Są przeżarci złem, skorumpowani, nie wierzą w nic, potrafią zabijać i czasem pragną tego bardziej niż bogactwa. My im to damy i na nich też będziemy mieć wpływ. Wybudujemy nową Polskę, taką, jaką będziemy chcieli. Przy najmniej w części taką. Czyż to nie jest kuszące?

Remigiuszowi huczało w głowie. Patrzył na swojego szefa i wiedział, że nie kłamie. On wierzył w każde swoje słowo, to był jego cel, marzenie trudne do realizacji, lecz nie niemożliwe, bardzo czasochłonne, a jednocześnie bezwzględnie skuteczne, jedyne i ostateczne, później już bez szans na zmiany, jeśli wirus władzy wgrzyzie się dostatecznie głęboko w elity krajowe, a może nawet międzynarodowe. Był przerażony, milczał, przetykał głośno ślinę, bojąc się palnąć coś głupiego i się zdemaskować. Przecież był prostym facetem z małej miejscowości.

-- Jest -- powiedział tylko.

Orzeł jakby nagle się rozpromienił.

-- Bez inwestycji z Zachodu naszemu rządowi nigdy nie uda się zbudować gospodarki rynkowej. To już się dzieje, lecz Polska ciągle potrzebuje ich więcej i więcej, jak świeżego powietrza, kiedy pali się wszystko dookoła. Ludzie, na których zdobędziemy wpływ, będą decydować, w jakie dziedziny gospodarki zainwestują, nasi politycy, na których mamy lub będziemy mieli wpływ, będą te firmy sprzedawać, będą wskazywać, na czym można dobrze zarobić. Oczywiście, jeśli nie zajdzie taka potrzeba, nie będziemy nikogo szantażować. Osobi-

ście brzydzę się takimi metodami. Liczę, że nie trzeba będzie się do nich uciekać.

Orzeł zamilkł na moment, jakby się nad czymś zastanawiał. Kontynuował dopiero, kiedy się trochę uspokoił. Jakby fantastyczne wizje, które rozlały mu się szeroko przed oczami, nagle trochę zbladły.

-- Mam nadzieję, że wystarczy świadomość, że wszyscy uczestniczący w tych polowaniach tworzą coś na zasadzie nieformalnej wspólnoty ludzi myślących tak samo, mających takie same pragnienia, podobne zainteresowania, bezkompromisowych, odważnych i dla osiągnięcia własnej satysfakcji potrafiących zabić. Organizowane przeze mnie polowania są czymś w rodzaju mordy założycielskiego, mającego w zamyśle spajać podobnie myślących ludzi. Rozumiesz, Remik?

-- Liczy pan na to, że po przeżyciach tu oni sami zaczną działać zgodnie z naszymi założeniami, a gdyby coś było nie tak, ma pan na nich wpływ -- powiedział cicho Nycz, czując, jak głos lekko wpada mu w vibracje ze strachu.

Na szczęście Orzeł znowu zrozumiał go opacznie.

-- Podniecające, prawda? -- Uśmiechnął się, a w tym uśmiechu było tyle lodu, że mógłby zamrozić połać okolicznych lasów. -- Wyobraź sobie, że z roku na rok to nasze nieformalne stowarzyszenie się rozrasta. Teraz już praktycznie nie muszę nikogo namawiać. Chętni zgłaszają się do mnie sami. Coraz bogatsi, coraz potężniejsi, z wielkimi wpływami. Teraz ci, którzy już polowali, zachęcają do tego swoich zaufanych przyjaciół, partnerów biznesowych, współpracowników. To rośnie jak lawina. Po co jechać na sawannę i polować na lwy? Przecież polowanie na ludzi jest o wiele bardziej podniecające.

-- Tak -- jęknął Remigiusz, z trudem panując nad narastającym przerażeniem.

Na Boga, kim był ten człowiek? Nie, nie człowiek. Potwór w ludzkiej skórze. Kim byli jego tajemniczy przyjaciele? Czy tak właśnie działa ten pieprzony świat? Nawet nie wiemy, że rządzą nami psychopaci, szaleńcy i mordercy? Pewnie tak. Nikt normalny nie wywołuje wojen i nie skazuje żołnierzy i cywilów na pewną śmierć pod bombami czy kulami. Remigiusz zawsze myślał, że wojny wybuchają z przyczyn politycznych i dlatego, że ktoś chce na nich zarobić. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że wojna może wybuchnąć dlatego, że jakiegoś dyktatora, prezydenta czy wpływowego polityka po prostu podnieca zabijanie.

-- Chciałbyś zapolować? -- Orzeł patrzył na niego uważnie z ukosa.

Nycz wpadł w panikę. Z trudem przytaknął bez słowa. Orzeł roześmiał się głośno i chyba nawet szczerze.

-- Może kiedyś będzie taka okazja, obiecuję ci -- powiedział. - Teraz jednak potrzebuję zaufanego kierowcy. Takiego, który trzyma gębę na kłódkę i nie interesuje się za bardzo, kogo wozi, tak jak ty ostatnio. Zaimponowałeś mi, że nie odezwałeś się wtedy słowem, tam w lesie.

-- Wszystko, co dzieje się na Kaszubach, tu zostaje. -- Przez suche usta Nycza z trudem przedarło się to zdanie.

Jego szef znowu się roześmiał. Klepnął go w ramię.

-- To mi się podoba -- stwierdził z zadowoleniem. -- Jeśli będziesz dla mnie jeździł, gwarantuję wynagrodzenie, za które kupisz sobie wszystko, czego tylko zapragnie twoja dusza, i co roku nowego mercedesa. Wiem, że lubisz mercedesy.

-- To moje ulubione auta -- przyznał Remigiusz.

-- W takim razie umowa stoi? -- zapytał jeszcze Orzeł.

Uścisnęli sobie dłonie przy ścianie, na której wisały zdjęcia kilkunastu psychopatów pozujących ze swoimi ofiarami. To było tak groteskowo przerażające, że Nycz zadrżał, jakby stał w środku chłodni, a wrota właśnie się zatrzaskiwały. Orzeł był na tyle zadowolony, że nagle zaczął snuć inne wizje. Te przestraszyły Nycza jeszcze bardziej. Chociaż czy naprawdę było jeszcze coś, czego mógłby się bać?

-- Ta działalność nie jest obliczona na natychmiastowy zysk. Ona jest zaplanowana na lata, może na całe dziesięciolecia, kiedy będziemy coraz bardziej poszerzali wpływy. Mógłbym sobie teraz siedzieć za biurkiem, lecz poświęciłem się dla tej szczytnej idei. I jeżdżę, rozkręcając ten biznes, albo, jak wolisz: strefę wpływów. Za kilka lub kilkanaście lat Polska też się zjednoczy z Europą. Myślisz, że oni tam nie wiedzą, jaki potencjał ma czterdziestomilionowy kraj? Wiesz, ile towarów można tu sprzedać, wiesz, ile można zaoszczędzić na taniej sile roboczej? Oni nas tak nie zostawią. A wtedy nasza organizacja będzie rozdawać karty i będzie miała kontrolę nad tym procesem. Będzie miała wpływ.

Orzeł umilkł, zapatrzony w fotografie na ścianach, jakby już przed oczami miał wizualizację przyszłych sukcesów. Remigiusz też się nie odzywał. Już nie chciał naprawiać samochodu, właściwie już

nie chciał nawet tym samochodem jeździć, pragnął tylko jak najszybciej uciec z tego straszego miejsca, od tego przerażającego człowieka, kupić dużą butelkę wódki, upić się i zapomnieć. Potem się obudzić i dalej pić, w nadziei, że jak wreszcie kiedyś wytrzeźwieje, nie będzie pamiętał. Tylko że taka chwila była mało prawdopodobna.

Naraz Orzeł jakby się ocknął. Chwycił Nycza za ramię i pociągnął w kierunku zamkniętego drugiego pomieszczenia. Kiedy z tajemniczym uśmiechem przekręcał klucz w zamku, Remigiusz domyślał się już, że koszmar się jeszcze nie skończył i nadal będzie musiał się pilnować, żeby nie powiedzieć nic głupiego i nie narazić swojego życia. Gdy jednak wszedł do środka, nogi się pod nim ugięły. Otworzył usta i chwycił powietrze jak dusząca się ryba.

-- Piękne, prawda?

Głos szefa za plecami był jak lodowy sztylet wbijający się między żebra.

2

TERAZ

Telefon dzwonił i dzwonił, przerywając błogą ciszę poranka. Był jak natrętna mucha, która wleciała przez okno i nie daje spać akurat w momencie, kiedy sen przynosi największą satysfakcję i piękne obrazy. Próby odpędzenia namolnego owada zazwyczaj nie przynoszą rezultatu i wreszcie trzeba zareagować inaczej. Z telefonem było podobnie.

Adrian Szot też musiał wreszcie zareagować, ponieważ ktoś po drugiej stronie linii nie rezygnował z prób nawiązania kontaktu. Pewnie z pracy. Zirytował się w sekundzie, a w następnej odzyskał spokój. No tak, oni jeszcze nie wiedzieli, więc nie miał powodu, by się denerwować. To miał być jego ostatni dzień pracy w policji. Rzuci szefowi wypowiedzenie i podanie o urlop, pożegna się z tą znienawidzoną komendą i wreszcie będzie wolny.

Ostrożnie otworzył oczy i zaraz je przymknął. Świt przywitał go ostrymi promieniami słońca wpadającymi skośnie do pokoju przez niestarannie zasunięte zasłony. To był ostatni świt jego starego życia. Od jutra zaczyna wszystko od nowa i nie będzie się oglądał za siebie. Stare trzeba pogrzebać, zanim zatruje jadem to, co ma być nowe. Całe życie starał się spełniać oczekiwania innych, nie myśląc o swoich potrzebach. Teraz będzie inaczej, nawet kosztem tego, że ktoś może go nazwać egoistą. Trochę egoizmu w życiu było dobrym zjawiskiem.

Usiadł na łóżku i odebrał, przerywając natarczywe brzęczenie sygnału.

-- Szot, słucham?

-- Inspektor Jachimowicz z tej strony. -- W słuchawce rozległ się niski, przyjemny głos, ale wywołujący w aspirancie same negatywne skojarzenia. -- Ma pan twardy sen, panie kolego.

Inspektor Jachimowicz był jego szefem w Komendzie Miejskiej Policji w Bytowie. Nigdy im się nie układało, przełożony nie lubił Adriana, dawał mu najgorsze sprawy i wyznaczał do najpodlejszych zadań. Nigdy nic poważnego, jakby wątpił w umiejętności aspiranta Szota albo wyjątkowo nim gardził, a gnębienie go sprawiało mu niechęć i satysfakcję. To między innymi przez niego Adrian podjął decyzję o wyjeździe z Bytowa. Od jutra będzie na urlopie, spakował już walizki i nieodwołalnie wyjedzie z tego cholernego zapyziałego mia-

sta, gdzie rządzą układy i układziki. W takich warunkach nie widział dla siebie szansy, musiał coś radykalnie zmienić.

-- Tak wyszło -- burknął zjeżony do słuchawki.

Teraz dopiero usłyszał, że jego szef brzmi jakoś inaczej. Przemawia niczym Jaruzelski ogłaszający wprowadzenie stanu wojennego.

-- Panie kolego, myślę, że nadszedł już czas, żeby zajął się pan czymś poważniejszym. Sprawdził się pan, panie kolego, w codziennej żmudnej policyjnej robocie i wierzę, że doskonale pan sobie poradzi przy nowym zadaniu.

Adrian aż otworzył usta, słuchając tego przydługiego i nudnego wywodu. O czym on, do diaska, mówi? Pomylił się?

-- No więc, panie kolego, kilka kilometrów od miasta, na leśnej drodze znaleziono zwłoki. Chciałbym, żeby pan poprowadził śledztwo, prokurator Stankowicz dał nam wolną rękę. Być może zabierze nam to wojewódzka, ale przynajmniej do tego czasu będzie pan nad wszystkim czuwał.

-- Tak jest -- powiedział odruchowo Adrian.

-- Prześlę panu współrzędne, patrol już tam jest, technicy jadą - mówił dalej szef. -- Niech niczego tam nie zadcpczą, panie kolego.

Inspektor Jachimowicz się rozłączył, zostawiając Adriana znieruchomiałego z osłupienia. Dopiero teraz szef go docenił, wyznaczył do poważnej roboty? Teraz miał to w dupie, za późno, już podjął decyzję. Z jękiem wstał z łóżka, coś strzeliło mu w kolanach. Z pełnym niezadowolenia grymasem powłókł się do łazienki, omijając kartony z książkami i walizki z ubraniami przygotowane do wyprowadzki.

Była piąta czterdzieści jeden. Ostatni dzień jego pracy. Ostatni świt w tym znienawidzonym mieście.

Do celu dotarł kilkanaście minut później. Tak, jak mówił szef, miejsce znalezienia zwłok zabezpieczyli funkcjonariusze patrolu i - co najważniejsze -- nie łazili za dużo i nie zdeptali śladów. Leśna droga była dość szeroka, dobrze wyjeżdżona, na poboczach leżały łąchy żółtego piasku. Normalnie na takim terenie ślady stóp zmieniały się w nieregularne wgłębienia, jednak nie tego poranka. To był pierwszy słoneczny dzień po kilku deszczowych. Ślady były doskonale widoczne.

Szot przywitał się z kolegami w mundurach, a potem stanął przy rozciągniętych taśmach i uważnie zlustrował otoczenie. Droga w tym miejscu biegła po niewielkim łuku. Nie było jej na mapie, chociaż łą-

czyła ze światem dwie położone w głębi lasów wioski i kilka leśnych przysiółków. Sam wielokrotnie jeździł nią na zgłoszenia.

Zdezelowany golf zaparkowany był na poboczu, dwoma kołami zagrzebany w piachu, drzwi od strony kierowcy pozostawiono otwarte. Mieszkał tu przez ostatnie dwa lata, dużo jeździł po okolicznych wioskach, dlatego znalazł to auto z widzenia. Podobnie jak jego właściciela, starszego postawnego mężczyznę przezywanego "Madej". Tego samego, który leżał teraz przed maską auta w kałuży krwi, która wypłynęła z przestrelonej głowy. Krew wsiąkała głęboko w piasek, martwe oczy wpatrywały się w niebo w niemym zaskoczeniu. Wyglądało to tak, jakby Madej zjechał na pobocze, zatrzymał się, wysiadł i ktoś brutalnie zakończył jego uczciwy żywot strzałem w skroń z bliskiej odległości. Do licha, takie sprawy dotąd się tu nie zdarzały. W końcu to były Kaszuby, a Bytów nie był wielkim miastem jak Warszawa, Kraków czy Wrocław, gdzie ludzie strzelali do siebie z pistoletów. Tu najwyżej w pijanym widzie potrzaskali się sztchetami ze skutkiem śmiertelnym. Proste, banalne i jakże swojskie. Adrian nie pamiętał, żeby ktoś kogoś zastrzelił. Z tego, co kojarzył, ostatnia taka sytuacja zdarzyła się jeszcze w latach sześćdziesiątych poprzedniego stulecia.

Mimowolnie uśmiechnął się pod nosem. Czy inspektor znalazł wszystkie szczegóły tej zbrodni? Pewnie nie. Inaczej nie przysłałby tu Szota, tylko jakiegoś zaufanego śledczego. Zanim ta myśl wyświetliła mu się i zgasła w głowie, zza zakrętu wyjechało jeszcze jedno auto. Adrian go nie znał, ale wiedział, że to musi być policjant. Zaraz przy zjeździe z asfaltówki policja ustawiła blokadę i wszystkich tubylców puszczala objazdem. Pewnie klęli, nadkładając kilka kilometrów, ale Adriana nic to nie obchodziło. Tu musiał być spokój, szczególnie przy tak delikatnych śladach.

Auto zaparkowało zaraz za jego mazdą i wysiadła z niego podkomisarz Walerczyk. Nie lubił jej, dlatego nie był zachwycony, kiedy skinęła głową na jego widok i zaraz wpakowała między wargi papierosa. Odkąd pamiętał, kopcila jak komin w elektrociepłowni, przypalając jednego papierosa od drugiego, co nie wpływało dobrze na jej odbiór jako kobiety. Może nie grzeszyła nadmierną urodą, ale było w niej coś, co mogło podobać się facetom. No i sylwetkę miała nieźle wytrenowaną. Tylko te fajki. Adrian jako zagorzały przeciwnik palenia trzymał się od niej z daleka. Zresztą jeszcze nigdy nie pracowali razem. Ona była zaufaną szefa i zajmowała się najpoważniejszymi

tematami. On zawsze był raczej na końcu hierarchii nieformalnych układów i sympatii. Z nikim się nie przyjaźnił ani nie kolegował.

-- Cześć! -- rzuciła Walerczyk niedbałym tonem, stając obok niego i wypuszczając z ust siwy dym.

Odsunął się od niej odruchowo, ale i tak odnosił wrażenie, że tak blisko siebie znajdują się po raz pierwszy. I pewnie ostatni -- dodał w myślach i nieoczekiwanie poczuł coś na kształt ulgi.

-- Cześć, Jachimowicz mnie jednak odsunął? -- zapytał z wyraźną drwiną w głosie.

Spojrzała na niego autentycznie zdziwiona.

-- Nie. Dlaczego? Ty tu jesteś szefem, ja mam ci tylko pomagać.

-- I patrzeć na ręce. -- Nie mógł się powstrzymać od kąśliwej uwagi.

-- Nazywaj to, jak chcesz. -- Wzruszyła ramionami, a po chwili dodała: -- Czas, żebyś zajął się czymś poważniejszym. Jesteś zdolnym gliną, sama ostatnio mówiłam to szefowi.

Rychło w czas. Nawet jeśli naprawdę tak było, Szot wcale nie poczuł się lepiej. Teraz było już co najmniej o kilka miesięcy za późno. Tak naprawdę na widok Walerczyk wysiadającej z auta miał zamiar wsiąść do swojego, pojechać do komendy i rzucić szefowi papierami. Został tylko z ciekawości. Kto staremu Madejowi przestrzelił czaszkę? Bądź co bądź, było to dość intrygujące.

-- Dzięki! -- rzucił tylko.

Nie skomentowała, odpalając kolejnego peta. Przyjrzał jej się z ukosa. Jak ona miała na imię? Jakoś tak dziwnie. To był pierwszy raz, kiedy rozmawiali ze sobą bezpośrednio. Irmina -- przypomniał sobie z niemalym trudem. Pochodziła z okolic Bytowa, z kaszubskiej rodziny, miejscowym językiem operowała lepiej niż urzędowym i teraz uświadomił sobie, że jednak nie jest ładna. Z daleka nie robiła złego wrażenia, lecz z bliska już tak. Cera na jej policzkach miała niezdrowy odcień i była pokryta milionem nieładnych czerwonych kropek, prawe oko uciekało gdzieś w bok, miała krzywe, pożółkłe od papierochów zęby, za duże uszy i za szeroki nos. Zresztą, co go to w ogóle obchodzi? Zaraz zapomni o podkomisarz Irminie Walerczyk i będzie ją wspominał tylko wtedy, kiedy będzie wracał do popełnionych w życiu błędów, a tego nie zamierzał robić zbyt często. Wyjeżdża, zapomina i od następnego dnia jest tylko lepiej. Taki był plan. Urodzony pesymista rechotał w nim złośliwie za każdym razem, kiedy w ten sposób myślał o przyszłym życiu.

-- Znałaś Madeja? -- zapytał.

Policjantka zaciągnęła się tak, że pewnie dym trafił od razu do jej wątroby z pominięciem płuc, po czym spojrzała na niego z wkurzającym błyskiem w głębi oczu.

-- Ty też go znałeś? -- odpowiedziała pytaniem. -- Wszędzie było mendo pełno.

-- Przecież wiesz, o co pytam -- zniecierpliwił się trochę. -- Ty jesteś stąd, on był stąd, a ja tu, cholera, nigdy nie będę pasował.

Spojrzała na niego jakoś inaczej. Może odczytała lekką gorycz w jego głosie.

-- Rozumiem. -- Skinęła lekko głową. -- Dlaczego mam nie rozumieć?

Zanim jednak zaczęła cokolwiek mówić, zapaliła kolejnego papierosa. Adrian jęknął w duchu. Ani chybi po śmierci jej płuca zamiast do trumny trafią do składu węgla.

-- To twardogłowy Kaszub był. Nie wiem, skąd pochodził, pamiętam sprzed lat, jak w Ugoszczu mieszkał, a potem w stu innych miejscach. Zawsze lubił wypić, przez to w żadnej robocie miejsca nie zarzął, rodzina od niego odeszła, po budowach pracował, ale uczciwy był i swoje zasady miał. Nigdy nie wszedł w konflikt z prawem, ale jak trzeba było sprawiedliwości pięścią szukać, to się nie wahał.

Adrian spojrzał na bladą twarz z paskudną dziurą w skroni i na oczy skierowane w niebo. Tak można było scharakteryzować trzy czwarte mężczyzn mieszkających w okolicy. Niczego nowego nie powiedziała. Swoje niezadowolenie wyraził prychnięciem.

-- Tyle to ja wiem bez twojej pomocy -- mruknął, odsuwając się od niej nieznacznie, bo zmienił się wiatr i teraz dym leciał idealnie na niego. -- Powiedz mi raczej, czy miał jakichś wrogów.

-- Madej? Wrogów? Chyba żartujesz. To porządny chłop był.

-- Porządni ludzie nie dostają kulki w miejscu publicznym.

-- Że niby to zadupie to miejsce publiczne? -- zakpiła.

-- No wiesz, o co mi chodzi. -- Szot był coraz bardziej rozdrażniony. Jak nie miała nic do powiedzenia, mogła milczeć.

-- No wiem. -- Walerczyk jednak nie zamierzała milczeć. -- Madeja lubili w okolicy wszyscy, nie miał wrogów. Nikomu krzywdy nie zrobił.

-- Ale teraz leży tam w kałuży krwi -- zauważył Szot.

-- Może sam sobie palnął w łeb? -- Policjantka wzruszyła ramionami. -- Właściwie miał nawet powód. Przez wódkę rodzina nie

chciała się z nim kontaktować, a on nadal pił wiadrami. Z tego samego powodu nikt go już nie chciał brać do roboty, chociaż murarz specjalista był. Z tego, co zdążyłam się dowiedzieć, od tygodnia mieszkał w swoim golfie, bo nie płacił za mieszkanie, a znajomi już go nie chcieli sponsorować.

-- No to faktycznie wszyscy go lubili i miał samych przyjaciół. -- Aspirant się skrzywił. -- Tylko jak przyszły kłopoty, to został sam.

-- Ale przecież życie zawsze tak wygląda.

Adrian miał nadzieję, że Walerczyk na moment zapomniała o papierosach. Pomylił się. Właśnie mocowała się z folią od nowej paczki. Zrobił jeszcze pół kroku w bok. Kontynuowała, kiedy już mocno zaciągnęła się dymem.

-- Mówię ci, Adrian, tu nikt do nikogo nie strzela. Przecież wiesz, będzie ze dwa lata, jak u nas pracujesz. To spokojna okolica. Pewnie Madej nie wytrzymał i sam sobie w łeb palnął.

Coś mu zgrzytnęło w jej słowach. Może bardziej w tonie głosu albo nonszalanckiej postawie, która w niczym nie przypominała podkomisarz Walerczyk z komendy w Bytowie czy z odpraw u szefa. Przyjrzał się jej z nagłym zainteresowaniem.

-- Taka ma być oficjalna linia śledztwa? -- zapytał niby obojętnie. -- Że to samobójstwo?

-- Nie, no co ty! -- Roześmiała się z petem między wargami. -- To twoje śledztwo, ja tylko mówię, jakie jest moje zdanie.

-- Widzisz tam gdzieś pistolet, z którego palnął sobie w głowę? -- zapytał.

-- Może na nim leży. -- Wzruszyła ramionami. -- Poczekaj, aż technicy pozwolą ruszyć ciało.

Adrian więcej się nie odezwał. Mieszkał tu parę lat, pracował w psiarni, lecz nigdy nie zgłębił układów i układzików funkcjonujących tu na wielu płaszczyznach, mniej lub bardziej ukrytych. Czyżby zderzał się właśnie ze ścianą? Nie był głupi, wiedział, jak funkcjonuje taki biosystem, uczył się o tym, nienawidził go całym sobą, zwalczał go, jeśli tylko gdzieś wyczuł jego działanie. I nagle ostatniego dnia, dosłownie na kilka godzin przed wyjazdem, trafił? Poczł nagły przypływ adrenaliny. Tylko czy na pewno? Zgrany schemat. Jest zbrodnia i nikomu nie zależy, żeby prawda o niej ujrzała światło dzienne. Wtedy do pierwszych czynności na miejscu znalezienia zwłok bierze się najgorszego przygłupa w komendzie, dodaje się mu doświadczonego śledczego dla pewności, żeby nie był zbyt dociekliwy, i czeka

się, aż przyjadą śledczy z województwa, którzy już będą wiedzieć, co dalej z tym robić.

Szot odszedł kilka kroków w bok, znalazł miejsce, gdzie nie było śladów, przeszedł pod policyjną taśmą i zbliżył się do denata. Przykucnął dwa kroki obok niego. Starał się nie patrzeć na Walerczyk, ale mu się nie udało. Tylko na nią zerknął. Stała znieruchomiała z papierosem w palcach w pół drogi do ust, jakby nagle zmieniła się w kamień albo zabrakło jej sił. Miała dziwnego marsa na czole i czujne spojrzenie. Trafiony zatopiony -- pomyślał z satysfakcją i zaraz o niej zapomniał.

Krew z rany w głowie wsiąkała w piach, twarz Madeja była trupio blada, rysy nienaturalnie napięte. Pewnie jeszcze nie ostygł. Dlaczego ktoś palnął mu w łeb, po co policja chce to zatuszować? Przecież Madej był nic nieznaczącym, znanym wszystkim drobnym pijaczkiem. W co wdepnął, że trzeba go było odstrzelić?

Adrian prześlizgnął wzrokiem po linii drzew wzdłuż drogi. Tu lasy ciągnęły się na wiele hektarów, nierzadko niedostępne, strzegące w swym wnętrzu zaułków, do których nie prowadziły żadne drogi. W takich miejscach działy się dziwne rzeczy, jeszcze nieodkryte przed światem. Czy kiedykolwiek zostaną ujawnione? Miał nadzieję, że tak kiedyś będzie. Czy dlatego zginął Madej? Pchany potrzebą zarobienia szybkiego szmalu na zakup podłego bimbru pojechał taką drogą i widział coś, czego nie powinien był zobaczyć? Czy gdzieś tu jest taka droga?

Aspirant Szot wstał i ponownie rozejrzał się po linii drzew po obu stronach drogi. Słońce jeszcze nie przedarło się ponad korony, więc w tym miejscu w powietrzu ciągle wisiał chłód poranka, który miał być dla niego ostatnim na tym krańcu świata. Ale być może nie będzie. Jeszcze raz zerknął na Walerczyk. Już nie paliła. Szła szybko w jego kierunku, za chwilę też przejdzie pod taśmą zabezpieczającą teren. Adrian pospiesznie zbadał ślady odcisnięte w mokrym piasku, obejrzał uważnie denata, przyjrzał się autu. Kiedy stanęła przy nim, wszystko miał już zarejestrowane, a dane były w trakcie przetwarzania. Przede wszystkim znalazł ślady jeszcze co najmniej dwóch osób, w tym kobiety. Poza tym nietypowe rysy i plamy na piasku, których pochodzenia nie potrafił na razie wytłumaczyć. Ale nie trzeba było być najlepszym tropicielem w indiańskiej wiosce, żeby się kilku rzeczy domyślić.

Z trudem się opanował, żeby znowu nie odsunąć się od podkomisarz Walerczyk. Przez to musiał zaciągnąć się zapachem z jej ust i podłym dezodorantem kupionym od Ukraińców na bazarze. Wytrzymał jednak.

-- I co? Masz jakieś pomysły? -- Starła się zabrzmieć nonszalancko, lecz znowu zazgrzytało.

Oj, koleżanko, musisz potrenować udawanie, bo z takim talentem za daleko nie pojedziesz. Zaraz, jak ona, do cholery, miała na imię? Irmina! Uff...

-- Miałaś rację, Irmina. -- Pokiwał głową z udawaną obojętnością. Jego umiejętności aktorskie były na poziomie wyższych studiów, podczas gdy ona nie ukończyła jeszcze podstawówki. W końcu udawał przez ostatnie lata. -- Facet naprawdę mógł sobie strzelić w łeb.

Uważnie mierzyła go wzrokiem, oceniając, czy jest szczery, czy może postanowił z niej zakpić.

-- Tak sobie myślę, że faktycznie, upadając, mógł wypuścić pistolet i teraz na nim leży -- kontynuował beznamiętnie. -- Cholera, kolejny śmieć ze swoimi gównianymi problemami. Mógł przywiązać sobie kamień do szyi i utopić się w jeziorze, przynajmniej teraz nie mielibyśmy problemów. A tak: tylko zawracanie dupy porządnym ludziom, a potem masa raportów.

-- No wiesz, ale przynajmniej będziesz mógł się pochwalić dobrymi statystykami wykrywalności. -- Uśmiechnęła się sztucznie.

-- No tak, tyle z tego dobrego. Chodź, nie zdeptujmy śladów.

Wrócili z taśmy i nagle Adrian chwycił ją za ramię, które sięgało już po kolejnego papierosa.

-- Tak czy inaczej, rozpytam o tego Madeja po wiochach -- powiedział. -- Żeby stary nie miał się do czego przyczepić. No wiesz.

Po początkowym zaniepokojeniu na jej twarz wpełzł uśmiech.

-- Pewnie, w papierach musi grać.

-- No i wiesz, gdyby jednak nie było tego pistoletu pod denatem...

-- Będzie, będzie -- rzuciła i zaśmiała się zgrzytliwie. -- Mój policyjny nos w takich sprawach się nie myli.

Puścił ją i posłał jej uśmiech, który można by chyba w innych okolicznościach nazwać porozumiewawczym. Zaraz też przestraszył się, że trochę przesadził, i uśmiech zmienił się w nieokreślony grymas. Potem ruszył wzdłuż taśm jeszcze raz, próbując zarejestrować wszystkie szczegóły. Walerczyk odprowadzała go zamyślonym spojrzeniem. Czyżby nabrała podejrzeń? Kłął na siebie w duchu. Może

odegrał tę szopkę zbyt szybko i zbyt nachalnie? Trudno, teraz już za późno.

Ciągle czując na sobie jej badawcze spojrzenie, skupił się na pracy. Musiał pokazać, że jest skrupulatnym śledczym. W pewnym momencie wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, znalazł właściwy numer i wysłał esemesa z dwoma pozornie nic nieznaczącymi słowami: "Adrian pozdrawiam" i uśmiezek. To było hasło startowe. Od tego momentu zaczęły się dziać różne dziwne rzeczy, o których się dowie albo i nie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, już niedługo na pewno dowie się o nich podkomisarz Walerczyk. Zaraz, jak ona, do jasnej cholery, ma na imię? Irmina. Dowie się o nich Irmina Walerczyk, jej szef i pewnie jeszcze kilku szemranych kolegów. Miał nadzieję, że kiedyś zawitają do niej o szóstej rano zamaskowani goście z granatami hukowymi, taranem rozwalając drzwi na drzazgi.

Po chwili wybrał inny numer i napisał drugiego esemesa: "Kamera w aucie". Ponownie nie dostał odpowiedzi, lecz nie musiał.

Na miejscu zbrodni spędzili jeszcze kilka godzin, w czasie których technicy z wojewódzkiej zabezpieczali teren, zbierali ślady, dokumentowali miejsce zbrodni, przeprowadzali żmudne i czasochłonne procedury, niezbędne w takich okolicznościach. Przyjechali prawie godzinę później, niż się zapowiadali, tłumacząc się nieznaną drogą. Prokurator też się spóźnił, lecz to akurat nikogo nie dziwiło. Przecież księżę nie będzie się zrywał o świcie i leciał wiele kilometrów do lasu, żeby pobłogosławić na ostatnią drogę do kostnicy jakiegoś drobnego pijaczka. Pewnie miał ważniejsze tematy do załatwienia na początek dnia.

W tym czasie aspirant Szot rozdzielił zadania. Wysłał mundurowych w teren w celu rozpytania o denata, który -- jak dopiero teraz dowiedział się z dowodu osobistego dostarczonego w woreczku strunowym przez jednego z techników -- nazywał się Józef Koryciak, urodzony w Bytowie, lat sześćdziesiąt siedem. W międzyczasie jeden ze śledczych z laptopem dobrał się do kamery zamontowanej w golfie i próbował zgrać ewentualne zarejestrowane obrazy. W końcu zły z trzaskiem zamknął komputer i skierował swoje kroki do dwójki policjantów.

Walerczyk akurat zaciągała się kolejnym papierosem, więc zanim zdążyła coś powiedzieć, ubiegł ją Szot.

-- Macie coś? -- rzucił.

-- Chyba sobie ze mnie żartujesz. -- Technikowi udzielił się ogólny nie najlepszy nastrój panujący w tym miejscu, bo był zły i naburmuszony. -- Ta kamera ma pewnie z dziesięć lat. Może i kiedyś coś nagrywała, ale od dawna już nie. Nie była nawet dobrze podłączona do zasilania. Facet zamontował ją sobie, żeby się pochwalić, albo kupił ją razem z tym gratem i nigdy nie używał.

-- Czyli nie ma zapisu? -- upewnił się Adrian.

-- Tam nie było nawet sprawnej karty pamięci -- odrzekł technik. Szot postąpił krok w jego stronę.

-- Mimo wszystko dziękuję -- powiedział.

Technik zatrzymał się na chwilę z taką miną, jakby zrobiło mu się głupio, że rozładował swoją frustrację na niczemu niewinnych policjantach, którzy tak samo jak on nie byli tu, bo lubili, ale musieli. Może oni byli nawet w gorszej sytuacji. Technicy zabezpieczą ślady i zostawią ich z całym tym gównem. Spojrzał na Adriana bardziej przyjaźnie.

-- Nie ma sprawy -- zapewnił i dla przypieczętowania swoich niewypowiedzianych przeprosin klepnął policjanta w bok, po czym odwrócił się i odszedł.

Około jedenastej przyjechał wreszcie prokurator, wysiadł i z lekkim niepokojem przyglądał się, jak jego lśniące i drogie buty zagłębiają się w piasku. Szedł w ich kierunku ostrożnie, żeby jeszcze bardziej nie pobrudzić włoskiego obuwia. Wyglądało to, jakby sunął przez ruchome piaski na środku pustyni, a i tak efekt był mizerny. Pył pokrył nie tylko jego obuwie, ale i nogawki spodni. Szot z trudem wstrzymywał drwiący uśmiech, a Walerczyk otwierała tylko szerzej oczy ze zdziwienia. Nawet ona nie mogła wyjść z podziwu dla zaangażowania w śledztwo młodego prokuratora. Ten przywitał się z nimi niezbyt męskim uściśnięciem dłoni, po czym kazał sobie przybliżyć, w czym rzecz.

Adrian w żołnierskich słowach wszystko mu streścił. Później prokurator pozwolił ruszyć ciało denata i po krótkim zamieszaniu, kiedy technikom nagle osunęło się ono na ziemię i ponownie musieli się z nim siłować, trup Madeja legł wreszcie na boku. Na twarzy prokuratora zagościł triumfalny uśmieszek, kiedy spojrzął w kierunku policjantów. Walerczyk była przy zwłokach pierwsza i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

-- A nie mówiłam? -- wykrzyknęła. -- Psi nos nie zawodzi. Lata doświadczenia.

Aspirant Szot z trudem przywołał na twarz beztroski uśmiech. To była jego najtrudniejsza rola tego dnia, ponieważ musiał zwalczyć nagłą falę mdłości. To było tak bezczelne, że aż nie chciało mu się wierzyć, że dzieje się naprawdę. Do tego teraz, w dwudziestym pierwszym wieku, kiedy policja po latach walki z mafią zdołała w miarę oczyścić swoje szeregi ze zdrajców i kretów. Widać jednak nie wszystko poszło zgodnie z planem, a przynajmniej nie wszędzie.

Pistolet leżał wciśnięty w piasek. Pewnie któryś z techników go nawet przydepnął, żeby wyglądał bardziej wiarygodnie w oczach policji i prokuratora. Było już pewne, że brakowało jednego naboju, który znajdzie się w czaszce Madeja, a na rękojeści pistoletu odkryją tylko jego odciski palców. W co się wplątałeś, stary frajerze? -- pomyślał Adrian, poważniejąc. Wystarczy już tego uśmiechu, bez przesady. Prokurator też był wniebowzięty. Statystyki wykrywalności pójdą w górę, a do tego nie będzie niepotrzebnie marnował swojego cennego czasu. I tak było. Zostawił swoją wizytówkę, kazał zadzwonić, gdy będzie komplet papierów, żeby szybko zamknąć śledztwo. Szot też nie chciał zostać w tym miejscu już ani sekundy dłużej. Potwierdzili sobie z Walerczyk wcześniejsze ustalenia, co kto robi, pożegnał się i ruszył w kierunku swojej mazdy.

Słońce było już w zenicie, w lesie pięknie śpiewały ptaki, gdzieś hałasował dzieciół. Sielanka, do stu tysięcy diabłów. Pomyślałby kto.

Zawrócił auto i ruszył w kierunku głównej drogi. Kiedy wreszcie wyjechał na asfalt, skinąwszy mundurowym pilnującym zjazdu, odprężył się. Delikatnie przyspieszył, ale nie jechał szybko. Po co kusić licho?

Po kilku kilometrach sięgnął dłonią do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej pendrive. Podejrzewał, że jest to pełny zapis z kamery umieszczonej w aucie Madeja, zanim technik uszkodził jej kartę pamięci. Już nie mógł się doczekać, kiedy odpali filmik. Naprawdę był ciekawy, na co trafił Madej, że aż musiał zginąć. Jeszcze bardziej ciekawiło go, czego wszyscy się tak przestraszyli, że miejscowa policja, technicy z województwa i prokurator tak szybko i zgodnie wrobili go w samobójstwo.

3

CZERWIEC 1993

-- Piękne, prawda?

Remigiusz Nycz długo nie mógł złapać oddechu. W całym pomieszczeniu na ścianach wisiały obrazy. Różnej wielkości, ładniejsze, brzydsze, niektóre miały coś przyciągającego wzrok, inne były odpychające, a na resztę nikt nie zwróciłby uwagi. Wykonane profesjonalnie lub nieporadnie, jakby ktoś trzymał pędzel po raz pierwszy, wstrząsające, banalne, drażniące i niepokojące, duże i małe. Mimo tej różnorodności wszystkie były w tym samym kolorze. Jakby ktoś namalował je czarną farbą. Dopiero po dłuższej chwili można było się zorientować, że to nie jest jednak taka idealna czerń, tylko ciemnoczerwony. Kolor był wszędzie taki sam, jakby nie było innych farb na świecie albo twórca uparł się tylko na tę jedną. Tylko że to nie była farba i Remigiusz o tym wiedział.

Pewnie obrazy nie zrobiłyby na nim takiego wrażenia, gdyby ktoś wcześniej go o nie nie pytał i nie wytłumaczył mu, czym są i jak powstały. Kiedy Bryła pytał go o obrazy, Nycz jeszcze o nich nie wiedział, ale był bystry, więc kiedy Orzeł pokazał mu kolekcję zgromadzoną w zamkniętym pokoju, od razu skojarzył. Poczul się, jakby nadal spadał, ciągle niżej, na samo dno piekła. Fotografie z polowań na ludzi nie zrobiły na nim takiego wrażenia jak obrazy malowane ludzką krwią.

Było ich co najmniej kilkanaście. Ilu ludzi musiało dla nich zginąć? Z trudem zmusił się do normalnego oddychania. Do tego musiał zachować kamienną twarz, co w tych okolicznościach było prawie niemożliwe. Szef musiał dostrzec na niej przerażenie.

-- Wstrząsające, prawda? -- zapytał, kiedy nie doczekał się odpowiedzi na swoje pierwsze pytanie.

-- Nie wiem. -- Remigiusz z wahaniem pokręcił głową. -- Zdjęcia chyba były gorsze. Przecież to tylko obrazy...

-- Ale każdy namalowany jest krwią -- wyjaśnił Orzeł, jakby czuł przy tym satysfakcję graniczącą z orgazmem.

Obserwował przy tym reakcję swojego kierowcy z żywym zainteresowaniem. Jakby od tego zależało, czy wypuści go z tego pomieszczenia żywego, czy wykorzysta go jako materiał do podobnego obrazu.

Nycz z niejednego pieca jadł w życiu chleb, co pozwoliło mu na rozwinięcie szczególnie skutecznego instynktu samozachowawczego. Zawsze lądował na czterech łapach, bez względu na to, w jak poważne kłopoty wpakował się przez swoją głupotę, pogoń za łatwym szmałem czy po prostu przez przypadek. Teraz jednak miał wrażenie, że cały jego świat i on sam wiszą na cienkim włosku. I jak na złość ten cholerny instynkt samozachowawczy nie wie, co zrobić.

Nie patrząc na szefa, podszedł do jednego z obrazów i przyjrzał mu się z bliska. Nic to nie dało, ponieważ nie minęły dwie sekundy, a Orzeł znalazł się znowu za jego plecami. Na szczęście nie widział twarzy Nycza i dał mu w ten sposób kilka długich chwil na opanowanie się.

Nycz wyciągnął palec w stronę wizerunku twarzy kobiety bez oczu, której usta rozciągały się w przerażającym krzyku, i zaraz zatrzymał dłoń, zanim zdążyła dotknąć płótna.

-- Fascynujące -- szepnął. -- Kwintesencja zła i wolności artystycznej.

Orzeł zaśmiał się cicho. Chyba z zadowoleniem.

-- Widzę, że na swój sposób łapiesz sens tych obrazów -- skwitował i znowu stanął obok Nycza, też z uwagą wpatrując się w przerażającą twarz na portrecie. -- Nie ma większej manifestacji wolności w sztuce niż te obrazy. One łamią wszelkie zasady. Oferują twórcom więcej niż tylko tworzenie. Robią z niego prawie istotę boską, która najpierw niszczy, żeby potem na ruinach i zgliszczach wybudować coś pięknego i niepowtarzalnego. W tym przypadku manifestację sztuki. Nawet gdyby miała być kiczowata, śmieszna i nic niewarta w oczach krytyków. To, że początkiem każdego tego obrazu była brutalna śmierć jednej lub kilku osób, robi z nich manifestację wolności twórczej na miarę Van Gogha czy Picassa. Wymykają się wszelkim zasadom i konwencjom, są jedyne, niepowtarzalne i bezcenne.

-- Są... -- Nycz szukał odpowiedniego słowa -- ...pociągające.

-- Dokładnie tak! -- wykrzyknął jego szef z takim entuzjazmem, jakby zestrzelił papierowy kwiatek na strzelnicy z wiatrówki o skrzywionej lufie. -- A do tego niemoralne, wstrząsające, przerażające, niepowtarzalne. Poruszają każdą cząstkę jestestwa widza, wzbudzają w nim całą gamę uczuć, o których najświętsi mistrzowie mogli tylko pomarzyć, tworząc swoje dzieła. Są genialne w swojej prostocie, prawda?

-- Tak.

-- Zdradzę ci jeszcze coś. To są upiory.

-- Jak to? -- Remigiusz spojrział na szefa z ukosa, rad, że rozmowa zaczyna dryfować w innym kierunku.

-- Nie przesłyszałeś się, Remik -- mówił dalej Orzeł. -- To są upiory uwięzione w obrazach. Każda z osób, które malowały obraz krwią zamordowanego człowieka, zawarła w nim wszystkie swoje najbardziej pierwotne instynkty. Kiedy trzymali pędzel, do głosu dochodziły w nich najgorsze instynkty, budziły się ukryte demony, ujawniały się upiory, które dręczyły ich nierzadko od dzieciństwa. Potem wszyscy opowiadali, że po ciężkiej pracy, kiedy obraz wisiał już na ścianie, czuli wielką ulgę i lekkość, jakby wszelkie życiowe problemy ześlizgnęły się z ich barków i utonęły w odmętach niepamięci. Niektórzy porównywali to z wiarą i objawieniem zarezerwowanymi tylko dla świętych i błogosławionych. I pomyśl sobie, że ja im to wszystko dałem. Powinni być mi wdzięczni, prawda?

Nycz uświadomił sobie nagle, że to całe pieprzenie jego szefa było tylko dorabianiem zgrabnej ideologii do prawdziwego celu tego morderczego przedsięwzięcia. Chwilę się zastanawiał, czy może taką myśl wypowiedzieć na głos, i uznał, że tak. Być może szef nawet oczekiwał od niego takiej szczerości. Przecież musiał ostatecznie potwierdzić, że naprawdę jest bystry i godny zaufania.

-- Ale to wszystko -- zatoczył dłonią okrąg w powietrzu -- miało też inny cel niż tylko sztuka, prawda?

Orzeł roześmiał się zgrzytliwie i poklepał go po łopatce.

-- Podobasz mi się, Remik -- stwierdził znowu. -- Ciebie nie da się łatwo oszukać. Nie dałeś się nabrać na tę całą gadkę o sztuce. I miałeś rację. Tu też chodziło o wpływy. To był mój pierwszy pomysł na uzyskanie wpływów, który zacząłem realizować jeszcze w czasach, gdy nie było takich możliwości jak teraz. Kontakty miałem zawsze, znałem ludzi pragnących zetknąć się ze śmiercią i gotowych za to słono zapłacić. Wiesz, że pierwszy z tych obrazów namalował były esesman, który był dowódcą jednego z oddziałów likwidujących warszawskie getto? Wtedy był wysokim rangą oficerem w RFN, ale wciąż marzył o tym, żeby jeszcze raz spotkać się ze śmiercią, poczuć, jak to jest, jak się zabija, jak się jest panem. Zażyczył sobie, żeby krew pochodziła z wysoko postawionych funkcjonariuszy PZPR. Do tego Żydów z pochodzenia. A jak to mówią: "Nasz klient, nasz pan". Dostał, czego chciał, dobrze zapłacił, a ja miałem pierwsze wpływy. Potem samo się kręciło, aż do momentu, w którym uznałem, że wła-

snoręczne zabijanie ludzi staje się dla mnie coraz bardziej niebezpieczne, a moich klientów przestaje podniecać tylko malowanie obrazów. Bo sami chcą zabijać.

Nycz miał wrażenie, że echo przetoczyło się przez pomieszczenie, kiedy przełknął ślinę przez ściśnięte gardło.

-- To nawet logiczne -- powiedział cicho.

-- A widzisz? -- Orzeł nagle się ożywił. -- Tylko że ja to dostrzegłem i przebranzowiłem się dość późno. Teraz umożliwiam im zabijanie i okazało się, że zyskuję na tym dużo więcej. I tak, jak mówiłem na początku, nie chodzi o pieniądze. Tych w każdej chwili mogę mieć tyle, że mógłbym konkurować z FOZZ-em, ale po co mi kasa? Rozumiesz mnie?

-- Tak. -- Nycz znowu musiał skłamać i znowu to kłamstwo musiało zabrzmieć cholernie wiarygodnie. -- Bardzo mi się taka idea podoba. Daje o wiele większe możliwości i jest rozwojowa.

Dopiero teraz poczuł, jak jest spocony z przerażenia. Ukradkiem wytarł kroplę potu płynącą po czole. Orzeł, pogrążony w swoim świecie, chyba nawet tego nie zauważył.

-- Ty to rozumiesz, Remik -- powiedział. -- Takich ludzi mi trzeba. Nie takich jak ci byli zomole, robiący teraz za ochronę. Potrzeba mi ludzi myślących perspektywicznie i niewahających się poświęcić wiele dla osiągnięcia wszystkiego. Mogę na ciebie liczyć, Remik?

-- Tak. Od teraz jestem pana najlojalniejszym pracownikiem i kierowcą. Bo jedynym.

Orzeł zaśmiał się, klepnął go znowu w ramię i zaraz spowaźniał.

-- Tylko musisz wiedzieć coś jeszcze. Nie wszyscy polują.

Nycz znowu poczuł, jak ślina napływa mu do ust, gdy uświadomił sobie sens tych słów. Z trudem zapanował nad odruchem wymiotnym. Wpadł w szambo, z którego nie widział ratunku, a każde szarpnięcie wyzwalalo nowe fale smrodu. Coraz bardziej obrzydliwe i nieznosne. Jak to przeżyć, do jasnej cholery?

-- Bogaci ludzie mają różne fantazje. Jedni chcą pobić kogoś na śmierć. Skopać, zmasakrować twarz, połamać ręce, wybić zęby, roztrzaskać czaszkę. To ich kręci i za taką możliwość oddadzą wszystko. Innych podnieca dźganie nożem, prucie flaków, wydłubywanie oczu. Nawet nie wiesz, ilu dewiantów kryje się w tym świecie na eksponowanych i, zdawałoby się, prestiżowych stanowiskach. Ja staram się im to wszystko zapewnić, dlatego jestem mocno ustosunkowany.

Gwiazdy rocka, sędziowie Sądu Najwyższego, biskupi, aktorzy, a nawet sportowcy. Wszyscy są albo niedługo będą moimi klientami. Trzymaj się mnie, Remik, a nie zginiesz.

-- Tak, szefie.

Wyszli wreszcie na światło dnia. Nycz poczuł się tak, jakby ostatni rok spędził w krypcie z najstraszniejszymi nieboszczykami, a teraz wreszcie wyczołgał się na powierzchnię. Prawie rzucił się ją całować, jak papież po przylocie do ojczyzny. W co on wdepnął, jak się z tego wydostać? Czy Orzeł mówił prawdę, czy nie przeżyje następnej godziny i skończy w rowie z kulką w potylicy jak dzikie zwierzę? Nad chaos w głowie przebijała się jedna rozsądna myśl. Myśl o ucieczce.

Do końca dnia był tak roztrzęsiony, że nie potrafił wymienić tych przeklętych klocków hamulcowych w ulubionym modelu mercedesa. Ten konkretny egzemplarz przestał mu się już podobać. Kojarzył się z karawanem przewożącym zakrwawione zwłoki z szafotu, na którym przez kilkanaście godzin znęcał się nad nimi kat, wprost do dołu pod miastem, gdzie znikną na wieki zasypane ziemią, aż w końcu ziszcza się słowa Pisma. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Wieczorem, kiedy Orzeł z dwoma ochroniarzami wyjechali na kilka dni na drugi koniec Polski, Nycz wymienił szybko klocki hamulcowe, ukraść mercedesa i uciekł.

Wcześniej siekierą rozbił zamek w drzwiach do pomieszczenia zamienionego na upiorną galerię upiórów zaklętych w obrazach, ukraść kilka i zabrał ze sobą. Trochę kasy od Bryły bardzo się przyda. Szczególnie teraz, kiedy skazywał się na wieczną ucieczkę. Bo przecież Orzeł mu nie odpuści. Mimo zapewnień, że Remigiusz jest nikim.

4

TERAZ

Adrian Szot sięgnął do lodówki po napoczętą butelkę wódki, nalał sobie do szklanki sporą porcję, wrzucił ostatnie kostki lodu z zamrażarki, całość dopełnił colą i z westchnieniem usiadł w fotelu. Za oknem zachodziło słońce. Zamyślił się, zapatrzony na stojące na progu spakowane walizki. Jeszcze rano myślał, że to będzie jego ostatni świt w Bytowie i zostanie oddelegowany do innych zadań. Tymczasem wszystko się zmieniło.

Ocenił własne uczucia. Powinien być co najmniej podekscytowany. Przecież czekał na taką okazję. Zmarnował ostatnie dwa lata życia, czekając, aż w okolicy zdarzy się coś, co będzie punktem zaczepienia. Tymczasem do zabójstwa Madeja podchodził na zimno, jakby to go zupełnie nie obchodziło i naprawdę miał zaraz znieść torby do auta, zatrzasnąć klapę bagażnika, odjechać i zapomnieć o tym etapie w swoim życiu. No właśnie, tylko czy to na pewno był ten długo wyczekiwany moment? Po gorliwości, z jaką miejscowa policja tuszowała sprawę, obracając śmierć Madeja w samobójstwo, mógł wnioskować, że tak właśnie było. W kieszeni miał ostateczny dowód. Nagranie z kamery zamontowanej przy wstecznym lusterku w samochodzie ofiary, zgrane przez technika, zanim karta pamięci w urządzeniu została zniszczona. Albo to nie był wcale dowód, jeśli nie znajdowało się tam nic podejrzanego. Pendrive parzył go w kieszeni, jednak po niego nie sięgnął. Stopniował sobie napięcie jak w porządnym filmie kryminalnym. Musiał być mocny suspens, po którym oceni, czy film jest dobry i dopiero się tak naprawdę zaczyna, czy jednak nie warto zawracać sobie nim głowy i jutro z samego rana i tak wyjedzie.

Drink był mocny. Wódka podrażniła gardło, więc się skrzywił. Po chwili podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Czarne auto stało zaparkowane po drugiej stronie ulicy, mimo że jeszcze przed momentem go nie było. Na razie mógł polegać tylko na sobie, ale dobrze było wiedzieć, że jest jakiś plan B i można liczyć na pomoc, gdyby za dużo się posypało. Wrócił na fotel i dopił drinka w kilku łykach. Alkohol rozlał się po ciele, powodując chwilowe osłabienie, równocześnie przynosząc uczucie ulgi. Nie było sensu dłużej zwlekać. Przecież czekał na tę okazję kilka lat.

Poszedł po laptop, otworzył go i obserwował, jak uruchamia się system operacyjny. Następnie wyłubał z kieszeni spodni pendrive i włożył go w odpowiednie miejsce. Dopiero teraz coś poczuł, lekkie mrowienie na karku, zwiastujące podenerwowanie.

Natychmiast wyświetlił się film. Spojrzał na czas. Cztery godziny nagrania. Nie było sensu tracić czasu na wszystko. Przecież jego interesowało tylko to, co zdarzyło się na samym końcu. Kliknął w pasek czasu nagrania na około godzinę przed końcem. Auto jechało czteropasmową ulicą, wokół migąły domy, magazyny, reklamy, składy budowlane. Przed nim jechało jeszcze kilka samochodów, inne śmigąły przeciwnymi pasami. Poznał główną ulicę wyjazdową z Bytowa, Lęborską. Z uwagi na wczesną porę ruch był i tak niewielki. Tylko ludzie jadący do pracy. Z głośników buchnęły dźwięki. Ponad szum silnika przebijał się prehistoryczny przebój Budki Suflera. Madej darł się razem z Felicjanem Andrzejczakiem, a głos miał zdarty jak nieheblowana deska. Gorzej nawet od oryginału.

-- ...emmigrowaaaaałem z ramion twych na raaanem... No jak, kurwa, jedziesz, baranie, i po co trąbisz, skoro widzisz, że mi się nigdzie nie spieszy! -- Stary puścił jeszcze wiązanekę, przez którą można było sobie zapracować na co najmniej kilka tygodni czyśćca po śmierci.

Obok niego przemknęła czarna beemka.

-- ...szły zakonnice, a słońce tak, lalala... spaaaść!

Szot przewinał dalej. Stacja benzynowa przy wylocie z Bytowa i wsiadający za kółko Madej, klnący na czym świat stoi.

-- Łoją nas na tym paliwie, bydlaki, żeby im ku...

Policjanta nie interesowały życzenia, jakie stary kierował pod adresem prezesa Orlenu. Czterdzieści trzy minuty do końca. Przyspieszył odtwarzanie. Mrowienie na karku stało się bardziej dokuczliwe, zaczęły mu się pocić dłonie. A jednak się denerwował. To dobrze, może dzięki dodatkowej dawce adrenaliny będzie miał jaśniejszy umysł.

Film zmieniał się w trudnym do ogarnięcia tempie. Obraz prze-mykał przez wioski, lasy, po asfaltowej drodze, wreszcie znalazł się na ubitej piaszczystej leśnej drodze. Adrian zatrzymał i cofnął nagranie do momentu, kiedy Madej zjechał z asfaltu w prawo. Zostało trzynaście minut nagrania. Teraz jechał wraz z nim w normalnym tempie. Auto podskakiwało na wybojach. Stary kłął pod nosem na leśniczych, drogowców, urzędników, samorządowców i wszystkich

świętych, nie wyłączając papieża. Znowu leciała *Jolka, Jolka*, jakby przez cały czas słuchał tylko tego.

-- ...żyliśmy waaaannie i hmm, taaak. -- Znowu zebrało mu się na śpiewanie.

Szot uśmiechnął się do siebie pod nosem, chociaż to nie był wcale radosny uśmiech. Raczej pełen goryczy. Facet, który za dziesięć minut ma popełnić samobójstwo, strzelając sobie w łeb, tak się nie zachowuje. Trop wydawał się dobry.

Nagle auto gwałtownie zahamowało, Madej puścił jeszcze brzydszą wiązanekę niż wszystkie dotąd razem wzięte i muzyka ucichła. To, co zdarzyło się w ciągu następnych trzech minut, sprawiło, że Szot dostał gęsiej skórki na całym ciele. Emocje, które dotąd były porównywalne do tych wędkarskich, buchnęły raptownie z całą mocą. Podniecenie, niepokój, strach, nadzieja, żądza zemsty. To ostatnie było chyba najmocniejsze ze wszystkich. Do tego doszła jeszcze zimna satysfakcja, że się nie pomylił.

Odłożył laptop, zerwał się z fotela i podszedł do okna. Znowu wyjrzał z za zasłony. Nic się nie zmieniło, czarne auto z przyciemnionymi szybami wciąż tam stało i pewnie długo się jeszcze z tego miejsca nie ruszy. Przynajmniej do rana.

Myślał gorączkowo, robiąc sobie kolejną wódkę z colą. Wódka, podobnie jak wcześniej lód, właśnie się skończyła. Odstawił pustą butelkę na blat i wrócił do pokoju.

Co tam się odwalilo, do jasnej cholery? Wszystko było nie tak, jak się spodziewał. Zupełnie nie tak. Teraz chęć ukrycia prawdy przez miejscowych policjantów była w pełni uzasadniona. Pociągnął spory łyk ze szklaneczki, lecz nie poczuł już takiego spokoju, jak po poprzednim. Pojawił się stres, a wraz z nim adrenalina, która działała lepiej niż wódka. Sięgnął po komputer i obejrzał filmik jeszcze raz.

5

LIPIEC 1993

Jacek Brylski był mistrzem pływania w mętnej wodzie. Za komuny był cinkciarzem, a ponieważ handel walutą w tamtych czasach nie podobał się socjalistycznym władzom, był do tego gorliwym współpracownikiem SB. Pisał donosy na kolegów z branży, a nawet sam na siebie. Nie trzeba było mu grozić, wymuszać, szarżować. Lubił tę robotę, a jeśli coś w życiu lubił, poświęcał się temu bez reszty. Zresztą miał z tego podwójną korzyść. Po pierwsze przyjemność, po drugie dbanie o własne interesy. Ze względu na to, że był jednym z lepszych kapusiów w branży, esbecja przymykała oczy na jego handel walutą, a on bezczelnie wykorzystywał swoje dobre układy ze służbą bezpieczeństwa, żeby eliminować konkurentów. Zarówno tych, którzy naprawdę mu zagrażali, jak i tych, którzy go po prostu wkurzali.

To pomogło mu z przytupem rozpocząć życie w nowej Polsce po częściowo wolnych wyborach w czerwcu osiemdziesiątego dziewiątego. Wcześniej, dzięki swoim kontaktom wśród tajnych służb dostał cynk, że w NBP już widzą nadchodzące zmiany i mają zamiar wydać oficjalne pozwolenie na handel walutą. I tak się stało. Trzynastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku oficjalnie zezwolono na handel walutami innych państw i trzy dni później w Świecku otworzył się pierwszy w kraju kantor wymiany walut. Brylski był obrotny, ale nie lubił być pierwszy i zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. On otworzył pierwszy kantor we Wrocławiu pięć dni później.

Brylski, popularnie zwany Bryłą, od lat wyglądał tak samo. Jedyne zgolił brodę, bo go postarzała i stracił powodzenie u młodszych kobiet. Znak nowych czasów. Pieniądze przestały się liczyć, teraz wygląd zaczął mieć znaczenie. Poza brodą wyglądał tak samo od lat: coraz rzadsze włosy nosił ciągle długie i spięte gumką z tyłu, zrzucił kilka kilogramów, jednak brzuszek, obfite pocenie się i szybko pojawiająca się zadyszka zostały. Może był to objaw jakiejś groźnej choroby, ale bał się iść do lekarza i usłyszeć diagnozę. Po co kusić лихо? Niech będzie tak, jak jest, a jeśli trzeba się będzie szybciej zawiąć, to najwyraźniej taki los.

-- Obywatelu mój ulubiony, kapitanie. U mnie słowo droższe pieniędzy. Jak mówiłem, że mam kontakty w świecie sztuki, to gęby

niepotrzebnie nie strzepilem.

Siedzieli w herbaciarni Herbowej, która mieściła się na wrocławskim Rynku w kamienicy Pod Starą Szubienicą. Bryła uwielbiał to miejsce. Robił tu pierwsze poważne interesy, jeszcze za czasów głębokiego Gierka, w połowie lat siedemdziesiątych. Poza tym z uwagi na to, że jego gość był zaawansowanym alkoholikiem, akurat będącym w fazie zachowania trzeźwości, miejsce wydawało się idealne. Niestety Brylski się obawiał, że taki lokal mimo doskonałej lokalizacji nie przetrwa transformacji ustrojowej. Zamówili herbatę po rosyjsku, co może w dzisiejszych czasach nie było zbyt poprawne politycznie, ale herbata z dżemem naprawdę była doskonała, nie tylko zimą.

Były kapitan Milicji Obywatelskiej -- od wielu lat cywil, obecnie bezrobotny, co było kolejnym znakiem czasu -- Marek Piekło spojrzął na Bryłę tymi swoimi przenikliwymi czarnymi oczami i zamieszał herbatę.

-- Bryła, dlatego zwróciłem się z prośbą do ciebie -- powiedział z wyraźnym rozbawieniem w głosie, mimo że jego twarz pozostała poważna. -- Przecież wiesz, że w dawnych czasach byłeś moim ulubionym skurwysynem z półświatka.

Jacek Brylski zarechotał głośno, odchylając do tyłu głowę, aż przez jego brzuch przebiegły fale, jak na Dunaju. A przecież schudł od czasów stanu wojennego, kiedy widywali się częściej.

-- Wiem, Marku -- powiedział, wycierając łzy. -- I też muszę ci coś wyznać. Byłeś wspaniałym funkcjonariuszem starego reżimu. Naprawdę ceniłem cię za to, że nie bronieś zażarcie komuny, tylko łapałeś zwyroli.

Nagle przy stoliku zrobiło się cicho. Siedzieli na piętrze herbaciarni, w rzędzie drewnianych stolików przy ścianie zdobionej ceglаныmi łukami. Słowa słowami, ale wspomnienia dawnych czasów miały o wiele mocniejszy wydźwięk. Marek Piekło nagle się skurczył, Brylski też poczuł się jakoś dziwnie. Może lepiej było nie wspominać? Istniał nowy świat, pełen nowych możliwości. Babranie się we wspomnieniach było jak nurkowanie w szambie. Ani przyjemności, ani pięknych widoków, ani wrażeń estetycznych.

-- Masz te obrazy? -- Piekło już wiedział, że Bryła je ma, lecz nie mógł się powstrzymać, żeby się nie upewnić. W końcu czekał tyle lat. Ponad dekadę, to dłużej, niż rządził Gierek, a przecież wszyscy wspo-

minają ten czas jako mlekiem i miodem płynący, jak co najmniej za Kazimierza Wielkiego.

-- Mam -- potwierdził Bryła. -- Nie będę przed tobą ukrywał, że trafiłem na nie przypadkowo. Właściwie zgłosił się do mnie z nimi dawny znajomy. Podobno je skądś ukradł, ale nie był zbyt rozmowny.

-- Tak, jak się umawialiśmy: płacę. -- Piekło położył na stoliku kopertę ze studolarowymi banknotami.

-- Poczekaj -- wstrzymał go Bryła.

Naprawdę lubił tego cholernego milicjanta z dawnych czasów. Przy nim czuł się jakoś dziwnie, jakby napiętnowany, winny, do ukarania. To było dla niego szczególne uczucie, ponieważ nigdy nie miał wyrzutów sumienia. Jego podstawowym mottem życiowym było zawołanie: Najpierw własny interes! Tylko że przy Marku Piekło działo się z nim coś dziwnego.

-- Wypijmy na spokojnie herbatę, potem pojedziemy do mnie i dopiero tam porozmawiamy o interesach -- powiedział.

Piekło popatrzył na niego dość nieufnie. Jakby podejrzewał, że chce podwyższyć umówioną wcześniej cenę. Bryła poczuł się źle z tą myślą. Kantory wymiany walut były tylko środkiem do celu. Tak naprawdę marzył, żeby zostać marszandem, pośredniczyć w sprzedaży obrazów uznanych mistrzów albo mieć galerię sztuki Na Jatkach, przy wrocławskim Rynku, w najbardziej prestiżowym miejscu w mieście. Znał się na sztuce, miał już sporą kolekcję obrazów polskich twórców z dawnych czasów, gromadzonych w celu zabezpieczenia dostatniej przyszłości.

-- Wiesz, te obrazy to straszny kicz -- powiedział ostrożnie. -- Nie wiem, po co ci taki szajs. Nic na nich nie zarobisz.

Piekło spojrzał dziwnie. Bryła miał wrażenie, że to spojrzenie przenika go na wskroś i sięga gdzieś w nieznane przestrzenie.

-- Tu nie chodzi o zarobek -- odparł Piekło. -- Bardziej o wyrównanie rachunków.

-- Tym bardziej schowaj kasę. Zapłacisz, jak zobaczysz, co mam.

Bryła po raz pierwszy odniósł wrażenie, że dawny kapitan MO patrzy na niego z szacunkiem, a nie jak na mendę i śmiecia. Strasznie mu to pochlebiło. W tej chwili oddałby te obrazy za darmo. No ale przecież on też poniósł swoje koszty. Biznes is biznes. W komunie nikt o tym nie myślał, ale w nowej Polsce dobrze by było, gdyby wszyscy się tego szybko nauczyli.

Dopili herbatę po rosyjsku i wyszli na pusty o tej porze Rynek. Było południe. Jacek Brylski marzył o tym, żeby w najbliższej przyszłości Rynek żył swoim życiem przez całą dobę. Żeby knajpki rozstawiły swoje ogródki i parasole, żeby turyści walili do Wrocławia drzwiami i oknami, a mieszkańcy ściągali do centrum i sympatycznie spędzali kilka godzin z przyjaciółmi. Miał dziwne przekonanie, że niedługo tak właśnie będzie. Wielki rollercoaster historii wreszcie się przekręci i my też będziemy mieć w niej swoje pięć minut.

Poszli na Świdnicką, gdzie Brylski zaparkował swojego nowego mercedesa. Piekło nie skomentował. Tylko cmoknął, podziwiając auto, czym zaskarbił sobie jeszcze większą sympatię Bryły. Najpierw zajechali na Komandorską, gdzie najstarszy i najpoprawniejszy w mieście kantor wymiany walut należał właśnie do Brylskiego. Bryła odebrał od ochroniarza dotychczasowy utarg w złotówkach i pojechali dalej. Piekło z mieszanymi uczuciami patrzył na grubą torbę z gotówką. Przecież wiedział, jaki był Bryła w latach osiemdziesiątych. Czy właśnie na takich skurwysynach ma być budowana nowa Rzeczpospolita? Bardzo możliwe. Co za różnica, czy ustrój będzie się nazywał komuna, czy demokracja? Zawsze na wierzchu będą takie kreatury jak Jacek Brylski. Nieważne, że kiedyś nazywano ich spekulantami albo cinkciarzami. W nowej Polsce będą biznesmenami i stare pójdzie w zapomnienie.

Brylski zabrał go do garażu willi, którą wynajmował na Oporowie. Mercedesa zaparkował na podjeździe, potem spojrzął jeszcze raz na dawnego kapitana, przekręcił klucz w zamku drzwi garażowych i ze stęknieniem uniósł całą połąć do góry. Zawiasy jęknęły, sprężyny szcęknęły i kiedy wydawało się, że Bryła nie ma jednak tyle siły, żeby je dźwignąć, drzwi pojechały do góry. Były cinkciarz otarł pot z czoła, klnąc pod nosem. Piekło obserwował go w milczeniu, walcząc z demonami pod czaszką. Czy Brylski na pewno ma te obrazy, o które mu chodziło?

Był dobrym śledczym. Pod koniec lat siedemdziesiątych, w czasach schyłkowego Gierka, został okrzyknięty złotym dzieckiem krajowej kryminalistyki; rozwiązywał najtrudniejsze sprawy, awansował, szedł jak burza, był człowiekiem sukcesu. Nikt nie zauważył, że każda rozwiązana sprawa zabiera mu coraz więcej normalnego życia. Aby zapewnić sobie równowagę, wlewał w siebie hektolitry wódki, aż wreszcie życie mu się posypało. Najpierw odeszła od niego żona, potem zwolnili go ze służby. Wrócił na chwilę tylko dla jednej sprawy,

i to była jedyna sprawa, której nigdy nie rozwiązał i omal nie przypłacił życiem. Ktoś mordował, pozbawiał ciała krwi, a potem malował tą krwią obrazy. Po dekadzie, podczas której Piekło zapanował nad nałogiem i ułożył sobie życie prywatne, postanowił odszukać sprawcę. Najprościej było do niego trafić przez obrazy. Dlatego zatrudnił dawnego znajomego, Jacka Brylskiego. Powiedział mu, czego dokładnie ma szukać. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, chociaż upłynęło kilka długich miesięcy oczekiwania. Ale teraz tu był i patrzył na straszne obrazy ustawione przez Bryłę na półkach z narzędziami w garażu.

Spłynął na niego spokój, w serce wstąpiła nowa nadzieja. Teraz już nie da się pokonać zabójcy. Znajdzie go i... No właśnie, co z nim zrobi? Było tylko jedno rozwiązanie. Od wyjeżdżających z kraju ruskich kupił broń i amunicję. Teraz kupi obrazy od Bryły. Kasę miał. Sprzedał pamiątki po dziadku i ojcu, którzy byli malarzami odpowiednio we Lwowie i Wrocławiu. Poza tym jego nowa żona, Krystyna, pochodziła z zamożnej rodziny.

To były właśnie te obrazy. Jedyne w swoim rodzaju, przerażające w swojej genezie i drażniące w formie. Nie dało się ich pomylić z niczym innym. Poza tym każdy opatrzone datą zbrodni, co teraz stanowiło jedyny i niepowtarzalny certyfikat autentyczności.

Marek Piekło zauważył nagle, że Brylski patrzy na niego jakoś dziwnie. Dopiero po chwili zrozumiał dlaczego. Mimowolnie na ustach pojawił mu się uśmiech, który nie współgrał z okolicznościami, ale nie mógł się opanować.

-- Rozumiem, że to te obrazy? -- W głosie wstrząśniętego cinkciarza pojawiła się dziwna chrypka.

-- To te -- przyznał Piekło. -- Nie da się ich pomylić z niczym innym.

Sekundy toczyły się wolno, jakby trzeba było je siłą wyciągać z czeluści czasu. Dopiero kiedy upłynęło ich kilkanaście, Piekło nagle dodał jakby do siebie:

-- Nareszcie znajdą się tam, gdzie zawsze było ich miejsce. Nareszcie dopełni się sprawiedliwość.

6

TERAZ

Auto nagle zahamowało gwałtownie, Madej puścił kolejną wiązanekę i muzyka gwałtownie ucichła. Zapadła drażniąca cisza. Kierowca musiał widzieć coś, czego jeszcze nie obejmowało oko kamery, jednak na razie nie zareagował. Sekundy płynęły wolno jak statek z papieru puszczony na spokojnym nurcie rzeki. Wreszcie kamera zaczęła rejestrować coś innego niż kawałek lasu i polną drogę znikającą za kolejnym zakretem.

W kierunku golfa biegła kobieta. Dopiero kiedy się zbliżyła, można było zobaczyć dłuższe ciemne włosy. Tylko że te włosy były mokre, posklejane wodorostami, twarz kobiety była brudna, a w tym brudzie łyzy wyrzeźbiły spore bruzdy. Ubranie też miała mokre, ubłocone i gdzieś tam pokryte wodorostami. Po chwili do wnętrza auta dobiegł jej stłumiony szept, który miał być krzykiem:

-- Ratunku! Pomocy!

Generalnie dźwięki z zewnątrz zagłuszał ciągle pracujący silnik golfa, ale można było zrozumieć poszczególne słowa i zdania, podkreślając głośność i wsłuchując się uważnie. Tam, gdzie nie dało się rozróżnić słowa lub dwóch, Szot domyślał się z kontekstu, o czym mówią.

Po chwili kobieta zatrzymała się przed maską golfa. Patrzyła błagalnie, ale też ze strachem. To chyba nawet nie był zwykły strach, tylko śmiertelne przerażenie dzikiego zwierzęcia uciekającego przed nagonką.

Madej otworzył drzwi i wysiadł. W oku kamery było widać tylko połowę jego postaci. Ubrany był tak, jak Adrian widział go po śmierci. Musiał być bardzo zaskoczony widokiem kobiety, ponieważ długo się nie odzywał. Ona w tym czasie upadła na kolana, jakby nagle zabrakło jej sił. Oparła się rękami o maskę.

-- Proszę mi pomóc! Chcą mnie zabić!

-- Kto?! -- Madej miał dziwnie spokojny głos.

-- Porwali mnie, gonili z psami, chcieli zabić! -- krzyczała gorączkowo. -- Proszę wezwać policję!

-- Dobrze się pani czuje?!

Madej zbliżył się do niej, prawie się nad nią pochylał, rzucając cień na jej twarz. Mówił dziwnie spokojnym głosem, niekorespondującym z sytuacją. Kobieta była roztrzęsiona, spanikowana, śmiertel-

nie przerażona. Wstrząsały nią drgawki. Może z zimna, może z emocji, a może na taką reakcję złożyły się oba te czynniki i jeszcze dużo więcej. Zajęczała niezrozumiale. Madej też coś powiedział, czego na nagraniu z kamery nie dało się na razie odszyfrować. Próbował podnieść kobietę, lecz ta prześlizgnęła się między jego ramionami bez siły i upadła na drogę.

Z ostatnich trzech minut życia starego Madeja minęły już dwie, kiedy z naprzeciwka nadjechało auto. Wielka terenówka, pewnie z napędem na cztery koła, której modelu Szot na razie nie rozpoznawał, zaryła w piasku tuż przed golfem. Energicznie otworzyły się drzwiczki i ze środka wyskoczył postawny mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni. Ubrany był w szary sweter z golfem i spodnie koloru khaki. Pewnym krokiem zbliżył się do nich, trzymając ręce z tyłu, jak żołnierz stający przed oficerem, żeby odebrać codzienne rozkazy.

Madej coś do niego powiedział, wskazując na kobietę. Pewnie poprosił, żeby mężczyzna mu pomógł. Ten pokiwał tylko głową, przyjrzał się jej, a potem wyciągnął zza pleców lewą rękę. Madej znowu coś do niego mówił, ale mężczyzna z krótkimi blond włosami tym razem pokręcił głową. Teraz to on coś powiedział. Kobieta krzyknęła, zasłaniając dłonią usta, Madej się cofnął, a wtedy tamten wyciągnął prawą dłoń z pistoletem, podskoczył do Madeja, przytknął mu lufę do skroni i wystrzelił. Prawą ręką do lewej skroni. Bryzgnęła krew, przez ciało starego mężczyzny przeszło wyładowanie elektryczne. Zakręcił się, upadł i znieruchomiał, martwym wzrokiem wpatrując się w niebo.

Zabójca schował broń z tyłu za pasek, chwycił kobietę i powlókł ją do swojego auta. Słyszeć było tylko jej cichnące nieludzkie wycie. Nie udało jej się uciec. Znaleźli ją. Trzasnęły drzwiczki terenowego auta i mężczyzna jeszcze na moment wrócił do golfa, przekręcił kluczyk w stacyjce i wtedy skończył się zapis z kamery, podobnie jak kilka sekund wcześniej zgasło życie Madeja. Pewnie tego dnia zakończyło się jeszcze jedno życie, ale tego Szot nie był pewien. Gdzieś w środku miał wielką nadzieję, że jednak nie. Prawie się o to modlił, chociaż stracił wiarę po tamtej traumie w swoim życiu. Teraz wołał do niej nie wracać. Teraz musiał być skupiony na czymś innym.

To było niezwykle zrzędzenie losu, że zabójca nie zauważył kamery w aucie Madeja. Szot dostrzegł ją od razu i tylko czekał, kiedy podkomisarz Walerczyk zwróci na nią uwagę. Ona też nie zwróciła.

Czasem drobne błędy i nieistotne zbiegi okoliczności całkowicie wywracają zasady gry. Adrian miał nadzieję, że tak będzie i tym razem.

Obejrzał nagranie jeszcze dwukrotnie. W raportach z rozpytania o denata przeczytał w co najmniej dwóch miejscach, że stary Madej był praworęczny. Ciekawe, jak z tego wybrną? Został leworęczny dopiero na kilka minut przed śmiercią? Chyba że nic z tym nie zrobią, jeśli prokurator zapozna się tylko z ostatecznymi ustaleniami śledztwa, bez zbędnych i kłopotliwych szczegółów. Pewnie tak właśnie będzie. Może nawet nie jest skorumpowany, tylko po prostu nie będzie mu się chciało. Taki system. Kwestia broni też była dość mętna, lecz z tego pewnie jest wybrnąć łatwiej niż ze strzału w lewą skroń.

Adrian postanowił jeszcze raz obejrzeć nagranie, lecz w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Zamknął szybko laptop, schował pendrive do kieszeni i trochę się spiał. Cholera, kogo niesie o tej porze? Starał się być wyjątkowo ostrożny. Zastanowił się. Czy coś dzisiaj ewidentnie spieprzył? Nie, chyba nie. Wyciągnął pistolet z bocznej kieszeni walizki. Służbowy zostawił w komendzie. To był inny pistolet, też legalny, tylko z innego przydziału. Sprawdził magazynek Glocka 17 i włożył broń za pasek spodni z tyłu. Podszedł do drzwi, kiedy dzwonek rozległ się kolejny raz. Nie natarczywy ani niecierpliwy, ale normalny.

Spojrzał przez wizjer i się skrzywił. Chyba jednak i jemu coś poszło nie tak. Ostrożnie otworzył, ale nie zdjął łańcuszka zabezpieczającego drzwi. Spojrzał przez szparę na podkomisarz Walerczyk. Starał się nie strzelać oczami na wszystkie strony, ale i to nie wyszło. Jak ona miała na imię?

Walerczyk popatrzyła na niego z kpiącym uśmiechem na twarzy, a potem pokazała mu zgrzewkę piwa, którą trzymała w dłoni za plastik owijający szczelnie puszkę.

-- Ale jesteś nerwowy -- rzuciła. -- To tylko ja, nie ugryzę cię przecież.

Poczuł bijącą od niej woń alkoholu, oczy jej błyszczały, chyba nawet lekko się zachwiała.

-- Cześć -- powiedział niepewnie. -- Z czym przychodzisz?

Walerczyk postąpiła krok w kierunku szpary w drzwiach.

-- Ale ty jesteś nudny, Szot -- powiedziała. -- I cholernie niedomyślny.

Milczał, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Ograli go? Jeszcze nie, na razie to był tylko szach. Chyba że policjantka jest tu na-

prawdę z własnej inicjatywy, ale wtedy szczerść byłaby chyba najlepszym rozwiązaniem.

-- Wpuścisz mnie czy będziemy tu tak stali jak dwa kołki w płocie?

-- Jasne, wchodź.

Wpuścił ją do przedpokoju, a ona zrzuciła buty i od razu poszła do kuchni. W progu zatrzymała się, patrząc na spakowane torby stojące zaraz przy wejściu. Spojrzała na niego, a w jej oczach odmalował się autentyczny zawód.

-- Wyjeżdżasz dokądś? -- zapytała.

Musiała wcześniej sobie tego pociągnąć, bo im dłużej na nią patrzył, tym bardziej dostrzegał symptomy poważnego upojenia alkoholowego.

-- Mam w planach wyjazd -- przyznał.

Patrzyła to na niego, to na walizki, lekko się chwiejąc.

-- No to, cholera, zdążyłam w ostatniej chwili -- powiedziała z żalem. -- Aspirant Szot, zesłany ze stolicy na prowincję, w końcu wraca do wielkiego świata. I pewnie w dupie będzie miał stare znajomości z komendy w jakiejś dziurze na Kaszubach. *C`est la vie!*

-- No nie do końca tak jest...

Przerwała mu.

-- Szkoda, ładny jest z ciebie chłopczyk, tylko jakoś wcześniej nie zwróciłam na ciebie uwagi. Zawsze mam pecha.

Widząc jego zaskoczoną i zmieszaną minę, głośno się zaśmiała.

-- No daj jakieś szkło, chociaż wypijemy na pożegnanie.

Chwilę później siedzieli po dwóch stronach ławy w dużym pokoju i pili piwo. Szot gorączkowo starał się ocenić sytuację. Zaskoczyła go, cholernie go zaskoczyła. Wyrzał wcześniej przez okno, tak żeby ona nie widziała. Czarne auto nadal tam stało. O maskę opierał się dobrze zbudowany facet i palił papierosa. Szot zamknął drzwi wejściowe na zamek, sprawdził, czy pendrive jest w kieszeni, wreszcie napił się z nią piwa.

Miała na sobie obcisłe dzinsy, koszulkę, pod którą korzystnie zarysowywały się jej piersi. Pewnie włożyła biustonosz typu push-up. No i jej twarz wyglądała inaczej, kiedy była pokryta mocnym makijażem. Teraz wydała mu się ładna. Ile mogła mieć lat? Trzydzieści? Trzydzieści pięć? Siedział, czując pistolet uciskający go w plecy.

-- Wiesz, Adrian... Szkoda, że nie zwróciłam na ciebie uwagi wcześniej -- powtórzyła. -- Fajny z ciebie facet, zupełnie inny niż ci

trogłodycy stąd. Wszyscy udają inteligentów i światowców, a tak naprawdę w dupie byli i gówno widzieli. Najdalej w Chorwacji na wczasach albo w Egipcie *all inclusive*. I tak niewiele z tego pamiętają, bo wódka była za darmo i dwa tygodnie chodzili napruci.

-- Chyba nie jest aż tak źle -- odrzekł i zaśmiał się niepewnie.

Ile ona wcześniej wypila? Chyba dużo.

-- Jest, wierz mi. -- Wzruszyła ramionami. -- I wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? W dupie mają rzetelną robotę. Nauczyli się już, że tu nie zdarzają się wielkie sprawy. Kiedy ktoś komuś da w mordę, to przecież z góry wiadomo kto. Wszyscy wiedzą, kto kradnie auta, handluje prochami, gdzie mieszkają paserzy. I zamiast rozpieprzyć to wszystko w trzy dupy, oczyścić teren i mieć dobre statystyki, to tak trwa.

-- Po co mi to wszystko mówisz? -- Pociągnął łyk piwa.

Było podłej jakości, pewnie najtańsze na półce w najbliższym markecie. Skrzywił się. Walerczyk prawdopodobnie nie należała do smakoszy i piła piwo nie dla przyjemnego drapania w podniebienie i cudownej goryczki w gardle, tylko żeby się dopić, a następnego dnia mieć czym leczyć kaca. Zdał sobie nagle sprawę, że koleżanka z pracy nie pali. Czuł od niej fajki, kiedy weszła, ale jeszcze nigdy nie widział jej tak długo bez papierosa w palcach.

-- Może mam wyrzuty sumienia? -- Podniosła na niego wzrok.

Jedno oko rzeczywiście trochę jej uciekało w bok. Teraz widać to było jeszcze wyraźniej.

-- Nie musisz, ja tu pracuję już dwa lata, wiem, jak wszystko wygląda, i też już się na to godzę. Taki folklor, nie ma co za bardzo przeżywać.

-- Nie o to chodzi. -- Pokręciła głową. -- Mam wyrzuty sumienia, że pewnie uważasz mnie za gównianą glinę.

-- Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. -- Roześmiał się.

Przyłożyła sobie dwa palce lewej dłoni do skroni i udała, że naciska na spust. Szot stał się jeszcze ostrożniejszy. Ciągle starał się być wyluzowany, lekko się uśmiechać, lecz jego czujność nagle podkreśliła tempo analizowania zdarzeń.

-- Ja też widziałam te raporty, z których wynikało, że Madej był praworęczny -- powiedziała.

Adrian zgasił uśmiech na twarzy, zajrzał do szklanki, gdzie piana pozostała już tylko wspomnieniem i piwo przypominało sok jabłkowy, czego nienawidził. Nie odpowiedział.

-- Nie wierzę, że tego nie zauważyłeś. -- Patrzyła na niego o wiele poważniej niż jeszcze przed chwilą. -- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Więc to był po prostu test. Popęłnił błąd, nie wspominając Walerczyk o tej nieściskości, i ona teraz próbuje go wybadać, dlaczego się nie odezwał. Czy od tego, co teraz powie, dużo zależy? Być może, ale dla niego to już naprawdę miało niewielkie znaczenie. Maszyna poszła w ruch, tego się już nie da zatrzymać.

-- Dostosowałem się -- powiedział tylko. Nie zrozumiała, więc wyjaśnił: -- Dostosowałem się do tutejszych realiów. Nikomu się nic nie chce, różnym ludziom się na wiele pozwala, tylko dlatego że policjanci to ich znajomi, którym nie chce się reagować. Mnie już też się nie chce.

-- Tylko tyle? -- Stłumiła beknięcie.

Wskazał dłonią walizki.

-- I tak wyjeżdżam. Właściwie gdyby nie śmierć Madeja, już dzisiaj rzuciłbym papierami i w tej chwili był w drodze do Warszawy. Zostałem tylko dlatego, że rano zatelefonował szef. Dalej mam zamiar wyjechać. Jak nie jutro, to pojutrze, za kilka dni, jak zamkniemy oficjalnie to postępowanie. Chcę po prostu wyjechać, gównu mnie obchodzi, jak było naprawdę. Taki pijaczek jak Madej nie stanie mi na nowej drodze życia. W dupie go mam.

Na koniec się skrzywił, napił piwa i skrzywił się jeszcze bardziej. Im dłużej je pił, tym było paskudniejsze.

Podkomisarz Walerczyk się zadumała. Chwiała się trochę, może naprawdę była tak nietrzeźwa, jakie sprawiała wrażenie. Jeśli udawała, wychodziło jej to dobrze, nie tak jak rano przy zwłokach. Wreszcie pokiwała głową z zadumą.

-- Jestem nawet w stanie to zrozumieć. -- Sztywny język trochę zniekształcił jej głos. -- I jest mi chyba jeszcze smutniej. Przegapiłam cię, Szot.

-- W jakim sensie?

-- W jakim sensie, w jakim sensie... -- Machnęła dłonią, w której trzymała szklanekę, aż na dywan wylało się kilka kropel. Nie zwróciła na to uwagi. -- Masz kobitę?

-- Nie mam.

-- Dasz się zaciągnąć do łóżka?

Parsknął śmiechem, ale ona najwyraźniej mówiła poważnie. Pokręcił głową.

-- Raczej nie.

-- Cholera! -- Dopła piwo do dna, wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia. -- Szkoda. Kolejna samotna pieprzona noc. Która to już z rzędu?

Teraz się zaśmiała, wyminęła go i już wkładała buty. Musiała usiąść na podłodze i dopiero wtedy udało jej się zapanować nad równowagą. Wyciągnęła do niego rękę, pomógł jej wstać. Myślał, że poleci w jego ramiona, jednak przytrzymała się wieszaka na ubrania. Z torebki wyciągnęła papierosa i wsadziła sobie między wargi.

-- Zabierz piwo -- powiedział. -- Zostało kilka puszek.

-- Wypij za moje zdrowie. -- Zaśmiała się i papieros omal wypadł. W drzwiach jeszcze się odwróciła.

-- Adrian?

-- Co?

-- Nie zapomnisz o mnie?

-- W jakim sensie?

Zawahała się, jakby nagle straciła całą pewność siebie.

-- Wiesz, jak będziesz już w pracował w Warszawie. Może znajdzie się jakiś wolny etat -- wyjaśniła niepewnie.

-- Przecież sama możesz poprosić o przeniesienie.

-- To nie to -- rzuciła, odwróciła się i szybko zbiegła po schodach, nie mówiąc nic więcej.

Adrian wrócił szybko do pokoju i stanął przy oknie. Patrzył, jak kobieta wyszła z bramy, ciągle się chwiejąc, i ruszyła szybkim krokiem w kierunku centrum. Palila papierosa. Czarny samochód stał w tym samym miejscu, tym razem nikogo przy nim nie było.

Wrócił na fotel i zamyślił się. O co jej tak naprawdę chodziło? Ktoś się przestraszył? Może byłby w stanie uwierzyć w jej wersję, gdyby nie znał człowieka z auta terenowego, który rano zastrzelił Madeja i zabrał dziewczynę. To były policjant śledczy z komendy w Bytowie. Odszedł z firmy zaraz po tym, jak pojawił się Szot. Adrian potem widywał go w komendzie, na mieście, w knajpach. Niestety, bardzo często w towarzystwie podkomisarz Walerczyk.

LIPIEC 1993

Księżyc na chwilę skrył się za chmurami i w lesie zapadły kompletne ciemności. Zatrzymał się na moment i poczekał, aż oczy trochę przywykną. Na szczęście nie trwało to długo. Po kilku sekundach blade oblicze luny ponownie spojrzało sennie na położony w dole świat. Znowu pojawiły się kontury wyraźnie wydeptanej ścieżki przez las. Do tej pory chodziły nią leśne zwierzęta, ale dzisiejszej nocy przemykał nią bardzo groźny drapieżnik, dlatego pewnie pochowały się w bezpiecznych kryjówkach.

Minął trzeci punkt orientacyjny przy zbutwiałym pniu, częściowo porośniętym mchem. Tu trzeba było skrócić w lewo, żeby wyjść na polankę znajdującą się po przeciwnej stronie niż prowadząca tu leśna droga. Co prawda odcinało to możliwość ucieczki, lecz dawało przewagę zaskoczenia, więc miał nadzieję, że nikt nie zdoła uciec. Po stronie, z której zamierzał zaatakować, były tylko trudne do przebrnięcia trzęsawiska. On jednak był tu już od kilku dni i korzystając z mądrości dzikich mieszkańców lasów i wydeptanych przez nich ścieżek, szybko znalazł bezpieczną drogę. Ostatnie dwie noce spędził na testach. Chodził tędy kilka razy, żeby zapamiętać drogę. Ustalił też kilka punktów orientacyjnych. Dlatego teraz w ciemnościach bezbłędnie trafił za kępę drzew, skąd zamierzał przeprowadzić atak.

Usiadł na ziemi, oparł się plecami o pień jednej z brzoź porastających z tej strony polankę i ostatni raz sprawdził broń. Kałasznikowa znał z dawnych lat, jeszcze z czasów kariery w Milicji Obywatelskiej, i ten zawsze bardzo dobrze leżał mu w dłoniach. Co prawda miał spore kopnięcie przy strzale, ale przy krótkich seriach był bardzo skuteczny. Sprawdził magazynki. Cztery związane taśmą po dwa, tak żeby nie tracić zbyt dużo czasu przy wymianie. Wystarczyło przekręcić, co zabierało kilka sekund. Stojący obok pięciolitrowy kanister trochę przeciekał na uszczelce, dlatego ciągle czuł w nosie drażniący zapach benzyny.

Marek Piekło odebrał obrazy od Jacka Brylskiego, płacąc mu tyle, na ile się umawiali, chociaż cinkciarz chciał mu zrobić duży rabat. Bryła zdradził mu za to, kto dostarczył obrazy. Remigiusza Nycza znalazł w kilka godzin, w jednej ze znanych sobie melin na mieście. Nycz był pijany, lecz kiedy nad nim chwilę popracował, wyjawiał mu, gdzie znalazł obrazy i jak tam dojechać. Piekło nie wahał się ani

chwili. Nie był już milicjantem, nie ufał niedawno utworzonym strukturom policji, które wchłonęły w swoje szeregi zbyt wielu funkcjonariuszy z dawnych czasów, zbyt mocno przesiąkniętych korupcją. Musiał działać sam. Śledztwo w sprawie mordercy malującego obrazy ludzką krwią było jedynym nierozwiązanym w jego karierze. Z tego, co wybelkotał mu pijany Nycz, wynikało, że morderstwa to był wierzchołek góry lodowej. Plany były o wiele bardziej przerażające. To był ostatni moment, żeby zakończyć działania Sławka bez nazwiska, powiązanego ze służbami peerelu psychopatycznego zabójcy, który teraz dla siebie lub na czyjeś zlecenie realizował o wiele większy plan, niż można to było sobie wyobrazić. I Marek Piekło zakończy to tu i teraz.

Piekło zastanawiał się, dlaczego po ucieczce Nycza Orzeł i jego ludzie nie porzucili tego miejsca i nie wynieśli się ze swoim morderczym procederem na drugi koniec Polski. To tylko potwierdzało prawdziwość słów Nycza. Oni czuli się pewnie, prawie bezkarnie. Albo byli bezczelni, albo naprawdę mieli za plecami potężnego protektora lub protektorów. Słowa Nycza nie stanowiły dla nich zagrożenia. Nawet to, że ukradł cztery obrazy, a potem dla zatarcia śladów spalił mercedesa na jednym z leśnych parkingów. Tyle tylko, że Orzeł nie spodziewał się powrotu Piekły i tego, że policjant postanowi zakończyć ten temat własnymi metodami.

Wyjrzał zza krzaków. Kilkanaście metrów dalej, na polanie, skąpane w mdłym księżycowym poblasku znajdowało się opuszczone gospodarstwo rolne. Stodoła, która do niedawna była dziuplą dla złodziei aut z zagranicy, budynek mieszkalny i jeszcze jeden, zupełnie nowy, nazywany leśniczówką. Piekło prowadził obserwację już od trzech dni. Mimo późnej pory w środku paliły się światła i z tego, co zdążył zauważyć, był tam Sławek, teraz nazywany Orłem, gość, którego sprowadził tu pewnie na polowanie, i co najmniej czterech ponurych goryli. Widział też przerażoną młodą dziewczynę, która miała być ofiarą. Tylko że wszystko się przedłużało. Może to i lepiej? Dzięki temu zweryfikował trochę swój plan. Teraz już wiedział, co robić. Trzeba było to zakończyć tu i teraz, po marzeniach Orła nie mógł się zachować najmniejszy ślad, budynki w lesie powinny zostać wypalone ogniem aż do samych fundamentów, nikt nie powinien wyjść z tego żywy.

Odetchnął głęboko i wyszedł zza krzaków. W kilkunastu szybkich krokach dopadł do ściany stodoły. Księżyc pomagał mu podczas

przedzierania się przez las, lecz teraz świecił za jasno, zdradliwie. Bardzo łatwo można było go dostrzec w tym świetle. Przywarł plecami do ściany. Z boku widział okna leśniczówki i słyszał podniesione głosy. Pewnie pili wódkę przed polowaniem. To się dobrze składało.

Nagle księżyc znowu zniknął na moment za chmurami toczącymi się wolno po niebie jak wielkie tankowce po oceanie, ciężkie i ospałe. Piekło skorzystał z okazji. Odkorkował kanister z benzyną i polał ścianę z drewnianych czarnych desek zjedzonych przez korniki i nadgryzionych przez próchnicę. Powinny palić się wielkim płomieniem. Zanim księżyc znowu zdążył zajaśnieć w pełnej krasie, był już przy drugiej ścianie. Tu również polał deski. Zło trzeba wypalić ogniem -- kołatało mu się w głowie wraz z narastaniem zimnej determinacji. Uda się, na pewno się uda.

Zatrzymał się przy budynku mieszkalnym przylegającym do stodoły i naraz zamarł. W oknach było ciemno, jednak zobaczył ciemną postać stojącą na progu. Żar papierosa pojawiał się i znikał w rytm pociągnięć mężczyzny. Jeden z dwóch goryli pilnujących dziewczyny musiał wyjść na fajkę. A może całą noc czuwał? Musi być ostrożniejszy.

Wycofał się, po czym pobiegł w kierunku znajdującej się z tyłu leśniczówki. Musiał nadłożyć trochę drogi skrajem lasu. Resztę benzyny rozlał na ściany wokół domu. Ostra woń rozeszła się w powietrzu. Już wyciągał zapalnik, gdy nagle usłyszał trzaśnięcie drzwiami i podniesione męskie głosy rozległy się przy wejściu. Przeklął z cicha i wycofał się na wcześniej upatrzone miejsce, za pień rozłożystej sosny rosnącej kilka metrów przed linią lasu. Z lewej strony miał tył stodoły i tył budynku mieszkalnego, przed sobą wejście do leśniczówki. Przyklął i wycelował karabin. Trudno, w razie czego zakończy to inaczej. Czuł jednak, że coś jest nie tak i jego plan w tych okolicznościach może się nie powieść. Wstrzymał się i obserwował.

Poznał Sławka od razu. Widział go kilka lat temu przy wale na zimowisku barek nad Odrą. Załatwiał wtedy jakieś lewe interesy z esbekami. Ani trochę się nie zmienił. Może tylko bijąca z jego postaci pewność siebie miała jeszcze większą moc. Stał naprzeciw chudego młodszego mężczyzny i wyglądał na co najmniej wyprowadzonego z równowagi.

-- Wiedziałeś, jakie są zasady -- cedził przez zaciśnięte zęby.

Głos był doskonale słyszalny w miejscu, w którym ukrywał się Piekło. Jakby nagle otaczający ich las zamilkł, wstrzymał oddech i nasłuchiwał.

-- Tak, ale nie spodziewałem się... -- jęknął młodszy z mężczyzn. W jego głosie słycać było przerażenie, a język plątał mu się od wypitego alkoholu.

-- Nie ma odwrotu -- mówił twardo Orzeł.

-- Ja rezygnuję, nie mogę... zrozum mnie... nie spodziewałem się, że to będzie aż tak trudne -- mówił, trochę sepleniąc, ten drugi.

Orzeł wpatrywał się w niego zimno, potem skinął na ochroniarza, który stał na progu i przypatrywał im się czujnie. Mięśniak natychmiast zniknął w środku i po chwili wyciągnął z leśniczówki dziewczynę. Miała związane z przodu ręce, potargane długie włosy i knebel wciśnięty w usta i owinięty szmatą. Nie mogła wydać nawet jednego dźwięku, tylko białka jej wytrzeszczonych w przerażeniu oczu błyskały w półmroku.

Marek Piekło nerwowo przygryzł wargi. Już wiedział, że spóźnił się o jeden dzień. Powinien był zacząć wszystko poprzedniej nocy. Dzisiaj przyjechała nowa ofiara i jej potencjalny kat. Jednak dla Sławka plan też się posypał. Facet nie był mordercą, jak dotąd mu się wydawało.

Dziewczyna upadła na kolana, z jej oczu toczyły się łzy, strzelała spojrzzeniami wokoło jak szalona. Drżała na całym ciele. Sławek zbliżył się do mężczyzny i zajrzał mu w oczy. Ten jakby się skurczył.

-- Teraz nie ma wielkiego wyboru -- wycedził przez zaciśnięte zęby i wzruszył nonszalancko ramionami. -- Albo ty, albo ona. Znałeś zasady.

Ciało mężczyzny wpadło w dziwne vibracje. Patrzył to na swoją przyszłą ofiarę, to na Sławka. W ostatniej chwili rozejrzał się szybko, jakby oceniał szansę ucieczki.

-- Nie dam ci teraz pistoletu, nie mam do ciebie zaufania -- powiedział zimno Orzeł. -- Dostaniesz nóż.

Wyciągnął wojskowy nóż z ząbkami na grzbiecie. Podał go młodszemu mężczyźnie rękojeścią do przodu i się odsunął. Ten patrzył przerażony na drgające w dłoni ostrze, a potem zerknął na swoją ofiarę. Dziewczyna wpatrywała się w niego z dzikim strachem w wytrzeszczonych oczach. Mimo knebla z jej gardła zaczął wydobywać się nieludzki skowyt. Marek Piekło patrzył na tę scenę jak zahipnotyzowany. Nie mieściło mu się w głowie, że coś takiego mogło mieć

miejsce. Nawet on, śledczy z doświadczeniem, nie ogarniał umysłem takiego barbarzyństwa. Mógł to przerwać w jednej chwili, ale palec jakoś dziwnie zdrętwiał na spuście. Nawet księżyc zmienił swoje oblicze. Teraz patrzył na polanę w lesie z zimną pogardą i jakby rozbarwieniem. Nóż powoli unosił się nad ciałem skulonej dziewczyny.

-- Co tu tak śmierdzi benzyną? -- zapytał nagle Orzeł, pociągając nosem.

W tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. Marek Piekło usłyszał okrzyk od strony zabudowań gospodarczych. Zanim zdążył zareagować, rozległ się huk wystrzału z pistoletu i poczuł piekący ból w lewym ramieniu. Lufa trzymanego przez niego karabinu opadła gwałtownie, lecz już po sekundzie mężczyzna zagryzł wargi, poderwał broń, skierował w stronę strzelającego i nacisnął na spust. Krótka seria przerwała ciszę, jaka zapanowała zaraz po strzale. Ochroniarz, który do niego strzelił, dostał w pierś. Bez jednego jęku poleciał dwa metry do tyłu i zwałił się martwy na trawę. Piekło strzelił jeszcze w ścianę polaną benzyną i buchnął ogień, dodatkowo rozpraszając mrok nocy.

Już w następnej chwili były milicjant odwrócił lufę w kierunku Sławka, lecz ten przywykł do podejmowania trafnych i szybkich decyzji. Zdążył już poderwać związaną dziewczynę do góry, użyć jej jako żywej tarczy i jeszcze dla zabezpieczenia przyłożył jej lufę pistoletu do skroni. W świetle ognistych płomieni, które lizwały drewnianą ścianę stodoły, Marek widział utkwione w nim spojrzenia dwóch par oczu. Jedno przerażone i równocześnie pełne nadziei, drugie twarde jak stal, a nawet chyba trochę rozbawione. To nie były jedyne osoby, które się teraz w niego wpatrywały. Goryl, dotąd stojący w drzwiach, już do niego celował. Nie zdążył. Krótki ruch kałasznikowa i kolejna seria wystrzeliła z karabinu Piekły. Najpierw pociski oderwały drzazgi z futryny, lecz następne już trafiły w cel. Facet jęknął, upuścił pistolet i zjechał po drzwiach, zostawiając na nich krwawą smugę.

Prawie w tym samym momencie Sławek także strzelił. Znowu odruch świetnie wyszkolonego funkcjonariusza służb specjalnych. Wykorzystał moment, w którym lufa karabinu nie była skierowana w jego stronę, i strzelił trzy razy. Piekło odruchowo schował głowę między ramiona, jakby to mogło mu w czymkolwiek pomóc. Trauma wróciła. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku podobna sytuacja już się zdarzyła. Trzy kule z broni Sławka trafiły kapitana milicji w piersi. Ledwo przeżył. Teraz się zawahał, bo dawne rany odezwały

się ćmiącym bólem, jednak nowych nie poczuł. Dopiero po chwili zrozumiał. Wszystkie trzy kule poszły za wysoko i wbiły się w pień sosny. Tym razem Sławek chybił.

Tymczasem facet, który chciał zostać zabójcą, a jednak nie starczyło mu odwagi, wykorzystał zamieszanie i rzucił się do ucieczki w stronę lasu. Orzeł zauważył to kątem oka, błyskawicznie się odwrócił i strzelił mu w plecy, nim tamten zdołał odbiec kilka kroków. Mężczyzna upadł na twarz i znieruchomiał.

Piekło rozglądał się gorączkowo wokoło. Było jeszcze co najmniej dwóch ludzi z ochrony, lecz nagle zapanowała cisza, słychać było tylko strzelanie desek trawionych coraz szybciej przez ogień, który powoli zbliżał się do dachu.

Mierzyli się ponurymi spojrzeniami. Piekło znowu przesunął lufę w bok i nacisnął na spust. Pociski uderzyły w ścianę leśniczówki, podpalając opary benzyny. Płomienie z hukiem obiegły budynek i zaczęły lizać jego ściany.

Tym razem Orzeł nie zareagował. Zanim Marek podniósł się i stanął z nim twarzą w twarz, zaczął się wycofywać, cały czas ukryty za dziewczyną. Ciągnął ją do tyłu, nie odrywając lufy od jej głowy. Piekło postąpił za nimi kilka kroków. Leśniczówka z boku zajmowała się ogniem nawet szybciej niż stodoła. Sosnowe deski były mocno nasączone żywicą. Z dwóch stron szalał ogień, a oni trwali w klinczu. Więcej ochroniarzy nie było. Albo odjechali wcześniej, albo uciekli, spodziewając się policyjnej obławy.

-- Poddaj się -- warknął Piekło. -- Przecież jej nie zastrzelisz!

-- Tak myślisz?

W głosie przeciwnika pojawiły się złość i drwina. Nagle pchnął dziewczynę w kierunku Marka, a kiedy zaskoczona poleciała bezwładnie, strzelił jej dwa razy w plecy. Piekło chwycił ją w ramiona, odsuwając karabin w bok, ale już była martwa. Jej oczy zgasły w sekundę, zastygłe w przerażeniu.

Piekło odruchowo się nią zasłonił, lecz Orzeł nie zamierzał strzelać. Biegł w kierunku płonącej szopy. Marek rzucił ciało, uniósł kałasznikowa i nacisnął na spust, prując za nim długą serią. Pociski ześlizgnęły się z rogu budynku ułamek sekundy po tym, jak zniknął za nim napastnik. Marek rzucił się w pogoń.

Kiedy obiegł budynek, ze zdziwieniem zobaczył, jak tamten szarpie bramę i wbiega przez szparę do płonącej stodoły. Pewnie tam był ukryty samochód. Piekło, nie zastanawiając się nawet przez chwilę,

wcisnął się za nim. Tu płomień jeszcze nie dotarły, chociaż temperatura rosła, było ciemno, a z płonących od zewnątrz ścian unosiło się pełno dymu. W ciemnościach błysnął ogień z lufy. Znowu chyby strzał. Piekło przesunął się, trąc plecami o powierzchnię wrót, i sam strzelił serią. Nie sprawdzając, czy była celna, natychmiast zmienił pozycję. I to była słuszna decyzja. Strzelając, zdradził się i spotkał z kontrą. Niecelną. Teraz dopiero poczuł, że przestrzelone przez ochroniarza lewe ramię zaczyna mu słabnąć i drętwieć, a krew ciekła już po dłoni.

Nie strzelał, czekał, aż zrobi się jaśniej, bo ogień właśnie wdzierał się do środka, rozpraszając mrok. Jednak niewiele więcej było widać przez gęstniejący z każdą chwilą dym, który dusił, gryzł w oczy, uniemożliwiał normalne funkcjonowanie. Piekło przyczaił się za przewartą rdzą karoserią starego auta, pewnie pamiątką z czasów złodziei samochodów, i czekał. Pożar w ekspresowym tempie dosięgnął dachu i zaczął trawić strzechę i krokwie. Sławka nie było widać. Piekło nie strzelał, żeby nie zdradzić swojej pozycji. Totalny pat. No i przebywanie w tym budynku groziło utratą życia.

Nagle usłyszał warkot silnika, a potem ryk ruszającego szybko auta. Otworzył ogień. Sławek uciekał czarnym audi starszego typu, słychać było, jak pociski dziurawią karoserię, jednak żaden nie uczynił większej szkody i auto wyjechało ze stodoły, rozbijając wrota. Piekło chciał za nim pobiec, lecz nagle urwała się część dachu i upadła kilka metrów obok niego. Snop isker i sadzy uderzył go w twarz, oślepiając zupełnie. Nic nie widząc, zdołał się jakoś wydostać na zewnątrz. Poszedł w kierunku drzwi do budynku mieszkalnego, którego dach już zajął się ogniem od płonącej stodoły. Tu stało wiadro z wodą. Przemył twarz i rzucił okiem na drogę. Światła audi już dawno zniknęły w ciemnościach między drzewami.

Marek Piekło kłął, długo idąc w kierunku leśniczówki. Nic mu się nie udało, niczego nie naprawił, niczego nie przerwał, a być może przez niego zginęła niewinna osoba. Wściekłość zalewała mu mózg, jak wściekła fala powodzi sunąca wzdłuż koryta rzeki. Wszystko spieprzone. Nie mogło być gorzej.

Leśniczówka była już prawie w całości spalona, lecz płomień wciąż wysoko strzelały w nocne niebo, a lunę pożaru widać było z odległości kilku kilometrów. Niedługo ktoś tu przyjedzie. Pewnie ochotnicza straż pożarna, jeśli chłopaki za mocno nie zapili na dyskotecie. Była przecież noc z soboty na niedzielę.

Ze zdziwieniem zauważył, że mężczyzna postrzelony przez Orła wciąż żyje i nawet ma się dobrze. Kula trafiła w ramię. Sam się opatrzył, zatamował krwawienie, tylko na czole perliły się grube krople potu, doskonale widoczne w blasku pożaru. Pewnie pocił się z bólu, przerażenia i może jeszcze z jakiegoś innego powodu, ponieważ pochylał się właśnie nad zastrzeloną kobietą i miał taką minę, jakby chciał się rozpłakać. Wyrzuty sumienia? Za późno. Piekłę znowu załapała wściekłość. Podniósł broń i pewnie by strzelił, gdyby nie jęk tamtego.

-- Ja nie chciałem... -- Mężczyzna spojrział na niego z obłędem w oczach. -- Ja naprawdę nie chciałem! Żałuję, bardzo żałuję! Gdybym tylko mógł to cofnąć!

Opuścił głowę i załkał bezgłośnie.

Z drugiej strony, lepiej późno niż wcale. Marek zarzucił kałasznikowa na ramię i trącił męczyzną stopą.

-- Zamknij się! -- warknął. -- Już jej nie pomożesz.

-- To co mam robić?!

-- Musimy się stąd zbierać, zanim ktoś przyjedzie.

-- Co ze mną zrobisz? Zabijesz mnie?

-- Na razie cię nie zabiję. Ale może kiedyś będziesz musiał odpokutować za grzechy.

Gdzieś z oddali usłyszeli odgłosy syren strażackich. Piekło pociągnął faceta za sobą. Zagłębili się w las, Marek szybko znalazł ścieżkę przez bagniska i puścił nieznanego przodem. Ramię coraz bardziej go bolało, dłoń miał lepka od krwi, dzwonienie w uszach stawało się coraz bardziej drażniące, słabł. Musiał stracić sporo krwi. Po kilku chwilach, gdy znaleźli się na tyle daleko od pożarów, że w lesie nie było widać ich łuny, Piekło zatrzymał męczyznę.

-- Musisz mnie opatrzeć.

Zwalili się na ściółkę pośrodku lasu. Facet też był ranny. Taki ponury dowcip losu. On dostał w prawe ramię, Marek w lewe. Szybko rozdarł Markowi koszulkę, obejrzał ranę, a potem zatamował krwawienie.

-- Przestrzelina -- podsumował. -- Paskudnie to wygląda na wyjściu, mocno krwawi, ale chyba damy sobie radę bez wizyty w szpitalu.

Szybko pojął zasady tej gry.

-- Kim jesteś?

-- Jestem chirurgiem ortopeda, proszę się nie martwić, wiem, co mówię. Tylko musimy znaleźć coś do dezynfekcji i opatrunku.

-- Mam w samochodzie, to niedaleko -- odpowiedział Marek, usiłując wstać, lecz jedynie jęknął z bólu i zwałił się znowu na ziemię.

Był bardzo słaby. Jego niespodziewany towarzysz również. Poszli dalej, przytrzymując się wzajemnie. Wkrótce dyszeli jak kowalskie miechy, a pot zalewał im skronie.

-- Dlaczego chciałeś zabić? -- zapytał w pewnym momencie Piekło.

Zapadło długie milczenie. Po tym, co się zdarzyło, odpowiedź wcale nie była łatwa.

-- Z głupoty, z bezczelności, żeby udowodnić sobie, że potrafię. -- Padła wreszcie i w tych okolicznościach stała się banalna i nic nieznacząca. -- Kurwa, teraz nie wiem po co. Nigdy sobie tej głupoty nie wybaczę. Omal sam nie zginąłem. A ta dziewczyna...

-- I tak by ją zabił -- powiedział Piekło wbrew samemu sobie, żeby go trochę uspokoić.

-- Co ze mną zrobisz? -- Lekarz popatrzył na Marka prawie błagalnie.

Piekło miał go w garści. Bardzo łatwo było teraz zniszczyć karierę być może dobrze zapowiadającego się medyka. Tylko co by w ten sposób osiągnął? Satysfakcję? Sławek uciekł, znowu stało się wiele zła, zaprzepaścił ostatnią szansę. Tylko czy na pewno ostatnią? Nie wahał się ani chwili.

-- Puszczę cię.

Mężczyzna spojrział na niego z niedowierzaniem.

-- Jak to? -- zapytał, jakby nie rozumiał.

-- Zapomnę o tym, co się stało, ale pod jednym warunkiem.

Młody lekarz patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

-- Kiedyś, jak już nadejdzie czas, przyjdę do ciebie -- kontynuował Piekło. -- Musisz złożyć mi teraz oficjalną przysięgę, że gdy do ciebie przyjdę, przyznasz się do tego, co tu się stało. Jesteś jedynym świadkiem. Istnieje ryzyko, że mnie dopadną, więc taka chwila może nigdy nie nastąpić, lecz jeśli do takiej sytuacji dojdzie, będziesz moim świadkiem. Przysięgasz?

Lekarz głośno przełknął ślinę. Wahał się chwilę, lecz perspektywa tego, że uda mu się uciec z koszmaru, który sobie z własnej głupoty stworzył, przesłoniła wszystko. Nic się w tej chwili nie liczyło.

-- Przyrzekam -- potwierdził.

- Jak ty się właściwie nazywasz?
- Janusz. Janusz Czerwiński.
- Pamiętaj, Czerwiński, kiedyś mogę pojawić się w twoim życiu.

8

TERAZ

-- Jak nazywa się ofiara?

-- To znany w całej Małopolsce chirurg ortopeda, profesor Janusz Czerwiński.

Podkomisarz Roman Bogucki siedział przy swoim biurku, przeglądając fotografie z miejsca zbrodni. Technik, który je wykonał, był doskonałym fachowcem. Zdjęcia były tak realistyczne, że Bogucki prawie poczuł w nozdrzach zapach krwi i śmierci. Trzy kule musiały zrobić z mózgu denata krwawą galarete.

Policjant pokręcił głową. Cholera, przecież Czerwiński był jednym z najlepszych specjalistów od stawów kolanowych w kraju. Miał kilka klinik, w których zarabiał kupę kasy. Bogucki też był jego pacjentem. Czerwiński operował mu prawe kolano, naprawiając zerwane więzadła po upadku na nartach. Podkomisarz zapamiętał go jako człowieka otwartego, lekarza traktującego pacjentów z najwyższą troską, doskonałego specjalistę. Facet był chodzącą empatią, co wśród lekarzy, a tym bardziej chirurgów, nie zawsze jest normą. No cóż, posypało się. Ujawnił się jakiś pieprzony frustrat, do tego psychopata ze skłonnościami do zabijania, albo były skrzywdzony pacjent, któremu chęć zemsty przysłoniła rozsądek. No bo jak można nazwać człowieka, który umawia się na wizytę przez rejestrację w klinice, czeka prawie dwa tygodnie, potem zjawia się kilka minut przed czasem, płaci w recepcji trzy stowy, składa dokładnie paragon, umieszcza go w starym portfelu, jakby to był największy skarb, czeka grzecznie na swoją kolej, a po wejściu do gabinetu wyciąga gnata i pakuje doktorkowi trzy kule prosto w łeb? Potem siada wygodnie na krześle i czeka, aż przyjedzie policja. Wypisz wymaluj, wariat.

Bogucki czuł, że będzie z tego afera na cały kraj. Czerwiński był nie tylko znanym lekarzem, był też działaczem społecznym. Prowadził fundację wspierającą badania nad lekiem na raka, występował jako ekspert w radiu i ogólnopolskiej telewizji, był honorowym obywatelem Miasta Krakowa, cenionym wykładowcą na uniwersytecie medycznym. Tyle pamiętał, a pewnie było tego dużo więcej. Dobrze, że przynajmniej zabójcę mieli w garści. Nie będzie irytujących nacisków z góry i ze strony mediów na szybkie rozwiązanie sprawy. Jeśli rzecznik policji odpowiednio ubierze całe zdarzenie w słowa, może to być nawet z korzyścią dla komendy wojewódzkiej. Pokaże skutecz-

ność i profesjonalizm ich działania. Może zdołają wyczołgać się z tego gówna i jeszcze zyskać kilka plusów u społeczeństwa, za skuteczność. Przecież w ostatecznym rozrachunku i tak będzie się liczyć fakt, że sprawca siedzi w pierdłu, a to, że sam się poddał, zejdzie na dalszy plan.

Niestety słyszał, że prokurator Falewicz wraca z banicji do prokuratury rejonowej i będzie nadzorował śledztwo. Dużo się mówiło o tym nieoczekiwanym powrocie. Wiadomo było, że osobiście zna nowego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w jednej osobie i -- delikatnie mówiąc -- nie przepadają za sobą. To dlatego, kiedy tylko nowy minister poczuł się pewniej na swoim nowym stanowisku, jedną z jego pierwszych decyzji było oddelegowanie Falewicza na prowincję, do spraw, które nikogo nie interesują. Jakich popleczników musi jednak mieć Falewicz, że teraz wraca, nie bacząc na niechęć wielu osób. Było w tym jakieś drugie dno, jednak Bogucki był zwykłym gliną od działań operacyjnych i nie bardzo łapał się w temacie brudnych politycznych gier na szczytach władzy. Zresztą gówna go to interesowało.

Teraz trochę się martwił tym Falewiczem. Pracował z nim już nie raz i wiedział, że facet czepia się wszystkiego jak rzep psiego ogona. A w morderstwie Czerwińskiego coś śmierdziało i ten smrodek unosił się z akt, pomimo tego, że byli świadkowie i niezbite dowody na winę podejrzanego. No i jeszcze podejrzany nie wypowiedział dotąd ani jednego słowa. Nie odmawiał składania wyjaśnień, tylko wcale się nie odzywał, jakby był ślepy, głuchy i do tego niepełnosprawny umysłowo. Bogucki widział wielu takich twardzieli. Jednak wszyscy w końcu zaczynali gadać. Nie można milczeć w nieskończoność. Tylko ten stary dziad był jakiś inny. Patrzył na policjantów z pogardą i wyższością i Bogucki zaczynał wierzyć, że naprawdę nigdy się już nie odezwie słowem. Nawet nie zaprotestuje, gdy w końcu przyjdą po niego diabli z widłami i będą ciągnąć go do piekła na wieczne męki.

Zerknął do teczki z fotografiami. Był tam też skan zdjęcia z dowodu osobistego podejrzanego. Przyjrzał mu się z uwagą. Wodniste oczy starego alkoholika, twarz poorana bruzdami zmarszczek i burza siwych, o wiele za długich włosów. Człowiek podobny zupełnie do nikogo.

Poszukał nazwiska, lecz nie znalazł.

-- Jak się nazywa nasz morderca? -- zapytał młodszego kolegę, który przyniósł mu zdjęcia i ciągle stał przy drzwiach, jakby czekał właśnie na to jedno pytanie.

Może właśnie dlatego odpowiedź padła prawie natychmiast:

-- Tadeusz Majer.

9

LIPIEC 1993

Kiedy pchnął drzwi na drugim piętrze, w nozdrza uderzył go typowy zapach szpitala: środki dezynfekujące i coś jeszcze. Unoszący się wszędzie odór cierpienia i nadchodzącej śmierci. Zapach oddziały onkologicznego. Jego energiczne dotąd kroki nagle zwolniły, w piersiach coś się ścisnęło. Powrócił nawet ból w przestrzelonym ramieniu. Marek Piekło ze smutkiem skonstatował, że jego życie dotarło do granicy, za którą była tylko śmierć. Tak samo jak życia kilkudziesięciu pacjentów leżących w salach po obu stronach korytarza. Nieuleczalnie chorzy, końcowe stadia raka, leżące na łózkach ludzkie szkielety, ciągle jeszcze obciążone bladą i wilgotną skórą. Były też ciała gnijące za życia, napuchnięte, zaczerwienione, rozdęte przez nieusuwalne guzy. I te oczy. Nienaturalnie lśniące od gorączki, nieprzytomne, walczące, pogodzone ze swoim losem, zazdrośnie śledzące jego zdrową osobę wolno sunącą korytarzem. Ale były też radosne i roześmiane. Takie, dla których ostatnie chwile życia były cenniejsze niż wszystkie skarby tego świata, ponieważ towarzyszyli im bliscy.

W umyśle Marka pojawiła się ponura myśl. Jak dziwnie umierają ludzie. Śmierć dla wszystkich jest taka sama, a każdy się do niej zbliża w zupełnie inny sposób. Nie ma dwóch takich samych przypadków. A jak on przygotowuje się na śmierć? Pierwszy raz o tym pomyślał. Trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Zanim jednak doszedł do sali numer dwadzieścia dziewięć, już wiedział. Było mu wszystko jedno. Może umrzeć nawet za godzinę, za kwadrans, za minutę. Najważniejsze było tylko to, żeby nic się nie stało jego żonie i synowi. On się nie liczył, bo on miał swojego bożka, który organizował mu cały świat. Bożek nazywał się wódka. I o nim właśnie w tej chwili myślał. Przyjął dzisiaj lekarstwo -- setkę wódki -- pomogło, lecz nie miał kolejnych dawek. Nie było drugiej setki, trzeciej, całej flaszki i jeszcze trochę z następnej, co zapewniłoby mu chwilową ucieczkę w lepszy świat i pozwalałoby nie pamiętać o spieprzonym życiu. Swoim i swoich najbliższych. Co z tego, że o nich dbał, że byli dla niego najważniejsi, skoro co jakiś czas zjawiał się jego bożek i wtedy liczył się tylko on.

Suchość w ustach narastała. Złapał się na tym, że zastanawia się, czy w pomieszczeniu dla pielęgniarek na końcu korytarza znajdują

się środki dezynfekujące na bazie czystego spirytusu. Kilka łyków pozwoliłoby mu funkcjonować na zupełnie innym poziomie.

Tak rozmyślając, zupełnie nieświadom tego, że jest na miejscu, pchnął drzwi z numerem dwadzieścia dziewięć. Wszedł do środka i znalazł się w przedsionku piekła. Zapomniał o wszystkim, nawet o lekarstwie.

Czterooosobowa sala, trzech pacjentów. Chudych, zjedzonych przez raka, nieprzytomnych, śmierdzących fekaliami i zgnilizną. I czwarty. Człowiek, którego znał i chyba przez jakiś czas traktował jak przyjaciela. Tylko że teraz ten facet wyglądał jak karykatura samego siebie. Błady, chudy, pomarszczony. Piekło wszedł do środka i przysiadł na stołku obok łóżka.

-- Cześć, Tadeusz -- powiedział.

Dawny sierżant Milicji Obywatelskiej Tadeusz Majer uchylił ciężkie powieki, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Ciężko oddychał, jakby każde poruszenie się płuc miało być tym ostatnim.

-- Kapitan Piekło -- wycharczał. -- Już myślałem, że nie zobaczę cię przed śmiercią.

Marek Piekło był wstrząśnięty widokiem dawnego kolegi z pracy. Słyszał, że Majer choruje od kilku lat na raka, jednak nie spodziewał się, że jego droga przez mękę właśnie się kończy. Nie było już ratunku.

-- Cholera, co się z tobą dzieje, Tadeusz? -- Piekło był autentycznie poruszony.

-- Umieram, Marek, zdycham jak pies pod płotem, jak mysz w pułapce. Nie ma już dla mnie nadziei.

-- Przykro mi, Tadek, dużo razem przeszliśmy.

Majer z każdym słowem przytomniał. Nawet jego oddech z wolna się uspokajał. Patrzył na Piekłą tak, że ten nie wytrzymał i odwrócił wzrok.

-- Też dobrze wspominam tamte czasy. Nie to co dziś. -- Majer uśmiechnął się nostalgicznie. -- Świat się zmienia i czasem myślę: to dobrze, że ja już nie zobaczę, jakie będzie jutro. Po co się denerwować?

To miał być żart, jednak Majer, zamiast się roześmiać, zaczął kaszleć. Długo trwało, zanim zdołał opanować skurcze oskrzeli. Wytarł chusteczką krew, która w międzyczasie zgromadziła mu się na wargach.

-- Wiesz, co mówią lekarze? -- zapytał. -- Że to od fajek. Za dużo, cholera, paliłem. Pomyślałbyś?

-- Nie. -- Piekło pokręcił głową.

-- Ty palisz, Marek?

-- Niewiele. Więcej piję.

Majer pokiwał głową ze zrozumieniem.

-- Pewnie od tego też może się zrobić rak -- powiedział. -- Tylko medycyna jeszcze nie wie, którą część ciała pijaka zaatakuje jako pierwszą.

Znowu się zaśmiał, tym razem bez kaszlu. Piekło też się uśmiechnął. Przesunął wzrokiem po chudym ciele w szpitalnej piżamie. Kiedyś sierżant Tadeusz Majer to był kawał chłopca z rękami jak bochny chleba. Teraz została go może jedna trzecia. Resztę zżarł rak. Zmniejszył się, skurczył, jakby zeszło powietrze z dawno napompowanego balonu.

-- Słyszałem, że wpakowałeś się w kłopoty, Marek -- odezwał się znowu Majer.

Piekło popatrzył mu w oczy i się skrzywił.

-- A kiedy ja się nie pakowałem w kłopoty? -- zapytał w odpowiedzi, siląc się na lekki ton.

Nie udało mu się jednak zbyć dawnego kolegi z milicji.

-- Powiedz mi prawdę. Znalazłeś ich? Tych od obrazów?

Piekło znowu popatrzył na niego przeciągle. Wreszcie pokiwał głową.

-- Znalazłem Sławka -- powiedział cicho i mimowolnie zerknął na pozostałych pacjentów leżących w pokoju. Taki odruch, bo przecież oni nie byli żadnym zagrożeniem. -- Tego, który tuż przed stanem wojennym zamordował Janickich na Sępolnie i jeszcze tych następnych później. Tego, który spuszczał im krew, żeby malować obrazy. Dowiedziałem się, o co wtedy tak naprawdę chodziło i że to ciągle trwa. Pojechałem tam, żeby to przerwać, i spieprzyłem.

Piekło w krótkich i zwięzłych zdaniach opowiedział o zajściach w lesie nieopodal Bytowa.

-- I teraz chcę cię dopaść -- domyślił się Majer.

-- Tak, ukrywam się. Byli u mojej żony. Na szczęście tylko ją postraszyli, ale próbowali spalić dom. Tylko cudem im się nie udało. Ona wpadła w histerię. Wiesz, Sławek już raz ją kiedyś porwał i bardzo ciężko to przeżyła. Teraz się boi, że ją zabiją, a ja nie mogę wrócić do domu, żeby ich tam znowu nie ściągnąć. Ukrywam się, ale

w końcu mnie dopadną, Tadek. Miałem swoją szansę i jej nie wykorzystałem. Teraz już będą ostrożni.

Majer patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, jakby trochę nieprzytomnie. Pewnie od morfiny, która wraz z krwią płynęła mu przez tętnice w dużym stężeniu. I trochę tak zabrzmiał, kiedy się odezwał. Przynajmniej na początku Marek odniósł takie wrażenie.

-- Panie kapitanie Piekło. Bzdury gadacie. To się tak nie skończy. Mam dla ciebie prezent.

-- O czym ty mówisz, Tadek?

-- Mnie też zależy na tym, żeby dopaść tych sukinsynów. Wiem, co teraz się porobiło w naszej kochanej ojczyźnie. Że na policję, szlag by ich trafił, za bardzo nie można liczyć, bo są umoczeni. Jeśli zemsta, to po cichu i bez pomocy z zewnątrz. A wiem, że ty, Marek, nie odpuścisz. Dlatego dam ci swoje życie.

-- Dobrze się czujesz, Majer? -- Piekło się skrzywił.

-- Czuję się, jak na kilka dni przed śmiercią przystało. -- Tadeusz znowu zaśmiał się zgrzytliwie. -- Ale moja propozycja jest przemyślana. Chcę ci pomóc, Piekło. Zamienimy się.

Marek słuchał jego słów i coraz szerzej otwierał oczy ze zdumienia.

-- Marek, żeby tamci cię nie ścigali, musisz zniknąć. Najlepiej, żebyś zmarł i żeby cię pochowali na cmentarzu komunalnym. Tak będzie lepiej dla ciebie, dla Krystyny i dla twojego syna. Tamci dadzą ci święty spokój, jak się dowiedzą, że Marek Piekło gryzie ziemię i odszedł do przeszłości. Dlatego zamienimy się tożsamościami. Ty będziesz się teraz nazywał Tadeusz Majer. Zmienisz moje dokumenty na takie z twoim zdjęciem. Masz przecież jeszcze kolegów z dawnych czasów. Pomogą ci. A tutaj, w tym łóżku, za jakiś czas umrze Marek Piekło, zjedzony przez raczycho. Co ty na to?

-- To się da zrobić?

-- Pewnie, że się da! -- prychnął Majer. -- Mam zaprzyjaźnionego lekarza. Wszystko jest już omówione i dogadane. Wystarczy tylko zmienić moje dane na twoje w historii choroby. Dużo babrania się w papierach, ale da się zrobić. Wszystko da się zrobić. Dostaniesz czas, wyjedziesz dokądś, najlepiej daleko, i nie będziesz się kontaktował ze swoją rodziną, żeby nie sprowadzić na nich nieszczęścia. O moją rodzinę się nie martw, wyrzekli się mnie. A potem, w odpowiednim momencie, dopadniesz tego Sławka i zakończysz temat.

Piekło analizował pomysł. Był genialny i rozwiązywał wszystkie jego obecne problemy. Spojrzał ponownie na kolegę, tym razem z szacunkiem.

-- Dlaczego to robisz, Tadeusz? -- zapytał. -- Przecież w sumie nie byliśmy nigdy przyjaciółmi.

-- Bo ja byłem z pochodzenia twardogłowy Kaszub, a ty twardogłowy lwowiak. To się nie mogło udać.

Zaśmiali się. Majer znowu się rozkaszał i wytarł krew w chusteczkę.

-- Ale wiesz co, Marek? -- kontynuował. -- Praca z tobą to był mój najlepszy czas w milicji. Wspominam to z łezką w oku. I czuję się trochę odpowiedzialny za to, że wtedy się nie udało. Mam jeszcze inny dług do spłacenia. Ten dług to porucznik Zarzycki. Pomogłeś mi wtedy.

Chwilę milczeli, wspominając dawne czasy. Piekło poczuł nagle pieczenie pod powiekami i ucisk w piersiach. Jednak lubił tego cholernego Majera. I też dobrze wspominał ich współpracę. To był jedyny milicjant z wydziału, który potrafił wytrzymać z nim i jego nałogiem. I jeszcze z metodami wykraczającymi daleko poza regulamin. A teraz dostał od niego nowe życie. Zawsze miał szczęście, lecz teraz się nie spodziewał, że los zakręci zdarzeniami i znowu pozwoli mu wylądować na czterech łapach.

-- Dziękuję ci, Tadeusz -- powiedział cicho. -- Dajesz mi drugie życie. Nigdy o tym nie zapomnę.

-- Przestań, Piekło, bo się popłaczę -- zachnął się były sierżant. -- Niczego w swoim gównianym życiu nie żałuję. Wiesz, co to znaczy?

-- Nie.

-- Że nie żał mi teraz odchodzić. A jeszcze na koniec okazało się, że na coś się przydam.

Kilka minut później pożegnali się niezręcznie, ze świadomością, że widzą się ostatni raz. Wychodząc z sali, Piekło nawet się nie obejrzał. Chciał zapamiętać Majera z dawnych czasów, a nie jako zjedzonego przez chorobę, zniedołężniałego starca. Kiedy potem szedł za lekarzem do jego gabinetu, pomyślał jeszcze, że nie zmarnuje szansy otrzymanej niespodziewanie od Tadeusza Majera.

10

TERAZ

Aspirant Adrian Szot wylał resztkę piwa, szklanki włożył do pustej zmywarki. Wrócił na fotel i zamyślił się, wpatrując się w pendrive leżący na dłoni. Wreszcie znowu włączył laptop, zalogował się do odpowiedniej chmury i przesłał nagranie z krótkim komentarzem. Plik był duży, więc przesyłał się bardzo długo. Szot w tym czasie myślał, patrząc na posuwający się wolno po ekranie pasek postępu wysyłki.

Były policjant, który zastrzelił starego Madeja, nazywał się Jakub Boński. Do tego momentu Adrian w ogóle o nim nie myślał, z niczym go nie łączył, o nic nie podejrzewał. Widywał go, kiedy ten młody policyjny emeryt wpadał czasem do kolegów do komendy, a potem umawiali się gdzieś na grilla i wódkę. Bytów nie jest duży, więc widywał go czasem w centrum, w marketach, parę razy na piwie. Boński musiał być w zażyłych stosunkach z Walerczyk, ponieważ raz widział ich w sytuacji, którą można było określić jako dość dwuznaczną. A może tylko tak mu się zdawało? Nie przyglądał się. Już wiedział, co będzie robił jutro. Musiał dowiedzieć się wszystkiego o Bońskim, no chyba że plan będzie jednak inny. Bo jakiś plan będzie na pewno. Nagranie było tak mocne, że nie można było tego zostawić.

Telefon obudził go po drugiej w nocy. Ale nie dzwonił telefon, którego używał na co dzień, tylko ten drugi, bezpieczny. Bez podsłuchów, bez Pegasusów, bez podejrzeń. Przez ostatnie dwa lata nie zadzwonił ani razu. Szot i tak prawie nie spał, więc odebrał dość szybko i odezwał się przytomnie:

-- Tak, słucham.

Głos po drugiej stronie był zdecydowany i znajomy. To był jego bezpośredni przełożony. Nagranie musiało zrobić duże wrażenie w stolicy, skoro dzwonił sam szef, do tego o tak nietypowej porze. Niedawno musieli wyciągnąć go z łóżka.

-- Doskonała robota, Adrian. -- Na początek oczywiście ta wyświechtana formułka rodem z filmów akcji, konkrety przyszły jednak szybko. -- Na razie działasz sam. Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej o naszym obiekcie, ale masz czas tylko do południa. Zachowaj maksymalną ostrożność. Potem będziesz miał spore kłopoty w komendzie i cię zawieszają. Musisz sobie z tym poradzić, monitorujemy,

wkroczy, jak będzie trzeba. Mam tylko nadzieję, że będziesz miał jeszcze trochę czasu. Wiesz, o jaką stawkę gramy.

-- Wiem.

-- Zrozumiałeś?

-- Tak jest!

-- Masz jakieś pytania? -- Szef był wyjątkowo rozmowny jak na tę barbarzyńską porę.

-- Nie. Działam.

W słuchawce rozległ się jednostajny sygnał po przerwaniu połączeniu. Adrian Szot siedział na łóżku, wpatrując się w ciemność za oknem. Wzbierała w nim czerwona fala nienawiści i żądza zemsty. Gdyby teraz musiał stanąć do walki, na pewno by zabił. To były te uczucia, które napędzały go do działania, dzięki którym wytrzymał w tej dziurze ostatnie dwa lata, a wcześniej w innych, równie nudnych komendach. Fala, przez którą nie miał życia prywatnego, żadnych zainteresowań i nie liczyło się dla niego nic innego, tylko zemsta. Dlatego teraz był gotowy do działania. Opanował się. Emocje mogą jedynie zaszkodzić, będzie świętował, kiedy winni zostaną ukarani.

Do rana prawie nie spał. Wstał wcześniej, wziął prysznic, potem zjadł śniadanie, chociaż żołądek chyba się do niczego nie nadawał. Kiedy jednak kończył kawę, okazało się, że nie jest najgorzej. Przy drugiej kawie wyciągnął z szuflady biurka kopertę bąbelkową, włożył do niej pendrive zawinięty w grubą warstwę gazet i zakleił. Następnie na kopercie wpisał swoje imię i nazwisko oraz adres. Na poczcie na Dworcowej był pierwszym klientem, zaraz po ósmej. Nadał kopertę listem poleconym do samego siebie. Poczta Polska od zawsze reklamuje się jako instytucja rzetelna i godna zaufania. Niech się teraz wykaże, przechowując przez kilka dni bardzo ważny dowód w sprawie, która namiesza trochę w świecie. A przynajmniej na lokalnym poletku.

Mimo wizyty na poczcie w żółtym budynku Komendy Powiatowej Policji w Bytowie przy ulicy Styp-Rekowskiego i tak zjawił się jako jeden z pierwszych. Nie licząc oczywiście dyżurnego, który zaczynał o szóstej i teraz ziewał, jakby chciał połknąć biurko. Adrian pozdrowił go ruchem głowy, ale nic nie powiedział. To był jeden z tych policjantów, z którymi nie zamienił w ostatnim roku więcej niż dwóch zdań, z czego oba dotyczyły pracy. Poszedł od razu do swojego pokoju i zrobił sobie kawę rozpuszczalną. Przez ciągłe braki kadrowe

od kilku tygodni sam zajmował cały gabinet. Poprzedni współlokator wytrzymał dwa miesiące, po czym napisał prośbę o natychmiastowe przeniesienie. Dokądkolwiek. To dużo mówiło o atmosferze panującej w budynku. Aspirant Szot nie zamierzał mu niczego ułatwić i pewnie w równym stopniu przyczynił się do odejścia młodego policjanta jak pozostali koledzy.

Biurko zawałone było teczkami pełnymi dokumentów. Najważniejsze oczywiście były raporty dotyczące wczorajszego zabójstwa; powinien jeszcze pojechać w kilka miejsc, dokończyć temat, żeby prokurator miał pewne materiały do zamknięcia śledztwa. Jednak po nocnym ostrzeżeniu nie zamierzał się tym zajmować. Pewnie zaraz i tak będzie miał kłopoty. Bardziej interesował go były policjant, Jakub Boński. Musiał się czegoś o nim dowiedzieć, zanim pojawi się Walerczyk. I musi to zrobić w sposób niewzbudzający podejrzeń.

Zaczął od starszego aspiranta Juras. Facet był przed sześćdziesiątką i pamiętał jeszcze dawne czasy, kiedy policja nie miała tak szlachetnej nazwy jak dzisiaj i nazywano ją milicją. I tak jak w tamtych czasach, do niczego się nie nadawał. Może do wypasu krów na łące by się nadał, gdyby zechciało mu się dźwignąć dupę z krzesła, a to nie było takie oczywiste. Juras jak zwykle siedział w takiej samej pozie za swoim biurkiem, tak samo od miesięcy wpatrując się w monitor i pijąc kawę z fusami. Roztył się ostatnio, posiwiiał, jeszcze bardziej zwolnił, choć nigdy do bystrych nie należał. Szot nie wiedział, co on tutaj robi. Musiał mieć niezłe kwity na komendanta, że ten go cały czas trzymał. Teraz było mu to na rękę.

-- Cześć, Stasiu -- rzucił, zaglądając przez uchylone drzwi. -- Nie znasz jakiegoś dobrego mechanika? Samochód mi się sypie.

-- Kup se nowy -- burknął Juras, nawet na niego nie patrząc.

-- Daj spokój, nie stać mnie. Pomóż, Stasiu, przecież ty wszystkich znasz.

Komplement był zdaniem Szota zupełnie nietrafiony, jednak zadziałał. Juras popatrzył na niego małymi oczkami, ledwo widocznymi w wąskich szparkach pod obwisłymi powiekami.

-- No znam, ale o co pytasz? -- odezwał się żywiej niż zwykle.

-- Słyszałem, że jeden z byłych policjantów ma teraz zakład mechaniki samochodowej -- brnął dalej Adrian. -- Może by dał jakąś zniżkę koledze po fachu. Kasą nie śmierzę, wiesz, ile my tu zarabiamy.

Kolejne uderzenie w dobrze znane Jurasowi obszary. Szot nieraz słyszał, jak tamten na korytarzach narzeka na niskie zarobki w policji.

-- Ale o którym policjancie mówisz? -- zapytał już takim tonem, jakby co dzień ucinali sobie miłą pogawędkę przed pracą.

-- Kuba mu było. Tylko nazwiska nie pamiętam. Chyba coś na pe albo be.

-- Boński! -- ucieszył się starszy policjant. -- Masz na myśli Jakuba Bońskiego.

-- No właśnie jego!

-- Ale czy on ma serwis samochodowy, to nie wiem. -- Juras się zamyślił. -- Może ma. Od kolegów słyszałem, że przejął interes po starszym bracie, co to gdzieś w świat wyjechał. Ale to chyba wulkanizacja jest.

-- A wiesz gdzie? -- Szot cały czas zachowywał spokój, a na twarzy gościł mu przyjacielski uśmiezek.

-- Za Druteksem w Dąbkach. Tam jest takie bajorko przy lesie. To tam.

-- Wiem gdzie, dzięki bardzo.

-- Pozdrów go ode mnie, jak go zobaczysz -- rzucił rozpogodzony Juras. -- Fajny był z niego kolega. Wszystko potrafił załatwić i wszystkich znał.

-- Na pewno!

Aspirant Adrian Szot poszedł korytarzem w kierunku wyjścia z budynku. Nie czekał, aż zwał się na niego zapowiadane telefonicznie kłopoty. Działął, póki jeszcze mógł. Zanim wyszedł z budynku, przy pokoju dyżurnego zobaczył podkomisarz Walerczyk. Rozmawiała przyciszonym głosem przez telefon, dostrzegła go, ale najwyraźniej widok jego osoby nie wzbudził w niej szybszego bicia serca. I vice versa. Wyglądała na skacowaną i chyba nawet poruszała się mniej energicznie niż zazwyczaj.

Wsiadł do swojej mazdy stojącej na służbowym parkingu i ruszył wolno w kierunku wyjazdu. Do Dąbek pojechał przez ulicę Mickiewicza i Przyborzyce. Pokonanie czterech kilometrów, nawet teraz, w czasie wzmożonego porannego ruchu, zajęło mu tylko dziesięć minut. Kiedy po prawej stronie skończył się las i droga wiodła przez kilkadziesiąt metrów wzdłuż małego stawu, zwolnił. Na brzegu dostrzegł zabudowania, o których mówił mu Juras. Wielokrotnie tędy przejeżdżał, jednak nigdy nie zwrócił szczególnej uwagi na to miej-

sce. Dopiero teraz zrozumiał, jaki niosło ze sobą potencjał. Przejechał obok zamkniętej na łańcuch bramy, na której wisiała jeszcze wyblakła tablica reklamująca zakład wulkanizacji i wymiany opon. Oczywiście nieistniejący już od dłuższego czasu.

Zatrzymał się dopiero kilkaset metrów dalej, wjechawszy między drzewa lasu rosnącego tym razem po lewej stronie. Dalej droga prowadziła do wsi Dąbie. Wysiadł i popatrzył do tyłu. Dawny zakład wulkanizacji mieścił się w wielkiej blaszanej hali z płaskim dachem stojącej na skraju sporego placu. Od frontu i z trzech stron otoczony był wysokim murem, zza którego niewiele było widać. Jak jakiś pieprzony zamek, wybudowany na cyplu sięgającym niemal do samego środka stawu. Tak naprawdę nie można było się tam zbliżyć niezauważonym. Jedynym sposobem było przejście groblą przez stawek w kształcie nerki i dotarcie tam pod osłoną drzew. Tak przynajmniej widział to Adrian z odległości kilkuset metrów.

Najbliższe zabudowania mieszkalne znajdowały się po drugiej stronie drogi, w sporej odległości, i były to trzy albo cztery rozwalające się rudery, w których mieszkali starzy ludzie lub nikt już tam nie mieszkał. Dąbki były wioską już tylko na mapie. Jeśli Jakub Boński naprawdę jest zamieszany w coś dużego, pewnie zadbał, żeby nie mieć wścibskich sąsiadów.

Szot bez chwili wahania wyciągnął ze skrytki auta glocka 17 i ruszył w stronę wody, udając beztroskiego i niegroźnego spacerowicza. Miał nadzieję, że nikt nie patrzy w jego kierunku, bo na środku łąki był widoczny jak tost na patelni. Odetchnął, kiedy pokonał zarośla i błoto na grobli i znalazł się w lesie. Kilka minut zajęło mu przedarcie się przez krzaki, które pewnie nigdy jeszcze nie widziały z bliska człowieka, dlatego teraz ciekawskie czepiały się go na wszystkie możliwe sposoby. Wreszcie, podrapany i spocony, znalazł się z tyłu zakładu po drugiej stronie wody. Jęknął zawiedziony. Tu nie było muru, tylko siatka, ale za to szczelnie zamaskowana blachą falistą. Musiał wspiąć się na pobliskie drzewo, żeby mieć jako taki widok na plac.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że nikogo tam nie ma i teren jest od dawna opuszczony. Kiedy jednak bliżej się przyjrzał, zauważył świeże koleiny wyjeżdżone w trawie, którą zaczął już porastać ogrodzony teren, szczególnie od strony sterty starych opon i jakichś pordzewiałych sprzętów zgromadzonych naprzeciw budynku pod murem. Szot usadowił się wygodniej na gałęzi i obserwował cierpli-

wie teren. Był głodny i trochę brakowało mu już kofeiny w krwio-biegu, uznał jednak, że wytrzyma tu godzinę. Więcej nie miał zamiaru. Zobaczył nagle, jak tą samą drogą, którą on przemierzył kilkanaście minut temu, przejeżdża wolno znajomy czarny samochód i znika w oddali.

Po około dwóch kwadransach okazało się, że jednak na terenie ktoś jest. Postawny mężczyzna otworzył boczne drzwi hali i wyszedł na zewnątrz. Stał pod ścianą i zapalił papierosa. Szot poznał go od razu, to był Jakub Boński. Palił, a jego wzrok spokojnie, ale metodycznie omiatał otoczenie. Przez chwilę patrzył też w kierunku drzew, gdzie ukrywał się Adrian, lecz z tej odległości nie mógł go dojrzeć. Mężczyzna sięgnął nagle do kieszeni, wyciągnął telefon i przyłożył do ucha. Szot dużo by dał, żeby usłyszeć, z kim i o czym rozmawia. Tu jednak nie docierały nawet pojedyncze słowa. Wreszcie facet skończył rozmowę, otworzył duże wrota i wyjechał czarnym terenowym autem. Tym samym, które Adrian widział już na nagraniu z miejsca zabójstwa. Aspirant szybko wyciągnął swój telefon i zrobił kilka zdjęć. Były marnej jakości, ale auto było dobrze widoczne.

Komendant zadzwonił do niego, kiedy około dwudziestu minut później wsiadał do auta skrytego przy drodze wśród drzew. Kłopoty właśnie się zaczynały. Ktoś nie próżnował i postanowił wyeliminować go z gry jeszcze przed południem.

-- Jest pan zawieszony na czas postępowania prowadzonego przez Biuro Spraw Wewnętrznych Policji.

-- O co jestem podejrzewany?

-- O zatajanie i fałszowanie dowodów w sprawie śmierci Jana Kierdasa, zwanego tu w okolicach Madejem.

Adrian Szot przyjrzał się uważnie twarzy komendanta. Wydawało mu się, że nie drgnął mu ani jeden mięsień, chociaż powinien się zastanowić, dlaczego jego człowiek został oskarżony w związku z zabójstwem, które miało miejsce poprzedniego dnia. BSW tak szybko nabrało podejrzeń i równie szybko wdrożyło postępowanie wyjaśniające? Przecież całość nie trzymała się ni kupy, ni dupy. Ale w sumie nic go to nie obchodziło. Miał wyrobione zdanie o swoim szefie i podjęta przez niego decyzja niczego wielkiego w jego opinii nie zmieniała.

-- Aspirancie, proszę oddać służbową broń i legitymację -- kontynuował szef z kamienną twarzą. -- Ma pan obowiązek stawiać się na każde wezwanie oficera prowadzącego postępowanie wyjaśniające,

w celu złożenia wyjaśnień, oraz na ewentualne wezwanie prokuratury.

Komendant po raz pierwszy stracił trochę na pewności siebie i spojrzał na trzecią osobę siedzącą w jego gabinecie. Komisarz Piotr Pawelec z gdańskiego BSW wyglądał, jakby się świetnie bawił. Zerkał to na jednego, to na drugiego i po jego twarzy błąkało się coś w rodzaju uśmiechu. Być może Szot powinien w nim upatrywać niesprawiedliwości, która właśnie go dotknęła, lecz jakoś nie mógł się przeć. Pawelec wyglądał dość sympatycznie, jak na kogoś z Zakonu, i swoją wyluzowaną postawą nie wzbudzał niepotrzebnych antypatii, jak to czasem bywa u jego kolegów, którzy braki w autorytecie starają się nadrabiać chamstwem i bezczelnością. On chyba był inny. Wiedział, czego chce, i znał sposób, żeby swoje cele zrealizować.

-- Aspirancie Szot -- zaczął wolno sympatycznym głosem, jakby naprawdę chciał wspomóc komendanta w tej trudnej chwili. -- Przykro mi, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach. Ze swojej strony gwarantuję panu bezstronność i zaangażowanie. Wiem, że jest pan dobrym funkcjonariuszem, dotąd nie było na pana skarg, więc szybko postaram się wyjaśnić tę przykrą sytuację, w jakiej wszyscy się znaleźliśmy.

Powiedział to, choć nie musiał. Właściwie to mógł się nie odzywać, tylko od razu zaprosić Adriana na przesłuchanie, a jednak się odezwał. Z dość nieoczekiwanym skutkiem. Szot z trudem stłumił uśmiech wykwitający mu na twarzy, komendant popatrzył na gościa zmieszany, po czym przeniósł wzrok na Adriana, siedzącego na krześle w nonszalanckiej pozie. Jeśli nawet na początku żałował, że do zabójstwa Madeja posłał właśnie Szota, to pewnie teraz nareszcie zastanawiał się, co tu się właśnie odwała, i powoli dochodził do wniosku, że to nie jest normalne. Mimo wszystko przy gościu starał się zachować profesjonalizm. Nie okazując uczuć, patrzył, jak Szot wyklada na jego biurko służbowego walthera, legitymację i blachę na smyczy z napisem "Policja".

-- Przy wyjściu proszę pokwitować u dyżurnego -- powiedział.

-- Tak jest -- odrzekł Adrian jak najbardziej służbowym tonem.

-- Aspirant Szot jest do pana dyspozycji -- dodał komendant, patrząc na gościa.

Komisarz Pawelec odwzajemnił spojrzenie, jednak wypowiedziane przez niego słowa zbiły szefa z tropu. Najpierw zwrócił się do Szota.

-- W dniu dzisiejszym nie będę pana przesłuchiwał. Proszę być pod telefonem i nie opuszczać miasta bez uzgodnienia tego ze mną. Tu jest moja wizytówka z numerem telefonu. -- Podał Adrianowi biały kartonik.

-- Tak jest!

Komisarz Pawelec zwrócił się teraz do komendanta:

-- Na początek chciałbym porozmawiać z policjantami, którzy wczoraj byli na miejscu zdarzenia.

-- Oczywiście, oczywiście -- padła szybka odpowiedź. -- To może najpierw z podkomisarz Irminą Walerczyk. Ona asystowała wczoraj aspirantowi.

-- Bardzo dobrze. -- Pawelec wyraźnie się ucieszył. -- Proszę ją zaprosić do pokoju przesłuchań. A pan, panie aspirancie, może na razie iść.

Adrian wyszedł od szefa bez słowa i skierował się prosto do pokoju dyżurnego. Po drodze spotkał dwóch kolegów, którzy próbowali o coś pytać, jednak zbył ich półsłówkami. Takie wiadomości rozprzestrzeniają się zawsze szybciej niż światło. Pewnie komenda już huczy od plotek. Ci z wewnętrznego nigdzie nie cieszą się sympatią.

Pół godziny czekał, zanim wreszcie podpisał ten cholerny protokół u dyżurnego. Była już jedenasta trzydzieści trzy, kiedy wychodził z budynku policji na parking, jakby lżejszy, a przynajmniej uwolniony od obowiązków, zasad i regulaminów. Teraz mógł już działać tak, jak uzna za stosowne. Po raz drugi tego dnia wyjechał na ulicę i od razu skierował się do mieszkania, które wynajmował w nowym bloku wybudowanym niedawno na ulicy Sychty. Na razie niczym się nie martwił. Co ma być, to będzie. Dobrze, że przynajmniej ma jeszcze jeden pistolet. Akurat bez broni czułby się mocno niekomfortowo.

Na pierwszych światłach, gdzie złapało go czerwone, wyciągnął broń ze skrytki w aucie i schował z tyłu za pasek spodni. Co z tego, że cisnęło? Ważniejsze było poczucie bezpieczeństwa.

Zaparkował przed wejściem do bloku. Wysiadł i się rozejrzył. Pusto, betonowa pustynia, nowe bloki, ale droga szutrowa i żadnej zieleni prócz trawy. Kto projektuje takie osiedla? No i kto, do jasnej cholery, wydaje pozwolenia na budowę takich koszmarów?

Wszedł na klatkę schodową i wolno wspinał się schodami na drugie piętro czterokondygnacyjnego budynku. Już w połowie drogi wy-

czuł, że coś jest nie tak. Zwolnił, wyciągnął pistolet, odbezpieczył i poszedł dalej, celując w podłogę.

Drzwi do jego mieszkania były tylko przymknięte. Rysy na zamku od razu sugerowały niezbyt profesjonalne włamanie. Gdyby chodziło o rabunek, miejscowa żulernia, szukająca szmalu na alkohol, pewnie użyłaby łomu, a profesjonaliści wykazaliby się większą finezją przy rozbijaniu zamków. To włamanie klasyfikowało się mniej więcej pośrodku. Ni to, ni sio.

Pchnął drzwi lufą pistoletu i poczekał, aż uderzą o ogranicznik. Zatrzymały się w tej pozycji. Adrian długo nasłuchiwał, wreszcie uznał, że już nikogo nie ma, i wszedł do środka. Obszedł dla pewności wszystkie pomieszczenia, potem ocenił skalę zniszczeń. Włamywacze zostawili po sobie totalny kipisz. Spakowane torby były rozbebeszone, a ich zawartość rozwleczona po podłodze na całej powierzchni pokoju. To, co zostawił w szafach i szufladach, już tam nie leżało, naczynia z kuchennych szafek potłukły się, lądując na pokrytej kafelkami podłodze. Chodził po kuchni, chrzęszcząc podszwami o odłamki szkła. Najbardziej było mu szkoda zawartości kuchni, ponieważ nie należała do niego. Najemca chwalił się, że kuchnia jest w pełni wyposażona. No to, cholera, już nie jest. Ale jakoś nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia.

Znalazł cały kubek i uruchomił ekspres do kawy. Urządzenie buczało jednostajnie, rozsiewając po całym mieszkaniu przyjemny aromat świeżo zmielonej i parzonej kawy, podczas gdy Adrian jeszcze raz przeszedł się po mieszkaniu. Dobrze wiedział, czego szukali. Na szczęście przedmiot ich pożądanego powierzył instytucji od zawsze cieszącej się wielkim zaufaniem -- Poczcie Polskiej. Pieniądze, które miał w walizce, znalazł na podłodze, dokumenty na stole, a to było najważniejsze. Nie znalazł za to laptopa, ale akurat tego starocia nie żałował. Nie martwił się też o to, co mogli w nim znaleźć. Chmura, na którą przesłał film, już dawno była nieaktywna, ślady w przeglądarce niegroźne. No chyba że ktoś lubi zaglądać na strony z dziewczynami o wielkich biustach. Ten przynajmniej będzie miał fun.

Pijąc kolejną kawę, wyjrzał przez okno. Nieopodal stało czarne auto z przyciemnionymi szybami. Bardzo dobrze. Do zmroku pozostawało jeszcze kilka godzin, więc postanowił się trochę zdrzemnąć. Gości jednak się nie spodziewał. I to tak szybko.

Podkomisarz Irmina Walerczyk znowu stała na progu z niepewną miną. Tym razem nie miał nic przeciwko jej wizycie.

-- Jesteś jakaś blada po wczorajszym -- ocenił i zaprosił ją gestem. -- Chodź, zrobię ci kawę.

Poszedł do kuchni, podczas gdy zaskoczona Walerczyk zatrzymała się w pół kroku.

-- Co tu się stało?! -- wykrzyknęła.

-- Miałem włamanie! -- odkrzyknął z kuchni.

-- Trzeba zadzwonić po policję!

Wyjrzał z kuchni i otaksował ją spojrzeniem. Stała jak zamieniona w głaz, bojąc się wykonać nawet mały krok. Prawidłowy odruch policjanta na miejscu zdarzenia. Szkoda, że wczoraj nie była taka ostrożna.

-- Po co kolegom dupę zawracać? -- odpowiedział. -- Nic nie zginęło. Chodź!

Nie ruszyła się z miejsca.

-- Chodź, kawa gotowa -- ponaglił ją.

Wreszcie się przemogła i po chwili siedzieli w kuchni, sącząc czarną kawę. Szot miał w planach wyjazd, więc nie kupił mleka, żeby się nie psuło w lodówce. Irmina ciągle była niepewna i spoglądała na niego jak na osobę niespełna rozumu. Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

-- Daj spokój, przecież i tak miałem wyjechać -- powiedział.

-- Ale włamali ci się do mieszkania. -- Ciągle nie mogła uwierzyć.

-- Mówiłem, że nic nie zginęło.

Wreszcie oswoiła się z jego niechęcią do zgłoszenia włamania, chociaż na pewno jej nie zrozumiała. Uspokoila się i spojrzała na niego przenikliwie. Adrian milczał, czekając na to, co ona ma do powiedzenia. W końcu po coś do niego przyszła. Dalej będzie go brać na swój wątpliwej jakości kobiecy urok czy ma jakiś konkretniejszy temat do omówienia? Ona też na niego patrzyła, więc spuścił wzrok na blat stołu. Jej lekki zez działał mu na nerwy.

-- Słyszałam, jakie zarzuty postawili ci wewnątrzni -- odezwała się wreszcie. -- Ktoś musiał cię podpieprzyć. Chciałabym, żebyś wiedział, że to nie byłam ja.

Nie skomentował, tylko na nią patrzył. Zmieszała się trochę, uświadamiając sobie, że kolega niekoniecznie wierzy w jej słowa.

-- Dzisiaj o piętnastej ten koleś z wewnętrznego będzie mnie przesłuchiwał -- mówiła dalej, przelżykając kolejny łyk kawy. -- Powiem mu, jak było.

-- A jak było? -- wpadł jej w słowo.

-- Przecież byliśmy tam razem. Nie mogłeś niczego sfalszować, a tym bardziej ukryć dowodów. To jakaś bzdura. Musiałabym zauważyć.

-- Na miejscu byli jeszcze inni, jesteś pewna, że oni powiedzą to samo?

Twarz jej się ściągnęła, skoncentrowała na nim spojrzenie. Teraz nawet trudno było zauważyć, że oko jej ucieka. Wyglądała o wiele korzystniej, lecz i tak nie miała u Szota żadnych szans, gdyby wpadło jej do głowy jeszcze raz z nim spróbować, tym razem na trzeźwo.

-- Czy ty sugerujesz, że ja o czymś nie wiem? -- zapytała cicho, najwyraźniej jeszcze bardziej zmieszana. -- Adrian, ja w naszej komendzie pracuję od samego początku. Wszystkich znam.

-- Najwidoczniej nie wszyscy, których znasz, są z tobą szczerzy.

Myślała intensywnie. Była bystrą policjantką, więc aspirant Szot czekał tylko, kiedy doda dwa do dwóch i będzie znała wynik tego działania.

-- Rano pytałeś Jurasa o mechanika samochodowego -- cedziła wolno słowa. -- To było pytanie sugerowane, bo przecież twoje auto jeździ i ma się dobrze.

-- Coś mi zgrzyta pod maską -- wtrącił.

-- Pieprzysz, Szot. Pytałeś o Jakuba Bońskiego. To były policjant. O co chodzi, co on ma wspólnego z wczorajszym zabójstwem? W co ty, do cholery, grasz? Myślisz, że to on cię zakablował?

Znowu mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Tym razem Adrian nie potrafił zapanować nad uczuciami. Buchnęła w nim złość.

-- Posłuchaj, Walerczyk. Nie udawaj głupiej, a przynajmniej mnie traktuj poważnie. Przecież jesteś dobrą kumpelą tego Jakuba. Wielokrotnie cię z nim widziałem. Przyszedł tu z własnej woli czy to ustawka? Ktoś cię tu przysłał? Może Boński?

-- Sama tu przyszłam -- parsknęła. -- Kuba jest tylko moim znajomym, zresztą nie widziałam go już kilka tygodni. Mnie interesuje, co złego dzieje się w naszej komendzie, skoro najpierw zamierzałeś uciec, a potem, jak już nie wyjechałeś, to ci z Zakonu chcą cię udupić. Czy ty masz coś wspólnego ze śmiercią Madeja?

-- Przecież to było samobójstwo. -- Zmierzył ją ironicznym spojrzeniem. -- Sama na to wpadłaś.

Walerczyk poczerwieniła na twarzy i odstawiła kubek z hukiem. Wstała i bez słowa skierowała się do wyjścia. W progu jeszcze się odwróciła.

-- Myślałam, że ci jeszcze chociaż trochę zależy -- rzuciła.

Poszedł za nią.

-- Niby na czym?

-- Żeby oczyścić nasze środowisko z kretów lub po prostu ze zwykłych sukinsynów -- wypaliła.

-- Zależy mi, ale jestem za mały na takie luksusy. Rozumiesz, co mam na myśli?

Wyszła, trzaskając drzwiami. Wyrzwał przez okno. Czarnego samochodu nie było. Policjantka wyszła z bramy i przeszła niemal środkiem ulicy, tak jak poprzedniego wieczoru, tylko tym razem się nie zataczała. Po chwili zniknęła za rogiem.

Aspirant Szot jednak został wezwany na przesłuchanie jeszcze tego samego dnia. Zatelefonował do niego dyżurny, przekazując polecenie, jakie dostał od komisarza Pawelca z wewnętrznego. Adrian był na miejscu kilka minut przed szesnastą i zderzył się z zamkniętą na głucho kratą. Dyżurnego nie było, a jemu zabrali przepustkę i kartę magnetyczną, więc nie mógł przekroczyć magicznej granicy oddzielającej w budynku to, co ogólnodostępne, od tego, co służbowe. Zirytował się i czekał do pięć po czwartej. Dyżurny jednak się nie zjawił, a w zasięgu wzroku nie było nikogo znajomego. I znowu trafił na Walerczyk. Najwyraźniej jej przesłuchanie się już skończyło i chciała iść do domu. Otworzyła mu, nie patrząc na niego. Jemu też jakoś nie zależało na kontakcie wzrokowym. Wpuściła go, a kiedy przeszedł kilka kroków korytarzem, zawołała za nim:

-- Adrian!

Odwrócił się, nic nie mówiąc.

-- Powiedziałam mu prawdę. Tak, jak było.

-- A jak było?

-- Nie miałeś możliwości, żeby sfalszować dowody.

Pokiwał tylko głową i poszedł dalej.

Potem przez dwie godziny przesłuchiwał go komisarz Pawelec. Nie wyjaśnił powodów zmiany wcześniejszej decyzji. Najwidoczniej u komendanta w gabinecie popisał się niezłą grą aktorską, ponieważ teraz zachowywał się jak kawał chama i przemaglował Szota kilkakrotnie od prawa do lewa, od góry do dołu, a potem na skos. Wykazał się przy tym niezłymi technikami i zagrywkami psychologicznymi. To byłoby nawet ciekawe, gdyby nie dotyczyło Adriana osobiście. Tak czy inaczej, zapamiętał kilka fajnych patentów na przyszłość.

Po raz kolejny tego dnia wyszedł z budynku komendy z uczuciem *déjà vu*. Cholerny dzień świstaka mu zafundowali. Miał nadzieję, że już dzisiaj tu nie wróci. Wsiadł do auta, sprawdził, czy w skrytce nadal tkwi Glock 17. Był tam, czekał cierpliwie jak sprawdzony w bojach towarzysz broni. Zanim uruchomił silnik, sprawdził jeszcze bezpieczny telefon, który dzwonił dzisiaj w nocy, zapowiadając kłopoty. Nikt już nie zadzwonił, nie było żadnych wiadomości. Rozumiał, że miał wolną rękę, mimo to liczył na jakąś wskazówkę, co teraz robić. Mogli mu przynajmniej podpowiedzieć, czy warto dalej grać na podkomisarz Walerczyk. A tak był zdany na siebie. No dobrze, nie ma się co zastanawiać, musi działać tak, jak to sobie wymyślił. Najwidoczniej nikt nie ma lepszych pomysłów. Bo przecież sprawa była bardzo świeża. A on miejscowe szambo poznał najlepiej.

Pojechał do centrum, do restauracji za zamkiem krzyżackim na placu Wyszyńskiego przy rynku. Nie była najtańsza w mieście, serwowwała wyszukane dania i przede wszystkim wystrojem przypominała najlepsze lokale gastronomiczne, jakie kiedykolwiek odwiedził. Przynajmniej przez godzinę mógł poczuć się jak w Warszawie, a nie na Kaszubach. Przed drzwiami stał zawiany facet w eleganckiej marynarce. Gdy Szot go mijał, mężczyzna zachwiał się niespodziewanie i oparł na policjancie. Potem bełkotał jakieś przeprosiny, udając, że strzepuje mu wyimaginowane zabrudzenia z kurtki. Wreszcie Adrianowi udało się jakoś od niego uwolnić. Usiadł w kącie, otworzył menu i nie zastanawiał się długo. Na początek zamówił rosół, potem gicz jagnięcą z purée z batatów i marchewki, do tego bezalkoholowe piwo. Kiedy kelner odszedł, piknął bezpieczny telefon. Szot odczytał wiadomość: "Masz w kieszeni". Schował telefon i dopiero po dłuższej chwili sięgnął dłonią do kieszeni kurtki. Wymacał jakieś urządzenie, kable i gumki. Poszedł do toalety i zamknął się w kabynie.

Trochę się namęczył, zanim przykleił na piersiach nadajnik i schował wszystkie kable pod ubraniami. Wtedy wrócił do stolika i kelner od razu podał mu rosół. Telefon znowu piknął. "Mamy łączność". Okay, może nareszcie dadzą mu zjeść. Pewnie ostatni raz w tym zniechęcającym mieście.

Godzinę później siedział w swoim aucie zaparkowanym pośród innych samochodów na poboczu ulicy, przed ciągiem starych kamienic. Ściemniło się, w oknach pozapalały się światła, błysnęły latarnie. W tych okolicznościach ulica z brudnej i zaniedbanej zmieniła się w sympatyczną i nie taką straszną. Tylko że za parę godzin wstanie

świt i czar pryśnie. Miał nadzieję, że tym razem to będzie naprawdę jego ostatni świt tutaj.

Minęła kolejna godzina, ulica coraz bardziej się wyludniała, samochody jeździły coraz rzadziej, przechodnie zniknęli. Było już dość późno. Wtedy wyciągnął swój prywatny telefon i wybrał numer Irminy. Odebrała od razu.

-- Chcesz wiedzieć, co się dzieje u ciebie na komendzie? -- zapytał, nie dając jej dojść do słowa. -- To bądź za pięć minut na dole. Masz pistolet?

-- Tak.

-- To nie zapomnij.

Minęło prawie siedem minut, zanim się pojawiła. Przystanęła na chodniku i rozejrzała się niepewnie. Dopiero po chwili dostrzegła jego samochód. Pokazał jej, żeby usiadła na miejscu pasażera. Trzasnęły drzwiczki. Była wyraźnie zdezorientowana, ale też zdenerwowana.

-- Co ty odwalasz, Szot? -- warknęła. -- Straciłeś kontakt z rzeczywistością?

Ruchem dłoni wstrzymał dalsze pytania i sądy wartościujące.

-- Chciałaś wiedzieć, dlaczego pytałem o Jakuba Bońskiego?

Skinęła tylko głową.

-- Na nagraniu wyraźnie widać, że to on zastrzelił Madeja -- powiedział prosto z mostu. -- Była tam też dziewczyna, może ją też zastrzelił.

-- Na nagraniu?! -- Walerczyk wytrzeszczyła na niego oczy, niczego nie rozumiejąc. Minęły długie sekundy milczenia, zanim różne elementy układanki zaczęły składać się w jej głowie. -- Rejestrator z auta Madeja nie był jednak zepsuty... Jak wszedłeś w posiadanie tego nagrania? To dlatego wewnątrzni ścigają cię za ukrywanie dowodów. Ale kiedy to zrobiłeś? Niczego nie widziałam.

Znowu próbował uciszyć ją gestem ręki, lecz tym razem nie poszło tak łatwo. Tarła policzki dłońmi, jakby to pomagało jej sprawnie myśleć.

-- Ale po co Kuba miałby zabijać tego starego pijaka i jeszcze jakąś kobietę? To brzmi nieprawdopodobnie! Dlaczego nie przedstawiłaś dowodów, nie napisałaś tego w raporcie?

-- Pytasz mnie dlaczego? -- wreszcie udało mu się przerwać jej monolog z wyrażanymi głośno wątpliwościami. -- Nie zauważyłaś, jak wszyscy szybko zamiatali to pod dywan? Kto podrzucił pod ciało

Madeja pistolet jako główny dowód? Sama jako pierwsza wyskoczyłaś z teorią samobójstwa. Ktoś ci coś sugerował, kazał, przekupił cię?

-- Co ty pieprzysz, Adrian... -- zaczęła i zamilkła, kiedy w jego dłoni zobaczyła wycelowanego w siebie glocka.

-- Nie ruszaj się, jeszcze ci nie ufam -- ostrzegł Szot. -- Muszę widzieć twoje ręce, nie sięgaj do kieszeni.

-- Cholera! Zwariowałeś?!

-- Jeszcze nie wiem, kto w komendzie jest skorumpowany -- mówił spokojnie. -- Może wszyscy. Prawdę mówiąc, po twoich wczorajszych występach na miejscu zbrodni byłaś moją pierwszą podejrzaną, ale coś mi się w tym nie zgadza. Nie pasujesz mi do tego gówna, dużo dobrych rzeczy o tobie słyszałem.

-- Ten pomysł z samobójstwem to był przypadek -- powiedziała drżącym głosem. -- Nie jesteś stąd, więc nie znasz szczegółów, pewnie jeszcze tego nie czytałeś w moim raporcie. Żona Madeja kilka lat temu się powiesiła. Był z nią bardzo związany, prawdopodobnie cierpiała na nieleczoną depresję. To od jej śmierci tak zdziałał i zaczął pić, sam chodził do lekarza, raz miał przepisane środki na depresję. Pomyślałam, że wreszcie dopadła go tęsknota za małżonką. Widziałam już samobójców z taką dziurą w skroni. Pasuje idealnie.

-- A lewa ręka?

-- Cholera, dopiero później to zauważyłam i sama nie wiedziałam, co myśleć. Przecież wtedy był już ten pistolet z jego liniami papilarnymi.

Przez moment patrzyli na siebie w napięciu. Wreszcie Szot, jakby z wahaniem, opuścił pistolet, po czym schował go do kieszeni. Walerczyk się rozluźniła. Chyba nawet odetchnęła z ulgą.

Adrian uruchomił silnik i wolno ruszył przed siebie. Po chwili skręcił w pierwszą w prawo.

-- Potrzebuję pomocy, a nie wiem, komu mogę tu ufać -- powiedział, zerkając na nią. Siedziała z rękami na kolanach, jakby ciągle była jeszcze w szoku. -- Zaufałem tobie i mam nadzieję, że się nie zawiodę.

-- O co tu chodzi, Adrian? -- zapytała. -- Dlaczego nie zawiadomiłeś przełożonych i prokuratury o Jakubie?

-- To nie jest bezpieczne. -- Pokręcił głową, uważnie prowadząc auto pustymi ulicami. -- Nawet nie wiesz, jakie oni mają długie ręce. Mogą wszystko, musimy być bardzo ostrożni, inaczej skończymy w dole z wapnem.

Tym razem ją przestraszył.

-- Co ty gadasz? Czy ty się dobrze czujesz?

-- To jest potężna organizacja, która bawi się w zabijanie ludzi dla rozrywki. Wszystko odbywa się w tutejszych lasach, dlatego mają tu obstawione wszystkie urzędy i służby. Ukręcą sprawie łeb, jak tylko coś wypłynie. Musimy zdobyć więcej dowodów.

-- Co zamierzasz zrobić? I co Jakub ma z tym wspólnego?

-- Jest sprzątaczem.

-- Czym?

-- Utylizuje zwłoki.

Przez następną minutę podkomisarz Walerczyk to otwierała usta, to je zamykała, tarła dłonią policzki, przecierała oczy, co w połączeniu z milczeniem świadczyło najpewniej o poważnych procesach myślowych zachodzących w jej mózgu. Najwidoczniej napięcie elektryczne w neuronach nie było wystarczająco wysokie i do niczego mądrego nie doszła. Tymczasem dojechali pod bramę dawnego zakładu wulkanizacyjnego Jakuba Bońskiego. Adrian zaparkował przy drodze kilka metrów dalej. Sięgnął ręką do tyłu i podał jej latarkę.

-- Co ty zamierzasz zrobić? -- zaniepokoiła się.

-- Muszę mieć więcej dowodów, dlatego przeszukam ten budynek. Poza tym potrzebuję świadka.

-- Chyba zwariowałeś! Będziesz miał spore kłopoty, a ja razem z tobą, jesteś zawieszony.

-- Stawka jest bardzo wysoka i to mnie na pewno nie powstrzyma. -- Skrzywił się pogardliwie.

-- Nie mogę ci na to pozwolić! -- podniosła głos.

-- I co zrobisz? Zastrzelisz mnie czy wezwiesz swoich skorumpowanych kolegów, a oni mnie odstrzelą? Kto wie, może stukną też ciebie, żeby nie mieć kłopotów?

Nie czekając na to, co mu odpowie, wysiadł i przymknął drzwi najciszej, jak potrafił.

-- Niech cię szlag! -- Walerczyk też wyskoczyła z auta i stanęła obok niego. -- I co teraz?

Rozejrzał się. Tak, jak podejrzewał wcześniej, zaniedbane budynki mieszkalne po drugiej stronie ulicy tonęły w ciemnościach, jakby już dawno nikt tam nie mieszkał. Pewnie Boński zadbał o to, żeby w promieniu kilkuset metrów od jego głównej siedziby nie było żadnych niepotrzebnych świadków. Ulica była pusta, jakby po zmroku nikt tędy nie jeździł, księżyc nie przebijał się zza chmur, zro-

biło się wyraźnie chłodniej. Gdzieś daleko szczekały psy i łuna światła od hal Druteksu oświetlała połowę nieba. Jasno było nawet tu.

Irmina Walerczyk stała obok niego, jakby ogarnięta nagłym bezwładem rąk i nóg. Wyciągnięcie z kabury pod pachą walthera też poprzedzone było walką z samą sobą. Spojrzała na Adriana. Szot w tym czasie zakręcił się po okolicy. Zajrzał przez szpary w bramie na pograżone w półmroku podwórze, przeszedł od jednej krawędzi płotu do drugiej, szukając odpowiedniego miejsca do sforsowania ogrodzenia. W pewnym momencie czarne auto z przyciemnionymi szybami przejechało szybko drogą i czerwone światła mignęły za drzewami. Policjantka trochę zeszywniała, jednak rozluźniła się, kiedy zniknęły w oddali. Szot nie zwrócił uwagi na całe zajście. Już piął się po murze, wykorzystując do tego ubytki w ceglach i rosnące obok drzewko. Po dwóch chwilach był po drugiej stronie. Kilkanaście sekund później Walerczyk zeskoczyła na ziemię obok niego.

-- Możemy się jeszcze wycofać... -- zaczęła, lecz pokazał jej, żeby była cicho.

Mocniej zacisnęła dłonie na rękojeści pistoletu, długo i kwieście klnąc pod nosem. Więcej się nie odezwała. Adrian na migi pokazał jej kierunek. Ona spenetrowała okolice sterty opon przy ogrodzeniu i zarośnięte trawą składowisko złomu, on pokręcił się wokół hali. Znalazł okienko, przez które można było wejść do środka. Wystarczyło oderwać płytę wiórową, która była już tak zniszczona przez zmienne warunki atmosferyczne, że sama się rozpadła przy pierwszym szarpnięciu. Walerczyk nadal nie była przekonana, czy dobrze robią. Co chwilę starała się jednak przekonać Szota, że to nie jest dobry pomysł i że trzeba działać inaczej. Nie dał się przekonać. Znowu klnąc na czym świat stoi, weszła zaraz za nim przez uszkodzone okno.

W środku panował dziwny zaduch. Trochę wilgoci, cząstka stęchlizny, może jakiś smar albo benzyna i coś jeszcze, czego nie można było zidentyfikować. W Adrianie to ostatnie wzbudziło najgorsze przeczucia. Walerczyk też musiała sobie coś pomyśleć, bo nagle zamilkła i zrobiła się bardzo ostrożna. Może nawet przestraszona.

Pierwsze pomieszczenie miało kilkanaście metrów długości i szerokości i było wysokie na kilka metrów. Wszędzie walały się stare opony, zardzewiałe części samochodowe, pod ścianami stało kilka ogołoconych ze wszystkiego szkieletów pojazdów nieznanymi markami, jakby kiedyś usługi oponiarskie były tylko przykrywką dla dziupli.

Następne pomieszczenie wyglądało inaczej. Tym razem sterty opon wysypane były na środku i piętrzyły się prawie pod sufit. Obejrzel je z dwóch stron.

Nagle z pierwszego pomieszczenia dobiegł ich uszu jakiś szelest, potem lekki stuk metalu o metal i zapadła cisza. Zastygli, ramię w ramię, zaniepokojeni.

-- Co to było? -- szepnęła policjantka.

Szot nasłuchiwał przez dłuższą chwilę, lecz żaden dźwięk już do nich nie dotarł. Wzruszył ramionami.

-- Chyba nie ma się czym przejmować -- rzucił.

Walerczyk była innego zdania.

-- Słyszałam kroki...

-- To twoja wyobraźnia, tam jest kupa złomu i... szczury.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz skierował snop światła w kierunku kilku beczek stojących równo na paletach pod ścianą. Wyglądały na nowe i aktualnie użytkowane.

-- Ciekawe, co tam przechowują.

Podeszli bliżej. Szot kopnął jedną z beczek.

-- Pełne.

-- Może to jakieś stare oleje silnikowe.

Adrian zbliżył się do jednej i pociągnął nosem.

-- Śmierdzi jak kwas -- rzucił.

-- Po co tu kwas?

-- Do utylizacji.

Popatrzyli na siebie, a potem Walerczyk znowu długo klęła pod nosem. Szot nie dał jej przetrwać tej informacji w spokoju. Zaraz rzucił jej jeszcze bardziej szokujące zdanie:

-- Myślę, że twój znajomy część zwłok pali w piecu.

-- Co?! -- Wytrzeszczyła na niego oczy. -- Przecież śmierdziałoby na całą okolicę!

-- Może ma nowy piec? Z jakimiś filtrami na komin.

-- Ty jesteś nienormalny! -- wybuchnęła. -- Cholera, co ja tu robię w środku nocy z niezrównoważonym psychicznie facetem?

Podszedł do małych drzwiczek w ścianie, otworzył je, poświecił do środka, a potem spojrział na nią beznamiętnie.

-- Obawiam się, że mam rację i to nie ja jestem świrem -- oznajmił.

Zajrzała do środka i zrobiła się zielona na twarzy, oczy jej zablęśły, z trudem przełykała ślinę. Znowu dobiegł ich jakiś hałas, ale

przecież stara i przerdzewiała hala mogła wydawać różne dźwięki. Dlatego poszli dalej. Ostatnia część hali była dużo mniejsza niż poprzednie. Okna wyodrębnionych kilku pomieszczeń biurowych zabito na stałe deskami. Ale nowe metalowe drzwi z wielką sztabą i kłódką sugerowały raczej, że takie działanie było świadome i nie wynikało ze starości. Właściciel hali bardzo nie chciał, żeby ktoś tam zaglądał. Przed metalowymi drzwiami stało zaparkowane terenowe auto. Szot drgnął mimowolnie. To było to samo auto, które znał już z zapisu wideo. Samochód Jakuba Bońskiego.

-- Zamknięte -- powiedziała Walerczyk, świecąc na kłódkę w drzwiach.

-- Znasz to auto? -- zapytał.

Skrzywiła się, jakby za wszelką cenę starała się nie dostrzec samochodu. Miała dziwną minę. O ile wcześniej wydawała się zdenerwowana i trochę przestraszona, o tyle teraz jej postawa się zmieniła. Twarz zastygła jak gipsowa maska, usta zacisnęły się w wąską szparę, w oczach błyszczała determinacja. Nawet głos przestał jej drżeć.

-- Należy do Jakuba Bońskiego -- przyznała. -- Ale chyba go tu nie ma.

-- Zajrzyjmy do środka.

-- Chyba nie powinieneś tego robić -- powiedziała twardo.

Szot ją zignorował. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i nacisnął na klamkę bagażnika. Samochód był otwarty. Kłapa wolno się podniosła. Policjant się skrzywił, kiedy światło jego latarki zawędrowało do środka. Bagażnik był pusty, ale na grubej białej folii, którą wyściełano podłogę i ścianki, wyraźnie było widać niepokojące ciemne plamy i rozmazy. Adrian przyjrzał im się uważnie.

-- Krew -- rzucił, nie patrząc do tyłu.

Sekundę później poczuł, jak coś zimnego i twardego uderza go w potylicę.

-- Rzuć broń, bo strzelę -- warknęła Walerczyk całkiem zmienionym głosem. -- Kurwa, nawet się nie zawaham. Do góry łapy i odwróć się powoli przodem do mnie -- dodała, kiedy glock wydał głuchy odgłos, upadając na beton.

Odwrócił się wolno i spojrzał jej w oczy. Była rozdrażniona, wściekła, może trochę przestraszona.

-- Nie powinieneś być taki dociekliwy -- mówiła z zacięciem. -- Byłeś już spakowany, mogłeś wyjechać i żyć spokojnie gdzieś indziej.

Zawsze byłeś taki męczący?

-- Zawsze -- odpowiedział szybko. -- Zawsze miałem też intuicję i na kilometr wyczuwałem sukinsynów i zdrajców.

-- To wcale nie jest zła cecha, tylko teraz na nic ci się nie zdała. Po co się tu pchałeś, Szot? Za dużo widziałeś, nie mogę cię stąd puścić.

-- I co, spalisz mnie w piecu czy rozpuścisz w kwasie?

Miał wrażenie, że coś drgnęło na jej twarzy. Jednak w jej postawie nic nie złagodniało, nadal była pewna i zdecydowana na wszystko. Gdzieś w oddali w ciemnościach znowu rozległ się jakiś dźwięk. Popatrzyła w tamtą stronę spięta, ale Adrian nie spuszczał jej z oka.

-- To mnie nie dotyczy -- powiedziała. -- Ja nie wiem, co tu się dzieje. Ja tylko czuwam, żeby nikt niepożądany za mocno nie interesował się tym miejscem.

Szot uśmiechnął się zimno.

-- To jest współudział w masowym morderstwie -- powiedział. -- Tak czy inaczej, dożywocie.

-- Zamknij się...

Nie skończyła. Nagle zalały ich snopy światła, na betonie rozległ się tupot wielu ciężkich butów. Zanim rozległy się krzyki, Adrian wykorzystał chwilowe rozproszenie Walerczyk, zszedł z linii strzału, doskoczył do niej, wytrącił jej broń z ręki i powalił ją jednym ciosem pięści.

-- Rzuć broń!

-- Gleba!

-- Na glebę!

Krzyczało kilku funkcjonariuszy oddziału antyterrorystów, którzy wynurzali się nagle z mroku i otoczyli ich, oślepiając mocnymi latorkami. Dwóch natychmiast leżało na policjantce, skuwając jej ręce za plecami, reszta skupiła się na Adrianie. Uniósł ręce nad głowę, pokazując, że nie jest uzbrojony, i już klęczał na betonie, żeby ich niepotrzebnie nie prowokować. W takich chwilach nawet najtwardszym funkcjonariuszom mogą puścić nerwy.

-- Ten jest nasz! -- krzyknął dowódca i pozostali natychmiast przestali się nim interesować. -- Przeszukajcie teren, może jest jeszcze jeden. Wszystko w porządku, Szot? -- zwrócił się do Adriana.

-- W najlepszym.

Pomieszczenie zalało jasne światło, kiedy ktoś znalazł główny włącznik. Aspirant Szot, mrużąc oczy, przyklęknął przy skutej podkomisarz Walerczyk i uśmiechnął się do niej chłodno. Leżała twarzą do ziemi i zezowała na niego jednym okiem, ciągle jeszcze zszokowana. Miała zakrwawione i puchnące wargi. Podciągnął koszulkę i pokazał jej przyklejony na piersiach mikrofon.

-- Przykro mi, sama się do wszystkiego przyznałaś -- powiedział z zimną satysfakcją w głosie. -- Teraz masz tylko dwie opcje. Albo cię puścimy, a oni cię odstrzelą, albo będziesz współpracować, a my cię gdzieś ukryjemy. Masz kilka minut do namysłu.

Odprowadziła go wściekłym spojrzeniem. Jeszcze z odległości kilku metrów słyszał jej świszczący, przestraszony i pełen gniewu oddech. W tym momencie przypomniał sobie słowa matki. Powtarzała, że zawsze osiąga się zamierzony cel, trzeba być tylko wytrwałym i zdecydowanym, a wtedy los ci jednak trochę pomaga. Jeszcze kilkanaście godzin temu miał nadzieję, że oddział kominiarzy zapuka kiedyś do Walerczyk o szóstej rano taranem i z granatami hukowymi. Nie musiał długo czekać, żeby to życzenie się spełniło.

Wyszedł przed budynek. Brama była zamknięta, ale wcześniej kłódka została przecięta i na podwórze wjechali antyterrorysty, a za nimi czarne audi z przyciemnionymi szybami. Stał przy nim wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce i palił papierosa, wpatrując się w zachmurzone niebo. Szot podszedł do niego pewnym krokiem.

-- Co z Jakubem Bońskim? -- zapytał.

Komisarz Pawelec tylko pokręcił głową i podał mu paczkę z fajkami. Adrian nie palił, jednak teraz wziął jedną i po chwili nerwowo zaciągnął się dymem.

-- Zniknął -- odpowiedział krótko funkcjonariusz Biura Spraw Wewnętrznych. -- Nikt nie mógł wiedzieć, że mamy film i że go namierzamy. Wiesz, co to oznacza?

Adrian znów się zaciągnął i skrzywił się z niesmakiem. Gorycz i szczypanie w język zabijały przyjemność palenia, jednak nie wyrzucił papierosa.

-- Mamy w ekipie kreta -- wycedził przez zęby.

-- I to w kręgu najbliższych kilku osób. Akcja trwała za krótko, żeby informacja rozeszła się szerzej.

-- Jasna cholera, może to przypadek?

-- Jest szansa, że to Walerczyk go ostrzegła, sprawdzimy jej telefon.

-- Specjalnie ją wszędzie ze sobą ciągnąłem, bo bałem się, że nabierze podejrzeń. To nie ona.

Dokończyli w milczeniu palenie, patrząc na ekipę antyterrorystów, ciągle kręcących się po terenie.

-- Co z tym zrobimy? -- zapytał Szot.

-- Ślady są zbyt poważne, żeby zamietli to pod dywan. Będzie grube i głośne śledztwo. Pewnie Jakub Boński zostanie kolejnym serijnym mordercą i pewnie przez przypadek powiesi się w celi podczas snu na własnym prześcieradle, na którym ciągle będzie leżał, zanim złoży jakiegokolwiek zeznania. On o tym wie, i to może być nasza szansa.

-- Musimy dopaść go pierwsi i zaproponować ochronę w zamian za zeznania -- domyślił się Szot.

-- Może nawet wolność w zamian za zeznania.

Pawelec popatrzył badawczo na Adriana, któremu mięśnie szczęki zagrały niebezpiecznie pod skórą. Z trudem się opanował i nic nie powiedział.

-- Adrian, tylko w ten sposób dopadniemy organizatorów polowań na ludzi. Boński jest tylko czyścicielem i robi to za kasę. To nie on to wymyślił, nie on to organizuje i nie on poluje. Pewnie teraz na jakiś czas polowania ustaną, może ustaną na zawsze. To też jest jakiś nasz sukces.

-- Rozumiem -- odezwał się Szot po długiej pauzie. -- Co z Walerzyk?

-- Nasi ludzie właśnie są w jej mieszkaniu i ją pakują. Znajdą się świadkowie, że mieliście romans, a ponieważ ty byłeś żonaty, to pewnie uciekliście razem pod osłoną nocy.

-- Słabe to. -- Adrian się skrzywił.

-- Ale zaciemnimy trochę rzeczywistość i zyskamy na czasie.

Milczeli dłuższą chwilę. Od strony hali nadeszło dwóch współpracowników Pawelca, którzy przez ostatnie godziny byli czymś w rodzaju ochrony dla Szota.

-- Możemy dzwonić na policję. Anonimowe zgłoszenie.

-- Zaraz, zapalimy jeszcze po jednym, a Adrian w tym czasie zniknie.

Szot pokiwał głową i nie oglądając się, ruszył w kierunku bramy. Kiedy mijał ją wolno, widział ogniki trzech papierosów w ciemnościach. Po chwili mocniej nacisnął pedał gazu. Miał nadzieję, że już tu nie wróci.

Część druga

DEMONY W GŁOWIE

1

-- Jak się czujesz?

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski przewrócił się na bok i spojrzał w czarne jak węgle oczy Renaty Wieczerek. Bolało jak cholera. Przez ból nie spał prawie całą noc, w objęcia Morfeusza wpadając dopiero nad ranem, lecz też nie na długo. Mimo to nigdy nie czuł się lepiej.

-- A co? Sprawdzasz, czy już nie musisz się mną opiekować? -- żartował.

Ona jednak pozostała poważna.

-- Uratowałam ci życie, więc jestem teraz za ciebie odpowiedzialna. -- W jej spojrzeniu naprawdę dostrzegł niepokój. -- Tymczasem spuściłam cię na chwilę z oczu i od razu wróciłeś z pokiereszowaną ręką i twarzą, jak po starciu z Mikiem Tysonem.

Miała rację. Wargę nadal miał opuchniętą, łuk brwiowy zaklejony plastrami, siniec na oku był na etapie zmiany koloru na ciemnoniebieski, a poobijane żebra dawały o sobie znać nawet przy głębszych wdechach.

-- Taka praca -- jęknął.

-- Nie zmieniaj tematu, praca nie ma tu nic do rzeczy. Praca jak każda inna, tylko ty masz tendencję do ściągania na siebie kłopotów.

Pewnie miała rację. Jak dotąd jego życie składało się z pracy i krótkich okresów odpoczynku, w których myślał o pracy. Do tej pory podświadomie niszczył wszystko dobre, co udało mu się zbudować w prywatnym życiu. Jego dewizą była maksyma, że jeśli się chce iść do przodu, musi boleć. Dopiero redaktor Renata Wieczerek, zwana przez kolegów motocyklistów Ritą, skłoniła go do refleksji, że takie zasady nie są jednak najlepsze. To one odcinają go od innych, zdecydowanie bardziej pozytywnych sfer życia i zamykają w klatce: dom, praca, dom, spanie i dalej praca. Przez lata było mu trudno uwolnić się z tej klatki i zrozumieć, że to, co robi, jest oczywiście ważne, ale nie najważniejsze. Jego dotychczasowe życie było dreptaniem w miejscu, marazmem, stagnacją. Tracił przyjaciół, znajomych, poluzował kontakty z rodziną, kobiety, z którymi się wiązał, prędzej czy później odchodziły. Pracoholizm? Pewnie tak. Dlatego kiedy Renata zjawiła się niedawno w jego życiu, postanowił, że od teraz będzie inaczej. Tylko czy naprawdę było? Patrząc w tej chwili na jej minę, zgadywał, że na razie nie szło mu najlepiej.

-- Rita... -- zaczął, ale ona położyła mu palce na ustach i uśmiechnęła się ciepło.

-- Nie tłumacz się -- powiedziała. -- Wiem, że z twoją pracą nie wygram. Ja chcę tylko, żebyś o mnie pamiętał i zawsze do mnie wracał.

Wysunęła się spod kołdry i delikatnie się do niego przytuliła. Czuł jej ciepły oddech na piersiach i to dlatego, mimo że czuł się źle, było mu tak dobrze.

Renata przyjechała do niego wieczorem i została na noc. Pisała artykuły do prasy jako wolny strzelec, nie musiała rano wstawać, a on zrobił sobie wolne. I nie wróci tak szybko. Szef Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu zawiesił Marcina i czekało go postępowanie dyscyplinarne. Może nawet delikatnie zasugerują mu, że w policji nie jest już mile widziany, i będzie musiał odejść na wcześniejszą emeryturę. Czuł się dość dziwnie z taką perspektywą, jednak Renata była zadowolona. Wcale jej się nie dziwił. Przynajmniej nie będzie takich sytuacji jak ta ostatnia. Postanowili spróbować być ze sobą, a po trzech dniach on zniknął na całą noc i w tym czasie prawie zginął. Gdzie tu spokój i stabilizacja?

Jakąś pracę sobie znajdzie, o tym był przekonany. Miał wielu znajomych, którzy nieraz namawiali go do współpracy, jak tylko odejdzie wreszcie z policji. Mimo wszystko dziwnie się czuł z myślą, że czeka go w życiu rewolucja porównywalna do tej przed wiekami we Francji. Miał nadzieję, że nie stanie się ofiarą własnej rewolucji i nie zostanie zgilotynowany publicznie na głównym placu.

Śniadanie jedli w milczeniu. Renata zrobiła grzanki. On jadł z żółtym serem, a ona na słodko z dżemem, on pił kawę, ona herbatę, on wyglądał, jakby z samego rana wpadł do pralki, która go odwirowała i wypluła, ona zdążyła już ułożyć włosy po spaniu i zrobić delikatny makijaż. Pewnie starała się dla niego, on nawet nie pomyślał, jak niekorzystnie musi wyglądać o poranku. Wszystko ich dzieliło, ale przecież w życiu to przeciwieństwa się przyciągają. Przynajmniej on tak zawsze miał. Wiązał się nie z tymi kobietami co trzeba. Może teraz wreszcie los podstawił mu pod nos nagrodę za wieloletnie umartwianie się i nie planuje dać mu kijem po plecach, jak to wcześniej bywało.

Jedli i zerkali na siebie. To była dla nich zdecydowanie nowa sytuacja i pewnie z boku mogła wyglądać dziwnie, ale byli chyba trochę skrepowani. Renata wpadła w oko Marcinowi już dawno, jednak

wszystko się zmieniło, kiedy uratowała mu życie. Zresztą wtedy cały jego świat przewalił się na drugą stronę, wiele niszcząc, ale też wiele odkrywając.

-- Dlaczego tak mi się przyglądasz? -- zapytała.

Miał pełne usta, więc wskazał tylko palcem na swój policzek.

-- Ubrudziłam się?

Wytarła policzek dłonią, lecz nic na nim nie było. Pokazał jej drugi. Wytarła szybko czerwoną plamkę i uśmiechnęła się rozbijającą. To było słodsze od dżemu, którym smarowała grzanki. Zakrzewski nagle pomyślał, że u niego też może być jeszcze normalnie, chociaż miał złe przeczucia. Było za dobrze, żeby to mogło trwać dłużej, nie u niego, nie w tym chaosie, który dotąd nazywał życiem.

Nie zdążył zapomnieć o tej refleksji, kiedy z sypialni dobiegł go największy hit Led Zeppelin *Whole Lotta Love*. Renata znieruchomiała, jakby tknięta złym przeczuciem, a on tylko uśmiechnął się do niej i poszedł odebrać. Nieznany numer.

-- Zakrzewski z tej strony. -- Jego głos zabrzmiał wyjątkowo mocno i zdecydowanie. Odstraszająco.

-- Mówi prokurator Andrzej Falewicz z Prokuratury Rejonowej w Krakowie. -- Mężczyzna miał sympatyczny i pełen wewnętrznej energii głos. -- Panie nadkomisarzu, żeby nie przedłużać, w dwóch słowach. Chciałbym pana zaprosić do siebie, do Krakowa, żeby pomógł mi pan w pewnej sprawie.

-- Nie mogę do was przyjechać. -- Marcin pokręcił głową, mimo że rozmówca nie mógł tego widzieć. -- Oficjalnie jestem zawieszony. Trwa postępowanie.

-- A co się stało? -- Prokurator wydawał się autentycznie zaskany.

-- Chciałem pobić szefa, ale niestety mi się nie udało.

-- To się da załatwić, panie nadkomisarzu. -- Zakrzewski miał wrażenie, że jego rozmówca uśmiecha się pod nosem.

-- I mam połamane ręce.

To stwierdzenie najwyraźniej jeszcze bardziej rozbawiło Falewicza.

-- Bez obaw. Kupimy panu bilet na pociąg, kawę zrobimy, a w razie potrzeby ktoś nakarmi pana kanapką.

Kim był prokurator Falewicz? Marcin bezskutecznie starał się wygrzebać jakieś związane z nim wspomnienie z otchłani pamięci i wychodziło mu na to, że jeszcze nigdy się nie spotkali. Mimo to po-

czuł do faceta po drugiej stronie linii coś w rodzaju sympatii od pierwszego zamienionego z nim słowa. Jakby znali się od lat i rozumieli bez słów.

-- Po co jestem wam potrzebny? -- zapytał.

-- Sprawa o zabójstwo. Zastrzelony został szanowany w Krakowie lekarz. Sprawca powiedział, że będzie rozmawiał tylko z panem.

Zakrzewski się zdziwił. Jednocześnie pojawił się niepokój, który natychmiast przerodził się w strach. Obejrzał się. Renata stała na progu sypialni i patrzyła na niego smutno. Niech to szlag trafi! Cholerna praca!

-- Kto to jest? -- zapytał ostrożnie.

-- To taki dziwny osobnik. Można by powiedzieć, że pustelnik. Nazywa się Tadeusz Majer i podobno się znacie.

Marcin Zakrzewski zamilkł na długą chwilę i słychać było jedynie jego ciężki oddech. Coś eksplodowało w jego głowie, niszcząc trwający zaledwie kilka dni spokój i początki harmonii. Cholerny los, znowu z niego zakpił. Demony wypełzły z najciemniejszych zakamarków jego duszy i zagnieździły się w środku głowy. Obrazy z przeszłości przysłoniły na moment wszystkie inne. Widział zmumifikowaną kobietę w starym tapczanie, mężczyznę przybitego do drzewa wielkim gwoździem przez oczodół, patrzył w lufę pistoletu trzymanego w dłoniach przez Satyra i widział, jak błyska ogniem. Widział fotografię aspiranta Adama Wiliczkowskiego, siedzącego w samochodzie z przestrzeloną głową. Wreszcie znowu całował się w taksówce z Iloną Marzec, a potem patrzył na fotografie, na których leżała na podłodze w wielkiej kałuży krwi.

Zakręciło mu się w głowie, obrazy zawirowały, demony w głowie zawyły i zaczął kłąć cicho pod nosem. Co tam się stało, w tym Krakowie, do kurwy nędzy?

Po chwili umilkł i wtedy górę w nim wziął stary Zakrzewski, ten, któremu właśnie wypowiedział wojnę, ten, dla którego miała znaczenie tylko praca i nic poza nią, ten, który nie liczył się z niczym i z nikim.

-- Koleżanka z pracy mnie podwiezie. Będę u was za trzy godziny.

-- Marcin...

Spojrzał na Renatę i włączyło mu się myślenie. Otrzeźwiał. Przecież jego świat wywalił się do góry nogami, nie może zacząć budować go od nowa po staremu. Coś trzeba zmienić. Za chwilę dał o sobie znać zdrowy rozsądek. Przecież Marek Piekło opowiedział mu, jak

działa cała organizacja, a on go nie posłuchał, zlekceważył, poszedł wtedy do Ostaszewskiego i przez niego zginęli Wiliczkowski i Ilona Marzec, a on i Karina Buczko cudem uniknęli śmierci. Piekło zastrzelił jakiegoś lekarza? Nie zrobił tego bez powodu. Zakrzewski musi działać ostrożniej, nie może, jak kiedyś, walić głową w mur, czekając, co pęknie pierwsze -- głowa czy mur. Teraz była jeszcze Renata. Dużo do stracenia, niewiele do zyskania. Czy rozbicie grupy, która od lat organizuje sobie polowania na ludzi, to jest niewiele? Jeśli miałby położyć na przeciwległej szali wagi Renatę Wieczorek? Tak, do stracenia miał o wiele więcej niż do zyskania. Musi działać inaczej. Na pewno ostrożniej, subtelniej, nie narażając siebie i swoich najbliższych. Co tak naprawdę wiedział o prokuratorze z Krakowa? Kim był i po czyjej stronie stał? Czy można mu zaufać w sytuacji, kiedy nikomu nie można ufać? Nie ma już powrotu do starego Zakrzewskiego.

-- Panie nadkomisarzu? -- Głos Falewicza przywrócił go do rzeczywistości.

-- Przepraszam, panie prokuratorze, ale chyba jednak nie mogę do pana przyjechać -- powiedział i na twarzy Renaty dostrzegł ulgę.

Marcin też poczuł się jakby lżej. Musi się zmienić, dużo przemyśleć.

-- Och... przykro mi, myślałem, że będzie pan zainteresowany. -- Falewicz nie krył rozczarowania w głosie.

-- Przepraszam, muszę to najpierw przemyśleć.

Zakrzewski rozłączył się bez pożegnania i odruchowo wsadził aparat do kieszeni spodni. Dzwonek. Musi zmienić dzwonek w telefonie na jakiś inny, normalny, nie Led Zeppelin ani żaden rockowy zespół. To będzie wielki krok do zmiany samego siebie i swoich przyzwyczajzeń.

Renata pociągnęła go delikatnie za rękę.

-- Zrobiłam ci jeszcze jedną kawę.

2

Prokurator Andrzej Falewicz był nie w ciemną bity. Szybko doszedł do wniosku, że sprawa zabójstwa lekarza śmierdzi na sto kilometrów. Niby prosta sytuacja. Facet wchodzi do gabinetu lekarza, coś mówi, potem wyciąga broń, trzy razy pociąga za spust, odkłada broń na stolik i spokojnie czeka, aż przyjedzie policja. Tylko że już w podstawowej warstwie tej historii zaczynały się dziać dziwne rzeczy.

Gabinet ofiary składał się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym doktor rozmawiał z pacjentem, więc była w nim kamera monitoringu, w drugim nie było, ponieważ tam przeprowadzał badanie i trzeba było pacjentowi zapewnić anonimowość. I jak na złość dzień wcześniej doszło do dziwnego uszkodzenia kamery, więc moment zabójstwa nie został zarejestrowany. Ponadto pielęgniarka, która przebywała w pomieszczeniu obok i była głównym świadkiem zdarzenia, zmieniła swoje zeznania. Do tego podkomisarz Bogucki z kolegami tak zamieszali w papierach, że pierwsze zeznanie, w którym twierdziła, że nie widziała dokładnie, co się stało, nie trafiło do protokołu, tylko pozostało w notatniku policjanta. Bogucki przez przypadek zostawił ten notes na biurku prokuratora, a ten do niego zajrzał i mocno się zdziwił. Na razie prokurator nie przyznał się do tego przed Boguckim, ale stracił do niego zaufanie i zaczął baczniej przyglądać się temu śledztwu. Zdecydował też, że większość czynności przeprowadzi sam, rezygnując z pomocy policjantów.

Dlatego teraz sam jechał do matki ofiary, tłukąc się od pół godziny w korkach na Kazimierz. Niby z komendy wojewódzkiej było niedaleko, ale korki wszystko psuły. Gdyby pojechał komunikacją miejską, pewnie byłby szybciej. No cóż, co się stało, to się nie odstanie.

Kolejną sprawą były odciski palców na broni. Nawet technik w raporcie napisał, że są dziwne. Pistolet był czysty, jakby ktoś wcześniej dokładnie go wytarł, i znaleziono na nim tylko pojedynczy odcisk dłoni Tadeusza Majera. Do tego dość niewyraźny. Gdyby strzelał, musiałby mocniej ująć kolbę pistoletu, bo inaczej nie miałby tyle siły, żeby nacisnąć na spust. Akurat w tym modelu broni sprężyna jest bardzo sztywna. Zresztą zlecił już technikom zbadanie jej oporu przy naciskaniu na spust. No i jeszcze raport z balistyki, a właściwie jego brak przez kilkanaście godzin. Laboratorium tłumaczyło się ja-

kimiś obiektywnymi problemami, które jednak nie uśpiły czujności prokuratora. Nigdy się jeszcze nie spotkał z taką dziwną sytuacją. Jakby ktoś tam u nich się zastanawiał, co napisać, żeby było dobrze. A przecież to powinno być dość proste. Trzy strzały z bliskiej odległości, nad czym się tu zastanawiać? To też nie zrobiło na Falewiczu dobrego wrażenia.

Kolejna dziwna sprawa była związana z zabezpieczeniem śladów na miejscu zbrodni. Każdy wystrzał z pistoletu pozostawia mikroślady również na dłoni i ubraniu osoby naciskającej na spust. Majer został przebadany na tę okoliczność, tylko że Falewicz znalazł dwa raporty na ten temat, powstałe w odstępie niecałych dwóch godzin. Pierwszy wskazywał na brak śladów prochu na ubraniu podejrzanego, a drugi zaprzeczał pierwszemu, wykazując, że takie ślady były. Oba zostały podpisane przez jednego technika. Podkomisarz Bogucki twierdził, że to jakiś nowy w zespole i nie ma co robić awantury, bo się po prostu pomylił.

Najważniejsza sprawa. Motyw, a właściwie jego brak. Śledczy napisali, że motywem była zemsta po latach, ponieważ pielęgniarka usłyszała, jak sprawca pytał ofiarę, czy go pamięta. Znowu wszystko pięknie, ale co łączyło znanego w całym kraju profesora ortopedę z jakimś pustelnikiem i alkoholikiem, mieszkającym w drewnianej chacie w okolicach Cisnej? Jeśli miał do lekarza jakieś pretensje, dlaczego nie załatwił tego wcześniej, tylko przyjechał akurat tego dnia? Owszem, dopuszczał, że mogli znać się z przeszłości, więc mimo pewnej niechęci zlecił Boguckiemu i jego ludziom pogrzebanie w przeszłości Majera i Czerwińskiego. Jeśli w grę wchodziła zemsta, to kiedyś ich drogi musiały się już skrzyżować. I na tym skrzyżowaniu musiało dojść do poważnej kolizji, skoro nienawiść utrzymała się przez wiele lat i w końcu eksplodowała żądzą mordy. Już wiedzieli, że były sierżant Milicji Obywatelskiej Tadeusz Majer odszedł ze służby pod koniec lat osiemdziesiątych, pochodził z Bytowa, skąd został przeniesiony do Wrocławia.

W tak krótkim czasie nie udało im się znaleźć dużo informacji o podejrzanym, ale w policyjnej bazie danych znaleźli wzmiankę o tym, że Majer był przesłuchiwany we Wrocławiu w pewnej sprawie przez nadkomisarza Marcina Zakrzewskiego. Biorąc pod uwagę jego oświadczenie, że będzie rozmawiał tylko z Zakrzewskim, i jego uporne milczenie oraz fakt, że Zakrzewski najpierw zgodził się pomóc Falewiczowi, żeby zaraz się z tego wycofać, robiło się nie tylko

dziwnie, ale i podejrzanie. Prokurator pogrzebał trochę w policyjnych bazach danych i szybko dowiedział się, że Majer był przesłuchiwany w sprawie zabójstw z lat osiemdziesiątych, którymi zajmował się razem z kapitanem Markiem Piekłą. Falewicz słyszał o Marku Piekłe, dużo mu o nim opowiadał jego starszy przyjaciel, dawny prokurator jeszcze z czasów komuny.

Kiedy bardziej zainteresował się nadkomisarzem Zakrzewskim, dowiedział się o zamachu na jego ekipę śledczą, w którym zginęła dwójka policjantów, trzecia funkcjonariuszka została lekko ranna, a sam nadkomisarz ledwo wylizał się z dwóch ran postrzałowych w klatkę piersiową. O zamach zostali oskarżeni pracownicy ochrony Jerzego Ostaszewskiego, jednego z najbogatszych ludzi w kraju, który niedługo wcześniej zginął w kraksie na S5 pod Poznaniem. Teraz to już zrobiło się gorąco. Prokurator Falewicz potrafił dodać dwa do dwóch i w jego głowie zaczynał układać się obraz różnych powiązań i niedomówień. Niezwykle ciekawy i zastanawiający. Szybko doszedł do właściwych wniosków. Zakrzewski po prostu nie chce wracać do tamtych zdarzeń z obawy o życie swoje albo swoich bliskich, a Falewicz nie powinien zbyt ufać śledczym z policji.

Matka doktora Janusza Czerwińskiego mieszkała w kamienicy na ulicy Helclów. Oczywiście nie było gdzie zaparkować, więc wcisnął się w szparę między autami, blokując trochę pasy na przejściu dla pieszych. Nie przejął się tym za bardzo, niech ktoś z drogówki spróbuje wystawić mu mandat albo straż miejska odholuje mu auto, to zrobi im taką porotę, że jeszcze wnukom będą opowiadać o złym prokuratorze z Krakowa, na zmianę z legendą o Smoku Wawelskim.

Odnalazł właściwy numer na domofonie i zadzwonił. Szczęknęła zapadka i zamek puścił. Wspiął się po schodach świeżo wyremontowanej klatki schodowej, nie myśląc o niczym. Jak zwykle do ostatniej chwili nie planował, o co zapytać. To przychodziło już samo i jeszcze się nie zdarzyło, żeby coś pomiął. Miał po prostu taki dar. Potrafił też odgadywać uczucia i intencje ludzi, z którymi rozmawiał, a to bardzo pomagało na dalszym etapie śledztwa.

Otworzyła mu siwa, zgarbiona kobieta, licząca sobie na oko osiemdziesiąt lat. Ubrana była na czarno, wydawała się smutna i jakby skurczona, mętne od starości oczy zapadły się w czaszkę. Matka zawsze cierpi, kiedy umiera jej dziecko. Szczególnie w taki gwałtowny i, zdawałoby się, bezsensowny sposób. Przedstawił się, wszedł do środka i usiadł na wskazanym przez nią fotelu.

-- Pan prokurator życzy sobie herbaty? -- zapytała zgaszonym, ale czystym jak na swój wiek głosem.

-- Bardzo proszę, pani Czerwińska.

Staruszka zniknęła w kuchni, a on miał chwilę, żeby się rozejrzeć. Spory salon był jakby żywcem wyjęty z poprzedniego stulecia. Meble, zasłony, dywany, obrazy, ozdobne bibeloty na szafkach i półkach pochodziły co najmniej z połowy ubiegłego wieku. A nad wszystkim górował wielki ścienny zegar, którego wahadło cierpliwie odmierzało kolejne sekundy historii świata. Tik-tak, tik-tak, tik-tak. W panującej tu nienaturalnej ciszy ten dźwięk zdawał się hipnotyzować i usypiać. Falewicz miał wrażenie, że gdyby tylko zamknął teraz oczy, na pewno przeniósłby się w czasie o co najmniej sto lat. Na szczęście udało mu się przetrwać atak senności do momentu, kiedy Czerwińska wróciła z kuchni. Na srebrnej tacy przyniosła dzbanek i dwie porcelanowe filiżanki. Po chwili postawiła przed gościem parujący napój. Albo nie używała cukru, albo po prostu o nim zapomniała, bo usiadła naprzeciw prokuratora i patrzyła na niego wyczekująco. Napił się herbaty i zaczął:

-- Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani syna, proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

W odpowiedzi tylko skinęła lekko głową.

-- Wiem, że policja już u pani była, nie chcę pani za bardzo męczyć, ale czy mogłaby mi pani odpowiedzieć na kilka dodatkowych pytań?

-- Tak, proszę pytać -- odrzekła, wpatrując się w niego znad swojej filiżanki herbaty, nawet jej nie tknąwszy.

Falewiczowi przeleciało przez myśl, że o niej zapomniała.

-- Czy Janusz mógł mieć wrogów? -- zapytał ostrożnie.

Zamyśliła się i zaraz pokręciła głową.

-- Nie, on był dobrym człowiekiem, nikogo nie skrzywdził. Kochał ludzi -- odparła spokojnie i rzeczowo, ale tak jak matka kochająca syna miłością bezwarunkową i naiwną.

Opowiedziała jeszcze, jak jej syn pomagał biednym, jak robił darmowe operacje dla potrzebujących, których nie byłoby stać na drogie zabiegi, jak co roku włączał się do orkiestry Owsiaaka i inne takie ckiwe historyjki. Andrzej Falewicz słuchał uważnie jej słów, lecz w jego wyobraźni kształtował się trochę inny obraz doktora Czerwińskiego. Bardziej niż na bezinteresownego filantropa pasował mu na

człowieka, który chce odkupić ukryte przed całym światem winy. Dlatego w pewnym momencie zadał to jedno właściwe pytanie.

-- Zawsze taki był?

Czerwińska nagle zamilkła i znieruchomiała zaskoczona.

-- Nie bardzo rozumiem, o co pan pyta... -- stwierdziła ostrożnie.

-- Czy zawsze był dobrym człowiekiem, zawsze pomagał innym? Przecież młodzi ludzie czasem się buntują, chcą być niezależni, robią różne szalone rzeczy, jak nurkowanie, skoki ze spadochronem. Rozumie mnie pani?

-- Tak, ale Janusz był inny. On zawsze był dobrym dzieckiem -- powiedziała stanowczo.

Myśląc, że to nie był jednak dobry kierunek, Falewicz zastanawiał się już nad kolejnym pytaniem, tym razem o kobiety w życiu Czerwińskiego, gdy staruszka nagle drgnęła, jakby jakieś niespodziewane wspomnienie wystrzeliło z czeluści jej pamięci.

-- Chociaż kiedyś... -- zaczęła i nie dokończyła.

-- Tak?

Prokurator dopił herbatę, podczas gdy ta Czerwińskiej stygła nie-
tknięta.

-- Może ma pan trochę racji -- przyznała wreszcie.

-- To znaczy?

Najwidoczniej krytyka nieżyjącego syna przychodziła jej z wielkim trudem.

-- Kiedy poszedł na studia medyczne, zmienił się -- zaczęła cicho.

-- Był bardzo zdolny, pracował przy najlepszych specjalistach, szkolił się, był jednym z najzdolniejszych. I chyba zachłysnął się tą sytuacją. Stał się taki... butny, wszystko wiedział lepiej, nie liczył się ze zdaniem innych.

-- Pamięta pani, co wtedy mówił?

-- Nie, to dawno było. Chociaż, może... Pamiętam jedną naszą rozmowę przy niedzielnym obiedzie, bo on do mnie przychodził na obiady co niedzielę. Tylko że z każdym tygodniem był coraz bardziej zniecierpliwiony i obiady trwały coraz krócej. Jakby szkoda mu było czasu dla matki. No i kiedyś rozmawialiśmy, a on powiedział, że lekarz w pewnych okolicznościach staje się panem życia i śmierci swojego pacjenta, jak Bóg.

-- Dlaczego to pani utkwilo w pamięci? -- dopytywał Falewicz.

-- To wtedy nie był mój syn, był jakiś obcy, nie poznawałam go. Może to wszystko dlatego, że parę dni wcześniej, kiedy pytałam go,

kiedy będzie miał żonę, bo chcę jeszcze doczekać się wnuków, przyznał się wreszcie do bycia gejem. Od tego czasu był jakiś taki... -- zawałała się -- ...nie mój.

-- Czy jeszcze kiedyś wracaliście do tego tematu?

-- Nie, bo niedługo potem wyjechał na Kaszuby.

Prokurator Falewicz drgnął, aż pusta filiżanka, którą właśnie odstawił, zadzwoniła o spodek.

-- To był jakiś ważny wyjazd? -- Starał się, aby jego głos zabrzmiał jak najbardziej obojętnie, żeby nie spłoszyć staruszki, okazując niezdrowe emocje.

-- Nie, po prostu wyjechał na kilka dni ze znajomymi, odpocząć. Tak mi powiedział. Ale ja podejrzewam, że pojechał tam z jakimś, że tak powiem... przyjacielem. No i wyjazd im się nie udał. Janusz wrócił przygaszony, jakby przestraszony, niczego nie chciał powiedzieć. Nie pytałam, bo myślałam, że to zawód miłosny. Zresztą on nigdy nie przedstawiał mi swoich partnerów. Dowiadywałam się od znajomych albo rodziny.

-- Co pani ma na myśli, mówiąc "przestraszony"?

-- No, tak jak mówiłam: przestraszony. A potem się zmienił.

-- Jak to? -- Andrzej uniósł delikatnie brwi.

-- Po kilku tygodniach, kiedy doszedł do siebie, kiedyś przeprosił mnie za swoje wcześniejsze zachowanie, bo zrozumiał, że się mylił. Lekarz nie decyduje o życiu lub śmierci pacjenta, żaden z ludzi nie ma do tego prawa. Lekarz za wszelką cenę musi temu pacjentowi pomóc jako osobie chorej i cierpiącej. Od tej pory się zmienił, stał się dobrym, pełnym empatii lekarzem i człowiekiem. I takim został do końca. Naprawdę nie miał żadnych wrogów.

Prokurator miał co do tego inne zdanie. Chwilę analizował jej słowa, lecz na razie nie potrafił sensownie poukładać faktów.

-- Pamięta pani, dokąd wtedy pojechał na tych Kaszubach?

-- Niestety. Powiedział tylko, że kilka dni w lesie dobrze mu zrobi. Może mówił o jakiejś leśniczówce?

Falewicz dopytał jeszcze o kilka rzeczy, wreszcie podziękował za herbatę, przeprosił za kłopot, jeszcze raz złożył szczerą kondolencję i wyszedł na korytarz z dzwonekami alarmowymi pod czaszką. Tadeusz Majer pochodził z Kaszub i zaczął swoją służbę w komendzie milicji w Bytowie na Kaszubach. Ciekawe.

Na ulicy dobiegł go sygnał telefonu komórkowego. Był taki zamyślony, że dopiero po chwili poznał dzwonek w swoim aparacie. Ode-

brał w ostatnim momencie. Nawet nie zdążył rzucić okiem na wyświetlacz, żeby sprawdzić, kto dzwoni.

-- Prokurator Falewicz, słucham.

-- Dzień dobry, panie prokuratorze -- odezwał się w słuchawce młody, trochę przestraszony głos. -- Nazywam się Ivo Bednarek i od kilku tygodni pracuję w laboratorium kryminalistycznym przy komendzie wojewódzkiej.

Falewicz się zatrzymał, odgonił myśli i skupił się na rozmowie.

-- Słucham pana.

-- To ja zbierałem ślady na miejscu zbrodni w sprawie Janusza Czerwińskiego.

-- Okej, w czym problem? -- Chciał zabrzmieć jak stary, dobry przyjaciel.

Być może mu się nawet udało, ponieważ Bednarek wyraźnie się rozluźnił.

-- Chodzi o raport w sprawie śladów prochu na ubraniu podejrzanego. Moim zdaniem one tam były.

Prokurator Falewicz uśmiechnął się pod nosem. Robiło się coraz ciekawiej, a on uwielbiał takie sprawy.

3

Jeszcze dzień wcześniej nadkomisarz Marcin Zakrzewski nie spodziewał się wielkich zwrotów akcji w swoim życiu zawodowym. Próba pobicia szefa nie była przecież błahostką. No i później, kiedy jego policyjna odznaka wraz z uprawnieniami leżała sobie spokojnie w policyjnym depozycie, trochę nawywijał, ratując Karolinę Nowacką. To była ważna okoliczność łagodząca, dzięki której miał nadzieję na zatrzymanie emerytury, kiedy wreszcie go wykopią z firmy. Tymczasem dobry los przeprowadził kontratak i zagrożenie spod bramki Marcina przeniosło się na drugą stronę boiska. Nieoczekiwanie komendant wojewódzki wyraził wotum nieufności w stosunku do naczelnika wydziału kryminalnego, inspektora Dobrowolskiego, i delikatnie zasugerował właśnie jemu przejście na emeryturę. Sugestia była z rodzaju tych, którym odmówić nie można, więc Dobrowolski jak niepyszny napisał podanie o urlop i zniknął, z nikim się nawet nie pożegnawszy. Podobno odgrażał się, że jeszcze wróci, lecz jego słowa wywoływały tylko uśmiech zażenowania na ustach kolegów policjantów. On się nie nadawał na to stanowisko. Istniało podejrzenie, że zna kogoś potężniejszego od komendanta wojewódzkiego i wróci do swojego gabinetu, co wcale nie zmieniało faktu, że się do tego nie nadaje. To był taki gorący kartofel. Po dawnym naczelniku, inspektorze Godleckim, kilku kozaków już próbowało i wszyscy źle skończyli. Na razie był wakat i nazwisko nowego szefa kryminalnych można było obstawiać w nielegalnych zakładach. Pula była spora.

Potem przez swojego zastępcę szef wojewódzkiej policji postanowił załatwić temat Zakrzewskiego. Pierwszy wicekomendant wezwał go do siebie, niewiele mówiąc, pokazał pismo od wewnętrznych o zakończeniu postępowania z uwagi na niedopatrzenie się znamion przekroczenia regulaminu, potem wręczył mu legitymację, blachę, kazał potwierdzić odbiór podpisem na odpowiednim protokole i życzył owocnej pracy. Marcin był w takim szoku, że po wyjściu z jego gabinetu stał przez chwilę na korytarzu, szczypiąc się w tyłek, żeby upewnić się, że to nie sen. Potem, ciągle w szoku, poszedł prosto do automatu i zrobił sobie kawę z mlekiem. Jeszcze później stał przy oknie na półpiętrze i kłął na kawopodobny płyn w kubku. Ale przynajmniej trochę się ocknął. Nie dzięki kofeinie, w tak podłej kawie były jej co najwyżej śladowe ilości, lecz przez niesmak w ustach.

Starsza aspirant Karina Buczko tylko pokręciła głową na jego widok. Marcin zasiadł na swoim miejscu i założył zdrową rękę na kark, aż krzesło zaskrzypiało niepokojąco. Zmiany zmianami, ale tego właśnie mu, do jasnej cholery, brakowało. Skrzypiącego krzesła, znajomego biurka ze stosem akt jakichś niezidentyfikowanych spraw, odrapanego monitora komputera i Kariny patrzącej na niego kpiąco z błyskiem w zielonych oczach. Uwielbiał tę kobietę. Byli przyjaciółmi i tworzyli razem wybuchowy duet, rozumieli się bez słów. Jeszcze z nikim nie pracowało mu się tak dobrze jak z Kariną. Może kiedyś z Pauliną Czerny, ale to była zupełnie inna relacja.

-- Z czego się cieszysz? -- zapytała.

Zdał sobie sprawę, że uśmiecha się od ucha do ucha.

-- Nie spodziewałem się, że tak się ucieszę na twój widok -- powiedział.

-- Akurat! -- prychnęła. -- Kogo ty znasz, że się z tego wywinąłeś?

-- Nikogo... -- zaczął i nagle spowaźniał.

Przypomniawszy sobie telefon od prokuratora Andrzeja Falewicza z Krakowa. Co on powiedział, kiedy dowiedział się o zawieszeniu Zakrzewskiego? "To się da załatwić" albo coś w tym stylu. Czy ten prokurator naprawdę maczał w tym palce? Co to za facet, do licha?

-- Jakoś tak spowaźniałeś? -- Karina przyjrzała mu się uważnie.

-- J-jasne -- mruknął i opowiedział jej o rozmowie sprzed paru dni.

Patrzyła na niego długo i bardzo poważnie.

-- Nigdy mi nie powiedziałaś, co przekazał ci Piekło, kiedy u niego byłeś -- odezwała się cicho.

-- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Nagle policjantka walnęła pięścią w stół, aż Marcin podskoczył na krześle. Była zła i nawet nie próbowała tego ukryć.

-- Posłuchaj mnie uważnie, Zakrzewski -- mówiła trochę głośniejszym głosem niż zwykle. -- Czasem jesteś twardogłowy jak kozioł i uparty jak osioł. Wtedy zginęli nasi koledzy, omal nie zginąłeś ty i ja też miałam dużo szczęścia, że amator podkładał C4 w moich drzwiach. Myślałam, że tego tak nie zostawimy, że będziemy szukać sprawców, że jesteśmy to winni Adamowi i Ilonie. Czekałam, aż wyjdiesz ze szpitala i odzyskasz siły. Potem pojechałeś do Piekły do Cisnej i po powrocie niewiele mi powiedziałaś. Wiesz, jak to wygląda? Jakbyś nie miał do mnie zaufania. Czy zdajesz sobie, do diabła, sprawę, że mnie to zabolalo i nadal boli? Kurwa, coraz bardziej boli!

Popatrzyła mu w oczy, a on odwrócił wzrok, zmieszany. Nie pomyślał o tym. Jakoś do łba mu nie przyszła prosta myśl, że Karina może się tak poczuć. A nie powinna tak się czuć. Nie powiedział jej, ponieważ wydawało mu się, że na razie tak będzie lepiej. A potem Piekło miał przyjechać do Wrocławia i im pomóc. Ale nie przyjechał, tylko odwalił taki numer, że nie wyjdzie z pierdła do końca życia. Tyle ta umowa była warta dla niego, starego, nieobliczalnego alkohola z mózgiem przeżartym przez samogon. I znowu nie mają nic, czym można by się zająć na początek.

-- Karina... -- zaczął i urwał.

-- Co? -- warknęła, nie patrząc na niego.

Obracała w dłoniach paczkę fajek, jakby się zastanawiała, czy zapalić, czy jednak poziom nikotyny we krwi nie spadł jeszcze poniżej wartości krytycznych.

-- To nie jest brak zaufania. Po prostu nie mogę narażać na niebezpieczeństwo ciebie i Justyny. A teraz w moim życiu pojawiła się Renata i sam już nie wiem, co robić.

-- Wiem, wiem. -- Pokiwała głową.

-- Karina, musimy działać ostrożnie.

-- Dobrze, że przynajmniej zaczynasz rozsądnie gadać.

Przez następne pół godziny opowiedział jej, czego dowiedział się od Marka Piekły. To było dokładnie to, co wcześniej Remigiusz Nycz opowiedział kapitanowi, kiedy przywiózł Bryle obrazy do Wrocławia. O obrazach malowanych krwią, o polowaniach na ludzi, organizowanych dla elity z całej Europy dla wpływów. Tak naprawdę Piekło nie zdradził mu wtedy niczego więcej. Umówili się, że przemyśli temat, potem pomoże im w ich tajnym dochodzeniu.

-- Piekło powinien już chyba przyjechać -- zaniepokoiła się.

Marcin chwilę myślał, wreszcie pokręcił głową z rezygnacją.

-- Aktualnie Piekło siedzi w areszcie w Krakowie, podejrzany o zabójstwo jakiegoś lekarza -- odparł i widząc jej zszokowaną minę, opowiedział jej o telefonie od Falewicza i o swoich podejrzaniach, że to on mógł się przyczynić do zakończenia postępowania i jego powrotu do pracy z prędkością pendolino.

Karina wysłuchiwała go w milczeniu, wreszcie powiedziała, ważąc słowa:

-- Myślę, że jednak powinieneś spotkać się z tym prokuratorem.

-- Jak ty to sobie wyobrażasz? -- zachnął się. -- Być może jesteśmy obserwowani, może ciągle nam albo naszym bliskim grozi nie-

bezpieczeństwo. Prawdopodobnie nie powinniśmy nawet teraz o tym rozmawiać, bo mamy szpiegowskie oprogramowanie w telefonach i nas podsłuchują.

-- Marcin, to, co mówisz, to jakaś paranoja -- jęknęła.

-- Karina! -- Teraz to on podniósł głos. -- Mamy do czynienia z organizacją podobną do włoskiej mafii. Jeśli przez tyle lat system polowań na ludzi stworzony przez byłego agenta komunistycznych służb Sławomira Najmana wciąż działa, pomyśl sobie, ile osób w tym czasie zabijało. Jeśli nie chodziło mu o kasę, tylko o wpływy, spróbuj sobie wyobrazić, jaką potęgą teraz dysponuje. On może wszystko, ma wszystkich w kieszeni. Skąd wiesz, że nie polowali u niego prezesi największych spółek skarbu państwa, posłowie, ministrowie, komendanci policji.

-- To brzmi trochę nieprawdopodobnie... -- próbowała się wtrącić.

-- Mylisz się. -- Nie dał sobie przerwać. -- Miałem czas, żeby to sobie przemyśleć. Jak zastanowisz się na spokojnie, to dojdiesz do takich samych wniosków jak ja. To jest coś gorszego niż mafia. Oni nie wahali się zlikwidować jednego z najbogatszych Polaków, Jerzego Ostaszewskiego, tylko dlatego, że do niego poszedłem i przez pięć minut nie dałem mu się wygonić z gabinetu. Może dużo wiedział, ale nie puścił pary z gęby. Ale oni woleli nie ryzykować i chcieli nas zabić, bo wpadłem na trop zaginionych kobiet. Połowicznie im się udało. Może uznali, że jesteśmy niegroźni, ale jeśli nie i będą chcieli dokończyć to, co zaczęli? Pomyślałaś o tym?

Karina Buczko zamyśliła się, patrząc na niego poważnie. Nawet zieleń jej oczu jakby pociemniała.

-- Ale nie zostawimy tego? -- zapytała wreszcie.

-- Nie, ale musimy zachować ekstremalną ostrożność.

-- Myślę, że naprawdę powinieneś porozmawiać z Falewiczem -- powiedziała. -- Może on jest po naszej stronie?

-- J-jasne. Albo po prostu nie wie, w co się pakuje. Piekło powiedział mu, że chce ze mną rozmawiać, więc zadzwonił do mnie i zapytał, czy pomogę.

-- A ty nie pomogłeś.

-- Spotkanie z kapitanem Piekłą na komendzie w Krakowie jest ostatnią rzeczą, której w tej chwili potrzebuję. To tak, jakbym w prime timie w telewizji dał ogłoszenie: "Bójcie się, bo wraca Zakrzewski".

-- Skoro nie jesteś go pewien, zapytaj swojego przyjaciela, prokuratora Marka Grabskiego. -- Nie dawała za wygraną. -- Może go zna, a przynajmniej wypyta o niego dyskretnie. Może dowiemy się, po której stronie mocy służy.

Zakrzewski nie odpowiedział. Na początku ich rozmowy jego telefon zasygnalizował nadejście wiadomości tekstowej, teraz ją przeczytał, zamilkł i znieruchomiał.

-- Marcin, zapytaj Grabskiego -- powtórzyła Karina, a widząc, że Marcin nie słucha, trochę się zirytowała. -- Co ci się znowu stało, do cholery?

Zakrzewski obrzucił ją nieprzytomnym spojrzeniem. Znała ten jego wzrok. Właśnie był myślami sto kilometrów stąd i był tym tak pochłonięty, że tylko cudem jego ciało nie zapomniało, jak się oddycha. Zawsze w takich momentach wkurzała się na niego, jednak nic nie mówiła. Bo kiedy już wracał z tej podróży, zawsze miał jakiś pomysł, ciekawe przemyślenia albo czegoś się dowiedział.

Podobnie było i tym razem. Marcin nagle wstał i podszedł do niej.

-- Pytałaś, kto za mną stoi, że Dobrowolski wyleciał, a ja zostałem przywrócony. -- Podsunął jej telefon z wyświetlonym esemesem.

Przeczytała wiadomość: "Cieszę się, że Pan w pracy, panie nadkomisarzu. Pozdrawiam. Falewicz".

-- O kurwa! -- wyrwało się jej. -- Przypadek? Czy facet naprawdę maczał w tym palce?

-- Nie wiem.

Góry dokumentów dotyczących innych spraw piętrzyły im się na biurkach, ale dla nich na razie nie miały znaczenia. Ten temat był o wiele ważniejszy. Karina zrobiła im kawę w ekspresie, na który się kiedyś solidarnie złożyli, i rozmawiali, próbując wyostrzyć sobie zmysły nowymi dawkami kofeiny. Na szczęście nie było delegacji ciągnących przez ich pokój z gratulacjami dla Marcina, że wreszcie wrócił. Albo koledzy jeszcze nic nie wiedzieli, albo już im jego karierowa wańka-wstańka spowszedniała.

Karina знаła Zakrzewskiego lepiej niż ktokolwiek inny w tym budynku, dlatego już wcześniej zauważyła coś dziwnego w jego zachowaniu. Nie pytała, ponieważ przypuszczała, że ma to związek z jego nagłym powrotem, jednak teraz wpadła jej do głowy inna myśl.

-- Marcin, czy ty rozmawiałeś o tym wszystkim z Renatą? -- zapytała, patrząc na niego badawczo, jakby chciała przyciągnąć jego

wzrok.

Nie udało się. On ciągle siedział ze spojrzeniem wbitym w wyświetlacz telefonu. Dopiero po chwili podniósł głowę, lecz nadal nie patrzył na Karinę.

-- Tak.

Taka odpowiedź jej nie satysfakcjonowała.

-- Ale o czym?

-- Ona już o wszystkim wie.

-- Czyli o czym?

-- Że w najbliższym czasie wpakuję siebie i ją w bardzo niebezpieczną historię.

-- Tak jej powiedziałaś?

Nagle się zniecierpliwił.

-- Karina, powtarzam ci po raz nie wiadomo który. Złapanie prawdziwych zleceniodawców zabójstw Adama i Ilony dla mnie też jest priorytetem. Tylko chcę chronić tych, na których mi w życiu najbardziej zależy. Nie ma już tamtego Zakrzewskiego, który parł do przodu jak taran, nie bacząc na konsekwencje. Zakrzewski też się czegoś jeszcze w życiu nauczył. Trzeba to zrobić inaczej.

Karina uniosła powieki, spoglądając na niego z większą uwagą.

-- Nie jest tak, jak myślisz -- ciągnął. -- To nieprawda, że nic nie robię. Mam już nawet pewien obiecujący trop. Chcesz się ze mną przejechać na miasto? W południe mam ciekawe spotkanie.

4

Prokurator Andrzej Falewicz znowu utknął w krakowskich korytarzach w szczycie. Podobno w Warszawie i we Wrocławiu było gorzej, co wcale go nie pocieszało. Kraków też był w czołówce najbardziej zakorkowanych miast w kraju i wołał nie sprawdzać, jak jest gdzie indziej.

Przed chwilą zakończył spotkanie z Ivo Bednarkiem z laboratorium kryminalistycznego. Umówili się w niewielkiej kawiarence w okolicach Wawelu, w miejscu ruchliwym i tłumnie odwiedzanym przez turystów z różnych części świata. Falewicz miał nadzieję, że dzięki temu ich spotkanie uda się utrzymać w tajemnicy.

Bednarek był rozsądnym i poukładanym młodym człowiekiem, który nie chciał sobie spieszyć kariery technika kryminalistycznego już na samym początku. Dlatego ze szczegółami opowiedział prokuratorowi, jak szybko i bezczelnie zostały spreparowane dowody przeciwko Tadeuszowi Majerowi. Dali mu do podpisania drugi raport i jeszcze dostał zjebkę, że popełnił kardynalny błąd przy analizie zebranych śladów. Może komuś się spieszyło i nie zachował należytej ostrożności albo technicy robili już takie rzeczy wcześniej, dlatego zadziało coś na kształt korupcyjnej rutyny. Wszyscy myśleli, że nowy pracownik po reprimendzie położy uszy po sobie i będzie cicho siedział. Jeśli na to liczyli, to się przeliczyli.

Ivo Bednarek zwrócił uwagę Falewicza na jeszcze jedną dziwną sprawę, o której pewnie nie przeczyta w żadnym raporcie. Kwestia dotyczyła trzech strzałów oddanych przez podejrzanego w kierunku ofiary. Chodziło o kąt padania strzałów. Nie padły na wprost, jak sugerowali wszyscy, tylko trochę z boku, od strony bocznych drzwi. Falewicz był bystry i technik nie musiał kończyć swojego wyводу. Majer stał na wprost ofiary, na jego ubraniu znaleziono krew denata, lecz to niczego nie przesądzało. Gdyby wtedy do gabinetu wszedł z boku ktoś trzeci i oddał trzy strzały do lekarza, Majer musiałby być we krwi w takim samym stopniu, jakby sam strzelał. Po prostu stał bardzo blisko i nie mógł uchronić się od rozbryzgów, gdy kolejne pociski wbijały się w ciało z wielką siłą.

Prokuratorowi bardzo się spodobało, że Bednarek niczego nie przesądzał ani nie wyrażał opinii wartościujących. On tylko dopuszczał możliwość, że strzelał jeszcze ktoś inny, a to, że nikt nie zwrócił na to uwagi, zwał na karb rutyny. Przecież sprawca został złapany

na gorącym uczynku, z dymiącym jeszcze pistoletem w dłoni. Wtedy nie trzeba się za bardzo starać. Dowody są jednoznaczne. Wszelkie wątpliwości są ignorowane.

Dlatego Falewicz postanowił spotkać się jeszcze z pielęgniarką.

-- Pani Iwona Stankowska? -- zapytał, kiedy uchyliły się drzwi i w szparze pojawiła się przestraszona kobieta w wieku około trzydziestu lat.

-- Tak, a o co chodzi? -- Głos jej drżał, jakby od razu przyznawała się do winy.

Falewicz tylko się przedstawił, a ona od razu wiedziała, w jakiej sprawie przychodzi. Z wahaniem wpuściła go do środka.

Mieszkanie składało się tylko z pokoju i kuchni. W nozdrza prokuratora natychmiast uderzył ostry zapach przetrawionego alkoholu. Gospodyni nagle jakby się skurczyła.

-- Przepraszam, ale kolega męża w pracy miał urodziny i mąż wrócił trochę nietrzeźwy... -- zaczęła się tłumaczyć i Andrzej od razu wiedział, że nie mówi prawdy. Kłamstwo miała wymalowane na twarzy, było w postawie, gestach i mimice. Mąż pewnie przychodził w takim stanie co dzień.

Przeprowadziła go przez skraj zaciemnionego pokoju, skąd dochodziło głośnie chrapanie, posadziła w kuchni i zakłopotana zamknęła drzwi. Niestety efekty specjalne wciąż dochodziły do nich bardzo wyraźnie. Było tylko jedno miejsce do siedzenia, więc kobieta oparła się o kuchenny blat i skrzyżowała ręce na piersiach. Postawa zamknięta, czyli nieufność, ostrożność, a może i przestach. Kuchnia była tak wysprzątana, że jajecznicę na boczku na śniadanie można było bez wielkiego stresu i szkody dla zdrowia spożyć z kafelków na podłodze.

Falewicz wyciągnął z teczki czystą kartkę, położył ją przed sobą, następnie sięgnął po długopis i w prawym górnym rogu wyraźnie napisał słowo "Kraków" i datę. Spojrzał jeszcze teatralnie na zegarek i dopisał godzinę. Oczywiście to było na pokaz i -- tak jak się spodziewał -- wywarło piorunujące wrażenie. Stankowska od razu zapaliła się do tego, żeby powiedzieć prawdę i tylko prawdę, siedem razy dokładniej niż w konfesjonale.

-- Pani Iwono, co pani tak naprawdę widziała? -- zapytał prokurator, stukając długopisem w otwartą dłoń.

-- Bo ja się zasugerowałam! -- wypaliła od razu pielęgniarka.

-- Czym się pani zasugerowała? -- Falewicz pozostał spokojny i nawet uśmiechnął się do niej zachęcająco.

-- Bo ten policjant powiedział, że skoro sprawca jest w rękach policji i dowody są takie oczywiste, nie musimy niczego poprawiać w zeznaniu, bo to i tak nieistotne.

Zabrzmiało dość niejasno, jednak Andrzej od razu domyślił się, co zaszło. Przesłuchiwał ją podkomisarz Roman Bogucki. W protokole stało jak wół, że Stankowska widziała Tadeusza Majera z pistoletem w dłoni. Przeraziła się i znieruchomiała w progu. Wtedy on na nią spojrział, odłożył pistolet, usiadł na fotelu dla pacjenta i też zastygł w bezruchu. Na widok zakrwawionego ciała szefa pielęgniarka wrzasnęła przeraźliwie, zatrzasnęła drzwi do pomieszczenia zabiegowego, przekręciła klucz w zamku i próbowała zatelefonować do ochrony. Niepotrzebnie, bo na odgłos wystrzałów cała ochrona została postawiona na nogi i za sekundę byli przy sprawcy. Była w takim szoku, że nie bardzo pamiętała, co się działo potem i kto ostatecznie wezwał policję. Tak było w oficjalnym protokole z przesłuchania sporządzonym przez Boguckiego. Okazało się jednak, że zeznania niekoniecznie są zgodne z faktycznym przebiegiem zdarzeń.

-- Widziała pani podejrzanego z pistoletem w dłoni? -- zapytał i trafił w sam środek tarczy.

Jeszcze bardziej zbladła i dolna warga zaczęła jej niebezpiecznie drgać. Na szczęście nie doszło do wybuchu niepotrzebnej hysterii. Może dlatego, że pijany mąż w drugim pokoju zabełkotał coś niezrozumiale i na koniec przeklął sążnięście. Przestraszona spojrziała na drzwi i uspokoiła się dopiero, kiedy chrapanie wróciło. "Leje ją po pijaku jak nic -- pomyślał Falewicz. -- Trzeba się temu później przyjrzeć".

-- Tak więc? -- Znowu postukał długopisem w otwartą dłoń.

-- Tak.

-- Widziała pani? -- zdziwił się.

-- To znaczy nie! -- zaprzeczyła szybko, z trudem panując nad narastającą paniką. -- Nie widziałam go z pistoletem w dłoni.

-- Ale w podpisany przez panią protokole stoi coś innego -- powiedział Falewicz.

-- No bo ten policjant tak napisał, a jak odczytał mi na koniec moje zeznanie i chciałam poprawić, powiedział, że to bez znaczenia. Byłam w szoku, więc podpisałam, ale potem miałam wyrzuty sumie-

nia, poszłam na komendę, ale tego policjanta nie było. Skorygowałam swoje zeznanie przed kimś innym.

"Tylko tego nowego zeznania nie było -- przemknęło Falewiczowi przez głowę. -- Bogucki zatroszczył się, żeby trafiło do kosza, a nie na listę dokumentów w aktach". Prokurator się zastanowił. Czy Bogucki dał się ponieść rutynie i w oczywistej, jak mniemał, sprawie po prostu mu się nie chciało, czy świadomie sfalszował zeznania Stankowskiej? Trudno było mu w to uwierzyć. Czy ten wiecznie znudzony gli niarz, wykazujący na co dzień tyle energii i emocji, jakby zamiast w pracy był na rybach, mógł być skorumpowany i chodzić na czyimś pasku? Może i trudno było w to uwierzyć, jednak w świetle faktów wiara natychmiast zamienia się w niewiarę i nieufność. Będzie musiał poważnie porozmawiać z Boguckim.

-- Dobrze, czyli przed sądem zezna pani, że jednak nie widziała podejrzanego z pistoletem w dłoni? -- upewnił się. -- Składanie fałszywych zeznań niesie za sobą poważne konsekwencje.

-- Tak, powiem prawdę. Usłyszałam strzały w gabinecie szefa i nie od razu tam weszłam. Byłam zszokowana i po prostu się bałam. Minęło jakieś kilkanaście sekund, zanim odważyłam się tam zajrzeć. Ten stary tam siedział, a pistolet leżał na stoliku.

-- Dziękuję pani bardzo. -- Falewicz wstał, schował niezapisaną kartkę do teczki, długopis do kieszeni i zrobił taki ruch, jakby chciał wyjść.

Stankowska go uprzedziła. Była pierwsza przy drzwiach i kiedy wychodził, stała tak, żeby nie dostrzegł męża śpiącego na nierozłożonej sofie. Prokurator jednak się zatrzymał, wyjrzał zza niej i zmierzył śpiącego uważnym spojrzeniem. Nie mylił się. Tak nie wygląda facet po jednorazowym opróżnieniu butelki wódki. Mężczyzna na sofie musiał osuszać flaszki dzień w dzień, co najmniej przez tydzień, żeby doprowadzić się do takiego stanu.

Gospodyni zaczerwieniła się ze wstydu albo z niepokoju. Falewicz zatrzymał się na korytarzu jeszcze na moment i wręczył jej biały kartonik.

-- To jest namiar na godnych zaufania ludzi, którzy pomagają skrzywdzonym kobietom wyrwać się z przemocowych związków. Można dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Proszę to przemyśleć na spokojnie.

Zanim zdążyła zareagować, już zbiegał po schodach na parter. Kobieta miała dobrą pracę, pewnie nieźle zarabiała w klinice, była

wykształcona, a pracowała głównie po to, żeby mąż skurwysyn mógł codziennie zapić pałę i jeszcze w chwili napadu złego nastroju mieć na kim się wyżyć. Ile widział już takich sytuacji? O wiele za dużo, dlatego wyczuwał takie domy na kilometr.

Zaparkował kilkaset metrów od bloku, więc ruszył wolno w kierunku swojego auta, omiatając wzrokiem okolicę. Maj zaczynał się paskudnie tego roku. Najpierw w długi weekend spadło więcej deszczu niż limit miesięczny, potem wcale nie było lepiej. Może i padało mniej, ale było zimno jak w marcu. Dzisiaj od rana po raz pierwszy przyszło ocieplenie i prezenterzy pogody na wszystkich kanałach piali z zachwytem, że oto wreszcie będzie ciepło i majowo. Na potwierdzenie ich słów słońce właśnie wychynęło nieśmiało zza chmur, jakby zaspalo i teraz najwyraźniej było mu wstyd, że zawiodło miliony ludzi, którzy stracili bezpowrotnie kilka dni urlopu.

Prokurator wcale jednak nie myślał o pogodzie, urlopie i wypoczynku. Do śledztwa w sprawie zabójstwa profesora Czerwińskiego zabierał się, jakby to była formalność. Papiery na pierwszy rzut oka dawały podstawę do napisania aktu oskarżenia i niemartwienia się o wyrok skazujący w sądzie. Były pewne nieścisłości, ale na to akurat można było spokojnie machnąć ręką. Brakowało tylko kontaktu z podejrzanym i jego przyznania się do winy. Zresztą nawet bez tego wyrok skazujący był przesądzony. Tyle że Falewicz był skrupulatny, sprawdzał drobiazgi i dzielił włos na czworo, w tym pozytywnym znaczeniu. Odmowa współpracy przez nadkomisarza Zakrzewskiego zapaliła w jego głowie wielką lampę alarmową. A potem już poszło. To nie było proste zabójstwo, tylko popieprzone jak "Lato z radiem".

To była jego pierwsza sprawa po powrocie z wygnania, więc nie byłby sobą, gdyby nie powziął pewnych podejrzeń. Odkąd o tym pomyślał, nie zaznał już spokoju, więc najlepiej było sprawdzić u źródła. Niezwłocznie.

Zanim doszedł do samochodu, już wiedział, co ma robić. Oparł się o maskę, wystawiając twarz na ciepłe promienie słońca, po czym wyciągnął komórkę i wybrał znajomy numer. Rozmówca zgłosił się od razu, jakby czekał na jego telefon.

-- Co tam słyhać, Andrzej? -- To był stary i zmęczony życiem głos, ale wciąż pogodny jak pewien prezenter pogody w TVN.

-- Cześć, Gieniu! Muszę z tobą pilnie porozmawiać -- powiedział Falewicz.

-- Dobrze, ale kiedy?

-- Najlepiej teraz.

-- No to mów!

-- To raczej nie na telefon. Spotkajmy się.

Stary człowiek po drugiej stronie linii wyraźnie się zmartwił.

-- Kurczę, Andrzej, nie bardzo mam teraz czas -- mruknął jakby z namysłem.

Falewicz roześmiał się szczerze na te słowa.

-- Gieniu, przecież ty od lat jesteś na emeryturze -- zauważył. -- Jak to nie masz czasu?

-- Wybieram się na obiad. Może też przyjedziesz i porozmawiamy przy jedzeniu.

-- Dobrze. Gdzie i kiedy będziesz?

-- Za godzinę "U Wierzynka".

Falewicz westchnął przeciągle.

-- Gieniu, nie zapominaj, że ja jestem tylko prokuratorem, nie stać mnie na Wierzynka.

-- Daj spokój, Andrzej, czuj się zaproszony. To będzie dla mnie przyjemność.

-- No chyba że tak, to do zobaczenia.

-- Już nie mogę się doczekać.

Tymczasem słońce znowu zaszło za chmurę i świat na nowo pograżył się w smutku i szarości. Nawet zrobiło się jakby chłodniej.

-- Niech szlag trafi taką pogodę -- mruknął Andrzej Falewicz, wsiadł do auta, uruchomił silnik i ostrożnie włączył się do ruchu.

Musiał się spieszyć, żeby zdążyć do Rynku. Był daleko, a na moście przez Wisłę od strony Wieliczki ostatnio zawsze o tej porze były nieliczne korki.

5

Już raz kiedyś spotkali się w tym miejscu. W podziemnym parkingu pod placem Wolności przy Narodowym Forum Muzyki. Widząc redaktora Krzysztofa Salitrę w czarnym fordzie s-max, z elektronicznym papierosem, Zakrzewski poczuł bolesne déjà vu. Demony znowu zawyły w jego głowie. Nie chciał tych wspomnień, a jednak wypłynęły z zakamarków pamięci, nie chciał widzieć tych obrazów, a jednak wyświetliły mu się wyraźnie jak w darmowym kinie pod chmurką. Twarz Ilony Marzec przy jego twarzy i jej ciepłe usta. Smakowała alkoholem i papierosem. Potem było znowu zdjęcie jej zwłok leżących na dywanie i mężczyzny ze złamaną nogą, przy którym postawił kanister z benzyną i zapalniczkę. Zacisnął mocno powieki i na szczęście obrazy wycofały się poza zakres widzenia.

Za to pozostały wspomnienia. Ostatnim razem pytał tu Salitrę o milionera Jerzego Ostaszewskiego. Redaktor go ostrzegał, żeby nie ruszał tej sprawy, bo będzie smród. Oczywiście on go nie posłuchał i skończyło się tak, jak się skończyło. Nawet Salitra, ostrzegając go wtedy, nie przewidział aż takich konsekwencji. "Dość -- rozkazał sam sobie -- dość wspomnień!".

Podeszli z Kariną do jego auta, szarpnęli drzwiczki i wsiedli na tylne siedzenia, Marcin z lewej, Karina z prawej strony. Starsza aspirant Buczko była trochę zła. Salitra palił spokojnie elektronicznego papierosa, a ona w kompleksie garażowym nie mogła zapalić normalnego. Zakrzewski tak ją gonił, że po drodze nie zdążyła zapalić. Na szczęście redaktor schował e-papierosa do kieszeni i obejrzał się na nich do tyłu.

-- Zostawiliście telefony? -- zapytał.

-- J-jasne -- odpowiedział Zakrzewski, jak to miał w swoim zwyczaju.

Karina tylko skinęła głową.

Salitra zmierzył ich spojrzeniem i zatrzymał się na Marcinie.

-- Jesteście pewni, że tak chcecie? -- zapytał.

-- A ty jesteś zdecydowany?

-- Tak, ale mam takie dziwne wrażenie, że zgłaszam się na ochotnika na egzekucję, a kat właśnie zaczyna ostrzyć topór.

-- Po starej znajomości oszczędź nam takich efektowych porównań -- jęknął Marcin. -- Mamy wystarczająco swoich problemów i rozterek.

-- Mogę się wreszcie dowiedzieć, o co wam chodzi? -- zniecierpliwiała się Karina.

Salitra popatrzył na nią spod przymrużonych powiek. Wyglądał lepiej niż podczas ich poprzedniego spotkania. Znowu zaczął golić głowę na zero, więc brak włosów na ciemieniu tak bardzo nie rzucał się w oczy, przyciął też brodę i chyba zaniechał diety, przez którą zyskał tylko nowe zmarszczki na twarzy i wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Karina wiedziała o ich spotkaniu w temacie Ostaszewskiego. Nie знаła jednak szczegółów.

Salitra opowiedział jej o aferze z lat dziewięćdziesiątych, kiedy to w szafie Lesiaka, dawnego pułkownika bezpieczeństwa, znalazły się dokumenty związane z inwigilacją opozycji przez ówczesny rząd i jeszcze kilka innych dokumentów. Między innymi te o dziwnej postaci z okresu późnego Gierka i wczesnego Jaruzelskiego, Sławomirze Najmanie.

-- Wtedy uważałem, że Najman to obecny milioner Jerzy Ostaszewski -- mówił redaktor, wodząc wzrokiem po betonowym wnętrzu parkingu. -- A kiedy Marcin opowiedział mi o zeznaniach Remigiusza Nycza, który twierdzi, że był jego kierowcą i widział obrazy namalowane ludzką krwią, jedynie utwierdziłem się w przekonaniu, że to był Orzeł. Tylko trudno mi uwierzyć, że Jerzy Ostaszewski był jedynym organizatorem tego przedsięwzięcia. Nie mógł jeździć po kraju i równocześnie organizować polowań na ludzi. To mi się logicznie nie zgrywa. Musiał mieć współników.

-- Ostaszewski dużo wiedział i współnicy się przestraszyli, kiedy go odwiedziłem. Może już wtedy był między nimi konflikt -- dokończył Marcin. -- Skorzystali z okazji i go zlikwidowali. To nie był wypadek, jak twierdzą niektórzy, skoro to ochroniarzy Ostaszewskiego wrobili w zamach na nas.

-- Ale co to nam daje? -- zapytała Karina. -- Najman, czyli Orzeł, to jednak był Ostaszewski, no i co? Skoro nic nie wiemy o jego współnikach, dalej nic nie wiemy.

-- Teoretycznie nic. -- Salitra podrapał się po łysej czaszce. -- Jednak jeśli to Ostaszewski organizował polowania na ludzi, to w jego otoczeniu musieli się pojawić współnicy w tym interesie. Trzeba tylko na podstawie jego życia przeprowadzić śledztwo i dowiedzieć się, kto to może być.

-- I myślisz, że to takie proste? -- prychnął Zakrzewski.

Salitra zmienił temat, zerkając na aspirant Buczko.

-- Może tak, może nie. Wspominałem już Marcinowi, że miałem takiego kolegę, Jan Malasek się nazywał, który postanowił napisać o Ostaszewskim książkę. Taką prawdziwą, a nie mocno pudrowany wizerunek chwały wielkiego dobroczyńcy, cudownego ojca dzieciom i wspaniałego dziadka, który daje wnukom werther's original. Tylko że ostatecznie nie napisał tej książki, ponieważ zainteresowali się nim dziwni panowie, zaczęli go nachodzić, wreszcie miał wypadek samochodowy. Niby nic mu się nie stało, jednak książka nie powstała. Pewnie po researchu pozostało mu sporo materiałów o Ostaszewskim.

Policjanci patrzyli na niego z widocznym zainteresowaniem, a redaktor jak wytrawny pisarz thrillerów stopniował napięcie. Wyjął z kieszeni e-papierosa, zaciągnął się, wypuścił dym i spojrzał na sufit, jakby szukał tam natchnienia.

-- Niestety, ten mój kolega zmarł kilka tygodni temu -- kontynuował. -- Ale nie doszukujcie się w tym fakcie podtekstów. Po prostu zachlał się na śmierć, bo picie od dawna było jego jedyną rozrywką po pracy. Rozmawiałem z wdową i mam -- jak to się często zdarza -- dwie wiadomości. Jedną złą, drugą dobrą. Ona twierdzi, że Janek ukrył gdzieś te materiały, a ona nie wie gdzie, zresztą nigdy go o to nie pytała. Miała z nim i wódką większe problemy niż jakieś tam papierki.

-- To jest dobra czy zła wiadomość? -- rzucił Zakrzewski.

-- Zła. Dobra jest taka, że kiedyś Janek się nachlał i zaczął jej trochę o Ostaszewskim opowiadać. Wiecie, o czym wspominał? O polowaniach na ludzi, że elita sobie takie organizuje i gdyby to wyszło na jaw, to byłaby największa bomba od czasów upadku komuny. Rzucił nazwiskami, ale ona nie pamięta.

-- J-jasne. Tylko co nam to daje?

-- Powiedziałem Halince, że po cichu, bez zbędnego zamieszania przyjedzie do niej policja, żeby o tym porozmawiać. Zgodziła się. Dam wam jej adres. Może wspólnie odnajdziecie te materiały.

-- A co chcesz w zamian? -- Karina jak zwykle nie dała się ponieść zbędnym emocjom i zachowała przytomność umysłu.

-- Wyłączność na publikację. -- Uśmiechnął się do niej dość cierpko.

-- Po co ci to gównno? -- parsknęła. -- Staniesz się wrogiem publicznym numer jeden. Jeśli w ogóle ci to wydrukują.

Krzywy uśmieszek nie schodził Salitrze z ust.

-- Posłuchaj mnie, moja droga -- powiedział wolno. -- Wy się zajmijcie swoją robotą, a ja swoją. Wierz mi, że jeśli będę miał o czym napisać, to ten tekst na pewno się ukaże. Oczywiście nie drukiem i na pewno nie w głównych portalach informacyjnych. Ale wierz mi, są opiniotwórcze miejsca, gdzie przyjmą taki tekst z otwartymi ramiionami i zacznie się afera. Przecież w sieci nic nie ginie, tylko zaczyna żyć własnym życiem.

Tym razem Karina przyjrzała się redaktorowi z ciekawością.

-- Nie boisz się? Po co ci to?

-- Koleżanko, to byłby dla mnie materiał życia, może nawet materiał stulecia. Dziennikarze po to właśnie żyją, żeby ujawniać prawdę za wszelką cenę. Ta prawda się ostatnio mocno zeszmaciła, odkąd ludzi pracujących w rządowych mediach zaczęto nazywać dziennikarzami.

-- Rozumiem. -- Pokiwała głową. -- Wielki szacunek, panie redaktorze.

Salitra przyjrzał jej się uważnie.

-- Masz kogoś bliskiego? -- zapytał nieoczekiwanie.

Skinęła głową na potwierdzenie.

-- W takim razie również szacunek.

W czasie ich wymiany zdań Zakrzewski był nieobecny duchem i myślami, które krążyły gdzieś daleko. Teraz nagle jakby ocknął się z dalekiej podróży. Demony wciąż wyły i chichotały mu pod czaszką. Jeśli ich nie uciszy, zwariuje. Jeśli nie przegoni, nigdy już spokojnie nie zaśnie. A one przecież go nawiedzały, ponieważ żądały ujawnienia prawdy i wymierzenia sprawiedliwości. Dlatego nie miał wyjścia.

Salitra podał im adres wdowy, pożegnali się i redaktor odjechał. Karina tylko spojrzała na Marcina, a potem, nie oglądając się za siebie, poszła w kierunku ich auta. Na moment, kiedy Zakrzewski przetrawi wszelkie wątpliwości i ruszy wreszcie dupę, czekała długo. Teraz nie zamierzała mu w niczym odpuszczać.

Do nowego blokowiska przy kanale żeglugowym Odry na Swojczycach mieli kawał drogi. Stali długo w korkach na moście Zwierzyńskim, to samo było na Sępolnie na moście Chrobrego. Przez ten czas Zakrzewski milczał, a ona dała mu chwilę na przemyślenia. Sama miała dużo wątpliwości, czy będą w stanie cokolwiek działać i czy znowu nie narażą siebie i swoich znajomych. Dlatego milczała.

Okazało się, że ktoś postanowił uatrakcyjnić osiedle, nazywając ulice nazwiskami słynnych podróżników i żeglarzy. Vasco da Gamy,

Magellana, Marco Polo, Vespucciego. Tylko że GPS nagle zwariował i zamiast na ulicę Jamesa Cooka, zaprowadził ich do Parku Portowego w środku osiedla i zdecydował, że są na miejscu.

Zaparkowali niezbyt przepisowo na chodniku, wysiedli i rozejrzeli się, trochę zagubieni. Nie było nawet kogo zapytać o drogę. Karina natychmiast skorzystała z okazji i zapaliła papierosa. Marcin wzruszył ramionami i wskazał jej ścieżkę przez park. Po chwili znaleźli się na torach i ku ich zaskoczeniu za kilkadziesiąt metrów trafili na zardzewiały kolejowy tender beczkowy na końcu tych torów. Karina stanęła przy tabliczce informacyjnej i powiedziała:

-- Pierwsze śledztwo tego dnia zakończone sukcesem.

-- O co ci chodzi? -- zapytał zdziwiony Zakrzewski.

-- Zawsze się zastanawiałam, co się stało z przyczepką tej lokomotywy, która na placu Strzegomskim startuje do nieba -- wyjaśniła.

-- Już wiem, stoi tu.

-- J-jasne. -- Marcin nie był w nastroju do dowcipów.

Na szczęście kierunek ich poszukiwań okazał się dobry i trafili na nowy blok przy ulicy kolejnego wielkiego odkrywcy, który współcześnie bardziej kojarzył się jednak z rumem niż z morskimi podbojami -- Jamesa Cooka. Szybko znaleźli odpowiedni numer i już po minucie drzwi na drugim piętrze uchyliła im około pięćdziesięcioletnia kobieta. Od razu domyślili się, że to wdowa po Janie Malasku. Ubrana była na czarno, jakby celebrowała żałobę nawet we własnym towarzystwie, i miała blade oblicze z ciemnymi obwódkami wokół oczu. Długie włosy spięte gumką na karku również miała kruczoczarne, jakby dopiero co je zafarbowała. Marcin pomyślał, że jeśli zasłony w oknach też ma czarne, to coś z nią jest nie tak. Na szczęście nie miała.

Przedstawili się, pokazując legitymacje.

-- Krzysiu Salitra mi mówił, że odwiedzi mnie ktoś z policji, nie wiedziałam, że panowie... -- Spojrzała zmieszana na Karinę i zaraz się poprawiła: -- Państwo tak szybko przyjadą. Halina Malasek, proszę wejść.

Posadziła ich w pokoju na krzesłach, a sama usiadła na fotelu pod oknem, krzyżując ręce na piersiach. Postawa zamknięta, nieufna. Nie zaproponowała niczego do picia.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Policjanci się nie odzywali i gospodyni robiła się coraz bardziej nerwowa.

-- Panowie... -- Znowu zerknęła na Karinę. Miała mocno zaczytany stereotyp, że policja to sami mężczyźni. -- Państwo w sprawie mojego męża?

Dopiero teraz Zakrzewski postanowił wyjawic cel wizyty.

-- Tak, ale będę z panią szczerą, nie zajmujemy się jego śmiercią ani wypadkiem samochodowym, który podobno kiedyś mu się przydarzył. Interesuje nas pewna sprawa, którą pan Jan zajmował się kilka lat temu.

-- No nie wiem, czy będę mogła pomóc. On mi niewiele mówił.

-- Ale chyba mówił pani, że chce pisać książkę o jednym z najbogatszych ludzi w Polsce?

Halina Malasek chyba bardzo chciała umieć kłamać, jednak wiedziała, że nie wychodzi jej to dobrze. Dlatego po długim wahaniu zdecydowała się powiedzieć, jak było. Tylko wyjaśnienia brzmiały jakoś tak kanciasto.

-- To miała być dla niego szansa -- zaczęła, splatając i rozplatając palce. -- Ktoś go do tego namówił. Wiem, że kilkakrotnie spotykał się z przedstawicielem jakiegoś wydawnictwa. Dawali mu dużą zaliczkę, a my mieliśmy wtedy kłopoty finansowe. Zresztą z powodu nieregularnych dochodów męża przez całe wspólne życie mieliśmy kłopoty finansowe. No i on się zgodził.

-- Pamięta pani nazwisko tego człowieka od wydawcy? -- rzuciła Karina. -- Albo nazwę wydawnictwa?

-- Nie. -- Pokręciła niepewnie głową.

-- A ile było tej zaliczki?

-- Pięćdziesiąt tysięcy.

Policjanci tak szybko skrzyżowali spojrzenia, że Halina Malasek nawet tego nie zarejestrowała. Zakrzewski nie za bardzo się orientował, jakie stawki dla autorów biografii funkcjonują na rynku, jednak taka zaliczka wydała mu się o wiele za wysoka. Ile trzeba było sprzedać książek o Ostaszewskim, żeby zarobić na honorarium autora? Dużo, a przecież to nie był Steve Jobs. Kto u nas znał nazwisko Ostaszewski? Coś tu było nie tak.

-- I pan Jan napisał tę książkę? -- zapytał.

-- Ponad rok zbierał materiały. Wiedzą panowie... państwo, to była żmudna robota. Grzebanie po archiwach państwowych, w IPN-ie, szukanie dawnych znajomych Ostaszewskiego, potem podróże, czasem na kraniec kraju, żeby się z kimś spotkać. A jak już mąż się tam dotelepał, to się okazywało, że oni nie zjawiali się na spotka-

niach albo niczego nie pamiętają. No i na koniec wydawca się wycofał.

-- Musieliście oddać pieniądze? -- zainteresowała się Karina.

Zdażyła skonfrontować słowa Haliny z tym, co widziała. Nowe, co najmniej czteropokojowe mieszkanie, które kosztowało co najmniej pół miliona w stanie developerskim. W wykończenie i wyposażenie mieszkania Malaskowie włożyli kolejne setki tysięcy, sądząc po standardzie i meblach, niewyglądających jak te z Ikei. Do tego Malasek podobno ostatnie dwa lata pił na umór i tak właśnie zakończył życie. To się trochę kłóciło z twierdzeniem, że nigdy nie mieli pieniędzy.

-- Nie. -- Halina prawdopodobnie nie domyśliła się jeszcze, na co policjanci zwrócili uwagę. -- To wydawnictwo upadło i sprawa rozeszła się po kościach.

-- Moglibyśmy zobaczyć te materiały? -- zapytał Zakrzewski.

Gospodyni obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem.

-- Nie wiem, gdzie są -- powiedziała.

-- Jak to?

-- Po tym, jak się okazało, że Janek nie będzie pisał książki, nie wracał już do tego tematu, a ja nie pytałam. To była taka czarna teczka i segregator. Nie wiem, co się z tym stało.

-- Nigdy pani nie szukała? -- dopytał Zakrzewski.

-- Po co miałam szukać? -- zdziwiła się szczerze. -- Uznałam, że je zniszczył. Zresztą niedawno przeprowadzaliśmy się tu z domu pod miastem i przy przeprowadzce nic takiego nie rzuciło mi się w oczy. Dom jest wystawiony na sprzedaż, ciągle mam klucze, możecie sami sprawdzić.

Marcin znowu spojrział na Karinę i tym razem nie krył się z tym spojrzeniem. Nie widząc w oczach partnerki protestu, postanowił przycisnąć panią Malasek. Nachylił się trochę na krześle dla podkreślenia wagi swoich słów.

-- Pani Halino, nie mówi nam pani całej prawdy -- stwierdził. -- Nie mam do pani pretensji, my nie wiedzieliśmy dokładnie, o co pytać, pani skupiała się tylko na odpowiedziach. Więc teraz trochę zmienimy zasady. Zapytamy o pewne rzeczy wprost.

Znowu zapadła ciężka cisza. Kobieta najwyraźniej się przestraszyła, bo nagle zmieniła się w kamień. Przestała nawet poruszać palcami.

-- Jest jakieś drugie dno, prawda? -- spekulował Zakrzewski. -- Nigdy nie mieliście pieniędzy, a według pani słów nie sprzedała pani

jeszcze domu. Więc skąd kasa na to mieszkanie?

Halina Malasek była blada. Przełknęła kilka razy ślinę i wreszcie ocknęła się z odrętwienia.

-- Wszystko jest legalne -- zaczęła od gwałtownych zapewnień. -- Wszystkie podatki zostały odprowadzone do urzędu skarbowego, to nie jest żaden przekręt.

-- Skoro to legalna transakcja, czy mogłaby nam pani wyjaśnić, o co chodzi?

-- Mąż był konsultantem w jakiejś firmie -- odpowiedziała niepewnie.

-- W jakiej? -- zainteresowała się Karina.

-- Jakiejś transportowej... HPV Transport.

Karina zacisnęła usta i zerknęła na Marcina. Nadkomisarz nie odwzajemnił spojrzenia, skupiony na rozmówczyni. Firma transportowa wchodziła w skład Ostaszewski Holding i on też doskonale o tym pamiętał.

-- Jaka to była kwota? -- zapytała.

-- Milion.

Znowu zapadło milczenie. Halina Malasek kręciła się na fotelu. Pewnie marzyła w tej chwili o jednym -- żeby ta rozmowa się już zakończyła, i przeklinała w myślach, że dała się namówić Salitrze na wizytę policjantów. Choć być może oni i tak by w końcu przyszli. Jej mąż przed śmiercią wplątał się w dziwne sprawy, o których wolałaby nie wiedzieć, a jednak wiedziała.

-- Bez urazy, pani Malasek, ale takich kwot nie płaci się konsultantom -- odezwał się policjant po chwili. -- Takie kwoty dla osób zewnętrznych to raczej pretekst do w miarę legalnego wyprowadzenia pieniędzy ze spółki. O co naprawdę chodziło?

Halina najwyraźniej się męczyła. Nie było gorąco, jednak na jej czole pojawiła się mgielka potu. Karina postanowiła jej pomóc.

-- Myślę, że bez obaw może nam pani zdradzić prawdę. Sama pani mówiła, że pieniądze są opodatkowane, poza tym nas to nie interesuje i nie mamy zamiaru nikomu o tym wspominać. Nikt ich pani nie odbierze.

-- Chyba sprzedał te materiały do książki o Ostaszewskim... -- Kobieta wreszcie się zdecydowała. -- Powiedział mi o tym po pijanemu. On nawet jak pił, był dobrym człowiekiem i nie miał przede mną tajemnic. Może nawet po wódce był lepszy.

Zakrzewski z trudem zapanował nad twarzą, żeby nie zdradzić zawodu, jaki spowodowały u niego słowa gospodyni. Co było w tych materiałach, że Ostaszewski zapłacił za nie okrągły milion? Ledwo się powstrzymał, żeby nie przekląć. Jeśli je sprzedał, ten trop można było uznać za zamknięty. Karina najwyraźniej myślała o tym samym.

-- Nic nie zostało? -- zapytała jakby od niechcienia. -- Nawet notatki na brudno? Pani mąż wszystko oddał?

Malaskowa musiała przeżywać już wcześniej jakieś rozterki związane z tamtą transakcją, ponieważ nagle postanowiła wszystko z siebie wyrzucić.

-- Prawdę mówiąc, Janek się zabezpieczył i zostawił sobie kopię tych materiałów -- wyznała cicho.

Tym razem policjanci spojrzeli na siebie z błyskiem nadziei w oczach.

-- Gdzie jest ta kopia? -- zapytał szybko nadkomisarz.

-- Tego właśnie nie wiem. -- Malasek rozłożyła ręce w geście bezradności. Na pewno teraz była z nimi szczerą.

-- A gdzie Jan mógł je ukryć?

-- Podejrzewam, że w naszym starym domu na Widawie, ewentualnie w domku na działce pod miastem. Dom i działka są po moich rodzicach, razem niczego nigdy się nie dorobiliśmy -- dodała jakby na usprawiedliwienie.

Zakrzewski poruszył się w fotelu.

-- Chcielibyśmy odwiedzić ten dom -- oznajmił, nie spodziewając się już protestu.

6

Prokurator Andrzej Falewicz nie podzielał zachwyty nad restauracją "U Wierzyńka". Podziwiał sale wyglądające jak komnaty na Wawelu, smakowały mu serwowane tam dania, jednak panie w recepcji przebrane w średniowieczne stroje trochę go śmieszyły, a wysokie ceny skutecznie niwelowały rozkosz podniebienia. Generalnie uważał, że jest to lokal dla bogaczy z mocnymi snobistycznymi skłonnościami.

Były naczelnik Prokuratury Rejonowej w Krakowie, Eugeniusz Nowiński, czekał na niego w mniejszej sali, w miejscu nierzucającym się w oczy i zapewniającym możliwość dyskretnej rozmowy. To była ulubiona restauracja Nowińskiego, który idealnie wpasował się w zdanie Falewicza o klientach lokalu. Był obrzydliwie bogaty i w sposób egoistyczny z tego bogactwa korzystał.

Przywitali się i Nowiński mógł wreszcie zaprzestać obracania nerwowo w dłoni pustej filiżanki po kawie i skinąć na kelnera. Na początek zamówił consommé z dzikiego ptactwa, a jako danie główne sarnę w sosie jeżynowym. Falewicz dołączył z wędzonym tatarskim wołowem na przystawkę i piersią indyczą z daktylami i sosem piernikowym jako danie główne. Do tego była woda mineralna evian, ponieważ fundator obiadu od wielu lat żył w trzeźwości. Jak sam powtarzał przy każdej okazji: Swoją wannę wódki już wypił, a druga mu nie smakowała.

Andrzej pozostawił swój telefon w skrytce w aucie, Nowiński miał zwyczaj obywatela się poza domem bez telefonów, więc mogli rozmawiać swobodnie. Co prawda Falewicz patrzył podejrzliwie na bukiet kwiatów na środku stolika, na co emerytowany prokurator zapewnił go, że nie ma się czego obawiać. Zaczęli rozmowę dopiero przy przystawkach.

-- Czego sobie, Andrzeju, ode mnie wieszujesz? -- zapytał Nowiński.

Był już stary. Falewicz ze dwa, trzy lata temu był u niego na hucznie obchodzonym siedemdziesięciopięcioleciu, więc do dziewiątego krzyżyka na karku miał już bliżej niż dalej. Mimo to ciągle był energicznym starym zgredelem ze złośliwym uśmiechem na ustach, o przenikliwym i drwiącym spojrzeniu w wyblakłych oczach oraz z lśniąca, poplamioną starczo łysiną, okoloną półkolem rzadkich siwych włosów. Nie dało się nie lubić tego sukinsyna.

-- Powiedz mi, Eugeniuszu, czy coś może wiesz na temat mojego powrotu do łask u obecnego prokuratora generalnego i powrocie z wygnania do dawnej stolicy naszej pięknej ojczyzny? -- zapytał, nie owijając w bawełnę.

Tak trzeba było rozmawiać z prokuratorem wywodzącym się jeszcze z poprzedniego systemu, który przez ostatnie dekady był oskarżycielem w najgłośniejszych i najpoważniejszych sprawach przed sądem i miał długie i szerokie jak Syberia kontakty z najważniejszymi ludźmi w różnych środowiskach. Teraz odłożył na moment łyżkę i zmoczył usta w ekskluzywnej wodzie mineralnej po trzydzieści złotych za karafkę.

-- Spodziewałem się tego pytania, jednak nie tak szybko -- mruknął pod nosem. -- Ale to może i lepiej? To pokazuje, że się nie myłę.

-- Do rzeczy, Gieniu, do rzeczy -- ponaglił go Falewicz.

-- Wiesz, że razem z kilkoma emerytowanymi policjantami, sędziami i prokuratorami mamy coś na kształt elitarnego klubu funkcjonariuszy dawnego i obecnego ustroju. Łącząc w ten sposób siły, dużo jeszcze możemy. Nacisnęliśmy, kogo trzeba, i nawet ci twardogłowi nominaci nowej władzy nie mieli za wiele do powiedzenia. Może się myłę, ale chyba męczyłeś się trochę na prowincji.

-- Nie mylisz się, to były najgorsze dwa lata w mojej karierze -- przyznał Falewicz.

-- Dobrze jest, kiedy można oddać przysługę dobrym znajomym - - ucieszył się Nowiński.

Znowu jedli przez chwilę w milczeniu.

-- Dlaczego teraz? -- odezwał się wreszcie obecny prokurator, przełykając kęs tataru. Trzeba było oddać honor szefowi kuchni, delikates rozplýwał się w ustach.

Na odpowiedź musiał poczekać, aż starszy kolega skończy zupę. Dopiero kiedy wytarł usta chusteczką, popatrzył na Andrzeja badawczo, a jednocześnie z jawną kpina w oczach. To strasznie deprymowało interlokutora.

-- Wspomniany przeze mnie klub emeryta razem wzięty dużo wie. Pamiętamy sprawy zakończone, ale też mamy w pamięci sprawy, które nie skończyły się wyrokami skazującymi. Słyszeliśmy też o takich tematach, które nigdy nie ujrzały światła dziennego, ponieważ były zbyt grube, żeby zmieścić się na sali sądowej, albo były tylko niepokojącymi plotkami. Rozumiesz, o czym mówię?

Falewicz tylko pokiwał głową.

-- Chodzi o te legendarne, czy też, że tak to ujmę, mityczne polowania na ludzi, prawda?

-- O nie, mój drogi młodszy kolego. -- Nowiński pokręcił głową. -- One nie są mityczne. Zbyt wielu świadków o nich wspominało i zeznania były do siebie zbyt podobne, żeby nie traktować ich poważnie. Jak się domyślasz, wróciłeś do Krakowa, ponieważ użyliśmy swoich wpływów, żeby to załatwić. Podobno polowania na ludzi zostały zorganizowane, żeby zyskać wpływy. Nie dla pieniędzy, tylko dla wpływów. I ten ktoś, kto zorganizował te polowania, ma teraz wpływ na wszystko w naszej pięknej Polsce. Na politykę, na sędziów, policjantów, artystów, lekarzy, przedsiębiorców, bankierów, biskupów, dziennikarzy, wojskowych, urzędników państwowych. Wiesz, jaka to jest władza? Tak naprawdę to on, albo jego grupa, rządzi Polską, bo kto im się sprzeciwi?

Falewicz słyszał już tę teorię, lecz się z nią nie zgadzał. To była jak dla niego jedna z nierealnych teorii spiskowych, tak samo jak te, że Ziemia jest płaska, odwiedzają nas kosmici, a światem rządzą reptilianie. Pokręcił głową.

-- Wybacz mi, Gieniu, ale trudno mi w to uwierzyć -- powiedział. -- Kto zdecydowałby się zabić dla zaspokojenia swojej morderczej żądzy i narazić się na to, że ktoś będzie go później szantażował? Bzdura!

-- Niekoniecznie, Andrzejku. -- Nowiński przybrał swoją klasyczną minę: uśmiezek na ustach i drwina w oczach. -- Początek tej organizacji pewnie był trudny i pewnie nie obyło się bez szantaży, lecz potem wszystko mogło się zmienić. Może morderstwo stało się kluczem do przynależności do elitarnego klubu zabójców? Może od pewnego momentu nie tylko organizator tego procederu czerpie z niego wpływy, ale z tych wpływów może czerpać każdy pełnymi garściami? Chcesz zostać posłem? Zabij, a my ci to zagwarantujemy. Będzie miejsce na listach, kasa na kampanię i masz sejm jak w banku. Ale potem będziesz się musiał odwdzięczyć. Chcesz zostać sędzią Sądu Najwyższego? Nie ma sprawy -- zabij, a wkrótce nim się staniesz. Tylko będziesz musiał się odwdzięczyć. Chcesz zostać biskupem? Zabij, a nim zostaniesz. Kiedyś nam się odwdzięczysz. Nie masz kasy, a chcesz rozkręcić biznes? Zabij. Kasa się znajdzie, znajdą się inwestorzy, doradcy, uda ci się. Mam dalej przytaczać przykłady? Rozejrzyj się, ile miernot jest teraz na wysokich stanowiskach sę-

dziowskich i prokuratorskich. Że o radach nadzorczych i zarządach państwowych spółek nie wspomnę. Nie niepokoi cię to?

-- Wszyscy musieli zabić? -- wyraził powątpiewanie Falewicz.

-- Może nawet nie oni, tylko ci, którzy teraz mają możliwości, żeby ich na te stanowiska powołać. Kolejny stopień rozszerzania swoich wpływów. Tym razem na miękko.

Falewicz się zamyślił. Nadal nie wierzył, że świat można w ten sposób skonstruować i taki niehumanitarny, zbrodniczy mechanizm działa bez zarzutu i żadnej poważniejszej wpadki przez tyle lat. Mimo to słowa Nowińskiego zadziałały na niego jak trucizna. A co, jeśli ma małą wyobraźnię i taka organizacja może jednak skutecznie działać przez tyle lat nie tylko w filmach o Jamesie Bondzie, ale u nas w kraju? Może nawet skuteczniej niż w filmach, ponieważ mniejsze organizacje o smukłej strukturze mogą funkcjonować skuteczniej, sprawniej i efektywniej? A może były wpadki, tylko nigdy nie ujrzały światła dziennego? Może wewnątrz organizacji funkcjonuje swego rodzaju policja, która tropi najsłabsze ogniwa i je eliminuje. Może taka policja działa w ramach policji państwowej? Państwo w państwie, czyli klasyczna mafia. Tylko że dziesięć razy gorsza.

-- Jestem trochę bardziej od ciebie doświadczony i uważam, że jest zaskakująco wiele pozbawionych empatii, zdemoralizowanych jednostek, które dla własnych korzyści byłyby do tego zdolne -- ciągnął emerytowany prokurator, widząc jego wyraźne wahanie.

Kelner podał dania główne i przez chwilę jedli w milczeniu. Falewicz zauważył nagle u siebie utratę smaku. Mięso z indyka smakowało tak jak daktyle, a daktyle jak sos piernikowy. Nowiński zatruł mu myśli i obudził demony, które spały gdzieś zagrzebane w odmętach zapomnienia. Teraz nagle ożyły i przed oczami zobaczył tamte obrazy. "Mam ochotę na dobry seks po kolacji" -- powiedziała jego żona, patrząc na niego z delikatnym uśmiechem na ustach. Andrzej zerknął wtedy na bawiącego się z tyłu ich sześciolatniego syna. "Coś na pewno da się zorganizować, jak młody zaśnie". Puścił do niej oko. Roześmiała się perliście. Chwila nieuwagi. Pieprzona sekunda albo i jeszcze mniej. Pisk zablokowanych opon na asfalcie, szarpnięcie, gdy uderzyli bokiem w auto jadące z przodu, a potem jęk miazdżonych blach, kiedy wjechali pod ciężarówkę. Tylko on przeżył.

Z trudem się opanował. Demony niechętnie wycofały się gdzieś w mrok. W ich miejsce pojawiła się zimna determinacja.

-- Co wspólnego z tym wszystkim ma nieżyjący doktor Czerwiński? -- zapytał, wpatrując się z niechęcią w talerz, na którym wszystko ciągle smakowało dla niego tak samo.

-- Czerwiński był kiedyś na Kaszubach, żeby zabić -- powiedział Nowiński z tym swoim uśmiechem. -- Jego zabójca, Tadeusz Majer, był przesłuchiwany we Wrocławiu przez nadkomisarza Zakrzewskiego w sprawie zabójstw z lat osiemdziesiątych. Skalpel był według mnie tym, który zorganizował później polowania na ludzi. Majer razem z kapitanem Piekłą prowadzili tamto śledztwo w stanie wojennym. Zakrzewski podejrzewał Ostaszewskiego i nagle milioner zginął w wypadku samochodowym. Słyszałeś o tym? -- Falewicz przytaknął. -- Kilka dni później zastrzelono dwie osoby z ekipy Zakrzewskiego, a on sam został ciężko ranny.

-- Tadeusz Majer chciał rozmawiać tylko z Zakrzewskim -- dodał Andrzej.

-- No właśnie, trochę dziwne, prawda?

-- Rozmawiałem z Zakrzewskim. Początkowo się zgodził na rozmowę z Majerem, ale szybko się wycofał. Może się boi?

-- Bardzo możliwe. Musisz go przekonać. -- Nowiński znowu umoczył tylko usta w szklance z wodą i zrobił taką minę, jakby pił wodę ze źródła życia, a nie zwykłą mineralną. Chociaż, w tej cenie, to może właśnie była cudowna woda. -- Zaistniały jeszcze inne ciekawe okoliczności.

Falewicz milczał, więc emeryt kontynuował:

-- Tak jak ci już mówiłem, moja grupka prawych emerytów też ma duże wpływy. Można powiedzieć, że jesteśmy inicjatorami i częściowo finansujemy pewną nieformalną grupę w policji, która zajmuje się próbą rozwiązania sprawy polowań na ludzi. Kilka dni temu odnieśliśmy sukces. Pod Bytowie odkryliśmy miejsce, gdzie utylizowane były zwłoki, niestety człowiek, który się tym zajmował, zdołał uciec za granicę. To gruba sprawa i nie da się jej zamieść pod dywan, dlatego niedługo się dowiesz, że w Bytowie miejsce Trynkiewicza zajął kolejny wampir. Mordował kobiety i utylizował ich ciała. Oczywiście cała wina spadnie na niego.

Falewicz poczuł, że szczęki tak mocno mu się zaciskają, że nie może jeść. Zresztą demony w głowie tak skutecznie znieczuliły mu kubki smakowe, że rozkosz z jedzenia już nie wróciła. Na razie tylko słuchał, chociaż złość w nim narastała. Kiedy ten kraj nareszcie będzie normalny? Czy doczeka czasów, gdy nie będą się liczyć wpływy,

nie będzie nacisków, dbanie o przestrzeganie prawa znowu wróci do instytucji do tego powołanych i nikt nie będzie ich kontrolował prócz organów konstytucyjnie do tego umocowanych? Na razie to były mrzonki idealisty. Nowiński tego nie dostrzegął, ale jego klub też był jak guz nowotworu, który wyrósł na systemie sprawiedliwości. Może nie był złośliwy, ale był ciałem obcym, którego tu być nie powinno. No i kto zagwarantuje, że nie stanie się złośliwy?

Nowiński, nieświadomy ponurych wizji pod czaszką Andrzeja, mówił dalej:

-- Kiedy już zostanie zatrzymany, musimy go przejąć. Inaczej wszystkie zbrodnie pójną na jego konto i zanim zdąży złożyć zeznania, powiesi się w celi.

-- My? -- Falewicz uniósł w górę brwi.

-- Tak, pomożemy ci, jak tylko będziemy potrafili, a z tego, co wiem, możemy dużo. Ty się doskonale nadajesz. Jesteś do bólu uczciwy i nie dasz się zastraszyć.

-- Dlaczego ja? -- Głos młodszego prokuratora stał się matowy i beznamiętny. -- Bo nie mam już rodziny i na niczym mi nie zależy? Tak mnie oceniacie?

Eugeniusz Nowiński odłożył sztućce na talerz i ponownie wytarł usta chusteczką.

-- Ależ nie, po prostu jesteś najlepszy.

Falewicz przestał udawać, że mu smakuje, i też odłożył widelec na talerz. Zrobił to jednak bardziej efektownie i spojrzenia nielicznych gości spoczęły na chwilę na nich.

-- Naprawdę chciałbym wierzyć, że to jedyny argument, jednak mam duże wątpliwości -- powiedział, kiedy znowu stali się anonimowymi klientami i nikt nie spoglądał w ich stronę. -- Dlatego się zastanowię. Dziękuję za obiad.

-- Zadzwoń -- rzucił jeszcze Nowiński, a kiedy nie padła żadna odpowiedź, odprowadził prokuratora tym swoim dziwnym spojrzeniem.

Falewicz wyszedł na ulicę i szybkim krokiem skierował się na miejski parking, gdzie zostawił auto. Zanim jednak przeszedł te kilkaset metrów, wyciągnął telefon, zadzwonił, a potem zmienił decyzję i niespiesznie poszedł w kierunku wawelskiego wzgórza i Wisły. Spacerował nabrzeżem około godziny, wreszcie przysiadł na podwójnej ławce. Jedna jej część skierowana była w stronę rzeki, druga w prze-

ciwnym kierunku. I to właśnie tam przysiadł się nieznajomy mężczyzna. Byli odwróceny do siebie tyłem.

-- Witam pana prokuratora -- odezwał się nieznajomy.

-- "Witam" to dobre słowo, bo "dzień dobry" byłoby już pewnym nadużyciem -- odrzekł Falewicz.

Mężczyzna za jego plecami roześmiał się i czekał na to, co prokurator ma do powiedzenia. Był cierpliwy, znał go trochę i wiedział, że jego osoba nie kojarzy mu się dobrze. I to była prawda. Falewicz znowu walczył z demonami z przeszłości. Znowu słyszał głos nieżyjącej żony, znowu widział swojego syna, kiedy ostatni raz spojrzął do tyłu, potem był huk miażdżonych blach i wreszcie coś o wiele gorszego. Żar. Auto stanęło w płomieniach. Syn w momencie zderzenia musiał stracić przytomność, ponieważ nie wydał żadnego dźwięku, kiedy ogarnęły go płomienie. Andrzej ciągle się pocieszał, że może nie czuł też bólu. Inaczej było z jego ukochaną kobietą na siedzeniu obok niego. Kiedy dosięgły ją płomienie, z jej gardła wydobył się straszliwy charkot, jakby wrzask zrywał po kolei struny w jej krtani. Tylko kilka sekund, jednak jemu się wydawało, że trwa całą wieczność i ciągle trwa, kiedy kładzie się do pustego łóżka w pustym mieszkaniu i próbuje zasnąć. Później stracił przytomność. A jeszcze później jakieś silne ramiona objęły go i wyciągnęły z płonącego auta. Miał tylko trochę oparzeń na przedramionach, udzie i boku.

Posiadacz silnych ramion, który wtedy uratował mu życie, teraz siedział za jego plecami. Udawali, że się nie znają, bo tak było lepiej. A przede wszystkim bezpieczniej. Falewicz pomyślał o wpływach wspomnianych przez Nowińskiego. On też był w ten sposób uzależniony. Facet uratował mu życie i on teraz musi spłacać ten honorowy dług. Ktoś powiedziałby, że nie ma przymusu, facet zachował się tak, jak powinien na jego miejscu zachować się każdy. Zdusił w sobie strach i uratował go. Jednak Falewicz czuł się zobowiązany. Powiedział kiedyś nieopatrznie, że się zrewanżuje, zrobi dla niego wszystko. I któregoś dnia mężczyzna zjawił się u niego w mieszkaniu. Przedstawił się jako Grzegorz Nawrot i w formie rewanżu poprosił go o pewne informacje. Mógł zażądać, a poprosił. Chodziło o drobne informacje, nieistotne, mające się nijak do tych, którymi Falewicz teraz właśnie miał zamiar wreszcie wyrównać rachunki.

Falewicz opowiedział mu o zabójstwie Czerwińskiego, o Tadeuszu Majerze, nadkomisarzu z Wrocławia, spotkaniu z Nowińskim, nowym wampirze z Bytowa i jego ucieczce za granicę. Nawrot słu-

chał i nawet jeśli opowieść prokuratora zrobiła na nim jakieś wrażenie, nie dał tego po sobie poznać. Wreszcie podziękował, powiedział:

-- Teraz już nic nie jesteś mi winien. -- I wstał, żeby odejść.

-- Poczekaj! -- rzucił za nim Falewicz. -- Wróc jeszcze.

Nawrot usiadł w taki sam sposób co poprzednio i Falewicz zaczął mówić:

-- Posłuchaj, ja będę prowadził to śledztwo. Nowiński z kolegami się o to postarają. Nie wiem, co się będzie działo dalej, ale chyba będę miał z tego powodu spore kłopoty. Tak czy inaczej, będę bardzo blisko śledztwa. Mogę być twoim źródłem informacji.

-- Nie masz już w stosunku do mnie żadnych zobowiązań.

-- Wiem, ale chciałbym wiedzieć, jaki jest plan.

-- Nie ma jeszcze planu.

-- Ale chcę go znać, jak już będzie.

Nawrot długo milczał. W pewnej chwili Falewicz nawet się obejrzał, ale facet wciąż tam był, jakby zapuścił korzenie i zmienił się w pień drzewa. Wreszcie się zgodził.

-- Dobrze, ale teraz musisz radzić sobie sam. My wkroczymy dopiero, kiedy Łowcy Główni złapią tego człowieka od utylizacji zwłok. Do tego czasu dużo się zmieni, oni się przyczają, może nawet zwiną interes. Chyba i tak osiągnęli już swoje cele. Po co się więcej narażać? Jak już go będziemy mieli, trzeba zrobić aferę na cały kraj. Wtedy plotki się przestraszą i zdekonspirują. Jak nadgryziemy dół organizacji, to potem będzie efekt domina. Przymkniemy większość i kiedy sobie o tym pomyślę, mam tylko jedno odczucie.

-- Tak?

-- Szkoda mi Polski. Odezwę się.

Grzegorz Nawrot, oficer bliżej niesprecyzowanych służb specjalnych, w stosunku do którego prokurator Andrzej Falewicz miał dług honorowy, wstał i odszedł bez słowa. Prokurator nawet za nim nie popatrzył. Spoglądał na ciemnoszary nurt Wisły, która toczyła cierpliwie wody na niziny i do morza. Musiał spłacić dług życia, chociaż tak naprawdę nie był pewny, do której bramki gra Nawrot. Tylko że teraz nie było już czasu i miejsca na takie rozważania, Annuszka rozlała już olej i trzeba było cierpliwie czekać, aż ktoś wpadnie pod tramwaj.

Dom w starej części osiedla Widawa pamiętał jeszcze czasy, kiedy zamiast "Wrocław" mówiło się "Breslau". I podczas historycznego tsunami, gdy nazwa zmieniła się w Festung Breslau, miał sporo szczęścia. Nie dosięgły go pociski żadnej z walczących stron. Teraz był ładnie odnowiony i sprawiał wrażenie, jakby miał stać w tym miejscu kolejne sto lat, jeśli nie więcej.

Starsza aspirant Buczko zaparkowała przed zamkniętą na głucho bramą i pewnie skierowała się do furtki. Klucze pasowały i już za moment szła szutrową alejką przez podwórze w kierunku drzwi wejściowych. Po drodze obejrzała się na Marcina.

-- Co tak wolno? -- rzuciła.

-- Zestarzałem się -- burknął niezadowolony.

-- Ja-ja-jasne. -- Z widoczną przyjemnością zakpiła z jego sztandarowego powiedzonka.

Zakrzewski naprawdę czuł się staro. Tym bardziej że ciągle miał niesprawną lewą rękę, wciąż w usztywniającym opatrunku. Zamiast wracać do pracy, mógł wybrać się na zwolnienie lekarskie. Decyzja o przywróceniu tak go zaskoczyła, że nawet o tym nie pomyślał, a w komendzie nikt nie pytał, kiedy paradował z gipsem na rękę. Taki cholerny zawód.

Halina Malasek użyczyła im kluczy do domu i pozwoliła się rozejrzeć. Wcześniej byli na ogródkach działkowych, gdzie Malaskowie mieli składzik na narzędzia, tak przebudowany, żeby zmieściła się mała kuchnia i kanapa. Niczego nie znaleźli, więc przyjechali tu, chociaż bez większego przekonania. Dom był duży, a miejsca, gdzie można było ukryć segregator z dokumentami, czyli piwnica i poddasze, zamienione były w istny pierdolnik starych i niepotrzebnych szpargałów. Malasek sama ich ostrzegła, że tak właśnie jest. Przyjechali bardziej dla spokoju sumienia niż z nadzieją na sukces.

Karina otworzyła drzwi i weszli do obszernego korytarza. W nozdrza uderzyło ich stęchłe powietrze dawno niewietrzonych pomieszczeń. Nie było jednak źle i po minucie już przywykli. Teraz dopiero można było ocenić, jak duży jest ten dom. Po drodze sprawdzali, za ile jest wystawiony na sprzedaż, i trochę zdziwili się wysoką ceną. Teraz już się nie dziwili. W pełni wyposażony dom, niedawno odnowiony w środku, nadawał się do natychmiastowego zamieszkania.

Na parterze znajdowało się kilka mniejszych lub większych pomieszczeń, a była jeszcze dobudówka od strony podwórza, stanowiąca osobne mieszkanie, piętro, poddasze i piwnica. Zatrzymali się, jeszcze bardziej rozczarowani.

-- Bez brygady policjantów doświadczonych w przeszukaniach nie mamy szans -- oceniła Karina, która dotąd była o wiele większą optymistką niż Marcin.

-- Chociaż spróbujmy. -- Wzruszył ramionami.

Postanowili zacząć od góry. Marcin poszedł na poddasze. Prowadziły tam skrzypiące drewniane schody, pamiętające jeszcze najdawniejsze czasy domu. Zakrzewski przyjrzał się im uważnie, kiedy wreszcie je znalazł na samym końcu korytarza, ukryte w małym pomieszczeniu, które kiedyś mogło służyć jako składzik na środki czystości, odkurzacz i mop. Teraz składzik był pusty i tylko ciekawość, dokąd prowadzą te schody, mogła kogoś zachęcić do odwiedzenia tego miejsca. Czymś tu śmierdziało, jednak nie potrafił powiedzieć czym. Schody wyglądały na nieużywane, ale w kurzu i zabrudzeniach były wyraźnie odcisnięte ślady stóp. Ktoś niedawno wchodził na górę, może nawet kilkukrotnie. Nic niezwykłego, w końcu właściciele się pakowali, więc sprawdzali, czy nie ma tam wartościowych rzeczy.

Ostrożnie wspinał się po schodach. Sufit był dość nisko i walnął głową w poziomą belkę, aż z góry posypał się kurz pomieszany z wieloletnim efektem ciężkiej pracy korników. Stłumił przekleństwo i rozmasował bolące miejsce na czole. Druga próba wejścia nie była już okraszona efektownymi wypadkami. Tak jak mówiła Malaskowa, poddasze było zagracone. Można było się poruszać tylko blisko skosów dachu, ponieważ cały środek pomieszczenia zajmowały stare meble i inne niepotrzebne nikomu graty. Co cenniejsze elementy były zabezpieczone przed kurzem szmatami i płachtami, jednak większość cierpliwie przez lata pokrywał kurz i pajęczyny, których girlandy zwisały majestatycznie z wieżby dachowej, tworząc atmosferę jak z taniego horroru.

Zakrzewski ruszył i nagle stanął. Wydawało mu się, że przez sekundę poczuł w nozdrzach zapach benzyny. Nawet rozejrzał się, czy gdzieś na widoku nie stoi kanister. Mogli tu trzymać benzynę do kosiarki lub innych urządzeń ogrodowych. Jednak niczego nie zauważył, więc musiało mu się coś pomylić. Obchodził stertę zakurzonych gratów, starając się dostrzec coś, co nie pasowało do ogólnego ob-

razu. Bo przecież gdyby Jan Malasek chciał coś ukryć w tej górze meblowych śmieci, musiałby strącić gdzieś kurz i zostawić ślady.

Obszedł meble z jednej strony. Po przeciwnej, pod małym okienkiem z szarymi od brudu szybami, stały dwie skrzynie, które wydały mu się podejrzane. Zajrzał najpierw do jednej, potem do drugiej. W pierwszej znalazł sterty dokumentów. To były jakieś listy z dawnych czasów, przewiązane wyblakłymi wstążeczkami, zapomniany album ze zdjęciami ludzi, którzy robiąc te fotografie jako pamiątkę na przyszłość i dla przyszłych pokoleń, nawet nie przypuszczali, że te obrazy zostaną tak samo zapomniane jak oni. Ogólnie nie było nic, czym Marcin mógłby się zainteresować, podobnie jak w drugiej skrzyni. Mimo to skrupulatnie przejrzał ich zawartość, brudząc sobie opatrunek na ręce. Wreszcie uznał, że stracił tu już za dużo czasu, zamknął skrzynię i się wyprostował.

I wtedy gdzieś z dołu dobiegł go krzyk Kariny:

-- Marcin!!

Karina poszła za Zakrzewskim na piętro, a potem odprowadziła go wzrokiem, kiedy wchodził po schodach. Zniknął jej z oczu. Nie bardzo wiedząc, jak ma się zabrać do szukania, weszła do pierwszego pokoju po prawej stronie korytarza. Sypialnia ogołocona z poduszek, koców i kołder wyglądała jak więzienna cela. Szare tapety na ścianach tworzyły przygnębiającą atmosferę. Chyba trudno byłoby jej tutaj zasnąć. Tym bardziej że w oknach wisiały ciężkie szare zasłony. Jedna w połowie zasłaniała okno, wpuszczając do środka niewiele światła. Kto tak urządza sypialnię? A może to była sypialnia dla gości, używana rzadziej lub wcale, stąd taki ponury wystrój. Pierwsze, co zrobiła, to odsunęła zasłonę i spojrzała w dół. Widziała zarośnięte świeżą trawą podwórze i garaż w głębi. Droga do garażu wyłożona była ażurowymi płytami z betonu, a w ich otworach rosła teraz bujna trawa.

Rozejrzała się. Tylko jednoosobowy tapczan i szafa. Zajrzała pod nią, odsunęła tapczan od ściany, zerknęła do środka, przesunęła okrągły, niemiłosiernie wydeptany dywanik, ponieważ wydał jej się podejrzany. Dlaczego był tak wydeptany, skoro sypialnia chyba nie była za często używana? Pod spodem dostrzegła tylko lśniące lakierem deski podłogowe. Niczego nie znalazła. Tak samo jak w szafie.

Drugi pokój był zakurzoną graciarnią. Przeszukiwała to pomieszczenie dobrych kilka minut, jeśli nie więcej. "Cholera jasna -- pomy-

ślała ze złością. Może ten pomysł nie miał po prostu sensu?" No ale nie mieli innych tropów.

Nagle usłyszała stuk. Ale nie, jak podpowiadała logika, z góry. Zakrzewski na poddaszu nadal zachowywał się, jakby go nie było. Dźwięk dobiegał z dołu. Czyżby Marcin zszedł, a ona tego nie zarejestrowała? Niemożliwe. Zresztą może jej się tylko wydawało, stare domy żyją własnym życiem i mają nieodgadnioną mowę. Wróciła do przeszukiwania, lecz teraz nadstawiała uszu. Taki pieprzony nawyk policjanta. Wszędzie szuka zagrożenia. Tylko czy na pewno wszystko było w porządku?

Znowu na chwilę zamarła. I znowu do jej uszu dotarły jakieś odgłosy z dołu. Coś jakby ciche kroki, które odezwały się w ciszy szuraniem, skrzypnięciem starych desek podłogi, wreszcie stuk. Na dole ktoś był. Wyszarpnęła walthera z kabury i wolno schodziła po schodach na parter, przyczajona, gotowa odeprzeć atak. Przystanąła na moment. Nic, cisza. A jednak coś było nie tak. Nagle w jej nozdrza uderzył mocny odór oparów benzyny.

-- Kurwa mać! -- zaklęła pod nosem.

Nie wiedziała, co robić. Zlokalizowała pokój, z którego prawdopodobnie te kroki usłyszała. Salon naprzeciw. Drzwi ciągle były zamknięte, tylko ten zapach. Jakby ktoś rozlał benzynę. W dwóch skokach była w środku. Salon wydawał się pusty, ale tu też ciężkie zasłony blokowały blask padający z okna. Postąpiła dwa kroki. Smród benzyny trochę osłabł.

Nagle drzwi się za nią zamknęły i ktoś przekręcił klucz w zamku.

-- Marcin! -- krzyknęła na całe gardło.

Rzuciła się do drzwi i szarpnęła za klamkę. Nic z tego, były masywne i nawet nie drgnęły. W tej samej chwili usłyszała zza nich jeszcze inny odgłos, po chwili strużka białego dymu zaczęła przesączać się przez szpary pod drzwiami. Ten odgłos to był trzask płomieni. Przeklęła głośno i odskoczyła.

-- Marcin!!! -- tym razem z jej gardła wydobył się wrzask spotęgowany strachem.

Cholera, teraz musiał usłyszeć. Ktoś chciał spalić dom! Bez chwili namysłu podskoczyła do okien, szarpnęła za zasłonę i znieruchomiała. W oknach na parterze były kraty.

Zakrzewski nasłuchiwał, czując, jak napinają mu się mięśnie. To nie było zwykłe wołanie. Brzmiało w nim coś innego, jakby strach. Stał zdezorientowany. Upłynęła jedna sekunda, dwie, pięć, dzie-

się. Dochodziły go inne odgłosy. Na dole ewidentnie coś się działo, coś niepokojącego. Rzucił się do klapy w podłodze, przez którą tu wszedł. Jednak nie mógł szybko przecisnąć się przez szparę przy pochyłym dachu. Znowu uderzył głową w belkę, zahaczył o stary stolik, zrzucił na podłogę jakieś deski i otoczyła go chmura kurzu. Klnąc, próbował jakoś pokonać piętrzące mu się na drodze przeszkody. Wtem znowu poczuł ostry zapach benzyny. Już wiedział, że to, co poczuł wcześniej, nie było przypadkowe. Równocześnie kłapa, przez którą tu się dostał, zatrzaskała się i zanim tam dobiegł, z jej powierzchni zaczęły unosić się blade smugi dymu.

-- Marcin!! -- doleciał go kolejny krzyk Kariny, tym razem bardziej przytłumiony i jakby rozpaczliwy.

Dopadł klapy, uniósł ją i znieruchomiał. Wystarczył tylko rzut oka w dół, żeby zrozumieć, że już nie zejdzie tą drogą. Ktoś musiał poleć stare schody benzyną i podpalić. Teraz pod nim szalało morze ognia.

Do diabła, co się dzieje? Zatrzaskał kłapę i stanął nad nią, myśląc gorączkowo. Dym był coraz gęstszy, przez szpary w deskach zaczęły przedostawać się języki ognia. Nie minie minuta, jak poddasze też zajmie się ogniem. Czy ktoś ich śledził i w ten sposób chciał unieszkodliwić, czy znaleźli się tu przypadkowo w tym samym czasie? A gdyby Jan Malasek naprawdę zostawił sobie kopie dokumentów, które rzekomo sprzedał Ostaszewskiemu za milion złotych, i ukrył je gdzieś w tym domu? Po co szukać? Wystarczy budynek puścić z dymem.

Drgnął nagle. Gdzieś z dołu dobiegł go odgłos wystrzałów z pistoletu. Jeden, potem drugi i dwa kolejne raz za razem. Po chwili jeszcze dwa. Musiał się odsunąć, bo ogień dostał się na poddasze i ochocho rozpełzał się wokoło, karmiąc się wszystkim, co spotkał na swojej drodze. Zakrzewski cofnął się jeszcze o kilka kroków. Spojrzał na okno. To było w tej chwili jedyne wyjście. Oceniał, że się zmieści, tylko co jest pod spodem? Nie pamiętał teraz, gdzie na fasadzie domu znajdowało się to okno. Jeśli przyjdzie mu skakać bezpośrednio na ziemię, może się to kiepsko skończyć. Jeszcze się cofnął. Ogień szalał na całego, robiło się piekielnie gorąco.

Przedarł się do okna. Równocześnie nasłuchiwał odgłosów z dołu. Co Karina tam robiła? Dlaczego strzelała? Czy nic jej nie zagraża? Najgorsza była bezsilność. W tej sytuacji nie mógł jej pomóc,

sam walczył o życie, co właśnie sobie uświadomił. Karina musi sobie poradzić sama. On musi coś wymyślić, żeby ratować siebie.

Płomienie za nim trochę przygasły, stały się mniej ekspansywne, leniwe, jakby straciły nieco ze swojej mocy. Na poddaszu zaczęło brakować tlenu. Wiedział, co się stanie, kiedy zbije szybę. Rozejrzał się szybko. Ściągnął z jednej z szafek zakurzony gruby dywan, narzucił go sobie na ramiona, potem z trudem dźwignął jedną ze skrzyń, które wcześniej tak długo przeglądał. Cisnął nią w okno i natychmiast upadł na podłogę, nakrywając głowę dywanem. Przez chwilę miał wrażenie, że znalazł się w środku hutniczego pieca.

Dymu było coraz więcej, zaczęło brakować jej oddechu. Skoczyła do okna i otworzyła je na całą szerokość. Zaczepnęła kilka haustów świeżego tlenu i to przywróciło myśli na właściwe tory. Wspięła się na parapet i kopnęła kratę. Solidna niemiecka robota ani drgnęła. Musiała wydostać się przez drzwi. Nie było na co czekać, każda sekunda powodowała coraz większe rozprzestrzenianie się ognia. Podbiegła do drzwi, wycelowała w zamek i nacisnęła na spust. Musiała strzelić chyba z sześć razy, zanim puścił. Kopnęła skrzydło drzwi i odskoczyła, kiedy żar uderzył ją w twarz. Odczekała chwilę i zbliżyła się do progu, żeby zobaczyć, co się dzieje na korytarzu. Nie było najgorzej. Ktoś polał drzwi benzyną i podpalił, lecz dalsza część korytarza nie była jeszcze zajęta przez płomienie. Paliły się za to schody na piętro. Musiała tylko przeskoczyć kilka metrów przez płomienie i dalej powinno być już lepiej.

Był tylko jeden kłopot. W panice zapomniała, w którą stronę jest wyjście. Straciła cenne sekundy, żeby ustalić to na sto procent. Potem pomyślała, że jeśli drzwi wejściowe są zamknięte, to może mieć poważny problem. A jeśli wszystkie okna na parterze mają kraty? No i jeszcze żar po drodze. Jego nie da się oszukać. Wystarczy sekunda, żeby poparzyć sobie twarz, drogi oddechowe i spalić włosy. Kurwa mać! Rozejrzała się za jakąś szmatą. Salon był jednak ogołocony z tkanin. Wisiały tylko zasłony w oknach. Nie zastanawiając się długo, zdarła jedną. Była za duża, więc prowizorycznie złożyła ją na pół. Zarzuciła sobie na plecy, zakryła twarz i pobiegła, wstrzymując oddech.

Drzwi na szczęście były otwarte, udało jej się dobiec. Wypadła przed dom w chwili, gdy niedaleko o ziemię roztrzaskała się skrzynia i wszędzie rozsypały się stare fotografie. Zerknęła do góry. Z wybiętego okna poddasza buchały zabójcze płomienie.

Po małej eksplozji spowodowanej nagłym dopływem tlenu wokół Marcina płonęło wszystko, łącznie z dywanem na jego ramionach. Nie zastanawiając się ani przez moment, kopnięciami oczyścił okno z resztek szyb i ram okiennych. Wyjrzał. Na szczęście poniżej, trochę z boku znajdował się skośny dach przybudówki. Dobrze i to. Przełożył nogi przez parapet, przytrzymał się jedną ręką futryny, a następnie bez zastanowienia skoczył. Działał instynktownie, gdyby zaczął się zastanawiać, każda chwila zwłoki utrudniałaby mu decyzję. Nie poszło dobrze. Nie zdołał się niczego złapać, zjechał po czerwonych dachówkach porośniętych lekko mchem i spadł na trawnik. Na szczęście to już nie było tak wysoko. Upadek wypchnął mu powietrze z płuc, przez co długo walczył o oddech.

Gdy wreszcie udało mu się zaczerpnąć tchu, już pochylała się nad nim Karina Buczko.

-- On ucieka! -- Szarpnęła go.

-- Kto? -- jęknął niezbyt przytomnie.

-- Podpalacz!

Zerwał się i pobiegł za nią do samochodu. Pożar zdążył już przyciągnąć okolicznych mieszkańców. Przerażeni i poruszeni stali w grupce przy otwartej furtce. Karina przepychała się przez nich z policyjną odznaką w dłoni.

-- Policja! Proszę się odsunąć! Ścigamy podpalacza!

Ludzie byli podejrzliwi i rozstępowali się opornie. Pewnie poszłoby o wiele gorzej, gdyby nie pistolet w drugiej ręce policjantki. Marcin przepychał się za nią.

-- Policja! Zadzwońcie po straż!

-- Już jadą!

-- To, kurwa, zróbcie im miejsce!

Dobiegli do auta i wsiedli do środka. Karina pokazała czarny samochód znikający właśnie na zakręcie na końcu ulicy. Koła zabuksowały na poboczu, a potem szarpnęło, kiedy złapały przyczepność. Karina wyłożyła na dach koguta i wcisnęła gaz do dechy. Podrasowany silnik pod maską policyjnego forda zagrał na wysokich obrotach, jakby z zadowoleniem. Do setki było kilka sekund i już trzeba było hamować przed zakrętem. Karina była dobrym kierowcą, znowu zajęczały opony na asfalcie, kiedy z lekkim dryftem wchodziła w zakręt. Wciąż oszołomiony upadkiem Zakrzewski nie zdążył się zapiąć i teraz latał na siedzeniu pasażera na wszystkie strony. Wreszcie udało mu się zapiąć pas.

-- Zabijesz nas! -- warknął głośniejszym głosem niż silnik.

Karina była ubrudzona sadzą na policzku i miała zacięty wyraz twarzy. Marcin nagle poczuł, że oboje śmierdzą spalenizną.

-- Jak go dorwę, zabiję sukinsyna -- odwarknęła i jeszcze mocniej nacisnęła na pedał gazu.

Czarne auto nie miało szans na ucieczkę. Już siedzieli mu na ogonie i Buczko nie zamierzała mu w żaden sposób odpuszczać. Facet próbował kluczyć. Hamował, zwalniał, gwałtownie skręcał w boczne ulice, próbował wypuścić ich do wyprzedzania na czołówkę, lecz Karina była uważna i ostrożna. Zakrzewski w tym czasie prowadził rozmowę z dyżurnym.

-- Podejrzany o podpalenie domu w Starej Widawie ucieka czarną skodą superb o numerach rejestracyjnych... -- przedyktował numery, kiedy zbliżyli się na tyle, że mógł je odczytać. -- Potrzebujemy wsparcia.

-- Na jakiej ulicy jesteście? -- zapytał dyżurny.

Karina skręciła za uciekającym ostro w prawo, Marcinem rzuciło, nadajnik omal nie wypadł mu z ręki. Gnali teraz na złamanie karku przez jakąś polną, dziurawą drogę gruntową, wzniesając tumany kurzu.

-- Cholera, nie wiem, gdzie jesteśmy -- zirytował się Zakrzewski. - - Gdzieś w polu na zachód od Starej Widawy. Masz nas na podglądzie.

-- Dobrze, w jakim kierunku jedziecie?

-- Na półno... -- Musiał przerwać, ponieważ auto wyskoczyło w górę na muldzie i Marcin boleśnie zgrzytnął zębami, kiedy walnęli kołami o ziemię. Czuł się, jakby jechał na rajdzie Dakar razem z Holowczycem, tylko bez kasku i sztywnych pasów bezpieczeństwa. -- Na północny zachód.

-- Bądź na nasłuchu, wysyłam wsparcie.

Pole się kończyło, szybko zbliżali się do wąskiej asfaltowej drogi. Uciekające przed nimi auto wypadło na asfalt, zatańczyło niepokojąco, kierowca nie opanował kierownicy, odbił się prawym bokiem od drzewa, odłupując kawał kory, i wjechał przodem do rowu po przeciwległej stronie drogi. To był koniec pościgu. Karina zwolniła, zablokowała fordem ewentualne próby wyjazdu z rowu i wyskoczyła z pistoletem gotowym do strzału. Zakrzewski wysiadł równocześnie z nią, ale tylko ona miała broń, więc puścił ją przodem.

Dopadła kierowcę, kiedy po krótkiej szarpaninie z przybłokowanymi wysoką trawą drzwiami próbował wysiąść. Szarpnęła go za ramię, kopnęła pod kolanami i gość złożył się przed nią jak scyzoryk.

-- Gleba!!! -- darła się na niego. -- Ręce na kark i gleba! Gleba, bo cię odstrzelę przy próbie ucieczki, skurwysynu!

Jej krzyki poskutkowały. Krótco ścięty i dobrze zbudowany mężczyzna w czarnej koszulce leżał potulnie jak baranek. Karina rzuciła Marcinowi kajdanki, a ten klęknął zatrzymanemu na plecach i sprawnie skuł mu dłonie. Poczł od niego smród benzyny i spaleniźny. Nie było wątpliwości.

Stanął obok Kariny. Człł narastającą gdzieś w środku dziką wściekłość. Nigdy się tak nie człł. Zawsze starał się być opanowany, ostroźny i postępować zgodnie z prawem i zasadami. Tylko jakiś czas temu wszystko się w nim przewróciło na drugą stronę. Próbował ze sobą walczyć, lecz na dłuższą metę tak się nie dało. Na świecie istnieje pewien rodzaj zła, którego nie da się zwalczyć starymi zasadami. A najgorsza jest świadomość, że zło jest tuż obok, patrzy na ciebie, zabija ci przyjaciół, ciągle stanowi zagrożenie. Wtedy zasady przestają obowiązywać, liczą się tylko siła i bezwzględność. Nie tłumił już wściekłości, tylko dał się jej porwać. Był wściekłym psem, a taki pies gryzie bez ostrzeżenia.

-- Co robimy? -- zapytała Karina i chyba pomimo całej swojej stanowczości takiej reakcji się po Zakrzewskim nie spodziewała.

Miał kamienną twarz i nieruchome spojrzenie. Demony w jego głowie znowu się obudziły i wyły wściekle. Trudno było mu je zagłuszyć. Przed oczami mignęły mu też złe obrazy.

-- Daj mi pistolet i siadaj za kierownicę -- rozkazał.

-- Co zamierzasz? -- zaniepokoiła się.

-- Zobaczysz.

Z wahaniem oddała mu broń, potem pomogła wrzucić zatrzymanego na tylne siedzenie. Ruszyli niezbyt szybko.

-- Dokąd jechać? -- zapytała, zerkając do tyłu.

-- Znajdź jakieś odludne miejsce, najlepiej w lesie.

-- Ja pierdolę!

Zakrzewski obszukał podpalacza. Nie znalazł nic prócz kilku banknotów z Jagiełłą. To go nie interesowało. Facet patrzył na niego bykiem, najprawdopodobniej miał plan. W razie zatrzymania milczeć. Na początek to był dla niego dobry plan. Tylko trzeba być twardym, żeby plany realizować.

-- Nic nie powiem -- warknął niepytany.

Zakrzewski trzymał go na muszce i nic nie mówił. Karina też się nie odzywała. Przejechali tak kilkaset metrów.

-- Dokąd jedziemy?

Znowu milczenie. Auto skręciło z asfaltu w kolejną drogę gruntową, tym razem biegnącą w prawo do kępy drzew. Marcin stracił dawno orientację, gdzie się znajdują, lecz podejrzewał, że dojeżdżają do rzeki Widawy. Podpalacz zorientował się, że jadą do lasu, i tym razem na jego twarzy odmalowało się bardzo wyraźne zaniepokojenie.

-- Co wy odwalacie? Znam swoje prawa!

Karina nie patrzyła do tyłu, gdzie po ostatnim zdaniu znowu zapadła cisza, i dopiero po chwili odezwał się Zakrzewski. Nie poznała jego głosu.

-- W dupie mam twoje prawa.

Zatrzymali się za krzakami, tak żeby nie było ich widać z drogi. Zakrzewski wysiadł, obszedł samochód i pociągnął za klamkę po przeciwnej stronie. Zatrzymany wypadł, w czym Marcin trochę mu pomógł, pociągając go za łańcuszek kajdanek. Facet jęknął z bólu i zastygł w bezruchu na ziemi, leżąc bokiem w trawie.

Starsza aspirant Buczko też była zaniepokojona. Nie знаła takiego Zakrzewskiego. Być może on sam siebie takiego nie znał. Podeszła do nich, kiedy Marcin pochylił się nad podpalaczem i wyciągnął pistolet.

-- Chciałeś nas zabić -- powiedział. -- Teraz przez kilka minut żadne prawa nie obowiązują.

Zakrzewski pociągnął za spust. Ostry odgłos wystrzału potoczył się po okolicy. Kula weszła w ziemię tuż przed twarzą skutego mężczyzny. Ten krzyknął przestraszony i zacisnął powieki. Kiedy je otworzył, za nimi było już tylko przerażenie. Karina też się nie spodziewała, że Marcin pociągnie za spust, i tak samo podskoczyła. Nic jednak nie powiedziała.

Z ust leżącego potoczył się ciąg najgorszych przekleństw. Marcin poczekał, aż pierwszy szok mu minie i uświadomi sobie sytuację, w jakiej się znalazł. Doprowadzony do ostateczności policjant też może okazać się psychopatą i zabić w afekcie. To musiało do niego dotrzeć.

-- To było tylko ostrzeżenie -- powiedział cicho nadkomisarz. -- Teraz, jak nie odpowiesz na moje pytanie, przestrzelę ci kolano. Kto

cię wynajął? Miałeś nas zabić czy tylko spalić dom?

-- Ja nic nie wiem, naprawdę... -- Jego gorączkowe słowa przerwał kolejny wystrzał i wrzask bólu.

Kula przeszła przez spodnie i tylko drasnęła prawe kolano.

-- Następny strzał będzie celny -- powiedział zimno Zakrzewski. -
- Teraz opowiesz nam wszystko, co wiesz.

Podpalacz i niedoszły zabójca tym razem zaczął opowiadać.

8

Nie wiedział, komu może zaufać. Być może w jego otoczeniu nie było takiej osoby. Miał jednak nadzieję, że nie jest tak źle, jak to sobie wyobrażał. Korupcja nie przeżarła jeszcze tego środowiska w takim stopniu. Mógł się jednak mylić, w końcu dwa lata go nie było. Zajmował się lokalnymi błahymi tematami w nowosądeckiej prokuraturze na politycznym zesłaniu. A przecież on nadawał się do wielkich spraw jak nikt inny.

Prokurator Andrzej Falewicz nie był dobrym kucharzem. Odkąd został sam, musiał jednak jakoś sobie radzić. Czasami było tak jak dzisiaj. Miał ochotę na coś bardzo dobrego, a skończyło się na przesuwanie niedobrej papki z niezbyt szczęśliwą miną. Czasem pomagały pikantne przyprawy. Tym razem tak spieprzył sos do spaghetti własnego pomysłu, że nie było ratunku. Jadł powoli, mierząc się z przeszłością. Ile to już minęło od wypadku? Sześć lat. Paradoksalnie to praca pozwoliła mu wtedy odbić się od dna. Rzucił się w jej wir, bo chciał sobie i demonom udowodnić, że jego życie się jeszcze nie zakończyło, że nadal może być najlepszy. No i udowodnił.

Tylko że za to też zapłacił cenę, która wydawała mu się nieadekwatna do korzyści. Nie miał czasu dla nikogo, więc więzi rodzinne osłabły, prawie zanikły, przyjaciele też nie dali rady i zniknęli. Wcale im się nie dziwił. Po co tracić piękne chwile w życiu na kontakty z kimś, kto nie ma na to ochoty. Na szczęście rzadko zdarzały mu się takie popołudnia jak to, kiedy był w domu. Zazwyczaj wychodził z pracy jak najpóźniej, miał kilka lokalizacji, w których można było tanio i dobrze zjeść. Miał swoje miejsca w kawiarniach i barach z drinkami, a do domu wracał tylko po to, żeby wziąć prysznic i walnąć się do pustego wyra. Miał to opanowane i sprawdzone, wtedy demony się nie pojawiały.

Kiedy jednak musiał w domu spędzić kilka lub więcej godzin, jak ognia unikał ciszy. Zawsze głośno grała muzyka, zwykle jakieś rockowe brzmienia z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Gdy było cicho, przychodziły demony i w uszach brzmiał mu tamten krzyk płonącej żywcem żony. Czasem zdarzało mu się to, co w trakcie wczorajszego spotkania z Nowińskim. Tracił smak. Ale to nie było jeszcze najgorsze. Czasem odchodził smak, a na jego miejsce pojawiał się smród palonych ciał. Czuł go w nozdrzach długo, a tamten

niechętnie go opuszczał. To po to była mu praca. On po prostu nie mógł być sam. Za dużo demonów.

Musiał z nimi żyć z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. To była straszna kara, na którą sobie nie zasłużył. Jeśli chodzi o tamten wypadek, nie miał sobie nic do zarzucenia, był niewinny, nic złego nie zrobił, a skończyło się tragicznie. Czym zawinił, że musiał oglądać piekło za życia? Widzieć, jak płoną jego najbliżsi, słyszeć krzyk żony, czuć odór palonego ciała? Nie, zdecydowanie sobie nie zasłużył.

Połowę makaronu wyrzucił do kubła, talerz włożył do zmywarki, dopił kawę i poszedł do pokoju. Akurat jedna płyta się skończyła i z głośników spłynęła lawina dźwięków oszałamiającej gitary Eddiego Van Halena, a potem oparty częściowo na flazoletach riff do *Ain't Talkin' 'bout Love*. Geniusz, jak on to wymyślił?

Ubrał się w stare dżinsy, czarną koszulkę, na wierzch naciągnął ciemną bluzę z kapturem. Było dość chłodno, więc nie będzie mu za gorąco. Podszedł do odtwarzacza, brutalnie przerwał Eddiemu ogniścią solówkę i wyszedł z mieszkania.

Nie czuł wyrzutów sumienia za wypadek, ponieważ to nie on siedział wtedy za kierownicą. Prowadziła jego żona, to ona miała ten ułamek sekundy nieuwagi, to ona popełniła błąd, to ona zabiła siebie i ich syna. Powinien jej za to znienawidzić, a jednak nie umiał.

Samochód zaparkował na ulicy Trynitarzkiej na Kazimierzu, tylko kilkadziesiąt metrów od celu. Dalej poszedł pieszo, do bramy dostał się bez użycia domofonu, korzystając z drzwi zamykających się za jednym z mieszkańców. Wspiął się po schodach, zatrzymując się na wszystkich piętrach. Nigdy tu nie był i szukał numeru dziewięć. Znalazł na trzecim piętrze. Bez wahania nacisnął na dzwonek.

Po chwili drzwi się uchyliły i podkomisarz Roman Bogucki spojrział na niego z bezgranicznym zdumieniem.

-- Mogę wejść? -- zapytał Falewicz.

Policjant był od kilku lat rozwiedziony, mieszkał sam i powinien być sam w mieszkaniu. No chyba że prokurator miał pecha albo nieaktualne informacje.

-- Pewnie, proszę. -- Bogucki uchylił drzwi na tyle, żeby Falewicz mógł się przecisnąć do środka.

Trzypokojowe mieszkanie już na pierwszy rzut oka wyglądało na azyl samotnego faceta. Porządek pozostawiał wiele do życzenia, kurz zalegał na meblach, kwiatki na parapecie były tak zasuszone, jakby

wróciły z długiego urlopu na pustyni Gobi. Niezbyt korzystnego wrażenia dopełniały porozrzucane tu i tam, bez ładu i składu, brudne ubrania, albo i niebrudne. Trudno to było na ten pierwszy rzut oka ocenić.

Podkomisarz zatrzymał się w pewnym momencie, jakby się wahał, czy wpuścić prokuratora do salonu, czy zamknąć go w kuchni, żeby nie widział reszty. Padło jednak na salon. Najwidoczniej kuchnia wyglądała jeszcze gorzej. Wskazał jeden z dwóch foteli przy niskiej ławie i sam usiadł na drugim.

-- Jaki niespodziewany gość. -- Bogucki nadržabiał niepewność miną i nonszalancją. -- Co cię tu sprowadza?

Falewicz ocenił, że w domu jest zupełnie inny niż w pracy. Tylu emocji na jego twarzy i w głosie nie widział przez ostatni miesiąc.

-- Chciałem pogadać -- rzucił krótko.

-- O czym?

Prokurator wstrzymał się z atakiem.

-- Bogucki, co z twoją gościnnością? -- zapytał. -- Nawet kawy nie zaproponujesz?

-- Nie no, jasne! Już robię.

Bogucki zerwał się z fotela i poszedł do kuchni.

Falewicz wykorzystał chwilę, żeby się rozejrzeć. Obszedł pokój, zajrzał do sypialni, do łazienki, potem na chwilę zatrzymał się przy półkach z książkami. Same kryminały. Trudno mu było uwierzyć, że Bogucki czytał polskie kryminały. On nawet by o tym nie pomyślał. Dość miał przestępstw w codziennej pracy, żeby się nimi jeszcze ekscytować w czasie wolnym. Gospodarz też nie sprawiał wrażenia zagorzałego czytelnika. Może kolekcja została po jego byłej żonie? Podkomisarz nie wyglądał na kogoś, kto ma większe dochody niż tylko te z listy płac. Może po prostu nie afiszował się z kasą? Nie, nie mógł być aż tak ostrożny. Jeśli miałby dużą kwotę, to na pewno nie schowałby jej w skarpecie na czarną godzinę. A tu nawet butelki w barku były zwykłe, z półki osiedlowej żabki. O co w takim razie chodzi? Po chwili przypomniał sobie pewne szczegóły z dawnych czasów. Tak, to mógł być dobry trop.

Usiadł na swoim miejscu na sekundę przed tym, jak policjant wszedł do pokoju ze zgrabnymi filiżankami z kawą na tacy. Elegancja zawarta w tym poczęstunku klóciła się z burdelem panującym w mieszkaniu. Falewicz omal nie parsknął śmiechem. Na szczęście zdołał się w porę opanować. Miał z Boguckim do pogadania na

trudne tematy i nie chciał psuć ich kruchej relacji już na samym początku.

Kawa była nawet niezła, ale też na poziomie tej marketowej. Czyli nadal nie złapał go na fanaberii gościa z dużą kasą.

-- Czym sobie zasłużyłem na tę wizytę? -- Bogucki mierzył go nieufnym spojrzeniem.

Najwyraźniej nie mógł oswoić się z ubiorem swojego gościa. Falewicz kojarzył mu się tylko z koszulą i drogą marynarką. Prokurator odstawił filiżankę na spodek, a potem uśmiechnął się do niego smutno.

-- Długo mnie nie było w mieście, co? -- rzucił jakby od niechcienia.

-- Tak jakby -- przyznał Bogucki.

-- Co się w tym czasie zmieniło, Roman?

-- No nic. -- Nieufność się spotęgowała.

-- Ja jednak uważam, że dużo się zmieniło. -- Falewicz nie zmienił tonu głosu. -- Pracowaliśmy wcześniej kilka lat, pamiętasz? Zapamiętałem cię jako mruka, ponuraka, pamiętam, że nie strzepiłeś języka nadaremno, jednak byłeś porządnym gliną. Co się zmieniło, Roman? Kupili cię?

-- Co ty pieprzysz? -- obruszył się gospodarz, jednak nie udało mu się ukryć zdenerwowania w głosie.

-- Nie zaprzeczaj. Koncertowo spieprzyłeś śledztwo w sprawie tego pustelnika, Tadeusza Majera. Poprowadziłeś to postępowanie jak po sznurku, żeby tylko Majer został oskarżony i skazany.

-- To jakaś bzdura! -- wykrzyknął Bogucki. -- Facet został zatrzymany na miejscu zbrodni z bronią w dłoni. Tam nie ma żadnych wątpliwości.

-- Pierdolisz, Bogucki! -- W tych dwóch słowach Falewicza wybuchła nagle cała jego wściekłość. -- Dołożyłeś do dokumentów sfałszowane dane od techników, wpływałeś na świadków, żeby zmieniali zeznania, nie przesłuchałeś wszystkich świadków, nie sprawdziłeś monitoringu poza kliniką, zrobiłeś ustawkę, żeby posłać Majera do pierdła na resztę życia. Najpierw myślałem, że ci się nie chciało, ale przecież wiem, jakim byłeś dobrym psem. Kiedyś nigdy byś sobie na to nie pozwolił. Więc albo ktoś ci za to zapłacił, albo ma na ciebie jakieś kwity.

Bogucki milczał, a ręka drżała mu niespokojnie. Nagle wstał i wskazał prokuratorowi drzwi.

-- Po co tu przyszedłeś? -- warknął. -- Wynoś się!

Falewicz też wstał.

-- Nie wyjdę, dopóki nie dowiem się prawdy -- wycedził.

-- Wypad z mojego mieszkania!

-- A jak nie będę chciał?

Nagle Bogucki rzucił się na niego. Chciał pewnie chwycić Andrzeja za bluzę na piersiach, lecz się przeliczył. Prokurator zrobił unik, zbił jego ręce i pchnął rozpedzonego napastnika. Podkomisarz z jękiem wpadł na ścianę, z której spadła replika plakatu Andy'ego Warhola z puszką zupy Campbell's i stłukła się szybka. Zanim zdążył się pozbierać, Falewicz chwycił go za ramiona, oderwał od ściany i rzucił nim na zasłonę przy oknie. Zaskoczony niepowodzeniem swojego ataku Bogucki zerwał ją, upadając. Tymczasem Falewicz był już przy nim. Kopnął go dwa razy w żebra, znowu szarpnął do góry i nadział się na pięść Boguckiego. Uderzenie nie było zbyt mocne, lecz i tak poczuł w ustach krew z rozbitej wargi. To tylko nakręciło jego wściekłość. Zakończył starcie dwoma szybkimi ciosami w splot słoneczny i w szczękę. Policjant zwałił się na dywan i znieruchomiał, dysząc ciężko.

Falewicz wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł w nią krew z ust. Potem usiadł na swoim miejscu i przeplukał usta resztką kawy. Bogucki w dawnych czasach trenował boks, miał nawet na swoim koncie lokalne sukcesy. Falewicz był od niego lżejszy i drobniejszy, ale po wypadku, żeby nie zwariować, trenował wszystko, co tylko oferował rynek. Spędzał na treningach po kilka godzin dziennie. To pozwoliło mu zapomnieć i odzyskać chęć do życia, a teraz procentowała. Bogucki był silny i wyszkolony, ale prokurator był od niego trzy razy szybszy. Patrzył teraz, jak Bogucki podciąga się na łokciach i z jękiem opiera plecami o sofę. Nie miał już ochoty na bójkę.

-- Wiesz, jak to się nazywa w naszym zawodzie? -- odezwał się prokurator. -- Przyznanie się do winy.

Dał gospodarzowi jeszcze chwilę do namysłu i mówił dalej:

-- Myślałem, że dostałeś kasę, ale tu pewnie nie o kasę chodziło, co? Burzliwie rozchodziłeś się z żoną i ona na koniec oskarżyła cię o pobicie. Miała mocne dowody: obdukcję, zeznania świadków, którzy słyszeli wtedy awanturę. Zawiesili cię, mogłeś wylecieć z policji, mogli ci odebrać emeryturę, przegrałbyś mieszkanie w czasie sprawy rozwodowej. Byłeś w dupie, jednak się wywinąłeś. O to chodziło, prawda?

Bogucki milczał, ale w jego postawie coś się zmieniło. Wyglądał na złamanego. Poszło szybciej, niż Falewicz się spodziewał.

-- Mnie wtedy akurat nie było, nie mogłem ci pomóc, znam temat tylko od innych. Koledzy z komendy nie wierzyli, że ją uderzyłeś. Po prostu wykorzyststała okazję.

-- Nawet jej nie tknąłem -- powiedział cicho.

Podciągnął się wyżej i usiadł na sofie.

-- Pomogli ci w zamian za przysługę, chyba się nie mylę?

Policjant westchnął ciężko.

-- Tak -- przyznał wreszcie. -- Zjawił się pewien mecenas i się dogadaliśmy. Musisz mnie zrozumieć, ja byłem wtedy w czarnej dupie, skończyłbym pod mostem. Ta harpia wsadziłaby mnie do więzienia. To miała być tylko drobna przysługa, a ja miałem wszystkie problemy z głowy.

Falewicz pokiwał tylko głową.

-- Znam cię, Romek, jesteś dobrym gliną. Dlatego dam ci teraz szansę. Powiedz, co o nich wiesz, i pomóż mi ich dopaść.

Bogucki tylko się roześmiał.

-- Za wysoko, nie sięgamy tam.

-- Dużo się zmieniło. -- Prokurator pokręcił głową. -- Mam mocne wsparcie.

Powiedział tak, chociaż nie miał pewności, czy rzeczywiście jest tak, jak mówi. Czy na pewno chodziło o wsparcie? Gospodarz długo się w niego wpatrywał, wreszcie wzruszył ramionami.

-- Wiesz co, Andrzej? Teraz to nawet czuję ulgę, że nie sparszywieję do końca. Zaraz po tym, jak zginął Czerwiński, zjawił się u mnie ten sam adwokat i powiedział, że przyszedł czas spłacić długi. Kazał mi dopilnować, żeby Majer nie wywinął się z tego morderstwa. Na początku myślałem, że prosta sprawa, nic wielkiego. Tylko że potem zacząłem mieć coraz większe wątpliwości, dlatego robiłem takie nerwowe ruchy. Ja naprawdę nie chciałem zrobić tego faceta, tylko nie wiedziałem, jak się z tego wyplątać.

Falewicz się nie odzywał, więc Bogucki robił się coraz bardziej nerwowy.

-- Kilka dni temu sprawdziłem Tadeusza Majera w starych bazach danych i już chyba wiem, dlaczego chcą go zniszczyć.

-- Pięć lat temu mieliśmy taki trop z przeszłości, przy zaginięciu trzech kobiet -- odezwał się prokurator. -- Seria niewyjaśnionych zabójstw z lat osiemdziesiątych z Wrocławia. Tamtą sprawę prowadził

kapitan milicji Marek Piekło, razem z Tadeuszem Majerem. Tym Majerem.

-- Tak. Jeśli doktor Czerwiński był w to jakoś zamieszany i Majer przyjechał do niego w tej sprawie, wykorzystali okazję i załatwili ich obu.

-- Też już o tym myślałem. -- Falewicz pokiwał głową. -- Pomóżesz mi?

-- Co mam do stracenia? -- Bogucki uśmiechnął się z rezygnacją. -- Tylko życie.

-- To tak jak ja. Znasz nazwisko tego adwokata?

-- Tak. Mecenas Grzegorz Jaworek. Od lat reprezentuje wielki biznes. Głównie Ostaszewski Holding i spółki córki.

-- Ostaszewski to ten milioner, który w zeszłym roku zginął w wypadku pod Poznaniem? -- rzucił prokurator.

-- Ten sam.

9

Komisarz Norbert Góra, pełniący chwilowo obowiązki naczelnika Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu, był lekko przerażony. Z trudem panował nad emocjami.

-- Zakrzewski, czy ty wiesz, jaki numer właśnie odwalileś? -- zapytał.

Może nawet nie miał pretensji, po prostu nie wiedział, co ma robić. Chciał zostać naczelnikiem, zasadzał się na wakant, który został po inspektorze Dobrowolskim, ale chyba właśnie w przyspieszonym tempie uświadamiał sobie, że się jednak nie nadaje. Pewnie w tej chwili chciałby być gdzieś daleko i nie mieć problemów, które niespodziewanie na niego spadły.

-- Jaki? -- Zakrzewski uniósł brwi, nie mając zamiaru mu niczego ułatwiać.

-- Właśnie zostałeś przywrócony do służby po zawieszeniu, nie zajmujesz się sprawami zgodnie z rozdzielnikiem; odwiedzasz kobietę, mimo że nie toczy się w jej sprawie żadne postępowanie, bierzecie od niej klucze do domu na Widawie... -- zawiesił na chwilę głos i zastanawiał się, czy na twarzy Marcina dostrzegł lekką kpinę, czy tylko mu się zdawało.

Chyba jednak mu się zdawało. Uspokoił się i kontynuował:

-- Najgorsze jest jednak to, że ten dom spłonął w czasie, kiedy wy byliście w środku. Jak my się teraz mamy z tego wytłumaczyć? Cholera, dlaczego ja? -- zachnął się zaraz. -- Ja jestem tu tylko "p.o.". To ty będziesz się z tego tłumaczył.

-- Wyjaśnienie jest proste. -- Twarz Zakrzewskiego nawet nie drgnęła. -- Podczas naszego pobytu w domu, na który właścicielka wyraziła zgodę, dając nam klucze, pojawił się podpalacz. Ruszyliśmy za nim w pościg i go ujęliśmy. Przyznaje się do winy, złożył wszystkie konieczne zeznania.

-- Ale ten dom spłonął, do jasnej cholery!

-- Jesteśmy policjantami, a nie strażakami. -- Marcin wzruszył ramionami. -- Podobno dom był ubezpieczony, nie będzie problemów z szybkim uzyskaniem odszkodowania. Pomoże w tym przyznanie się sprawcy.

Komisarz Góra najwidoczniej nie miał już nic więcej do powiedzenia. Przenosił tylko wzrok z Zakrzewskiego na siedzącą obok Karinę Buczko, jakby ciągle nie dowierzał, że tu jest, albo bał się, że za-

raz zza szafy wyskoczy ekipa i krzyknie: "Jesteś w ukrytej kamerze, to był test, nie nadajesz się na naczelnika wydziału!". Może nawet chciałby w tej chwili usłyszeć takie słowa.

Na dłużej zatrzymał wzrok na świeżo przybrudzonym bandażu na lewym przedramieniu Marcina.

-- Zakrzewski, dlaczego ty właściwie nie jesteś na zwolnieniu lekarskim? -- zapytał nagle.

Zakrzewski spojrzał na Karinę. Z jej spojrzenia wyczytał dokładnie takie samo pytanie. Niespodziewanie stwierdził, że kolega "o mało co naczelnik" w sumie ma rację. Z teatralnym namysłem pokiwał głową.

-- Wiesz, Norbert, w sumie masz rację -- odezwał się. -- To jest nawet dobry pomysł. Idę na zwolnienie.

Góra aż podskoczył po drugiej stronie biurka.

-- O nie! -- podniósł głos. -- Nie zostawisz mnie samego z tym pożarowym burdelem.

-- J-jasne. Przecież napiszemy wszystkie konieczne raporty.

Marcin wstał i skierował się do wyjścia. Karina też wstała z ociąganiem i spojrzała na Norberta prawie przepraszająco.

-- Chyba od jutra pójdę na urlop -- powiedziała. -- Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam wolne. Chyba mam dużo zaległego.

Wyszli szybko na korytarz, zostawiając komisarza Górę w stanie kompletnego osłupienia.

Teatrzyk odstawiony na potrzeby aktualnego szefa skończył się, kiedy weszli do swojego pokoju. Karina natychmiast zaatakowała ekspres, nastawiając dwie kawy, a Marcin uruchamiał ich komputery.

-- Ile mamy czasu? -- zapytała Karina.

-- Obawiam się, że niewiele. Pewnie zaraz pojawi się adwokat naszego przyjaciela podpalacza i doradzi mu odwołanie wszystkich zeznań i odmowę składania wyjaśnień.

-- A jak nas oskarży o przemoc i groźby?

-- Myślę, że nie zdecydują się zagrać na ostro. Będzie jego słowo przeciwko naszemu. Są jeszcze świadkowie, którzy widzieli go, jak uciekał z miejsca zdarzenia. Kolano mógł sobie zranić podczas ucieczki.

-- Jak nasi technicy zrobią rzetelną analizę balistyczną, okaże się, że brakuje mi dwóch pocisków.

-- W tych szczątkach niewiele znajdują, a poza tym strzelałaś dwa razy w powietrze podczas pościgu. -- Zakrzewski podrapał się po skroni. -- Ale masz rację, możemy mieć spore kłopoty, dlatego do roboty, bo mamy mało czasu.

Popatrzyła na niego krzywo, nalewając kawę do dwóch kubków.

-- Zawsze możesz zatelefonować do prokuratora Falewicza z Krakowa i poprosić o pomoc -- rzuciła.

-- J-jasne -- odburknął.

Jednak po chwili zastanowienia przyznał jej rację. Może nie w tej sprawie, ale na pewno musi się dyskretnie skontaktować z tym prokuratorem. Najpierw jednak chciał zasięgnąć opinii o nim jako o człowieku. Najważniejsze było teraz, po której stronie stoi.

Popijając kawę, zabrali się w milczeniu do pospiesznej pracy. Na początek trzeba było zrobić rozpoznanie. Karina zajęła się schwytanym przez nich podpalaczem domu. Facet nazywał się Leszek Moczarski i jego kartoteka była jak porządna książka sensacyjna: gruba i obfitująca w nagłe twisty i szybką akcję. Marcin skupił się na prawniku, którego nazwisko Moczarski wymienił w lesie, kiedy przesłuchiwał go w nieregulaminowy sposób z bronią gotową do strzału. Grzegorz Jaworek. Zakrzewskiemu nic to nazwisko nie mówiło, kiedy jednak zaczął przeglądać stronę internetową jego kancelarii, zaczęło się robić ciekawie. Nawet nie zauważył, kiedy upłynęła godzina.

Przez ten czas nikt do nich nie zaglądał, jakby komisarz Góra naprawdę uwierzył, że nie ma ich już w firmie i na razie nie musi się przejmować ich personami. Na krótką metę to była dla nich wymarzona sytuacja. Karina zrobiła jeszcze po jednej kawie, nawet nie wyszła na fajkę, żeby nikt niepożądany jej nie zauważył. Usiedli i wpatrzeni w notatki relacjonowali sobie, czego dowiedzieli się z policyjnych baz danych oraz z ogólnodostępnych informacji w sieci. Żadne z nich jeszcze tego głośno nie powiedziało, ale czuli się, jakby zupełnie nieoczekiwanie złapali niezły trop.

Karina opowiedziała Marcinowi o Moczarskim. Facet miał prawie czterdzieści lat i doszedł do perfekcji w zapewnianiu swoimi aktami policyjnych baz danych. Po raz pierwszy pojawił się tam jeszcze jako nastolatek i pseudokibic jednej z drużyn piłkarskich ze Śląska. Rozboje, handel lekkimi narkotykami, później pierwszy wyrok w zawiadach za pobicie kibica znienawidzonej drużyny z sąsiedniego miasta. Potem już poszło szybciej. Nie dotrzymał warunków zawie-

szenia i poszedł siedzieć na półtora roku. W więzieniu musiał trafić na ciekawe towarzystwo, ponieważ po wyjściu nie miał już nic wspólnego z pseudokibicami. Zaczął pojawiać się jako podejrzany w poważniejszych sprawach. Kradzieże z włamaniem, wymuszenia, handel twardymi narkotykami. Trafił do grona ostrzejszych graczy i przez kilka lat policja nic na niego nie miała. Potem wstawiła do jego grupy swojego człowieka i niedługo później nastąpiła wielka wsypa. Wszyscy trafili za kraty, Moczarski z wyrokiem ośmiu lat pozbawienia wolności. Wyszedł za dobre sprawowanie po pięciu, ale odsiadka niczego nie zmieniła w jego planie brzmiącym: "życie łatwe i przyjemne za skradzione innym pieniądze". Tylko stał się ostrożniejszy.

Kolejną wpadkę zaliczył około pięciu lat temu. Był zamieszany w pobicie ze skutkiem śmiertelnym. I nagle jego adwokatem został prawnik z kancelarii Grzegorza Jaworka. Był na tyle skuteczny, że współoskarżeni o to pobicie wzięli odpowiedzialność na siebie, a Moczarski został oczyszczony z zarzutów. Od tej pory ślad po nim zaginął.

-- Trafił pod skrzydła możnych protektorów -- zawyrokował Marcin.

-- Też tak sądzę. -- Karina pokiwała głową. -- Wyciągnęli go z pułdła, gdzie mógł spędzić dwadzieścia pięć lat. Mieli go w garści, mieli na niego wpływ, zaproponowali mu współpracę, pewnie lepsze pieniądze. Musiałby być głupi, żeby nie skorzystać. Dobrze jest pracować dla kogoś, kto potrafi swoich ludzi wyciągnąć z najgorszych opresji. To daje poczucie bezpieczeństwa i bezkarności.

-- J-jasne -- mruknął Marcin. -- Wiesz, czym głównie zajmuje się kancelaria prawna mecenasa Jaworka?

-- Nie.

-- Obsługuje wszystkie największe firmy w ramach Ostaszewski Holding.

-- O cholera! -- wyrwało się jej. -- Tylko czy to nas naprowadza na jakiś trop?

-- Jeszcze nie wiem. -- Zakrzewski wzruszył ramionami. -- Mamy zeznanie Moczarskiego, który powiedział nam, że zlecenie spalenia domu Malasków dostał od asystenta Jaworka. Ten asystent zawsze się z nim kontaktował i to na jego zlecenie działał. Kradzieże dokumentów, zastraszanie, czasem pobicia, pierwszy raz miało być pod-

palenie. Do tego to prawnicy Ostaszewskiego. Coś tu poważnie śmierdzi, tylko jeszcze nie wiem co. Kręcimy się gdzieś blisko.

-- I co dalej? -- zapytała Karina. -- Według słów naszego delikwenta podpalenie zlecono mu trzy dni wcześniej, czyli nie mogli wiedzieć o naszej rozmowie z Salitrą. To, że tam byliśmy, było zbiegiem okoliczności.

-- Wcześniej Salitra rozmawiał z Malaskową przez telefon -- potwierdził Marcin. -- Coś najwyraźniej poszło im nie tak. Może problem mają gdzieś indziej, a my tylko wmieszaliśmy się przez przypadek?

-- Wierzysz w aż takie zbiegi okoliczności?

-- Życie składa się głównie ze zbiegów okoliczności, większych lub mniejszych. Ja jednak bardziej jestem skłonny uwierzyć w czynnik ludzki. Ludzie czasem podejmują nieprawidłowe decyzje, i to właśnie przez te błędy mają potem problemy.

Karina była sceptyczna.

-- Marcin, oni przez trzydzieści lat byli doskonale zorganizowani. Zabijali ludzi, ci ludzie nagle znikali, poszukiwała ich policja, poszukiwali ich prywatni detektywi, najbliżsi. Nigdy nic nie wypłynęło do opinii publicznej na temat polowań na ludzi. Dlaczego teraz?

-- Jesteś pewna, że wcześniej nie popełniali błędów? -- Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. -- Ja myślę, że popełniali, tylko mieli bardzo dobrze zorganizowane zażądanie kryzysowe. Doskonale potrafili tuszować różne rzeczy. Być może dlatego, że mieli wpływy. W policji, w prokuraturze, może i w organizacjach społecznych, które szukają zaginionych.

Karina Buczko poprawiła się nerwowo na krześle.

-- To, co mówisz, brzmi przerażająco. Myślisz, że ta cholerna ośmiornica sięga aż tak głęboko? -- zapytała.

Zakrzewski, jak to miał w zwyczaju, odchylił się mocno na krześle i założył zdrową rękę za głowę. Trwał tak kilka sekund z przymkniętymi powiekami.

-- Mam nadzieję, że zaraza nie wniknęła w nasze społeczeństwo aż tak głęboko, że zatrzymała się jednak tylko na najwyższych szczeblach i elitach. W gruncie rzeczy świat jest dobry. Nie ma aż tylu urodzonych morderców.

-- Ale jest pokusa.

-- Co masz na myśli? -- Rzucił na nią okiem.

-- Pokusa sprawdzenia, jak to jest, kiedy się zabija drugiego człowieka, rośnie wprost proporcjonalnie do poczucia bezkarności.

-- Ale nie aż tak -- zaprzeczył i przynajmniej w tej chwili chciał wierzyć, że ma rację. -- Mimo wszystko nie mogę uwierzyć, że ten morderczy interes rozkręcił się do tego stopnia, żeby teraz mieć wpływ na wszystko i wszystko kontrolować. Jedna osoba nie poddałaby zarządzaniu takim krwawym imperium, a wiele osób na szczytach takiej organizacji wielokrotnie zwiększa ryzyko wpadki.

-- Nas dopadli.

-- Ale tylko dlatego, że zbliżyliśmy się do Ostaszewskiego, który był w to mocno umoczony -- wpadł jej w słowo. -- Nie zastanawia cię ich gwałtowna reakcja?

-- O co ci chodzi?

-- Zginęła Ilona, Adam, sam Ostaszewski. Nie uważasz, że było tego trochę za dużo? Gdyby organizacja była silna i czuła się pewnie, miałyby mechanizmy wyciszania takich afer, nie zareagowałyby tak nerwowo. Może oni są o wiele słabsi, niż nam się wydaje? Minęło prawie czterdzieści lat, wiele się przez ten czas zmieniło, wyrosło nowe pokolenie, które myśli inaczej i ma inne cele, inaczej dąży do ich realizacji.

-- A co na ten temat mówił Piekło? -- zapytała po krótkiej pauzie na refleksję.

-- Jego opowieść, jak działał ten mechanizm, i nazwiska, które przy tym wymienił, robiły wrażenie. On ciągle czuł się zagrożony i chronił rodzinę, mieszkając samotnie w górach. Tylko że... -- Marcin zawahał się i Karina dokończyła za niego.

-- ...jest alkoholikiem. I co mu strzeliło do głowy, żeby zabić tego lekarza?

Zamilkli, każde zapatrzone w swoją projekcję korowodów myśli pod czaszką. Ich myśli musiały być chociaż w części ze sobą zbieżne.

-- Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie porozmawiasz z tym prokuratorem z Krakowa. -- Karina podtrzymała swoje poprzednie zdanie.

-- Chyba masz rację -- przyznał niechętnie.

10

Z prokuratorem Markiem Grabskim spotkał się na parkingu przed budynkiem prokuratury rejonowej następnego dnia kilka minut po ósmej rano. Grabski jakiś czas temu też został ofiarą rewolucji, jaką w prokuraturze zrobił nowy generalny, i długo pracował na zesłaniu w Świdnicy. Niedawno wrócił bez zbędnego rozgłosu. Najwyraźniej ofensywa nowej władzy trochę osłabła i można było odwołać część głupich decyzji. Pewnie musiał tylko swoje odczekać.

Grabski zaparkował właśnie w miejscu, gdzie zawsze zostawiał auto, zgasił silnik i zanim zdążył zareagować, ktoś szarpnął za drzwi i wskoczył na siedzenie pasażera.

-- Cześć! -- rzucił krótko Zakrzewski.

Grabski przeklął pod nosem.

-- Czy ty chcesz, żebym dostał zawału?

-- Przepraszam cię, ale chciałem porozmawiać bez świadków -- wyjaśnił Marcin.

Byli przyjaciółmi od lat i Grabski wiedział, że Marcin nie robi zamieszania bez powodu. Odruchowo rozejrzał się po parkingu. Nikogo nie było. Niskie chmury wisiały na niebie i zerwał się wiatr, który wcale nie zwiastował rozkwitu wiosny. Raczej powrót do marca. Przed kilkoma laty rozmawiali już w podobnych okolicznościach. Grabski miał nadzieję, że ta rozmowa nie spowoduje takich zdarzeń jak wtedy.

-- O co chodzi? -- zapytał ostrożnie.

-- Znasz prokuratora Andrzeja Falewicza z Krakowa?

Grabski uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

-- Tak, ale dlaczego o niego pytasz?

-- Powiedz mi po prostu, co o nim wiesz.

Prokurator podrapał się po głowie. Oczywiście Zakrzewski nadal był tym samym Zakrzewskim co zawsze. Wyciągnięcie od niego informacji graniczyło z cudem, więc nawet nie próbował.

-- Andrzej to znana postać w środowisku -- powiedział. -- Dziwię się, że nic jeszcze o nim nie słyszałeś.

-- Może słyszałem, ale takie informacje mnie się nie trzymają.

-- Falewicz to prokurator do wielkich spraw -- zaczął opowiadać Grabski. -- Pamiętasz aferę węglową sprzed kilku lat? To on doprowadził do oskarżenia, chociaż nikt nie dawał mu dużych szans. Potem oskarżał w procesie prezesów tych spółek chemicznych w Mało-

polsce, co to nielegalnie sprowadzali do kraju zabronione substancje. Niby to pod płaszczykiem wykorzystania w produkcji, wszystko szło do ziemi. To było głośne w mediach, na pewno słyszałeś.

-- Coś tam pamiętam -- przyznał niechętnie Marcin.

-- Potem było jeszcze kilka grubych tematów, szkoda strzępić język -- ciągnął Grabski. -- No i chyba za tę chemię to go nasz kochany nowy prokurator generalny na prowincję zesłał, jak, nie przymierzając, mnie. Wiesz, w tej chemii to dużo ludzi z obecnej władzy maczało brudne paluchy.

-- Ale jaki jest, ten Falewicz? Znasz go osobiście?

Grabski znowu poskrobał się po głowie. Wiatr uderzył nagle w karoserię auta, niosąc ze sobą drobinki deszczu.

-- Masz na myśli, czy nie jest skorumpowany? -- upewnił się.

-- Coś w tym stylu.

-- Marcin, nie szukaj tam, gdzie niczego nie znajdziesz -- odpowiedział twardo Marek. -- Falewicz to jest ikona prokuratury z Krakowa, można mu zaufać. Zresztą, jak wiesz, najbardziej rośnie zaufanie do tych, których nie lubi obecna władza.

-- J-jasne. Bardziej mnie interesuje, czy Falewicz mógłby być podatny na naciski z zewnątrz. Na... wpływy.

Grabski pokręcił głową.

-- Tego nie wiem, nie znam go aż tak dobrze. Wiem tylko tyle, że jakiś czas temu jego żona i synek zginęli w wypadku samochodowym. Myślę, że teraz nie ma już niczego, czym można by go było zaszantażować.

-- Dzięki, Marek. Bardzo mi pomogłeś.

Trzasnęły drzwi i Zakrzewski rozpląnął się gdzieś w deszczu, między innymi autami na parkingu. Prokurator pokręcił głową zrezygnowany. Tego faceta nic nie zmieni. Jak wkręci się w temat, to nie odpuszcza. Wysiadł i poszedł szybko w kierunku wejścia do budynku, osłaniając teczką z dokumentami głowę przed padającym skośnie deszczem.

Telefon zadzwonił, kiedy dochodził do budynku komendy wojewódzkiej. Kłął na deszcz i brak parasola. Zmókł już na tyle, że pierwsze krople popłynęły mu z jasnych, trochę posiwiałych włosów na policzki. Odebrał, chroniąc się w pobliskiej bramie. W głosie Kariny pobrzmiwały dziwne nutki.

-- U Leszka Moczarskiego nie zjawił się od wczoraj żaden adwokat -- powiedziała.

-- Jak to możliwe? -- zdziwił się Marcin.

-- Nie wiem. Facet dzwonił po prawnika, ale podobno się nie dozwonił. Poprosiłam już o sprawdzenie, do kogo telefonował.

-- J-jasne. Zaraz będę.

Rozmowę kontynuowali przy kawie w swoim pokoju. Karina miała już wszystkie potrzebne informacje. Relacjonowała, zaglądając do notatek.

-- Najpierw telefonował na prywatny numer Grzegorza Jaworka, tego swojego mecenasa -- mówiła. -- Tylko że facet nie odebrał. Za drugim razem jego telefon pozostawał już poza zasięgiem, prawdopodobnie wyłączony.

-- Nie dzwonił do kancelarii?

-- Najwidoczniej ma zakaz albo nie ma numeru.

-- A ten trzeci telefon?

-- Waław Rożek. Nie mam pojęcia, kim jest ten facet. Być może to jakiś znajomy Moczarskiego, ale też nie odebrał. Muszę go sprawdzić.

-- Dobrze, ale później. -- Marcin machnął ręką.

-- Chcesz pogadać z Moczarskim?

-- Tak, ale najpierw z Górą.

-- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

To zdecydowanie nie był dobry pomysł, ponieważ Zakrzewski nie był z komisarzem Norbertem Górą w dobrych relacjach. Nawet jakiś czas temu szarpali się na imprezie z okazji awansu Marcina na nadkomisarza. Góra był zwyczajnie po ludzku zazdrosny i zrobił wtedy widowisko, które zniesmaczyło kilkoro kolegów i koleżanek. Potem Norbert też dostał awans i ich relacje powoli wracały na właściwe tory. Zakrzewski wiedział, że można mu zaufać, ale nie miał pojęcia, jak zareaguje na opowieść o śledztwie, którego oficjalnie nie ma i być nie może. Postanowił jednak zaryzykować.

Najpierw słownie ściał się z Górą, potem jednak doszli do chwilowego konsensusu. Na pewno pomogło to, że świadkowie spalenia domu Malasków wskazali Moczarskiego jako sprawcę podpalenia, a u samego zatrzymanego nie zjawiał się jeszcze prawnik i nie odwołał jego dotychczasowych zeznań. Pomógł też telefon od Marka Grabskiego, który porozmawiał w prokuraturze z kim trzeba i przejął postępowanie w sprawie podpalenia domu na Widawie. Po chwili Góra zgodził się na przesłuchanie Moczarskiego.

Trzy kwadranse później Marcin z Kariną z ponurymi wyrazami twarzy weszli do pomieszczenia do przesłuchań. Na ich widok Moczarskiemu zrzędała mina. Jeszcze przed kilkoma minutami, kiedy funkcjonariusze z aresztu śledczego prowadzili go korytarzem, był butny i rzucał w ich kierunku złośliwe uwagi. Teraz jednak stracił dużo z pewności siebie.

-- Czego chcecie? -- warknął pierwszy, nie dopuszczając ich do głosu. -- Nic nie powiem.

Marcin nagle pomyślał, że facet się ich obawia i nadrabia miną. Spojrzał na Karinę i jej kpiący uśmiech na ustach. Prawdopodobnie była podobnego zdania. Moczarski nie dodzwonił się do prawników, ciągle siedział w areszcie i tak naprawdę nie wiedział, co dalej. Wystarczyło ugruntować jego wątpliwości. Była jeszcze mocniejsza karta, ale policjanci zostawili ją na deser.

-- Organizacja cię poświęciła, Moczarski -- odezwała się Karina, wciąż z tym uśmiechem na ustach.

Tym razem nie bawili się w dobrego i złego gliniarza, tylko w złośliwego i wkurwionego. Marcin sam był ciekawy, co z tego wyniknie.

-- Obiecywali pomoc, prawda? A nikt się nie odezwał.

-- Po co im taki kretyn? -- warknął Marcin. -- Koncertowo spierdolił robotę, to musi ponieść zasłużoną karę.

-- Koło dupy im lata taka płotka jak ty. -- Uśmiech na ustach policjantki jeszcze się poszerzył. -- Pewnie Jaworek ma na pęczki takich frajerów od brudnej roboty, więc cię poświęci.

-- Nie podaruję gnojowi, że podpalił dom, kiedy my byliśmy w środku, rozumiesz? Postaram się, żeby trafił do celi z takimi, co z dupy zrobią mu sito, a wtedy będzie nas błagał o litość.

-- Może on lubi takie sito. -- Karina parsknęła śmiechem.

-- To znajdę mu takich, żeby mu to lubienie przeszło. -- Zakrzewski, z grymasem złości na twarzy, nachylił się nad stolikiem i zajrzał Moczarskiemu w oczy. -- Posłuchaj mnie, frajerze. O mało co nie zabiłeś dwójki policjantów. Jak myślisz, co czują teraz nasi koledzy chodzący po korytarzach, tam za ścianą? -- Machnął niezobowiązująco ręką i kontynuował. -- Każdy z nich mógł być na naszym miejscu. Oni tylko czekają, żeby ci porządnie dopierdolić. Wiesz, ile się dostaje za usiłowanie zabójstwa policjanta na służbie?

Leszek Moczarski zaczął się pocić. Patrzył to na Karinę, to na Marcina i zagryzał wargi. Może to było złudzenie, ale Zakrzewski

znowu poczuł w nosie zapach spalenizny. Może z ubrania zatrzymanego?

-- Co robiłeś dla mecenasa Jaworka? -- Nadkomisarz nieoczekiwanie zadał pierwsze pytanie.

Aresztowany odpowiedział w miarę szybko, lecz niepewność w jego głosie zabrzmiała tak, jakby w czasie koncertu w filharmonii jeden z muzyków zamiast na skrzypcach zagrał na pile łańcuchowej.

-- Nic wam nie powiem.

-- Ty, Marcin, on jest jakiś pieprznięty. -- Karina znowu się zaśmiała, jakby bawiła się coraz lepiej. -- Chyba nie do końca zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

-- Myślę, że tak właśnie jest. -- Marcin nagle spowaźniał i patrzył nieruchomo na coraz bardziej spoconego Moczarskiego. -- Może mu uświadomimy, że tylko szczerza współpraca z policją i prokuraturą może być dla niego ratunkiem przed dożywociem.

Aresztowany już nie starał się maskować zaniepokojenia.

-- O jakim dożywociu mówisz? Tyle nie dostaje się za podpalenie ani za usiłowanie zabójstwa. Nawet na papieżu!

Jeszcze długie sekundy pozostawili go w niepewności, wreszcie Marcin sięgnął po tę drugą kartę.

-- No to ci wyjaśnię -- powiedział twardo. -- Mecenas Grzegorz Jaworek, twój dobroczyńca, jest członkiem pewnej organizacji przestępczej. Oni organizują sobie polowania na ludzi i ich mordują. Jeśli pracujesz dla Jaworka, zostaniesz oskarżony o przynależność do tej grupy, a co za tym idzie, prokurator oskarży cię o współudział w masowych morderstwach. Za to właśnie będzie dożywocie. Ciesz się, że znieśli karę śmierci.

Znowu milczeli, dając Moczarskiemu czas, żeby słowa Zakrzewskiego przedarły się przez zbyt długie przewody komunikacyjne od aparatu słuchowego do tej części mózgu, gdzie zwykle zachodzą procesy określane jako myślenie.

-- Zrozumiałeś czy mówiłem zbyt długimi zdaniem? -- dopytał jeszcze policjant.

Leszek Moczarski był coraz bardziej blady, trzęsły mu się ręce.

-- Ja nic nie wiem o żadnych polowaniach. -- Jego głos stał się piskliwy, jakby nie potrafił nad nim zapanować. -- Naprawdę! Musicie mi uwierzyć. Ja nic nie wiedziałem o morderstwach, o tych... polowaniach. Ja tylko wykonywałem polecenia mecenasa. Nikogo nie zabiłem. Przysięgam!

Policjanci milczeli, spoglądając to na siebie, to na siedzącego teraz przed nimi przestraszonego małego człowieczka, który jeszcze kwadrans temu był ucieleśnieniem bezczelności i pewności siebie. Znali takie przypadki. Zagrożenie karą dożywocia działało na delikwenta dziesięć razy bardziej niż zwykle dwadzieścia pięć lat. Oczywiście tylko na tych, którzy byli niewinni. Nie było szans, żeby wtedy nie wpadali w panikę. I teraz właśnie Moczarski wpadł w autentyczną panikę. Ten proces zaszedł w nim tak naturalnie, że Marcin był skłonny uwierzyć, że nic nie wiedział o polowaniach na ludzi.

Posypał się zupełnie i zaczął opowiadać wszystko, co wiedział o mecenasie Jaworku. Niewiele jednak wiedział. Na tej planszy do gry był tylko mało znaczącym pionkiem w siódmym rzędzie i wiedział dokładnie tyle, ile taki pionek powinien wiedzieć. Na zlecenia prawnika z Krakowa Moczarski zastraszał jego klientów, czasem wymuszał podpisywanie oświadczeń, kradł dokumenty i wykonywał jeszcze wiele nielegalnych działań, które pewnie zainteresują prokuraturę, ale teraz policjantów nie interesowały. On jednak o tym nie wiedział i na widok szeroko ziewającej Kariny jeszcze bardziej spał się w swoich najszczerzych zeznaniach. Wreszcie Karina go trochę naprostowała i skierował je na właściwe tory.

-- Człowieku, przynudzasz. -- Uśmiechnęła się złośliwie. -- O tym opowiesz prokuratorowi, pewnie jego bardziej to zainteresuje niż nas.

Zbiła go z tropu tym wyznaniem. Zamilkł, blady i spocony. Konieczne były pytania naprowadzające.

-- Dlaczego twój opiekun nie przysłał do ciebie żadnego prawnika?

-- Nie wiem. -- Aresztowany potarł zmęczoną twarz dłonią. -- Coś musiało się stać. Coś bardzo niepokojącego. Byłem zatrzymany już trzy razy, zawsze najpóźniej po dwóch godzinach prawnik z kancelarii wyciągał mnie na wolność. Taka była zasada, inaczej bym z nimi nie współpracował.

-- Kim jest Waław Rożek? -- przerwał mu Zakrzewski i trafił.

Wydawało się, że nie można być bardziej bladym, a jednak facet jeszcze zbladł. Z trudem przełknął ślinę.

-- Nie znam go. -- Pokręcił głową. -- Ten numer dostałem od Jaworka jako ostateczność. Kiedy będę w rozpaczliwej sytuacji. Ale z przykazaniem, żebym nie dzwonił bez potrzeby.

-- A jednak zadzwoniłeś.

-- Spanikowałem.

-- No dobrze, co wiesz o tym Rożku?

-- Nic, naprawdę -- zaprzeczył fałszywie Moczarski.

Zakrzewski znowu nachylił się do niego nad stolikiem.

-- Ty nie mówisz prawdy w takiej podbramkowej sytuacji? Koleś, zwariowałaś? Chcesz beknąć za nieswoje?

-- Naprawdę go nie znam -- powiedział szybko aresztowany. -- Wiem tylko, że musi być kimś ważnym i bardzo... groźnym. Jaworek nie boi się nikogo, a jego się bał. Raz byłem świadkiem ich rozmowy telefonicznej, prawnik w jej trakcie omal nie dostał zawału.

-- Wiesz, gdzie on mieszka?

-- Nie mam pojęcia. Nie wiem, kto to jest.

Po kolejnym kwadransie maglowania Leszka Moczarskiego uznali, że naprawdę nic więcej im nie powie, i odpuścili. Facet został odprowadzony do aresztu, a oni wrócili do siebie. Sprawdzenie Wacława Rożka Karina wzięła na siebie. Najpierw sprawdziła na Facebooku, gdzie były tylko dwie osoby o takim nazwisku. Oczywiście trudno było podejrzewać, że któryś z nich jest interesującym ich mężczyzną. W centralnej ewidencji ludności poszło jej trochę lepiej. Było sześciu Wacławów Rożków, a jej uwagę przykuł tylko jeden, ten, który nie miał adresu zameldowania. Nazwisko mogło być fałszywe, ale na razie sprawdzali to, co jest.

W tym czasie Marcin przejrzał policyjną bazę danych i nie natknął się na żadnego Wacława Rożka. Skontaktował się z informatykami, którzy szybko ustalili, że telefon, pod który dzwonił Moczarski, ostatni raz logował się w okolicach Krakowa, a po próbie kontaktu zniknął z sieci.

-- Co to wszystko znaczy? -- zapytała Karina, kiedy jakiś czas później raczyli się kawą.

-- Nie mam pojęcia. -- Marcin wzruszył ramionami. -- Nawet nie wiem, za czym gonimy. Szukamy punktu zaczepienia.

-- Tylko do czego? Może to tylko nasze pobożne życzenia?

-- Nie, musimy być blisko, to nie może być przypadek.

-- To co dalej?

-- Pojadę do Krakowa spotkać się z prokuratorem Falewiczem. Koleżanka mierzyła go uważnym spojrzeniem.

-- Co się z tobą stało? -- zapytała wreszcie.

-- O co ci chodzi? -- zachnął się zniecierpliwiony.

-- Odkądomal nie postrzeliliś tego Moczarskiego, zupełnie cię nie poznaję. Jakby miejsce starego Marcina zajął ktoś inny. Ty nigdy tak nie postępowałeś.

Zakrzewski nie odpowiedział. Zastanowił się. Czy ta jego wielka zmiana w życiu, przewrócenie wszystkiego na drugą stronę, poszła w złym kierunku? Nie chce taki być.

-- Marcin, trochę się ciebie boję -- kontynuowała Karina. -- Właściwie boję się twoich reakcji.

Spojrzał na nią. Nie, to tylko maska. Musiał ją włożyć, żeby wreszcie zakończyć temat polowań na ludzi. Jeśli teraz tego nie zrobi, do końca życia będzie już uciekał i bał się o bliskich. Jeszcze niedawno bałby się mniej. Ale teraz była Renata i miał się o kogo bać.

-- Karina, to tylko na chwilę -- powiedział wolno i dobitnie. -- Ciągłe mi powtarzałaś, że musimy coś wreszcie zrobić. No to robimy, ale żebyśmy mieli szanse na sukces, stary Zakrzewski musi odejść. W jego miejsce musi pojawić się ta mroczniejsza strona mojej natury, ta, którą dzieliłem z bratem, dzięki której tak dobrze go rozumiałem.

Na wspomnienie Satyra aspirant Buczko odruchowo zadrżała. Nie chciała partnera nawet w niewielkiej części podobnego do tego potwora. Nic jednak nie powiedziała. Taka była potrzeba chwili.

-- Zadzwonisz do Falewicza? -- zapytała, czując nagłą potrzebę zmiany tematu.

-- Nie, muszę zachować ostrożność.

Zadbali o to, żeby wszystko było załatwione legalnie. Nadkomisarz Marcin Zakrzewski dostał uprawnienia do działania na terenie województwa małopolskiego, a prokurator Andrzej Falewicz został oficjalnie poproszony przez Prokuraturę Rejonową we Wrocławiu o przesłuchanie świadka w sprawie podpalenia. Wpływy Falewicza działały cuda, ponieważ formalności zajęły mu niecałe pół dnia. Teraz jechali do domu mecenasa Grzegorza Jaworka, do jednego z ekskluzywnych osiedli Krakowa, gdzie nie każdy miał dostęp. Drogi i chodniki zagradzały szlabany i strażnicy. Tym się jednak za bardzo nie przejmowali.

Zakrzewski siedział na tylnym siedzeniu nieoznakowanego policyjnego forda i zastanawiał się, dokąd go to zaprowadzi. Ciągle trudno mu było uwierzyć, kiedy zaledwie poprzedniego dnia okazało się, że w śledztwie w sprawie polowań na ludzi nie jest sam. Co więcej, mają wielkich protektorów, jak twierdził krakowski prokurator. Tylko Marcin nie znał tych protektorów, jeszcze się nie przekonał, w czym tak naprawdę mogą im pomóc, bo przywrócenie go do służby czy szybkie załatwienie formalności w policji i między prokuratorami rejonowymi nie robiło na nim wielkiego wrażenia. Tu trzeba było więcej. Poza tym idea układu między starymi funkcjonariuszami policji, sędziami i prokuraturami, którzy tworzyli coś w rodzaju nieformalnego klubu wzajemnego wsparcia, śmierdziała mu na kilometr. Bardziej przypominała sceny żywcem wyjęte z sensacyjnych filmów o mafii niż realne życie. Do tego jeszcze jakieś nieokreślone tajne służby w tle. Zakrzewski był prostym gliniarzem, dotąd zajmował się sprawami, w których czarne było czarne, a białe zazwyczaj białe, dlatego teraz czuł się trochę nierealnie.

Od pierwszego spotkania obserwował prokuratora Andrzeja Falewicza. Około czterdziestoletni mężczyzna, wysportowany, dbający o swój wygląd, lubiący eleganckie marynarki i koszule. Od razu było widać, że gość gra w innej lidze, do której nie każdy może awansować. Do tej pory tacy prokuratorzy kojarzyli się Marcinowi tylko z problemami. Ile razy już musiał użerać się z ich rozbuchanym ego i zbyt wysokim mniemaniem o sobie, które tak naprawdę kryło niekompetencję czy po prostu zwykłe lenistwo. Falewicz sprawiał wrażenie wprost przeciwne. Gorzej z tym policjantem prowadzącym auto, którym jechali Zakrzewski i Falewicz. Podkomisarz Roman Bo-

gucki, ponury facet o jeszcze bardziej ponurym spojrzeniu. Niemowa, jak nazwał go w duchu Marcin. Odezwał się dopiero po kilku godzinach ich znajomości, kiedy Zakrzewski naprawdę zaczynał wierzyć, że Bogucki nie umie mówić. Falewicz zapewnił go, że Roman jest dobrym policjantem i współpracowali ze sobą już nie raz, jednak dla Marcina różnili się wszystkim.

Dzień wcześniej przegadali kilka godzin, wymieniając się informacjami. Zakrzewski opowiedział mu o tym, jak w pewnym śledztwie trafili na obrazy malowane ludzką krwią i polowania na ludzi i jak to się skończyło. Falewicz opowiedział, jak on kilka lat wcześniej zaczął podejrzewać, że taki proceder może mieć miejsce, i jak jego dobry znajomy z tego nieformalnego klubu emerytów, prokurator Nowiński, jest zafiksowany na tym punkcie i marzy tylko o tym, żeby dopaść organizatorów. I teraz nagle otworzyła się przed nimi szansa. Pewien policjant w okolicach Bytowa odnalazł mężczyznę utylizującego zwłoki, który jednak uciekł za granicę. W pogoń za nim ruszyli krajowi Łowcy Główni i wydawało się prawdopodobne, że dopadną go, zanim organizacja go zlikwiduje. Teraz wspólnie trafili na mecenasa Grzegorza Jaworka, który może być zamieszany w całą sprawę. Zakrzewski wspomniał też o tajemniczym Waławie Rożku, o którym prokurator jeszcze nie słyszał. Postanowili połączyć siły i sprawdzić trop prawnika.

Podkomisarz Bogucki pewnie prowadził auto, jakby już kiedyś tu był. Ominęli jednak odgrodzone szlabanami osiedla i dojechali do szeregu domów za wysokimi ogrodzeniami. Już na pierwszy rzut oka widać było miliony, jakimi dysponowali ich właściciele, co uzasadniało ich niechęć do nieoczekiwanych gości. Za ogrodzeniami, często porośniętymi żywopłotami, migwały wille jak z amerykańskich seriali o bardzo bogatych ludziach. Do tego baseny, piękne samochody i zadbane ogrody. Prawdziwe Hollywood, jak określił to Bogucki, zdaniem Marcina niezbyt fortunnie. Ale może Roman miał właśnie takie specyficzne poczucie humoru?

Zaraz potem zatrzymali się na miejscu. Ku ich zaskoczeniu dom nie był aż tak okazały jak inne, ogrodzenie dużo niższe, a do tego przy automatycznej bramie była uchylona furtka. Kilka metrów dalej na chodniku parkował czarny mercedes, lecz pewnie należał do sąsiadów, więc nie zwrócili na niego uwagi. Falewicz ocenił sytuację, skinął na policjantów i weszli na posesję. Wykładana puzzlami ścieżka zaprowadziła ich pod drzwi. Prokurator nacisnął dzwonek.

Zza drzwi dobiegł ich sygnał staroświeckiego dzwonka brzmiącego tak, jakby miał obudzić umarłego. Po nim zapanowała długa cisza. Falewicz zadzwonił ponownie i tym razem coś wewnątrz domu stuknęło, potem jeszcze raz i nagle szcęknął zamek. Drzwi się uchylily i to, co w nich zobaczyli, było dla nich kompletnym zaskoczeniem. Falewicz aż cofnął się o krok.

Patrzył na nich mężczyzna w średnim wieku spojrzeniem męt-
nym od alkoholu. Włosy miał przetłuszczone i sterczące na wszystkie
strony. Stali w pewnym oddaleniu, ale i tak poczuli odór świeżo pi-
tego alkoholu pomieszany z odorem dawno niemytego ciała. Mężczy-
zna ubrany był w poplamiony dres. Część z tych plam mogła pocho-
dzić od wydzielin ludzkiego organizmu. Odezwał się, zanim Falewicz
zdążył się przedstawić.

-- Panowie z policji -- zabrzmiał trochę bełkotliwie, ale patrzył na
nich wyjątkowo trzeźwo.

-- Prokurator Andrzej Falewicz, Prokuratura Rejonowa w Krako-
wie. Pan Grzegorz Jaworek? -- upewnił się Falewicz, jakby nie do-
wierzając, że ma przed sobą znanego prawnika.

-- Niestety, we własnej osobie -- potwierdził mężczyzna. -- A co,
nie wyglądam?

-- Tego nie powiedziałem.

Jaworek zastanawiał się przez chwilę.

-- Prokuratura też może być -- powiedział jakby do siebie i wzru-
szył ramionami, uznając, że jest mu wszystko jedno. -- Zapraszam,
panowie.

Odwrócił się na pięcie i poszedł przed siebie, gdzieś do wnętrza
domu, zostawiając całą trójkę w stanie lekkiej konsternacji. Jedynie
Bogucki nie zmienił wyrazu twarzy i nie wyglądał na specjalnie za-
skoczonego. Falewicz znowu skinął im głową i poszedł pierwszy.

Gospodarz poprowadził ich do gabinetu. Kiedy do niego weszli,
siedział już za wielkim biurkiem z ciemnego drzewa i wskazywał im
dwa skórzane fotele od kompletu naprzeciw. Fotele były dwa, więc
podkomisarz Bogucki stanął na progu, opierając się ramieniem o fu-
trynę. Gabinet wyglądał, jakby przed chwilą przeszło tędy tornado.
Po podłodze wały się różne papiery i przybory biurowe. Na blacie
została tylko gruba papierowa teczka, na której Jaworek położył te-
raz dłonie i głaskał ją, jakby była co najmniej ze złota albo miała dla
niego wartość historyczną. Na jego twarzy wykwitło coś na kształt
złośliwego uśmiechu.

Marcin Zakrzewski widział ludzi w różnym stadium alkoholizmu, lecz w tej scenie było coś tak groteskowo niepokojącego, że cały się sprężył. Falewicz też miał dziwną minę, jakby po raz pierwszy w swojej prokuratorskiej karierze nie wiedział, co powiedzieć. Spodziewał się starcia z wyszczekanyim prawnikiem obsługującym ciemne interesy bogatych ludzi, a spotkał się z nieobliczalnym szaleńcem naprutym drogim alkoholem. Marcin rzucił okiem na Boguckiego. Widział jego dłoń pod połą kurtki, gdzie ukrywał kaburę. Powoli przekonywał się do tego ponurego i powolnego policjanta.

-- Co sprowadza do mnie słynnego prokuratora? -- Prawnik zabrzmiał już zupełnie przytomnie.

-- Chcieliśmy porozmawiać o zleceniu podpalenia domu pani Malasek we Wrocławiu. -- powiedział wolno Falewicz.

-- Kto to, kurwa, jest Malasek? -- Jaworek zaśmiał się chrapliwie.

-- Może więcej powie panu nazwisko Leszek Moczarski. Twierdzi on, że zlecił mu pan podpalenie domu pani Malasek.

Prawnik ciągle głaskał jedną ręką teczkę z dokumentami i nagle zogniskował spojrzenie na Falewiczu.

-- Ta gnida, Moczarski? -- zapytał i skrzywił się, jakby przetykał nieświeżą ostrygę. -- Wyciągnąłem sukinsyna z pierdła. To teraz taki pies na posyłki. Potrafiłem manipulować ludźmi, miałem to opanowane do perfekcji, potem byli na moim pasku i robili, co chciałem. -- Nagle podniósł głos i spojrzał w górę, jakby zwracał się teraz nie do nich, tylko do Najwyższego, i krzyknął: -- Słyszycie?! Robili wszystko, co chcieliście!

Zrobiło się jeszcze bardziej nierealnie. Zakrzewski patrzył na Falewicza, który też nagle jakby się spał. Bogucki w drzwiach poruszył dłonią pod kurtką. Marcin znał ten gest, rozpiął kaburę i położył dłoń na rękojeści swojego walthera P99. Falewicz się nie odezwał, dając się wygadać prawnikowi. Ten spojrzał nagle w kierunku Boguckiego.

-- Ciebie też pamiętam, Bogucki -- powiedział, a na jego twarzy wykwitł szalony uśmiech Jokera z filmu. -- Jak tam twoje stosunki z byłą żoną? Zapłaciłem jej niezłą kasę, żeby cię wtedy oskarżyła o pobicie. Wiesz, ona do końca nie chciała robić ci krzywdy. Musiałem ją dodatkowo niezłe postraszyć, żeby wniosła oskarżenie. Opłacało się. Zrobiłeś mi parę drobnych przysług, ale w sumie to się nie udało. Oni chcieli mieć człowieka blisko pana, panie prokuratorze --

zwrócił się do Falewicza. -- Ale pana nowa władza zdegradowała na prowincję i cały plan się wyjechał.

Zakrzewski widział, jak podkomisarz Bogucki nagle blednie i zaciska usta w wąską kreskę.

-- A teraz podkomisarz Bogucki znowu wrócił do prokuratora, jak wierny piesek do swojego pana. -- Nagle znowu podniósł bez powodu głos: -- Słyszeliście? Ten plan też nie wypalił! -- I znowu do Boguckiego: -- Przyznałeś się do wszystkich brudów i przekrętów? Pan prokurator ci wybaczył czy jeszcze nic nie wie? Co, zdenerwowałeś się? Może mnie zastrzelisz?

Marcin obawiał się przez chwilę, że policjant da się sprowokować. Falewicz nie zareagował na gadanie prawnika, więc pewnie Bogucki o wszystkim go poinformował. Ale informacja o żonie Romana musiała być zupełną nowością. Ciekawe, co jeszcze Jaworek ma do powiedzenia.

-- Wiesz co, Zakrzewski? -- Jak na zawołanie prawnik zwrócił się do niego. -- Jesteś jak paskudny wrzód na dupie. Zawsze pojawiaasz się niespodziewanie w momencie, kiedy człowiek by sobie w spokoju posiedział w fotelu. Ale nie, nadgorliwy pies z Wrocławia czuwa, żeby twoja chęć posiedzenia zamieniła się w gówno. Słyszycie? -- Znowu uniósł wzrok ku niebiosom. -- Zakrzewski też tu jest! Po co ty się w to jeszcze pchasz, Zakrzewski? Mało ci krwi kolegów, jeszcze niczego się nie nauczyłeś?

Falewicz tylko rzucił okiem na Marcina, jakby teraz to on stracił pewność, czy Jaworek nie sprowokował właśnie nadkomisarza do zbyt impulsywnej reakcji. Oni się przecież tak naprawdę nie znali i mieli w stosunku do siebie ograniczone zaufanie.

-- Co za goście! -- krzyczał tymczasem Jaworek, coraz mniej bełkotliwie, z coraz większą złością i jakąś dziwną determinacją w głosie. -- Tacy z tych najgorszych! Kiedy już jedni goście ograbią cię z całego majątku, przychodzą właśnie takie sukinsyny, żeby pozbawić cię życia. A ja ich zaprosiłem do siebie jak przyjaciół, którzy mogą pomóc.

Marcin rzucił szybko okiem na swoich towarzyszy i ocenił, że oni nadal nie rozumieją żalostnego teatrzyku odgrywanego na ich użytek przez gospodarza. Schylił się, podniósł z podłogi kartkę i długopis, podszedł do biurka i napisał drukowanymi literami: "ILU ICH JEST?". Usta Falewicza, który zajrzał mu przez ramię, poruszyły się, kiedy bezgłośnie wypowiedział najpopularniejsze słowo w języku pol-

skim, którego jednak nie wypada zbyt często używać, do tego w tak znacnym towarzystwie, w jakim się właśnie znajdowali.

-- Dałbym wam dobrej whisky, ale pewnie jesteście na służbie albo, co gorsza, przyjechaliście do mnie autem! -- nie przestawał pieprzyć Jaworek.

Równocześnie pokazał dwa palce. Dwóch. "GDZIE?", napisał Marcin. Prawnik wzniósł oczy ku górze.

-- Może przynajmniej pan się napije, panie prokuratorze? -- Głos prawnika nadal brzmiał jadowicie. -- Niech mi pan nie mówi, że po tym, co się zdarzyło, nadal żyje pan w trzeźwości? Słyszeliście?! -- podniósł głos, żeby goście na górze dobrze usłyszeli. -- Prokurator Falewicz nie pije! Gdyby pan wtedy nie pił, auta nie musiałyby prowadzić pana żona i być może nie doszłoby do wypadku!

Prawnik wyciągnął spod biurka butelkę markowej whisky, upił dwa łyki i zarechotał, jakby powiedział najzabawniejszą rzecz na świecie.

Teraz Marcin popatrzył z niepokojem na prawnika. Falewicz tylko zbladł i zacisnął szczęki, lecz nie zareagował. Spojrzeli sobie w oczy. Andrzej ponaglił go ruchem ręki. Zakrzewski wyciągnął pistolet i wraz z Boguckim wyszli z gabinetu.

-- Jaworek, po co ta szopka? -- zapytał cicho prokurator.

Prawnik nie odpowiedział. Z jego twarzy zniknęło całe szaleństwo odgrywane przed nimi, ale przeznaczone dla kogoś innego. Teraz był tylko małym, słabym człowiekiem, który dotąd grał za najwyższe stawki na ruletce w kasynie życia i zawsze wygrywał, aż do czasu, gdy nieoczekiwanie przegrał wszystko w ostatnim zakładzie. Upił jeszcze dwa łyki. Skrzywił się i czknął.

-- Kim oni są? -- Falewicz jeszcze bardziej ściszył głos.

Jaworek znowu pogłaskał z czułością teczkę z dokumentami.

-- Wszystko o was wiedzieliśmy -- powiedział wreszcie równie cicho i nagle krzyknął: -- Słyszysz, kurwa?! Wszystko o was wiedzieliśmy!

Prokurator znowu zacisnął szczęki i się nie odezwał. Jaworek ponownie przechylił butelkę. Na pewno pił przez ostatnie dni, jednak dopiero dzisiaj zamierzał się porządnie upić. Andrzej Falewicz ciągle nie mógł uwierzyć, że przez przypadek trafili do człowieka, który dla organizatora polowań na ludzi odwał czarną robotę. Może nie on osobiście, tylko przez ludzi, na których miał wpływ, jednak wiedział bardzo dużo. Może nawet więcej, niż prokurator mógł przypuszczać.

Tylko że trafili na dziwny moment. Kto był na górze i dlaczego prawnik pił, jakby świat miał się nagle skończyć?

-- Ale nie wiedziałeś, że właśnie do ciebie jedziemy -- odpowiedział mu nie bez satysfakcji w głosie, równocześnie zerkając na drzwi. Na razie w domu panowała grobowa cisza, nie licząc wrzasków Jaworka. -- W takim razie co poszło nie tak?

Spora dawka alkoholu uderzyła właśnie w tętnice prawnika i na moment spowolniła jego ruchy i myślenie. Ale tylko na moment. Spojrzał na Falewicza i wyostrzył wzrok.

-- Ci z góry mnie skreślili, więc ci powiem, co mi zależy? Wszystko się spierdoliło. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale oni związają interes. Rozumiesz, Falewicz? Oni po sobie sprzątają, zabijają wszystkich, którzy byli tylko pionkami, jak ja, zatrą po sobie ślady i znikną. Rozpłyną się. Nikt ich nigdy nie znajdzie.

-- Ciebie też zabijają? -- zainteresował się Falewicz.

-- Po to tu przyszli dzisiaj rano. -- Pokiwał głową i znowu się napił. -- Przypadkowo do mnie trafiliście i przerwaliście ten proces. Szukają dokumentów, więc pewnie by mnie jeszcze torturowali, a ja, kurwa, boję się bólu. Rozumiesz, Falewicz? Wyciągnęliby ze mnie wszystkie informacje.

-- Powinienem ci współczuć? Nie licz na to.

-- Nie o to mi chodzi. Skoro oni nie zdążyli, ty masz szansę dostać te dokumenty. -- Na twarzy pijanego Jaworka błysnął diaboliczny uśmiech. -- Może im zaszkodzę?

Falewicz poczuł dreszcz ekscytacji.

-- Jeśli po tylu latach chcą zlikwidować taki dochodowy i... wpływowy interes, to wierz mi: zrobią to bardzo starannie. Nie zostaną żadne ślady, nie będzie można nikomu postawić zarzutów, nie będzie dowodów, od razu możesz sobie to odpuścić. Chyba że dam ci te papiery. -- Jeszcze raz pogłaskał teczkę.

-- Sam je sobie wezmę -- warknął Falewicz, wstając gwałtownie z fotela.

W tej chwili na górze rozległ się wystrzał, potem odgłosy walki, przekleństwa, szybkie kroki i trzaśnięcia drzwiami. Falewicz odruchowo popatrzył na sufit i nareszcie zaczął myśleć jak prokurator. Trzeba było wezwać wsparcie. Już sięgał po telefon, kiedy powstrzymał go zimny głos prawnika.

-- Jesteś tego pewien?

Prokurator zastygł w bezruchu. W dłoni Jaworka dostrzegł skierowaną w siebie lufę pistoletu.

12

W porównaniu z domami na osiedlu ten może nie był okazały, jednak było w nim miejsce na schody na piętro rozchodzące się na parterze w prawo i w lewo oraz na nie wiadomo ile sypialni, łazienek i innych pomieszczeń na piętrze. Zakrzewskiego zawsze śmieszył taki zbytek, teraz go denerwował. Jeśli ktoś naprawdę był na górze, będzie miał wiele interesujących miejsc, gdzie może się skryć i skąd zaatakować.

Spojrzeni na siebie z Boguckim i skinęli głowami. Co z tego, że zrozumieli się bez słów i jeden poszedł w lewo, drugi w prawo? To był odruch wyuczony w pracy policjanta. Najgorsze było to, że sobie nie ufali. Gdy Marcin usłyszał słowa prawnika o policjancie z Krakowa, stracił do niego resztki sympatii. Nienawidził takich typów, co to dali się złamać bandytom, a potem wracali z podkulonym ogonem do grona uczciwych stróżów prawa i udawali, że nic się nie stało. Właśnie że się stało. Zakrzewski był inny, on by się nigdy nie dał złamać, to nie było w jego stylu. Nawet gdyby bolało, nawet gdyby mieli go wywalić z policji na zbity pysk. Dlatego teraz nie ufał Boguckiemu.

Cała sytuacja była paskudna. Wspinali się po schodach w kierunku nieznanego niebezpieczeństwa. W tej chwili powinni stanowić zgraną parę, chronić się nawzajem, tymczasem Marcin musiał jeszcze uważać na Boguckiego. Żałował, że Karina została we Wrocławiu, lecz tak ustalili.

Weszli na szczyt schodów, popatrzyli jeszcze na siebie ponuro i ruszyli korytarzem, zaglądając do każdego pomieszczenia. Cholera! Przecież Marcin niedawno już przeżył taką sytuację. Wtedy skończyło się pożarem i skokiem z dachu. Jak się skończy teraz? Miał złe przeczucia.

Przystanął na moment i nasłuchiwał. Na górze panowała cisza, na dole Jaworek ciągle coś krzyczał, jakby teraz chciał ostrzec czających się tu ludzi. W co ten facet gra? Po chwili na dole zrobiło się ciszzej. Ruszył dalej, zajrzał do jednej sypialni, do łazienki, do drugiej sypialni i znowu wyszedł na korytarz wyłożony miękką wykładziną tłumiącą wszelkie odgłosy. To, że coś dzieje się za jego plecami, bardziej poczuł, niż usłyszał. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał Boguckiemu w oczy. Stali, celując do siebie. Bogucki miał tylko trochę inny wyraz twarzy, niż kiedy jechali tu samochodem, jednak Marcin błę-

skawicznie zrozumiał, że sytuacja nie wygląda tak, jak to ocenił za pierwszym razem. Zrobił szybki unik i Bogucki nacisnął na spust. Pocisk przeleciał obok Zakrzewskiego i wyrwał kilka drzazg z brązowej futryny drzwi do kolejnej sypialni. Wskoczył stamtąd mężczyzna ubrany na czarno i chciał dopaść drzwi po przeciwnej stronie korytarza, lecz wykładzina pod jego stopami przesunęła się pod wpływem gwałtownego nacisku buta. Facet przewrócił się z głuchym hukiem, a Bogucki nie mógł ponownie nacisnąć na spust, ponieważ Marcin wciąż znajdował się na linii strzału. Napastnik zdołał się podnieść i zniknął w pomieszczeniu po przeciwległej stronie, trzaskając drzwiami. Usłyszeli jeszcze oddalające się kroki.

-- Jasna cholera! -- wycedził Marcin przez zęby i rzucił się w poгон.

Kopniakiem otworzył drzwi i przykucnął, osłaniając Boguckiego, który z impetem wpadł do środka.

-- Czysto! -- krzyknął.

Marcin skoczył za nim. Firanka w oknie balkonowym falowała delikatnie na wietrze. Była częściowo zerwana, drzwi na balkon właśnie się zamykały. Za oknem ciemna postać wspinała się na balustradę. Podkomisarz z Krakowa uniósł pistolet do strzału, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. Mężczyzna skoczył z balkonu na trawnik. Nie było wysoko, więc trudno było liczyć na to, że zrobi sobie krzywdę. Kiedy policjanci wypadli za nim na balkon, on już biegł w kierunku bramy. Czarny samochód, który wchodząc tu, wzięli za auto sąsiada, zawracał akurat na małym placu przed bramą, rozjeżdżając trawniki, kępy róż i potracając tandetne figurki krasnali z gipsu.

Bogucki, wykazując się dużą brawurą, bez namysłu sam przesadził barierę balkonu i leciał teraz w dół. Na trawniku się przetoczył, amortyzując uderzenie o ziemię, i zaraz się zerwał. Marcin spojrzał w dół i się zawahał. Przed oczami stanął mu widok z poddasza płonącego domu pani Malasek i się nie przełamał. Został tam, gdzie stał. Widział, jak do auta wskakuje uciekający mężczyzna, jak pojazd przyspiesza z piskiem opon, jak Bogucki nie zdążył dobiec. Złożył się jeszcze do strzału, lecz znowu nie zdecydował się pociągnąć za spust. Gangsterzy uciekli w kierunku bardziej zaludnionej części osiedla i nietrafiony strzał mógł mieć opłakane skutki. Bogucki opuścił broń i wtedy po raz pierwszy Zakrzewski zobaczył u niego prawdziwe uczucia, dotąd skrywane pod maską obojętności. Podkomisarz za-

czął chodzić od jednego skrzydła bramy do drugiego, klnąc głośno. Raz nawet omal nie ruszył pieszko w pościg za samochodem. Potem zatrzymał się i spojrzał na Zakrzewskiego na tarasie. To spojrzenie nie spodobało się Marcinowi.

Falewicz patrzył w ciemną lufę cezetki kalibru dziewięć milimetrów. Pistolet drżał w dłoni Jaworka, jakby prawnik nagle wpadł w alkoholowe delirium. Tylko że ten cholerny sukinsyn, pomimo opróżnienia jednej trzeciej zawartości butelki, nadal trzymał się nadspodziewanie dobrze. Spojrzenie wciąż miał przytomne, a na ustach złowieszczy uśmiezek.

-- I co, zastrzelisz mnie? -- zapytał ostrożnie Falewicz. -- Jeszcze przed momentem chciałeś dać mi te dokumenty.

-- Jeszcze nie wiem. -- To był znowu uśmiech Jokera, zawierający w sobie różne znaczenia w zależności od nastroju chwili.

Falewicz nigdy nie stawał na sali sądowej przeciwko Jaworkowi, chociaż słyszał, że należy do najlepszych. Teraz, obserwując jego mimikę, już wiedział, że taka potyczka byłaby trudna do wygrania. Prawnik był doskonałym aktorem, a jak wiadomo, w sądzie takie talenty zwiększają szansę na wygraną o kilka procent. Ludzie są tylko ludźmi, sędziowie i ławnicy też są podatni na manipulacje. Nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

-- Może zmienię plany i spróbuję uciec za granicę? Może te dokumenty mi pomogą?

-- Sam nie dasz sobie rady -- rzucił prokurator. -- Tylko współpraca z organami ścigania zapewni ci bezpieczeństwo. Załatwimy ci status świadka koronnego.

Prawnik parsknął śmiechem i śmiał się dłuższą chwilę, jakby Falewicz opowiedział mu dowcip dziesięciolecia.

-- Co ty pierdolisz, Falewicz? -- zapytał, kiedy się wreszcie uspokoił. -- Otacza cię tylu skorumpowanych drani na tak wysokich stanowiskach, że nawet ci się nie śniło. Gdybym poszedł z tobą na współpracę, nie dożyłbym postanowienia sądu. Jestem już trupem, Falewicz. Ciągle się jeszcze zastanawiam, czy ty też jesteś już trupem, czy fakt, że daruję ci życie, będzie okolicznością łagodzącą, gdy już stanę przed sądem ostatecznym. Wiesz, jestem cholernie dobrym prawnikiem, chyba sobie poradzę, jak sądzisz?

To miał być dowcip, lecz zabrzmiał nieśmiesznie. Z zewnątrz dobiegło ich wycie silnika samochodowego, a potem jakiś trzask, jakby w coś uderzył. Falewicz uniósł dłonie na znak pokojowych intencji.

-- Daj mi te dokumenty, Jaworek -- powiedział cicho i spokojnie.
-- Jeśli chcesz się na nich zemścić, wierz mi, że ja będę wiedział, jak je wykorzystać. Przecież wiesz, że jestem cholernie dobry. Tak jak ty.

Lufa pistoletu trochę opadła.

-- Nie wiem, czego ja chcę. -- Prawnik nagle przygasł. Znowu napił się prosto z butelki i odstawił szkło z trzaskiem na biurko. -- Nie wiem, co mam teraz robić. Nie wiem, co się stało. Myślałem, że to będzie tak trwać, a ja będę z tego ciągnął coraz większe profity. Tak, Falewicz, dałem się skusić wielkimi pieniędzmi. Część przepierdoliłem. Wiesz, droga żona i jeszcze droższe kochanki, ale mam cholernie dużo pieniędzy zainwestowanych w różne branże. Mógłbym z tego godnie żyć gdzieś za granicą do końca swoich dni. Ale zgubiła mnie chciwość. Chciałem ciągle więcej. A niedawno coś się stało i teraz jestem do odstrzału, bo za dużo wiem. Rozumiesz coś z tego? Ja, najbardziej zaufana osoba, do odstrzału?

Teraz w jego oczach malowała się rozpacz, pierwsze szczere uczucie, odkąd zaczęli ze sobą rozmawiać.

-- Co się stało, że nagle zwijają interes? -- zapytał Falewicz.

Lufa znowu opadła niżej.

-- Podobno była wpadka na Kaszubach. Policja trafiła do faceta, który utylizował zwłoki. Ale nie zatrzymali go. Uciekł za granicę. Wtedy się okazało, że wie o organizacji o wiele więcej, niż się wszystkim wydawało. Podobno wie wszystko. Kontaktował się i chciał iść z nami na układ. Pomoc w ucieczce w zamian za milczenie. Tylko że coś jest ostatnio nie tak. Kiedyś załatwilibyśmy taką sprawę w dwa dni, a teraz okazało się, że nie można go nawet znaleźć. Sam nic z tego nie rozumiem.

-- Nowy wampir z Bytowa. -- Falewicz poczuł dreszcz podniecenia na plecach. -- Słyszałem, że ścigają go Łowcy Głów.

-- I pewnie go dopadną.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Obaj spojrzeli na drzwi do gabinetu. Ktoś nadchodził. Pewnie wracali Zakrzewski z Boguckim.

-- Dam ci te dokumenty, Falewicz -- powiedział nagle Jaworek. -- Bierz je, są twoje. Mam nadzieję, że dopadniesz tych skurwysynów i powsadzasz ich do pierdła.

-- Możesz mi w tym pomóc -- rzucił prokurator.

-- Dla mnie już nie ma ratunku. Poradzisz sobie.

Mecenas Grzegorz Jaworek nagle znowu uniósł pistolet. Tylko że tym razem lufę wsadził sobie do ust, zacisnął na niej zęby i pociągnął

za spust. Rozległ się huk wystrzału. Równocześnie na ścianę za nim bryznęła struga krwi wraz z nieco bielszymi strzępami mózgu i kości. Martwe ciało poleciało do tyłu na tę samą ścianę i osunęło się po niej, zostawiając krwawy ślad.

W momencie strzału Falewicz intensywnie zamknął oczy. Kropelki krwi uderzyły go w twarz. Odruchowo przeciągnął po niej dłoń i na policzkach zostały mu szkarłatne smugi.

Tak zastali go policjanci, którzy wpadli do gabinetu.

13

Marek Piekło wyglądał źle. Od czasu, kiedy Zakrzewski odwiedził go w jego domku w górach, zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, schudł, włosy mu się przerzedziły, oczy jeszcze bardziej zmętniały. Marcin nie wiedział, czy to za sprawą kolejnej beczki samogonu, którą wypił w czasie samotnych wieczorów przed tym, zanim wybrał się do Krakowa, czy tak zmienił go pobyt w areszcie i przymusowa abstynencja. Stawiał na to drugie.

Kiedy dwaj policjanci wprowadzili go zakutego w połączone ze sobą łańcuchem kajdanki na nogach i nadgarstkach, wyglądał na nieporuszonego. Patrzył tylko na niego i Falewicza, siedzących obok siebie za stołem w pokoju przesłuchań, i sapał, jakby przed chwilą biegał na setkę z innymi podejrzanymi. Marcinowi zrobiło się go żal. Długo do niego nie przyjeżdżał, a Piekło przecież nie bez powodu powtarzał, że będzie rozmawiać tylko z nim. No ale miał na to wytłumaczenie. Nic nie wiedział o tym, że Piekło ma zamiar zabić jakiegoś lekarza. To było tak irracjonalne, że nie potrafił sobie wytłumaczyć jego postępowania.

Dopiero kiedy policjanci wyszli, zamykając za sobą drzwi, a Bogucki na korytarzu pewnie postarał się, żeby żadne niepotrzebne oczy i uszy nie obserwowały ich zza weneckiego lustra, rozpromienił się.

-- Kogo moje błędne oczy widzą! -- wykrzyknął. -- Mój ulubiony gliniarz! Długo kazałeś na siebie czekać.

Falewicz wskazał byłemu kapitanowi MO krzesło po drugiej stronie biurka, a on zwałił się na nie z ulgą. Był tak chudy, że przypominał kij od szczotki do podłogi obciążony więziennymi łańcuchami.

-- Mieliśmy się spotkać -- odparł Zakrzewski. -- Nie powiedziałeś, że chcesz zabić jakiegoś lekarza.

Piekło nagle wyraźnie posmutniał i spojrzał podejrzliwie na Falewicza, aż prokuratorowi zrobiło się dziwnie.

-- Prokurator dużo wie -- powiedział zaraz Marcin. -- Można mu zaufać. Właściwie to bez niego nie damy rady.

-- Skoro tak mówisz... -- Stary milicjant pozostał nieprzekonany. -- Nie zabiłem tego lekarza.

Po tych słowach zapadła cisza. Zakrzewski popatrzył na Falewicza, lecz prokurator, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, się nie odzywał. Marcin sięgnął do kieszeni, wyciągnął buteleczkę i pchnął

ją po stole w kierunku aresztowanego. W jednej chwili oczy mężczyzny się rozpromieniły. Chwycił małąkę z cytrynowką, odkręcił ją drżącymi palcami i wypił szybko. Na jego twarzy pojawiły się błogość i spokój. Prokurator pokręcił tylko głową, udając, że tego nie widzi.

-- Myślę, że kapitan Marek Piekło ma nam dużo do wyjaśnienia -- powiedział Zakrzewski.

Tym razem Falewicz nie mógł ukryć zdumienia.

-- Piekło? Nie Majer? -- zapytał.

-- To długa historia -- zaczął stary milicjant. -- Opowiem od początku.

Jego wyprawa na Kaszuby była zaskoczeniem nawet dla nadkomisarza. Opowiadał, jakby mu się nigdzie nie spieszyło. Głos miał zdarty jak stara płyta gramofonowa. Opowiedział o strzelaninie przy leśniczówce, pożarze i ucieczce z młodym lekarzem. Wspomnił o tym, jak Tadeusz Majer podarował mu nowe życie pod swoim nazwiskiem.

-- Ten Czerwiński wtedy mi pomógł. Dostałem w ramię, może i niegroźna rana, ale straciłem dużo krwi i tego nie czułem. Nie doszedłbym do samochodu i pewnie zostałbym w tym lesie. On też był niegroźnie postrzelony i tak sobie nawzajem pomogliśmy.

-- Czyli on też tam był... -- zaczął Falewicz, ale się nagle zawahał. -- Żeby polować.

-- Tak -- potwierdził Piekło. -- Był młodym lekarzem, czuł się nieśmiertelny, niezniszczalny, czuł władzę nad ludźmi i postanowił sprawdzić, jak to jest, kiedy z premedytacją zabija się człowieka. Przez znajomych nawiązał kontakt ze Sławomirem Najmanem vel Orłem, a ten zgodził się zorganizować mu polowanie. Widać, lekarze też byli mu potrzebni. Czerwiński wybrał kobietę, nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że on sam bardziej lubił chłopców, no wiecie... - - zawiesił głos i kontynuował, gdy już upewnił się, że wiedzą. -- Ale młody doktorek okazał się dobrym człowiekiem. Pewnie on sam się tego nie spodziewał. Stchórzył i nie był w stanie zabić tej dziewczyny. Zabił ją Najman, Czerwińskiego postrzelił, a sam uciekł. Czerwiński by tam zginął, gdyby nie ja, więc można powiedzieć, że uratowałem mu życie. W związku z tym miał wobec mnie dług wdzięczności. Obiecał mi, że jak już będę gotowy i się do niego zgłoszę, on złoży zeznania. Powie, co wie, jak wtedy trafił do Orła i jak to się zakończyło. Tylko ja sam się nie spodziewałem, że minie tyle lat, zanim do niego trafię. Pewnie nigdy nie ruszylibym tej sprawy, gdyby nie Zakrzewski,

który przyjechał do mnie do Cisnej i mnie przekonał. Na moją zgubę, jak się okazuje.

Zapadła cisza. Przesłuchujący w milczeniu przetrawiali usłyszane właśnie informacje. Plan może był i dobry, jednak śmierć Czerwińskiego wszystko zmieniała. Znowu nie mieli nic, a Piekło został wrobiony w zabójstwo. Teraz Falewicz sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął drugą małą. Tym razem czystą wódkę. Podał ją Piekłu, a ten znowu wypił jednym haustem. Alkohol, nawet w takiej niewielkiej ilości, widocznie zmienił dawnego milicjanta. Nagle jakby wstąpiła w niego nowa energia. Zakrzewski pomyślał, że Falewicz to porządny facet, i chyba nawet zaczął czuć do niego coś na kształt sympatii.

-- Co się stało, kiedy wszedł pan do gabinetu Czerwińskiego? -- zapytał prokurator.

Piekło opowiedział, jak znalazł klinikę Czerwińskiego, a potem zarejestrował się i chciał z nim porozmawiać.

-- Ale nie rozmawialiśmy... -- Opuścił wzrok. -- Zapytałem go tylko, czy mnie pamięta. Odpowiedział, że tak, i wtedy z bocznych drzwi wyszedł mężczyzna ubrany na czarno. Strzelił mu w głowę, a potem próbował wcisnąć mi pistolet w rękę. Byłem w takim szoku, że zacisnąłem na nim dłoń, ale zaraz odłożyłem go na stolik. Zabójca zniknął za tymi samymi drzwiami. A wtedy ta cholerna pielęgniarka zaczęła tak krzyczeć, że zbudziłaby umarłego.

-- Pamięta pan tego mężczyznę? -- dopytał prokurator.

-- Byłem w szoku, nie zareagowałem.

-- Panie Piekło, to bardzo ważne, proszę się zastanowić.

Piekło obrzucił Falewicza pogardliwym spojrzeniem.

-- Jestem starym milicjantem śledczym -- powiedział. -- Taki młokos nie będzie mnie uczył fachu. Miałem dużo czasu do namysłu, siedzę w tym areszcie już nie wiem jak długo. Jak mówię, że bym gościa nie poznał, to wiem, co mówię.

-- J-jasne. -- Zakrzewski uniósł dłoń w uspokajającym geście.

Prokurator podrapał się po karku z niezbyt zadowoloną miną.

-- Zleciłem przeprowadzenie ponownych czynności na miejscu zbrodni, zabezpieczyliśmy monitoring miejski, na którym jest zarejestrowany zabójca. Na tę chwilę nic więcej nie możemy zrobić. Jeśli pan nam nie pomoże, tu ślad się urywa.

Zgodnie milczeli przez kilkanaście sekund. Piekło tylko patrzył na nich swoim mętłym wzrokiem i zwilżał językiem wargi, jakby za-

schło mu w ustach. Pewnie tak właśnie było.

-- Dobrze -- przerwał ciszę Falewicz. -- Myślę, że na podstawie zebranych zeznań, dowodów i śladów jestem w stanie przekonać sąd, żeby pana zwolnił z aresztu za kaucją. Postaram się, żeby kwota nie była duża. Mam też znajomych, którzy ją za pana wpłacą.

-- Nie ma takiej możliwości -- zachnął się Piekło. -- Myślisz, że mnie nie stać na kaucję?

-- Nieważne. Będzie pan odpowiadać z wolnej stopy, czyli będzie pan musiał stawiać się na każde wezwanie prokuratury.

Dwie godziny później spacerowali po deptaku w okolicach posesady Smoka Wawelskiego. Mijali grupki turystów fotografujących się z legendarnym potworem, mimo że pogoda zdecydowanie nie sprzyjała spacerom. Wiał silny wiatr, a po niebie przelewały się podejrzane połacie sinych chmur. Może dlatego bardzo szybko znaleźli wolną ławkę. Chusteczkami starli drobinki wilgoci i usiedli. Czekali tylko kilka minut. Wkrótce przysiadł się do nich postawny mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce. Falewicz opowiedział Marcinowi o Grzegorzu Nawrocie i okolicznościach, w jakich go poznał. Ten facet też jakoś nie wzbudził w Marcinie zaufania. Może dlatego, że nie lubił wszelkich rodzajów tajnych służb, które kojarzyły mu się tylko z ochroną ciemnych interesów tych, którzy aktualnie byli u władzy. Oczywiście jako funkcjonariusz zdawał sobie sprawę, że nie do końca tak jest i wszelkie organy wewnętrzne państwa są niezbędne do jego funkcjonowania, jednak w ostatnich latach cienka granica między prawem a bezprawiem została według niego zdecydowanie naruszona.

-- Miło mi cię poznać, Zakrzewski -- powiedział Nawrot, nawet na niego nie patrząc.

-- Mam nadzieję, że mnie też będzie miło. -- Nadkomisarz nawet się nie silił na zbytnią uprzejmość, czym wywołał uśmiech na twarzy tajniaka.

-- Chyba nie mam dobrych wieści. -- Nawrot spoważniał. -- Na pewno zadziało się coś, czego nie rozumiemy. Oprócz Grzegorza Jaworka zginęło jeszcze dwóch prawników. Jeden w Warszawie, drugi w Gdańsku. Ten z Warszawy to był Grzegorz Rogala. Miał czołowe zderzenie z ciężarówką na S8. Moi ludzie trzymają rękę na pulsie. Mamy w policji swojego człowieka, który monitoruje to śledztwo. Na razie wiem tylko tyle, że Rogala nie był tak znanym prawnikiem jak Jaworek, ale tylko dlatego, że działał w innej branży. Negocjował

umowy i ugody dla największych spółek w kraju. Specjalizował się w międzynarodowych postępowaniach arbitrażowych. Pewnie nie będzie to dla was zaskoczeniem, że blisko współpracował z Ostaszewski Holding. Zdaniem jednego z informatorów był uwikłany w ciemne interesy Ostaszewskiego, ale na to nie ma dowodów. Ten z Gdańska przypadkowo wypadł z dziewiątego piętra wieżowca. Zginął na miejscu. Z domu podobno nic nie zniknęło. Też pracował dla wspomnianego już holdingu.

-- Co to dla nas znaczy? -- zapytał Marcin, chociaż już chyba znał odpowiedź.

-- Mniej więcej to, że ktoś skutecznie posprzątał i teraz jesteśmy w czarnej dupie.

-- Musimy dotrzeć do innych ludzi, którzy znają organizatora polowań -- wtrącił Falewicz.

-- Obawiam się, że takich już nie ma. -- Grzegorz Nawrot wyciągnął papierosa i zapalił, osłaniając płomień zapalniczki przed wiatrem. -- Takie organizacje mają jak najbardziej smukłe struktury. Jest szef i dwie, trzy osoby, które go znają i się z nim kontaktują. Niżej w strukturze nikt nie zna szefa, ani nawet nie wie, co robi organizacja jako całość. Oni zajmują się tylko wycinkiem działalności.

Nawrot zaciągał się papierosem z ponurą miną.

-- Przez chwilę mieliście fart. Przypadkiem trafiliście w dziesiątkę, los na moment zrobił nam wszystkim nadzieję, ale na tę chwilę sprawa najprawdopodobniej umarła. Nie pociągniemy tego dalej. Nie ma żadnego punktu zaczepienia.

-- A gdybyśmy znaleźli ludzi, którzy zamordowali tych prawników i sprowokowali samobójstwo Jaworka? -- zapytał Falewicz.

-- Przecież wiesz, jak by to wyglądało. -- Nawrot wzruszył ramionami. -- Pewnie to zabójcy działający na zlecenie. Wykonują zadanie. Nie interesuje ich, kogo eliminują i dlaczego. Działają zgodnie z wytycznymi. Teczka od Jaworka jest tego najlepszym przykładem. Mieli wyciągnąć od niego jakieś dokumenty i chyba za bardzo nie wiedzieli jakie, skoro miał je przy sobie, kiedy weszliście do jego domu.

-- No i ciągle mamy tę teczkę. -- Zakrzewskiemu nie podobały się te wnioski. Były sprzeczne z jego poglądami i zasadami.

-- Teczka jest -- potwierdził tajniak. -- Ale to tylko teczka z papierami i żadnych dowodów. Nazwiska, instytucje i powiązania robią wrażenie, ale tym bardziej żaden prokurator w kraju nie poprowadzi

oficjalnego śledztwa na podstawie tej dokumentacji. Śledztwo skończyłoby się, zanim by się zaczęło.

-- Niestety, taka jest prawda -- przyznał Falewicz.

Zamilkli, czekając, aż grupa emerytowanych turystów zza zachodniej granicy przetoczy się obok nich po chodniku. Marcin zaciśkał szczęki w bezsilnej wściekłości, wpatrzony w szary nurt Wisły płynący leniwie zupełnie niedaleko ich ławki.

-- Z tym, co mamy, nic dalej nie zrobimy -- mówił dalej Nawrot. - Ale mamy jeszcze ostatnią szansę. Ten były policjant z Bytowa, okrzyknięty teraz nowym wampirem, zajmował się utylizacją zwłok. Jaworek mówił wam, że on podobno wie wszystko o organizacji. On może być naszą ostatnią nadzieją. Szukamy go. Wiem, że tropy wiodą na Cypr. Prędszej czy później wpadnie.

-- Zdaży coś powiedzieć, zanim go zlikwidują? -- Marcin uśmiechnął się krzywo.

Nawrot milczał chwilę.

-- To największy problem -- przyznał. -- Musimy się z nim dogadać i dać mu ochronę.

-- A masz kogoś godnego zaufania? -- zadrwił Zakrzewski.

-- Nie.

-- To może potrzebujemy dużo szumu, żeby odwrócić od niego uwagę, a równocześnie, żeby do masowej opinii publicznej przeciekły informacje o polowaniach na ludzi.

Nagle Falewicz i tajniak popatrzyli na Marcina z ciekawością.

-- Co masz na myśli? -- rzucił ten drugi.

-- Mam znajomego dziennikarza, któremu obiecałem ten materiał na wyłączność. On go opublikuje w sieci.

-- Nikt mu tego nie puści -- prychnął Nawrot.

-- W oficjalnych serwisach nie -- przyznał policjant. -- Ale ten gość zna się na robocie, a w sieci nic nie ginie. W końcu niezależne ogólnokrajowe portale będą się tym musiały zainteresować, kiedy nie będzie można tego zamieść pod dywan, bo robi się za duży szum. Pójdzie anonimowo. Nawet gdybyście zrobili taki numer jak z laptopem tego redaktora Lisickiego z "Wprost", i tak się już tego nie zatrzyma.

-- To jest nawet niezły pomysł -- stwierdził Nawrot. -- Masz jeszcze jakieś inne?

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski miał jeszcze inne pomysły. Rozmawiali przez godzinę, wreszcie pożegnali się i rozeszli w przeciwnie

strony.

Zakrzewski wrócił razem z prokuratorem. Po kilkunastu minutach wyjeżdżali z centrum w kierunku jednego z ekskluzywnych osiedli na peryferiach miasta.

Dom prokuratora w stanie spoczynku Eugeniusza Nowińskiego nie należał do skromnych. Kute ogrodzenie z rzędem ostrzy skierowanych groźnie ku niebu kojarzyło się Zakrzewskiemu z szeregiem średniowiecznego pieszego wojska szykującego się do bitwy. Zdobiona brama, która otworzyła się automatycznie, kiedy się przed nią zatrzymali, i okazały dom w głębi zalesionego terenu dawały godne świadectwo zamożności gospodarza.

-- Skąd on ma taką kasę? -- zapytał policjant, kiedy zatrzymali się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, podobnymi do tych, przez które na Kremlu przechodzi Putin przy dźwiękach fanfar. -- Ufasz mu?

Zakrzewski dotychczas lubił Kraków, lecz odkąd się tu pojawił, ciągle spotykał niesympatyczne osoby, którym trudno zaufać. Miał nadzieję, że nie jest to regułą, a on po prostu ma pecha.

Prokurator obrzucił Zakrzewskiego szybkim spojrzeniem.

-- Gienek pochodzi z bardzo wpływowej i bogatej rodziny -- odrzekł. -- Jego ojciec i wujkowie byli wziętymi prawnikami już przed wojną. Mieli kilka nieruchomości w centrum, które potem skonfiskowała im komuna. A kiedy powiał wiatr zmian, Nowiński odzyskał dwie kamienice, a za kilka innych budynków otrzymał grube miliony w formie odszkodowania. Ale zawsze był bogaty, jeszcze zanim został prokuratorem. Tego faceta nikt nigdy nie przekupił.

Nie zdążył dodać nic więcej, ponieważ te wyjątkowo wysokie i smukłe drzwi otworzyły się i ukazał się w nich stary człowiek z łysą czaszką pokrytą niezdrowymi plamami. Wysiedli z samochodu i skierowali się w jego stronę. Ubrany był na sportowo, jakby za moment miał jechać na zawody golfowe. Wypisz wymaluj jak milioner z amerykańskich tasiemcowych seriali w stylu *Mody na sukces*. Bił od niego taki kicz, że Marcina rozboleły zęby.

Nowiński zmierzył go mętym, starczym spojrzeniem i mimo ciepłych słów, jakie mężczyzna wypowiedział pod adresem "przyjaciela" Falewicza, Marcin nie potrafił się przemóc i ciągle patrzył na niego nieufnie. Poszli do gabinetu gospodarza i usiedli w skórzanych fotelach. Kiedy odmówili szklaneczki dobrego alkoholu, były prokurator nalał sobie odrobinę z dwiema kostkami lodu. Niedawno byli w bardzo podobnym miejscu. U mecenasa Jaworka, tylko obecny prze-

nych przewyższał tamten kilkakrotnie. Zakrzewski zastanawiał się, czy gdzieś z tyłu willi nie stoi prywatny śmigłowiec Nowińskiego. Bo na co ten facet wydawał pieniądze? Trzeba było mieć niezłą fantazję, żeby ciągle wymyślać nowe zbytki.

-- Co was do mnie sprowadza, panowie? -- Po zbyt długich powitaniach i wymianie pustych kurtuazyjnych frazesów stary prokurator w końcu przeszedł do rzeczy.

Falewicz rzucił tylko okiem na Zakrzewskiego i powiedział:

-- Chciałem ci podziękować za pomoc. Niestety, mimo wsparcia z twojej strony i ścisłej współpracy z nadkomisarzem Zakrzewskim chyba ponieśliśmy klęskę.

-- Co masz na myśli? -- Nowiński wyraźnie się zaniepokoił.

-- Spóźniliśmy się. Ktoś od polowań na ludzi właśnie zwinął interes, a my zostaliśmy z niczym. Żadnego punktu zaczepienia.

Gospodarz w milczeniu pociągnął alkohol z kryształowej szklanceczki, która wydawała się mienić w promieniach słońca wpadającego przez okno.

-- Przykro mi to słyszeć, Andrzeju -- powiedział wreszcie wolno. -- Wiesz, jaki miałem stosunek do tego śledztwa.

-- Ja też nie lubię przegrywać -- odparł zaraz Falewicz. -- Przykro mi, że obaj będziemy mieli w życiorysie historię tej samej porażki.

-- Co ja mam powiedzieć? -- Nowiński wzruszył ramionami. -- Tobie się nie udało, to chyba nikomu już się nie uda. Trzeba się pogodzić z tym, że mimo dobrych chęci, ambicji i wielkiego nakładu pracy nie da się mieć wpływu na wszystko. Los pisze własne scenariusze. Niekoniecznie takie, jakie nam się podobają.

Zakrzewski słuchał tej wymiany zdań i czuł się jak statysta w teatrze, gdzie dwaj aktorzy odgrywają role napisane specjalnie dla nich przez znanego dramaturga, a on jest tylko halabardnikiem i niewiele z tego rozumie. O co tu chodzi? Spoglądał to na jednego, to na drugiego, starając się odkryć drugie dno w tej rozmowie.

-- Najgorsze jest to, że spóźniliśmy się tylko o kilka godzin -- stwierdził Falewicz.

Nowiński nagle popatrzył na niego uważniej i na jego twarzy za gościł uśmiezek.

-- Andrzeju, znam cię na wylot -- powiedział. -- To nie koniec, prawda? Masz coś w zanadrzu? Inaczej byś tu nie przyjechał, tylko złapał mnie gdzieś na mieście.

Falewicz z wystudiowaną miną sięgnął do skórzanej aktówki i wyciągnął z niej plik papierów w nowej białej teczce. Położył ją na biurku przed starym prokuratorem, po czym usiadł na swoim miejscu.

-- Co to jest? -- stary popatrzył na niego niepewnie.

-- Jeden z prawników dał nam te akta, zanim palnął sobie w łeb -
- wyjaśnił Falewicz. -- To nazwiska, firmy, fundacje i powiązania. Wydaje się, że wszystkie wymienione tu osoby polowały na ludzi i zabijały. Tylko...

-- Tak? -- Nowiński uniósł jedną brew.

-- Ta teczka do niczego nam się nie przyda. Nie mamy żadnych dowodów, nic.

-- Rozumiem.

Gospodarz w milczeniu przerzucił kilka dokumentów. Falewicz dał znak Marcinowi, żeby jeszcze nic nie mówił. Wreszcie Nowiński spojrzął na nich i oczy mu błyszczały.

-- W większości znam te nazwiska -- powiedział. -- Nawet znam tych ludzi. Nazwy firm też robią wrażenie. Czego, Andrzej, ode mnie oczekujesz?

-- Gieniu, przecież masz tę swoją grupę wsparcia -- odezwał się ostrożnie prokurator. -- Mówiłeś mi, że dużo możecie. Może ktoś nas wesprze i naprowadzi na nowy ślad. Cokolwiek, żeby tylko można było pójść tym tropem.

-- Wiesz, że zrobiłbym to nawet bez tych papierów.

-- Ale teraz będziesz miał łatwiej.

Kiedy kilka minut później wracali do centrum Krakowa, Marcin zapytał tylko:

-- Naprawdę masz nadzieję, że ten Nowiński w czymś pomoże?

Falewicz długo milczał, wreszcie pokręcił głową.

-- Nie wiem -- odrzekł. -- Ale warto było spróbować.

Część trzecia
WŚCIEKŁE PSY

1

Samolot czarterowy Polskich Linii Lotniczych LOT wystartował z Nicosia International Airport o godzinie siedemnastej. Według planu miał wracać do kraju dwie godziny później z turystami jednego ze znanych niemieckich biur podróży, ale w ostatniej chwili z Warszawy przyszły inne wytyczne. Turyści mieli poczekać na lotnisku dodatkowe dwie godziny na inny samolot, a do kraju lotem LO-5893 mieli wracać bardzo dziwni pasażerowie. Do tego trasa lotu nie wiodła na Okęcie, tylko na krakowskie Balice. Załoga samolotu w milczeniu patrzyła, jak pod schody podjeżdża cywilny samochód i wysiadają z niego cztery osoby. Szczególnie jedna z nich zwracała na siebie uwagę. Mężczyzna w wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką.

Miał czarne jak smoła włosy, na pewno świeżo zafarbowane, opaloną na brązowo twarz, co przy utrzymujących się ostatnio na Cyprze upałach w okolicach czterdziestu stopni było raczej naturalne. Był szczupły, wręcz wychudły, a na jego twarzy prócz opalenizny wyraźnie malowało się zmęczenie, jakby nie dosypiał przez wiele nocy z rzędu. Facet zwracał na siebie uwagę czymś jeszcze. Był zakuty w kajdany na kostkach nóg, które zostały połączone łańcuchem z kajdankami na dłoniach. Miał duże problemy z pokonywaniem stopni do wejścia samolotu, więc dwaj inni mężczyźni prawie wnieśli go do środka. Ci znowu wyglądali na bokserów albo co najmniej zapasników w galach MMA.

Ostatnim z czterech mężczyzn był przystojny czterdziestolatek w białej koszuli polo z krótkimi rękawami i spodniami w kant. W białych adidasach wyglądał, jakby wybierał się na pole golfowe.

Po kilku minutach do samolotu wsiadł jeszcze jeden mężczyzna. Dużo młodszy od tamtych, w przepoconej koszulce, z kaburą na szelkach pod prawą pachą, z której wyraźnie wystawała rękojeść czarnego pistoletu. Załoga wiedziała już, kto będzie leciał, więc stewardesa stojąca przy drzwiach tylko uśmiechnęła się do ostatniego pasażera blade, za to on posłał jej uśmiech od ucha do ucha, błyskając białymi zębami. Pomyślała, że niezłe z niego ciacho. Tylko że już później, po starcie, ten przystojny mężczyzna stanął zaraz przy wejściu do części pasażerskiej samolotu i z tym samym szerokim uśmiechem nie pozwalał jej przejść dalej.

-- Ale ja muszę -- oznajmiła, trochę zmieszana.

Kiedy nie zareagował, ciągle się uśmiechając, pomyślała, że nie rozumie po polsku.

-- *Do you speak English?*

-- Kochana, ja Polak jestem, ale nie mogę cię tam wpuścić -- wyjaśnił.

-- Ale ja... -- zaczęła, lecz przerwał jej stanowczo.

-- Chłopaki napiją się czegoś zimnego, ja też, a tego skurwysyna w kajdanach mam w dupie, więc niczego mu nie musisz podawać.

Stewardesa wzdrygnęła się na te słowa, ale spełniła prośbę policjanta. Po chwili wszyscy pili wodę z cytryną i lodem. Prokurator Falewicz odstawił szklanke, odpiął pasy, wstał i podszedł do siedzącego z przodu więźnia. Patrzył na niego, jakby badał, czy można mu w podstawowym stopniu zaufać i czy nagle się nie wycofa z ich ustaleń, albo czy nie zacznie kręcić.

-- Kurwa, jaki Wersal -- powiedział więzień. -- Nie mówiłeś, że będę miał cały samolot dla siebie. Może zaprosiłbym kilka dziewczyn.

-- To miała być niespodzianka -- odrzekł Falewicz bez uśmiechu.

-- Pewnie bałeś się, że któryś z pasażerów nagle wyciągnie gnata i mnie załatwi?

-- Coś w tym stylu.

-- A jesteś pewien, że nie czekają na nas na lotnisku?

Falewicz nie był pewien. Cała akcja przelotu z Cypru do Krakowa była organizowana w ostatniej chwili, przy pełnej dyskrecji. Ale czy to znaczyło, że byli bezpieczni? Kto wie?

-- Najwyżej cię odstrzelą i sprawa się rypnie. -- Wzruszył ramionami.

-- No to widzę, że masz zdrowe podejście do tematu. -- Uśmiech spełził z ust zakutego mężczyzny.

Falewicz nachylił się do niego. Nie za blisko, żeby nie strzeliło mu coś głupiego do głowy, ale też wystarczająco blisko, żeby jego słowa zabrzmiały nieco inaczej.

-- Powiem ci, jak jest naprawdę. To, czy przeżyjesz przylot do kraju i przejazd do przygotowanego przez nas miejsca ukrycia, to kwestia tego, czy masz szczęście. Potem też tylko od ciebie zależy, czy zgnijesz w więzieniu, czy będziesz cieszyć się wolnością. Tak że staraj się, a ja ocenię.

-- Kawał skurwysyna z ciebie, prokuratorze.

-- Gównu mnie obchodzi, co myślisz o mnie. Zastanów się nad sobą.

Falewicz wrócił na swoje miejsce. Zakuty w kajdanki facet starał się do niego odwrócić, lecz przytrzymało go silne ramię policjanta obok.

-- Hej! Mnie też się chce pić!

Odpowiedziało mu milczenie. Tylko silniki samolotu huczały, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

2

Pewne utwory na stałe wpisały się do historii światowej muzyki spod znaku rock'n'rolla. Na pewno jednym z nich był kawałek Led Zeppelin *Whole Lotta Love*. Jednak grający około czwartej nad ranem jako dzwonek z telefonu, został odarty ze swojej legendy. Wzbudzał tylko niechęć, a jeszcze bardziej obawę.

Zakrzewski odebrał szybko, nie chcąc budzić Renaty, i rozmawiał chwilę półgłosem. Potem wstał i poszedł do kuchni, gdzie usiadł przy oknie i wypatrywał świtu. Na wschodzie już delikatnie jaśniało, jakby słońce wysłało zwiadowców w celu ustalenia, czy warto tego dnia pojawiać się nad światem. Bo jeśli nie było warto, to może lepiej, żeby świat pozostał w ciemnościach. Być może Marcin chciałby, żeby dzisiejszy świt nigdy nie nastąpił, jednak praw natury nie da się zmienić ani opóźnić. To, co zdarza się od milionów lat, zdarzy się i dzisiaj. Może tylko dla niektórych ten świt będzie ostatnim. Albo pierwszym, w zależności od tego, co przyniesie los.

Czekał na tę chwilę długo, musiał dojrzeć do tej trudnej decyzji, jednak teraz zastanawiał się, czy na pewno czekał, czy bardziej się jej obawiał. Pewnie i jedno, i drugie, bez wyraźnego wskazania zwycięzcy. Odblokował aparat i teraz sam wykonał parę telefonów. Spieprzył ten dzień kilku osobom, ale przecież wiedzieli, w co się pakują.

Kiedy niebo na wschodzie jeszcze bardziej pojaśniało, do kuchni jak duch wsunęła się Renata. Usiadła mu na kolanach, a on bez słowa przytulił się do jej piersi, chłonąc zapach jej ciała. Pieprzone życie. Teraz, kiedy wreszcie zaczęło mu się układać, podrzuciło mu stare demony niczym gladiatorów na arenie. Nie ma wyjścia, musi je pokonać, żeby móc dalej normalnie żyć.

-- Co się stało? -- zapytała cicho.

Wiedziała, ale pewnie jeszcze się łudziła.

-- Przecież wiesz.

-- To już dzisiaj? -- Z trudem zapanowała nad drzeniem głosu.

-- Tak. Przyjadą po ciebie za godzinę.

Jeszcze mocniej go przytuliła. Nie chciał patrzeć na łzy w jej oczach, dlatego nie podnosił na nią spojrzenia. Omawiali to wielokrotnie i teraz był jej wdzięczny, że po raz kolejny nie próbuje go powstrzymać. Zresztą było już za późno. I tak nie zdradził jej wszystkich szczegółów; gdyby miała świadomość, w co się pakuje, na pewno by protestowała.

Później zrobiła mu kawę i tosty na śniadanie. Pił i jadł, nie czując smaku. Nawet kawa nie miała tego aromatu co zwykle. Pieprzony, cholerny świt. Miał tylko nadzieję, że to nie jest ich ostatni świt razem, że to tylko kilka dni rozłąki, a potem będzie jak dotąd. A nawet lepiej, bo przecież nie byli ze sobą długo. Tak naprawdę ciągle jeszcze się poznawali. Każdego dnia, po kawałku, dla ich wspólnej przyszłości. Tylko że teraz ich wspólną perspektywę przysłoniły burzowe chmury.

-- Tylko pamiętaj, że masz do mnie wrócić -- powiedziała, kiedy odstawił pusty kubek po kawie do zmywarki. -- Cokolwiek by się działo, pamiętasz?

Usiadł naprzeciw i ujął jej dłoń. Popatrzyli sobie w oczy.

-- Wrócę do ciebie -- potwierdził. -- Renata?

-- Tak? -- Miała przestrasz w oczach.

-- Gdyby doszły do ciebie dziwne informacje o mnie... -- zawahał się, nie wiedząc, jak ubrać w słowa to, co chce przekazać. -- Gdybyś się dowiedziała, że zrobiłem coś złego, coś, o czym wiesz, że Marcin Zakrzewski nigdy by tego nie zrobił, nie możesz we mnie wątpić. Zaufaj mi, to nie jest tak, jak oni mogą to przedstawiać.

Teraz przestraszyła się jeszcze bardziej.

-- Dobrze -- powiedziała cicho. -- Ale Marcin...

-- Nie mogę ci powiedzieć. Nie strać we mnie wiary. To pewnie zabrzmiał jak tekst z nędznej telenoweli, ale to jest mój czas próby, nasz czas próby. Ja postaram się do ciebie wrócić, ale ty musisz na mnie czekać jak dawniej. Bez żadnych wątpliwości.

-- Dobrze -- powtórzyła.

-- Jesteś spakowana?

-- Tak.

Pół godziny później rozległ się sygnał domofonu. Marcin zwolnił zamek na dole i w drzwiach czekał na mężczyznę, który który odwiedził ich o poranku. Po chwili rozległy się kroki na klatce schodowej i kapitan Rafalski, dowódca oddziału antyterrorystycznego, stanął w drzwiach. Przywitali się męskim, mocnym uściskiem dłoni.

-- Jeszcze moment! -- krzyknęła za nimi Renata, zamykając się w łazience.

-- Dokąd ją zabierasz? -- zapytał Marcin.

-- Do moich rodziców, do Leśnicy niedaleko Nowego Targu -- odrzekł.

-- Nie wiedziałem, że pochodzisz z tamtych okolic -- zdziwił się Marcin. -- Nie chwaliłeś się.

-- Nie pytałeś, to nie mówiłem. -- Wzruszył ramionami. -- Tam będzie bezpieczna. Ja i dwaj moi ludzie nie odstępimy jej na krok, a z moją siostrą na pewno się dogada. Też jest dziennikarką i do tego wolnym strzelcem.

-- Dziękuję, nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

-- Nie gadaj po próznicy, tylko złap tego skurwysyna.

-- Złapię.

Trzasnęły drzwi i Renata stanęła za nimi z walizką w dłoni. Rafalski szybko przejął od niej bagaż i zaczął schodzić po schodach, taktownie dając im chwilę na pożegnanie.

Zakrzewski pocałował Renatę, czując się jakoś dziwnie. Ona szepnęła mu jeszcze do ucha coś, czego z nadmiaru emocji nie zarejestrował, pomachała mu i pobiegła za Rafalskim. Czy powiedziała, że go kocha? Miał taką nadzieję. Tylko że on nic jej nie odpowiedział.

Przez okno patrzył, jak sprzed domu odjeżdża czarny seat Rafalskiego, a potem znika na skrzyżowaniu. Było już całkiem jasno. Słońce zdecydowało się tak jak zwykle wychynąć zza horyzontu i świt zmienił się w poranek. Zakrzewski zrobił jeszcze jedną kawę, sprawdził, czy wszystko ma przygotowane, i czekał. Po niego też miał przyjechać samochód. O siódmej rano z lotniska na Strachowicach wystartuje wojskowa CASA, a on musi być na pokładzie.

3

Nikodem Węglarz, redaktor naczelny jednego z największych w kraju internetowych portali informacyjnych, był zły jak sto diabłów. Najgorsze było jednak to, że do końca nie wiedział, na kogo jest zły. Na siebie, za to, że dał się podpuścić, czy na redaktora Krzysztofa Salitrę, za to, że dał mu do przeczytania materiał, który na pewno jest fake newsem. W jego autentyczność trudno było uwierzyć nawet entuzjastom najbardziej zwariowanych teorii spiskowych. Czytając, zarwał nockę, i teraz, o czwartej trzydzieści nad ranem, marzył już tylko o łóżku i kilku godzinach snu. Tylko że wcześniej musiał się spotkać z Salitrą.

Zszedł na parking w pobliżu apartamentowca, w którym mieszkał na warszawskim Ursynowie, i szybko odnalazł ciemnego forda s-max. Może nawet w pierwszej chwili nie zauważyłby auta, gdyby nie chmury dymu z elektronicznego papierosa wylatujące przez uchylone okno od strony kierowcy. Wskoczył na siedzenie pasażera, trzasnął drzwiami i rzucił teczkę z papierami na kolana Salitry.

-- Co ty mi tu za gówno dałeś? -- warknął, rezygnując z powitalnych formulek.

Salitra pozostał niewzruszony. Zaciągnął się jeszcze raz, schował papierosa do kieszeni i uśmiechnął się krzywo.

-- O co ci chodzi, Nikodem? -- zapytał.

-- Człowieku, przecież to są jakieś bzdury, teorie spiskowe i pomówienia.

-- Nie podobały ci się nazwiska, które się tam pojawiają? Przecież większość z nich znasz.

-- Czy ciebie już do reszty pojebało, Salitra? -- Węglarz był teraz naprawdę zły. -- Oczywiście, że znam te nazwiska, dlatego bez bardzo mocnych dowodów nie opublikuję ani słowa z tego, co mi dałeś. Te materiały to jakieś opowieści drzewa sandałowego, nic nie jest poparte faktami. Takim dziennikarstwem się teraz zajmujesz?

Salitra zbył milczeniem ewidentną złośliwość ze strony starego kolegi, z którym zaczynali pracę w tej samej redakcji w dawnych czasach.

-- Przecież ja nie chcę, żebyś to teraz publikował -- powiedział spokojnie. -- Przecież wiem, że po takim materiale miałbyś sto spraw o zniesławienie i mógłbyś od razu ogłaszać upadłość.

-- To czego ty ode mnie chcesz?

Salitra nie odpowiedział od razu. Znowu sięgnął po e-papierosa i zaciągnął się dymem.

-- Posłuchaj mnie uważnie, Nikodem. Te materiały, które ci przekazałem, za kilka godzin ukąą się na paru niezależnych portalach, z odpowiednim komentarzem. Zadbalem o to, żeby kilka poważnych osób wspomniało o nich w komentarzach albo w charakterze ciekawostki z dziedziny, jak ty to mówisz, teorii spiskowych.

-- Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko jest prawdą? -- Węglarz nagle spoważniał i zaczął go słuchać uważniej.

-- Cholera! Człowieku, czy ja kiedyś bawiłem się w pomówienia, szkalowanie ludzi i produkcję fake newsów? Dlatego przychodzę z tym do ciebie, bo to prawda, mam dużo różnych związanych z tym papierów, ale nie mam dowodów.

-- Co ty kombinujesz, Krzysiek? Jeśli jest tak, jak mówisz, zatuszują to. Temat nawet nie przecieknie do mainstreamu. Nie mogę ci pomóc.

Salitra schował papierosa i przetarł zmęczoną twarz dłonią.

-- Posłuchaj, Nikodem -- zaczął wolno. -- Tajna grupa w policji i prokuraturze zaczyna właśnie operację specjalną, mającą na celu zdemaskowanie organizatorów i uczestników polowań na ludzi. Mamy teraz połowę sierpnia, a ta akcja szykowana była przez ostatnie trzy i pół miesiąca. Ściśle współpracuję z tą grupą. Mam nieformalną umowę na wyłączność. Chodzi o to, żeby w mediach zrobić szum i żeby to się rozlało jak najszerzej. Taki szum może spowodować panikę wśród ludzi związanych z tą sprawą i ktoś może się złać i zacząć sypać. Wtedy będą dowody.

Redaktor Węglarz był nie w ciemię bity.

-- Krzysztof, to się nie uda -- powiedział. -- To jest tak nieprawdopodobna historia, że tylko was wyśmieją.

-- Nie powiedziałem ci wszystkiego, Nikodem. Trzy tygodnie temu Łowcy Główny zatrzymali na Cyprze ostatniego z żyjących jeszcze świadków. Dzisiaj zostanie sprowadzony do kraju. Będzie pod ścisłą ochroną służb, ponieważ istnieje duże prawdopodobieństwo, że może nie przeżyć do pierwszych przesłuchań. Pojawi się informacja, że poszedł na ugode z prokuraturą i zaczął sypać. Już teraz wiesz, dlaczego może być panika? Przez moje kanały będą oficjalne przecieki do opinii publicznej. Chcemy wywołać jak największy zamęt.

-- Nadal nie mogę ci pomóc. Bez twardych dowodów nie napiszę ani słowa na swoich portalach.

-- Wcale od ciebie tego nie wymagam. Po prostu przyglądaj się sprawie. Jak będą dowody, sam ci je dostarczę. Poza tym, jak naprawdę zacznie się zamieszanie, sam do mnie przyjdiesz po informacji.

Tym razem Nikodem się zamyślił. Znał Salitrę od lat. Miał do niego zaufanie, byli z tej samej szkoły rzetelnego dziennikarstwa, a nie pogoni za tanią sensacją w wykonaniu dziennikarzy młodego pokolenia. Albo naginania faktów pod jedynie słuszną partyjną linię. I nieważne, czy chodziło o prawicę, centrum, czy lewicę. To za każdym razem godziło w niezależność i bezstronność dziennikarzy jako czwartej władzy. Zresztą, czy taki termin w dzisiejszych czasach zachował jeszcze swoje znaczenie?

-- Salitra, w co ty się znowu wpakowałaś? -- zapytał.

Krzysztof nie odpowiedział. Patrzył na jaśniejące niebo na wschodzie. Wpakował się? Zawsze chciał się w coś takiego wpakować. I było jeszcze coś, co bardzo wiele dla niego znaczyło. Po raz pierwszy od czasu samobójczej śmierci swojej siostry czuł, że naprawdę żyje.

4

Około jedenastej trzydzieści samolot transportowy CASA CN-235 kołował na wojskowym lotnisku Gecitkale na Cyprze, położonym w północno-wschodniej części wyspy. Marcin Zakrzewski widział lotnisko z powietrza, kiedy załoga CASY czekała na pozwolenie na lądowanie. W pierwszej chwili był zaskoczony. Gecitkale Airport to był jeden pas do startów i lądowań i miejsce do kołowania dla jednego samolotu przed czterema blaszanymi barakami, niewyglądającymi wcale nowoczesnie ani zachęcająco. Musiał przyznać, że wszystko to wyglądało jak atrapa prawdziwego wojskowego lotniska, postawiona tu dla zmylenia przeciwnika. Kiedy jednak wylądowali i samolot wolno toczył się po pasie w kierunku hangarów, uznał, że nie ma wielkich szans na to, że nagle otworzą się tajemne drzwi do podziemi i znajdą się w supernowoczesnej bazie wojskowej. Może inne wojskowe lotniska na wyspie wyglądają korzystniej, chociaż szczerze w to wątpił.

Pilot zatrzymał wreszcie transportowca przed hangarami i po kilku minutach radiowych ustaleń tylna kłapa ładunkowa wreszcie się otworzyła, wpuszczając do środka powietrze ciężkie od kurzu i upału. Już wcześniej Marcin dostał informację, że na zewnątrz są aktualnie czterdzieści dwa stopnie Celsjusza. Piekło na ziemi, z którym teraz przyszło mu się zmierzyć. Wraz z dwoma innymi policjantami z zespołu Łowców Głównych, którzy przez prawie trzy miesiące tropili Jakuba Bońskiego, zanim wreszcie ustalili, że ukrywa się na Cyprze, zeszli na płytę. Żar, który uderzył ich w twarz, był nieprawdopodobny.

-- Kurwa mać! -- jęknął starszy aspirant Jurek Lech, sięgając po papierosy i częstując kolegę.

Podkomisarz Irek Narkiewicz przyjął fajkę bez słowa i zapalili w cieniu samolotu. Zakrzewski spociał się w sekundę. Czuł, jak koszulka nieprzyjemnie lepi mu się do ciała, a na czole pojawiają się krople potu. Rozejrzał się. Obsługa samolotu kręciła się po pokładzie, hangary były zamknięte, wokoło żywego ducha.

-- Spokojnie, już jadą -- powiedział Lech, widząc zwątpienie malujące się na jego twarzy.

-- J-jasne -- mruknął w odpowiedzi.

-- Jeszcze sobie z nim pogadasz -- zażartował Irek. -- Będiesz miał całe trzy godziny.

Marcin nie odpowiedział. Czy trzy godziny wystarczą, żeby przekonać Bońskiego do współpracy z policją? Czy on w ogóle będzie chciał z nim rozmawiać? Ten lot to był ich plan A. Gdyby się nie powiodło, był jeszcze plan B, może nawet inne, oznaczane kolejnymi literami, tylko że każdy kolejny gorszy od poprzedniego i trudniejszy do realizacji. Dlatego bardzo dużo zależało od rozmowy Zakrzewskiego z zatrzymanym w drodze do kraju. Powinni dojść do porozumienia, zanim samolot wyląduje we Wrocławiu. Od miesiąca wraz z policyjnym psychologiem Krzysztofem Pawlickim przygotowywali się do tej rozmowy. Pawlicki opracował dokładny profil psychologiczny byłego policjanta Jakuba Bońskiego. Określenie, z jakich pobudek działał, nie było wcale łatwe ani do końca pewne. Nie każdy policjant po przejściu na wcześniejszą emeryturę zajmuje się utylizacją zwłok dla groźnej organizacji mającej wielkie wpływy. Ustalono też kilka wariantów rozmowy, Marcin mógł korzystać ze wszystkich, w zależności od postawy Bońskiego.

Zaraz po tym, jak Jakub Boński uciekł z Bytowa, zaufana grupa policjantów przeszukała jego mieszkanie. Zgodnie z tym, co mówił Jaworek, było tam sporo ciekawych materiałów, które wskazywały na to, że Boński gromadził informacje mogące potem posłużyć do szantażu. Nie ufał im i prawdopodobnie chciał mieć jakieś karty przetargowe, w razie gdyby popadł w niełaskę albo doszło do takiej sytuacji jak teraz, że organizacja zwijała swoje interesy i eliminowała tych, którzy za wiele wiedzieli. Śledczy podejrzewali, że Boński mógł mieć skrytki poza miejscem zamieszkania. Być może naprawdę wiedział wszystko, chociaż było dziwne, że dopuszczono go do tajnych informacji z samego szczytu organizacji. Na Cyprze przebywał jako obywatel jej królewskiej mości Elżbiety II, więc w grę wchodziły fałszywe paszporty, pieniądze, broń i właśnie informacje.

Policjanci z oddziału zwanego popularnie Łowcami Głów namierzili go dopiero trzy miesiące po ucieczce. Pierwszym przystankiem Bońskiego był Paryż, skąd po dwóch dniach, już jako Brytyjczyk, poleciał do Ankary, a potem promem dostał się na Cypr. Mieszkał w Nikozji i podawał się za turystę zwabionego urokami wyspy. Zatrzymanie nastąpiło trzy tygodnie później, po okresie obserwacji i potajemnych rozmów na szczeblu służb specjalnych polskich i cypryjskich. Chodziło o to, żeby można było Bońskiego po cichu wywieźć z wyspy, nie wszczynając oficjalnej procedury, która na pewno wzbudziłaby spore zamieszanie w kraju. Media, przez które sprawa

nowego wampira z Bytowa jeszcze nie została zapomniana, na pewno zaraz zwęszyłyby tajną operację i byłoby o tym głośno. A rozgłos niczemu nie służył. Miało być sprawnie i po cichu. Służby się dogadały i teraz specjalny lot transportowej CASY miał zabrać Bońskiego do kraju.

Grzało nieprawdopodobnie. Kiedy odlatywali z Wrocławia, też zapowiadał się upalny dzień, jak zawsze w okolicach połowy sierpnia, jednak w niczym nie przypominało to diabelskiego upału, który tu zastali. Nawet początkowy chłód bijący z otwartego luku samolotu transportowego nagle gdzieś się rozwiął, a cień niewiele pomagał. W końcu te czterdzieści dwa stopnie zmierzone były w cieniu.

Minuty ciągnęły się jak mocno przeżuta balonówka, a równocześnie upływało ich zaskakująco dużo. Do pięciu dołączyły kolejne i było już dziesięć, potem jeszcze kilka i czas oczekiwania wydłużył się do pół godziny. Trzydzieści minut w skwarze. W tym czasie pojawiła się nareszcie naziemna obsługa lotniska i piloci transportowca uwijali się, dopilnowując szczegółów, które pozwolą im wrócić do kraju.

Wreszcie po kolejnych pięciu minutach, gdzieś daleko za ogrodzeniem i szeregiem ledwo zipiących z gorąca i suszy rachitycznych drzew, zobaczyli unoszące się tumany kurzu. "Cholera, jak na drodze prowadzącej przez Dolinę Śmierci" -- pomyślał Zakrzewski, przecierając czoło rękawem koszulki. Mimo początkowych żarcików i nonszalanckich towarzyszący mu policjanci też mieli dość upału i ich dobry nastrój ulatywał wraz z potem płynącym z każdego pora w skórze. Oni też odetchnęli z ulgą na widok starego forda mondeo zatrzymującego się przed szlabanem prowadzącym na lotnisko. Po chwili szlaban się uniósł i auto zatrzymało się przy luku ładunkowym samolotu.

Pierwszy wysiadł wysoki i szczupły mężczyzna, na oko mający już co najmniej cztery dychy na karku. W fordzie najwidoczniej nie było klimatyzacji, bo był mokry, jakby dopiero co wyszedł z basenu. Podszedł prosto do Zakrzewskiego i Marcin podziękował mu w duchu, że wykazał się spostrzegawczością i nawet nie próbował podawać mu ręki na powitanie. Zasalutował tylko nonszalancko, zdjął ciemne okulary i spojrzał na nadkomisarza.

-- Janek jestem -- powiedział, łamiąc wszelkie konwenanse obowiązujące w policji, nie wspominając już o tych ogólnie przyjętych.

-- Marcin.

-- To ty jesteś nim zainteresowany?

-- Tak.

Szef operacji zatrzymania Bońskiego przyjrzał mu się uważnie i tylko pokiwał głową.

-- Jest twój -- rzucił.

Mimo prezentowanej przez niego nieco wyluzowanej postawy Marcin nie wyczuł w nim lekceważenia. Był czujny i skupiony, można było nawet zaryzykować stwierdzenie, że w każdej chwili mógłby stać się niebezpieczny, gdyby było trzeba.

-- Tylko musisz być ostrożny -- dodał zaraz. -- Skurwysyn zachowuje się jak lew w klatce. Kurwa, ma siłę, jakby cały czas był na dopalaczach.

-- J-jasne.

Ta informacja akurat nie była dla Zakrzewskiego najlepszą z możliwych. Janek pokazał mu wyraźne krwawe ślady zębów na lewym nadgarstku.

-- To rano, jak pakowaliśmy go do samochodu w Nikozji -- wyjaśnił. -- Trochę nam się zerwał i musieliśmy mu założyć kaganiec.

Tymczasem z auta wysiadł kierowca o ciemniejszej karnacji skóry, najwyraźniej tubylec, i jeden z policjantów pilnujących Bońskiego na tylnym siedzeniu. Miał rękę w gipsie od dłoni po łokieć. Marcin odruchowo podrapał się po swoim lewym przedramieniu. Kości na szczęście już się zrosły, a po paskudnej ranie od noża została tylko blizna. Jeszcze kilka miesięcy i cała ręka wróci do dawnej formy.

-- Podczas zatrzymania złamał Miśkowi rękę, a wierz mi, jemu jeszcze nikt niczego nie złamał -- kontynuował Janek, coraz bardziej wkurzając Marcina.

Policjant o ksywie "Misiek" wyglądał, jakby kiedyś uprawiał boks co najmniej w wadze ciężkiej. Był wyższy nawet od Zakrzewskiego, pewnie dwa razy cięższy i miał wyraźnie oklepaną gębę od wielu ciosów, jakie przyjął w czasie treningów i walk. Wyglądał, jakby to on był ścigany, a nie delikwent w środku auta.

-- Dobrze -- rzucił odrobinę zbyt opryskliwie Zakrzewski. -- Pewnie przez ten cholerny upał stracił dużą część anielskiej cierpliwości. -- Już dość mnie nastraszyłeś. Teraz konkretnie.

Kolega po fachu, tylko o innej specjalności, spojrział na Marcina jakby poważniej. Wydał wargi, pokiwał głową, wreszcie, wzruszając ramionami, powiedział:

-- Skoro tak twierdzisz. To co robimy?

-- Dawaj go tu.

Janek skinął na Miśka i już po kilku chwilach Jakub Boński stał przed Zakrzewskim, kłaniając mu się w pas i oglądając jego zakurzone adidasy. Bynajmniej nie z własnej woli. Ręce miał skute na plecach i teraz Misiek wraz z drugim kolegą policjantem, tylko niewiele mniejszym od niego, trzymali go w stalowym uścisku i przygniatali do ziemi. Na głowę Boński miał wciśniętą skórzaną czapkę podobną do dawnej pilotki, ale za to z wszytymi grubymi plastrami gąbki na czole, po bokach, na czubku i na potylicy. W takiej czapce nie zrobiłby sobie krzywdy, nawet gdyby przez całą drogę do Wrocławia walił głową w stalowe drzwi oddzielające ładownię samolotu od kabiny pilotów. Na dolnej szczęce miał założoną skórzaną opaskę z ochroniaczem na brodę, połączoną z pilotką i mocno zapiętą, tak że ust nie mógł uchylić nawet na pół milimetra. Marcin zrozumiał, o jakim kagańcu mówił Janek. Teraz Boński nie mógł nawet gryźć.

-- Podnieście go -- rozkazał Zakrzewski.

Koledzy policjanci wykonali jego polecenie, a on spojrzał w oczy bestii. Boński trochę nie przypominał samego siebie ze zdjęć, które wcześniej oglądał Marcin. No ale na tamtych zdjęciach nie był w pilotce, kagańcu, nie był czerwony z gorąca i nie miał paskudnie rozbitego łuku brwiowego. Mimo dwóch plastrów ściskających krawędzie rany krew ciągle sączyła się na samym jej końcu. W oczach miał prawdziwą wściekłość i na pewno nie wyglądał na kogoś, kto pogodził się z losem i da się poprowadzić na szafot. Od pierwszych słów wiele zależało. Krzysztof Pawlicki opracował kilka wariantów pierwszych słów wypowiedzianych przez Marcina do Bońskiego. Neutralny żart, delikatna kpina, neutralny tekst o niczym, na przykład o cholernym upale, słowa wyrażające lekki podziw dla niego za to, że nie dał się złapać przez trzy miesiące, aż wreszcie chamska kpina. W teorii to wyglądało nawet zgrabnie, tylko że teraz Marcin miał sam wybrać, od czego zacząć, a od tego mogło wiele zależeć. Zdecydował się na to ostatnie.

-- Teraz wygląda jak ciota, a nie jak nowy wampir z Bytowa -- powiedział tak, żeby go wszyscy usłyszeli.

Czterech policjantów zarżało jak stado rozbawionych koni na pastwisku, za to ich szef tylko się uśmiechnął pod nosem i pozostał poważny. Zakrzewski uważnie obserwował Bońskiego. Nie zauważył

w jego oczach żądzę mordy, a jedynie delikatne zaciekawienie. Zdecydował więc, że teraz przyszedł czas na odrobinę troski.

-- On się nie udusi w tym kagańcu? -- zapytał, patrząc tamtemu w oczy.

-- Przynajmniej nie odgryzie sobie języka -- odpowiedział któryś z mężczyzn, a reszta znowu się zaśmiała.

Marcin zmierzył się z Bońskim wzrokiem i rzucił w przestrzeń:

-- Dobra, pakujcie go do puszki, bo się tu ugotujemy.

Kwadrans po starcie, gdy CASA była już na odpowiednim kursie i osiągnęła wysokość przelotową, Zakrzewski poszedł do siedzącego daleko od innych Jakuba Bońskiego i usiadł naprzeciw niego. Długo na siebie patrzyli. Silniki huczały, siedzieli po dwóch stronach lądowni, więc nie mogli swobodnie rozmawiać. Ale nawet gdyby do siebie krzyczeli, reszta pasażerów i tak nic by z tego nie zrozumiała. Boński miał kajdanki na nogach i nadgarstkach. Kajdanki przypięte były jeszcze do metalowych elementów samolotu. Nie mógł nawet wstać, a w takiej pozycji na pewno nie było mu wygodnie.

Marcin wstał, podszedł do niego i rozpiął zapięcie paska unieruchamiającego brodę. Boński otworzył usta z wyraźną ulgą, odetchnął kilka razy, oblizał wargi i zaczął gimnastykować zastygłe mięśnie, poruszając zuchwą na wszystkie strony. Marcin usiadł obok niego, obserwował go i milczał. Boński zerknął na niego i też nic nie powiedział. Tylko że takie milczenie najwyraźniej go uwierało.

-- Czego ty chcesz? -- warknął.

-- Jedno chciałbym zrozumieć -- zaczął Zakrzewski, sięgając do wariantu numer dwa ustalonego wcześniej planu rozmowy. Najpierw ciekawość i coś na kształt podziwu, potem propozycja.

Nowy wampir z Bytowa milczał, czekając na ciąg dalszy.

-- Po co to robiłeś? Dla pieniędzy czy dla przyjemności?

Boński popatrzył na niego przekrwionym wzrokiem. Kropla krwi na rozciętym łuku brwiowym wreszcie zastygła, tworząc brzydkie wybrzuszenie.

-- Po co ci to wiedzieć? -- rzucił.

-- Po prostu chciałbym zrozumieć, dlaczego były policjant został takim zwyrodnialcem.

-- Gównu wiesz.

-- Tak? To mnie oświeć.

Boński spojrzał w kierunku innych policjantów, którzy, odkąd Marcin uwolnił mu szczękę, patrzyli na nich ciekawie, chociaż ni-

czego nie mogli usłyszeć. Przez kadłub samolotu przeszło drzenie, kiedy maszyna wpadła w drobne turbulencje.

-- Miałem długi do spłacenia -- odezwał się niechętnie Boński. Po tej niechęci łatwo było poznać, że mówi szczerze. -- A potem to mi się zaczęło podobać i była z tego niezła kasa. Odłożyłem tyle, że ty ze swojej policyjnej jałmużny nie zobaczysz takiej emerytury, choćbyś tyrał jeszcze dwieście lat.

-- I tylko tyle? Dla pieniędzy? A gdzie jakieś uczucia, zasady, człowieczeństwo?

-- A w przeszłości kat miał jakieś zasady, normy moralne? Zabijał, bo taka była jego praca. Jakże potrzebna praca, chociaż nikt nie doceniał jego poświęcenia. To też była praca, jak każda inna. Nikogo nie zabijałem.

Zakrzewskiemu podobała się jego wylewność.

-- A ten pijaczek, Madej?

Boński skrzywił się i cmoknął.

-- Byłem wkurzony, a on za dużo wiedział. W takiej niebezpiecznej pracy czasem zdarzają się wypadki.

-- Przecież nie jesteś głupi, Boński, musiałeś wiedzieć, że w razie kłopotów jesteś pierwszy do odstrzału.

Na twarzy więźnia pojawił się uśmiech, w którym nie było ani grama wesołości.

-- Nie miałem wyboru. Gdybym im nie pomagał, już bym nie żył.

Zakrzewski patrzył na niego, z trudem maskując pogardę. Tłumaczenie z gatunku tych, jakimi raczyli sądy hitlerowscy zbrodniarze. O rozkazach i zagrożeniu życia, gdyby ich nie wykonali. Tak naprawdę każdy ma wybór, zawsze jest inna droga, tylko trzeba chcieć ją dostrzec.

-- Będziesz mnie teraz umoralniał? -- zapytał Boński, wykorzystując jego chwilowe milczenie.

-- Nie, chciałbym ci zaproponować współpracę.

Na twarzy zatrzymanego po raz pierwszy zagościł szczerzy uśmiech zadowolenia. Marcin zrozumiał, że Boński spodziewał się takiej propozycji, a wręcz na nią czekał. Po to zbierał dowody i informacje, żeby wymienić je za własne życie w razie wpadki.

-- No, wreszcie przeszedłeś do rzeczy, kolego -- powiedział.

Zakrzewski zgrzytnął zębami na tego "kolegę", lecz znowu nic nie dał po sobie poznać.

-- Jeśli wskażesz nam organizatorów polowań na ludzi, prokuratura jest skłonna pójść z tobą na układ.

Boński nagle przerwał mu syknięciem i kręceniem głową.

-- Mnie nie interesują układy z prokuraturą -- powiedział pewny siebie. -- Nawet mi nie wyskakuj z obniżeniem wyroku o kilka lat, z przedterminowym zwolnieniem i innym takim pierdoleniem. Mnie interesuje najwyższa stawka. Rozumiesz?

-- Sprecyzuj.

-- Sprzedam wam szefów organizacji za wolność. Przekażę wam wszystko, co mam, a wy mnie wypuścicie i tak to zorganizujecie, że nigdy mnie u was nie było. Potem możecie mnie ścigać, ale najpierw dacie mi kilka dni na ucieczkę. W końcu chciałbym skorzystać z pieniędzy zarobionych ciężką pracą. -- Zaśmiał się chrapliwie.

-- J-jasne. Wysoko licytujesz. Ryzykowne, patrząc na to, w jakiej sytuacji teraz jesteś. -- Marcin wzruszył ramionami.

-- Nie pierdol, komisarzu. -- Głos Bońskiego stwardniał.

Teraz naprawdę wyglądał jak wampir, nieobliczalnie i bardzo groźnie. Być może gdyby nie łańcuchy, już by się rzucił na Zakrzewskiego. Jednak szybko się opanował.

-- Wiem, kto zorganizował polowania, wiem, kto polował, wiem, przez które spółki i fundacje przechodziła lewa kasa. Uczestniczyłem w krwawych orgietkach, które organizowali sobie bogaci i wpływowi ludzie. Był alkohol, dużo dragów, gwałty, poniżanie i bicie dziewczyn. Dwie czy trzy zostały nawet zakatowane na śmierć, sam paliłem ich zwłoki. Powiedzieć ci, kto z Prezydium Sejmu ma słabość do nieletnich prostytutek ze wschodu? Mogę wam dużo powiedzieć. Dlatego nie traćmy czasu. Wolność za informacje.

Zakrzewski przełknął żółć gromadzącą mu się w ustach.

-- W areszcie nie przeżyjesz dwóch nocy -- powiedział.

-- Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz -- warknął Boński. -- To jest ryzyko, które miałem wkalkulowane w to, co robiłem. Stukną mnie? To, kurwa, trudno. Nikt nie będzie płakał. No może ty i twoi koledzy, bo dalej będziecie w czarnej dupie. To jak, masz uprawnienia do negocjacji na takim poziomie? Bo jak nie, to spierdalaj i daj się zdrzemnąć.

Aresztowany przejął inicjatywę w tej rozmowie, ale Zakrzewski był z tego nawet zadowolony. Przynajmniej skończyło się słowne macanie i Boński powiedział na głos, jakie są jego warunki. Mieli inne wyjście? Pewnie tak. Mogli go torturować, nafaszerować skopola-

miną, znęcać się nad nim na sto innych sposobów, tylko po co? To nie było średniowiecze, a jego wolność była najwyższą ceną, jaką byli skłonni zapłacić. Za informacje. Tak wcześniej ustalili z prokuratorem Falewiczem. Boński był w sumie nieistotny. I tak kiedyś wpadnie. Ważne było to, co wie i czego próbkę Marcin właśnie usłyszał, kiedy wspomniał o zabawach posłów.

-- Dobrze, gwarantujemy ci wolność -- powiedział. -- Będiesz mógł pojechać, dokąd chcesz.

Boński starał się spojrzeć mu w oczy, żeby odczytać z nich, czy Zakrzewski mówi prawdę, czy blefuje. Wreszcie ich spojrzenia się skrzyżowały.

-- Co, kurwa, może chcesz z prokuraturą podpisać oficjalną umowę? -- parsknął Marcin.

Boński milczał jeszcze chwilę.

-- Nie -- powiedział wreszcie poważnie. -- Twoje słowo wystarczy, ale pamiętaj: jeśli mnie właśnie wystawiłeś, to ciebie pierwszego zabiję, kiedy nadarzy się okazja. A wierz mi, wiem, jak to się robi.

Znowu mierzyli się złymi spojrzeniami. Wreszcie policjant odezwał się lodowatym tonem:

-- Posłuchaj, Boński. Jesteś jednym z większych zwyrodnialców, jakich dane mi było spotkać przez dwadzieścia lat pracy w psiarni. Gdyby to ode mnie zależało, zamknąłbym cię w pierdlu, gdzie byś gnił do śmierci, nie widząc już więcej słońeczka. -- Zawiesił na moment głos. -- Ale mam świadomość tego, że jesteś tylko płotką. Zrobiłeś wiele obrzydliwych rzeczy, ale ciągle jesteś płotką. My chcemy zapolować na grubą rybę, dlatego potraktujemy cię jak plankton i odzyskasz wolność. Tylko pamiętaj: jak będziesz nas kiwał, to sam wpakujesz się potylicą na kulkę ołowiu.

Na twarzy wampira z Bytowa wykwitł nagle szeroki uśmiezek.

-- Pan komisarz chce pokazać, że ma jaja, jak widzę -- zakpił.

Zakrzewski nie skomentował. Wyciągnął nogi przed siebie, rozsiadł się na niewygodnym siedzeniu, założył ręce za głowę i patrzył w sufit. Boński też zamilkł. Upłynęła minuta, dwie, pięć, wreszcie aresztowany nie wytrzymał:

-- To co, umowa aktualna? -- zapytał.

Zakrzewski zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

-- A jednak ci zależy -- ironizował.

-- Pierdol się!

Policjant zerknął na zegarek.

-- No dobrze, nie mamy dużo czasu na te sympatyczne pogawędki. Niedługo będziemy w polskiej strefie powietrznej i warunki dla ciebie zdecydowanie się zmienią.

Boński mierzył go złym spojrzeniem. Nie wytrzymał i pokazał słabość, co teraz znowu próbował zamaskować obojętnością.

-- To jaki masz plan?

-- Tak jak mówiłem, w areszcie nie przeżyjesz dwóch nocy, dlatego nie lądujemy w Warszawie ani w Krakowie, tylko we Wrocławiu. Tam areszt mamy obstawiony. Przeżyjesz.

-- To tylko dwie noce... -- Boński się skrzywił. -- Trochę mało.

-- Dlatego potem zrobimy tak.

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski nachylił się nad wampirem z Bytowa i opowiedział mu, jaki jest plan. W miarę jak mówił, oczy tamtego otwierały się coraz szerzej ze zdziwienia.

* * *

Wrocław przywitał ich temperaturą nieprzekraczającą trzydziestu stopni. Zakrzewski przez ostatnie kilka dni narzekał na upały, ale teraz ulga była wyraźna. To był na razie tylko przedsmak piekła, z temperaturami jeszcze nadającymi się do życia. W cieniu hangaru wojskowego lotniska na Strachowicach przyglądał się ekipie technicznej kręcącej się wokół CASY, ale jego wzrok przyciągał inny widok. Czterech policjantów prowadziło Bońskiego do zaparkowanego w pełnym słońcu nieoznakowanego samochodu policyjnego. Obok stały jeszcze dwa radiowozy stanowiące obstawę konwoju. Kiedy wpychali Bońskiego na tylne siedzenie, ich spojrzenia jeszcze na moment się skrzyżowały. Było za daleko, żeby Marcin zauważył, co czaiło się w spojrzeniu bestii.

Po chwili podszedł do niego dowódca oddziału Łowców Głów, czyli Zespołu Poszukiwań Celowych przy wielkopolskiej komendzie wojewódzkiej. Najlepsi z najlepszych, skierowani do zespołu z różnych jednostek policji, kreatywni, doświadczeni, o różnych specjalizacjach. Ale przede wszystkim: cholernie skuteczni. Marcin wiedział, że współpracowali z Łowcami Cieni -- analogicznym zespołem z CBŚP -- tak jak przy słynnych poszukiwaniach Kajetana P. podejrzanego o zabójstwo nauczycielki z Warszawy. Jego dopadli na Malcie, Bońskiego na Cyprze. Tylko że tym razem w operacji na wyspie nie uczestniczyli już ci z Centralnego Biura Śledczego. Janek z kolegami załatwili wszystko sami.

-- Miło mi było cię poznać, Zakrzewski -- powiedział i wyciągnął do niego rękę na pożegnanie.

Marcinowi przeszkadzało, że znał jego personalia, tymczasem on nic o nim nie wiedział. Szybko się jednak z tym pogodził.

-- Nie mogłeś mnie poznać, przecież mnie tu nie było -- rzucił oschle, lecz mimo to mocno, po męsku, uścisnęli sobie dłonie.

-- Nie musisz mi tego przypominać. Zobacz, chłopaki już o tobie zapomnieli.

Rzeczywiście. Jego ludzie palili papierosy odwróceniem do nich tyłem, a mundurowi stali z boku i nie mogli dostrzec Zakrzewskiego w hangarze.

-- To dobrze. -- Pokiwał głową z aprobatą. -- Może jeszcze kiedyś się poznamy.

-- Też mam taką nadzieję. -- Janek odwrócił się i odszedł.

Może to była po prostu jego ksywa, a nie prawdziwe imię?

Kiedy odjechali, Marcin wyciągnął bezpieczny telefon, przesyłający sygnał do rozmówcy przez kilkadziesiąt serwerów w różnych częściach świata, a przez to trudny do namierzenia. Wybrał numer Falewicza. Prokurator odebrał po dwóch sygnałach, jakby czekał na to połączenie. I pewnie tak właśnie było.

-- Orzeł wylądował -- powiedział krótko Zakrzewski, starając się nie zwracać uwagi, jak idiotycznie to brzmi. Jakby się bawili w konspirację, opierając się na książkach Alistaira MacLeana. Może to było efektowne, ale czy skuteczne? Musiał przynajmniej wierzyć, że tak właśnie jest.

-- Okej -- rzucił krótko Falewicz. -- Na jutro rano ma transport do prokuratury w Warszawie.

-- Zrozumiałem.

-- Zakrzewski? -- Prokurator nagle urwał.

-- Tak?

-- Powodzenia.

-- J-jasne.

5

Prokurator Andrzej Falewicz odłożył telefon na stół i spojrzał na siedzącego naprzeciw niego czarnowłosego i opalonego na ciemny brąz mężczyznę. Ten przyglądał się mu z nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy.

-- Aż tak ci zależy, Falewicz? -- usłyszał pytanie, na które i tak nie zamierzał odpowiadać. -- Zaczynam, się martwić, że tu nie chodzi o sprawiedliwość, tylko o zemstę.

Prokurator przetarł dłonią zarośnięte policzki. W ostatnich trzech dniach zniknął gdzieś ten zawsze elegancki facet, a zastąpiła go gorsza wersja tamtego. Jakby kopia wydrukowana na drukarce 3D przy użyciu gorszych materiałów.

-- Przymknij się -- warknął, widząc, że skutą kajdankami mężczyzna znów otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

-- Trafiłem?

-- Chcesz usłyszeć moją radę? Skup się na sobie, bo jak na razie kiepsko ci idzie. Na razie jesteś bliżej pierdła niż Bali.

Tamten umilkł, mierząc go wściekłym spojrzeniem.

-- Pamiętaj, że mieliśmy umowę, prokuratoru. Jak mnie wykwasz, to ci łeb upierdolę przy samej dupie.

Falewicz nachylił się nad stołem.

-- Skup się na sobie, a nie na mnie.

Więzień zacisnął tylko usta, tłumiąc wściekłość, a prokurator wstał i podszedł do okna. Zaraz za bramą tego wybudowanego na uboczu domu szumiał las, gdzieś od strony wioski czekały psy. Przy bramie, w cieniu rozłożystej brzozy, siedział uzbrojony po zęby mężczyzna w kamizelce kuloodpornej. Dwóch jego kolegów czuwało gdzieś w innych punktach ogrodu. Prokurator czuł, że kurczy mu się czas. Miał dziwne przeświadczenie, że raczej prędzej niż później zabójcy trafią w to miejsce. A wtedy zagrożone było życie nie tylko więźnia, lecz także jego i tych ludzi na dole. Co prawda zgłosili się na ochotnika, byli dobrze wyszkoleni, ale czy naprawdę uświadamiali sobie zagrożenie? Byli gotowi oddać życie za tę sprawę, gdyby doszło do sytuacji kryzysowej. Nie chciał, żeby przez niego ktoś zginął. Może powinien ich zwolnić?

-- Dasz mi fajkę? -- Głos skutego mężczyzny wyrwał go z zamyślenia.

Zgarnął paczkę ze stołu, ale zamiast odpalić tamtemu, sam zapalił i znowu patrzył przez okno.

-- Hej! Kurwa, o co znowu chodzi? -- usłyszał zaraz protest.

-- Zamknij się! -- odwarknął. -- Muszę pomyśleć.

Nie było już odwrotu. Maszyna ruszyła. Niedługo w sieci pojawią się materiały z teczki Jaworka i nie tylko, okraszone odpowiednimi komentarzami. Nie wszystkie, stopniowo, żeby przez kilka dni podsycać ciekawość. "Ciekawe, czy ten redaktor naprawdę ma takie wejścia, żeby mu tego nie usunęli. Się zobaczy" -- pomyślał, ale wiedział, że bez szumu w mediach mogą sobie nie poradzić.

6

-- Kogo dzisiaj diabli nadali?

Starszy aspirant Irek Jodłowiec przeciągnął się, a potem zgasił peta butem i spojrzał w niebo. Znowu zapowiadała się słoneczna pogoda i temperatura w okolicach trzydziestu stopni. Jodłowiec lubił ciepło, ale nie kiedy miał się telepać w szoferce auta do Warszawy i z powrotem. Co z tego, że w nowych autach była klimatyzacja? Upał pozostawał upałem.

-- Nie było cię wczoraj, to nie wiesz. To jakaś gruba sprawa, gościa przywieźli z lotniska wczoraj, a na odprawie od razu szef zaplanował transport do prokuratury w Warszawie -- odpowiedział jego młodszy stopniem kolega Stasiek Kwas, zwany potocznie Kwaskiem.

-- Nikt nie wie, kto zacz.

Jodłowiec popatrzył na niego, wreszcie wzruszył ramionami.

-- Najwidoczniej gównu nas to powinno obchodzić -- skomentował. -- Zrozumiałeś, Kwasek?

Wozili razem "pokemony", czyli skazanych i aresztantów, już pięć lat. Kwasek był funkcjonariuszem, na którym można było polegać jak na Zawiszy, ale miał jedną wadę. Był cholernie ciekawski.

-- Tak jest -- padła niechętna odpowiedź.

Przerobiony na więźniarkę srebrny volkswagen crafter, najnowszy nabytek komendy wojewódzkiej, czekał już na podjeździe pod drzwiami na podwórzu aresztu śledczego przy Podwalu. Pozostali strażnicy więzienni z jego ekipy, łącznie z kierowcą, też kręcili się w pobliżu, wykonując ostatnie telefony, rozmawiając, paląc. Potem w czasie drogi obowiązywała ścisła dyscyplina, żadnych niepotrzebnych rozmów przy transportowanym więźniu, żadnych telefonów, żadnego żarcia ani picia. Tak przynajmniej było w teorii. Zwykle jednak pozwalali sobie na pewien luz.

Wysoki mężczyzna w czarnej koszulce, spranych dżinsach, z przydługimi, posiwiałymi blond włosami nadchodził właśnie od strony budki strażnika przy bramie.

-- Nadkomisarz Marcin Zakrzewski -- przedstawił się i wyciągnął w ich kierunku dłoń.

Przywitali się mocnymi uściskami.

-- W planach nie było asysty z wydziału kryminalnego -- powiedział niepewnie Jodłowiec i jeszcze raz zerknął na dokumentację transportu.

-- Już jest -- rzucił Zakrzewski. -- Ktoś na górze uznał, że jednak mogą być kłopoty.

-- Jestem dowódcą konwoju, nic o tym nie wiem.

-- Człowieku! -- Nadkomisarz wzruszył ramionami. -- A myślisz, że nam się chce jechać w tym upale do Warszawki? Kurwa, mamy ciekawsze zajęcia. Ale rozkaz to rozkaz. Dzwon do dyżurnego, bo szkoda gadania.

Jodłowiec popatrzył w kierunku zamkniętej bramy wjazdowej na podwórze aresztu śledczego, jakby chciał ją przeniknąć wzrokiem i zobaczyć nieoznakowane policyjne auto, które miało go konwojować.

-- A ilu was jest? -- zapytał.

-- Trzech.

Kwasek patrzył ciekawie, jak aspirant Jodłowiec wchodzi jeszcze raz do budynku aresztu śledczego. Przez uchylone drzwi na dyżurkę widział, że gdzieś dzwoni. Tymczasem policjant stał z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni i obserwował nieliczne białe obłoki na niebie. Na koszulce miał zapięte szelki, a spod pachy wystawała mu rękojeść walthera w kaburze. Obstawy policjantów z wydziału kryminalnego nie była niczym nowym, ale zdarzała się rzadko. Tylko kiedy konwojowali wyjątkowo groźnych przestępców albo była cyna, że może być próba odbicia więźnia. Z tym że wtedy zazwyczaj jechały dwa radiowozy pełne obstawy albo transport obstawiali czarni w pełnym rynsztunku. Jedno auto się nie zdarzało.

-- Kurwa, szybciej, bo już mi nogi w dupę weszły -- jęknął wysoki policjant, ruszając w kierunku dyżurki.

W tej chwili Jodłowiec wyszedł na słońce i poczekał, aż tamten się zbliży.

-- W porządku -- powiedział pojednawczym tonem. -- Zmiana w ostatniej chwili. Co to za pokemon?

-- Po co ci to wiedzieć? -- Nadkomisarz wzruszył ramionami.

-- Zdałoby się -- rzucił Kwasek, lecz w jego głosie zabrzmiała niepewność.

Najwyraźniej jeszcze nie wyrobił sobie opinii o policjancie. W Jodłowcu Zakrzewski wzbudził zaufanie od pierwszej chwili, chociaż rzadko się zdarzało, żeby komuś w randze nadkomisarza chciało się samemu jechać w konwoju. Nawet nie rzadko. Takie sytuacje nie zdarzały się nigdy. Ten policjant był jakiś inny.

-- To gdzie jest ten pokemon? -- zapytał nadkomisarz.

Wzmianką o pokemonach kupił zaufanie Kwaska. Nic jednak więcej nie powiedzieli, ponieważ koledzy ze straży więziennej przyprowadzili więźnia. Jakub Boński nie wyglądał najlepiej, miał mocno podkrążone oczy i był blady, jakby charakteryzator przypudrował go do roli w *Wywiadzie z wampirem*. Pewnie nie spał za wiele. Bał się, że w trakcie snu przypadkowo popełni samobójstwo, wieszając się na zrolowanym prześcieradle. Przecież takie rzeczy się już zdarzały. Po chwili procedury przekazania i odbioru więźnia się zakończyły, podpisy na dokumentach się zgadzały i transport mógł ruszyć.

Paka craftera podzielona była na dwie części. Klatki, jak nazywali to w swoim żargonie funkcjonariusze. Więzień podróżował w tylnej części auta, gdzie prócz tylnych drzwi była jeszcze krata. Dwóch konwojentów wchodziło bocznymi drzwiami do drugiej klatki, siadali zaraz za szoferką tyłem do kierowcy i obserwowali delikwenta. Dowódca konwoju zamykał wszystkie zamki, a klucze dołączał do kluczyków do auta i oddawał je kierowcy. Sam siadał obok niego. Wszystko poszło sprawnie, jak zawsze.

Zakrzewski podszedł jeszcze do Jodłowca.

-- Jakby był problem, mamy opracowany wariant B trasy -- oznajmił.

-- Dobra, to prowadź -- rzucił aspirant, niezadowolony, że jeszcze nie może zamknąć szyby i oddać się zimnym nawiewom z klimatyzacji.

Zagrał silnik i crafter potoczył się w kierunku bramy. Tu też musieli przejść procedurę, zanim wreszcie stalowe wrota się uchyliły i mogli opuścić teren aresztu. Zatrzymali się przy policyjnym radiowozie. Zakrzewski zamienił kilka słów z kierowcą i nieoznakowany radiowóz pojechał przodem. Gdy stali w porannych korkach, kierując się na obwodnicę śródmiejską, a potem na S8 w kierunku na Warszawę, Jakub Boński odchylił głowę do tyłu, jakby spał. I chyba naprawdę się zdrzemnął, bo po jakimś czasie głowa opadła mu na piersi.

Konwojenci obserwujący aresztowanego najpierw chwilę porozmawiali półgłosem, a potem zamilkli i ich też dopadła senność. Ziewali, tarli oczy, klęli, wreszcie jeden nie wytrzymał i też zamknął powieki. Tak mijały najpierw minuty, potem kwadransy, wreszcie godzina z kawalkiem.

Kierowca pewnie prowadził więźniarkę, ciągle klęcząc na jadących z przodu kryminalnych, że mogliby się trochę pospieszyć. Aspirant

Jodłowiec nawet napomknął im o tym przez radio i odtąd tempo podróży troszkę wzrosło, choć to i tak nie powstrzymało fali przekleństw. W pewnej chwili krótkofalówka zatrzeszczała i znowu zgłosił się kierowca radiowozu.

-- Co jest? -- rzucił nieregulaminowo Jodłowiec.

-- Mamy informację na kanale policyjnym, że kilka kilometrów przed nami był wypadek i trasa jest zablokowana.

-- Masz jakiś pomysł? -- zapytał aspirant.

-- Wariant B trasy -- rzucił tylko tamten. -- Zjedziemy z S8 na najbliższym zjeździe, za dwa kilometry, i objedziemy korek.

-- Jeszcze tego brakowało, będziemy się ciągnąć bocznymi drogami -- mruknął kierowca craftera, okraszając na końcu wypowiedź kolejną wiązką.

Niedługo potem policyjne auto zjechało na pas do skreću i jeszcze bardziej zwolniło. Kierowca volkswagena omal nie wjechał im w tyłek. Po tym zdarzeniu trzymał się na dystans i już nic nie mówił. Tempo nadal mu nie odpowiadało, chociaż teraz miało swoje uzasadnienie. Jechali przez lasy i jakieś pipidowy, których nazw nawet nie czytał, bo i tak by nie zapamiętał. Nagle, kiedy znaleźli się na długiej, pustej prostej przez las, radiowóz przed nimi włączył awaryjne, zjechał na pobocze i zaczął zwalniać. Jodłowiec chwycił zaraz za radiostację.

-- Halo, co się dzieje? -- zapytał.

-- Coś nam, kurwa, pod maską stuka -- padła szybka odpowiedź Zakrzewskiego. -- Zatrzymamy się na moment.

Aspirant Jodłowiec przewrócił oczami. Według procedur nie mogli się zatrzymywać w drodze do punktu docelowego. Taka sytuacja była dopuszczalna tylko w wyjątkowych wypadkach, a i tak wtedy musieli jechać do najbliższej jednostki policji. Tylko panowie z kryminalnej, jak widać, w dupie mieli procedury, a on nie miał na to wpływu.

Zatrzymali się, otworzyły się tylne drzwiczki radiowozu, wysiadł Zakrzewski i ruszył w ich kierunku. Zanim dowódca konwoju zdążył się zastanowić, dlaczego kierowca tamtego auta nie wysiada i nie zagląda pod maskę, nadkomisarz szarpnął już za drzwi i otworzył je na całą szerokość. Jodłowiec spojrzał na niego i przez chwilę myślał, że uczestniczy w jakimś żarcie i to się nie dzieje naprawdę. Zakrzewski celował do niego z walthera, a na jego twarzy wcale nie było uśmiechu, tylko determinacja.

-- Ręce do góry! -- powiedział ostro. -- Ręce! Żadnych gwałtownych ruchów!

Zanim dobrze skończył to mówić, z auta wyskoczyły jeszcze dwie osoby w kominiarkach, również uzbrojone w pistolety. Jodłowiec otworzył szeroko usta w bezgranicznym zdumieniu, podczas gdy tamta dwójka wyciągała już z szoferki kierowcę i rozpląszczała go na asfalcie. W następnej sekundzie zostawili go rozbrojonego z rękami skutymi na plecach.

-- Ręce, bo przestrelę ci kolano! -- Broń Zakrzewskiego skierowała się odrobinę w dół.

Jodłowiec dopiero teraz się przestraszył i wolno uniósł dłonie. Tylko że strzał w kolano ciągle wydawał mu się abstrakcją z rodzaju tych, co to się nigdy nie zdarzają. Bardziej bał się konsekwencji. Przecież wywałą go ze służby więziennej za złamanie procedur. Gównu ich będzie obchodzić, że więźnia odbił policjant.

Zakrzewski doskoczył do niego, chwycił za mundur na piersiach i jednym ruchem wyciągnął ze środka. Aspirant poleciał w przód, tracąc równowagę i ryjąc twarzą o pobocze, na jego szczęście porośnięte trawą. Całe zajście trwało sekundy. Kiedy Jodłowiec leciał na morde, trzeci z napastników wyjmował już kluczyki ze stacyjki, a zanim dobrze wyhamował z ustami pełnymi trawy i rozbitymi wargami, już otwierali boczne drzwi do konwojentów. Jodłowiec modlił się w myślach, żeby żadnemu nie przyszło do głowy zgrywać bohatera.

Rozległy się krzyki i obaj konwojenci pod lufami pistoletów wolno wysiadali ze środka, jakby otumanieni tym, co się działo.

-- Na kolana! -- krzyczał do nich ochryple jeden z tych zamaskowanych.

Pierwszy konwojent spełnił jego żądanie i natychmiast przypadł do niego drugi z zamaskowanych, żeby go rozbroić i skuć. I wtedy niestety ten cholerny Kwasek, wścibska menda, postanowił jednak zginać jak bohater, czyli totalnie bezsensownie. Wykorzystał chwilę nieuwagi drugiego z napastników albo to, że ten naprawdę nie chciał mu zrobić krzywdy, odepchnął go i wyciągnął broń. Jodłowiec miał krzyknąć do niego, żeby tego nie robił, ale on już podniósł pistolet, celując w napastnika stojącego przy klęczącym koledze, i nacisnął na spust.

Huk wystrzału zabrzmiał jak uderzenie pioruna. Kula przeszła napastnikowi przez udo, zbijając go z nóg. Aspirantowi wydawało

się, że widzi rozbryzg krwi, kiedy pocisk przeszywał ciało. Zanim ten cholerny idiota, Kwasek, ponownie nacisnął na spust, Zakrzewski był już tuż za jego plecami, zbił mu broń uderzeniem pięści, a potem podciął mu nogi potężnym kopnięciem. Kwasek upadł na bok, waląc głową o skraj asfaltu, aż zadudniło. Popłynęła krew z rozbitej głowy, a Kwasek przewalił się z jękiem na plecy i tak znieruchomiał z zamkniętymi oczami. Jego pierś wciąż unosiła się w oddechu, więc żył i pewnie tylko na chwilę stracił przytomność. Zakrzewski podskoczył do rannego, pomógł mu wstać i wymienili kilka szybkich zdań, lecz zbyt cicho, żeby Jodłowiec mógł ich usłyszeć.

Cała akcja trwała raptem parę sekund, które wydawały się ciągnąć jak na zwolnionym filmie. Zakrzewski z drugim napastnikiem podskoczyli do Jodłowca, przykuli jego kajdanki do kajdanek nieprzytomnego Kwaska, potem szybko to samo zrobili z kierowcą i drugim konwojentem. Wreszcie wszystkich czterech wśród okrzyków bólu i przekleństw zepchnęli do rowu. Płatanina rąk, nóg i głów wpadła do płytkiej wody i jeszcze do tego rozległy się kolejne okrzyki bólu, gdy jeden upadał na drugiego. I to by było na tyle. Strażnicy więzienni byli w takiej sytuacji, że z nieprzytomnym Kwaskiem trudno im się było z tego rowu wygrzebać, nie mówiąc już o pościgu czy zawiadomieniu policji.

-- Klucze! -- krzyknął Zakrzewski.

Drugi z napastników rzucił mu kluczyki do więźniarki, z którymi spięte były klucze do krat i drzwi z tyłu, i pobiegł za utykającym kolegą, który był już w połowie drogi do radiowozu. Pomógł mu wskoczyć do środka i zaraz odjechali z piskiem opon.

W tym samym momencie zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka, a za nią sznur osobówek. Po chwili już mijała craftera. Marcin się trochę spał, lecz sznur aut minął go płynnie i zniknął w oddali. Skuci strażnicy nie ogarnęli się jeszcze nawet na tyle, żeby wystawić głowy z rowu. Wskoczył na siedzenie kierowcy, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

Trzy kilometry dalej skręcił w leśną drogę i po kilkuset metrach zatrzymał się na leśnym parkingu, gdzie czekał już na niego drugi samochód. Wysiadł, rozejrzał się, potem podszedł do tylnych drzwi więźniarki i je otworzył. Jakub Boński spojrzał na niego ciekawie zza kraty. Po ustach błędził mu tajemniczy uśmiezek. Zakrzewski nie zapytał go nawet, dlaczego mu tak wesoło. Otworzył kratę, a potem rozpiął więźniowi łańcuch spinający go z uchwytami auta.

-- A kajdanki? -- zapytał Boński.

Zakrzewski nie odpowiedział, tylko pociągnął go za skute w nadgarstkach ręce. Boński poleciał do przodu i omal się nie przewrócił.

-- Pojebało cię? -- krzyknął.

-- Na zdjęcie kajdanek się nie umawialiśmy -- rzucił Marcin, sięgając pod boczną ramę auta od strony pasażera. Kluczyki do starego opła vectry były na swoim miejscu.

-- Przesiadka -- powiedział.

-- Daj się chociaż odlać.

Marcin podszedł do Bońskiego, wyciągnął broń i przyłożył mu do skroni.

-- Do samochodu -- warknął. -- Tu się teraz liczy czas, rozumiesz? Więzień podniósł skute ręce, jakby w pojednawczym geście.

-- Dobra, coś taki nerwowy?

Wsiadł na siedzenie pasażera. Marcin rzucił mu kluczyki do kajdanek i kazał mu się przypiąć do uchwytu nad drzwiami. Pod groźbą broni Boński wykonał polecenie bez szemrania.

-- Tylko nie miej mi za złe, jak się zleję -- powiedział, kiedy Marcin usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

-- Trzeba było tyle nie pić.

Nie pojechali z powrotem do głównej trasy, tylko dalej w las. Po kilku minutach dojechali do gruntowej drogi, Marcin skręcił w lewo i za jakiś czas wyjechali na wąską dziurawą asfaltówkę prowadzącą do małej wsi mającej w oddali. Kiedy jechali, Boński spojrzał na niego trochę inaczej.

-- Słyszałem strzał -- odezwał się.

-- Dobrze słyszałeś.

-- Kłopoty? Zmartwiłem się.

Nadkomisarz rzucił na niego okiem. Naprawdę wyglądał, jakby się zmartwił, dlatego odpowiedział mu po dłuższej pauzie.

-- Jeden kretyn postrzelił mi człowieka.

-- Żyje?

-- Tak.

Później milczeli. Za wioską droga robiła się trochę szersza i Marcin mógł wcisnąć mocniej pedał gazu. Liczyła się każda minuta. Wszystko było obliczone tak, że kiedy pościg ruszy, oni będą już poza obszarem obławy. Tylko plany miały to do siebie, że nie zawsze się udawały, więc po co było kusić лихо?

Redaktor Krzysztof Salitra pociągał e-papierosa i zastanawiał się, dlaczego facet zarządzający największą fabryką trolli w kraju i zarabiający setki tysięcy złotych mieszkał w takim syfie. Jakby chciał idealnie wpasować się w tandetny schemat genialnego hakera utrwalany przez filmy i książki. Pokój był niesprzątany od tygodni, na parapecie okna piętrzyły się puste pudełka po sushi i pizzy, do kuchni nie zaglądał, a do toalety by nie poszedł, nawet gdyby mu oferowali za to niezłe pieniądze.

Młody mężczyzna, najemca lokalu, którego personaliów Salitra nie znał i póki co nie chciał znać, patrzył na niego drwiąco, jakby zgadywał, o czym tamten teraz myślał. Miał ksywkę "Niki" i to zupełnie wystarczyło do robienia interesów. Salitra miał mu zapłacić, ale na hasło "obalamy rząd" Nikiemu zapaliły się oczy i nie chciał od redaktora żadnych pieniędzy za akcję swoich trolli, za którą płacili grube dziesiątki tysięcy. A i tak nie zawsze Niki miał czas i ochotę i niekiedy odsyłał z kwitkiem nawet klientów z kieszeniami wypchanymi gotówką w euro. W tym środowisku anarchistyczne i oportunistyczne poglądy ciągle święciły triumfy i trafiały do świadomości młodych ludzi, którzy je tworzyli. Pewnych rzeczy nie zrobiliby za grube miliony, bo były niezgodne z ich poglądami, a inne robili za darmo tylko dla zabawy.

Niki, mężczyzna wyglądający jak dwudziestopięcioletek, wstał zza swojego zespołu komputerowego przypominającego kabinę kosmicznego wahadłowca, podszedł do stolika przy ścianie i wciągnął jedną z kilku uformowanych tam kresek. Po chwili oczy mu zabłysły jak latarnie, a senność i znużenie gdzieś odeszły. Ciekawe, jak długo już tak funkcjonował. Salitra zadał sobie nawet takie pytanie, lecz po chwili przyszła refleksja. Nieważne, jak długo funkcjonował. Dla niego najważniejsze było, jak długo będzie jeszcze funkcjonował. Znowu zaciągnął się dymem.

-- Po co palisz to świństwo? -- zapytał go Niki.

-- A ty po co wciągasz to białe gówno? -- odpowiedział pytaniem redaktor.

-- To nie gówno, tylko boski proszek, ale co taki wapniak jak ty może o tym wiedzieć?

No właśnie. Co Salitra o tym wiedział? Niewiele.

-- Do rzeczy, Niki, na jakim etapie jesteśmy?

Haker obdarzył go najśłodszym z możliwych uśmiechów.

-- Obalamy rząd! -- wykrzyknął i uniósł zaciśniętą pięść. -- Goniśmy tych socjalistyczno-kapitalistycznych, narodowosocjalistycznych, katolickich skurwysynów. Niech żyje anarchia.

Salitra przewrócił oczami.

-- Daruj sobie, młody człowieku, powinieneś już wyrosnąć z tej dziecinady.

-- Ty w młodości miałeś *sex, drugs and rock and roll*, a teraz kręcisz nosem na zwykłe: "niech żyje anarchia!""? -- Niki wyszczerzył do niego zęby w szerokim uśmiechu.

-- Masz rację. -- Salitra wzruszył ramionami. -- Co mnie to obchodzi? Róbta, co chceta, jak to mówi ten od Towarzystwa Przyjaciół Chińskich Ręczników.

-- Kto? -- Niki nie zrozumiał.

-- Nieważne. -- Salitra machnął ręką. -- Co teraz mamy?

-- Pięknie mamy -- ożywił się haker. -- Twój wstępny materiał opublikowaliśmy na wszystkich większych niezależnych portalach. Od skrajnej prawicy do wielbicieli towarzysza Lenina, przez antyglobalistów, antyszczepionkowców, fanatycznych czcicieli Jezusa i Maryi zawsze dziewicy oraz ich najgorętszych przeciwników, czcicieli szatana i miłośników najdurniejszych teorii spiskowych świata.

Salitra pokiwał głową z zadowoleniem. Krótki artykuł pisał kilka godzin. Każde słowo musiało być przemyślane i odpowiednio dobrane. Na początek puścił tylko plotkę o tym, że w kaszubskich lasach od wielu lat elita się bawi, zabijając ludzi. Poza tym tworzą coś w rodzaju grupy wsparcia, mają sieć powiązanych ze sobą firm, fundacji, stowarzyszeń, przez które wpływają na politykę i biznes. Szczegóły, czyli nazwy firm, powiązania i niektóre nazwiska, miały ukazać się w następnym artykule. Oczywiście każdy artykuł był trochę inny. Na portalach prawicowych Salitra kazał opublikować tekst, w którym o te działania oskarża lewicę i komunistów. Na portalach lewicowych takie same oskarżenia wysuwał pod adresem skrajnej prawicy. Narodowców szczuł na antyglobalistów, antyszczepionkowców na środowiska religijne i tak dalej. Chodziło o to, żeby zasiać jak największy ferment od lewa do prawa, z góry i z dołu. Na razie pięknie wszystko wyszło dzięki nielegalnej fabryce trolli zarządzanej przez Nikiego. Prawie trzystu trolli, z czego każdy zarządzał kilkuset fikcyjnymi kontami, na setkach portali zaczęło te materiały komentować, dyskutować, pluć na władzę, siać ferment, dodatkowe oskarżenia,

kolportować materiał w formie dziesiątek komentarzy na największych portalach informacyjnych w kraju. Nie minęło kilka godzin, a przedsięwzięcie stało się samograjem. Dołączali zwykli użytkownicy internetu, komentując i udostępniając znajomym. Do tego doszły jeszcze Facebook, Instagram i inne media społecznościowe, których Salitra z racji wieku już za bardzo nie ogarniał.

Niki był bardzo dumny, kiedy mu o tym wszystkim opowiadał. Zresztą Krzysztof sam nie spodziewał się, że to się tak szybko rozędzie i zacznie żyć własnym życiem.

-- I na koniec najważniejsze. -- Haker patrzył na niego, szczerząc zaniedbane zęby.

-- No mów, cholera -- zniecierpliwził się dziennikarz.

-- Mam znajomego w tej prawicowej partii, co to zdobyła kilka procent w poprzednich wyborach i dostała się do sejmu. Tam jest kilku lekkich i cięższych oszołomów i wyobraź sobie, że jeden z nich tak się przejął, że zwołał na jutro konferencję prasową, żeby porużyć ten problem i dopierdolić politycznym przeciwnikom.

Salitra gwizdnął.

-- No, no, Niki, może faktycznie obalimy rząd. -- Salitra też wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

-- Ja w to nie wątpię.

Dwie godziny później Salitra parkował na warszawskim Ursynowie. Po chwili Nikodem Węglarz wysiadł ze swojego czarnego bmw zaparkowanego kilkanaście samochodów dalej i przesiadł się na siedzenie pasażera fordą Krzysztofa. Minę miał nieszczególną i Salitra wcale się mu nie dziwił. Nawet nie uścisnęli sobie dłoni, ale tylko dlatego, że Nikodem był tak przejęty, że po prostu o tym zapomniał.

-- Jak ty to zrobiłeś, Krzysiek? -- zagaił.

-- Nie kompromituj się, Nikodem -- zachnął się Salitra. -- W taki sam sposób, w jaki działają trolle Putina, wychwalając Rosję, w taki sam sposób, w jaki partia rządząca chce dopieprzyć liderowi opozycji i vice versa. Przecież wiesz, jak to się robi. W końcu twój portal jako pierwszy zlikwidował możliwość komentowania artykułów.

-- Wiesz, że nie o to mi chodzi. -- Tym razem zachnął się Węglarz. -- To kosztuje fortunę.

-- Trafiłem na idealistów. Obiecałem im tylko, że obalimy wspólnie rząd.

Nikodemowi nie było do śmiechu. Zmierzył kolegę poważnym spojrzeniem i się zamyślił.

-- Wiesz, że może wam się udać? -- zapytał w końcu. -- Słyszałeś o jutrzejszej konferencji prasowej?

-- Słyszałem. -- Salitra nie zdołał ukryć zadowolenia.

-- Wyśmieją go i zjadą, ale dzięki temu temat trafi do mainstreamu i już nie będzie można go zatuszować. I jak ja mam na to zareagować?

-- Adekwatnie.

-- Nie pierdol, Salitra! -- Węglarz był naprawdę zmieszany i zły.

Krzysztof wyjął e-papierosa, pociągnął i spoważniał.

-- Powiem ci więcej, Nikodem. On i jego partia złożą oficjalną interpelację do Ministra Spraw Wewnętrznych, żeby odniósł się do sprawy polowań na ludzi i ujawnił, co o tym wie.

-- A dożyje do jutra? -- To miał być dowcip, lecz ostatecznie pytanie nie okazało się dowcipem.

-- Tak. Wyobrażasz sobie zabójstwo posła? Przecież od razu byłoby wiadomo, że to jest powiązane z konferencją i interpelacją. Dziesięć razy większa afera w kilka godzin. A tak, ktoś będzie miał jeszcze dzień albo dwa na opracowanie strategii obrony albo ucieczkę z kraju.

-- Myślisz, że aż tak?

-- Tak -- przyznał twardo Salitra. -- Dziś w nocy wielu bogatych i wpływowych ludzi będzie cierpiało na bezsenność. A jutro ujawnię część z nich. Pojadę po nazwiskach.

Węglarz przetarł dłonią twarz.

-- Kurwa mać -- jęknął. -- Co ja mam z tym zrobić?

-- Ty jeden wiesz o interpelacji poselskiej. Jak zaczniesz oficjalnie o tym pisać, to z tych największych redakcji będziesz pierwszy. A ja ci zapewnię stały dostęp do informacji dużo wcześniej, niż dostaną je inni. Co ty na to?

-- Muszę porozmawiać z redakcją. To duże ryzyko.

-- Czyli wciąż uważasz mnie za wariata.

-- Nie, Salitra. -- Nikodem wyprostował się gwałtownie. -- Po prostu mam za dużo do stracenia. Ty jesteś outsiderem i niczego nie firmujesz swoim nazwiskiem.

-- Do czasu. -- Posłał mu cyniczny uśmiech. -- Ja też marzę o naszym krajowym odpowiedniku Pulitzera.

-- Nich cię szlag trafi!

8

Śmigłowiec wylądował na łączce zaraz za lasem, około kilometra od miejsca zdarzenia. Ze środka wyskoczyło dwóch mężczyzn w ciemnych marynarkach. Rozejrzeli się, a potem skierowali w stronę drogi, gdzie stało zaparkowane policyjne auto. Kierowca w randze starszego posterunkowego wyprężył się na ich widok trochę niezdarnie. Oni jednak nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi, tylko do razu zapakowali się na tylne siedzenie. Posterunkowy sprawnie zawrócił na wąskiej drodze i pomknął na bombach w kierunku lasu.

-- Wyłącz tę dyskotekę -- warknął starszy z tak posiwiałymi włosami, że zupełnie nie dało się zgadnąć, jaki kolor miały jeszcze kilka lat temu.

-- Tak jest!

Równocześnie z wyłączeniem kogutów funkcjonariusz zwolnił i się odprężył, jakby padła komenda "spocznij". Dotarli na miejsce, zanim zdążyli zamienić słowo. Radiowóz zatrzymał się na środku drogi zablokowanej przez inne policyjne auta, wysiedli energicznie, a potem trzasnęli prawie równocześnie drzwiami po dwóch stronach. Zaraz podszedł do nich młodszy aspirant z komendy rejonowej, na której terenie doszło do zdarzenia.

Przedstawili się. Ten starszy, posiwiały był inspektorem Centralnego Biura Śledczego Policji i nazywał się Janusz Kowalik, a drugi przedstawił się jako komisarz Pawelec z BSW, nie wymieniając imienia. Same nazwy policyjnych instytucji, które reprezentowali, podziałały na lokalnego policjanta bardzo skutecznie, ponieważ zbladł i stracił dużo na pewności siebie. Nawet głos mu drżał, kiedy się przedstawiał.

-- Młodszy aspirant Waław Rumień.

Uścisnęli sobie dłonie.

-- Gdzie oni są? -- zapytał zaraz Kowalik, nawet na niego nie spojrzawszy.

-- Tam. -- Młodszy aspirant wskazał dłonią funkcjonariuszy służby więziennej, którzy palili papierosy przy fordzie transporterze w barwach policji. Wyglądali jak stado przestraszonych kundli zamkniętych w nowym schronisku dla psów.

Dwaj oficerowie z Warszawy od razu poszli w ich kierunku. Papierosy natychmiast poleciały do rowu, a oni odruchowo też się wy-

prężyli, jakby mieli stanąć do raportu. Jeden z nich miał zabandażowaną głowę i niezbyt przytomne spojrzenie.

Od porwania więźniarki upłynęło już prawie cztery i pół godziny. Zaraz jak tylko zdołali wygramolić się z rowu, strażnicy wezwali pomoc. Lokalny komisariat policji stanął na wysokości zadania. Został ogłoszony alarm i w ciągu godziny zablokowano główne drogi w regionie. Poza tym w teren wyruszyły dodatkowe patrole, obsługa monitoringu miejskich w okolicznych większych miastach miała zwracać uwagę na wszystko, co wydawało się podejrzane. Już po kilkunastu minutach znaleziono volkswagena craftera zaparkowanego na leśnym parkingu, używanym tylko przez robotników leśnych, ewentualnie grzybiarzy w sezonie. Nie wiadomo, jakim samochodem uciekinierzy pojechali dalej. Dlatego Kowalik i Pawelec, którzy przejęli zaraz dowodzenie pościgiem, nie liczyli na wiele. Pogodzili się już z tym, że więzień uciekł, ale przecież doskonale wiadomo było, kto mu w tej ucieczce pomógł. I nawet się z tym nie krył. Miał oficjalne dokumenty na konwojowanie zatrzymanego. Nadkomisarz Marcin Zakrzewski, znany w kraju śledczy, który rozwiązywał już głośne sprawy i jak dotąd miał nieposzlakowaną opinię. Nikt się nie spodziewał, że odwali taki numer. Tak naprawdę nikt w to nie wierzył, nawet nowi dowódcy obławy, zanim nie porozmawiali przez radio ze starszym aspirantem Jodłowcem. On był pewien, że to był Zakrzewski, któremu pomagały dwie zamaskowane osoby.

Inspektor Kowalik podszedł do Kwaska i przyjrzał się jego zabandażowanej głowie.

-- Jak się czujesz? -- zapytał, lecz w jego głosie nie było nawet cienia troski.

-- Dobrze -- odpowiedział młody funkcjonariusz, nie dostrzegając tego.

Może naprawdę tak przywalił łbem w asfalt, że ciągle miał problem z określeniem swojego położenia w czasoprzestrzeni.

-- Opowiedz mi jeszcze raz, jak postrzeliłeś jednego z napastników -- powiedział inspektor.

Kwasek zdał relację ze zdarzenia w taki sposób, jakby nieudolnie starał się opisać je w raporcie, a nie miał zbyt wielkiego talentu do literki. Jednak zrobił to na tyle rzetelnie, że rozwiał wszelkie wątpliwości śledczego.

-- Jak oceniasz rannego? -- dopytał.

-- To znaczy? -- Kwasek uniósł brwi, a jego dowódca konwoju ze wstydu próbował rozpląnąć się w powietrzu, schowany za plecami kolegów.

-- Normalnie, kurwa! -- Kowalik w jednej chwili stracił panowanie nad sobą. -- Padł, wstał, żyje czy może już się wykrwawił gdzieś w lesie?

Wybuch policjanta z CBŚP kompletnie rozkojarzył Kwaska. Z trudem składał zdania, opowiadając, co się stało.

-- Więc sam doszedł do samochodu?

-- Nie, ten drugi go odprowadził.

-- Gdzie go trafiłeś?

-- Już mówiłem, w udo.

-- Na pewno? Ktoś to widział?

Kowalik spojrzał na kolegów Kwaska, którzy gorliwie pokiwali głowami. Tylko Jodłowiec na niego nie patrzył, ciągle starał się być niewidzialny. Inspektor nagle poczuł się jak wtedy, gdy oglądał *Kilera* Machulskiego w kinie. Śmiał się z nieudolności funkcjonariuszy, kiedy Friedmann z kolegami przejmował aresztowanego. Teraz widział analogie do tamtej sceny i wcale nie było mu do śmiechu.

-- Gdzie stał, kiedy do niego strzeliłeś?

-- Tam. -- Kwasek podniósł rękę. -- Pokazywałem już technikom.

Kowalik się odwrócił. Miejsce było odgródzone taśmami. Trzech techników na kolanach badało każdy centymetr asfaltu, czemu z zainteresowaniem przypatrywał się komisarz Pawelec. Po chwili technik pokazywał mu miejsce, gdzie pocisk zrykoszetował o asfalt i odleciał w siną dal. Najważniejsze było jednak to, że znaleźli i zabezpieczyli ślady krwi. Drobne kropelki, które rozpalony kawałek ołowiu wyrwał, przechodząc przez mięśnie. Inspektor uśmiechnął się z triumfem. Na razie wszystko szło nie najgorzej: wiedzieli, kto był głównym sprawcą, a teraz dzięki śladom krwi znajdą drugiego. A i trzeci też zaraz wpadnie. Już myślał, jak go znaleźć.

-- Dobra robota -- pochwalił techników. -- Wyślijcie krew do analizy do laboratorium w Warszawie.

-- Nie -- wtrącił się nieoczekiwanie komisarz Pawelec. -- Najbliżej jest Wrocław, tam też jest dobrze wyposażone laboratorium, zaoszczędzimy kupę czasu.

Kowalik nie miał argumentów, żeby się z nim nie zgodzić.

-- Dobrze, jedźcie z tym do Wrocławia.

Na tym ten temat się zakończył, ponieważ odezwał się telefon Kowalika. Odebrał i w milczeniu słuchał raportu. Blokady na razie nie przyniosły rezultatu, ale istniała uzasadniona obawa, że zostały ustawione zbyt późno. Zmienili auto, nikt nie wiedział na jakie, więc monitoringi też na nic się zdały. Po chwili Kowalik sam telefonował do swoich ludzi. Tu informacje były o wiele bardziej obiecujące. Partnerem w pracy nadkomisarza Zakrzewskiego była starsza aspirant Karina Buczko, która od kilku dni przebywała na urlopie. Zgodnie z tym, czego zdołał się dowiedzieć jego człowiek, łączyły ją z Zakrzewskim nie tylko więzy służbowe. Poza pracą przyjaźnili się, o czym wiedzieli wszyscy w wydziale. Mimo kolejnych telefonów, jakie potem wykonał inspektor, ta Buczko była najbardziej obiecująca. Skinął na Pawelca, wsiedli do radiowozu i pojechali do śmigłowca czekającego na łączce.

-- Kim był ten cholerny Jakub Boński? -- zapytał po drodze Kowalik.

-- Nowy wampir z Bytowa. -- Pawelec był wyjątkowo spokojny, jakby niczym się nie przejmował. -- Nie słyszałeś o nim w telewizji?

-- Coś słyszałem, a szczegóły?

-- Trzy miesiące temu został namierzony przez specjalną tajną grupę wyodrębnioną w warszawskim oddziale kryminalnym. Niestety, nie udało się go zatrzymać. Zbiegł za granicę. Podejrzewamy go o kilkanaście zabójstw młodych kobiet w ciągu ostatnich dziesięciu lat. W miejscu, gdzie działał, policja znalazła beczki z kwasem oraz piec, a w środku spalone ludzkie szczątki. Utylizował zwłoki, zwyrodnialec.

-- To jak znalazł się w więźniarce?

-- Daj mi skończyć.

Rozmowę dokończyli, przekrzykując ryk silnika w drodze do Wrocławia.

-- Został aresztowany na Cyprze -- mówił głośno Pawelec. -- Wczoraj przyleciał do kraju, dzisiaj jechał do naszej prokuratury na przesłuchanie.

-- Co on ma wspólnego z tym Zakrzewskim?

-- Nie mam pojęcia.

Inspektor Janusz Kowalik najwidoczniej w głowie zakończył już śledztwo i przeprowadził szybki proces zakończony wyrokiem skazującym.

-- Nienawidzę takich skorumpowanych skurwysynów jak ten Zakrzewski -- powiedział głośno i ostro. -- Kto mu zapłacił za taką akcję i ile? Najwidoczniej bardzo dużą kasę, bo przecież wcale się nie ukrywał. Co mu obiecali? Że od teraz będzie bezpiecznie żył na jakiejś ciepłej wyspie na oceanie? Kurwa, nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie lubię takich zakłamanych skurwysynów. Dlatego musimy go złapać i osobiście go wsadzę za kraty, a w dodatku pierwszy puszcę plotkę, że to gliniarz, żeby nie miał tam spokoju nie tylko pod prysznicem.

-- Wyluzuj, Janusz -- powiedział Pawelec spokojnie, jakby ten temat nadal go nie dotyczył. -- A nie pomyślałeś, że to może być zemsta? Może ten Boński zamordował Zakrzewskiemu kogoś bliskiego? Siostrę, kuzynkę, dziewczynę, i dlatego go porwał? Bo wie, jak działa nasz system sprawiedliwości, nie ma do niego zaufania i dla pewności woli sam przewiercić wampirowi kolana, zgnieść mu jaja w imadle, a potem urznąć głowę tępym nożem?

-- Sprawdziliście to?

-- Sprawdzamy.

-- Byle szybko -- odpowiedział Kowalik. -- Tak czy inaczej, jest policjantem i powinien przestrzegać prawa. Teraz sam stał się przestępcą i dlatego nie mam litości. Nawet bym się ucieszył, gdyby ktoś go postrzelił podczas próby zatrzymania. Tak dla przykładu.

-- Powtarzam jeszcze raz. Wyluzuj, Janusz. Sprawa może mieć drugie dno.

-- Na razie ścigamy nadkomisarza Marcina Zakrzewskiego i nie ma żadnego drugiego dna.

Na pokładzie śmigłowca nadlatującego już nad miasto zapadło ciężkie milczenie.

9

Opel vectra był stary, żeby nie rzucać się zbyt w oczy. Wciąż jeszcze sporo aut z tego modelu jeździło po krajowych drogach i dzięki temu nikt nie zwracał na nie uwagi. Wtapiały się w drogowe tło. Pod maską silnik był doskonale przygotowany, bak pełen benzyny, w bagażniku zapas wody i jedzenia na kilka dni. Do tego ciepłe ubrania i śpiwory, gdyby coś poszło nie tak i musieli nocować pod gołym niebem. Ale nic nie mogło pójść nie tak. Nic więcej. Już i tak zaliczyli koszmarną wpadkę z tym nadgorliwym strażnikiem, który nie zawahał się nacisnąć na spust. Marcin Zakrzewski bardzo się denerwował. Miał nadzieję, że to nie była groźna rana. Mieli w związku z tym kłopoty, ale najważniejsze, żeby nikomu więcej nic się nie stało. Był jeszcze inny problem. Krew na miejscu zdarzenia. Przecież ścigający ich policjanci trafią do Kariny jak po sznurku. Co prawda jego mają już jak na tacy, ale tylko jego. Plan był taki, żeby nigdy nie dowiedzieli się, kto mu pomagał.

Wyciągnął telefon i wybrał jedyny numer zapisany w pamięci aparatu. Falewicz zgłosił się od razu.

-- Halo!

-- Mam go -- rzucił szybko Zakrzewski. -- Jestem na pierwszym etapie.

-- Dobrze. -- W głosie Falewicza zabrzmiała ledwo dostrzegalna ulga.

-- Ale jest problem -- mówił dalej Marcin. -- Mamy rannego, technicy na miejscu znajdą ślady krwi.

-- Cholera. -- Falewicz zamilkł, namyślając się. -- Czego potrzebujesz?

-- Ta krew musi mieć inną grupę, zrozumiałeś?

-- Dobrze, zorientuję się, dokąd przewiozą próbki.

-- Falewicz -- przerwał mu Marcin. -- Nie zawieź mnie, masz niewiele czasu.

Zakrzewski chciał, żeby zabrzmiało to jak zawołana groźba, i tak właśnie zabrzmiało. Prokurator zrozumiał ją doskonale.

-- Załatwione, nie martw się.

-- Odezwe się. -- Marcin się rozłączył i odłożył aparat na półkę na drzwiach. Boński patrzył na niego z ciekawością.

-- I co teraz, gliniarzu? -- zapytał, ewidentnie zaciekawiony. -- Nie wiem, czy to, co się teraz dzieje, jest zgodne z naszą umową z sa-

molotu.

Zakrzewski był rozdrażniony. Z trudem się opanował, żeby nie wybuchnąć złością. Odwrócił do niego poważną twarz i burknął:

-- O co ci chodzi?

Jechali drogą krajową, co chwilę natykając się na położone jedna za drugą wioski i małe miasteczka. Byli daleko poza punktami kontrolnymi, znajdowali się w okolicy, której policja nie brała na razie pod uwagę podczas planowania obławy. Zresztą, gdy wreszcie rozszerzą blokadę i postawią drugi kordon punktów kontrolnych, z uwagi na wielokrotnie większy obszar będą one o wiele mniej skuteczne. Nie ma możliwości, żeby zablokować wszystkie drogi. Poza tym zanim zapadnie taka decyzja i dojdzie do jej realizacji, oni będą już bardzo daleko.

W ucieczce pomagało im policyjne radio nastawione na częstotliwości, na których policjanci w terenie wymieniali się uwagami. Głośniki auta co chwilę rozbrzmiewały nowymi rozkazami, raportami i utyskiwaniem funkcjonariuszy na to, że nawet nie znają marki samochodu. W miarę jak oddalali się od miejsca porwania craftera, w rozmowach patroli pojawiały się inne problemy. Oni jeszcze nie byli zaangażowani w pościg. Teraz, zanim Boński odpowiedział, wysłuchali takiej właśnie, niezwiązanej z nimi rozmowy.

-- Nie zgodziłem się na bycie zwierzyną łowną. -- Jego usta rozciągnęły się w cynicznym uśmiechu.

Marcin dałby sobie głowę uciąć, że specjalnie użył tych dwóch słów, w nawiązaniu do tego, co robił na Kaszubach.

-- Powiedziałem, że wyciągnę cię z aresztu, a potem w zamian za zeznania zostaniesz obdarowany wolnością -- odpowiedział, z trudem panując nad głosem. -- Nie zgłaszałeś wtedy specjalnych życzeń, jak to ma się stać.

-- Oszukałeś mnie, Zakrzewski. -- Boński, mimo pozornego spokoju, też nie panował nad nerwami. -- Mogą nas w każdej chwili odstrzelić. Ty mnie nie interesujesz, więc narażaj się, jeśli lubisz, ale wybac -- ja dbam o zdrowie. Nawet gdybym dostał dożywocie, to bym żył, a teraz nie mam co do tego większych nadziei. Widzisz subtelną różnicę?

-- Nie pierdol, Boński -- warknął Zakrzewski. -- Nie przeżyłbyś do pierwszego przesłuchania. To, co właśnie robię, to ratowanie ci życia.

-- Mam na ten temat inne zdanie... -- zaczął Boński, lecz zamilkł, gdy Marcin lewą dłoń zacisnął na kierownicy, a drugą na rękojeści walthera, którego trzymał na kolanach.

Patrząc to na drogę, to na więźnia, wycelował mu w twarz.

-- Jeszcze kilka zdań i sam cię odstrzelę albo najlepiej na początek postrzelę cię w ramię -- powiedział wolno policjant. -- W kolano na razie nie mogę, bo będziesz opóźniał ucieczkę.

Boński nie wydawał się przekonany takimi argumentami.

-- Nie zabijesz mnie -- powiedział spokojniej. -- Nie jesteś szaleńcem i też nie chcesz spędzić ćwierci wieku za kratami.

Milczeli jeszcze moment, wreszcie, kiedy dojeżdżali do ostrego zakrętu prowadzącego do lasu, Marcin opuścił pistolet i skupił się na kierowaniu. Na jego twarzy pojawił się cyniczny uśmiezek.

-- Myślisz, że by mnie zamknęli na dwa pięć? -- spytał z lekkim szyderstwem w głosie. -- To się mylisz. Pojawia się okoliczności łagodzące. Trauma, stres pourazowy, załamanie nerwowe, chwilowa nieczytalność w postaci pomrocności jasnej i sąd potraktuje mnie bardzo łagodnie. Trafie na oddział zamknięty w psychiatryku, a po dwóch latach wyjdę zdrowy. A ty będziesz gryzł piach. Opłaca się?

Jakub Boński milczał, analizując jego słowa. Zakrzewski jeszcze raz na niego popatrzył.

-- Myślisz, że zgodziłbym się na to szaleństwo, gdyby wszystko nie było już ustawione? -- pytał dalej. -- Z nas dwóch to ty jesteś w dupie, a ja kręcę się tylko gdzieś w jej pobliżu.

Znowu zamilkli, słuchając przerywanych trzaskami komunikatów policyjnych o jakimś zdarzeniu drogowym w gminie, przez którą jechali. Potem wszystko umilkło. Boński też jakoś nie miał już nic do powiedzenia. Odezwał się dopiero po dwóch albo trzech minutach.

-- Łać mi się chce.

-- Wytrzymasz -- mruknął Zakrzewski. -- Do celu mamy jeszcze tylko około czterdziestu kilometrów. Ściśnij mocniej uda.

-- Niech cię szlag trafi!

-- Dziękuję za życzenia.

10

Policyjny śmigłowiec wylądował w centrum Wrocławia niecałe pół godziny później. Dalej pojechali radiowozem na bombach w eskorcie dwóch innych. Inspektor Janusz Kowalik ciągle wisiał na telefonie, odbierając raporty od ludzi w terenie. Wszystkie przejścia graniczne na zachodzie i południu kraju były zablokowane, ale na razie nikt podejrzany nie próbował ich przekraczać. Na dworcu kolejowe i autobusowe w rejonie poszukiwań ruszyły dodatkowe patrole ze zdjęciami uciekinierów, lecz i to na razie nie przyniosło żadnych rezultatów prócz kilku wstydliwych pomyłek. Mobilizacja była wielka, ale zbiegowie rozplęli się w powietrzu.

Wreszcie Kowalik schował telefon do kieszeni marynarki, kłął pod nosem i złorzeczył na sprzedajne gliny. Komisarz Piotr Pawelec przypatrywał się tej szamotaninie kolegi i przysłuchiwał chaotycznym rozkazom z uwagą, ale nie komentował. Nie podobały mu się oskarżenia rzucone przez Kowalika, a jeszcze mniej podobały mu się groźby padające z jego ust. Wreszcie, chcąc trochę ukoić jego nerwy, wyciągnął paczkę papierosów i go poczęstował. Zapalili, nie zauważając panicznych spojrzeń rzuconych do tyłu przez posterunkowego prowadzącego auto, kiedy w środku zawisł w powietrzu gruby całun siwego dymu. Pawelec zlitował się i otworzył tylne okno na całą szerokość.

-- Spokojnie, Janusz -- powiedział. -- To wszystko może wyglądać zupełnie inaczej, niż nam się wydaje.

-- Kurwa, jak inaczej? -- zachnął się oficer CBŚP. -- To nie ma żadnych podtekstów. Szanowany gliniarz okazał się sprzedajną szmatą i uciekł razem z podejrzanym. Wiesz, o co jest podejrzany Boński, i tłumaczysz tego Zakrzewskiego?

-- Wiem, o co chodzi z Bońskim -- odpowiedział cicho Pawelec. -- Byłem wtedy na miejscu w Bytowie, jak nam spierdolił.

Kowalik spojrzał na niego przeciągle.

-- I nic nie powiedziałeś? -- powiedział zirytowany.

-- Nie pytałeś. Od samego początku napierdalasz na tego Zakrzewskiego i odgrażasz się, że mu nogi z dupy powyrywasz, jak tylko wpadnie w twoje ręce. Co cię napadło?

-- Co mnie napadło? Nie lubię sprzedajnych świń.

-- Już ci mówiłem...

-- Gównu tam mówiłeś! Sprawa jest prosta. Gdyby zdarzyła się możliwość strzelania przed zadawaniem pytań, to będę strzelał. I ty mnie przed tym nie powstrzymasz.

Pawelec tylko zaklął, odwrócił się od Kowalika i spojrzał przez okno. Cholerny idiota, gotów narobić jeszcze większego bałaganu, niż już jest. Nie lubił ekstremistów w żadnej formie, a najgorsi byli policjanci. U nich zawsze wszystko było jasne. A że dowody czasem nie pokrywały się z ich przekonaniem? Nieważne, wszystko można nagiąć do swojej teorii. Tylko że potem sądy odsyłały sprawy do ponownego rozpatrzenia i robił się krzyk w mediach, że nie są sprawiedliwe, tylko chronią przestępców. Albo też przymykają oczy i po latach okazuje się, że ktoś wsadzony na dwadzieścia pięć lat za zabójstwo siedzi niewinnie, i jest z tego jeszcze większa chryja.

Dojechali na miejsce. Ulica Roosevelta we Wrocławiu nie była szeroka, dlatego parkując wzdłuż szpaleru stojących na chodniku aut, trochę ją zablokowali. Inspektor Kowalik już wyskoczył na jezdnię i szybkim krokiem skierował się do bramy. Pawelec pospieszył za nim. Musiał pilnować porywczego kolegi, bo jeszcze robi coś głupiego. W bramie stał tajniak i poinformował ich, że odkąd tu stanął, z mieszkania na drugim piętrze nikt nie wychodził ani do niego nie wchodził. Panuje tam cisza, ale chyba ktoś jest, bo wydaje mu się, że przez takie okienko z kuchni na korytarz słyszał szcęknięcie drzwi lodówki.

Ruszyli po szerokich schodach. Kowalik szedł przodem, za nim Pawelec, a jeszcze dalej dwóch mundurowych jako obstawa. Schody skrzypiały pod ich stopami, burząc ciszę klatki schodowej. Drzwi były nowe. Słyszał, co tu się stało poprzedniej jesieni, ale nic nie powiedział Kowalikowi, a on chyba się za bardzo nie orientował. Naciśkał właśnie na przycisk dzwonka. Musiał zadzwonić jeszcze kilka razy, zanim wreszcie szcęknęła zasuwa i w drzwiach stanęła wysoka blondynka w białym szlafroku. Miała potargane włosy, jakby wyrwali ją z łóżka, nieprzytomne spojrzenie, na ustach rozmazaną czerwoną szminkę.

-- O kurde, jaka delegacja -- mruknęła, lekko się chwiejąc.

Poczuli od niej intensywny zapach wina. Ale nie wyglądała na kobietę nadużywającą alkoholu, była zadbana i miała w sobie to coś, co pewnie działało na facetów. Ewidentnie była po nieźle zakrapianej imprezie.

Lekko zmieszany Kowalik przedstawił ich, a Pawelec zdążył w tym czasie zlustrować wnętrze niewielkiego mieszkania. Dojrzał stół, kilka butelek i kieliszki z niedopitym czerwonym trunkiem.

-- Czy tu mieszka aspirant Karina Buczko? -- dopytywał Kowalik.

-- No tak -- przyznała niechętnie blondynka.

-- Musimy ją zobaczyć. -- W głosie inspektora zaczęły pobrzmiwać nuty zdenerwowania.

Kobieta w drzwiach mocniej ścisnęła szlafrok paskiem i patrzyła na nich coraz przytomniej. Pawelec nagle uświadomił sobie, że zna ją z telewizji.

-- Karina śpi, nie wiem, czy chciałabym ją budzić -- powiedziała, patrząc kolejno na policjantów.

-- Nalegałbym -- rzucił Kowalik.

Chyba wciąż był zmieszany i nagle jego pewność siebie zaczęła się ulatniać jak powietrze z przebitej opony.

-- Karina jest na urlopie -- mówiła blondynka. -- Wczoraj były moje urodziny, byli znajomi i siedzieliśmy do rana. No i wypiliśmy o wiele za dużo.

Kowalik postąpił krok do przodu.

-- Jak się pani nazywa? I kim pani jest?

-- Justyna Kordas, jestem przyjaciółką Kariny. Nie wiem, czy...

-- Muszę ją zobaczyć -- nalegał coraz ostrzej Kowalik.

Pawelec obserwował tę scenę z boku. Jakoś tak przyjemnie mu się nagle zrobiło, kiedy patrzył, jak pewność siebie kolegi się sypie. Jeszcze na dole był przekonany, że Karina Buczko pomagała Zakrzewskiemu w uprowadzeniu więźniarki, i szykował się do efektownego aresztowania. Jeśli Buczko zaraz tu przyjdzie i będzie wyglądać tak jak ta babka z telewizji, jego podejrzenia graniczące z pewnością szlag trafi.

No i pojawiła się Karina Buczko. Wyglądała jeszcze gorzej niż ta Kordas. Była blada jak воск, miała ciemne obwódki wokół oczu i włosy sterczące we wszystkie strony. Ubrana w piżamę podeszła do nich chwiejnym krokiem. Ona najwidoczniej też nie doszła jeszcze do siebie po nocnej imprezie, bo koleżanka musiała ją przytrzymać.

-- Czego wy ode mnie chcecie? -- wychrypiała. -- Na urlopie jestem.

-- Co pani robiła dziś rano?

-- To zależy o której, bo o szóstej piliśmy ostatnie wino.

-- Około dziewiątej.

Karina Buczko czknęła i zaraz zakryła usta dłonią.

-- Spałam -- odpowiedziała. -- Ale mam świadków. Kilku znajomych, którzy wychodzili stąd po szóstej, i Justynę, która została.

Kowalik irytował się coraz bardziej.

-- Kiedy ostatni raz widziała pani nadkomisarza Marcina Zakrzewskiego? -- zapytał twardo.

-- Tego cholernego, twardogłowego Zakrzewskiego? -- Karina prychnęła. -- Ostatni raz widziałam go w firmie. I chyba więcej nie chcę go oglądać.

-- Jak to? -- Kowalik uniósł brwi. -- Przecież pracujecie razem.

Złość, która eksplodowała nagle w Karinie Buczko, sprawiła, że na moment wytrzeźwiała.

-- Pracowaliśmy razem -- powiedziała twardo. -- Ale nie mam zamiaru pracować z nim ani sekundy dłużej. Przez niego nie miałam życia prywatnego, była tylko praca, praca i praca. Wywierał na mnie presję i ja ciągle robiłam z nim nadgodziny. Cholera, on zajechał mnie psychicznie. Po urlopie składam wniosek o przeniesienie do innego wydziału.

Przy drzwiach zapadła nagle cisza. Mundurowi z tyłu poruszyli się niespokojnie. Kowalik spojrzał na Pawelca, jakby prosił o pomoc. Dlatego ten spojrzał na Buczko i powiedział:

-- Chcielibyśmy jednak sprawdzić, czy u pani w mieszkaniu nie ukrywa się Marcin Zakrzewski.

Obrzuciła go intensywnym spojrzeniem swoich zielonych oczu, po czym odpowiedziała:

-- Ale tylko jeden z was. Jest niezły burdel po imprezie.

Komisarz Pawelec pokiwał głową i sam wszedł do mieszkania. Rzeczywiście, mimo otwartych okien w pokoju ciągle wisiał jeszcze zapach wina i papierosów. Na stole walały się nieuprzątnięte resztki przekąsek, puste butelki po winie i piwie, brudne kieliszki do wina, których naliczył pięć. W małym mieszkaniu panował rozgardiasz, jak to po imprezie -- w kuchni burdel i jeszcze więcej butelek. Zajrzał do łazienki, a potem przystanął na progu i spojrzał w kierunku drzwi wejściowych, gdzie obie kobiety zasłaniały mu widok na policjantów. Następnie jego wzrok powędrował w dół. Zobaczył krew. Na tylnej części nogawki pizamy widniała świeża krwawa plama. W jednej chwili wszystko zrozumiał. Karina Buczko nie wyglądała tak źle, bo miała kaca. Ona była ranna, a wszystko wokół było szopką odsta-

wianą na ich użytek. To dlatego Karina przytrzymała się koleżanki.

Komisarz Pawelec wrócił do korytarzyka, ostrożnie je wyminął i spojrzał na Kowalika.

-- Pusto -- rzucił i zaraz dodał: -- Nic tu po nas, Janusz.

Kowalik zmełł w ustach przekleństwo i jeszcze raz popatrzył na Buczko.

-- Proszę nam dać znać, gdyby Zakrzewski się z panią skontaktował -- powiedział.

Skinęła tylko głową i Pawelec po raz pierwszy zobaczył to wyrażenie. Cierpienie ukryte gdzieś pod maską obojętności i udawanego kaca. Bładość i cienie pod oczami też były spowodowane czymś innym niż nadmierne spożycie wina. Pewnie ona wcale tego wina nie piła.

-- Myślę, że możemy już iść. -- Pociągnął Kowalika za ramię i zaczęli schodzić po tych cholernych skrzypiących schodach.

Pawelec obejrzał się jeszcze przez ramię. Drzwi się akurat zamykały i niczego ciekawego już nie dostrzegł.

Kolega schodził zły jak wszyscy diabli i nagle zaniemówił. Na dole natychmiast wyciągnął telefon i znowu długo zbierał dane z terenu. Pawelec też skorzystał z okazji. Odszedł w bok wzdłuż szpaleru aut, tak żeby nikt go nie mógł usłyszeć. Z pamięci wybrał numer. Rozmówca z drugiej strony zgłosił się po kilku sygnałach.

-- Pawelec z tej strony -- rzucił komisarz.

-- Masz dla mnie jakieś dobre informacje? -- Pytanie padło bez żadnych formułek powitalnych.

-- Na razie nie, ale trzymam rękę na pulsie.

-- To dobrze, z czym w takim razie dzwonisz?

-- Nie podoba mi się ten Kowalik. Jest nieźle zafiksowany na Zakrzewskim. Będziemy mieć z nim problemy.

W słuchawce zapadło milczenie. Mężczyzna odezwał się dopiero po chwili.

-- Nie miałem na to wpływu. Obserwuj go, żeby nie narobił kłopotów.

-- Staram się, ale on jest jakiś nadpobudliwy.

-- Bądź czujny.

Pawelec przerwał połączenie, widząc, że Kowalik też już zakończył rozmowy. Podszedł do niego i umówili się, że tu się rozdziela. Pawelec porozmawia z kolegami Zakrzewskiego w wydziale, a Kowa-

lik miał się zorientować, kto w ostatniej chwili wydał decyzję, że transport z Bońskim miał być konwojowany przez kryminalnych. Inspektor odjechał radiowozem jako pierwszy, Pawelec został przy drugim aucie.

Kiedy już był pewien, że pierwsze auto zniknęło za rogiem, rzucił krótko do posterunkowego:

-- Poczekaj, za kwadrans wracam.

Znowu musiał naciskać na dzwonek kilka razy, zanim drzwi do mieszkania Kariny Buczko się uchylily. Justyna Kordas tym razem nie wyglądała na skacowaną, bardziej na przestraszoną. Pawelec uśmiechnął się do niej szeroko.

-- Niezłe przedstawienie, mój kolega się nabrał -- powiedział. -- Ale w końcu pracuje pani w telewizji, a to zobowiązuje.

Milczała, ciągle przestraszona. Zerknęła za niego, jakby obawiała się, że zobaczy tam oddział antyterrorystów, ale wcale się nie uspokoiła, kiedy zrozumiała, że jest sam.

-- Proszę mnie posłuchać -- mówił dalej. -- Widziałem krew, ale nie ma obaw. Jestem po tej samej stronie co wy i przyszedłem sam. Chcę pomóc.

Justyna się obejrzała. Nie było daleko od drzwi do łóżka, na którym leżała Karina, która wszystko dobrze słyszała.

-- Wpuść go! -- zdecydowała teraz.

Wszedł i przysiadł na krześle obok łóżka. Karina patrzyła na niego z ciekawością i bez strachu.

-- Coś poważnego? -- zapytał Pawelec z wyraźną troską.

-- Kula przeszła na wylot, pewnie nic groźnego, ale cholernie boli.

Pawelec zerknął do tyłu. Justyna Kordas stała na progu pokoju i po jej spojrzeniu poznał, że jeszcze mu nie ufa.

-- Mogę załatwić lekarza -- zaproponował.

-- Już był -- wyjaśniła Karina. -- Odwiedzi mnie jeszcze wieczorem. Nie powinnam się ruszać.

Pokiwał głową, a ona spojrzała mu w oczy.

-- Skąd ta troska?

-- To ja dowodziłem akcją aresztowania Bońskiego w Bytowie -- powiedział. -- Tylko że mi spierdolił. Jesteśmy po tej samej stronie.

Karina wyraźnie się rozluźniła. Pawelec mówił dalej:

-- Ten Kowalik to straszny narwaniec, postaram się go kontrolować, ale nie wiem, czy zdołam. Gdybyś miała jakieś problemy albo

Zakrzewski potrzebowałby pomocy, zostawię swoją wizytówkę. To bezpieczny numer.

Podał Karinie biały kartonik, wstał i skierował się do wyjścia. Po chwili znowu był na chodniku. Kiedy jechał na tylnym siedzeniu w kierunku centrum, uśmiechał się w duchu. Czasem takie przypadki dużo ułatwiają. Co prawda sporo zaryzykował, ale był przekonany, że to się w przyszłości opłaci. Czasem plany zostają tylko planami, bo życie brutalnie je weryfikuje.

11

Zawsze jest jakieś słabe ogniwo. Ktoś, kto żałuje, bije się w piersi, chce wynagrodzić krzywdy, ale przede wszystkim ma dużo do stracenia. Kochającą żonę, wykształcone dzieci, cudowne wnuki i interes wart grube dziesiątki milionów. Czasem, w pogoni za wpływami, do największych sekretów dopuszcza się osoby słabe, niepewne i przede wszystkim mające jeszcze sumienie. Taki błąd wynikający z zachłanności, niemożliwy do przewidzenia, taka komórka rakowa na organizmie organizacji. Można ją wyciąć albo uznać, że jest nic nieznająca, jedna, słaba, nie zagraża całemu organizmowi. Tylko, jak to z komórkami rakowymi bywa, nigdy nie wiadomo, kiedy z tych nieszkodliwych zmieniają się w żarłoczne i zaatakują swojego żywiciela, chcąc go zniszczyć.

Prokurator Andrzej Falewicz od dwóch tygodni przesłuchiwał mężczyznę zatrzymanego na Cyprze. Wiedział już bardzo dużo, jednak nie było dowodów. Potrzebował świadka, który się złamie i zacznie sypać. W pierwszym etapie jego zeznania posłużą do postawienia w stan oskarżenia organizatora procederu polowania na ludzi, w drugim etapie świadek oficjalnie wystąpi przed sądem w procesie karnym. Licząc mężczyznę z Cypru, wyselekcjonowali trzy nazwiska. Najsłabsze ogniwa mające dużo do stracenia, a równocześnie będące takimi komórkami rakowymi w organizacji, które należy tylko odpowiednio zmobilizować do zeznawania przeciwko ludziom, którym zawdzięczają pieniądze i karierę. Bo przecież wdzięczność na pstrym koniu jeździ. Zawsze może być tak, że strach przed utratą majątku jest dużo większy niż poczucie wdzięczności wobec kogoś, dzięki komu ten majątek się uzyskało. To jedna z podstawowych, niepisanych zasad w wielkim biznesie. Nie ma przyjaciół, nie ma zaufania, nie ma stałych sojuszy. Inaczej się nie da.

Roch Zawidowski był po siedemdziesiątce i wciąż zarządzał jedną z większych przetwórni drobiu w kraju. Zaopatrywał w towar największe sieci handlowe, najpopularniejsze sieci fast foodów, a spora część produkcji szła na eksport. Mimo rozpowszechnianych od lat informacji na temat tragicznych warunków hodowli kurczaków, karmienia paszami z antybiotykami i hormonem wzrostu, zabijania w barbarzyński sposób, popyt wcale nie spadał. Telewizyjne reklamy różnych sieci sprzedających mięso z kurczaka robiły swoje.

Falewicz odwiedził prezesa Zawidowskiego w jego biurze w centrum Krakowa tuż po godzinie siedemnastej. Do tak szybkiego działania skłoniła go wyjątkowo skuteczna akcja przeprowadzona przez redaktora Salitrę. Zwołana na następny dzień przez posłów konserwatywno-prawicowej partii konferencja prasowa w sejmie, na której ktoś głośno i oficjalnie powie o polowaniach na ludzi i zada szereg niewygodnych pytań, znacząco przyspieszyła ich działania. Nie było na co czekać. Najskuteczniejsza w takich sytuacjach była presja. Pod jej wpływem człowiek czasem przestawał myśleć racjonalnie i dawał się prowokować do niestandardowych działań. W tym przypadku prokurator miał zamiar zastosować taki sam mechanizm, jaki stosowała jego nieformalna i tajna organizacja. Chciał zyskać wpływ na prezesa Zawidowskiego.

Pewnie gdyby nie był prokuratorem, nigdy by tak szybko nie dotarł do jego gabinetu. Mogło być też tak, że Zawidowski już coś usłyszał o artykułach Salitry. Co prawda nie było ich jeszcze w głównych mediach, ale fala rozlewała się coraz szerzej. Przecież Zawidowski miał pewnie kolegów, którzy też zabijali. Może ktoś go już powiadomił.

Falewicz ubrał się jak na pogrzeb. Czarny garnitur, biała koszula, czarne skarpetki i lśniące nowością włoskie półbuty. Cholernie drogie i jeszcze bardziej niewygodne, ale on też musiał coś poświęcić dla większej idei.

-- Nie rozumiem, w czym mogę panu pomóc? -- zapytał trochę nerwowo prezes, kiedy już zasiedli przy mahoniowym stoliku na drogich skórzanych fotelach. Obłądnie wygodnych fotelach.

Falewicz od razu go rozszyfrował. Prezes od kurczaków już wiedział i zaczynał się bać. Najślabsze ogniwo. Zawsze gdzieś jest, trzeba je tylko znaleźć.

-- To ja mogę pomóc panu. -- Falewicz uśmiechnął się do niego szeroko.

-- Tym bardziej nie rozumiem.

-- Panie Rochu, czy mogę się tak do pana zwracać? Tak? Dziękuję. A więc panie Rochu -- wypowiedział te słowa tak szybko, że prezes nie zdążył nawet otworzyć ust. -- Obawiam się, że w najbliższych dniach czekają pana wielkie kłopoty. Pewnie już pan coś słyszał o tych polowaniach na ludzi, prawda?

Roch Zawidowski nagle pobladł, a wielkie policzki na nalanej twarzy obwisły mu wraz z opadnięciem dolnej wargi. Starał się ni-

czego nie dać po sobie poznać.

-- Nadal nie rozumiem -- powiedział.

-- Wie pan, że jutro będzie konferencja prasowa w sejmie na temat tych polowań? Ukażą się też nowe materiały, których tym razem główne media nie będą mogły tak łatwo przemilczeć. Padną nazwiska, daty, powiązania, nazwy firm. Być może pana firma też się pojawi w tych artykułach. Może nawet pana nazwisko, być może okraszane zdjęciem.

Prezes przełknął głośno ślinę. Tym razem poczerwieniał na twarzy.

-- Proszę się stąd wynosić -- chciał zabrzmieć stanowczo, lecz zabrzmiał słabo.

-- Nie radzę mnie wyrzucać, panie prezesie. -- Falewicz pokręcił głową. -- Bo tak, jak mówiłem na wstępie, mogę panu pomóc.

-- Nie chcę z panem rozmawiać. Nie mam czasu, proszę stąd wyjść. -- Zawidowski zaczął się podnosić z fotela.

W tej sekundzie postawa Falewicza diametralnie się zmieniła. Uśmiech zniknął mu z twarzy, mężczyzna uderzył pięścią w biurko, aż zahuczało, a prezes opadł nagle znowu na fotel.

-- Nie radzę mnie wyrzucać -- warknął prokurator. -- Wie pan dlaczego? Bo wiem, co się stało na Kaszubach dwudziestego pierwszego maja dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Opowiedzieć panu o tym? Padał wtedy deszcz, było dość chłodno, po załamaniu pogody. To była taka chuda brunetka, nawet ładna. Sam pan ją wybrał? Była w katalogu do wyboru czy było panu wszystko jedno? Dość, że polowanie się udało. Co prawda ręka się panu trzęsła i zmarnował pan z dziesięć pocisków do sztucera, ale w końcu trafił pan ją w plecy. Bardzo krwawiła, prawda? Potem poszedł pan na wódkę z Jerzym Ostaszewskim, który tam był, wszystkim kierował i był pana mentorem w biznesie. Dał panu kontakty, pożyczył pieniądze na te cholerne kurczaki. Na niewielki procent, który pan w ciągu pięciu lat uczciwie spłacił. Potem na jego prośbę sam pan udzielał takich pożyczek, zatrudniał wskazanych przez niego ludzi w swojej firmie i polecał ich pan znajomym.

Falewicz zrobił pauzę. Prezesowi oczy wychodziły z orbit, drżały mu wargi i ręce, na czole perlił się pot. Prokurator miał przez moment obawy, czy przeżyje tę opowieść. Ale w sumie miał to w dupie. Ofiara pana prezesa nie przeżyła.

-- A wracając jeszcze do tamtego wieczoru -- kontynuował. -- Zachlał pan pałę z Ostaszewskim. To znaczy Ostaszewski nie pił, dlatego połknął pan przynętę razem z haczykiem. Dał się pan namówić na małą sesję zdjęciową z zabitą dziewczyną. Wie pan, ona na trawie jak zwierzyna, a pan dumny łowca ze sztucерem nad nią. Niestety te zdjęcia nie rozplynęły się w ciągu tych lat, co najwyżej wyblakły. Ale bez obaw, pana można na nich rozpoznać bez trudu. Rodzina byłaby w szoku.

Roch Zawidowski wycierał czoło wielką chusteczką. Nie mógł wykrztusić słowa. Wreszcie sięgnął do biurka, wyjął flaszkę czystej i wielki kieliszek. Nalał do pełna i wypił jednym haustem. Falewicz patrzył na niego z pogardą. Jak w filmie *Kariera Nikodema Dyzmy*. Cham, nawet kiedy zostanie milionerem, zawsze będzie chamem.

-- Zdradzę panu jeszcze coś, o czym nigdy się pan nie dowiedział -- mówił dalej Falewicz, z trudem tłumiąc pogardę materializującą się w jego głosie. -- Strzelec z pana do dupy. Ta dziewczyna była tylko ranna. Dobili ją strzałem w pierś, kiedy chlał pan wódkę w tej nowej leśniczówce odbudowanej na zgliszczach starej. Wiedział pan o tym?

Zawidowski pokręcił tylko głową i znowu się napił.

-- Przychodzę do pana z propozycją. Nikt nie musi się dowiedzieć ani o naszej rozmowie, ani o tym, co się stało kiedyś. Pod jednym warunkiem. Powie pan, kto tam jeszcze polował, a potem będzie pan świadkiem w sądzie. Proces i tak będzie utajniony.

Zawidowski kręcił nieprzytomnie głową.

-- Niech pan już sobie idzie. -- Ledwo można było zrozumieć jego bełkotliwe słowa.

Falewicz wstał i popatrzył z góry na tego grubego starca, wartego nie więcej niż kupa łajna. Z tą różnicą, że z milionami na koncie. Położył przed nim swoją wizytówkę.

-- Proszę zadzwonić, jak już pan się zdecyduje na współpracę -- rzucił i ruszył do drzwi.

Po chwili jednak wrócił. Przesunął biały kartonik po lśniącym blacie biurka w kierunku prezesa i powiedział:

-- Widzi pan, jak to w życiu. Czasem ma się wpływ na innych, a czasem ci inni mają wpływ na nas.

Wyszedł, zamykając za sobą starannie drzwi. Zjechał windą do lobby, gdzie już czekali na niego dwaj ochroniarze. Byli członkowie

GROM-u, doskonale wyszkoleni i uzbrojeni. Razem wyszli do samochodu.

Jadąc na tylnym siedzeniu, Falewicz zastanawiał się nad tym, jak los płacze życie. Czasem największy sukces okazuje się totalną porażką. Potem już nie myślał o Zawidowskim. Miał dzisiaj do przeprowadzenia jeszcze dwie takie rozmowy.

12

Przez osiem godzin przejechali trochę ponad czterysta kilometrów. Zakrzewski jechał bocznymi drogami, uważnie wsłuchując się w komunikaty w policyjnym radiu. Starał się też omijać główne węzły drogowe, żeby przypadkowo nie spotkać policyjnej kontroli albo blokady drogi. Na szczęście się udało.

Tak jak powiedział Bońskiemu, zmienili samochód. Na jednym z nowych osiedli w Bolesławcu, zaparkowany przy ulicy w szpalerze innych aut, czekał na nich kilkuletni granatowy passat. Opla porzucili w tym samym miejscu. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że przez najbliższe kilka dni ktoś zwróci na niego uwagę. Wszystko szło dość gładko, co jednak tylko zwiększyło czujność Marcina. Nie mogło być zbyt łatwo, świat tak nie działa. Nawet najlepsze plany są tylko planami, a potem i tak trzeba improwizować, bo wszystko psuje czynnik losowy. Boński zachowywał się, jakby jechał z dobrym kumplem na wycieczkę w góry, gdzie miał zamiar porządnie sobie odpocząć, ale Marcin musiał sobie z tym jakoś poradzić.

Pierwszą noc spędzili we wsi Brzeźnik pod Bolesławcem. Na końcu jednej z bocznych uliczek mieli przygotowane jedno z dwóch bezpiecznych miejsc do noclegów. Zakrzewski zaparkował passata za domem, tak żeby nie było go widać z ulicy. Dom od kilku lat był wynajmowany pracownikom delegowanym w ten rejon kraju, więc nikogo nie powinien dziwić widok auta, dwóch mężczyzn i światła w oknie po zmroku. Mimo to byli ostrożni.

Kolację zjedli w kuchni przy oknie z zasuniętą ciężką zasłoną. Boński na początku zachowywał się tak, jakby nie jadł od kilku dni. I tak mogło być. Najpierw zatrzymanie na Cyprze, potem transport, podczas którego nikt go nie rozpieszczał przekąskami i zimnymi napojami, potem areszt i całodzienna jazda w upale. Kiedy skończył bułkę przegryzaną kabanosami, wytarł usta, szcękając kajdankami na nadgarstkach, i czknął. Marcin zupełnie nie miał apetytu, jadł z przymusu. Nawet nie chciało mu się kawy. W torbie miał też paczkę cienkich fajek, które wraz z zapalniczką pchnął w kierunku Bońskiego. Cały czas go przy tym obserwował.

Więzień najpierw spojrział na papierosy, a dopiero po kilku długich sekundach sięgnął po nie szybko, jakby sobie o czymś przypominał. W milczeniu spalił jednego. Przy drugim zerknął na przyglą-

dającego się mu Marcina siedzącego po drugiej stronie stołu. Bezcelnie puścił do policjanta oko.

-- Podobam ci się? -- zapytał, starając się brzmieć filuternie.

Marcin nie odpowiedział.

-- I tak nie miałbyś szans, nie jesteś w moim guście.

-- Daruj sobie te suchary. -- Zakrzewski wzruszył ramionami, odsunął zasłonę i zerknął za okno.

Było już prawie ciemno, światła wioski błyskały dopiero kilkadziesiąt metrów dalej. Ktoś znalazł naprawdę dobre miejsce.

Znowu spojrzął na Bońskiego, a potem wyciągnął z kieszeni dyktafon i postawił między nimi. Boński teatralnie przewrócił oczami jak nastolatka z fochem.

-- Coś ci się nie podoba? -- rzucił Marcin.

-- Kurwa, wszystko -- padła szybka odpowiedź.

-- J-jasne. Pamiętaj tylko o swojej części umowy.

-- Nie mam do ciebie zaufania, gliniarzu, zaczynam wątpić, czy dotrzymasz swojej.

-- Przekonaj się.

Boński zmierzył go ponurym spojrzeniem, wreszcie pokiwał tylko głową. Zanim jednak zaczął mówić, Zakrzewski zapytał:

-- Jak to się stało, że dobry policjant stoczył się tak szybko na samo dno i został czyścicielem dla mafii? Tak cię rajcuje taka robota? Onanizowałeś się przy nagich zwłokach tych dziewczyn czy może przy beczkach z kwasem, jak je rozpuszczałeś?

Boński patrzył na niego nieruchomo. Papieros dopalał mu się w palcach, firanka zafalowała, kiedy nareszcie po całodziennym bezruchu powietrze łaskawie ruszyło się w przyjaznym wiateryku. Do środka wpadł chłodniejszy podmuch, rozwiewając trochę lekką stęchliznę i zapachy starego domu. Od razu oddychało się lepiej.

-- A co? Liczyłeś, że ci opowiem, jak to jest, bo ciebie też to rajcuje, ale nigdy nie odważysz się spróbować? -- zapytał wreszcie.

Znowu ironia w głosie i znowu nieśmieszna. Facet ewidentnie nie miał poczucia humoru. To była tylko poza.

-- Boński, twoje dowcipy robią się żałosne. Do rzeczy.

Wampir z Bytowa nagle przestał nad sobą panować. To był ułamek sekundy, kiedy jego postawa się zmieniła i wykonał pół ruchu, jakby chciał się rzucić na Marcina. Zaraz jednak znieruchomiał, spoglądając w ciemną lufę pistoletu przed oczami.

-- Nie próbuj tego więcej -- wycedził policjant przez zaciśnięte zęby. -- A jeśli ci się uda?

Boński skrzywił się i obdarzył nadkomisarza szerokim uśmiechem.

-- Lubię cię, Zakrzewski, naprawdę cię lubię. Dlatego cię zabiję, wiesz? Jak tylko będę miał okazję, zrobię to z przyjemnością.

Może to i były przechwałki i gadanie dla gadania, jednak Marcin poczuł się nieprzyjemnie. Przez jego ciało przepłynął dreszcz niepokoju i zgasł, lecz zostawił po sobie widoczne ślady. Przed Bońskim nie mógł jednak pokazać słabości. On przecież tylko na to czekał. Dlatego postukał lufą w stół, po czym nachylił się lekko w jego kierunku i szepnął:

-- Ale to ja mam broń.

Zapadła cisza. Więzień stracił chwilowo całą ochotę na groźby i makabryczne przekomarzania. On naprawdę nie miał poczucia humoru. Poczucie humoru mają ludzie inteligentni, nie takie potwory jak on.

-- Wróć do mojego pytania. Dlaczego, Boński?

Były policjant przybrał tak odpychającą postawę, że Zakrzewski nie liczył na szczerą odpowiedź. A jednak się pomylił.

-- Zabiłem żonę -- odezwał się i na jego ustach pojawił się uśmiešek, jakby wspomnienie morderstwa ciągle sprawiało mu wielką satysfakcję. -- Ta kurwa mnie zdradzała, a ja jestem porywczy. Ona wiedziała, że łatwo wpadam w furję, a jednak pieprzyła się z jakimś fagasem na boku. To musiała być, kurwa, miłość, skoro straciła instynkt samozachowawczy.

-- I co dalej?

-- Odkryłem szybko, gdzie znika i co tam robi. Więc któregoś popołudnia wróciłem wcześniej z pracy i czekałem na nią. Tylko że poniosły mnie emocje. Chciałem jej tylko wpieprzyć, ale uderzyłem za mocno, wiesz, jak to w gniewie.

-- Nie wiem.

-- Pierdolisz! -- zirytował się nagle Boński. -- Na pewno wiesz. Nie ma normalnych gliniarzy. Taka praca. Ta praca jest jak jakiś pieprzony wirus, zaraża wszystkich. Jedni piją, drudzy chodzą na dziwki, inni biją żonę i znęcają się nad dziećmi, jeszcze inni stają się takimi samymi potworami w ludzkiej skórze jak ci, których ścigają. Ci najnormalniejsi rzucają tę robotę w diabły, póki jeszcze jest szansa być normalnym. A ci najtwardsi strzelają sobie w łeb ze służ-

bowej broni. Tak, dobrze słyszałeś. Ci najtwardsi, bo tylko oni mają na tyle odwagi, żeby pociągnąć za spust. Ja byłem mięczakiem i się nie zdecydowałem, chociaż kilka razy próbowałem.

Zakrzewski milczał, wpatrzony w spoconą twarz Bońskiego. Jego słowa były wypaczone, brzmiały nie tak, jak powinny, były skrzywione, niewłaściwie użyte, ale miały w sobie to coś. Ukrytą prawdę. Tak, praca w policji niszczy. Jego też omal nie zniszczyła. Kto wie, gdzie byłby teraz, gdyby nie Renata. To dla niej postanowił się zmienić, być nowym Marcinem. Tylko czy naprawdę się zmienił? Gdzie teraz był? To była największa w jego karierze jazda po bandzie. Jeden niewłaściwy ruch i wypadnie z toru, pójdzie na wiele lat do pierdła albo koledzy zastrzelą go przy próbie ucieczki. Przecież dla wszystkich tak byłoby lepiej. Mogliby ukręcić łeb sprawie, żeby do opinii publicznej nie wyciekło, jak to do niedawna wzorowy gliniarz napadł na więźniarkę i uprowadził więźnia. Tak byłoby lepiej dla wizerunku instytucji Policji, i tak w ostatnim czasie mocno nadszarpniętego przez idiotów polityków.

-- Do rzeczy, Boński. Zabiłeś żonę i co?

Ten spojrział na niego jakby z urazą, że zmienia nagle temat.

-- I co? Nagle stchórzyłem. Nie chciałem iść do więzienia, a jeszcze bardziej nie chciałem palnąć sobie w łeb. Poszedłem więc po pomoc do zaufanego człowieka. Kiedyś po pijaku chlapnął, że wszystko może, należy do nieformalnej, elitarnej grupy lobbystów, którzy są w stanie załatwić wszystko. Nie ma dla nich granic ani zasad. Był w zarządach i radach kilku spółek, zarabiał kupę kasy. Wtedy mu zaurościłem, jako policjant w drugiej grupie zaszeregowania czułem się przy nim gorzej niż nędzarz.

-- J-jasne, niezły melodramat -- parsknął Zakrzewski ze złością.

-- O co ci chodzi? Chciałeś, żebym gadał.

-- Ale mnie interesują fakty, a ty robisz z siebie skrzywdzonego. Może jeszcze dojdiesz do wniosku, że jesteś ofiarą systemu.

Mierzyli się pełnymi złości spojrzeniami. Boński znowu był bliski wybuchu i znowu spojrział na broń w dłoni Marcina. Odpuścił.

-- To moja sprawa. Będzie tak, jak ci opowiem, bo tak to widzę, i gównie ci do tego.

-- Nie zapominaj tylko, że zamordowałeś żonę i z zimną krwią rozpuściłeś w kwasie albo spaliłeś w piecu kilkanaście ofiar polowań na ludzi. Za to nie dostaniesz rozgrzeszenia.

-- Tak? -- Boński nagle się zaśmiał. -- To ty zaproponowałaś mi wolność w zamian za zeznania.

-- Powiedziałem, że damy ci kilka dni na ucieczkę, ale potem nie będzie litości. Tylko ciągle mam wrażenie, że nie powiedziałeś mi niczego istotnego. Nie wiem, czy umowa działa.

Boński drżącą dłonią zapalił kolejnego papierosa, odchylił się w fotelu i wskazał gestem dyktafon na stole.

-- Nagrywa?

-- Tak.

-- To posłuchaj. Jak już wspominałem, poszedłem po pomoc do tego zaufanego milionera, Jana Kostrzewy, może znasz to nazwisko. Ostatnio był dość medialną osobą. Zapraszają go do telewizji jako komentatora, wymądrza się wszędzie na tematy gospodarcze. Tylko kiedy do niego trafiłem, okazało się, że jest zastraszoną, spanikowanym małym człowieczkiem. Zdradziłem mu, że zabiłem żonę, więc on też mi zdradził, że zabił. Warunkiem przystąpienia do tego ich klubu lobbystów było morderstwo. Nagrane i sfotografowane. Dziwisz się? Pewnie niektórzy polują na ludzi dla przyjemności, a inni dla kariery i wielkiej kasy. Dla pieniędzy ludzie są w stanie zabić, przecież doskonale o tym wiesz. Jesteś psem. Tylko zaczęło go martwić, że koledzy lobbyści mocno na niego naciskali, żeby pomagał im i ich ludziom. Posunęli się nawet do szantażu. Kostrzewa wbrew sobie robił im te przysługi, ale nagle zaczął się bać. Przecież mieli na niego wpływ. W każdej chwili mogli go zniszczyć, a on nic nie mógł zaradzić. Spadłem mu jak z nieba.

Jakub Boński zamilkł na moment, znowu zapalił papierosa, lecz widać było, że wcale nie pali z przyjemnością. Dobrze, że coraz mocniejsze powiewy wiatru wpadały przez uchylone okno. Gdzieś w od-dali zagrzmiało. Zakrzewski słuchał go, czując żółć gromadzącą mu się w gardle. Świat był zgniły i większość społeczeństwa o tym wiedziała, jednak nie wszyscy zdawali sobie sprawę, jak dogłębnie jest przeżarty tą zgnilizną. Czuł buzującą w środku wściekłość. Gdyby teraz doszło do ostatecznej konfrontacji, kto wie, czy nie zabijałby jak oni. Nowy Zakrzewski, cholera jasna! Musi opanować wściekłość, musi myśleć i działać racjonalnie. Ale jak to zrobić, słuchając słów tego psychopaty Bońskiego?

-- Szybko się dogadaliśmy. Pomógł mi. Okazało się, że moja żona po pijanemu wypadła z balkonu, kiedy mnie nie było w domu. Szóste piętro, nie miała wielkich szans na przeżycie. Był pogrzeb, były pod-

niosłe przemowy znajomych i przyjaciół, były łyzy. Ale nic za darmo. Kostrzewa zrobił ze mnie współnika. Razem zaczęliśmy zbierać dane o lobbystach, o ich działaniach i zależnościach. Szczególnie skupiliśmy się oczywiście na tych złych rzeczach. Chcieliśmy mieć coś, czym można by było zaszantażować organizację w krytycznym momencie. Kostrzewa może i był małym skurwysynem, dla pieniędzy zdolnym wydymać własną matkę, a potem udusić ją poduszką, ale był też całkiem sprytnym gościem. Potrzebowali kogoś do utylizacji zwłok, więc polecił mnie. Właściwie nie miałem nic do gadania, ale to on szepnął komu trzeba, że jestem najlepszy i całkowicie im podporządkowany. To była świetna fucha. Byłem tam na miejscu, wszystko miałem pod kontrolą, widziałem, kto przyjeżdża na polowanie, kto jest jego ofiarą. Kostrzewa troszczył się o twarde dowody, a nawet udało mu się zdobyć kilka zdjęć i filmików z polowań i imprez im towarzyszących. Były dragi, dziwki, wyuzdany seks, a nawet ofiary, gdy któremuś z panów milionerów puściły nerwy. I widzisz? Kostrzewa miał dobry pomysł. Gdyby nie on, teraz byś ze mną nawet nie gadał.

-- Wiedział, że część z tych papierów ukryłeś też przed nim? -- zapytał Zakrzewski.

-- Wiedział, ale nic nie mógł zrobić. My też trzymaliśmy się w klinczu.

-- Wiedział, że go kantujesz?

Boński skrzywił się z dezaprobatą. Wyraz jego twarzy zmieniał się cztery razy na minutę. Wściekłość, rozbawienie, nieufność, zadowolenie i tak na okrągło. Facet musiał być bardzo niestabilny emocjonalnie. Zresztą po tym, co przez lata robił, nie można było pozostać normalnym. Może był nienormalny, zanim zaczął to robić.

-- Od razu kantujesz! -- wykrzyknął, prawie oburzony. -- On miał swoje cele i interesy, a ja swoje. Tylko w niewielkiej części były zbieżne. Oszukiwałem ich na kasie, bo przecież za coś muszę w przyszłości ułożyć sobie życie. Zresztą oni drobnych nie liczyli. Ich podstawową jednostką monetarną była walizka pieniędzy. Jeśli liczba walizek się zgadzała, było w porządku. Ja tylko brałem sobie trochę tego, co było w środku i co w gruncie rzeczy ich nie obchodziło.

-- A papiery?

-- Papiery też mam mocne. Sam jutro zobaczysz. -- Tym razem Boński wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

-- Gdzie je schowałeś?

Były policjant spojrzał na Marcina i wyduł wargi.

-- Jutro jedziemy do Krakowa -- powiedział. -- Tyle na razie mogę ci powiedzieć.

-- Na razie nie dowiedziałem się od ciebie za wiele.

-- Bo nie zadajesz pytań, tylko robisz mi psychoanalizę.

-- J-jasne. To powiesz mi, co wiesz o Sławomirze Najmanie vel Orle, vel Jerzym Ostaszewskim.

Boński pokręcił tylko z dezaprobatą głową i prychnął.

-- Pfe! Ale wy gliniarze jesteście nudni -- powiedział. -- Naprawdę myślisz, że Najman był aż tak błyskotliwy, żeby rozkręcić taki interes w pojedynkę?

-- Domyślam się, że miał współników -- przyznał Marcin.

-- Wspólnika. Wspólnika, przed którym jeszcze trzydzieści lat później stawał na baczność i się mu kłaniał. Wspólnika, który wymyślił ten interes, naganiał chętnych na polowania, dobierał odpowiednich ludzi, a na koniec nie wahał się odstrzelić Najmana, kiedy uznał, że robi się zbyt niebezpiecznie. Tak, Najman był psychopata, lubił zabijać dla przyjemności, ale przecież nigdy by nie wymyślił malowania obrazów ludzką krwią. Do tego trzeba być wirtuozem zbrodni i dysponować niesamowitą wyobraźnią.

Zakrzewski milczał przez moment. Potem Boński długo jeszcze opowiadał.

Skończył około północy, kiedy już obaj byli skrajnie zmęczeni, a następnego dnia czekało ich znowu sporo jeżdżenia po kraju. Mimo protestów Bońskiego Marcin przykuł go do stalowej ramy łóżka w pokoju, tak że mógł tylko leżeć. O podniesieniu się nie było nawet mowy. Argument dotyczący nocnych wizyt w toalecie nie zrobił na Marcinie wrażenia. Sam rozparł się w starym, pachnącym nieświeżo fotelu i przymknął oczy. Boński jeszcze kilka minut rzucał się po skrzypiącym łóżku, próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję. Wreszcie znieruchomiał.

Więzień otworzył oczy około trzeciej w nocy, poczekał, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, i spojrzał w kierunku Zakrzewskiego. Policjant pólleżał w fotelu z otwartymi oczami. W dłoni trzymał pistolet i wpatrywał się w mężczyznę intensywnie. Pod wpływem tego wzroku Boński po raz pierwszy poczuł niepewność.

-- Kurwa, co ty, spania nie masz? -- zapytał, lecz odpowiedziała mu cisza. -- Musisz się zdrzemnąć, bo jutro zaśniesz po drodze za kółkiem i jeszcze wpieprzysz nas do rowu albo, co gorsza, pod tira.

-- Zamknij się, Boński, bo cię zaknebluję.

-- Boję się, czy nie stukniesz mnie pod osłoną nocy.
Zakrzewski posłał mu spojrzenie zimne jak lodowce Arktyki.
-- Nie bój się. Nie zastrzelę cię -- powiedział i po długiej pauzie
dodał: -- A przynajmniej jeszcze nie teraz.

13

Prokurator Andrzej Falewicz z zadowoleniem obserwował konferencję prasową posłów konserwatywnej prawicy. Kanały informacyjne potraktowały ją jako pewnego rodzaju ciekawostkę i na początku dziennikarze mówili o niej z lekkim uśmiechem politowania na ustach. Grupa posłów stała w milczeniu w tym samym miejscu w sejmie, w którym odbyły się dziesiątki takich spotkań, na tle klatki schodowej. Poseł Kopaliński, który zwołał konferencję i był teraz głównym mówcą i oskarżycielem, znany był z kontrowersyjnych poglądów na rolę kobiet w społeczeństwie, aborcję, szczepienia, wierzył w spisek Sorosa i międzynarodowych instytucji finansowych. Do tej akcji nadawał się idealnie. Miał poważną minę zbawiciela świata i osoby głęboko przekonanej, że tylko on ma rację, a reszta społeczeństwa to banda imbecyli.

Jednak mniej więcej godzinę po konferencji nastąpił nieoczekiwany zwrot akcji. Ktoś rozkolportował wśród posłów listę znanych osób, które rzekomo brały udział w polowaniach na ludzi, z dokładnymi datami, kiedy się to odbyło, do tego dołączone były kopie umów pożyczek gigantycznych kwot pieniędzy między spółkami powiązаныmi z osobami na liście, spis stowarzyszeń i fundacji wraz z listą wpłat od wymienianych wyżej osób. Były też umowy o współpracy albo na sporządzenie analiz czy prognoz z kwotami już na pierwszy rzut oka wielokrotnie przekraczającymi te rynkowe. A do tego kilkanaście zdjęć, które zszokowały wszystkich. Ich schemat pozostawał ten sam. Martwe, okrwawione ciała, a nad nimi triumfujący myśliwi z bronią, czasem z butelką wódki, świętujący udane łowy.

To było tak drastyczne, że około południa cały sejm i redakcje wszystkich najważniejszych serwisów informacyjnych zamarły, analizując te dokumenty i zdjęcia i nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Wtedy na głównej stronie największego internetowego portalu informacyjnego ukazał się artykuł redaktora naczelnego. Nikodem Węglarz, powołując się w nim na krążące od kilkudziesięciu godzin po internecie informacje o nieformalnej organizacji wspierającej swoich członków i mającej wpływ na wszystkie najważniejsze sfery życia kraju, przeanalizował pewne fakty. Węglarz nie oskarżał nikogo wprost, jedynie cytował niezależne portale, które opublikowały o poranku dane podobne do tych, które zaczęły krążyć po sejmie, tylko jeszcze bardziej szczegółowe. Do tego stawiał kilka bardzo ważnych

pytań. Czy w takim kraju jak Polska coś takiego może się dziać od wielu lat? A jeśli dzieje się naprawdę, gdzie są służby, które mają przeciwdziałać przestępczości zorganizowanej i chronić zwykłych obywateli? Dlaczego przez tyle lat te służby nie zrobiły nic? Ile osób z organizacji jest właścicielami wielkich firm i korporacji? Ile zasiada w radach nadzorczych? Czy któraś z tych firm finansowała kampanie wyborcze partii politycznych lub poszczególnych kandydatów do parlamentu? Czy w związku z tym największe partie polityczne na pewno są wolne od wpływów?

Tych pytań było o wiele więcej, ale to były tylko pytania. Węglarz napisał bardzo wyważony artykuł, bez sądów wartościujących. Po prostu jako zaniepokojony obywatel postawił szereg pytań dotyczących swojego bezpiecznego funkcjonowania w społeczeństwie i roli państwa w zapewnieniu mu tegoż bezpieczeństwa. W skanach dokumentów dostępnych na stronach portalu wszystkie pojawiające się tam nazwiska i nazwy firm zostały zaczernione, osoby i ofiary na drastycznych zdjęciach z polowań też miały rozpixselowane twarze.

Sam fakt, że jeden z największych i najbardziej opiniotwórczych portali podjął temat, znaczył naprawdę dużo. Tego nie można było zignorować pogardliwymi uśmieszkami i uwagami o nieczytelności posta Kopalińskiego, dlatego mniej więcej około godziny trzynastej rozpoczął się sejmowy armagedon. Rzecznicy prasowi poszczególnych partii po kolei organizowali swoje konferencje prasowe, na których wygłaszali oświadczenia, że oni nie mają z tym nic wspólnego, żądali od ministra spraw wewnętrznych i prokuratora generalnego podjęcia zdecydowanych działań. Oskarżali przy tym politycznych konkurentów o spisek i krycie morderców w białych kołnierzykach.

Rozpoczęcie obrad sejmu bez oficjalnego komunikatu zaczęło się opóźniać. Trwały nerwowe narady w klubach poselskich, na korytarzach dziennikarze polowali na posłów. Na ujawnionych listach nazwisk znajdowało się trzech posłów i jeden senator. Posłowie rozplynęli się w powietrzu, a senator zwołał własną konferencję, na której wykrzykiwał o spisku, próbach zdyskredytowania jego osoby, ataku wrogich sił. Tylko nie mógł się zdecydować, czy te siły mają swoją siedzibę w Brukseli, czy w Moskwie, ponieważ w nerwach kilka razy zmieniał ten fragment wypowiedzi. Poza tym straszył pozwami sądowymi na lewo i prawo. Ogólnie jego wystąpienie zostało bardzo źle odebrane. Nawet jego koledzy z partii kręcili głowami i mówili, że

mógł lepiej nic nie mówić i poczekać na wyjaśnienie sprawy, bo to wyglądało jak przyznanie się do winy.

Wreszcie przed dziennikarzami wystąpił premier rządu i przez pół godziny zapewniał, że nic z tego, co zostało ujawnione, nie było prawdą, że to materiały przygotowane przez agentów Kremla, żeby zdyskredytować polskie państwo, że wydał już odpowiednie polecenia właściwym ministrom, żeby zajęli się wyjaśnieniem tej sprawy. A tak w ogóle, że to wina opozycji, bo oni wtedy rządili i nic nie zrobili dla bezpieczeństwa obywateli. Na pytania dziennikarzy nie chciał odpowiadać. Niedługo później swoje pięć minut miał prokurator generalny. Znowu były okrągłe słowa, zapewnienia, obietnice, oskarżenia w stosunku do poprzedników.

Po tym godzinnym show zapewnień i obietnic nikt już nie miał wątpliwości, że coś jest na rzeczy i ktoś próbuje mataczyć. Komentatorzy zaproszeni przez programy informacyjne coraz bardziej skłaniali się ku takiemu twierdzeniu. Często pojawiały się sformułowania, że Węglarz jest człowiekiem poważnym i wyważonym i nie publikowałby takiego materiału, gdyby nie miał pewności, że jest on prawdziwy. Oliwy do ognia dolali byli funkcjonariusze policji i innych służb, którzy powiedzieli wprost na antenie, że takie pogłoski pojawiały się już od kilkunastu lat, tylko że w ministerstwie, w kierownictwie służb i dowództwie policji nie było woli, żeby rozpocząć śledztwo w tej sprawie. To z kolei spowodowało kolejne pytania, czy korupcja i kolesiostwo dotarły również na najwyższe szczeble policji i prokuratury.

Około piętnastej w jednej z prywatnych telewizji wyemitowany został wywiad z obecnym funkcjonariuszem CBŚP. Mężczyzna siedział oczywiście w ciemnym pokoju, tyłem do kamery, a jego głos został zmodulowany przez komputer. To, co powiedział, pogłębiło tylko szok wśród dziennikarzy i opinii publicznej. Opowiedział, jak od kilku lat specjalna tajna grupa w policji próbuje dotrzeć do organizatorów polowań na ludzi, ale jej działania są sabotowane przez zwierzchników. Tylko wytrwałości, a czasem niesubordynacji jej członków można zawdzięczać to, że grupa ciągle działa i nawet zaczęła odnosić pewne sukcesy. Zdradził też, że Jakub Boński wcale nie był seryjnym mordercą, jak brzmiała oficjalna wersja, tylko zajmował się utylizacją zwłok z polowań na ludzi. Niestety Boński uciekł za granicę i jedyny trop się urwał. Na koniec jednak zdradził, że dzięki mrówczej pracy i szczęściu w ostatnich tygodniach osią-

gnięto spore postępy. Znaleźli się świadkowie, którzy będą zeznawać, mają nazwiska zabójców, wiedzą, kim są, lada moment zaczną się zatrzymywania. Im szybciej dotrą do organizatora polowań, tym lepiej. Na koniec potwierdził, że dokumenty, które pojawiły się w sejmie i w serwisach internetowych, są ich materiałami operacyjnymi, zgromadzonymi w trakcie śledztwa. Tylko że ktoś z ich grupy wyjawiał je prasie. Właśnie trwa wewnętrzne postępowanie mające na celu złapanie kreta. Ujawnienie materiałów może zaszkodzić śledztwu albo mu pomóc. Na tę chwilę trudno mu to określić. Między innymi dlatego kierownictwo grupy zdecydowało się w taki sposób powiedzieć, jaka jest prawda i jakie działania są prowadzone.

Tymczasem fala zaniepokojenia jak tsunami rozeszła się po wszystkich sferach życia. Przecież na liście zabójców z polowań znajdowały się głównie osoby niezajmujące się polityką. Kościół nabrał wody w usta na temat figurujących tam biskupów. Zarówno tych obecnych, jak i już nieżyjących. Prezesi, biznesmeni, prawnicy, sędziowie straszili pozwami o zniesławienie i wielomilionowymi odszkodowaniami. Celebryci, aktorzy, muzycy wydawali oświadczenia mniej więcej tej samej treści, podobnie jak jeszcze inni ludzie z pierwszych stron gazet. Przez kraj przetaczało się tornado.

Falewicz, który bez przerwy oglądał wiadomości na kilku kanałach w telewizji, zadumał się. Salitra odwalił kawał dobrej roboty. Nawet się nie spodziewał, że będzie miał takie kontakty i tak to wszystko zorganizuje. Myślał, że sprawa będzie się nakręcać przez co najmniej tydzień z niewiadomym skutkiem, tymczasem już drugiego dnia afera była taka, że mówiły o tym wszystkie telewizje świata w najpopularniejszych serwisach informacyjnych. Oczywiście gdyby Polska była normalnym krajem, rząd podałyby się już do dymisji, a nie szukał winnych wszędzie, tylko nie u siebie. Ale my nie jesteśmy normalnym demokratycznym krajem i sądząc po naturze naszego społeczeństwa, nigdy nim nie będziemy.

Nawet nie wiedział, że mniej więcej w tym samym czasie haker zarządzający zorganizowaną przez siebie armią trolli w rozmowie z redaktorem Salitrą wygłaszał bardzo podobną tezę, tylko prostszymi słowami, podanymi w pikantnym sosie efektowych przekleństw. Dodał też zaraz, że nawet jeśli nie obalą rządu, i tak się oplącało. Bezcenne było zobaczyć ich miny i posłuchać ich pierdolenia.

Około piętnastej rozległ się sygnał telefonu Falewicza. Siedzący przy stole prokurator śledzący bieżące informacje na ekranie laptopa podniósł aparat, zerknął na wyświetlacz, a potem się skrzywił. Nie odebrał. Po chwili sygnał zamilkł. Siedzący naprzeciw niego zakuty w kajdanki czarnowłosa mężczyzna spojrzał na niego błyszczącymi oczami.

-- Nie jesteś wcale lepszy ode mnie, prokuratorze -- ocenił.

Falewicz patrzył na niego beznamiętnie i nie odpowiedział.

-- Nie masz skrupułów, żeby wystawić kolegę i tym samym skazać go na śmierć -- kontynuował więzień.

-- Zamknij się -- mruknął wreszcie Falewicz.

-- A jednak wyrzuty sumienia, co? -- Na twarzy tamtego pojawił się złośliwy uśmieszek.

-- Zakrzewski to bardzo dobry i inteligentny glina -- wycedził przez zęby prokurator. -- Musi poradzić sobie sam.

-- Ciekawe, co ci powie, jak kiedyś się jeszcze spotkacie? Chciałbym przy tym być.

Znowu odpowiedziało mu milczenie. Skuty kajdankami mężczyzna dostrzegł nagle swoją emocjonalną przewagę nad prokuratorem i mówił dalej z tym cholernie denerwującym uśmieszkiem na ustach:

-- Wiesz, co teraz będzie, prokuratorze?

Falewicz spojrzał na niego niechętnie.

-- Ty polujesz na grube ryby. Milionerów, polityków, prezesów, celebrytów i na kogo tam jeszcze chcesz. Ale chyba zapomniałeś, że jest jeszcze cała ławica płotek przez nich skorumpowana. To są czynni policjanci, ci ze służb, byli policjanci, byli żołnierze. Oni też poczuli zagrożenie, prokuratorze. I wiesz co? Oni są nawet bardziej zdeterminowani niż cała góra, ponieważ za nimi nie stoją najlepsze i najdroższe kancelarie prawne w kraju. Oni w większości nie mogą rzucić wszystkiego i uciec za granicę, dlatego są bardziej niebezpieczni. Oni tu do nas przyjadą, do ciebie przyjadą, po ciebie. Dla nich sprawa jest prosta. Trzeba zlikwidować miejsce przecieku, a wtedy może się uda z tego wykręcić.

Falewicz wstał, podszedł do okna i spojrzał z piętra willi w dół. Dwóch uzbrojonych po zęby antyterrorystów tkwiło na swoich miejscach przy bramie. Wiedział, że trzech innych zabezpieczało tyły domu, a jeden zajmował pozycję w środku. Poza nim był jeszcze podkomisarz Roman Bogucki pełniący funkcję łącznika między nimi a ludźmi Nawrota. Gdyby naprawdę tu przyszli, jak mówił więzień,

byli dobrze zabezpieczeni. Nic się nie mogło stać. Były tylko dwie osoby, które wiedziały, że się tu ukrywają. To były zaufane osoby, nic nie mogło wypłynąć dalej. Zawsze mogli też wezwać na pomoc ludzi Nawrota.

-- Zamknij się już -- powiedział, ciągle patrząc przez okno.

-- Liczysz na utrzymanie tego miejsca w tajemnicy? -- usłyszał kpinę zza pleców. -- Nawet nie wiesz, jak przeżarte złem są instytucje, na których tak bardzo polegasz.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do środka wszedł Bogucki. Falewicz spojrział na niego pytająco.

-- Mam dwie wiadomości, dobrą i złą -- powiedział policjant.

Falewicz w jednej chwili zalała krew. Z trudem się opanował.

-- Bogucki, przynajmniej ty mnie dzisiaj nie wkurwiasz -- warknął. -- Gadaj po kolei.

Podkomisarz spojrział na niego zdziwiony. Prokurator jeszcze nigdy nie odezwał się do niego w taki sposób. Szybko jednak ocenił, że w sumie głównie go to obchodzi. Sytuacja jest szczególna i wiele rzeczy właśnie zdarza się pierwszy raz, i tak naprawdę jeszcze nie wiadomo, jakie niesie ze sobą konsekwencje.

-- Zła jest taka, że Roch Zawidowski, prezes od kurczaków, już nic nie powie. Powiesił się na żyrandolu w swoim wypasionym domu pod miastem.

Zakuty w kajdanki mężczyzna wybuchnął aż przesadnie wesołym śmiechem, uderzając w blat stołu bransoletkami kajdanek.

-- Wiedziałem, że ten kutas nie wytrzyma napięcia i strzeli samobója. Mogłem się założyć.

-- Zamknij się -- rzucił Falewicz, nawet na niego nie zerkając.

-- Sukinsyn za miękki był na ten układ. Miłość do pieniędzy go zgubiła.

-- W dupie mam twoje zdanie! -- warknął prokurator w taki sposób, że ich więzień nagle zamilkł i więcej się nie odezwał.

Bogucki znowu chwilę wpatrywał się w dziwnie zmienioną twarz Falewicza. Ostatnio naprawdę wszystko dzieje się pierwszy raz.

-- Jeśli chodzi o pozostałych dwóch, u których wczoraj byłeś, to o poranku zgłosili się do nas ich prawnicy. Będą rozmawiać w zamian za złagodzenie wyroków, a może nawet i za coś więcej, jeśli będą mieli dobre karty do licytacji.

-- To od tego trzeba było zacząć -- mruknął prokurator. -- Na kiedy ich umówiłeś?

-- Za godzinę pierwszy. Ci od Nawrota już tam jadą.

-- Dobrze. Pojadę tylko z chłopakami. Ty zostań i pilnuj go. --
Wskazał głową na więźnia, nawet na niego nie spojrzawszy, i skierował się do drzwi.

Wyszedł, nic więcej nie mówiąc i zostawiając otwarte drzwi. Słychać było jego oddalające się kroki na korytarzu, a potem skrzypienie schodów, kiedy schodził na parter, po czym zapadła cisza. Więzień przyglądał się zamarłemu w bezruchu Boguckiemu, a na jego twarzy znowu błędził jakiś dziwny grymas.

-- Nie rozumiem cię, Bogucki, po co ci to?

Policjant tylko na niego zerknął, a potem podszedł do okna i wyjrzał na podwórze. Pod wejście podjeżdżał akurat samochód, prokurator zamienił dwa słowa z ochroną i wsiadł, trzaskając drzwiami. Tylko że auto na razie nie odjeżdżało. Nawet kiedy wreszcie brama się otworzyła.

-- Po co ci to? -- powtórzył zakuty w kajdanki mężczyzna.

Bogucki bez słowa wyjął paczkę papierosów i zapalił, przypalając wyciągniętą z niej zapalniczką. Po sekundzie zapalniczka znowu zniknęła w paczce.

-- Hej, a ja?!

Policjant rzucił mężczyźnie paczkę, ten mimo skutych rąk chwycił ją sprawnie i też zapalił, zaciągając się z błogością. Falewicz nadal nie odjeżdżał.

-- Posłuchaj mnie, Bogucki -- zaczął znowu więzień. -- Nawet nie wiesz, w co się wpakowałeś. Wiesz, że z tego gówna są dla ciebie tylko dwa wyjścia? Oba złe.

Dopiero teraz podkomisarz jakby się ocknął.

-- Mianowicie? Kurwa, oświeć mnie, panie wszystkowiedzący.

-- Proszę bardzo. -- Facet zaciągnął się tak, że żar strawił fajkę aż do połowy. -- Wiesz, że tej waszej akcji nie da się ukryć. Na pewno macie jakiegoś kreta, który już doniósł komu trzeba. Oni tu przyjadą i was wykończą. Za wiele osób ma za dużo do stracenia, żebyście przeżyli.

-- A ty? Skończysz tak samo.

-- Ja to płotka teraz jestem. Skończę tak samo jak wy i im dłużej tu siedzę, tym bardziej prawdopodobne to się staje. Ale chuj ze mną, ja może sobie zasłużyłem. Ale ty, Bogucki? Naprawdę chcesz tak ryzykować? Wiesz, ile jest jeszcze na tym świecie whisky do wypicia i dup do zerznięcia?

Auto z prokuratorem nareszcie ruszyło, wyjechało na ulicę i zniknęło za rogiem.

-- To twoja pierwsza gówniana opcja -- mówił dalej mężczyzna. -- Jest jeszcze druga, tak samo zafajdana. Nawet jeśli uda ci się przeżyć, w co wątpię, i tak będziesz skończony. Prokurator Falewicz na pewno się dowie, jakie brzydkie rzeczy dla nas robiłeś. Wiesz przecież, że w życiu są rzeczy niewybaczalne. I on ci nie wybaczy, jest zbyt dumny, a poza tym nic nie będzie mógł. Nie będzie miał nic do gadania, bo inni śledczy się za ciebie wezmą i też skończysz w pierdlu. To ja się ciebie pytam, po co ci to? Żal za grzechy, win odkupienie? Przecież to są bzdury.

Bogucki nagle ożył, ale nie na tyle, żeby przyspieszyć. Swoim powolnym krokiem podszedł do stołu i usiadł po drugiej stronie. Głos nadal miał beznamiętny i powolny jak zawsze.

-- Czego ty ode mnie chcesz? -- zapytał.

-- Tylko porozmawiać. -- Na twarzy tamtego znowu wykwitł ten sam trochę kpiący, trochę złowieszczy uśmiech, a oczy zabłyśły mu jeszcze bardziej.

Wyglądał, jakby wciągnął właśnie kreskę i popił butelką wódki. Trochę nierealnie, ale umysł miał ostry jak brzytwa.

-- Romek, przecież w szkole policyjnej byliśmy najlepszymi kumplami -- mówił dalej. -- Już nie pamiętasz, jak razem piliśmy wódkę, paliliśmy marychę i dymaliśmy chętne laski? Nie wierzę. Takich rzeczy się nie zapomina. Gdybyś nie miał zbyt wielkich ambicji i nie przeniósł się do Krakowa, pewnie robilibyśmy to razem.

-- Pierdolisz, człowieku, to było kiedyś. To już nie wróci, jesteśmy inni i mamy inne cele.

-- Ale byliśmy dobrymi kumplami.

-- To chyba tylko w twojej głowie.

-- Ja się naszej znajomości nie wypieram, a z ciebie wychodzi teraz ten zakłamany sukinsyn, którym zawsze byłeś.

Nagle skrzypnęły drzwi i do środka zajrzał ochroniarz. Ten, który miał nad wszystkim czuwać w środku willi. Popatrzył na nich obojętnie i po chwili się wycofał, a kroki się oddaliły. Bogucki przeklął pod nosem. Nie usłyszał, jak nadchodzi. A może przez cały czas słuchał tego, co mówią? Wstał i zamknął starannie drzwi. Potem wrócił na swoje miejsce i położył przed sobą walthera.

-- Do rzeczy, kolego -- powiedział twardo.

Skuty mężczyzna rozpromienił się nagle, jakby zobaczył wygrywające numery na swoim kuponie z lotto. Może tak właśnie było, tylko trzeba włożyć trochę wysiłku, żeby wygrana była pełna. Ściszył głos i nachylił się nad stołem.

-- Tak jak wspominałem, i tak jesteś w dupie. Ale ze mną będziesz miał szansę się z tego wyrwać. Oprócz tych cholernych zdjęć i papierów mam jeszcze ukrytą gotówkę. Euro, dolary, złotówki, co tam tylko chcesz. Będzie tego ze trzy duże bańki. Co powiesz na podział fifty-fifty? Pomóż mi stąd zwać i kasa jest twoja. Na początek wystarczy, żeby urządzić się w przyjaznym kraju bez umowy o ekstradycji. Co ty na to?

Bogucki się zastanawiał. Przecież każde słowo tamtego było prawdziwe. Jest w sytuacji, o której powiedzieć, że jest niespecjalnie korzystna, to tak, jakby nic nie powiedzieć. Wolno zapalił kolejnego papierosa, wpatrując się w byłego kolegę. Ten najwidoczniej poczuł swoją szansę, ponieważ spowaźniał i jeszcze bardziej ściszył głos.

-- Romek, to jest tak jak z oknem pogodowym. Pojawia się na chwilę, a potem znika, żeby się nigdy nie powtórzyć. Ty masz teraz takie okienko. My mamy. Falewicz jest zajęty czym innym, daj mi broń, załatwmy ochronę i spierdalajmy stąd na drugi koniec świata.

Bogucki palił, przypatrując mu się uważnie. Mężczyzna pod wpływem jego wzroku zaczął się niecierpliwić. Nie był pewien, czy Bogucki widzi sytuację tak samo jak on.

-- Romek, zawsze jest czas, żeby dostać długoletni wyrok. Moim zdaniem nie ma co się spieszyć. Można wcześniej poużywać życia, żeby potem w mamrze było co wspominać.

Podkomisarz wolno zgasił papierosa na talerzyku służącym im za popielniczkę, następnie spojrzał mu poważnie w oczy. Zanim się jednak odezwał, zerknął jeszcze na drzwi i też ściszył głos.

-- Dwie bańki dla mnie, reszta dla ciebie -- powiedział.

Skuty kajdankami mężczyzna zachnął się i szarpnął, aż bransoletki zabrzączały o blat.

-- Kurwa, nie jesteś zbyt pazerny? -- warknął. -- Daję ci połowę z tego, co mam.

Twarz policjanta drgnęła po raz pierwszy od początku rozmowy. Pojawił się na niej cyniczny uśmiech.

-- Ty chyba jednak nie do końca trafnie oceniasz swoje położenie -- wycedził przez zęby. -- Ja mam pistolet, a ty siedzisz zakuty w kajdanki. Żeby było zabawniej, to ja mam kluczyki.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kluczyk i położył go obok pistoletu. Więzień popatrzył na niego pożądliwie i oblizwał wargi.

-- Dobrze, umowa stoi -- powiedział po namyśle.

-- Widzisz, jaki mam dar przekonywania. -- Uśmiezek nie scho-
dził z warg Boguckiego. -- Ale to nie wszystko.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu szarpnął się jeszcze mocniej. W jego oczach pojawiła się wściekłość.

-- Czego jeszcze chcesz?

Podkomisarz teatralnym gestem włożył mały palec prawej dłoni w kółko przy kluczyku, uniósł go, jakby chciał obejrzeć pod światło. Potem jego spojrzenie znowu skoncentrowało się na więźniu.

-- Też chciałbym mieć kartę przetargową na czarną godzinę, kiedy dopadną mnie twoi koledzy albo prokurator Falewicz -- wycedził wolno.

Teraz rozmówca patrzył na niego nieufnie.

-- Czego jeszcze chcesz? -- powtórzył.

-- Powiedz mi to, czego jeszcze Falewiczowi nie powiedziałeś i czego nigdy mu nie powiesz.

-- O co ci chodzi?

-- Kurwa, zgrywasz mądrą, a jeszcze nie skumałeś? Powiedz mi, kto był współnikiem Ostaszewskiego vel Najmana nazywanego Orłem. Prawda, że niewiele od ciebie oczekuję?

-- Kurwa -- rzucił jego rozmówca i nerwowo kręcił się na krześle, rzucając wściekle spojrzenia to na niego, to na kluczyk na jego palcu.

Bogucki zapalił jeszcze jednego papierosa, pchnął paczkę przez stół i po chwili palili obaj w milczeniu. Policjant znowu wyglądał, jakby był gdzieś indziej i to, co dzieje się w pokoju, interesowało go tak jak zeszłoroczny śnieg, którego przecież w zimie prawie nie było. Czyli jeszcze mniej. Milczenie się przedłużało.

-- Dobrze -- dobiegł go wreszcie wściekły syk dochodzący z drugiej strony stołu. -- Ale jak już się stąd wydostaniemy.

Podkomisarz udał, że teraz on się zastanawia. Wreszcie skinął obojętnie głową.

-- Mamy umowę -- zgodził się.

14

Koła szumiały jednostajnie na asfalcie.

Z domu na skraju wioski wyjechali około dziesiątej. Zakrzewski zwlekał, targany wewnętrznymi złymi przeczuciami. Nic się jednak złego nie działo. Prawdopodobnie nikt nawet nie wiedział, że tam byli. Zanim wyjechali na główną drogę, przejechał nią radiowóz na sygnale, lecz to musiał być przypadek, gdyż nawet nie zwolnił i już za sekundę mijał znak końca miejscowości, a następnie zniknął gdzieś na linii lasu. Mimo to Marcin ruszył w przeciwną stronę i przez pierwszych kilka kilometrów mocno naciskał na pedał gazu. Jakub Boński siedział obok przykuty do rączki nad siedzeniem pasażera i nic nie mówił. Wyglądał jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia. Wory pod oczami się pogłębiły, śmiertelna bladość jeszcze bardziej zarysowała się na policzkach, tylko oczy świeciły mu, jakby temperatura jego ciała gwałtownie wzrosła do czterdziestu stopni. Zakrzewski wiedział, że jeśli spał tej nocy, to godzinę, może dwie, i jego zmęczenie narastało, a to wcale nie była dobra sytuacja. Jeśli zmęczenie zaburzy mu racjonalne myślenie, może być z nim kłopot, ponieważ stanie się nieprzewidywalny.

Nadkomisarz sam czuł ostatnie kilkadziesiąt godzin w kościach. Cholera, nie był młodzieniaszkiem, nie zaliczał się do filmowych supermenów, którzy w sytuacjach ekstremalnych nie sypiają, nie jedzą, nie chodzą do toalety, skupieni tylko na ucieczce lub pościgu. On niestety był tylko człowiekiem i musiał zaplanować odpoczynek, jeśli sam nie chce zacząć popełniać głupich błędów. Na przykład takich jak spowodowanie wypadku samochodowego, który mógł przekreślić nawet najdoskonalsze plany.

Kilkanaście kilometrów dalej zajechali na małą stację benzynową na skraju innej wioski. To też był z góry ustalony punkt, gdzie spokojnie mogli zatankować. Najważniejszy był brak monitoringu, który teraz w takich miejscach jest powszechny. Kamery śledzą klientów zarówno przy dystrybutorach paliwa podczas tankowania, jak i później w budynku stacji przy kasie. Tu co prawda były kamery, ale ludzie ze służb od Nawrota sprawdzili, że to tylko atrapy dla odstraszania ewentualnych oszustów. Stacja była za mała i osiągała za niskie dochody, żeby właściciel mógł sobie pozwolić na taki luksus. Takich prywatnych małych stacji było w kraju już coraz mniej. Dominowały stacje koncernów paliwowych i sieci dystrybucyjnych. Ta żyła tylko

dlatego, że okoliczni rolnicy tankowali na niej swoje traktory i maszyny, ponieważ było blisko i ceny były przyzwoite.

Marcin zatankował do pełna, zostawił na chwilę Bońskiego w zamkniętym aucie i poszedł zapłacić gotówką. Starał się za mocno nie rzucać w oczy. Licho nie śpi. Na szczęście kasjer nawet na niego nie spojrzał. Patrzył za to w ekran telewizora stojącego po jego prawej stronie. Marcin tylko zerknął i już wiedział, co ogląda. Relacja z konferencji prasowej w sejmie, na której po raz pierwszy ktoś głośno zapytał rząd o polowania na ludzi, i komentarze w studiu. Paski na dole ekranu prześcigały się w nonsensownych podsumowaniach. Od kpin z poczytalności posła prawicy do poważnych pytań, czy coś takiego jest w ogóle możliwe pod nosem służb pilnujących przestrzegania prawa.

-- Widział pan coś takiego? -- zapytał go młody pracownik stacji, kiedy przyszło do zapłaty rachunku.

Na szczęście ani razu na niego uważnie nie spojrzał. Ekran przyciągał jego wzrok jak magnes. Zamieszanie w telewizji było Zakrzewskiemu na rękę. Pościg za Bońskim na pewno nie trafi przez to do głównych wiadomości. Nawet gdyby poszedł przeciek do mediów, jest teraz bardziej nośny temat.

-- Nie -- powiedział krótko.

Sprzedawca zerknął tylko na banknoty i jego wzrok znowu powędrował w kierunku telewizora.

-- Kurwa, tym milionerom się już w dupach poprzewracało z tego bogactwa -- mówił, odliczając resztę. -- Co ja mówię, w dupach. Okazuje się, że to są psychopaci i mordercy. Jak żyć w takim kraju, proszę pana?

-- Myśli pan, że to prawda? -- zapytał Marcin z powątpiewaniem.

-- Panie, na pewno prawda! Pewnie w tej chorej Unii Europejskiej jeszcze gorsze rzeczy się dzieją!

-- Myśli pan?

-- No pewnie! Przecież to stamtąd pewnie ta zaraza do nas przyszła. Cholerni hipokryci z Brukseli. Nam ciągle mówią, co mamy robić, a czego nie, a sami to mordercy i zwyrodnialcy.

-- Nie, panie, ciężko w to uwierzyć. -- Marcin pokręcił głową.

-- Mówię panu, że to prawda! -- zaperzył się sprzedawca, ciągle nie patrząc na rozmówcę, tylko zerkając na ekran. -- Dziwię się, że nasz rząd jeszcze się tym nie zajął, ale pewnie ukrywali to jak

wszystko inne albo odwracali uwagę. Ale teraz to się już, kurwa, skończy.

-- Też mam taką nadzieję -- mruknął Zakrzewski.

-- A widzi pan! Na pewno.

Policjant rzucił jeszcze zdawkowe pożegnanie i poszedł do auta. Boński siedział tak, jak go zostawił. Patrzył teraz na niego przez szybę tymi oczami lśnącymi jak skażone obłędem diamenty. Kiedy odjechali, Zakrzewski uchylił boczne szyby, bo tego dnia upał znowu dawał się mocno we znaki. Powietrze wpadające do środka przyniosło trochę ulgi.

-- Ręce mi zdrętwiały -- jęknął Boński, kiedy tylko zagłębili się w las za miejscowością. -- Rozkuj mnie na chwilę, bo mnie zaraz szlag trafi.

Po chwili zastanowienia Marcin uznał, że więzień ma rację. Zatrzymał się na poboczu drogi, otworzył drzwi od strony pasażera i włożył Bońskiemu do ręki kluczyk do kajdanek. Sam stanął w pewnej odległości, trzymając dłoń na wciśniętym z tyłu za pasek spodni pistolecie. Z szumem minęły ich dwa auta.

-- Rozkuj się i przykuj do podłokietnika na drzwiach -- polecił. -- Przelóż kajdanki przez ten otwór w uchwycie.

Boński spróbował, ale palce naprawdę mu zdrętwiały, kluczyk mu się wymknął i spadł na asfalt. Marcin podszedł ostrożnie, żeby go podnieść, i wtedy noga więźnia wystrzeliła do przodu, celując w jego głowę. Marcin był na to gotowy, ale ze względu na ograniczoną przestrzeń kopnięcie nie było mocne i nie trafiło celu. Nadkomisarz podskoczył i wymierzył Bońskiemu cios pięścią w ucho. Głowa mu odskoczyła, jęknął i z jego ust popłynął ciąg przekleństw. Zanim otrząsnął się z oszołomienia, był już przykuty do podłokietnika, a Marcin wsiadał za kierownicę. Pojechali dalej.

-- Nie rób tego więcej -- warknął Zakrzewski. -- Też jestem zmęczony, mógłbym użyć broni niezgodnie z regulaminem, bez strzału w powietrze.

Jakub Boński tylko wyszczerzył w jego kierunku zęby w szerokim uśmiechu.

-- Musiałem spróbować, to silniejsze ode mnie -- powiedział z rozbijającą szczerością.

Potem zasnął, z głową opartą o szybę. Odsypiał tak prawie dwie godziny. Obudził się, klnąc na zdrętwiały kark i niewygodną pozycję. Przez ten czas posuwali się wolno bocznymi drogami w kierunku

Krakowa. Znowu trzysta kilometrów mieli przejechać w sześć godzin.

-- Dlaczego Kraków? -- zapytał Zakrzewski, kiedy już Boński doszedł trochę do siebie.

Marcin też po drodze miał kryzys i oczy same mu się zamykały. Teraz zagadał, żeby się nieco obudzić.

-- Moi starzy mieszkali w Krakowie, zanim ich diabli wzięli -- odrzekł obojętnie więzień. -- Tam się wychowałem, tam zaczynałem pracę i tam zabiłem żonę. Ostatnie dziesięć lat spędziłem w Bytowie.

-- A to mieszkanie, w którym ukryłeś fanty?

-- Po moich starych. Nigdy go nie sprzedałem, ale też rzadko tam zaglądałem. Bo i po co?

Zakrzewski pokiwał głową. Po chwili odezwał się znowu.

-- Teraz znów przyszedł czas, żebyś zaczął zarabiać na swoją wolność.

-- Czego ty jeszcze chcesz?

-- Informacji, jeszcze się nie zorientowałeś?

Boński nachylił się nagle do skutych rąk i podrapał się po nosie. Nędzny teatrzyk, żeby tylko zyskać kilka sekund do namysłu.

-- Powiedziałem ci, co chciałeś -- mruknął.

-- Gównu mi powiedziałeś. Wiesz, że najbardziej interesuje mnie, kto był współnikiem Ostaszewskiego.

Ponownie długo panowało milczenie.

-- Nie wiem, nad czym ty się jeszcze zastanawiasz -- odezwał się znowu Marcin. -- W sytuacji, w jakiej się znalazłeś, szczerść jest jedyną dobrą drogą. Przecież już o tym rozmawialiśmy.

-- Nie znałem współnika Ostaszewskiego. Ale o nim słyszałem. Nazywali go Drugi. -- Były policjant wzruszył ramionami. -- Pewnie jednak był pierwszy, skoro odstrzelił Ostaszewskiego. Albo chciał być pierwszy?

-- A ty jak myślisz?

-- Człowieku, już ci mówiłem, ja nie byłem tam od myślenia.

-- A jednak kręciłeś swoje interesy wyjątkowo rozmyślnie -- zapisał Zakrzewski. -- Skoro nie zauważyli, że kroisz im kasę i zbierasz pamiątki do albumu, to nie byłeś taki pierwszy lepszy.

Boński nagle ziewnął. Tak jak to się zdarzało już kilkakrotnie, naraż jego nastrój się zmienił. Ze znudzonego niedźwiedzia nagle przestoczył się we wkurwionego dobermana.

-- Nie chce mi się dużo gadać. Zadaj konkretne pytanie, to usłyszysz odpowiedź.

Wjechali akurat na rondo, skąd można było skręcić w lewo i wjechać na A4 tuż przed Balicami, ale Zakrzewski pojechał prosto. Chwilę jechali wzdłuż autostrady, a potem droga gwałtownie odbiła na południe. Do Krakowa było już niedaleko, a jednak według jego planu mieli jeszcze do przejechania prawie sto kilometrów, potem do miasta mieli wjechać od strony Wieliczki i dalej już w kierunku dzielnicy, gdzie Boński miał mieszkanie w czterorodzinnym domu. Marcin odezwał się dopiero, kiedy oddalili się trochę od ronda.

-- Drugi kazał załatwić Ostaszewskiego, bo się przestraszył, że policja się nim zainteresowała i pyta o konkretne rzeczy związane z porwaniami. Tak?

Boński prychnął.

-- Może tak, może nie. Ja tam jasnowidzem nie jestem.

-- Ale po śmierci milionera interes dalej się kręcił?

-- Tak.

-- To co się stało, że go zwija?

Więzien odchylił się z westchnieniem w fotelu.

-- Jak to zgrabnie ująłeś: "interes się kręcił" już od lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. A który mamy teraz rok?

-- Co to ma do rzeczy?

-- Cholera, ma. Nie rozumiesz, Zakrzewski? Starość, Drugiego dopadła starość! Co z tego, że masz kupę hajsu, wpływy od Lizbony po Władystok, jak w końcu i ciebie dopadnie starość?

Zakrzewski przeklął w myślach. O takim rozwiązaniu nie pomyślał, a w tych słowach czaiła się bezwzględna prawda. Czas jest nieubłagany, a kosa tnie tak samo żebraka jak króla. Może nawet króla z większą satysfakcją. To rozwiązanie wcale jednak nie było dobre. Marcina nie interesowała sprawiedliwość po śmierci. On chciał tej sprawiedliwości na tym świecie, tu i teraz, dlatego został policjantem i taki był jego psi obowiązek. Żeby sukinsynów stawiać przed sądem.

-- Drugi umarł? -- zapytał.

-- Pewnie lepiej dla niego byłoby, żeby umarł. Wtedy nikt by się nie dowiedział, że kierował mafijnymi strukturami, i pozostałby w ludzkiej pamięci tak, jak pewnie to sobie wyobraził. Jako dobroczyńca, filantrop, sponsor, wspaniały mąż i ojciec i cudowny dziadek. Ale nie dane mu było aż takie szczęście.

-- To znaczy?

Boński spojrzał nagle na Marcina jeszcze inaczej niż do tej pory. Teraz to było spojrzenie wściekłego psa. Cholernego dobermana ogarniętego żądzą zemsty.

-- Ciężko zachorował. -- Nawet w gardle kipiała mu ta nienawiść, ponieważ w tej sekundzie ochrypl. -- Stracił możliwość zarządzania, a na taką sytuację była opracowana dokładna instrukcja. Likwidujemy świadków i zwijamy interes.

-- I są wykonawcy takiego planu? Jakaś specjalna brygada?

-- Zakrzewski, ty się zgrywasz czy znowu mnie testujesz? Za dużo wpływowych osób straciłoby wszystko, gdyby takiej brygady nie było. Po was też przyjadą. Może ustrzelicie kilka znanych osób, ale to będzie tylko niewielki procent. Reszta się wywinie, nie dacie rady.

-- Mnie interesuje tylko sama góra.

-- No to gratuluję optymizmu. -- Boński zaśmiał się chrapliwie.

-- Skąd tyle wiesz i jak ci się udało uciec przed obławą w Bytowie? Skuty kajdankami milczał długo.

-- Całą komendę w Bytowie miałem w kieszeni. Ostrzegli mnie. A o chorobie Drugiego wiem od Kostrzewy. Przyjechał do mnie spanikowany. Myślał, że zabiją też i jego. Głupi sukinsyn.

Godzinę później dojechali na miejsce. Przy ulicy stał rząd takich samych budynków z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Szare domy były odrapane i sprawiały przygnębiające wrażenie. Pewnie mieszkali w nich starzy ludzie. Nowe pokolenia przeprowadziły się do nowych bloków bliżej centrum i zapomniały o rodzicach albo dziadkach, którzy w spokoju dożywali swoich dni. Zmiana pokoleniowa dla tych miejsc dokonywała się bardzo wolno. Marcin znał to z Wrocławia. Zresztą chyba każde większe miasto miało w swoich granicach takie przygnębiające miejsca. Pewnie przestępczość tu też była wyższa niż średnia miejska. Jak nie teraz, to na pewno jeszcze kilkanaście lat wcześniej. Szybko znaleźli dom numer trzydzieści jeden i mieszkanie D.

Każdy dom miał niewielkie podwórze i jeszcze bardziej zaniedbane, rozwalające się garaże i komórki z tyłu. Od frontu były mieszkania A i B, kolejne znajdowały się od tyłu. Zgodnie z instrukcjami Bońskiego Zakrzewski objechał budynek i zaparkował przy kilku schodach prowadzących do starych brązowych drzwi. Kiedyś pewnie były złote, ale teraz straciły dawny blask jak wszystko wokół. Na drzwiach pod literą wisiała zardzewiała skrzynka na listy. Zasłony w brudnych oknach były zaciągnięte i mieszkanie wyglądało, jakby

naprawdę nikogo tu nie było od wielu lat. Słońce przechyliło się ku zachodowi i podwórze, na którym stanęli, pogrążyło się w przyjemnym cieniu. Gdyby tylko powiał jeszcze niewielki wiaterek, mogłoby być całkiem przyjemnie. Po długiej jeździe samochodem Marcin lepił się od potu. W ciągu najbliższych godzin nie było raczej szans na porządny prysznic.

Wysiadł z auta i znieruchomiał, wpatrując się w drzwi. Niepokój, który dotąd go nie opuszczał, nagle eksplodował w zwielokrotnionej formie. Drzwi były zaklejone policyjnymi taśmami. Boński też już musiał je zauważyć, ponieważ nagle zaczął kłąć pod nosem. Zakładali, że podczas pościgu za Bońskim trzy miesiące temu policja na pewno tu trafi, jednak taśmy naklejone na drzwi mieszkania wyglądały na nowe. Policja musiała być tu całkiem niedawno. Na pewno nie wczoraj ani dzisiaj, ale niedawno.

Zanim Marcin zdążył się nad tym zastanowić, drzwi do mieszkania z literką C otworzyły się gwałtownie i pojawił się w nich około dziesięcioletni chłopak, zbiegł po kilku schodach do stojącego tam roweru i nagle zamarł na widok Zakrzewskiego i samochodu. Patrzył z zaciekawieniem i chyba z lekkim przestraczeniem. Zakrzewski szybko do niego podszedł i machnął mu blachą. To tylko spotęgowało strach w oczach chłopca. Dla rozluźnienia atmosfery Marcin uśmiechnął się do niego szeroko i wyciągnął rękę na powitanie.

-- Cześć, mam na imię Marcin, jestem policjantem -- powiedział.
-- Mieszkasz tu?

Nieśmiały uśmiech i potwierdzające skinienie głową.

-- Może zauważyłeś, czy nie kręcił się tu nikt podejrzany w ostatnich dniach?

-- Nie -- padła cicha odpowiedź.

-- To znaczy: nikogo nie było?

-- Tak.

Marcin zerknął do tyłu na samochód. Boński siedział w tej samej pozycji i nadstawił uszu przez otwartą boczną szybę.

-- Jesteś pewien? -- dopytywał Zakrzewski. -- Chodzi mi o te ostatnie dni, policja była tu niedawno. Kiedy to było, bo już nie pamiętam?

-- Ze dwa tygodnie temu -- odpowiedział szybko chłopak.

-- No właśnie, dwa tygodnie. To nie widziałeś nikogo podejrzanego?

-- Nie.

-- Dziękuję, bardzo nam pomogłeś. Możesz już jechać, nie zatrzymuję cię.

Chłopak spojrział na Zakrzewskiego, tym razem z wyrazem rozczarowania na twarzy, ale zgodnie z sugestią wskoczył na rower i po chwili już go nie było.

Marcin stał przez moment, rozmyślając gorączkowo. Gdzieś w głowie zaczynały kiełkować mu złe myśli. Dotąd realizował plan ustalony wcześniej z Falewiczem i Nawrotem. Tylko czy czasem nie za mocno skupił się na jego realizacji? Cholera jasna! Zacisnął szczęki w bezsilnej wściekłości i nareszcie zaczął rozsądnie myśleć. A wnioski, jakie przychodziły mu do głowy, były nieszczerólnie dobre.

Wrócił do samochodu dopiero po długich kilkudziesięciu sekundach. Buzowała w nim wściekłość. Na układy, a przede wszystkim na swoją głupotę. Czy Salitra też wiedział, o co w tym wszystkim chodzi? Gdyby go teraz spotkał, mogłoby to dla nich obu nie skończyć się dobrze. Podobnie jak spotkanie z prokuratorem Falewiczem, tym cholernym człowiekiem sukcesu w eleganckich marynarkach.

Boński popatrzył na niego z ciekawością.

-- Dowiedziałeś się czegoś? -- zapytał.

-- Nawet więcej, niż chciałem. Byli tu ze dwa tygodnie temu. Jak myślisz, czego szukali?

Były policjant z Bytowa tylko wzruszył ramionami.

-- Przekonajmy się.

Zgodnie z procedurą, którą przerabiali już kilkakrotnie, Marcin dał mu kluczyk od kajdanek, odszedł na parę kroków, trzymając w dłoni kolbę pistoletu ukrytego z tyłu za paskiem od spodni. Boński rozpiął kajdanki, spojrział na niego ponuro, potem znowu zapiął sobie bransoletki na nadgarstkach i odrzucił mu kluczyk. Do drzwi poszedł pierwszy, Zakrzewski w pełnej gotowości podążył za nim i patrzył, jak zrywa policyjne taśmy, a potem naciska klamkę. Drzwi uchylły się, ukazując zniszczony zamek. Marcin ruchem głowy kazał mu wejść do środka.

W mieszkaniu panował zaduch dawno niewietrzonych pomieszczeń. Czuć było wilgoć, a być może nawet i grzyby rozwijające się w zawilgoconych ścianach. Boński wszedł pewnie do pokoju, stanął i spojrział dziwnie na nadkomisarza. W rogu pokoju stał stary piec kafłowy. Można by było nie zwrócić na niego uwagi, gdyby nie dwa rozwalone kafle, których szczątki wały się po szarym od kurzu dy-

wanie. To była skrytka Bońskiego, którą ktoś opróżnił około dwóch tygodni wcześniej.

-- Chyba nic z tego nie będzie, panie policjancie. -- Nawet w takiej sytuacji Boński nie powstrzymał się od ironii w głosie.

Zakrzewski wyciągnął telefon i wybrał jedyny numer, który był zapisany w książce telefonicznej. Numer do prokuratora Falewicza. Nikt nie odebrał, nikt nie oddzwonił. Marcin stał długą chwilę nieruchomy i wściekły, wreszcie z całej siły rzucił telefonem o ścianę. Aparat rozpadł się na kilka kawałków, które rozsypały się po całym pokoju.

-- I co teraz? -- rzucił Boński.

Zakrzewski wyszarpnął pistolet zza paska i bez słowa w niego wycelował. Cyniczny uśmiezek spełził z twarzy tamtego, zastąpiony przez autentyczny niepokój.

15

Telefon piknął ostrzegawczo.

Niki jęknął w duchu i chyba dopiero teraz się przestraszył. Skoczył szybko do komputera i wywołał obraz kamer monitoringu. Do wynajmowanego przez niego starego domu, położonego wśród ogrodów działkowych na warszawskich Siekierkach, skręcał akurat samochód. Cholera, to nie było nawet czarne wielkie auto jak na amerykańskich filmach, tylko zwykła srebrna skoda. Z tej odległości kamery nie wyłapywały wszystkich szczegółów, ale od razu domyślił się, że w środku siedzi co najmniej czterech mężczyzn. Pozostała mu nie więcej niż minuta na ewakuację. Spokojnie, zdąży. Przecież taki wariant też przewidzieli z Salitrą. Tylko nie spodziewali się, że akcja potoczy się tak szybko. No cóż, trudno. Jak chce się obalić rząd, to zawsze istnieje jakieś niebezpieczeństwo wpadki. Ryzyko zawodowe. Zresztą, pieprzyć wszystko, nich żyje anarchia. Przygody są przecież jego drugą naturą. Niech żyje życie i na pohybel pierdolonym kapitalistom i komunistom w jednym.

Wyciągnął z biurka wielką torbę i szybko zgarnął do niej wszystko, co miał na blacie. Zabrakło sekundy, żeby razem z papierami, telefonami komórkowymi, plikami banknotów i paczkami czipsów trafiła tam też świeżo zaparzona, czarna jak smoła kawa. Wstrzymał się w ostatniej chwili. Klnąc, wrzucił do torby jeszcze trzy laptopy ze stołu obok. Na progu pomieszczenia zatrzymał się na kilka sekund, obrzucając spojrzeniem sprzęt, który zostanie tu już na zawsze. A właściwie cały stos bardzo drogiego sprzętu. Trochę mu było szkoda, ale zaraz wytłumaczył sobie, że to tylko nic nieznacząca kupa złomu. Kasę ma, będzie okazja do zakupu czegoś nowego. Był fanatykiem nowego sprzętu. Zawsze starał się mieć najnowsze podzespoły w komputerach i najbardziej aktualne oprogramowanie. Co z tego, że pirackie albo skrakowane, ważne, że najnowsze.

Usłyszał chrzęst żwiru pod kołami hamującego auta i trzask drzwiczek. Rzucił się w kierunku wejścia do piwnicy. Po chwili doszedł do niego huk wyłamywanych kopnięciami podkutych buciorów drzwi wejściowych. Cholera, Wersal się skończył. Pewnie zastrzeliliby go, zanim zdążyłby powiedzieć dzień dobry. A z pewnością byłoby jeszcze gorzej, gdyby to oni mieli do niego jakieś pytania. Bo dla czego nie? Wtedy prawdopodobnie modliłby się o szybką kulę przerywającą cierpienie. Bał się bólu, wcale nie uważał się za twar-

dziela, a gdyby tylko zaczęli wykręcać mu porządnie palce, już śpiewałby jak Kiepusa o wszystkich znanych sobie brunetkach i blondynkach. Wliczając do tego brunetki i blondynki męskiego rodzaju.

Zbiegł szybko po schodach do piwnicy, zamknął za sobą masywne drzwi i zablokował je metalową sztabą. Tych tak łatwo nie da się wyważyć butami. Nawet gdyby kopał Anthony "Giant" Callaghan. Zapalił latarkę w komórce i biegł kilkanaście metrów długim korytarem, a kiedy ten się zwęził, z trudem się przez niego przepychał. Czasem musiał iść bokiem, żeby dostać się na jego koniec. Wynajmował ponad stuletni dom w Warszawie, który przeżył hitlerowską okupację i powstanie. Ten tunel pewnie też pochodził właśnie z tamtych czasów. Solidna robota. Dom nagrał mu kolega, pasjonat historii Warszawy i powstania warszawskiego. Gość znał się na rzeczy i dzięki temu teraz Niki będzie jeszcze jakiś czas cieszył się życiem i zdrowiem na tym sparszywiałym świecie.

Wyjście z tunelu znajdowało się ponad sto metrów dalej, w lasku przy wale Wisły. Szybko wspinał się na wał i ruszył biegiem. Może jeszcze uda mu się, kurwa, obalić ten pieprzony rząd. Przecież nic się jeszcze nie skończyło. Teraz przenosił się tylko na inną metę i tam to go już nawet śmierć nie znajdzie. Nie, zaraz, wróc. To nie było dobre porównanie.

Piknął telefon.

Redaktor Krzysztof Salitra przeczytał wiadomość od Nikiego: "Przyszli po mnie. Uciekam. Druga meta". Komunikator, który zainstalował mu sam haker, był podobno bezpieczny i można było na nim pisać o wszystkim. Salitra nie miał powodów, aby w to wątpić, więc prócz wiązki przekleństw, którą sam puścił, natychmiast przystąpił do realizacji ich planu B. Szybko spakował swoje rzeczy do torby, zamknął drzwi na klucz, który schował pod wycieraczką. Od dwóch tygodni wynajmował małe mieszkanie w starszej części Ursynowa. Nie zdążył się zadomowić, bo właśnie się wyprowadzał. Mimo ósmego piętra zrezygnował z windy i wolno schodził schodami. Zaspął się, zanim znalazł się na parkingu pod blokiem, gdzie czekał na niego czarny ford s-max. Zanim podszedł do auta, długo omiatał wzrokiem otoczenie. Nie dostrzegłszy nic szczególnie niepokojącego, wrzucił torbę do bagażnika, wycofał i wyjechał na ulicę. Po chwili jechał aleją KEN w kierunku centrum. Po drodze zerkał w lusterka, zapamiętywał samochody, ale znowu nie zauważył nikogo, kto mógł za nim jechać.

Dlaczego tak szybko? Jak do nich trafili? Kto wiedział o całej akcji? Z wolna się uspokajał. Nawet jeśli ktoś go zgarnie albo, co gorsza, zabije, reszta dokumentów, ich część o największej mocy rażenia, była już gotowa do publikacji. Jeśli Niki dotrze na metę, na pewno puści je do sieci. Nawet gdyby mu się to nie udało, Węglarz też miał już komplet. Tylko że on ciągle był ostrożny i wolał cytować, niż samemu publikować. Napisał co prawda dość ostry tekst i postawił w nim wiele pytań, lecz w gruncie rzeczy to były tylko pytania bez żadnych nazw i nazwisk. Wiedział jednak, dokąd przesłać resztę dokumentów, żeby się ukazały.

Na początku Salitra jechał po prostu przed siebie w kierunku, w którym wydawało mu się, że jest centrum. Nie lubił Warszawy, przyjeżdżał tu tylko, kiedy naprawdę musiał, a ponad wszystko nie lubił po stolicy jeździć autem. Dla niego codzienne stanie w tych samych korkach, w tym samym czasie, na tych samych skrzyżowaniach i ulicach było stratą czasu najgorszą z możliwych, bo fundowaną samemu sobie. Wraz ze stresem, który niszczył zdrowie. Teraz jednak nie bardzo miał inne wyjście. Włączył GPS i udało mu się wyznaczyć szybko trasę do dworca Warszawa Centralna.

Kiedy jechał Marszałkowską, odniósł wrażenie, że jadący za nim czarny samochód widzi już co najmniej trzeci raz w ciągu ostatnich paru minut. Spiał się i gorączkowo myślał, co ma teraz robić. Jego wiedza na temat urywania się śledzącym autom była wiedzą z filmów sensacyjnych i teraz można ją było co najwyżej wsadzić w cztery litery. Za wszelką cenę starał się jednak zachować spokój. Wreszcie skręcił w Aleje Jerozolimskie, po prawej stronie minął Pałac Kultury i Nauki i w ostatnim momencie zjechał na światła do skrzyżowania w lewo w Chałubińskiego. Po chwili bez kierunkowskazu skręcił w Hożą, przejechał około stu metrów i udało mu się znaleźć miejsce do parkowania. Wjechał na raz, zgasił silnik i czekał. Minutę, dwie, pięć minut. Przejechało kilka aut, dwa z nich nawet zaparkowały nieopodal, lecz nie było wśród nich czarnego samochodu, który widział wcześniej.

Słońce nadal paliło, więc wysiadł i przespacerował się do znajdującego się po drugiej stronie ulicy warzywniaka, licząc na zimną colę. Nie przeliczył się, lecz to był najdziwniejszy zieleniak, jaki widział w życiu. Całą jedną ścianę sklepu zajmowały półki z alkoholami, tymi markowymi też. Można było kupić dobrą whisky, a do tego kilogram marchewki na zagrychę, albo dwa dobre wina i paczkę pomi-

dorów koktajlowych dla smaku. On zadowolili się tylko zimną colą, bez warzywnych fanaberii.

Wyszedł na ulicę i popijając lodowaty napój z butelki, ruszył z powrotem do auta. Otworzył drzwi, wskoczył na siedzenie kierowcy i już miał przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy na siedzenie pasażera wskoczyła jasnowłosa kobieta. Była nawet ładna, miała doskonale niebieskie oczy, delikatny makijaż i jeśli miała problem z transportem, chętnie by ją gdzieś podwiózł. Jednak najwidoczniej nie o to jej chodziło. Spojrzał w czarny otwór glocka 17 i poczuł, że robi mu się zimno, chociaż nie zdążył jeszcze włączyć klimatyzacji.

Sygnal przychodzącego esemesa był niczym wyładowanie elektryczne. Obaj drgnęli jak rażeni prądem. Pistolet i kluczyk od kajdanek nadal leżały na stole. Podkomisarz Bogucki przeczytał wiadomość z telefonu, bez słowa włożył aparat do kieszeni i beznamiętnie spojrzał na mężczyznę po drugiej stronie stołu.

-- Dasz mi broń? -- zapytał tamten z nadzieją w głosie.

-- Pamiętaj, że na razie jesteś tylko kandydatem na współnika, a nie współnikiem -- odpowiedział wolno. -- Poza tym i tak ci nie ufam.

-- To co, sam ich rozwalisz?

-- Co ty pierdolisz? Ja nie zabijam ludzi.

Bogucki nagle wstał, kluczyki schował do kieszeni, pistolet do kabury pod ramieniem i wyszedł bez słowa. Po chwili wrócił, podszedł do więźnia, ponownie wyciągnął pistolet i wymierzył mu w głowę.

-- Na dole jest czysto -- powiedział. -- Idziemy do garażu, gdzie mam samochód. Powiedziałem ochronie, że muszę gdzieś na chwilę pojechać, a ty jesteś przykuty do krzesła i zamknięty w pokoju na klucz. Jeśli nie chcesz dostać kulki przy próbie ucieczki, masz robić, co mówię. Zrozumiałeś?

Więzień pokiwał głową. Bogucki nagle chwycił go za łańcuszek kajdanek i szarpnął w górę. Tamten jęknął z bólu, ale nic nie powiedział. Policjant pchnął go w kierunku drzwi równie niedelikatnie.

-- Na korytarzu w lewo -- rzucił tylko.

Niezauważeni przez nikogo dotarli do garażu, gdzie stał nieoznakowany policyjny ford. Bogucki otworzył bagażnik i wskazał mężczyźnie jego wnętrze.

-- O nie, kurwa, na to się nie zgodziłem -- zaprotestował tamten.

-- Jak chcesz stąd wyjechać, to wskakuj i się, kurwa, nawet nie zastanawiaj.

Po chwili wyjechali z garażu i stanęli przed zamkniętą bramą. Bogucki machnął ochroniarzowi i brama wolno się otwierała. Ochroniarz patrzył uważnie na podkomisarza, jakby nie był do końca pewien, czy może go wypuścić. W pewnej chwili zrobił nawet krok w kierunku auta, ale wtedy brama stanęła, Bogucki uśmiechnął się i ruszył.

Nie miał dużo czasu, chociaż wątpił, żeby ruszył za nim większy pościg. Ich operacja była ściśle tajna, wiedziało o niej kilka osób, tożsamość więźnia nie znali nawet ochroniarze strzegący willi dzień i noc. Kto miał ich ścigać? Drogówka? Wolne żarty.

Po około półgodzinie jazdy i przejechaniu prawie trzydziestu kilometrów, oddalając się na południe od przedmieść Krakowa, gdzie stała ich willa, znaleźli się w lesie. Więzień zdążył się już poważnie zniecierpliwzić i od czasu do czasu walił pięścią w maskę i coś krzyczał. Bogucki był oazą spokoju, lecz w końcu nie wytrzymał i puścił mu więzankę. To uspokoiło faceta w bagażniku tylko na minutę albo dwie. Policjant zjechał z głównej drogi w prawo na leśny dukt, po którym jazda osobówką na pewno nie należała do bezpiecznych. Można było nadzieć się na leżące gęsto gałęzie drzew albo zaczepić oponą o wystające z trawy pniaki na skraju i tak nieszczęśliwie zakończyć podróż. Bogucki nie miał jednak innego wyjścia. Musiał porozmawiać z tym sukinsynem w bagażniku. Bardzo poważnie porozmawiać.

Zatrzymał się w takim miejscu, że już nie było ich widać z głównej drogi, wysiadł i otworzył bagażnik. Mężczyzna stękał, kiedy gramolił się ze środka, potem wypadł na trawę.

-- Kurwa, gdzie ty mnie przywiozłeś? -- jęknął, wstając i przytrzymując się bagażnika.

-- A ty myślałeś, że ja pierwszy naiwny jestem? -- warknął Bogucki, którego naturalny spokój gdzieś się ulotnił. Celował do niego z broni. -- Mam kasę, chcesz? A ja na to: chcę, pewnie, już ci zdejmuję kajdanki, znowu jesteśmy najlepszymi kolegami. Czy ty się, kurwa, z koniem na głowy zamieniłeś?

-- To co ty kombinujesz?

Bogucki powoli odzyskiwał spokój. Machnął pistoletem, jakby tym gestem chciał zagarnąć całe otoczenie.

-- Udowodniłem ci, że mogę pomóc ci uciec, ale nie jestem taki naiwny. Nie uwolnię cię z kajdanek, zanim nie będę miał kasy

w ręce. Potem rób sobie, co chcesz, gównu mnie to obchodzi. Ale najpierw jeszcze jedna sprawa.

-- Ale ty się zrobiłeś marudny, Romek. -- Więzień zerknął z niepokojem za plecy Boguckiego, jakby spodziewał się jednak pościgu. -
- Czego ty chcesz?

-- Teraz ty nie zgrywaj debila. Chcę wiedzieć, kto naprawdę wymyślił polowania na ludzi i był współnikiem tego psychologa Ostaszewskiego.

Mężczyzna w kajdankach zatrzasnął nagle klapę auta z wściekłością, aż echo poniosło się po lesie.

-- Nie wiedziałem, że gliniarze ostatnio tak zdurnieli! -- prawie krzyknął. -- Mówiłem wam dwa tygodnie temu na Cyprze. Nazywali go Drugi, zachorował, stracił kontrolę, więc likwidują interes. Nie pamiętasz już, kurwa? Może było ci za gorąco i przegrzały ci się obwody?

-- Takie pierdy to możesz swoim braciom psychopatom opowiadać. Mówiłeś o tym Drugim tak, żebyśmy czasem nie skumali, kim on jest naprawdę. Ciągłe chcesz mieć asa w rękawie, co? Nawet teraz, kiedy mogę cię puścić wolno. Co z tobą jest, kolego? Nie ufasz mi?

Mężczyzna w kajdankach parsknął.

-- Ja nikomu nie ufam -- powiedział podniesionym głosem, plując wokoło kropelkami śliny. -- Wiesz, życie mnie do tego zmusiło, rozumiesz? Albo mnie rozkujesz i mamy umowę, albo spierdalaj, sam sobie poradzę.

-- Jeśli myślisz, że cię puszczę, to akurat się przeliczyłeś -- warknął w odpowiedzi podkomisarz i wskazał pistoletem bagażnik. -- Otwieraj i wskakuj, wracamy.

-- Chyba cię do reszty pojebało! -- Więzień zaśmiał się chrapliwie, jak szaleniec na moment przed napadem. -- Sam tam nie wsiądę, możesz mnie zastrzelić.

-- Ty cholerny gnoju!

Bogucki ruszył w jego kierunku, lecz wtedy skutą kajdankami mężczyzna wykorzystał chwilę, gdy broń była opuszczona, i skoczył na niego. Policjant spodziewał się ataku, może nawet go trochę sprowokował. Zrobił szybki unik i napastnik przeleciał obok niego i dopiero dwa metry dalej wyhamował, ryjąc twarzą w pełnym igliwia piasku. Wściekły odwrócił się natychmiast na plecy, plując jego dro-

binkami z ust, i spojrzał w wycelowaną w twarz lufę glocka 17. Nic nie mógł zrobić. Bogucki stał w bezpiecznej odległości.

-- Ty parszywy psie! -- krzyknął. -- Inaczej bym z tobą pogadał, gdybym nie miał skutych rąk, a ty nie miałbyś gnata.

Splunął z pogardą i ciężko oddychał, nie próbując nawet wstać. Policjant patrzył na niego beznamiętnie jeszcze przez dłuższą chwilę. Jakby się nad czymś zastanawiał. Najwidoczniej się zdecydował.

-- Chcesz na solo? -- rzucił z dużą dawką ironii w głosie. -- Dobrze, ale nic za darmo. Pokonasz mnie, zabieraj auto i jedź, dokąd chcesz. Jeśli ja cię pokonam, mówisz mi, kim jest Drugi, zawieramy umowę i jedziemy do miejsca, gdzie masz ukrytą kasę. Umowa stoi?

-- Z zasady nie ufam glinom -- wycedził przez zęby mężczyzna, lecz już coś się zmieniło w jego postawie.

Chyba zamierzał skorzystać z okazji.

-- A ja nie ufam zabójcom i psycholom -- odwdzieczył się Bogucki. -- Czy mamy umowę?

-- Tak.

Podkomisarz podszedł od bagażnika auta, odłożył tam pistolet, potem odwrócił się i rzucił leżącemu wyciągnięty z kieszeni kluczyk. Mężczyzna chwycił go w locie i bardzo szybko rozpiął bransoletki kajdanek. Odrzucił je na bok i zerwał się, jakby zamiast kręgosłupa miał sprężynę. Roztarł jeszcze przeguby rąk i ruszył na policjanta. Bogucki patrzył obojętnie, jak napastnik się do niego zbliża. Miał nad nim dużą przewagę fizyczną, był o głowę wyższy, dobrych kilka kilo mięśni cięższy i jedyne, w czym na pierwszy rzut oka mu ustępował, to była szybkość.

Gdyby ktoś obserwował początek starcia z boku i przyjąłby takie założenie, srogo by się zawiódł. Bogucki ze spokojem przyjął przeprowadzony z furią atak, nawet nie ruszając się z miejsca. Sparował ciosy, a kiedy napastnik dążył do zwania, wyprowadził szybki cios na korpus. Facet jęknął i odskoczył. To jednak tylko podrażniło jego wściekłość. Tym razem zaatakował jak wściekły byk i podkomisarz musiał cofnąć się kilka kroków. Przyjął też dwa uderzenia pod żebra i jedno w ucho, ale sam też potrafił wyprowadzać celne ciosy. Wreszcie odskoczyli od siebie i przez chwilę oddychali ciężko, mierząc się wzrokiem, jak dwa bawoły walczące o prymat w stadzie. Bogucki potarł bolące ucho, a jego przeciwnik wytarł krew płynącą z rozbitego nosa. Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, tym razem do ataku ru-

szył policjant. I tu już nie było zmiłuj. Walczył jak rasowy bokser wagi ciężkiej. Umiejętnie balansował ciałem, robił uniki, blokował, a przede wszystkim bił. Bardzo mocno i skutecznie. Jego pięści co jakiś czas dosięgały przeciwnika, który był w coraz gorszym stanie. Mimo że też nie był ułomkiem, słabł z każdym przyjmowanym ciosem i na swoje nieszczęście nie miał odporności i charakteru Rocky'ego Balboa. Podczas gdy Rocky byłby dopiero lekko podrażniony i zaczynał rozważać, czy jednak nie znokautować tego cholernego rywala, który właśnie rozkwasił mu pół twarzy, był policjant odskoczył, postąpił dwa kroki w tył i zwał się na plecy, ciężko łapiąc oddech.

-- Już ci wystarczy? Czy mam cię liczyć? -- Nawet w takiej chwili, mimo zadyszki, głos Romana Boguckiego znowu był jednostajny i beznamiętny.

Mężczyzna zerwał się z ziemi i z przeciągłym krzykiem ruszył do dzikiej szarzy. Rozpędzona masa mięśni zwała policjanta z nóg, lecz rywal wcale nie miał zamiaru walczyć z nim w parterze. Chciał się jak najszybciej wyrwać i skoczyć do auta, gdzie ciągle leżał pistolet. Pewnie by mu się udało, gdyby nie szybkość i przytomność umysłu Boguckiego, który w ostatniej chwili złapał go za nogi. Mężczyzna upadł, a wtedy Bogucki stanął na nogi.

-- Teraz to mnie wkurwiłeś! -- warknął i kopnął leżącego w zebra.

-- Jezu... -- To było jedyne, co zdążyło wyrwać się z ust mężczyzny, kiedy płuca odmówiły mu na moment posłuszeństwa, robiąc sobie przerwę w nieustającej prawie od półwiecza pracy.

Taka przerwa była cholernie nieprzyjemna. Bogucki wcale się jednak nie przejmował tym, co jest w tej chwili przyjemne, a co mniej. Poderwał go z ziemi, postawił na nogi i posłał mu na szczękę cios kończący ten jednostronny pojedynek. Nie dał jednak bezwładnemu ciału upaść. Przytrzymał je, szarpnął za koszulkę na piersiach, szwy puściły z trzaskiem, a potem pchnął w rosnący na skraju drogi krzak jeżyn. Mężczyzna przeleciał przez kolczaste pnącza i znieruchomiał po drugiej stronie.

Policjant chwilę wyrównywał oddech, po czym sięgnął na maskę auta po pistolet, poszedł po leżące nieopodal kajdanki, następnie sam przedarł się przez jeżyny do swojego przeciwnika. Facet już dochodził do siebie i próbował czołgać się w stronę lasu. Twarz miał zalaną krwią, do której poprzyklepiały się zeschnięte liście i igliwie. To powiedzenie o matce, która nie poznaje syna, dlatego że ma nieźle

obitą facjatę, idealnie się nadało w tej chwili. Na pewno by go nie poznała.

Bogucki klęknął mu na plecach, ręce skuł tym razem z tyłu, odczekał jeszcze dwie minuty, zanim jego przeciwnikowi zupełnie wróci świadomość, poderwał go w górę i zaciągnął w pobliże samochodu. Tu rzucił go znowu na glebę, jakby był tylko workiem kartofli. I dokładnie tak głucho wybrzmiał ten upadek, jakby to był worek pełen ziemniaków lub zboża. Podkomisarz nachylił się nad nim z pistoletem w dłoni. W oczach tamtego błyszczały wściekłość i szaleństwo, jakby przechodził ostry atak wścieklizny. Oddychał ciężko.

-- Widzisz, nie taki z ciebie kozak, jak myślałeś -- zakpił z niego policjant.

Mężczyzna chciał coś odpowiedzieć, lecz się nie zdecydował. Przekręcił głowę i wypluł krew z ust.

-- Mielśmy umowę, kolego -- mówił dalej Bogucki. -- To jak? Wracasz do bagażnika czy jesteśmy współnikami i jedziemy dalej?

-- Jedziemy... dalej...

-- No to jeszcze tylko jeden szczegół. Słucham.

Bogucki pomógł mu oprzeć się wygodniej o tylne koło forda i ukucnął niedaleko, żeby lepiej go widzieć i słyszeć.

-- Naprawdę nie znam nazwiska Drugiego -- mówił cicho pokonany. -- Ale wiem, że był znanym sędzią. Prezesem Sądu Najwyższego przez wiele lat. Potem na emeryturze był autorytetem. Zapraszali go do telewizji, udzielał wywiadów, pisał artykuły, jeździł z odczytami. To był całkiem rzeński dziadek. Aż trzy miesiące temu się posypało. Trafił do szpitala MSWiA w Warszawie. Być może już go wypisali.

Podkomisarz Bogucki wyprostował się i prawie się zatoczył. Może nawet nie dlatego, że kilka minut temu dostał w mordę. Raczej z powodu tego, co właśnie usłyszał. Kto był współnikiem Ostaszewskiego. Przez wiele lat najważniejszy sędzia w Polsce, autorytet moralny, człowiek poważany i szanowany. Z drugiej strony, czy naprawdę było się czemu dziwić? To przecież jedno z najważniejszych stanowisk w kraju, zwieńczenie wielu lat ciężkiej pracy nad uzyskaniem jak największych wpływów. Z tego stolka można było wpływać na całe sądownictwo, na bieżąco śledzić, co dzieje się w najgłośniejszych śledztwach prowadzonych przez prokuraturę. Być może nawet w nie ingerować. A może przez system zależności wpływać na obsadę stanowisk w instytucjach państwowych i sądach? Cholera jasna,

pewnie można było dużo więcej, niż on teraz był sobie w stanie wyobrazić. Więzień powiedział wystarczająco dużo, żeby poznać nazwisko Drugiego. Bogucki mógł sięgnąć po telefon i sprawdzić, kto był w ostatnich latach prezesem Sądu Najwyższego. Tylko że nie chciał tego robić. Mimo to wyciągnął aparat, żeby zatelefonować.

-- Mam to -- rzucił tylko.

Na te słowa jego więzień podskoczył i na jego twarz ponownie wypełzło szaleństwo.

-- Ty...! -- wychrypiał. -- Ty...!

Jednak zabrakło mu chyba siły, żeby wyartykułować swoje myśli, i tylko zabulgotało mu nieprzyjemnie w gardle. Być może słowa zablokowała wściekłość. Policjant w końcu się nie dowiedział, czy to miały być obelgi, czy groźby. Nie zwracając uwagi na szarpającego się więźnia, stanął trzy kroki obok niego, z paczki wyciągnął ostatniego pomiętego papierosa i zapalił. Po kilku minutach od strony głównej drogi nadjechał samochód. Więzień prawie zawył z bezsilności i wściekłości. Samochód zatrzymał się dwa metry od maski auta Boguckiego. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i wysiadł z nich prokurator Falewicz w świeżej białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Upał nawet w lesie dawał się we znaki.

Falewicz minął Boguckiego i przyjrzał się skutemu mężczyźnie.

-- Musiałeś zrobić z jego twarzy siekane mięso? -- zapytał prokurator.

Bogucki wzruszył tylko obojętnie ramionami.

-- Nie mogłem się powstrzymać.

-- Powiedział?

-- Tak.

Podkomisarz powtórzył Falewiczowi, czego właśnie się dowiedział. Prokurator też nie krył zaskoczenia. Milczał długie kilkanaście sekund.

-- Jeśli nie będziemy mieli zeznań świadków i twardych dowodów, będzie ciężko -- powiedział wreszcie.

-- Pomimo tej hysterii w mediach i na Wiejskiej? -- zdziwił się policjant.

-- Wiesz, histeria niedługo się skończy, a ewentualny proces znacznie się najwcześniej za rok. Do tego czasu dużo się zmieni.

-- To co robimy?

Falewicz obojętnie omiótł wzrokiem leżącego.

-- Pakuj go do bagażnika i wracamy. Mam jeszcze dzisiaj dwa spotkania z prawnikami.

Auto prokuratora wycofało i czekało na nich na końcu leśnej drogi. Bogucki nachylił się nad więźniem, który tylko ciężko dyszał i wodził za nim nienawistnym spojrzeniem.

-- Widzisz, kolego, przyznałem się prokuratorowi do wszelkich świństw, jakich się dopuściłem jako gliniarz. A że nie zrobiłem nic tak strasznego jak ty, dostałem szansę i nie zamierzam jej zmarnować. W przeciwieństwie do ciebie. Ty już nie masz szans na zmiłowanie.

Otworzył klapę bagażnika, a potem wrzucił szarpiącego się i klnącego mężczyznę do środka.

16

-- Jedź!

Musiała powtórzyć komendę trzeci raz, zanim zareagował i przekręcił kluczyk w stacyjce. Salitra nigdy nie był fanem broni, wojska, policji, służb specjalnych i zorganizowanych grup przestępczych. Kiedyś, jeszcze w czasach słusznie minionych, kiedy każdy młody człowiek musiał zaliczyć dwuletni pobyt w wojsku, był przez chwilę dowódcą czołgu, lecz udało mu się doskonale zasymulować uraz głowy i długo przed terminem odzyskał wolność. Dlatego widok wycelowanego w niego pistoletu trochę go zmroził. Niczego nie zmienił fakt, że właścicielka tej broni była atrakcyjną kobietą, z którą pewnie chętnie umówiłby się na kawę. Teraz jednak taka opcja nie wchodziła w grę.

Włączył się do ruchu na Hożej, a potem jechał przez miasto zgodnie z jej rozkazami. Zgubił się już po przejechaniu trzech dużych skrzyżowań i mostu na Wiśle. Próbował zapamiętać, którymi ulicami jada, tak na wszelki wypadek, lecz stres wcale nie sprzyjał pamięci, i szybko zrezygnował. Próbował zagadywać, lecz odpowiadała mu tylko cisza, więc wreszcie sam się zamknął. Co ma być, to będzie, czym tu się martwić? Zaczynając akcję, liczył się z takimi kłopotami. Przecież go nie zabiją i nie zakopią w lesie. A może tak właśnie się stanie? Andrzej Lepper zgodnie z oficjalną wersją popełnił przecież samobójstwo, ale i tak wszyscy wiedzą, jak było naprawdę. Może ta przemiła pani funkcjonariusz supertajnych służb maczała w tym palce? Co prawda wtedy musiała dopiero zaczynać, ale kto wie? Może to właśnie było jej pierwsze zadanie? "Udowodnij swoją przydatność dla kraju, jeśli chcesz awansować". Czy teraz po raz kolejny udowadnia swoją przydatność przed następnym awansem?

Byli już na wyjeździe z miasta w kierunku północno-wschodnim, kiedy przerwała mu ten kondukt niewesołych myśli pod czaszką.

-- Dla kogo ty pracujesz, Salitra? Dla ruskich?

Drgnął zaskoczony. Że co? To była jedna z największych obelg, jakie usłyszał w swojej długiej karierze dziennikarza. Nie ukrywał złości.

-- Co ty gadasz, kobieto? -- warknął, nie licząc się z konsekwencjami. -- Dla Polski pracuję, po to, żeby w naszym pięknym kraju naprawdę było prawo i sprawiedliwość, a nie tylko takie pierdolenie o Szopenie dla naiwnych.

Trochę zbił ją z tropu tą odpowiedzią. Teraz już nie miał zamiaru gryźć się w język.

-- Poza tym, kurwa, dobrze by było wiedzieć, czy mam do czynienia z mafią, czy ze służbami. No chyba że wam już jest wszystko jedno i tak naprawdę nie wiesz, gdzie pracujesz?

Milczała jeszcze przez długą chwilę.

-- Porucznik Maria Dubois, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego -- odezwała się wreszcie.

Salitra dalej nie wiedział, czy poczuł ulgę, czy to złość w nim narastała. Z takiego działania łatwo było wytłumaczyć bandziorów, trudniej -- państwowe służby finansowane z pieniędzy podatników.

-- No to wejście miałaś jak John Rambo -- mruknął, skupiając się na jeździe.

-- Zanim mnie oskarżysz i skażesz, może spróbuj zrozumieć. -- Najwidoczniej miała jednak jakieś wyrzuty sumienia. -- Pojawiasz się znikąd i w dwie doby wywracasz nie tylko polityczny stolik. Rzucaś straszne oskarżenia na najważniejsze osoby w państwie, publikując jakieś sfabrykowane materiały i podrobione zdjęcia. Czyli wpisujesz się dokładnie w nasze kompetencje. Zagrożasz bezpieczeństwu wewnętrznemu państwa. A w takich wypadkach w dupie mam procedury, wtedy liczą się rozkazy i szybkie działanie, rozumiesz?

Nic nie odrzekł, tylko pokiwał głową. W tym, co powiedziała, było trochę racji.

-- Dlatego chcemy wiedzieć, na czyje zlecenie robisz tę rozpierduchę i kto ci w tym pomaga -- kontynuowała. -- I wyciągniemy to z ciebie, nawet jeśli musiałbyś zjeść własne jaja.

-- A jeśli to wszystko prawda?

-- Chyba gównem prawda!

-- Nie oceniasz tego zbyt pochopnie?

Zacisnęła usta w wąską kreskę i spojrzała przez przednią szybę. Trwało to może sekundę, ale redaktor zdążył pomyśleć, że ona też ma wątpliwości.

-- Ja mam cię tylko dostarczyć, wszystko wyjaśnisz mojemu szefowi -- burknęła.

-- Szukacie zagrożenia nie w tym miejscu. Ja nikomu nie zagrażam.

-- Zamknij się!

Dalej jechali w milczeniu. Porucznik Dubois zagryzała wargi, a Salitra zerkał na nią co jakiś czas, nie kryjąc satysfakcji. Musiało

się na górze już nieźle namieszać, skoro zaczęły się takie nerwowe i bezsensowne ruchy. No chyba że Maria Dubois była po tej drugiej stronie. Chociaż jej reakcja o tym nie świadczyła, nie można było wykluczyć, że jej szef właśnie tamtej stronie służy.

Prawie na wylocie z Warszawy kazała mu skrócić na dużą stację Orłenu, gdzie na samym końcu pustego parkingu stały dwa czarne auta. Cholera, dlaczego oni tak uwielbiają czarny kolor? Pewnie naglądali się filmów i też by tak chcieli. Obok samochodów stało dwóch mężczyzn w garniturach, trzeci chodził nerwowo tam i z powrotem, rozmawiając z kimś przez telefon. Dubois kazała mu zaparkować zaraz przy nich i wyjrzała przez okno. Ten z telefonem był najwyraźniej jej szefem, bo pokazał jej gestem, żeby mu w tej chwili nie przeszkadzała. Zakłęła nerwowo pod nosem i siedziała, gryząc wargi ze zdenerwowania. Salitra uchylił okno od strony kierowcy i starał się wyłapać jak najwięcej z telefonicznej rozmowy.

-- ...i teraz chcesz mi powiedzieć, że to wszystko było zaplanowane? Kurwa, dlaczego ja zawsze dowiaduję się ostatni? -- Chwila na odpowiedź. -- Nie wkurwiał mnie, Grzesiek, chcesz powiedzieć, że to prawda? Te całe polowania na ludzi? Że co? Że ludzie od nas też są umoczeni?

Szpakowaty, dobrze zbudowany mężczyzna w wieku Salitry przystanął na moment, słuchając, co rozmówca ma mu do powiedzenia, i kręcił głową, jakby nie wierzył w ani jedno jego słowo.

-- Grzesiek, czy ty wiesz, o czym mówisz? -- odezwał się łagodniej. -- Z tego gówna nie otrzepiemy się przez lata. Polecą głowy aż do samego dołu.

Znowu słuchał.

-- Dobrze ci tak mówić, ale przecież będą potrzebne kozły ofiarne. To my jesteśmy w służbach, to my pilnujemy bezpieczeństwa. Jak się wytłumaczysz, że przez wiele lat niczego nie zrobiliśmy?

Znowu kilkanaście sekund milczenia i chodzenie tam i z powrotem. Porucznik Dubois odchyliła się na siedzeniu pasażera, spojrzała dziwnie na Salitrę.

-- Już widzę, co się dzieje -- mruknęła w odpowiedzi na jego zdziwioną minę. -- Znowu się wygłupiliśmy, zamiast myśleć rozsądnie i najpierw rozpoznać dobrze sytuację.

-- Nie twoja wina. -- Wzruszył ramionami.

-- Miły jesteś. -- Te dwa słowa zabrzmiały sympatycznie, lecz wypowiedziane bez uśmiechu mocno straciły na wartości.

Szpakowaty mężczyzna znowu się odezwał.

-- To co mam z nim zrobić? -- Mimowolnie spojrzął w kierunku forda s-max i Salitra był już pewien, że rozmawia o nim. -- Zrozumiałem.

Zakończył połączenie, schował aparat do kieszeni, potem stał w bezruchu przez kilkanaście sekund i wreszcie wybuchnął. Kopnął nieistniejącą przeszkodę i z jego ust wypadły słowa, które pewnie niezbyt dobrze korespondowały z piastowanym przez niego stanowiskiem w ABW.

-- Kurwa, kurwa, kurwa!

Po chwili się opanował i skinął na porucznik Dubois. Funkcjonariuszka poruszała się tak, jakby wcale nie chciała stanąć przed szefem. Ten nawet nie spojrzął na Salitrę, traktując go jak powietrze. Redaktor ostentacyjnie szerzej otworzył okno i jeszcze przesunął głowę bliżej, żeby lepiej słyszeć. Słońce już zaczynało swoje spadanie w kierunku zachodnim, lecz nadal prażyło i w fordzie robiło się coraz mniej przyjemnie.

-- Zmiana rozkazów -- powiedział sucho szpakowaty. -- Właśnie się dowiedziałem, że zmieniło się dowództwo ABW i są nowe wytyczne dotyczące redaktora. Od tej pory przydzielam cię do jego ochrony.

Salitra widział, jak Dubois nagle czerwienieje ze złości.

-- Szefie, kurwa, nie możesz mi tego zrobić -- wycedziła przez zaciśnięte wargi. -- Ja tego faceta wyśledziłam i aresztowałam zgodnie z poprzednimi rozkazami. Jak ja teraz przed nim wyglądam? Przecież on nas oskarży o nadużycie władzy! Zaorze nas w mediach!

-- Pogadaj z nim.

Dubois rozejrzała się wokoło, jakby w poszukiwaniu pomocy. Tylko że znikąd tej pomocy nie mogła się spodziewać. Za płotem otaczającym koniec parkingu rosła kępa drzew, nieopodal ludzie wchodziłi do budynku fast foodu z przemiłym staruszkim w logo, żeby napchać się kurczakami, i z niego wychodzili, dalej tankowali benzynę i wchodziłi do budynku stacji zapłacić, wypić kawę i zrobić małe zakupy. Jeszcze dalej szumiała wyjazdówka z miasta. Faceci w garniturach odwracali wzrok i zachowywali się, jakby ich tu w ogóle nie było.

-- Jak ty to sobie wyobrażasz? -- prawie krzyczała na szefa. -- Najpierw groziłam mu bronią, a teraz co niby mam zrobić? Może zaproponować, że zrobię mu łaskę, a on o wszystkim zapomni?!

-- Poradzisz sobie.

Salitra skinął na gości w garniturach, zapakowali się do samochodu i bez słowa ruszyli w kierunku wyjazdu ze stacji. Porucznik Maria Dubois została, odwrócona do Krzysztofa tyłem, ciągle ściskając w dłoni pistolet. Jej ramiona nagle opadły. Nic nie mówiła, tylko stała bez ruchu przez minutę albo dłużej.

Salitra wysiadł z auta, zaciągnął się e-papierosem i zerknął w kierunku stacji i dystrybutorów. Zwrócił uwagę na czarny samochód, który przez chwilę wydał mu się znajomy. Szybko zganił się w myślach. To klasyczna paranoja. Przecież takich czarnych aut jeździ po Warszawie niezliczona ilość. Spojrzał na Dubois i powiedział:

-- Nie musisz.

-- Co nie musisz? -- odwarknęła, nie oglądając się.

-- Robić mi łaski -- wyjaśnił. -- I bez tego zapomnimy o temacie. Nie chciałbym być twoim wrogiem, raczej liczyłbym, że zostaniemy kumplami.

Pokręciła głową, skrzywiła się i odwróciła.

-- Wiesz, jakie to uczucie, kiedy góra cię wystawia? -- zapytała.

Pokręcił głową, zaciągając się znowu dymem.

-- Nie wiem, ale widzę, że to nic przyjemnego.

Ruszyła w jego stronę.

-- Naprawdę się dogadamy? -- upewniła się.

-- Tak -- potwierdził. -- Mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie.

Miała coś jeszcze powiedzieć, lecz nagle zamilkła, patrząc na coś za jego plecami. Widział, jak rozszerzają się jej oczy, i sam zerknął do tyłu. Czarne auto było tuż obok. Jak na jakimś cholernym amerykańskim filmie o porachunkach handlarzy narkotyków, boczna szyba powoli się opuszczała.

-- Padnij! -- krzyknęła funkcjonariuszka i rzuciła się na niego.

Salitra nie zdążył zareagować, jednak ona była szybka. Zwaliała go z nóg i pierwsze trzy strzały roztrzaskały boczną szybę, którą miał przed ułamkiem sekundy za plecami, i wbiły się w karoserię. Dubois już leżała na plecach i strzelała w kierunku czarnego auta. Salitra nawet nie zarejestrował, ile strzałów padło z obu stron do momentu, kiedy koła samochodu zajęczały na asfalcie, zrywając przyczepność przy gwałtownym przyspieszeniu. Auto wyrwało do przodu i zaraz

zniknęło w tym samym miejscu, gdzie przed minutami skręcili ci z ABW. Maria posłała za nim jeszcze dwie kule. Obie celne.

Wszystko to trwało sekundy. Salitra nawet nie zdążył się porządnie przestraszyć i zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Jakby wszystkie dźwięki świata nagle umilkły. Nawet odgłos samochodów z głównej ulicy stał się odległy i przytłumiony.

Jęk, a potem stuk metalu o asfalt wyrwały go z tego dziwnego letargu. Pistolet wypadł z ręki porucznik Dubois zaraz po tym, jak jęknęła z bólu. Na asfalcie rosła pod nią wolno plama krwi. Salitra upadł przy niej na kolana, nie bardzo wiedząc, co ma robić. Był tylko cholernie wścibskim redaktorem, a nie lekarzem, czy chociażby ratownikiem medycznym. Może gdyby kiedyś odbębnił całą służbę wojskową, a nie symulował, teraz wiedziałby, co się robi z rannym. Chociaż nie. Bez sensu. Przez te dwa lata głównie piło się wódkę i pierdziało w pryczę.

-- Opanuj się! -- warknęła na niego Dubois. -- To tylko postrzał w ramię. Od tego się nie umiera!

Jedynie grała przed nim twardą. Była blada jak świeżo pobielona ściana w zakładzie pogrzebowym, na jej czole perlił się pot i zagryzała wargi. Zerwał się, z torby w bagażniku wyciągnął świeżą bawełnianą koszulkę i chciał przyłożyć jej do rany. Wstrzymała go.

-- Najpierw mnie... podnieś...

Dźwignął ją do pozycji siedzącej i oparł o samochód. Krzyknęła z bólu i sama przycisnęła sobie koszulkę do lewego ramienia, w którym utkwiała kula.

Wokół nich zrobiło się zamieszanie. Przybiegli jacyś ludzie, zatrzymały się samochody, kobiety krzyczały, mężczyźni coś mówili, ktoś robił zdjęcia, ktoś nagrywał wszystko telefonem.

-- Dzwoncie po pogotowie! -- wrzasnął redaktor i chyba dopiero teraz zmobilizował kogoś do działania.

Po chwili z tyłu zajechało inne auto i faceci w garniturach zaczęli rozpychać się przez tłum. Nad ranną porucznik Dubois stanął jej szpakowaty szef bez nazwiska. Milczał, wpatrując się w nią, jakby nie bardzo rozumiał, co się właśnie stało. Na jego widok kobieta jeszcze bardziej poszarzała na twarzy.

-- Pomóż mi wstać -- rozkazała Salitrze.

Kiedy już stała podtrzymywana przez redaktora, odrzuciła zakrwawioną koszulkę i czerwoną od krwi pięścią dwa razy uderzyła szefa w pierś, zostawiając czerwone plamy.

-- Powiedz, że nic o tym nie wiedziałeś! -- krzyknęła.
Patrzył na nią, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.
-- Powiedz, kurwa, że mnie nie wystawiłeś!
Kręcił głową, jakby ciągle nie mógł uwierzyć.
-- Marysiu, nie... nic nie wiedziałem... naprawdę... To przypadek
-- odpowiedział jej wreszcie rwanym głosem.
Nie kłamał, naprawdę był wstrząśnięty.
-- To ich gońcie!
-- Tak.

Odszedł gdzieś z telefonem w dłoni, a Dubois osunęła się po re-
daktorze. Ledwo ją złapał w ostatniej chwili. Teraz opierała się ple-
cami o jego piersi, a on przyciskał jej koszulkę do rany.

-- Widzisz, Salitra, jeszcze godzinę temu chciałam cię odstrzelić,
a teraz uratowałam ci życie i sama omal nie zginęłam. Rozumiesz coś
z tego?

Pokręcił głową, nieświadomy, że ona i tak nie widzi tego gestu.

-- Jesteś mi winny wódkę. Co ja mówię, wódkę. Całą skrzynkę
wódki!

-- Chętnie ci postawię -- odrzekł. -- Zadzwoń, jak już się z tego
wylizesz.

-- Na pewno.

Gdzieś w oddali usłyszeli sygnał karetki pogotowia. Salitra miał
dziwną pewność, że zadzwoni.

-- Po prostu chronią swoją dupę. -- Komisarz Pawelec po raz kolejny cierpliwie tłumaczył koledze zawilgość ludzkiej psychiki.

No bo przecież nikt nie chciał dostać po tyłku za to, że nagle konwój z więźniem do Warszawy dostał ochronę ludzi z wydziału kryminalnego. Taka decyzja powinna była zapaść poprzedniego dnia na odprawie, nie zaś z samego rana na kilka minut przed wyruszeniem konwoju z aresztu śledczego. Drugą sprawą było, dlaczego nie są znane personalia pozostałych dwóch osób z obstawy poza nadkomisarzem Zakrzewskim. Temat na odległość śmierdział złamaniem procedur i rutyną w złym tego słowa znaczeniu. Inspektor Janusz Kowalik na pewno rozumiał te mechanizmy, lecz ten cholerny służbista znowu nie przyjmował do wiadomości niczego, co wykraczało poza ramy regulaminów. Jakby pół kroku dalej wyłączało mu się myślenie i wpadał w czarną dziurę.

-- Nie interesuje mnie, kto chroni własną dupę, a kto nie -- mówił dobitnie. -- Winni poniosą zasłużoną karę i nie pomogą w tym żadne układy i układziki.

-- Posłuchaj, Janusz, jeśli chcesz szukać kozła, którego poświęcisz dla własnej satysfakcji i ku radości twoich pryncypałów, to nie szukaj go w tym miejscu -- tłumaczył dalej Pawelec. -- Wypieprzą tych strażników ze służby, pozbawią emerytur i dadzą wilczy bilet. A oni mają rodziny i dzieci na utrzymaniu. To według ciebie oznacza sprawiedliwość?

-- Procedur trzeba przestrzegać -- oświadczył inspektor. -- Gdyby ich przestrzegali, nie wypuściliby groźnego przestępcy.

-- Kurwa mać! -- Pawelec stracił w końcu cierpliwość. -- A skąd oni mogli wiedzieć, że znany i ceniony policjant wytnie im taki numer? Ty byś to przewidział?

-- Takie argumenty są bez sensu -- podsumował Kowalik. -- A Zakrzewskiego dorwiemy prędzej czy później i odpowie przed sądem.

Siedzieli w salce konferencyjnej Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu, która teraz stała się centrum pościgu za zbiegłym z konwoju Jakubem Bońskim. Tu trafiały raporty z całego Dolnego Śląska, Lubuskiego i Wielkopolski. Na razie w innych województwach ogłoszony był tylko stan podwyższonej czujności dla patroli, ale nie toczyły się oficjalne poszukiwania. W drugiej połowie sierpnia dzień był już o wiele krótszy niż na początku lata, było kilka mi-

nut po dwudziestej pierwszej i słońce zaszło już za horyzont, zasnuwając świat nocnym całunem.

-- Dlaczego ty tak nie lubisz Zakrzewskiego? -- zapytał Pawelec, licząc, że kiedy napięcie pierwszych kilkudziesięciu godzin nieskutecznych poszukiwań opadło, Kowalik da się wreszcie namówić na zwierzenia.

Niestety, inspektor pozostał niewzruszony w swoim zaciętrzewieniu.

-- Nie lubię takich sukinsynów karierowiczów -- warknął.

Pawelec westchnął tylko i pochylił się nad mapą Dolnego Śląska rozłożoną na stole.

-- Popatrzmy jeszcze raz, skąd było zgłoszenie -- powiedział zrezygnowanym głosem.

Przez całą drogę z Krakowa nadkomisarz Marcin Zakrzewski milczał. W głowie buzowało sto pytań i wątpliwości, na które nie było rozsądnej odpowiedzi. Jeśli coś w ich planie poszło nie tak, to znalazł się w dość nieciekawej sytuacji. Do tego pewne wątpliwości, które go dopadły przed domem Bońskiego, teraz przerodziły się w pewność. Kto, do jasnej cholery, mógł wiedzieć, gdzie Boński trzyma dokumenty? Mieszkanie nie było przewrócone do góry nogami, ten, kto zabrał teczkę z dowodami, wiedział, gdzie ich szukać, i się nie pomylił. Boński sam wyglądał na mocno zaskoczonego, choć starał się tego nie okazywać. Dalej grał twardziela, chociaż z tego, co wcześniej mówił Marcinowi, miał w tej skrytce sporą sumę w euro na czarną godzinę. Strata tych pieniędzy chyba bardziej go zdenerwowała niż zniknięcie drugiej teczki. Marcin długo zastanawiał się, co ma teraz robić, wreszcie zdecydował się trzymać planu. W drodze powrotnej prowadził pewniej i szybciej, nie unikał głównych dróg, chciał być jak najszybciej na miejscu.

Zgodnie z ustalonym planem kolejnym ich przystankiem, być może nawet na więcej niż jedną noc, miał być opuszczony motel przed Mieroszowem przy drodze numer trzydzieści pięć, prowadzącej do przejścia granicznego z Czechami w Golińsku. W ostatnich latach mały motelik Zacisze powoli tracił gości, został zamknięty i wystawiony na sprzedaż. To było dość dobre miejsce na przeczekanie dwóch lub trzech dni. Budynek z parkingiem położony był z dala od ulicy, za wysokim ogrodzeniem, pośród drzew i teraz, kiedy nie było reklam i oświetlenia, łatwo było go nie zauważyć z głównej drogi.

Jeszcze na samym początku Marcin starał się wypytać Bońskiego, co się mogło u niego w mieszkaniu stać, kto prócz niego wiedział o skrytce, ale bezskutecznie. Boński zaciskał tylko szczęki i odpowiadał półsłówkami, wściekły i rozczarowany. Zakrzewski mu się nie dziwił. Perspektywa wolności ze sporą gotówką na start znacznie się od niego oddaliła. Nie miał pomysłu, kto go okradł, jak sam to określił, nikt inny nie wiedział o tym miejscu, nikomu nie wspominał, policji na Cyprze też nie, bo przecież nie jest głupi. Czy wizyta policji sprzed dwóch tygodni miała z tym coś wspólnego? Trudno było przypuszczać, że nie miała, bo po co mieliby grzebać w jego mieszkaniu? Byli tam już trzy miesiące wcześniej, zaraz jak tylko uciekł za granicę, i niczego nie znaleźli.

Atmosfera w aucie się zagęszczała. Marcin wiedział, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo albo dodatkowa iskra złych emocji, żeby doszło między nimi do konfrontacji. Zresztą, taka konfrontacja wydawała się nieunikniona. W tym momencie Boński nie miał nic do stracenia. Na razie był skutecznie przykuty do auta, ale przecież Marcin będzie musiał go rozpiąć. Teraz miał broń i przewagę, tylko jak długo? Wszystko się spieszyło. Liczył na to, że Salitra nadal robi swoje i afera zatacza coraz szersze kręgi. No i był jeszcze jeden wentyl bezpieczeństwa. A nawet dwa. Jeśli Falewicz został w jakiś sposób unieszkodliwiony, pozostawał ten jego przyjaciel z grupą wpływowych resortowych emerytów. I Grzegorz Nawrot ze służby kontrwywiadu z grupą wtajemniczonych kolegów. Tylko czy w takiej dynamicznej sytuacji można jeszcze komuś wierzyć i na kogoś liczyć? Jedyna osoba, której mógł w pełni zaufać, Karina Buczko, miała przestrelone udo i była wyłączona z jakiegokolwiek działania. Zakrzewski miał tylko nadzieję, że wszystko z nią w porządku.

Była jeszcze inna kobieta, do której jego myśli coraz częściej podążały w czasie jazdy, a przez ostanie kilometry rozmyślał o niej bez przerwy. Renata. Rafalskiemu też ufał, nic jej się nie stanie, tylko czy wciąż będą razem, jeśli operacja się nie uda i Marcin pójdzie siedzieć w niesławie? "Cholerny twardogłowy Zakrzewski -- pomyślał o sobie. -- Trzeba było się w to nie pchać". Tylko że on oczywiście nie mógł. Przecież większa część planu jest jego autorstwa, on to wymyślił. Falewicz i Nawrot dopracowali szczegóły, zorganizowali miejsca i ludzi. Bo nikomu nie można było ufać. "J-jasne Zakrzewski -- pomyślał z goryczą -- tylko czy im też można było ufać?". Miał wątpliwości, lecz jednak im zaufał. Teraz już nie byłby takim optymistą.

Chciał pomyśleć o czymś innym, ale się nie udało. Wdepnął w gówno, ale przecież nieraz już mu się to zdarzało. Nieraz robił coś niezgodnego z regulaminem, ba, nawet ze zdrowym rozsądkiem i dotąd zawsze spadał jak kot, na cztery łapy. Teraz też sobie poradzi. Musi tylko pomyśleć. Sam przeciw wszystkim, z groźnym przestępcą przy boku. Jaki problem? Da radę!

W Jedlinie-Zdroju skręcił w drogę numer trzysta osiemdziesiąt, która w Unisławiu Śląskim łączyła się z trzydziestką piątką. Stamtąd do motelu Zacisze było niedaleko. Nagle, kiedy po lewej stronie minęli drogowskazy zachęcające do zwiedzania miniwodospadów na rzeczce Rybnek i droga przechodziła w łagodny łuk, zobaczyli przed sobą migające światła radiowozu i policjanta machającego w ich kierunku.

Jakub Boński drgnął niespokojnie na swoim siedzeniu. Zakrzewski też spał się w sekundzie, sięgnął lewą ręką po pistolet, ale już po chwili ocenił sytuację. Przed radiowozem stały jeszcze dwa inne auta, na granicy lasu droga była zablokowana. Ale to nie była blokada policyjna. Po prostu trafili na wypadek. Z tego, co zobaczył z daleka, ciągnik z przyczepą wjechał do rowu. Uderzenie musiało być mocne, ponieważ to właśnie przewrócona przyczepa tarasowała szerokość jezdni. Pewnie można było przejechać skrajem, lecz właśnie jakiś inny ciągnik z ekipą strażaków starał się odblokować drogę. Po prostu trafili na zły moment.

-- Siedź spokojnie -- rzucił do Bońskiego.

-- Bo co mi zrobisz? -- warknął tamten.

-- Na początek kolano. -- Przyłożył mu lufę do rzepki.

-- Spierdalaj! -- Boński się szarpnął, odsuwając nogę.

Zatrzymali się za ostatnim autem i czekali cierpliwie. Mundurowy z patrolu stał oparty o maskę radiowozu i pałac papierosa, obserwował zmagania strażaków, drugi kręcił się, jakby chciał koniecznie na tym zadupiu wychodzić sobie kłopoty. Kiedy zobaczył, że się zatrzymali, popatrzył na nich chwilę uważnie, a następnie wolnym krokiem ruszył w ich kierunku. Zakrzewski, który do tej pory prosił go pod nosem, żeby stał tam, gdzie stoi, teraz nagle zaklął.

-- Po jaką cholere tu leziesz, durniu? -- szepnął do siebie, po czym schował walthera z tyłu za pasek spodni, wcisnął na głowę czapkę z daszkiem, otworzył drzwi i zaczął wolno wysiadać.

Zanim policjant zdążył do nich podjeść, Zakrzewski przeciągnął się leniwie, ziewnął i ruszył mu naprzeciw. Spotkali się kilka metrów

od ich skody. Marcin nie chciał, żeby policjant zaglądał do środka.

-- Dzień dobry! Co się stało? -- rzucił i spojrzał ponad ramieniem funkcjonariusza.

Mundurowy zasalutował mu niedbale.

-- Dzień dobry! Żniwa! -- odparł.

Widząc, że Marcin nie bardzo zrozumiał, o co mu chodzi, dodał zaraz:

-- Maszyny mają coraz większe, a jeżdżą na bani, jak zawsze. I nieszczęście gotowe.

-- J-jasne -- odpowiedział Zakrzewski, licząc na to, że brakiem ochoty na rozmowę zniechęci policjanta.

Niestety to się nie udało. Gliniarz spojrzał na krakowską rejestrację i zapytał:

-- A panowie dokąd z tak daleka?

-- Do Czech jedziemy z kolegą -- odpowiedział szybko Marcin, starając się brzmieć najbardziej zniechęcająco, jak tylko potrafił.

-- Odpocząć?

-- Nie, w interesach. Długo to będzie trwało?

-- Jeszcze z pół godziny.

Marcin klął i prosił go w duchu, żeby nie był taki ciekawy i czasem nie próbował zbliżyć się do ich skody i zajrzeć do środka. Policjant jednak najwyraźniej wyjątkowo miał na to ochotę. Już postąpił krok do przodu. Marcin czuł, że pistolet za paskiem coraz bardziej go uwiera. Spojrzał na drugiego policjanta, który miał wszystko w nosie i przy radiowozie palił kolejnego papierosa.

-- Nie ma jakiegoś objazdu? -- zapytał.

Policjant się zatrzymał.

-- Tak wam się spieszy?

-- Nikt nie lubi stać po próżnicy. -- Marcin wzruszył ramionami.

Mundurowy nagle spojrzał mu w twarz. Nawet przechylił trochę głowę, żeby lepiej widzieć pod daszkiem czapki.

-- Nie ma -- padło w odpowiedzi. -- Musielibyście nadłożyć trochę podłymi drogami. Nie opłaca się.

-- Cholera, zawsze jakiś pech po drodze się trafi -- jęknął teatralnie Zakrzewski.

-- Taaa... -- Policjant jeszcze raz obejrzał się na ich samochód, jakby bardzo ciekawił go pasażer.

Marcin był coraz bardziej zdenerwowany. Nie może mu pozwolić tam podejść. Od razu zobaczy kajdanki na przegubach Bońskiego.

-- Heniek! Dyżurny do ciebie! -- Wołanie drugiego policjanta spadło mu jak z nieba.

Odetchnął z ulgą, widząc plecy oddalającego się funkcjonariusza z patrolu. Potem patrzył jeszcze, co dzieje się przy radiowozie. Ten pierwszy rozmawiał przez radio, ciągle zerkając w jego stronę. Zaraz przerwał i rozmawiał chwilę z drugim. Po chwili obaj patrzyli na Marcina podejrzliwie. Pewnie słyszeli komunikaty o ucieczce niebezpiecznego więźnia, może widzieli ich fotografie?

Wreszcie gdzieś z przodu zawył silnik ciągnika i leżąca na boku przyczepa przesunęła się z jękiem. Droga była wolna i policjanci machnęli na stojących, że mogą jechać. Marcin wskoczył do auta i ruszył. W tylnym lusterku widział, że ci z patrolu patrzyli za nimi, dopóki nie zniknęli za zakrętem. Od razu przyspieszył, wyprzedził dwa auta z przodu i już po kilku minutach stał przed otwartą bramą do wjazdu na teren dawnego motelu.

Szutrówka miała nie więcej niż sto metrów i znaleźli się na parkingu przed budynkiem. Nie minęło jeszcze wiele, odkąd był niezamieszkały, więc czas i pogoda nie odcisnęły na nim negatywnego piętna. Ciągle wyglądał całkiem nieźle. Budynek był piętrowy, miał skośny brudnoczerwony dach, każdy z czterech pokoi na piętrze miał swój mały drewniany balkonik. Pewnie tak samo było z drugiej strony. Na parterze, obok drzwi wejściowych znajdowały się zabezpieczone deskami wielkie okna dawnej restauracji. Po prawej stronie od wejścia była recepcja, a z drugiej strony parteru kuchnia i pewnie jeszcze ze dwa pokoje gościnne.

Było już prawie ciemno, kiedy parkowali za budynkiem, tak żeby od strony drogi nie było widać samochodu. Bońskiemu na razie nie przyszły do głowy głupoty przy rozpinaniu i ponownym zapinaniu kajdanek. Jeśli miał już jakiś plan, jego realizację odkładał na późniejszy wieczór albo noc.

Klucze do budynku czekały, jak było umówione, w skrzynce na liście obok wejścia. Marcin otworzył, wpuścił przodem Bońskiego, a sam wszedł za nim, przyświecając sobie latarką, z ciężką torbą zarzuconą na ramię. W środku panowały już zupełne ciemności, w powietrzu unosił się zapach niewietrzonych pomieszczeń, z lekkim aromatem psujących się tłuszczu w kuchni. Prąd w całym budynku był odcięty, ale pod kontuarem recepcji czekały na nich świece i zapalniczki. Marcin kazał je wziąć Bońskiemu i puścił go na schodach przodem.

-- Poświęć trochę, bo się zabiję -- warknął nowy wampir z Bytowa, pnąc się wolno w górę.

Zakrzewski szedł po skrzypiących schodach kilka stopni za nim, ale zrobił, o co tamten prosił. Po chwili stanęli na początku korytarza z czworgiem drzwi po obu stronach.

-- Który? -- rzucił Boński, patrząc na niego pytająco.

Marcin wskazał mu trzeci pokój po prawej, z balkonem wychodzącym na parking i widokiem na drogę dojazdową. Weszli do środka. Marcin rzucił torbę na łóżko, potem wyciągnął broń i skierował w stronę Bońskiego. Ten szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

-- Co jest?

Zakrzewski poświecił latarką po pokoju. Szybko zlokalizował kaloryfer i kopnął w tamtą stronę jedno z dwóch krzeseł. Więzień od razu zorientował się, o co policjantowi chodzi. Próbował protestować, lecz silny snop światła z latarki padł prosto na jego twarz, oślepiając go. Klnąc, próbował się zasłonić.

-- Bez żadnych numerów -- warknął Zakrzewski. -- Do kaloryfera i pogadamy sobie jak dorośli faceci.

-- Chyba nie proponujesz mi seksu, co? Zaczynam się ciebie bać.

Boński marudził, lecz zrobił to, co kazał mu Marcin. Kiedy już usiadł na krześle z krzywym uśmiechem, popatrzył na kluczyk w swoich palcach.

-- Nie wiem, czy ci go oddać -- powiedział jakby do siebie. -- Tu będzie bezpieczniejszy.

-- Kluczyk -- zażądał policjant.

Boński nagle rzucił kluczyk w jego kierunku. Zakrzewski nawet nie próbował go łapać. Błyszczący kawałek metalu odbił się od jego dłoni, brzęknął o stół i upadł gdzieś na dywan. W ciemnościach trudno było go znaleźć, tym bardziej że nadkomisarz nawet nie zamierzał go szukać. Wzruszył tylko ramionami.

-- No to masz dodatkowy problem -- powiedział.

Uśmiech Bońskiego zgasł dużo szybciej, niż się pojawił. Były policjant spojrział na niego zaniepokojony.

-- Hej! Co ty kombinujesz?

Zakrzewski sprawdził, czy zasłony szczelnie zakrywają okna, potem zapalił dwie świece i postawił na stoliku, który przysunął do przykutego do kaloryfera mężczyzny, tak żeby oświetlały mu twarz. Sam pozostawał w cieniu. Zgasił latarkę, usiadł na drugim krześle w pewnym oddaleniu i wycelował w niego pistolet.

-- Kończymy ten teatrzyk -- powiedział. -- Kim ty naprawdę jesteś?

Facet najwyraźniej się zaniepokoił, lecz starał się to ukryć prychnięciem.

-- Postradałeś zmysły? Nie rozumiem, o czym ty do mnie mówisz.

-- Doskonale rozumiesz -- mówił wolno Zakrzewski, jakby mu się nigdzie nie spieszyło.

Zapadło milczenie. Przerwał je Marcin.

-- Od początku myślałem, że wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Byłem w końcu w dużej mierze pomysłodawcą. Wychodzi jednak na to, że nikomu nie można ufać, a już najmniej Nawrotowi i temu cholernemu elegancikowi Falewiczowi. Wystawiliście mnie. Po co? Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to przynęta, ale kogo chcecie na mnie ściągnąć? I kim ty, do cholery, jesteś, bo nie Jakubem Bońskim.

Przykuty do kaloryfera mężczyzna patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

-- To jest chyba największe skurwysyństwo, jakiego doświadczyłem z życia. Nikt mnie dotąd tak nie wystawił i nie upokorzył. Jestem wściekły. A wściekły pies zaczyna kąsać. I będę kąsał i gryzł, nie mam już nic do stracenia.

-- Nie wiem, o czym ty mówisz!

-- J-jasne! Nie wiesz? To ci opowiem. -- Pistolet w dłoni opartej o kolano Zakrzewskiego ciągle był zwrócony w kierunku tamtego. -- Od początku mieliście taki plan. Już na etapie planowania Falewicz nie pokazał mi zdjęcia prawdziwego Jakuba Bońskiego, tylko twoje. Po to, żebym cię na Cyprze rozpoznał i nie miał żadnych wątpliwości. Podejrzewam, że tak naprawdę Boński wcześniej przyleciał do kraju i zajął się nim Falewicz ze swoimi ludźmi. To dlatego skrytka w jego mieszkaniu pod Krakowem była tak subtelnie wyczyszczona. Tylko nie wiem, po co ta cała szopka. Rozumiem, że dla odwrócenia uwagi, ale to wydaje mi się trochę bez sensu. Przecież prawdziwego Bońskiego sprowadzili do kraju po cichu. Kiedy? Dwa, trzy tygodnie temu? I jakoś nikt się nim nie zainteresował. Więc po co to odbijanie ciebie z transportu i ucieczka? Zdradzisz mi tę tajemnicę?

-- Nie wiem, czego ty się naćpałeś, Zakrzewski. -- Mężczyzna pokręcił głową. -- Nie rozumiem nic z twojej gadki.

-- Czyżby? Powinienem być już wcześniej zwrócić uwagę na pewne szczegóły. Jesteś blady na twarzy i masz blade ręce. Nie mo-

głęś ukrywać się na Cyprze, ponieważ zdążyłbyś się opalić na brązowo. Nawet bez wizyt na plaży, po prostu przebywając na słońcu. Dużo wiesz o życiu Bońskiego, więc pewnie byłeś przy jego przesłuchaniu. Jak to się stało?

Mężczyzna milczał.

-- Jestem wściekły, wiesz? Gdybym teraz spotkał Falewicza albo tego drugiego, to pewnie nie skończyłoby się to dla nich dobrze. I wcale bym się nie hamował. Jestem wściekły, przelało mi się, nie chcę już nad sobą panować. Wiesz, o czym myślę? Żeby wywalić z siebie tę wściekłość. Najpierw na ciebie, potem na Falewicza. Ze mną się tak nie postępuje. Nikt jeszcze ze mną tak nie postąpił. Dlatego jestem wściekły jak pies.

W tonie głosu nadkomisarza musiało pobrzmiwać coś takiego, że mężczyzna naprzeciw niego zapomniał o roli, którą grał. Teraz poruszał się niespokojnie i zerkał na wszystkie strony, jakby rozpaczliwie szukał pomocy. Tylko że tutaj był zdany na łaskę Zakrzewskiego. Szarpnął się, aż kajdanki zabrzęczały metalicznie, a po rurach od ogrzewania poniosło się dudnienie. Nic z tego, kajdanki trzymały mocno.

-- Kim naprawdę jesteś? -- powtórzył Zakrzewski.

W tym momencie usłyszeli dziwny odgłos. Niepokojący jednostajny terkot. Zanim Zakrzewski zdążył mrugnąć okiem, okno nad głową siedzącego przy kaloryferze eksplodowało szkłem, dziurawiona zasłona wybrzuszyła się, zerwała i spadła, przez pomieszczenie, prócz szkła, poleciały odłupane przez pociski drewniane kawałki z futryn i grudki tynku. Z parkingu na dole strzelały do nich co najmniej dwa karabiny i nieokreślona liczba pistoletów.

Zaskoczony Marcin zareagował dopiero po długich dwóch lub trzech sekundach, kiedy obok jego głowy poleciały pierwsze serie pocisków, prawie mierzwiąc mu włosy. Potem trafiły go odłamki i zrzuciły z krzesła na podłogę. Upadł, niczego nie czując, i znieruchomiał, patrząc na swojego więźnia.

Miał cholerne szczęście. Odwrócony tyłem do okna, połową ciała znajdował się w jego świetle. Kiedy rozległy się pierwsze odgłosy wystrzałów, szarpnął się instynktownie i to ocaliło mu życie. Zszedł z linii strzału, chowając się za murem, i teraz siedział nieruchomo, cały w odłamkach. Popatrzył na Marcina i po raz pierwszy w jego oczach odmalował się autentyczny strach. Chyba zdał sobie sprawę, że czas odgrywania roli już się skończył i nadeszła pora walki o życie.

-- Kluczyk! -- krzyknął. -- Znajdź kluczyk!

Zakrzewski przeklął pod nosem. Ten cholerny kluczyk upadł gdzieś na ciemny, zakurzony dywan, który teraz zasypany był odłamkami. Zalezienie czegokolwiek w tym bałaganie graniczyło z cudem. Z drugiej strony, jeśli tego nie zrobi, skaże faceta przy kaloryferze na pewną śmierć. Mężczyzna już teraz się szarpał, grzechocząc głośno po rurach i kalecząc sobie nadgarstki, lecz rura przy kaloryferze ani drgnęła.

-- Kluczyk! -- jęknął prawie błagalnie.

-- Kim jesteś?! -- warknął Zakrzewski i zaczął pełznąć do miejsca, gdzie, jak mu się wydawało, poleciał ten cholerny kluczyk.

Wtedy znowu rozpętało się piekło. Kule niszczyły na swojej drodze wszystko, z okien, drzwi na taras i zasłon zostały tylko strzępy. Kule dziurawiły ściany, spadły z nich obrazki, ze stołu potoczyły się świece i zgasły. Skuty mężczyzna jeszcze bardziej skulił się przy kaloryferze. Marcin czołgał się po dywanie przez szkło i drzazgi, rozglądając się za kluczykiem. Pewnie by go nie znalazł, gdyby jasne światła nie oświetliły okna. Wtedy na kawałku dywanu, który już minął, dostrzegł srebrny błysk.

-- Jestem gliną, jak ty! -- padła odpowiedź. -- Aspirant Adrian Szot.

Zakrzewski przekręcił się i rzucił mu kluczyk.

-- Po co była ta szopka? -- zapytał ponownie. -- Po co wam byłem potrzebny?

Adrian Szot zdążył się rozpiąć i upadł na podłogę niedaleko Marcina.

-- Daj mi broń!

-- Gówno dostaniesz, nie broń -- warknął Marcin. -- Nie wiem, czy mówisz prawdę.

Korzystając z przerwy w kanonadzie, podskoczył do stołu, obok którego stała jego torba. Wyciągnął z niej tylko dwa telefony, które szybko upchnął w przednich kieszeniach dżinsów, drugiego walthera, którego wcisnął sobie za pas spodni, i dwa magazynki, które wsunął do tylnych kieszeni.

Już nie strzelali, lecz na dole coś się działo. Słysząc było trzask wyważanych drzwi i napastnicy weszli do środka. Jasne światło wciąż zalewało ich pokój na piętrze. Marcin wzrokiem wskazał Szotowi wyjście. Adrian dopadł do niego w dwóch skokach, jak pantera polująca na sawannie. Marcin skoczył za nim. Na korytarzu przytu-

lili się do ściany obok siebie, obserwowali i nasłuchiwali. Z dołu dobiegł ich chrzęst rozbitego szkła na podłodze, rozbłysło światło laski na schodach i powoli sunęło w górę, kołysząc się w powietrzu. Zakrzewski nie wahał się ani przez moment. Pochylony pobiegł w kierunku schodów, zatrzymał się za rogiem, wystawił pistolet i trzy razy strzelił, nie celując. Światło na klatce schodowej zgasło.

Równocześnie jak na komendę znowu zabrzmiała kanonada. Marcin, który był już w połowie drogi z powrotem, potknął się i wyłożył jak długi. Szot podpełzł do niego.

-- Dostałeś? -- zapytał z autentycznym zaniepokojeniem w głosie.

-- Chyba nie. Potknąłem się.

-- Posłuchaj, Zakrzewski. To ja znalazłem wtedy Jakuba Bońskiego w Bytowie. Pracuję w stołecznej komendzie w Warszawie. Jestem członkiem tajnej grupy, która sprawdzała wątek polowań na ludzi.

Kanonada przeniosła się na schody. Co najmniej trzech mężczyzn wspinało się teraz po nich, osłaniając się ogniem. Zerwali się na nogi.

-- Gdzie teraz? -- zapytał szybko Szot.

Zakrzewski pociągnął go do drugiego końca korytarza.

-- Tam są schody gospodarcze -- powiedział.

Był tu już około miesiąca wcześniej. Dobrze się przygotowali na odbicie Bońskiego, ucieczkę i wyciągnięcie z niego zeznań. Tylko że Falewicz i ten cholerny Nawrot, jak się okazało, mieli trochę inne plany i Zakrzewski był teraz w czarnej dupie z awarią oświetlenia. Pchnął Szota do wąskiego korytarzyka z wąskimi schodami prowadzącymi po ścianie z tyłu budynku na dół. Zanim sam wszedł, odczekał, aż po przeciwległej części korytarza pojawią się sylwetki, i znowu strzelił trzy razy, powodując zamieszanie i szybki odwrót tamtych. Musiał chyba trafić, bo rozległ się stłumiony okrzyk bólu i przekleństwa. Ledwo schował się za rogiem korytarzyka, a już seria z broni automatycznej rozbiła się o ścianę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał. To nie byli amatorzy, co dobrze nie zwiastowało.

Szot zbiegł już na sam dół i mocował się z zamkniętymi drzwiami. Zakrzewski chwycił go za ramię i siłą odciągnął od klamki. Sam sięgnął w górę, gdzie na gwoździu wbitym w deskę wisiał klucz. Podał go Szotowi. Zanim ten wziął się do otwierania, Marcin przyłożył mu lufę do skroni. Nie mieli wiele czasu, ale on nie miał wyjścia.

To był najlepszy moment, żeby dowiedzieć się prawdy. Szot zniechęcił, patrząc na niego z zaskoczeniem.

-- Skąd wiedziałeś tyle o Bońskim? -- zapytał chrapliwie.

-- Zwariowałeś? Teraz nie ma czasu.

-- Może powiesz prawdę.

-- Kurwa mać! -- przeklął Szot. -- Byłem członkiem Łowców Głównych Janka Rataja. Byłem przy aresztowaniu Bońskiego trzy tygodnie temu, byłem przy tym, jak dogadywał się z Falewiczem, leciałem z nimi do kraju jako ochrona. Dasz mi pistolet?

Napastnicy musieli już przeszukać piętro, bo ich kroki słychać było na górze wąskich schodów. Marcin przekręcił klucz w zamku, sięgnął za pasek spodni i podał Szotowi drugiego walthera i pełny magazynek. Ten chwycił sprawnie broń, stanęli po obu stronach drzwi, Adrian ukląkł i dopiero teraz otworzyli drzwi gwałtownym pchnięciem. Zanim otworzyły się na oścież, padły strzały z pistoletu. Jeden, drugi, trzeci, kolejne, raz za razem. Oczekali, aż przeciwnik przerwie na moment, potem równocześnie się wychylili, Marcin na górze, Adrian na dole, i najpierw strzelili na oślep, ale już następna kula Szota była celna. Facet ukryty kilka metrów od nich za pniem drzewa jęknął, odrzuciło go do tyłu i osunął się po siatce ogrodzeniowej.

Wskoczyli na zewnątrz. Szot przypadł do ściany, osłaniając partnera, Zakrzewski zatrzymał pogoń na schodach, posyłając w górę dwie kulki, potem zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz i wyrzucił go w krzaki. Znowu chwycił Szota za ramię.

-- Skoro Boński jest w kraju już dwa tygodnie, dlaczego tu jesteśmy? -- zapytał.

Tym razem obaj mieli broń i Marcin stracił swoją przewagę w rozmowie. Dlatego Adrian wyszarpnął się z jego uścisku i rzucił:

-- Później, bo nas dopadną!

Marcin pokazał mu ścieżkę pod ścianą motelu.

-- Ty z tamtej strony, ja z tej -- rozkazał.

Szot bez słowa pobiegł we wskazanym kierunku. Marcin też miał już iść dalej, kiedy nagle ktoś poruszył od środka klamką w drzwiach na schody. Potem zaczęło się kopanie drzwi butami. Zakrzewski bez wahania strzelił w tamtą stronę dwa razy, zaległa cisza, po czym druga strona odpowiedziała ogniem z co najmniej trzech pistoletów. Tylko że policjant był już za rogiem budynku. Przebiegł obok ich skody, zaparkowanej tyłem między ścianą a ogrodzeniem. Na chwilę

przystanął i ją obejrzał. Wyglądała na nienaruszoną, co było bardzo dobrą informacją. Zaatakowali bez żadnego rozpoznania. Wierzyli w swoją siłę ognia czy byli tak pewni siebie, że nie zakładali kłopotów? Marcinowi wydawało się, że tak mogą się zachowywać tylko obecni albo byli funkcjonariusze służb mundurowych. Arogancko, bezczelnie i... głupio. Tylko czy to im pomoże? Na razie przeciwnicy mieli przewagę zaskoczenia, uzbrojenia i liczebną. Póki co to oni nadal są w lepszej sytuacji.

Wyjrzał zza rogu na parking. Przy dwóch samochodach stało dwóch ludzi ubranych na czarno, z twarzami ukrytymi pod kominiarkami, z karabinami gotowymi do strzału. Trzeci zajął pozycję przy rozbitym oknie restauracji, reszta prawdopodobnie była w środku. Mężczyźni niespokojnie zerkali na boki. Pewnie słyszeli strzały z drugiej strony budynku, lecz karnie trzymali pozycje. Było już po zmroku, więc tym bardziej musieli zachować czujność. I chyba jednak nie spodziewali się ataku z dwóch stron.

Nagle z miejsca, gdzie znajdował się Szot, padły strzały. Jak na komendę odwrócili się i otworzyli ogień. Marcin tylko na to czekał. Przykląkł, dokładnie wycelował, przytrzymując walthera dwoma rękami, i nacisnął na spust. Trafił za drugim razem. Stojący najbliżej niego mężczyzna z karabinem przestał strzelać, uderzony pociskiem w bok. Wypuścił broń, zatoczył się i upadł na trawę dwa metry dalej. Ten przy rozbitej szybie natychmiast schował się do środka, a drugi, uzbrojony w karabin, strzelił w kierunku Marcina, cofając się, żeby schować się za drugim samochodem zaparkowanym przodem do budynku. Nie zdążył. Szot go trafił i facet osunął się po masce auta.

Nie mieli dużo czasu. Ci w środku, jeśli nawet jeszcze nie sforsowali drzwi, musieli usłyszeć tę wymianę ognia i teraz pewnie pędzą tu na złamanie karku. Zakrzewski chciał się wycofać i poczekać w aucie na Adriana, kiedy usłyszał jego krzyk.

-- Osłaniaj mnie!

Przeklął brzydko pod nosem, ale nie miał wyjścia. Strzelili w kierunku, gdzie powinien być ten trzeci. W tej chwili zobaczył, jak aspirant Adrian Szot wykonuje operację żywcem wyjętą z filmów z Williem w roli głównej. Biegnie do auta zaparkowanego przodem do motelu, po drodze kopie w bok gramolącego się na nogi napastnika z karabinem, którego trafił przed momentem, szarpie za przednie drzwi, otwiera je i wskakuje do środka.

Wtedy padły strzały ze środka budynku. Marcin dokładnie widział, jak na przedniej szybie pojawiają się dwie dziury okraszone pajęczyną pęknięć. Krzyknął wściekle, wysunął się trochę bardziej z za rogu i zaczął strzelać raz za razem. Szybko iglica trafiła w próżnię i pistolet zastygł mu w dłoniach z odciągniętym zamkiem. Odruchowo sięgnął po zapasowy magazynek i zaczął przeładowywać broń. Myślał, że Szot już nie żyje, gdy nagle ku jego zaskoczeniu silnik auta zawarczał i pojazd wyrwał do przodu. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Adrian wyskakuje z szoferki, toczy się po ziemi, potem zrywa i chowa za drzewem. Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek zrobić, rozpędzające się na jedyńce auto z zablokowanym pedałem gazu wciśniętym do oporu z wielkim hukiem wbiło się w budynek, podskakując wcześniej mocno na krawężniku niskiego tarasu przed dawną restauracją. Wyjąc na wysokich obrotach, samochód wjechał do środka. Posypało się szkło, drzazgi, zniszczone wsporniki okien. Potem było słyhać, jak auto rujnuje ścianę w środku, zatrzymuje się na kolejnej. Silnik wył jeszcze jakiś czas, opony jęczały, ślizgając się po parkiecie, i dopiero po chwili wszystko zamilkło.

Tylko że zanim to się stało, Adrian zdążył przestrzelić opony w drugim aucie, a Zakrzewski wyjechał z za budynku skodą. Wyhamował przed motelem, kiedy jeszcze samochód dokonywał w nim fizycznych spustoszeń. Zatrzymał się przy Szocie.

-- Powoli jedź! -- krzyknął Szot.

Zakrzewski nie bardzo rozumiał, o co może mu chodzić, ale wykonał polecenie. Ruszył w kierunku znajdującej się niecałe sto metrów dalej głównej drogi. Nagle zrozumiał, że Szot wcale nie zachowywał się dotąd, jakby grał w grę komputerową i miał co najmniej trzy życia. On po prostu był doskonale wyszkolony. To było widać po jego ruchach i podejmowanych błyskawicznie decyzjach. Podświadomie wiedział, co w danym momencie trzeba robić. Zakrzewski nie miał takiego daru. Może i w tej sytuacji wymyśliłby coś mądrego, lecz zajęłoby mu to zbyt dużo czasu. Pewnie straciłby całą przewagę wynikającą z zaskoczenia.

Jechał i patrzył w lekkim szoku we wsteczne lusterko. Szot biegł za nim z karabinem w rękach. Zakrzewskiemu od razu skojarzył się z Melem Gibsonem, który w jednym z filmów w ten sposób gonił faceta w samochodzie, i już zaczynał wątpić w zdrowie psychiczne aspiranta, kiedy nastąpił kolejny zwrot wydarzeń. Z głównej drogi wprost na niego wyjechał samochód z wyłączonymi światłami.

W świetle swoich reflektorów Marcin zobaczył, że nagle otwierają się drzwi po obu stronach i wyskakują z nich uzbrojeni mężczyźni. Gwałtownie nacisnął na hamulec, zatrzymując się w miejscu, i wtedy rozległ się terkot broni automatycznej. Szot wcale nie zwariował ani nie zamierzał bronić ich odwrotu przed tymi, którzy zostali w motelu, tylko przewidział, że mogą mieć kłopoty podczas ucieczki. Teraz stanął dwa kroki za skodą i pruł do napastników z karabinu. Kule podziurawiły maskę i otwarte drzwi, zrobiły sito z przedniej szyby, poprzebijały opony. Gdyby Szot chciał, pewnie trafiłby bez problemu obu mężczyzn w kominiarkach, lecz on najwidoczniej nie chciał nikogo zabijać. Marcin najpierw się na niego wściekł, lecz potem przyznał mu rację. Przecież on w motelu też nie strzelał, żeby zabić. Mimo wściekłości nie mógł się zmusić.

Obaj mężczyźni pod gradem kul odczołgali się od samochodu. Jeden wturlał się do rowu, drugi zerwał się i zniknął w ciemnościach po drugiej stronie drogi. Magazynek w karabinku był pusty. Szot odrzucił go, wyszarpnął pistolet, posłał jeszcze za uciekającym pocisk w powietrze i wskoczył na siedzenie pasażera. Marcin przycisnął gaz do dechy. Koła zabuksowały i wtedy wreszcie ci z tyłu otrząsnęli się z klęski i zaczęli strzelać. Trafili tylko w bagażnik. Koła odzyskały przyczepność i wyrwali w noc, zarzucając tyłem auta.

Długo jechali w milczeniu. Wreszcie Marcin spojrzał na Szota, który przyciskał dłoń do lewego ramienia. Krew wolno toczyła się po ręce aż do dłoni.

-- Jesteś ranny? -- zaniepokoił się.

-- To tylko draśnięcie -- padło w odpowiedzi.

-- W skrytce masz chusteczki.

Szot wyciągnął paczkę i przyłożył sobie do ramienia. Pewnie bardziej przydałby się bandaż, lecz rana naprawdę musiała być niegroźna, ponieważ po kilku kolejnych chwilach krew przestała się z niej sączyć. Aspirant Adrian Szot wyglądał niezbyt dobrze. Miał podrapane do krwi dłonie i krwawe ślady po drzazgach i szkle na twarzy. Był bliżej okna niż Marcin.

-- Kim ty właściwie jesteś, Szot? -- zapytał nadkomisarz.

-- Policjantem jak ty, bo co?

-- Widziałem, co zrobiłeś -- mówił dalej Zakrzewski. -- Bez ciebie by mnie ustrzelili.

-- Zaczynałem w antyterrorystach -- wyjaśnił beznamiętnie. -- No wiesz, dlatego wzięli mnie do Zespołu Poszukiwań Celowych. W tym

zoo potrzebują różnych egzotycznych zwierząt. Ja im podpasowałem, bo mam jeszcze łeb na karku.

-- J-jasne.

Dalej jechali przez noc. Oddalili się od motelu na kilkanaście kilometrów, a przez ten czas minęli tylko trzy auta. Było już późno. Zegar skody pokazywał dwudziestą trzecią z minutami. Zakrzewski nagle zwolnił i zjechał w pierwszą polną drogę do lasu. Przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanął daleko od szosy. Zgasił silnik i wtedy ogarnął ich prawdziwy mrok, a przez uchylone szyby do środka auta wpadł wilgotny zapach lasu.

-- Co robisz? -- zainteresował się Szot, który parę minut wcześniej przymknął oczy, jakby chciał się zdrzemnąć.

Marcin cały czas jeszcze dygotał w środku, serce waliło mu jak u konia na wyścigach kłusaków, strach jeszcze nie odpuścił. Coś w postawie Szota bardzo go zaniepokoiło. Z tym gościem musiało być coś nie tak.

-- Chyba powinniśmy porozmawiać -- rzucił.

Jak to w połowie sierpnia, noce były coraz chłodniejsze, dlatego teraz blada mgiełka wstawiała nad drogą. Po niebie majestatycznie przesuwały się ciemne obłoki, nie na tyle jednak grube, żeby całkowicie zasłonić księżyc. Jego blada poświata spływała na ziemię i zdawała się oblepiać wszystko: drzewa, trawy na środku drogi, samochód, ich w środku.

-- Co chcesz jeszcze wiedzieć? -- Szot nie wydawał się zbyt chętny do rozmowy.

-- Po co udawałeś Bońskiego?

Adrian pokręcił głową z dezaprobatą. Jakby ktoś niezbyt inteligentny po raz czternasty pytał go o to samo. Zakrzewskiemu coraz bardziej się to nie podobało. O co tu, do jasnej cholery, chodzi?

-- To był plan awaryjny -- padła odpowiedź.

-- Nic z tego nie rozumiem -- prychnął Marcin.

Przez jakiś cholerny plan awaryjny porwał więźniarkę z fałszywym Bońskim, naraził Karinę Buczko, ściga go policja z całego regionu, wystawił się na cel bandytom. Tak naprawdę już się w tym zgubił. Miał wszystkich przeciw sobie, nie bardzo rozumiał po co.

Aspirant Szot spojrział najpierw na niego, potem przez przednią szybę, na której osiadała cienka warstewka wilgoci.

-- No tak, jakieś wyjaśnienie ci się należy, w końcu jesteś w środku tego gówna -- powiedział jakby do siebie. -- Tak naprawdę

mamy taki korupcyjny burdel w policji i w służbach, że nie wiadomo do końca, komu można zaufać. Mój szef z Łowców Głów, Janek Rajta, dobierał sobie ludzi do tej akcji na Cyprze przez kilka dni. Udało się, ale nie do końca. Prokurator Falewicz sprowadził potajemnie Bońskiego do kraju, ale trafił się kret, który puścił farbę do tych po przeciwnej stronie, że Boński zaczyna sypać. Wtedy uruchomiliśmy plan B. Oficjalnie sprowadziliśmy Bońskiego do Polski. Ja byłem Bońskim, a ty niczego nieświadomym komisarzem, który miał ze mną pójść na układ.

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski milczał. Czuł się tak, jakby ktoś napluł mu w twarz. Był zdradzony, poniżony, ale przede wszystkim zły. Wściekły pies, który zaraz może zerwać się z łańcucha, a wtedy szkody będą znaczne.

-- Czyli to wszystko było wcześniej ukartowane? -- zapytał drewnianym głosem.

-- Jak wiesz, nie do końca. -- Szot uśmiechnął się jakby do swoich myśli, co Marcinowi wyjątkowo się nie spodobało. -- Mielśmy na chwilę odwrócić uwagę od prawdziwego Bońskiego i dać Falewiczowi szansę na działanie. Boński chyba powiedział mu już dużo, znaleźli jego dokumenty i z tego, czego się dowiedziałem z radia, jeżdżąc z tobą po naszym pięknym kraju, wszystko poszło na oficjalnym kanale.

-- J-jasne. -- Zakrzewski myślał gorączkowo. -- To skąd oni się wzięli w tym motelu?

-- Sam nie wiem. -- Szot wzruszył ramionami. -- Gdzieś w naszej kochanej policji jest dziura jak w kadłubie Titanica. Swoją drogą pamiętasz, gdzie zatonął Titanic? Ciągłe mi się to miesza.

-- W Atlantyku.

-- No właśnie. Ktoś sypie i chyba nie bardzo wiadomo kto. To dlatego zjawili się w tym motelu.

-- Kto wiedział o tym miejscu?

-- Mnie nie pytaj! To wy wymyśliliście ten motel.

Zakrzewski zamyślił się na kilka chwil. Komu mógł ufać? Wychodziło na to, że nikomu. Nawet facetowi, który siedział teraz obok i z którym jeszcze niedawno narażali życie. Po co? Żeby dać Falewiczowi trochę więcej czasu? Co ten cholerny elegancik robił przez ostatnie tygodnie? Miał dość czasu, żeby nie tylko dojść z Bońskim do porozumienia, ale też wyciągnąć z niego informacje i odpowiednio ich użyć. On, nadkomisarz Marcin Zakrzewski, jako mięso ar-

matnie dla bandytów spod znaku polowań na ludzi, był mu niepotrzebny. To było szyte grubymi nićmi, udało się tylko dlatego, że Zakrzewski miał wrodzone szczęście i zawsze mu się udawało. No i dlatego, że Szot szkolił się w antyterrorystach. Tylko czy taka narracja była logiczna i przede wszystkim prawdziwa? Zakrzewski miał jeszcze jedną istotną w jego pracy cechę. Był dociekliwy, drażył nawet oczywiste tematy i miał do tego nosa. Zanim się odezwał, zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Ile miał jeszcze naboji? Komplet, przed ucieczką zmienił magazynek.

-- Mówiłeś, że to ty wytropiłeś Bońskiego -- odezwał się wolno. -- Jak to się stało, że wam wtedy uciekł?

Szot spojrzał na niego uważnie. Jakby Marcin go zaskoczył i teraz wahał się z odpowiedzią.

-- Ktoś go ostrzegł -- powiedział wreszcie.

-- A kto wiedział?

Zakrzewski już unosił broń, kiedy nagle Szot rzucił się na niego. Marcin dostał cios w ucho, który na tyle go osłabił, że Adrian sprawnie pozbawił go broni i teraz to on celował w Zakrzewskiego. W oczach miał to coś niepokojącego, co zawsze mają szaleńcy gotowi na wszystko i nie liczący się z konsekwencjami. Marcin pomyślał z goryczą, że ten pieprzony los znowu z niego zakpił i teraz to już naprawdę został sam przeciw wszystkim i znikąd nie może liczyć na pomoc. Był w środku lasu, gdzieś w górach przy granicy z Czechami, gdzie diabeł mówi dobranoc. Czarna dupa to mało powiedziane.

-- Ręce do góry! I nie próbuj żadnych numerów. -- Głos Szota był chropowaty i cholernie zdecydowany.

Marcin wykonał polecenie.

-- Wysiadaaj!

Otworzył drzwi od strony kierowcy i zanim wysiadł, Szot był już na zewnątrz po jego stronie i dalej w niego mierzył. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Zakrzewski stanął przed nim, myśląc gorączkowo, czy strzeli, kiedy rzuci się na niego z pustymi rękami. Jego postawa mówiła wyraźnie: strzeli, on tak naprawdę czeka tylko na pretekst.

Nagle Szot skoczył do niego i uderzył go kolbą pistoletu w głowę. Zakrzewski poczuł tylko nagły ból przenikający do wnętrza mózgu, za zamkniętymi oczami błysnęła mu feeria światła i nogi się pod nim załamały. Na chwilę stracił przytomność.

Ocknął się niedługo potem, ale nie miał jeszcze na tyle siły, żeby się dźwignąć z mokrej trawy. Zresztą to chyba nie był dobry pomysł, ponieważ Szot wciąż tu był. Właśnie się nad nim pochylał.

-- Wybacz, Zakrzewski, do ciebie osobiście nic nie mam, tylko że ja mam jeszcze inne plany.

Marcin poruszył się i jęknął. Adrian obejrzał go, jakby naprawdę niepokoił się jego stanem zdrowia.

-- Wybacz, Marcin -- szeptał mu dalej do ucha. -- To osobista, honorowa sprawa. Zemsta, rozumiesz? Moja młodsza siostra kilka lat temu zginęła podczas polowania urządzonego przez Ostaszewskiego.

Zakrzewski nagle poczuł nie tylko chłód bijący od wilgotnej ziemi, ale też przebiegający po plecach dreszcz o temperaturze znacznie poniżej tamtego chłodu.

-- Muszę dopaść tego skurwysyna, który jeszcze żyje. Tego Drugiego -- mówił dalej Szot. -- W dupie mam ciebie, Falewicza i nawet tego skurwiela Bońskiego. Chcę zabić szefa i to zrobię. Wiesz, pilnowałem Bońskiego na Cyprze i długo ze sobą rozmawialiśmy. Powiedział mi, kim jest wspólnik Ostaszewskiego. I ja go zabiję. Zemszczę się za siostrę. Czekałem tylko, aż zrobi się zamieszanie. Mnie przecież nikt nie będzie ścigał. Ty jesteś celem policji i bandytów. Przykro mi, Zakrzewski.

Z oddali dobiegł Marcina odgłos zatrzaszczonych drzwiczek od samochodu i stopniowo cichnący warkot silnika. W lesie zapanowała cisza. Wtedy zamknął oczy i na chwilę odpłynął.

18

W półtorej godziny byli na miejscu. Szalonej jazdy w ciemnościach trzech radiowozów na bombach pozazdrościłby im niejeden rajdowiec. Dzięki temu na parkingu przed motelem niedaleko przejścia granicznego z Czechami w Golińsku byli już kilka minut po wpół do trzeciej w nocy.auta zatrzymały się na poboczu drogi i już chwilę potem zjawił się przy Kowaliku starszy posterunkowy z komisariatu policji w Mieroszowie, który był pierwszy na miejscu zdarzenia. Młody, niedoświadczony funkcjonariusz. Dlatego był taki pobudzony. Oczy mu błyszczały i gdyby nie ciemności, pewnie dałoby się dostrzec czerwone plamy na policzkach. Wyprężył się przed Kowalikiem i przedstawił.

Inspektor nie zarejestrował ani jego stopnia, ani nazwiska, a już najbardziej gówno go interesowało, skąd jest. Patrzył za jego plecy na dantejskie sceny, które się tam rozgrywały. To znaczy bardziej na ślady tych, które już się rozegrały, niż na te ciągle trwające. Chociaż te też wyglądały dość efektownie. Dwa wozy straży pożarnej dogasały właśnie płonący budynek motelu. Wyglądało na to, że podpalony został dość nieudolnie, ponieważ spaliło się tylko trochę dachu i ściana z lewej strony, ale i to wyglądało dość marnie. Strażacy z OSP pewnie zaleją wszystko wodą, pianą i można pożegnać się z nadziejami, że technicy policyjni znajdą coś ciekawego.

Kowalik skrzywił się na tę myśl i nagle przypomniał sobie o starszym posterunkowym. Ze względu na dobro śledztwa musiał z nim chwilę porozmawiać.

-- Ty byłeś pierwszy na miejscu? -- zapytał.

-- Tak jest!

-- Ty zawiadomiłeś straż?

-- Tak jest!

Inspektor dopiero teraz skoncentrował na nim swoje złe spojrzenie.

-- Wypluj ten kij od szczotki, posterunkowy. Chcę z tobą porozmawiać jak z człowiekiem. Nie jesteś w wojsku.

Młody funkcjonariusz trochę się zmieszał i nie wiedział, co powiedzieć.

-- Tak jest -- wydusił wreszcie.

-- Kurwa mać -- jęknął Kowalik, oglądając się na swoich ludzi stojących w milczeniu za jego plecami.

Po minach było widać, że mimo dynamicznej sytuacji nieźle się bawia, słuchając tej wymiany zdań.

-- Adam, udało ci się złapać Pawelca? -- zapytał.

-- Nie, szefie, nie odbiera telefonu -- padła szybko odpowiedź.

-- Pewnie o jeden drink za daleko -- zakpił kolejny z jego ludzi, co spowodowało szersze uśmiechy na twarzy pozostałych.

Nie darzyli komisarza Pawelca sympatią, podobnie jak ich szef. Tylko że oni zazwyczaj nie lubili nikogo z BSW, za to on miał inne powody, żeby nie pałać do komisarza z Zakonu przesadnym uczuciem. Zniecierpliwiony chwycił posterunkowego za ramię i pociągnął w kierunku drogi prowadzącej do motelu.

-- Opowiedz mi, jak było -- powiedział przyjacielskim tonem. -- Ale tak krótko, bez zbędnego pierdolenia.

Młody zmierzył go jeszcze bardziej przestraszonym spojrzeniem, ale zaczął mówić:

-- Około wpół do dwunastej dostałem anonimowe zgłoszenie o strzelaninie w tym motelu. To podobno była istna kanonada, karabiny maszynowe, pistolety, granaty. Tak przynajmniej opowiadał ten świadek.

-- No dobrze, przybyłeś na miejsce zdarzenia i co?

-- Jak już dojeżdżałem, zobaczyłem ogień. Jeszcze z drogi zatelefonowałem po straż. W pół godziny byli.

Zatrzymali się przed samochodem zagradzającym połowę wjazdu. Miał otwarte przednie drzwi ze śladami po kulach i powybijane szyby. Jedna opona stała na feldze. Wyraźnie widać było postrzępioną gumę.

-- Widziałeś kogoś? -- dopytywał Kowalik.

-- Nie, było pusto, żywego ducha.

-- Jakieś zwłoki?

Policjant popatrzył na niego z przerażeniem na twarzy.

-- Nie, nic. Przyjechały dwie straże i gaszą budynek. Jak mi powiedzieli, był dość nieudolnie podpalony. Jakby ktoś się na tym znał, to spłonąłby w dwa kwadransy.

-- To widzę, ale dobrze, to ważna informacja -- pochwalił go inspektor. -- A teraz spadaj do zabezpieczania terenu i nie kręć się, bo jeszcze coś zادةpczesz.

Posterunkowy zrobił taki gest, jakby chciał stanąć na baczność i zaszalutować, jednak w ostatniej chwili się rozmyślił i odszedł.

Dwóch ludzi Kowalika stanęło na wjeździe, a trzech poszło za szefem.

Potem oglądali zniszczone auta, obeszlili budynek z przeciwnej strony niż ta, którą zajmowali się strażacy, znaleźli tylne schody i ślady po pociskach. Gdy wrócili, Kowalik chwilę rozmawiał z dowódcą strażaków. Po kwadransie mogli zajrzeć do wnętrza na wpół spalonej restauracji, gdzie znaleźli rozbity i nadpalony drugi samochód. Tu jednak snuł się ciągle gryzący biały dym i musieli się wycofać.

-- Więc co tu się odjechało? -- zapytał inspektor tego o imieniu Adam.

-- Dopadli ich koledzy Bońskiego i zrobili im niezłą jazdę -- rzucił przypuszczeniem zapytany.

-- Ja też tak sądzę. -- Kowalik pokiwał głową i zapalił papierosa. -
- Jak myślisz, udało im się?

-- Nie wiem, ale chyba mogli odjechać samochodem -- odpowiedział i wskazał wjazd na teren motelu. -- Bo inaczej skąd by się wzięło tamto auto podziurawione jak sito.

-- Tak... -- mruknął przeciągle Kowalik, zaciągając się dymem.

Być może tak szybko nie połączyliby tego zdarzenia z uciekinierami, gdyby nie raport policjanta z drogówki, który w tych okolicach widział dwóch podejrzanych mężczyzn jadących w stronę granicy. Czasem po prostu trzeba mieć szczęście.

Pół godziny czekali, aż zjawią się technicy. Kiedy wreszcie przyjechali, mimo protestów wywalili strażaków, żeby jeszcze bardziej niczego nie zniszczyli, i zabrali się do roboty. Kowalik palił właśnie kolejnego papierosa, patrząc w księżyc za chmurami, kiedy zagadał go Adam. Na ustach miał uśmiech jak laleczka Chucky na moment przed tym, gdy miała potraktować nożem kolejną ofiarę.

-- Zadzwoił. -- W jego głosie brzmiała nuta triumfu.

Inspektor Kowalik zgasił peta pod butem i mimowolnie też się uśmiechnął.

-- Nasi z nasłuchu mają wszystko zarejestrowane. Ciężko będzie się z tego wywinąć.

-- Namierzacie jego telefon?

-- Namierzaliśmy. -- Uśmiech Adama jeszcze się poszerzył. -- Niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Inspektor skinął na niego i szybkim krokiem ruszyli do samochodów, po drodze zgarniając pozostałych ludzi. Odjechali z piskiem

opon, lecz nie włączali sygnałów. Musieli się spieszyć, ale nie mogli rzucać się w oczy.

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski ocknął się niedługo potem. Było mu zimno, lecz obudziło go coś innego. Potężne łupanie pod czaszką w okolicach lewego ucha. Miał wrażenie, że ucho ma zatkałe i gorzej na nie słyszy, ponieważ drażniące dzwonienie zagłuszało wszelkie inne dźwięki. Usiadł z jękiem i walenie młota od środka czaszki nasiliło się. Jakiś górnik walił kilofem w jedno miejsce, jakby chciał przebić się na zewnątrz. Z trudem zmusił się do myślenia. Szybko ogarnął, co się stało i w jakiej paskudnej sytuacji się właśnie znalazł. Nawet nie paskudnej, tylko beznadziejnej.

Zanim wstał, rozejrzył się. To była ta sama droga, tylko oczywiście auta nie było. Ten pieprzony Szot zostawił go w środku lasu i odjechał realizować swoją osobistą wendetę. Zakrzewski pomyślał z wściekłością, że jak tylko ten upierdliwy górnik opadnie trochę z sił, on też zacznie realizować swoją zemstę. Był tak wkurwiony, że jeśli tylko nagromadzona w nim negatywna energia znajdzie właściwe ujście, nie będzie zmiłuj. Został potraktowany jak nic nieznający pionek w grze. Do tego z góry skazany na eliminację. Cokolwiek by zrobił, jakkolwiek by postąpił, od razu był skazany na porażkę. Wystawili go. Zaufał im, a oni potraktowali go jak frajera. Ustalili z nim plan działania, tylko że oni mieli inny plan. A on, niczego nie podejrzewając, dał się wkręcić jak totalny idiota, a nie jak śledczy z wieloletnim stażem.

"Tak -- pomyślał z sarkazmem -- ty cholerny twardogłowy Marcinie Zakrzewski. Wydymali cię, bo to gracze z innej ligi, niedostępnej dla ciebie. Ty masz swoje zasady, skrupuły, zastanawiasz się, wahasz, nie strzelasz bez potrzeby, na pewno nikogo byś nie zdradził, a już na pewno nie zostawił w potrzebie. Jesteś chodzącym dinozau-rem, nieprzystosowanym do nowoczesnego świata. A właśnie oni, Falewicz, Nawrot i spółka, reprezentują ten nowy świat i nowe porządki. Gracze bez żadnych zasad, skrupułów. Po trupach do celu. Nienawidzisz tego, a jednak dałeś się ograć".

Głowa trochę przestała boleć, chociaż słuch nie wrócił, zostało za to cholerne brzęczenie w uszach, jakby wszystkie dzwonki w jego dawnym liceum dzwoniły na długą przerwę. Tylko że żadnej przerwy nie będzie. Nadkomisarz Marcin Zakrzewski nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. To się tak nie skończy, w nocy, w środku lasu. Będzie ciąg dalszy, i to on będzie myśliwym. Zamieni się wreszcie we

wściekłego psa, jak to sobie już obiecuje od kilku dni, i pójdzie na polowanie. Taki wściekły i zdeterminowany pies nawet w pojedynkę jest bardzo groźny, ponieważ jest nieprzewidywalny i trudno go namierzyć. Zawsze obowiązywały go zasady, zawsze ich przestrzegał, lecz nagle poczuł, że nie ma już zasad. To, co było, skończyło się, a przynajmniej ma przerwę, którą właśnie ogłaszają radośnie dzwonki pod jego czaszką.

Podniósł się na nogi i nagle w ciemnościach dostrzegł jakiś kształt obok na trawie. Schylił się i podniósł swojego walthera P99 z pełnym magazynkiem. Szot łaskawie zostawił mu broń. Pewnie żeby samotnego psa wilki w lesie nie zjadły. Zdrajca, jeszcze za to zapłaci. Marcin miał jakieś dziwne przeczucie graniczące z pewnością, że niedługo tak właśnie będzie. W sumie nieważne są pobudki, jakimi się kierował, być może Zakrzewski nawet potrafił go zrozumieć, ale tak się nie postępuje. Przecież mógł powiedzieć, Marcin pewnie by mu pomógł.

Rozejrzał się. Ciemność, kształty lasu, odgłosy jego nocnego życia z trudem przebijające się przez dzwonięcie w uchu, srebrne niebo i luna światła bijących od jakiejś większej miejscowości na horyzoncie. I co dalej? Bez wsparcia sobie nie poradzi. Obiecywał sobie, że nigdy tego nie zrobi, ale teraz nie miał wyjścia. Potrzebował pomocy jak rozbitek na bezludnej wyspie, i w sumie nawet tak się czuł. Był sam, wokoło sami wrogowie, a przyjaciół nie mógł w to wciągać. Dla ich bezpieczeństwa. Tylko ten jeden telefon.

Sięgnął do kieszeni dzinsów i wyciągnął aparat z kartą SIM należącą do jego ojca. Włączył go i z niepokojem obserwował, czy łączy się do sieci. Udało się, wskaźnik pokazywał sygnał o niezłej mocy. Czekał kilka długich sygnałów, aż w reszcie usłyszał chrapliwy głos kogoś wyrwanego z głębokiego snu albo cierpiącego. Być może obie te opcje były prawdziwe.

-- Cześć, Karina, jak się czujesz? -- zapytał.

-- Marcin! -- W jednej chwili otrzeźwiał ze snu i z bólu. -- Ten głupek przestrzelił mi udo.

-- Coś poważnego?

-- Na szczęście nie. Jestem pod troskliwą domową opieką znajomego Justyny. Doktor mówi, że do wesela się zagoi.

-- Ten to umie pocieszyć -- próbował zażartować, ale ona przecież знаła go jak własną kieszeń, od razu usłyszała fałsz w głosie.

-- Marcin, co się stało? -- zapytała zaniepokojona.

-- Za długo by opowiadać. Potrzebuję pomocy.

-- Co się dzieje?

-- Jestem w lesie, nawet, kurwa, nie wiem gdzie dokładnie. Potrzebuję transportu. Nikt nie weźmie mnie w nocy na stopa, no chyba że policja, ale z kolegami na razie nie mam zamiaru się spotykać.

Karina Buczko zastanawiała się chwilę.

-- Chyba jest ktoś, kto może ci pomóc -- powiedziała wreszcie. -- Byli u mnie w mieszkaniu, słusznie podejrzewali, że pomagałam ci w odbiciu więźniarki. Odstawiłyśmy z Justyną szopkę i pewnie by się udało, ale jeden z tych policjantów, co cię ścigali, zobaczył u mnie krew.

-- I co? -- zaniepokoił się Zakrzewski.

-- Nic nie powiedział, potem wrócił i przyznał się, że wie o wszystkim i jesteśmy po tej samej stronie. Dał mi wizytówkę, w razie gdyby były kłopoty.

Marcin chwilę milczał. Ta sytuacja wcale mu się nie podobała. Z drugiej strony nie miał wielkiego wyboru, a Karina na pewno nie wpakowałaby go na minę.

-- Jak on się nazywa? -- zapytał.

-- Komisarz Pawelec. Jest z Zakonu.

-- Ci z Zakonu są najgorsi.

-- Marcin, jemu możesz zaufać. Bardziej musisz się obawiać tego drugiego. To jakiś psychol zafiksowany na twoim punkcie. Gdyby mógł, toby cię pierwszy odstrzelił. Naprawdę na niego uważaj.

-- A ten jak się nazywa? -- zainteresował się nadkomisarz.

-- Inspektor Janusz Kowalik.

Zakrzewski nagle się zamyślił i nic nie powiedział.

-- Marcin, jesteś tam?

-- Tak.

-- Znasz tego Kowalika?

-- O tyle, o ile -- wycedził przez zęby.

-- Wyślę ci za moment telefon do Pawelca. On ci pomoże.

-- J-jasne.

Dzwonki dzwoniły, las szumiał, niebo było srebrne, a w duszy przelewała mu się złość jak wzbierająca fala przypiływu. Po chwili piknął telefon. Karina przysłała mu numer Pawelca. Długo się zastawiał, zanim wykręcił. Sprawdził najpierw broń, włożył ją za pasek spodni, obmacał sobie dokładnie miejsce, w które przyłożył mu Szot,

krw z dłoni wytarł w spodnie, spojrział w niebo i dopiero wtedy zadzwonił.

-- Zakrzewski z tej strony -- powiedział, kiedy usłyszał w słuchawce głos funkcjonariusza BSW.

-- Skoro dzwonicz, to jest problem, nie mylę się? -- zapytał Pawelec.

-- Tak, wyciągniesz mnie z gówna?

-- Gdzie jesteś?

Zakrzewski starał się mu wytłumaczyć, gdzie teoretycznie się znajduje. Rozmówca sprawdzał coś na mapie w komputerze i po chwili chyba już wiedział, gdzie go szukać.

-- Tak się składa, że jestem niedaleko -- powiedział w końcu. -- Powinienem być za czterdzieści pięć minut.

-- Poczekam. Mam dużo czasu.

Rozłączyli się, a Marcin ruszył w kierunku drogi. Po chwili szedł w ciemnościach asfaltem, jakąś boczną drogą. O tej porze nic tędy nie jeździło. W pewnym momencie przystanął. "Więc o to ci chodziło, Falewicz? -- pomyślał w duchu, lecz wściekłość ani na moment go nie opuściła. -- Nawet jeśli naprawdę o to, to i tak dostaniesz w mordę, jak cię spotkam".

Sprawdził, czy pistolet jest na miejscu, i poszedł wolno dalej.

19

Prawdziwy Jakub Boński siedział na krześle z rękami skutymi z tyłu i nogami przymocowanymi do nóg krzesła szarą taśmą. Jego twarz, dotąd idealnie opalona na brąz, teraz przypominała kotlet schabowy lekko potraktowany tłuczkiem przed rzuceniem go na gorącą patelnię. Miał spuchnięte wargi, z nosa ciągle sączyła się krew, oczy z przekrwionymi białkami zapadły się do środka czaszki przykryte opuchlizną. Podkomisarz Bogucki spuścił mu niezły łomot, a do tego go oszukał, i to chyba była ta kropla, która przelała czarę jego szaleństwa. Patrzył teraz na nich wściekłym spojrzeniem, z wyszczerzonymi okrwawionymi zębami, jak ranny wilk w potrzasku, pogodzony ze swoim losem, ale ciągle jeszcze gotowy kąsać sięgające po niego ręce. Żeby tylko zadać jak najwięcej bólu, żeby jak najbardziej zaszkodzić. Boński nie kąsał, ale z jego ust sypał się ciąg gróźb i przekleństw. Po godzinie takiego ubliżania prokurator Andrzej Falewicz zrozumiał, że od niego niczego się już nie dowie, i zagroził, że jeśli się nie zamknie, zaknebluje go. Groźba podziałała i Boński trochę się przymknął. Wodził tylko za nimi dzikim spojrzeniem.

Falewicz wrócił do willi po dwudziestej drugiej. Zamieszanie związane z przeciekami tajnych informacji o polowaniach na ludzi zataczało coraz szersze kręgi. Już mówiły o tym największe dzienniki, w sejmie trwała awantura, w której o zaniechania oskarżali się wszyscy nawzajem, nie patrząc nawet na aktualne układy koalicyjne. Mówiło się o dymisjach na stołkach ministerialnych, w policji, w służbach, nawet w wojsku. Oczywiście co chwilę jacyś ministrowie, prokuratorzy i pomniejsi politycy występowali przed kamerami z oświadczeniami brzmiącymi mniej więcej tak samo. "Nic nie wiedziałem, nic nie słyszałem, jestem wstrząśnięty". Rzecznicy prasowi dużych firm, których właściciele, członkowie zarządu lub rad nadzorczych byli oskarżani o udział w polowaniach na ludzi albo o wykorzystanie związanych z tym wpływów, czyli załatwianie kontraktów, wielkich pożyczek, fuzji, sprzedaży i wykupowania akcji i obligacji, dwoili się i troili, wydając pokrętne oświadczenia i strasząc pozwami o naruszenie wizerunku i dóbr osobistych. Jednak gdzieś po cichu coraz więcej osób chciało pójść na współpracę w zamian za wolność.

Prokurator Falewicz był na dwóch takich spotkaniach już od wczesnych godzin popołudniowych, a słyszał o kolejnych, na które

jeździli zaufani prokuratorzy od Grzegorza Nawrota. Tylko że tam już nie było litości. Wszystkie propozycje współpracy w zamian za mało istotne zeznania zostały odrzucone. Nie wszystkich dało się ułaskawić, większość tych cholernych, pazernych na kasę i wpływy zabójców w białych kołnierzykach musiała trafić na salę sądową. Nawet jeśli procesy będą ciągnąć się latami i nie każdy zakończy się sukcesem prokuratury, musiały się odbyć. Dla przykładu, jako ostrzeżenie, że państwo w końcu upomni się o tych, którzy popełnili straszne zbrodnie, nawet tych z setkami milionów na koncie. Jeszcze nie mieli danych, kto wsiadł w samolot i uciekł na drugi kraniec świata. Takie sytuacje na pewno już się zdarzyły albo zdarzą. Podobna afery rozkręcała się nie tylko w polityce i w biznesie, ale we wszystkich sferach życia publicznego. W kilkanaście godzin mówił o niej cały świat.

Falewicz siedział przed komputerem naprzeciw Bońskiego, jak już od kilku dni. To był też jego mały sukces. Dane, które przekazał im Boński, i jego zeznania, były jak napalm. Gdziekolwiek ukazywały się publicznie, tam wybuchał pożar, którego nie uda się ugasić, dopóki ktoś nie poniesie konsekwencji swoich czynów. Tyle tylko, że podobnie jak podkomisarz Bogucki, Falewicz wątpił w to, czy Boński powiedział im wszystko. Dlatego razem wymyślili, jak go podejść. Pozbawili go snu przez ostatnie dwie noce i w końcu popełnił błąd, sypiąc Boguckiemu Drugiego. Tylko że tu zaczynał się bardzo poważny problem.

Drugi nazywał się Radosław Ulewicz i był bardzo znaną osobistością w Polsce, pełniącą najwyższe funkcje w wymiarze sprawiedliwości od czasów transformacji ustrojowej na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Oskarżenie go o organizację procederu polowań na ludzi przyćmiłoby wszystko inne. To wywołałoby nieprawdopodobny szok. Ulewicz był wykładowcą uniwersyteckim, szanowanym sędzią, prezesem Sądu Najwyższego, był autorytetem, wybitnym konstytucjonalistą, autorem niezliczonej ilości artykułów i książek dotyczących prawa konstytucyjnego. Postawienie mu zarzutów byłoby wstrząsem.

No i istniała jeszcze jedna przeszkoda. Trzy miesiące wcześniej, krótko przed tym, jak Boński uciekł z kraju, profesor Radosław Ulewicz trafił do szpitala MSWiA z ciężkim udarem mózgu. Niedawno opuścił szpital i żona gdzieś go zabrała, nie informując o tym nikogo. Dane przebiegu jego pobytu w szpitalu były jednoznaczne. Ulewicz

był sparalizowany, miał porażenie mózgowe i prawdopodobnie stracił kontakt ze światem zewnętrznym. Poruszał się na wózku i wymagał całodobowej opieki. Jak postawić zarzuty osobie w takim stanie? Przecież on nawet nie będzie wiedział, co się wokół niego dzieje. Takich ludzi nie stawia się przed sądem.

Prokurator Falewicz właśnie nad tym rozmyślał, Boński mamrotał coś do niego pod nosem, jakby już do końca postradał zmysły, Bogucki poszedł na dół, nic nie mówiąc. Przez uchylone zasłony widać było, że za sprawą czarnego jak smoła nieba nad ich głowami noc będzie o wiele bardziej ciemna niż poprzednie. Jakby z powodu tej afery nad całym krajem zawisł jakiś złowrogi całun, ku przestrodze, że straszne czyny zawsze sprowadzają nieszczęście, a los chętnie się mści na złoczyńcach. Prokurator przejrzał jeszcze maile, pomyślał o nadkomisarzu Zakrzewskim, którego wystawił policji na strzał, i poczuł wyrzuty sumienia. Polubił tego prostolinijnego, uczciwego do bólu gliniarza z Wrocławia. Pewnie w innych okolicznościach chciałby z nim pracować. Miał wyrzuty sumienia, że zostawił go zdanego tylko na własne siły. Ale zrobił to właśnie dlatego, że Zakrzewski był jedyną osobą, która była w stanie dokonać tego, co zaplanowali. Nikt inny, tylko ten cholerny Zakrzewski. Falewicz był pewien, że po wszystkim otrzepie się jak pies wychodzący na brzeg rzeki po kilkugodzinnej walce z prądem i dalej będzie robił to, co umie najlepiej i bez czego nie może przecież żyć. Nie liczyło się to, że Falewicz będzie pewnie jedną z najbardziej znienawidzonych przez niego osób. Trudno, przeżyje to. Taka była cena prawdy i sprawiedliwości. Trzeba było ją zapłacić dla dobra kraju, jakkolwiek pompatycznie i idiotycznie to brzmi.

Śledził chwilę wiadomości na portalach informacyjnych, wreszcie zaniepokoił się, że Bogucki tak długo nie wraca. Jakub Boński też zamilkł, widząc jego zaniepokojenie.

-- Co, przyszli po mnie? -- syknął, a w jego przekrwionych oczach szaleństwo pomieszało się ze strachem.

-- Zamknij się -- warknął na niego Falewicz, jednak jego niepokój się pogłębił.

Podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał zza zasłony na podwórze. Było cholernie ciemno. Ktoś musiał zgasić lampę nad garażem, bo całe podwórze pogrążyło się w gęstym jak olej mroku. Tak nie powinno być. Im dłużej przyglądał się zamkniętej bramie, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ciemny kształt na skrawku traw-

nika to jeden z ich strażników. Tylko dlaczego leżał i się nie ruszał? Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Zakładali, że kiedyś to się stanie, ale nie spodziewali się, że już teraz. Gorączkowo zastanawiał się, kto mógł ich zdradzić. Lista osób, które wiedziały, gdzie są, była wyjątkowo krótka i zarówno on, jak i Nawrot za każdego ręczyli. Czyżby jednak się pomylili? W takim razie dlaczego nie przyszli dwa tygodnie wcześniej? Przecież likwidując ich, mogliby nie dopuścić do wybuchu afery. Co tu jest grane?

-- Pamiętaj, że obiecaliście mnie chronić. -- Boński też był coraz bardziej zaniepokojony.

Tym razem Falewicz nie odpowiedział, wsłuchując się w odgłosy domu. A właściwie ich brak. Cisza była wręcz nienaturalna. Gdzie, do cholery, był Bogucki? Nagle przyszło otrzeźwienie. Nic się nie mogło stać, wszystko jest w porządku, to tylko jego nerwy napięte do granic wytrzymałości i zmęczenie organizmu, wspomaganego w ostatnich dniach bardziej kawą niż snem.

Podszedł szybko do drzwi, szturchnął je i spojrzał w długą lufę pistoletu z tłumikiem. Czas stanął w miejscu. Podobno w ostatnich chwilach przed śmiercią całe życie przelatuje człowiekowi przed oczami. Gówno prawda. On widział jedynie ciemny otwór lufy, a za nim sylwetkę w kominiarce. Tylko oczy świeciły napastnikowi w ciemnościach. No tak, koniec, chyba niczego nie żałuje. Wszystko zrobiłby tak samo, z jednym wyjątkiem. W tamten feralny dzień, kiedy zderzyli się z ciężarówką, nie napiłby się wina i to on prowadziłby auto. Wtedy na pewno nie doszłoby do wypadku. Jeśli po śmierci trafi do piekła i będzie musiał wiecznie przeżywać najgorsze chwile swojego życia, to będzie to właśnie tamten wieczór. Już po wsze czasy będzie słyszał straszliwy krzyk żony i czuł smród palącego się ciała. Przymknął oczy.

Huk wystrzału przerwał nagle tę nienormalną ciszę, jaka zapadła. Falewicz zacisnął mocno powieki i drgnął konwulsyjnie. Czekał na ból, uczucie wypływającego przez dziurę w głowie życia, lecz nic takiego nie nastąpiło. Dopiero kiedy pod mężczyzną mierzącym mu w czoło ugięły się nogi i opadł na kolana, zrozumiał, że pistolet z tłumikiem nie brzmi tak głośno.

Z tyłu Jakub Boński zaczął szarpać się z krzesłem i krzyczeć:

-- Rozkuj mnie! Kurwa, rozkuj mnie, bo nas zabijają!

Mężczyzna w kominiarce upadł na bok i znieruchomiał. Prokurator Falewicz powędrował wzrokiem na drugi koniec korytarza i jego

spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem podkomisarza Boguckiego, który właśnie opuszczał dymiącą lufę swojego pistoletu.

Nie było czasu na więcej niż spojrzenie. Wokoło domu nagle wybuchła kanonada. Całe szczęście, że napastnicy nie zlikwidowali ich ochrony, a tylko ją zaskoczyli. Być może nawet jednego z ludzi Falewicza zabili, jednak pozostali trzej właśnie przystępowali do obrony. Słyszał dwa skorpiony grające na zewnątrz i jeden z wnętrza domu, który odzywał się rzadziej, ale coraz bliżej, jakby ochroniarz chciał się dostać do nich na piętro.

Boński ciągle krzyczał i szarpał się jak oszalały. Falewicz chciał coś powiedzieć do Boguckiego, kiedy nagle na ich piętrze, niedaleko rozległy się dwa wystrzały. Bogucki zatoczył się na ścianę i osunął się po niej, zamykając oczy. Z dwóch stron korytarza biegło do prokuratora dwóch kolejnych tak samo ubranych napastników. Andrzej zareagował instynktownie, zatrzasnął drzwi i przekręcając klucz w zamku. Od razu rzucił się do teczki, gdzie miał swój pistolet. Rozległy się strzały, które strzaskały zamek, i do środka wtargnęło dwóch mężczyzn. Falewicz nie był najlepszy w strzelaniu z broni krótkiej i zanim zdążył przymierzyć, nie było już czasu, żeby nacisnąć na spust. Z krzykiem rzucił się na pierwszego zamaskowanego, uniemożliwiając mu strzał. Polecieł na ścianę. Mężczyzna jęknął i stracił oddech, kiedy uderzył plecami o twardą powierzchnię, przygnieciony do niej przez Falewicza. Pistolet wypadł mu z dłoni. Strzały na dole przybrały na intensywności. Ktoś krzyczał, wydawał niezrozumiałe komendy. Być może pierwsze natarcie z zewnątrz zostało zatrzymane. Co z tego, kiedy jeszcze dwóch znajdowało się tutaj, a najważniejsze było to, co działo się właśnie tu.

Boński przewrócił się z krzesłem na podłogę i udało mu się uwolnić jedną nogę z taśmy. Drugi z napastników zawahał się na moment i nie strzelił do Falewicza, bojąc się trafić kolegę. Odwrócił się do Bońskiego i nacisnął na spust, lecz pociski wbiły się tylko w klepki na podłodze, przebijając dywan. Jakub Boński zmienił się w bestię, jakby walka o życie spotęgowała jego szaleństwo i zdziesięciokrotniła siły. Zdążył przemieścić się w bok i stanąć na nogi mimo skutych na plecach rąk. Teraz zrobił zamach ciągle przyklejonym do prawej nogi krzesłem. Napastnik nie zdążył zasłonić się przed uderzeniem. Pistolet wypadł mu z dłoni, a krzesło omal nie zważyło go z nóg. Zatoczył się tylko. Taśmy nie wytrzymały obciążeń i pękły. Uwolniony Boński rzucił się na zamaskowanego zamachowca, tak samo jak Falewicz

przed sekundą na pierwszego. Tylko że było daleko od ściany, więc upadli z impetem. Boński natychmiast zakreślił się jak wąż boa, zaciął na szyi napastnika splecione nogi i zaczął go dusić.

Ten, którego zaatakował prokurator, zdążył już dojść do siebie i zaczęła się walka wręcz. Był niezły, ale przecież Falewicz był równie dobry. Setki godzin spędzonych na ciężkich treningach, mimo że dawno już zaprzestał regularnych ćwiczeń, dały o sobie znać. W walce na pięści, nogi i kolana był całkiem niezły. Sparował ramionami dwa ciosy zamachowca, stojąc w pozycji bokerskiej, nagle zmienił ustawienie ciała i wyprowadził skuteczne kopnięcie. Potem kolejne, a całość zakończył serią ciosów na korpus i twarz rywala. Przy ostatnich facet zwiotczał i jeśli chciał mu jeszcze dołożyć, musiał go mocno przytrzymywać drugą ręką. A chciał mu dołożyć. Chciał wyrzucić z siebie całą wściekłość. Wreszcie gość wyślizgnął mu się i legł nieprzytomny.

Falewicz spojrzał na Bońskiego. Duszony przez niego drugi zamachowiec już tylko coraz wolniej machał rękami, aż wreszcie też zwiotczał i znieruchomiał, prawie uduszony. Prokurator zwałił się na krzesło przy stole, ciężko dysząc. Boński leżał i też dochodził do siebie. Wymiana ognia w domu i na zewnątrz ustała. Atak na willę się nie udał. Słychać było trzask drzwiczek samochodów, a potem ryk silników i pisk opon buksujących na asfalcie i zapadła cisza.

Spod ich okien dobiegło nawoływanie ochroniarzy. Falewicz słyszał, jak jeden krzyczy coś o karetce pogotowia. Najwyraźniej ten przy bramie na trawniku był ranny. Dobiegł go głos pospiesznych kroków na schodach. Do środka wpadł jeden z ochroniarzy, jeszcze zaczerwieniony na twarzy i podniecony walką. Przesząpił trupa na progu i zajrzał do pokoju.

-- Nic panu nie jest? -- zapytał Falewicza z troską.

-- W porządku -- zdołał wysapać Andrzej -- ale na korytarzu leży Bogucki. Dostał. Sprawdź, co z nim.

-- To twardziel. -- Ochroniarz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

W tej chwili Bogucki pojawił się w drzwiach. Całą koszulkę miał zalaną krwią, jedna ręka zwisała bezwładnie, drugą przyciskał ranę na boku. Nic nie powiedział.

-- Skuj ich. -- Falewicz wskazał nieprzytomnych napastników.

Ochroniarz wyjął z kieszeni trytytki i zaciągnął je mocno na rękach i nogach leżących. Potem powiedział, że musi skontrolować dół, w razie gdyby wrócili po kolegów, i już go nie było.

-- Skurwysyny, a mnie nie pytacie, jak się czuję. -- Jakub Boński przekręcił się na kolana i stanął niepewnie.

-- Ty mnie gównu obchodzisz -- warknął Falewicz.

Więzień chwiał się na nogach i patrzył z nienawiścią na prokuratora. To była jakaś pierwotna, pozbawiona wszelkiej kontroli umysłu nienawiść nastawiona tylko na jedno. Zabić. Przynajmniej spróbować zabić, nawet za nic mając własne życie.

-- Ja wiedziałem, że jesteś takim cholernym skurwysynem, Falewicz -- wycedził zimno przez zęby. -- Wiesz, teraz żałuję, że to nie ty zginąłeś w tym zamachu, tylko ta zdzira twoja żona i bękart. Wiele problemów by się rozwiązało.

Po jego słowach w pomieszczeniu zapadła nagle ciężka cisza. Tylko Bogucki przeklął pod nosem, ale być może przeklął z bólu. Prokurator Andrzej Falewicz poczuł, jak świat wali mu się na głowę i roztrzaskuje się na milion drobnych kawałków. Takich, których nie da się już ułożyć. Takich, które najlepiej zgarnąć na kupę, oblać benzyną, podpalić i patrzeć, jak zamieniają się w popiół. Przez długie sekundy wypowiedziane przez Bońskiego słowa nie mogły przebić się do jego świadomości, mimo że doskonale rozumiał ich sens. A kiedy wreszcie się przebiły i okazało się, że nie da się ich inaczej zrozumieć, musiał się jeszcze upewnić.

-- Co ty do mnie powiedziałaś? -- Nie poznał swojego głosu, jakby mówił ktoś z ciężkim nieżytem gardła stojący obok niego.

-- Andrzej, nie -- zaprotestował Bogucki, lecz był zbyt słaby, żeby zareagować.

-- Co ty do mnie powiedziałaś? -- Falewicz wstał i postąpił krok w kierunku Bońskiego.

Ten splunął krwią, pochylił trochę głowę i spojrzał na prokuratora spode łba przekrwionymi oczami.

-- To był zamach na ciebie, nie wiedziałaś? -- zadrwił. -- Drugi miał cię już dość i kazał cię usunąć jako zagrożenie dla organizacji. Pamiętasz aferę śmieciową? Jak myślisz? Dlaczego uratował cię ten sukinsyn z ABW? Bo jeździli za tobą, ale nam i tak udało się ciebie dopaść!

Falewicz przymknął oczy. W uszach ciągle brzmiał mu krzyk płonącej żony i czuł swąd palonego ciała. Tak intensywny, że nagle stracił smak. Nie czuł już mdłego posmaku krwi z rozbitej wargi, niczego nie czuł. Świat się skończył. Stanął. Wielka kosmiczna katastrofa zdmuchnęła całe życie na ziemi. Przynajmniej dla niego. Była tylko

żądza zemsty. Bogucki nie zdołał drugi raz zaprotestować. Osuwał się po framudze drzwi i chyba na moment stracił przytomność. Ale on też nic w tym momencie Falewicza nie obchodził.

Prokurator ruszył na Bońskiego. Ten najwyraźniej był już na to przygotowany, bo nagle sam zaatakował. Falewicz był zbyt zaślepiiony nienawiścią, żeby poprawnie zareagować.

Boński nie mógł użyć rąk, więc uderzył głową z byka. Andrzej dostał w piersi i upadł. Były policjant chciał mu założyć takie samo duszenie jak przed kilkoma minutami, lecz Falewicz mu się wywinął. Chciał wstać, ale Boński znowu był szybszy, tym razem uderzył go głową w twarz. Falewicz upadł i poczuł mdłości. Gdzieś na moment odleciał i stracił kontakt z rzeczywistością.

Boński, widząc swoją szansę, położył się obok niego tyłem i po omacku sięgnął do kieszeni jego spodni. Już po chwili miał kluczyk do kajdanek. Przeturlał się i przez długie sekundy próbował włożyć kluczyk do zamka. Zanim uwolnił się z bransoletek, prokurator, już przytomny, wstawał z kolan na nogi. Zwarli się w bezpardonowej walce. Przelecieli przez stół, strącając na podłogę laptop i komórki, połamali drugie krzesło. To była walka na śmierć i życie. Boński najwyraźniej o tym wiedział, ponieważ dawał z siebie wszystko. Mimo to prokurator z wolna zyskiwał przewagę. Zerwali zasłony, wyrwany ze ścian karnisz spadł im na głowy, ale przecież nie zwracali uwagi na drobiazgi. Silny cios pięścią posłał Bońskiego na krótki spacer przez drzwi tarasowe, które natychmiast ustąpiły pod naporem jego ciała. Falewicz dopadł go, zanim zdążył się podnieść. Kopnął go w bok, a potem podniósł i oparł o kutą barierkę tarasu. Boński zerknął w dół i na jego poszatkowanym, okrwawionym obliczu pojawiła się panika. Było wysoko, a podjazd dla samochodu na dole wyłożony był betonowymi płytami. Szarpał się.

-- Andrzej, nie! -- dobiegł ich słaby okrzyk ранnego Boguckiego.

-- Kto zlecił zamach? -- Falewicz wychrypiał to pytanie prosto w twarz Bońskiego.

Jeszcze mocniej napał przy tym na niego. Mężczyzna odchylił się bardziej i nagle poleciał. Nieoczekiwanie dla Falewicza po prostu wyfrunął z jego rąk, jakby był ptakiem, i już go nie było. Tylko że on nie był przecież ptakiem, nie mógł wzlecieć gdzieś w górę do wolności. Musiał poddać się bezwzględny prawom ciężenia i polecieć w dół.

Prokurator wyjrzał za barierkę. Boński leżał na dole z głową wygiętą w nienaturalny sposób. Skręcił kark. Pod jego ciałem rosła

szybko czarna jak otaczająca ją noc kałuża krwi. Falewicz długo klęczał, przykładając rozpalone czoło do zimnych kutyh prętów bariery, i na przemian to śmiał się, to płakał, to znowu przeklinał, wspominał imię syna, wyznawał żonie miłość i ciągle powtarzał, że żałuje. Bogucki tylko patrzył na to coraz mniej przytomnym wzrokiem.

Nawet nie słyszeli, kiedy na górze znowu pojawił się jeden ochro- niarz, a z oddali usłyszeli wycie syren karettek. Podkomisarz chwycił Falewicza za ramię i coś do niego mówił, lecz prokurator był w alternatywnej rzeczywistości. Ten świat mało go obchodził. Wyszarpnął się, nie odwracając się, wszedł do pokoju, zebrał z podłogi oba pistolety, a potem opuścił dom.

Na dole minął martwego Bońskiego we wciąż powiększającej się kałuży krwi, w bramie minął się z karetkami pogotowia i policyjnym radiowozem, a potem ruszył środkiem drogi przez noc, nie oglądając się za siebie.

20

Zakrzewski szedł skrajem drogi ponad pięćdziesiąt minut, zanim wreszcie dotarł do niego komisarz Pawelec. Marcin wsiadł do jego samochodu i ruszyli wolno, jakby prowadzący auto nie miał planu, dokąd ma jechać, i nigdzie mu się nie spieszyło. Milczeli dłuższą chwilę.

-- Dlaczego to robisz? -- zapytał wreszcie nadkomisarz znużonym głosem.

Pawelec rzucił tylko na niego okiem.

-- Myślałem, że wiesz. Jestem po twojej stronie, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

-- J-jasne.

Pawelec zerkał co chwilę na swojego pasażera, jakby spodziewał się kolejnych pytań, tymczasem Marcin się nie odzywał. Wreszcie sam nie wytrzymał.

-- Musiałem powstrzymywać tego narwańca Kowalika, który dowodzi pościgiem za wami. To jakiś cholerny psychopata, bałem się, że cię zastrzeli, kiedy tylko znajdziesz się w zasięgu jego wzroku.

-- J-jasne -- powtórzył Zakrzewski.

-- A gdzie jest Boński? -- zapytał wreszcie Pawelec.

Marcin tylko wzruszył ramionami.

-- Uciekł zaraz po strzeleniu -- wyjaśnił. -- Nie mam pojęcia, gdzie jest.

Jechali wolno przez noc. Drzewa pochylały się nad jezdnią i padające na nie światło reflektorów tworzyło złudzenie jazdy przez ciemny tunel.

-- To niedobrze. -- Komisarz pokręcił głową. -- To kawał sukiny-syna.

-- Znasz go? -- zainteresował się Zakrzewski.

-- Osobiście nie, ale byłem wtedy w Bytowie. Tylko że nam spierdolił.

-- Ktoś go ostrzegł?

-- A tak ci powiedział? -- Głos Pawelca jakby przez moment zdrżał.

-- Powiedział, że ostrzegł go aspirant Adrian Szot -- odparł ostrożnie Marcin.

Komisarz prowadził dalej auto i długo się nie odzywał, jakby przetrawiał tę wiadomość. Wreszcie skrzywił się i walnął dłonią

w kierownicę.

-- Powiniennem był się domyślić -- powiedział jakby do siebie. -- Ale mu ufałem. To był dobry gliniarz. Tak samo jak ufałem wszystkim moim ludziom. Nie rozumiem tego, przecież to on trafił na Jakuba Bońskiego, tam w Bytowie. Nie rozumiem, dlaczego najpierw prawie go nam wystawił, a potem go ostrzegł. To bez sensu.

Zamilkł, kręcąc głową z niedowierzaniem.

-- Dokąd jedziemy? -- zapytał nagle Zakrzewski.

-- W bezpieczne miejsce -- odpowiedział enigmatycznie Pawelec.

-- Wydasz mnie?

-- Nie. -- Pawelec był prawie oburzony. -- Przecież powiedziałem, że gramy po tej samej stronie.

Zakrzewski zamilkł i przez jego głowę myśli przelatywały coraz szybciej. Był zmęczony, brakowało mu kofeiny, która zawsze go pobudzała do działania. Teraz jej miejsce zajęły wściekłość i adrenalina pompowana w nadmiarze do mózgu. Gdzieś w słowach Pawelca czaił się fałsz. Tylko gdzie? Stopniowo gonitwa myśli zamierała, te niepotrzebne zniknęły, zostały te najważniejsze, precyzyjne jak chirurgiczne cięcie, pewne jak śmierć i podatki.

Przypomniiał sobie jedną z rozmów z prokuratorem Falewiczem, które przeprowadzili w fazie planowania sprowadzenia Bońskiego i medialnego ataku na zbrodniczą organizację wpływowych ludzi. Zeszli wtedy na temat zamachu, który przeżył Zakrzewski. Zamachu, w którym zginęli Adam Wiliczkowski i Ilona Marzec. Zamachu, w który wrobieni zostali ochroniarze Jerzego Ostaszewskiego. Mimo poważnych wątpliwości tego śledztwa nikt nie wznowił i skazani ochroniarze wciąż przebywali w więzieniu, odsiadując długie wyroki. Nigdy już nie wyjdą, do śmierci. Co powiedział Falewicz, a czego Marcin wtedy nie zrozumiał? Że tylko Zakrzewski może doprowadzić do wznowienia procesu, a on postara się dać mu ku temu szansę. Mniej więcej tak samo wypowiedział się na temat znalezienia prawdziwego organizatora zamachu na jego kolegów z grupy śledczej. Mówił to jednak w takich okolicznościach, że Zakrzewski nie zwrócił na te słowa uwagi. Wydawały mu się tylko słowami wypowiedzianymi kurtuazyjnie i wyłącznie po to, żeby wyrazić żal i szacunek dla zmarłych.

Teraz jednak zobaczył działanie prokuratora Falewicza w zupełnie innym świetle. Po co była ta gonitwa z fałszywym Bońskim przez pół Polski? Nie mogła być bez sensu. Coś takiego powiedział nawet

Adrian Szot, że był w tym jakiś cel. On co prawda wykorzystał sytuację i chce zrealizować własną zemstę, ale miał uczestniczyć w czymś większym. Co powiedział Pawelec? Szot był jego człowiekiem. Najpierw wysledził Jakuba Bońskiego, wystawił go swojej grupie śledczej, ale zanim oni dotarli na miejsce, ostrzegł go. Bez sensu. Żadnej logiki w działaniu. W takim razie kto ostrzegł Bońskiego? Ta sama osoba, która zorganizowała zamach na Marcina i jego kolegów? To dlatego Zakrzewski dostał jako towarzysza aspiranta Szota. Ponieważ każdy z nich miał do wyjaśnienia swoją sprawę, z którą łączył się jeden i ten sam człowiek. I wszystko wskazywało na to, że tym człowiekiem jest policjant. Ktoś, kto dużo może, a zazwyczaj pozostaje w cieniu, ponieważ taką ma służbę. Ma być w cieniu, jest superwizorem, kontrolerem, ocenia, skazuje lub uniewinnia funkcjonariuszy policji.

Zakrzewski nagle znowu poczuł, że robi mu się przeraźliwie zimno. I nie chodziło tylko o chłodny strumień powietrza wpadający do auta przez uchylone szyby. Nie chodziło o to, że po połowie sierpnia lato gwałtownie się zmienia i wieczory i poranki robią się zimne i wilgotne. To był chłód wewnętrzny, gdzieś w środku duszy. Musiał sprawdzić, czy ma rację.

-- Wiesz co, Pawelec? -- odezwał się nagle. -- To nie Szot zdradził.

-- Co ty mówisz? -- zdziwił się komisarz.

-- To był tylko prosty gliniarz, bardzo dobrze wykonujący swoje obowiązki -- ciągnął Zakrzewski. -- Bardzo inteligentny i wartościowy. Chciałbym mieć kogoś takiego w zespole.

Pawelec nic nie odpowiedział, tylko zagryzł wargi i zerkał co chwilę na Marcina. Ten wyciągnął zza paska swojego walthera i skierował go w stronę komisarza z Zakonu.

-- To ty ostrzegłeś Bońskiego -- powiedział. -- To ty jesteś tym skorumpowanym sukinsynem, który od lat działa w strukturach policji i dba, żeby nic o organizacji nie wypłynęło na światło dzienne. I jesteś przy tym bezwzględny. Jeśli trzeba zabić kolegów policjantów, to robisz to bez skrępowań. Oczywiście nie sam. Zawsze jest ktoś, kim można się wyręczyć, a potem zrobić go we wszystko, prawda?

Komisarz Pawelec milczał jak zaklęty. Już nawet nie patrzył na Marcina, tylko wbił wzrok daleko przed siebie za przednią szybę. Auto zaczęło delikatnie przyspieszać. Zakrzewski powinien zwrócić

na to uwagę, jednak ogarnięty falą wściekłości i podniecenia nie zwrócił.

-- W tej więźniarce wcale nie jechał Jakub Boński -- mówił dalej.
-- Nie wiedziałeś o tym?

Po spojrzeniu i minie poznał, że tamten nie wiedział.

-- To był Adrian Szot. Wiesz dlaczego? Żeby zapolować na ciebie, żebyś się zdradził, żeby doszło właśnie do takiej ekstremalnej sytuacji jak teraz. Wiesz, ja ci teraz nie odpuszczę.

Nagle Pawelec skręcił gwałtownie kierownicą i wcisnął pedał hamulca. Rozległ się rozpaczliwy pisk opon, auto wpadło w boczny poślizg, Pawelec umiejętnie je z niego wyprowadził i po chwili zatrzymali się gwałtownie. Zakrzewski nie zapiął pasów. Pierwsze hamowanie rzuciło nim o przednią szybę, broń wypadła z ręki, potem poleciał na drzwi i znowu do przodu, jak szmaciana lalka szarpana przez rozbawionego psa. Kiedy odzyskał nad sobą kontrolę, Pawelec celował do niego ze swojego pistoletu.

-- Wiesz co, Zakrzewski? -- powiedział ironicznie. -- Czy ty musisz być aż tak upierdliwy i zawsze wtykać nos w nie swoje sprawy? Kurwa, po co ci to? Miałeś szczęście, że wtedy przeżyłeś. Myślałem, że to będzie dla ciebie poważne ostrzeżenie. Ale nie, ciebie nie da się okiełznać. Tylko że ja to teraz zrobię.

Wysiadł z auta, obszedł je z przodu, nie spuszczając Marcina z oczu, a potem szarpnął drzwi od strony pasażera.

-- Przesiadaj się za kierownicę! -- rozkazał.

Marcin był wysoki, więc z trudem udało mu się przesiąść na miejsce kierowcy. Zanim dobrze się usadowił, Pawelec już zajął jego miejsce.

-- Tylko nie próbuj żadnych numerów -- ostrzegł. -- Jedź.

Marcin ruszył, zastanawiając się gorączkowo, jak wyplątać się z kłopotów, w które wpakował się przez lekkomyślność. Pawelec zapiął pasy.

-- Dokąd? -- zapytał.

-- W bezpieczne miejsce, już ci mówiłem. To niedaleko.

Las się skończył i wjechali do uśpionej o tej godzinie wioski. Marcin zastanawiał się, czy nie spróbować wjechać z rozmysłem do rowu albo prawą stroną auta zahaczyć o przydrożny słup. Na razie jednak nic nie zrobił, a miejscowość się skończyła i jechali przez pola w kierunku kolejnego skupiska drzew ciemniejącego w oddali.

-- Myślisz, że się z tego wywiniesz? -- zapytał.

-- Zamknij się, Zakrzewski -- warknął Pawelec. -- To nie jest twój problem.

Wjechali do lasu i komisarz natychmiast kazał mu skręcić w lewo, w polną drogę. Dojechali do opuszczonego budynku, który w czasach świetności mógł być magazynem, lecz teraz straszył pustą paszczą rozwalonych drzwi i ślepotą powybijanych okien. Pawelec kazał mu wejść do środka. Sam szedł kilka kroków z tyłu, ciągle mierząc do niego z pistoletu. Drogę oświetlał mocną latarką wyciągniętą z bagażnika. Marcin rozglądał się, szukając swojej szansy. Gdyby teraz rzucił się w bok, zdąży, zanim dosięgnie go kula? Wątpliwe. Na razie szedł prosto, chociaż wiedział, że kiedy ten zdradziecki sukinyś będzie próbował go zabić, nie zawaha się ani na moment i skoczy na niego. Przecież i tak był bez szans, to dlaczego by nie spróbować. A może spróbuje szybciej, niż mu się wydawało?

Na progu budynku nagle potknął się o leżące tu deski i wyłożył się jak długi. Pawelec, klnąc, chciał do niego podskoczyć, żeby go dźwignąć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Jednak ten moment zawahania był kluczowy. Zakrzewski, nie wstając, cisnął mu w oczy grube ziarna piasku zgarnięte dłonią z podłogi i przetoczył się na bok. Oślepiony policjant nacisnął na spust, a potem krzyknął i drugą ręką przecierał oczy. To wystarczyło, żeby Marcin go dopadł. Potoczyli się po zaśmieconej podłodze w śmiertelnym zwarciu. Zakrzewski był zmęczony i sam czuł, że porusza się jak mucha z odnóżami zanurzonymi w smole. Ciężko i niezgrabnie. Tymczasem jego przeciwnik był szybki i zwinny.

Wstał i zwarli się w walce na pięści, a w tym Marcin nie był najlepszy, dlatego cofał się przed naporem ciosów. Latarka leżała, oświetlając podłogę, przez co rzucali na przeciwległą ścianę groteskowo wielkie cienie, jakby walczyły ze sobą dwa prehistoryczne giganty. Zakrzewski chciał przejść do klinczu, jednak nadział się na mocny cios, nogi mu zmiękły i musiał uklęknąć. Pawelec to wykorzystał i już stał nad nim z latarką i pistoletem w drugiej ręce.

-- Możesz się jeszcze chwilę pomodlić za swoją duszę, Zakrzewski -- wycedził przez ściśnięte szczęki i było w tym tyle jadu, że mógłby zatruć ujęcie wody dla półmilionowego miasta.

W tej chwili jednak coś nieoczekiwane zaszurało przed wejściem do magazynu, rozległy się okrzyki i odgłosy wielu kroków. Błysnęły latarki.

-- Pawelec, to ty? -- głos należał do inspektora Janusza Kowalika.

Pawelec obrzucił jeszcze Zakrzewskiego pełnym nienawiści spojrzeniem, a potem wyraz jego twarzy w jednym momencie się zmienił. Teraz był podekscytowany i pełen entuzjazmu.

-- Janusz, tutaj! -- krzyknął. -- Aresztowałem Zakrzewskiego!

Marcin dźwignął się na nogi. Do Pawelca zbliżyło się dwóch mężczyzn, sam Kowalik i jego najbliższy współpracownik o imieniu Adam. Stanęli po dwóch stronach komisarza. Marcin przez chwilę patrzył Kowalikowi nieruchomo w oczy, jakby rzucał mu wyzwanie. Nagle Kowalik błyskawicznie chwycił Pawelca za dłoń z pistoletem i ją wykręcił. Ten, zaskoczony, jęknął z bólu i pistolet stuknął o beton. Adam już wciskał mu lufę pod brodę.

-- Nawet nie próbuj! -- warknął mu do ucha.

Pawelec znieruchomiał, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Podskoczyli inni i już za moment miał ręce skute na plecach. Patrzył, jak Kowalik podchodzi do Marcina z szerokim uśmiechem na twarzy.

-- Zakrzewski, kopę lat! -- wykrzyknął. -- Naprawdę się cieszę, że cię znowu widzę, sukinsynu!

-- Cześć, Janusz. Ja chyba bardziej.

Uścisnęli się jak starzy kumple. Marcin zerknął na minę Pawelca i uznał, że jego zaskoczenie to najpiękniejszy widok, jaki przytrafił mu się w ostatnim czasie. Może nawet w ostatnim roku?

-- Dzięki, chyba uratowaliście mi życie -- dodał szybko Marcin.

-- To tym bardziej się cieszę. -- Uśmiech nie schodził z twarzy Kowalika.

-- A co z nim?

Inspektor zbliżył się do skutego Pawelca i poświecił mu w twarz latarką.

-- Wiesz, Marcin, jak ja nie lubię skorumpowanych drani -- powiedział, przyglądając mu się jak ciekawemu okazowi za kratami w zoo.

-- Wiem, Janusz, wiem. -- Zakrzewski uśmiechnął się i poczuł, jak powoli schodzą z niego napięcie i stres. Gdyby jeszcze mógł napić się gorącej kawy, to ten proces na pewno by przyspieszył.

-- Zapalisz? -- Kowalik podsunął mu pod nos paczkę fajek.

Marcin zapalił, mimo że z fajkami pożegnał się już dawno. Zapalił na złość tym wszystkim, którzy twierdzą, że w policji za dużo się pali. Nie poczuł się lepiej, ale na pewno trochę wrócił do przytomności. Ludzie Kowalika chcieli odprowadzić zatrzymanego do samochodu, lecz szef wstrzymał ich ruchem dłoni.

-- Niech sukinsyn sobie posłucha -- powiedział i zaczął opowiadać. -- Podejrzewaliśmy go, odkąd Boński spierdolił z Bytowa. Aspirant Adrian Szot najbardziej się na niego zaciął. Chyba go znasz? -- Puścił do Marcina oko.

-- J-jasne, poznaliśmy się.

W miarę jak inspektor mówił, przez twarz Pawelca przelatywały skrajne emocje. Wściekłość, rozczarowanie, złość, żądza mordy, chęć zemsty, ale na samym końcu te uczucia zastąpiły rezygnacja i strach.

-- Postanowiliśmy zebrać dowody na niego i jego współników.

-- Więc wystawiliście mnie.

-- Przepraszam cię, Marcin, ale gdybyś wiedział, nigdy byś tego tak dobrze nie odegrał. A że jesteś dobrym gliną, poradziłeś sobie doskonale.

Zakrzewski ostatni raz zaciągnął się papierosem.

-- Zrobiliście ze mnie marionetkę -- warknął. -- Gdybyś nie uratował mi życia, teraz dałbym ci w mordę.

-- No to jesteśmy kwita -- zarechotał Janusz. -- Ale jak chcesz kogoś bić, to prokuratora Falewicza, to jego pomysł.

Zakrzewski tylko pokiwał głową i splunął kwaśną śliną.

-- Od kilku dni podsłuchiwaaliśmy Pawelca, wiemy, do kogo dzwonił, o czym rozmawiał, mamy to na taśmie. Legalnie zebrane dowody na podstawie decyzji sądu o założeniu podsłuchu. Nie wywinie się. A poza tym sprawdzaliśmy całą siatkę połączeń. Wiemy, kim są i do kogo dalej dzwonił jego rozmówcy. Nasi ludzie właśnie pukają do ich drzwi.

Pawelec tylko sapał w bezsilnej wściekłości.

-- Tak tu trafiliście -- domyślił się Zakrzewski.

-- Monitorowaliśmy jego telefon.

-- Jeszcze raz dzięki, w samą porę.

-- Oblejemy to kiedyś, stary druhu. -- Kowalik poklepał Marcina po plecach, powodując u niego grymas bólu, kiedy trafił w mocno obite miejsce.

Znali się od szkoły policyjnej, kiedyś byli nierozłączni, a potem ich drogi się rozeszły, ale przyjaźń przetrwała.

-- Specjalnie cię do tego przydzielili? -- zapytał jeszcze nadkomisarz.

-- Pewnie, nie mogłem pozwolić, żeby ktoś zrobił ci krzywdę -- zaśmiał się inspektor.

-- Ty cholerny skurwysynu. -- Pawelec wreszcie odzyskał głos po szoku, jakim było pojawienie się grupy Janusza. -- Nic mi nie zrobicie! Nie wiecie, z kim macie do czynienia. Nie macie szans, jesteście skończeni.

Kowalik machnął ręką.

-- Zabierzcie tę ścierkę, bo mnie wkurwia -- mruknął.

Potem, kiedy zatrzymali się jeszcze przy samochodach, Marcin spojrział w niebo i wciągnął rześkie, wilgotne nocne powietrze. Miło było wiedzieć, że koszmar powoli dobiegał końca. Kowalik patrzył na niego z ukosa i palił kolejnego papierosa.

-- Jest jednak jakiś problem, prawda? -- zapytał Marcin, nie patrząc na niego.

-- Tak jakby. Zajmuję się tym już od jakiegoś czasu. Oni mówią tak, jakby mieli swojego człowieka w elitarnym gronie policjantów.

-- W jakim elitarnym gronie? -- Marcin nie zrozumiał.

-- A ilu jest komendantów wojewódzkich?

-- O kurwa!

Kiedy wracali do Wrocławia, na wschodzie nieśmiało zaczął bielić się świt.

21

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski jechał na tylnym siedzeniu służbowego samochodu komendanta wojewódzkiego, patrzył na budzące się do życia miasto i był pełen złych przeczuc. Choć nie, po chwili zastanowienia uznał, że tak właściwie to mu wszystko jedno, czy go aresztują, zawieszą, wywalą z policji, czy może przykują łańcuchami do pręgierza na Rynku. Miał to serdecznie w dupie.

Kowalik podrzucił go do jego mieszkania na Kossak-Szczuckiej, gdzie Marcin najpierw wziął porządny prysznic, potem zrobił sobie wielką kawę w ekspresie przelewowym, a następnie wcisnął w siebie dwie kanapki, walcząc z protestującym żołądkiem. Wreszcie położył się na nierozłożonej sofie, zwinął jak paragraf, przykrył kocem i próbował zasnąć. Na początku kiepsko mu szło. Myślał o Renacie Wieczorek, spokoju i bezpieczeństwie, jakie przy niej czuł, i tęsknił. Ale teraz przynajmniej prawdopodobieństwo, że wyjdzie cało z kolejnej życiowej i zawodowej awantury, było zdecydowanie większe. Na pewno się spotkają, na pewno -- powtarzał sobie. Potem nie mógł zasnąć, bo myślał o aspirancie Adrianie Szocie, który tak doskonale zagrał tego psychopatę Bońskiego. Wreszcie zasnął.

Tylko że nie było mu dane się wyspać. Wezwanie do gabinetu komendanta skutecznie przywróciło go do rzeczywistości i teraz jechał na tylnym siedzeniu przysłanego po niego auta. Jego myśli znowu pomknęły do Adriana Szota. Jeśli Boński na Cyprze naprawdę powiedział mu, kim jest drugi wspólnik od "myśliwskiego" interesu, Szot pewnie będzie próbował go dopaść na własną rękę i zabić. Czy Marcina to w jakiś sposób obchodziło? Nic a nic. Niech robi, co chce, to jego życie i może je sobie spieprzyć, jak tylko mu się podoba. A z drugiej strony przecież temu zwyrodnialcowi należała się kara. Teraz przynajmniej była szansa, że za życie swoich ofiar zapłaci własnym. Nie przeważą to wagi Temidy na dobrą stronę, ale przynajmniej szala trochę drgnie.

Mimo wczesnej pory komenda wojewódzka tętniła życiem. Nic dziwnego, przecież w kraju rozkręcała się największa afera od czasów Bolesława Chrobrego, pewnie zaraz trzeba będzie aresztować kilku prominentnych zwyrodnialców. Chociaż tak dla przykładu, żeby ich sownie opłacani prawnicy z najlepszych kancelarii trochę się napocili, zanim wyciągną ich na wolność.

Zakrzewski szedł wolno po schodach, przez nikogo nie niepokojony, jakby był niewidzialny. Może to i dobrze? I tak nie chciało mu się gęby otwierać. Miał już swoje lata i po takiej kilkudniowej gonitwie i nieprzespanych nocach, gdyby nie ból w kręgosłupie, łupanie pod czaszką i ogólny ból mięśni, byłby pewien, że już nie żyje. Sekretarka wprowadziła go od razu do gabinetu szefa, gdzie usiadł na wskazanym mu samotnym krześle ustawionym daleko od biurka. Nikt go szczególnie wylewnie nie witał, nie zaproponował kawy ani nawet się nie odezwał. Może naprawdę już nie żył i przebywał tu niewidzialnym duchem. Ale nie, przecież sekretarka go wpuściła.

Poczuł się przez chwilę jak facet w wesołym miasteczku, który siedzi na krześle nad baniakiem i tylko czeka, aż ktoś celnym rzutem piłeczki strąci go do zimnej wody. Ale przynajmniej nie od razu go wrzucili, tylko kazali czekać. To tworzyło słaby grunt pod optymizm. Komendant patrzył na niego dziwnie. Oczywiście znali się od lat, kiedyś nawet mówili sobie po imieniu, co skończyło się wraz z awansem kolegi na komendanta. Tak to już było, że niektórzy policjanci odwalali robotę operacyjną, a inni pięli się po szczeblach kariery. Zakrzewski odnosił czasem wrażenie, że na tej ścieżce trup też ściele się gęsto, tak samo jak u niego w wydziale kryminalnym.

Komendant nieoczekiwanie wrócił do dawnych, dobrych obyczajów, kiedy mówili sobie po imieniu.

-- Słyszałem, że dzisiejszej nocy miałeś sporo szczęścia -- powiedział.

Czy tak właśnie wyglądała polityka na szczeblu komendanta wojewódzkiego? Nie wspominać ani słowem o tym, czego nie wiedział, a o czym powinien był wiedzieć, a teraz udawać, że jednak wiedział? Ani słowa o tym, że pewnie jeszcze wczoraj pomstował na tego skurwipowianego skurwysyna Zakrzewskiego, który porwał więźnia razem z więźniarką, strażników więziennych wrzucił do rowu, odjechał w nieznanym kierunku i rozpułnął się we mgle. Nic nie mówił, bo pewnie niedawno dowiedział się od inspektora Kowalika, jak było naprawdę i o co w tym wszystkim chodziło. Teraz mógł albo z tej sytuacji skorzystać, albo na niej stracić.

-- J-jasne -- mruknął Marcin, ponieważ był zbyt zmęczony, żeby wdawać się w niepotrzebne dyskusje.

-- Rano spotkałem się z inspektorem Kowalikiem -- podjął komendant. -- Próbowałem coś od niego wyciągnąć, ale nie był zbyt rozmowny.

Zakrzewski wiedział, dlaczego Kowalik nic nie powiedział. Przecież podejrzewał jednego z komendantów o współdziałanie z gangsterami, tylko nie miał dowodów. Czy to nie jest dobry moment, żeby to wykorzystać? Uznał, że nie będzie lepszego. Wyprostował się i spojrzał szefowi twardo w twarz.

-- Nie wiem, dlaczego się dziwisz, że nic ci nie powiedział.

-- Nie rozumiem. -- Komendant popatrzył na niego niepewnie.

Mundur leżał na nim idealnie, jakby za kwadrans miał uczestniczyć w paradzie z okazji święta policjanta. Niektórym mundur pasował. Wyglądali, jakby się w nim urodzili, i rósł wraz z nimi. Marcin ostatni raz był w mundurze na pogrzebie kolegi. Od tego czasu wisiał w szafie. Nigdy w nim dobrze nie wyglądał.

-- Nie powiedział ci, ponieważ ci nie ufa -- stwierdził twardo Marcin. -- Widzisz, co teraz się dzieje w naszym pięknym kraju. Wychodzi na to, że wszystkie sfery naszego życia są skażone zbrodnią, imperia finansowe zbudowane są na zbrodni, zbrodnie popełniło bardzo wiele wpływowych teraz osób tylko po to, żeby stać się sławnym albo mieć górę pieniędzy. Całe nasze społeczeństwo trawi rak, zżera nas, każdego dnia ten syf wchodzi do naszego życia, ingeruje w nie i ma na nas wpływ.

Przerwał na chwilę, lecz zaraz mówił dalej:

-- To wszystko tak się kręci już od wielu lat. Wiesz dlaczego? Bo policja też jest zżerana przez ten złośliwy nowotwór, który sięga aż do samej góry. Rozumiesz? Aż do samej góry.

Nie musiał tego powtarzać, bo komendant doskonale go rozumiał, ale jednak powtórzył. Tak dla pewności.

-- I wiesz co? Prawdopodobnie teraz dużo się w naszym kraju zmieni, znikną pewni ludzie, niektórzy trafią do więzienia, jeszcze inni uciekną, ale właśnie przez to długo będziemy dochodzić do siebie po tym szoku. Bardzo długo. I dobrze by było, żeby w tym czasie policja i służby odzyskały swój mocno nadszarpnięty autorytet. Ale go nie odzyskają, jeśli sygnał do oczyszczenia swoich szeryfów ze skorumpowanych drani przyjdzie z zewnątrz. To będzie wyglądać z gruntu fałszywie i nie będzie w tym za grosz wiarygodności. Policji może pomóc tylko samooczyszczenie, zmiana przeprowadzona wewnętrznie, przez nikogo niewymuszona operacja na otwartym organizmie, podczas której skalpel musimy trzymać my sami. Tylko wtedy będziemy wiarygodni i tylko wtedy to będzie miało sens.

Komendant milczał, więc Marcin zapytał jeszcze:

-- Zrozumiałeś?

Widząc skinienie głową, wstał i skierował się do wyjścia. W dupie miał to, o czym komendant chciał z nim rozmawiać. On swoje powiedział.

-- A teraz chciałbym się zająć swoją robotą -- powiedział jeszcze w drzwiach i wyszedł z gabinetu szefa.

Niech się teraz dzieje, co chce.

22

Był na schodach, kiedy zadzwonił telefon. Riffy jednego z najpopularniejszych utworów Led Zeppelin rozeszły się echem po korytarzu. Nieznany numer.

-- Słucham? -- rzucił sucho do słuchawki.

Głos był znajomy, lecz brzmiał jakoś inaczej, bez mocy, jakby jego właściciel męczył się, wypowiadając słowa.

-- Podkomisarz Bogucki z tej strony. Cześć.

Zakrzewski milczał. Ostatnią osobą, od której spodziewał się telefonu, był właśnie Bogucki. No może przedostatnią, bo był raczej pewien, że nigdy nie zadzwoni do niego Falewicz.

-- Wiem, co możesz o nas myśleć... -- zaczął, lecz Marcin przerwał mu gwałtownym wybuchem:

-- Gówno wiesz!

-- No dobrze: gówno wiem, co możesz o nas myśleć, ale jest problem.

Marcin zastanawiał się chwilę, czy w ogóle chce z nim rozmawiać, czy chce jeszcze uczestniczyć w tym wielkim ogólnokrajowym kryminalno-korupcyjnym skandalu, który zatacza coraz szersze kręgi i sięga do coraz to nowych sfer życia. Nie chciał, on już swoje zrobił. I miał wrażenie, że narażał życie dla sprawy, która nie była tego warta. Siatka korupcyjna w policji i tak zostałyby w końcu ujawniona, szczególnie w sytuacji, jaka się wytworzyła. Tym bardziej że nikt nie zapytał go o zdanie, nie dostał wyboru. To wyglądało tak, jakby ktoś wrobił go w morderstwo, podrzucając na miejsce zbrodni jego ślady biologiczne. Dlatego czuł teraz tylko głęboką niechęć, a nawet obrzydzenie na myśl, że jeszcze ktoś czegoś od niego chciał. Ale on już nie chciał. Marzył tylko o tym, żeby Renata mogła spokojnie wrócić do domu i żeby jak najwięcej czasu spędzić z nią, patrząc na jej uśmiech i słuchając jej głosu. Naprawdę chciał wyrzucić swoje życie do góry nogami i zacząć żyć inaczej.

Tylko że znowu odezwała się ta jego natura twarogłowego gli-niarza i przejęła nad nim kontrolę.

-- O co chodzi? -- zapytał.

-- Chciałem zadzwonić wcześniej, ale jestem w szpitalu, miałem zabieg i dopiero dochodzę do siebie.

Nie słysząc komentarza Marcina ani żadnych pytań, po chwili mówił dalej. Opowiedział mu krótko o tym, co stało się w willi,

w której ukrywali się od dwóch tygodni. Marcin słuchał i ze zdziwieniem zauważył, że słucha tego bez najmniejszych emocji, jakby w telewizji po raz czterdziesty czwarty oglądał najnowszego Jamesa Bonda. Dużo wybuchów, strzelanin i pościgów, ale emocje już żadne.

-- Boński nie żyje -- zakończył opowiadanie Bogucki.

Też bez emocji, bo przecież tak naprawdę nigdy tego psychopaty nie poznał.

-- Zanim umarł, zdradził nam, kto jest współnikiem Jerzego Ostaszewskiego. -- Bogucki zawiesił głos.

-- No i kto to jest? -- dopytał Zakrzewski.

Jednak coś w nim drgnęło.

-- Radosław Ulewicz.

-- Ten znany sędzia?

-- Ten sam.

Zakrzewski się skrzywił. Władza deprawuje -- to prawda znana, odkąd jedni ludzie zaczęli rządzić drugimi. A władza absolutna budzi w ludziach krwiożercze bestie. Istoty jakby nie z tego świata, jakieś pieprzone demony przybyłe z samego dna piekieł, tylko wierzchnią powłoką przypominające człowieka. Bo jak to możliwe, że mając na sumieniu tyle zabójstw, można stać przed kamerami w najpopularniejszych stacjach telewizyjnych i grać eksperta, uśmiechając się do widzów dobrotliwie? Jemu się to nie mieściło w głowie.

-- No i co z nim? -- rzucił Zakrzewski jakby ze złością.

Tak, był zły. Nie chciał się już w to mieszać, a ten cholerny Bogucki nie miał zamiaru się rozłączyć i dać mu świętego spokoju.

-- Trzy miesiące temu facet miał wylew i prawdopodobnie teraz jest rośliną. Nie myśli, tylko wegetuje na wózku inwalidzkim. Dlatego zwinęli interes. Stracili przywódcę i się posypało.

-- No dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną, do jasnej cholery? - Marcin prawie krzyknął przez ciągle narastającą gdzieś w środku złość.

-- Zanim Boński... -- Bogucki wyraźnie zawahał się przy tych słowach -- ...zdradził Falewiczowi, że wypadek, w którym zginęła jego rodzina, to był zamach. Oni chcieli go w ten sposób uciszyć.

-- Kurwa, po co ty mi to, Bogucki, mówisz? Ja nie mam z tym nic wspólnego. -- W Zakrzewskim nagle pojawiły się ludzkie uczucia w stosunku do osoby prokuratora, i to go chyba jeszcze bardziej złościło.

-- Posłuchaj, Falewicz zniknął. Boję się, że zrobi coś głupiego. Na przykład pójdzie do tego Ulewicza i wpakuje mu kulkę w głowę. Marcin, nie można do tego dopuścić. On bardzo przeżył straszną śmierć swoich bliskich, nadal cierpi, dlatego może zrobić wszystko, nie zawaha się. Nie można mu na to pozwolić, on na to nie zasłużył.

-- Wiesz co, Bogucki, pieprz się ze swoimi dobrymi radami, co powinienem w tej sprawie zrobić.

Zakrzewski rozłączył się i poszedł dalej. Zanim dotarł do salki konferencyjnej, gdzie gościnnie usadowił się inspektor Kowalik ze swoimi ludźmi, telefon dzwonił jeszcze dwa razy. Nie odebrał.

Zanim jednak stanął przed drzwiami, złość mu trochę przeszła. Gdzieś w głowie wybrzmiewał mu jakiś wewnętrzny głos przypominający, że przecież on taki nie jest, nie zostawia ludzi, nie odmawia pomocy, nawet gdyby miał uratować największego zwyrodnialca przed samosądem, bo przecież takie działanie to też zbrodnia, tylko inaczej umotywowana. Takie zdarzenia też zmieniają ludzkie życie na zawsze. Czy chwilowy zanik zdolności do właściwej oceny sytuacji powinien zniszczyć komuś życie? Tym bardziej komuś, kto i tak doznał od niego strasznych krzywd i tylko siłą woli podźwignął się do dalszego normalnego funkcjonowania? Uświadomił sobie, że nie tylko o Falewicza chodzi. Przecież wcześniej Adrian Szot powiedział mu to samo. On też był skrzywdzony, on też chciał zemsty, która wcale go nie uleczy. Wprost przeciwnie, ta zemsta go nieodwracalnie zniszczy. Zakrzewski taki nie był. Nie potrafił odwrócić się plecami i nie pomóc. Nawet wbrew woli tych, którym chciał pomóc.

Ile czasu upłynęło, odkąd Szot zostawił go samego w lesie w środku nocy? Sporo godzin, wszystko mogło się w tym czasie zdarzyć. Tak samo było z prokuratorem Falewiczem. Już dawno mógł dokonać swojej zemsty. Nagle Marcinowi zaczęło się spieszyć. Może Ulewicz już nie żyje, a może nic złego się jeszcze nie stało.

Wpadł do sali konferencyjnej jak burza. Janusz popatrzył na niego zdziwiony znad laptopa. Obok niego stał wielki kubek z kawą, dwóch jego ludzi drzemało na krzesłach, dwóch innych też ślęczało nad swoimi komputerami.

-- Potrzebuję waszej pomocy -- powiedział Zakrzewski. -- To pilne!

Około południa nieoznakowany policyjny radiowóz zaparkował na ulicy Władysława Hofmana w Szklarskiej Porębie, przed dużą willą z basenem, chronioną przed ciekawskimi spojrzzeniami gęstym

żywoplotem przyciętym równo z wysokim ogrodzeniem. Za kierownicą siedział jeden z ludzi Kowalika, Adam, obok niego siedział Marcin, a z tyłu sam inspektor i jeszcze jeden policjant. Wcześniej miejscowi z patrolu skierowani do obserwacji domu do czasu ich przyjazdu zameldowali, że na teren posesji wszedł mężczyzna, który z opisu przypominał prokuratora Falewicza.

Inspektor Kowalik wraz z zespołem okazali się bardzo sprawni i szybko ustalili, gdzie w kraju Radosław Ulewicz ma swoje posiadłości. Były cztery, w różnych częściach kraju, co było znacznym utrudnieniem. Po zastanowieniu Zakrzewski uznał, że ta w Szklarskiej Porębie najlepiej nadaje się do opieki nad człowiekiem po udarze. Góry, cisza, świeże powietrze i umiarkowana temperatura, nawet gdy resztę kraju pogoda smażyła na wielkiej patelni. Żona Ulewicza była już starszą kobietą i mogła podjąć taką decyzję.

Zakrzewski wysiadł z auta i poszedł do bramy. Reszta policjantów została w odwodzie w aucie. Zresztą Marcin przypuszczał, że tu nie będzie trzeba używać siły, że wystarczą negocjacje. Dlatego ruszył bez broni, pewnym krokiem. Nie wszedł głównym wejściem, tylko obszedł dom z prawej strony i zatrzymał się na tarasie. Po lewej stronie wielkie drzwi były otwarte na całą szerokość, po drugiej stronie tarasu znajdował się basen z wodą zanieczyszczoną liśćmi i drobkami niesionymi przez wiatry. Widać, że dawno nikt o niego nie dbał. Zakrzewski stanął z boku domu i przez okno zajrzał do obszernego salonu.

Zobaczył ich. Adrian Szot siedział w fotelu z opuszczoną głową, w rękę nadal ścisnął pistolet, ale w jego postawie doskonale widoczna była rezygnacja. Marcin chyba wiedział, dlaczego Szot tak siedzi i dlaczego sparaliżowany mężczyzna na bardzo nowoczesnym wózku inwalidzkim wciąż jeszcze żyje. Chociaż określenie "żyje" być może nie było najtrafniejsze. Skoro miał w znacznym stopniu uszkodzony mózg, być może nawet nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest i co się z nim dzieje. Czy taki stan na pewno można było nazwać życiem? Adrian chyba już się z tym pogodził. Prokurator nie.

-- Człowieku, to bez sensu, on nic nie rozumie -- mówił akurat Szot.

W Falewiczcu ciągle buzowały wściekłość i żądza zemsty. Nie potrafił się pogodzić z tym, co widzi.

-- To nie może się tak skończyć! -- powiedział z czymś na kształt bezsilnej rozpaczki w głosie. -- On musi ponieść karę, rozumiesz?

-- Jaki to ma sens? -- Szot podniósł głowę.

-- Ktoś, kto popełnił tak straszne czyny, musi ponieść zasłużoną karę. Nie może ot tak sobie uciec w chorobę. Kurwa, zrujnował życie tak wielu ludziom i dożył w spokoju starości, a teraz wszystkich zrobił w jajo i jest zwykłą rośliną. Nie zgadzam się na to. To jest, kurwa, niemożliwe.

Ku zaskoczeniu Zakrzewskiego Szot zdążył już przetrwać tę sytuację i doszedł do bardzo logicznych wniosków.

-- Posłuchaj mnie, prokuratorze, życie z nas zakpiło i musimy się z tym pogodzić -- powiedział. -- Zastrzelisz to ścierwo i co? Naprawdę będziesz miał satysfakcję z tego, że unicestwisz roślinę wyglądającą jak człowiek na wózku inwalidzkim? Zastrzelisz roślinę, a pójdziesz na ćwierć wieku do więzienia. Naprawdę się to opłaca, naprawdę będziesz miał z tego satysfakcję? Przecież on już i tak nie myśli.

-- Gównu mnie to obchodzi, za krzywdy, które wyrządził, nie powinien żyć ani chwili dłużej. -- Falewicz wyglądał jak człowiek w napadzie klaustrofobii.

Miotał się po całym salonie, nie mogąc sobie poradzić z własnymi uczuciami.

-- A może on jednak coś czuje? -- Prokurator nachylił się nad mężczyzną na wózku i zajrzał mu w mętne, nieruchome oczy. -- Może on jednak nas słyszy, tylko teraz udaje?

-- Zwariowałeś, Falewicz -- odpowiedział Szot. -- Nie ma tu już nikogo oprócz nas.

-- Może się przekonamy?

-- Zostaw tego cholernego starca w spokoju! -- Aspirant podniósł głos. -- Już za późno na zemstę, musisz się z tym pogodzić.

-- Nie, oni mi zabili żonę i dziecko. -- Głos Falewicza drżał. -- On zlecił to zabójstwo. Wiesz, jak zginęli? Najstraszliwszą śmiercią. Spłonęli żywcem! Słyszysz mnie, starcze? Spaliłeś ich. Ciągle mam w nosie i gardle ten swąd palonego ciała. Ciągle słyszę ten krzyk.

Szot podniósł się z fotela i też stanął, wpatrując się w chudego starca na wózku. Marcin pamiętał jego twarz z telewizji, teraz jednak tak się zmieniła, że chyba by go nie poznał.

-- Ja mam nadzieję, że to jest właśnie ta kara -- powiedział Adrian. -- Ten stan, w którym on się teraz znajduje. A jeśli naprawdę nas słyszy i rozumie wszystko, co się teraz dzieje, to tym bardziej nie

możesz go zabić. Bo mu skrócisz cierpienie. Niech żyje w tym piekle jak najdłużej.

Prokurator Andrzej Falewicz nagle odtrącił Szota, zajrzał jeszcze głęboko w oczy Ulewicza, a potem powiedział:

-- Jak wszystko rozumie, to może z czymś się zdradzi? -- I pchnął wózek w kierunku otwartych drzwi na taras, który kończył się basenem.

Zakrzewski widział, jak wózek jedzie przez salon, sam z ciekawością obserwował twarz starego sędziego, ale nic się na niej nie zmieniło. Tak samo się ślinił, tak samo głowa pochylała mu się na prawo, miał tak samo puste oczy jak dotąd.

Ale nie! Kiedy tylko Falewicz i Szot zostali w tyle i człowiek na wózku zorientował się, że nie widzą jego twarzy, coś się nagle zmieniło.

Nadkomisarz Zakrzewski poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach, i zastygł w kompletnym zaskoczeniu.

Oczy nie były już nieruchome i puste. Ekspłodowało w nich przeżenie. Omal nie wyszły starcowi z orbit. Biegały na boki, jakby rozpaczliwie szukał pomocy. Co chwilę zerkał w kierunku wolno zbliżającej się krawędzi basenu. I nagle spojrzął na Zakrzewskiego błagalnie.

Marcin drgnął, jakby ktoś strzelił do niego z bliskiej odległości. Z trudem się opanował, żeby się nie cofnąć. Ulewicz wiedział, o czym oni mówili, doskonale zdawał sobie sprawę, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazł, cały czas udawał ze strachu przed śmiercią. Ten cholerny sparaliżowany bandyta na wózku nawet w tej chwili bał się śmierci.

Zakrzewski widział, jak wózek wyjeżdża przez drzwi salonu i wolno sunie przez taras. Trudno było ocenić, czy zatrzyma się przed basenem, czy może jednak przednie koła przejadą przez jego skraj i stary wpadnie do wody. Sparaliżowany na pewno się utopi. Stąd ta panika w jego wzroku. Niemy krzyk rozpaczy, wołanie o pomoc.

Wózek toczył się wolno, a Zakrzewski nagle sobie uświadomił, w jakiej sytuacji się znalazł. Był pewien, że ze względu na stan zdrowia sędziego Sądu Najwyższego w stanie spoczynku, jeden z organizatorów polowań na ludzi, bezwzględny psychopata, nie stanie nigdy przed sądem. Nikt go nie oskarży, nie odczyta zarzutów, nigdy nie zostanie skazany. Falewicz z Szotem zostali w salonie i obserwowali jazdę wózka z pewnym rodzajem ciekawości na twarzach. Jakby ob-

stawiali zakłady: wpadnie czy nie wpadnie? I teraz czekali na rozstrzygnięcie.

Czy Marcin powinien zatrzymać wózek, czy zgodzić się jednak na taką karę dla strasznego zbrodniarza, który życie ludzkie miał za nic? Czy tak może wyglądać sprawiedliwość? Kara śmierci z pominięciem wszelkich procedur, ponieważ żadnego postępowania w takich okolicznościach być nie może. Wahał się, obserwując jadący coraz wolniej wózek, zbliżający się nieubłaganie do krawędzi basenu.

Zajrzał w głąb siebie. On też czuł wściekłość, on też pałał żądzą zemsty, za Ilonę, za Adama. Chciał, żeby sprawcy ponieśli zasłużoną karę, tylko czy taka kara jest karą, czy takim samym barbarzyństwem jak ich czyny? Oko za oko?

On nigdy tak nie działał, zawsze był uczciwy, a jeśli nic nie zrobi, za kilka sekund zostanie współnikiem zbrodni na kalekim starcu, który nie może już nic zrobić ani nic powiedzieć. Z jednej strony pragnął, żeby ten cholerny zwyrodnialec trafił do piekła, a z drugiej coś w nim krzychało: "Nie! Tak nie można. To jest niedopuszczalne, niemoralne, niezgodne z twoim sumieniem. Do końca życia będziesz widział ten przeklęty wózek wpadający do basenu, do ostatniej minuty będą cię dręczyły wyrzuty sumienia. Pomyślałeś o tym? Godzisz się na to? Czy dla zemsty warto zostać mordercą?"

Wózek się toczył. Nieubłaganie, do przodu, po śmierć pasażera. Z wnętrza domu nikt nie wybiegał, żeby go zatrzymać. Prawdopodobnie Marcin był teraz jedyną osobą, która zdążyłaby powstrzymać katastrofę.

"Nie, Zakrzewski, to nie jesteś ty. Powiedziałeś sobie, że przewracasz swoje życie do góry nogami, żeby było normalnie, żeby praca nie była wszystkim, żeby znalazło się miejsce dla Renaty. Chcesz zmienić swoje życie, postępować inaczej, ale nie możesz zmienić swoich zasad moralnych. Tak nie można. To by było zaprzeczenie człowieczeństwa. Upadek, z którego już nie wstaniesz". Zacisnął na moment powieki i usłyszał krzyk pod czaszką: STOP! Miał wrażenie, że głos należał do Renaty. Ona też by tak nie chciała. Nie mogłaby mieszkać pod jednym dachem z mordercą.

W trzech skokach był przy wózku i zatrzymał go, gdy koła znajdowały się o kilka centymetrów od krawędzi basenu. W oczach kaleki zobaczył ulgę. Pokręcił głową i powiedział cicho, żeby nikt inny go nie usłyszał:

-- Nie pozwolę skrócić ci męki, bo to jest właśnie twoja kara za grzechy. Mam nadzieję, że będziesz żył jeszcze sto lat w takim stanie.

Tak naprawdę nie wiedział, czy Ulewicz zrozumiał jego słowa, ale ulga w jego oczach gdzieś odeszła i w jej miejsce pojawił się niepokój, a może i strach. Bardzo dobrze.

Kiedy Marcin wprowadzał wózek do salonu, te oczy znowu były mętne i nieruchome, jakby za ich zasłoną nie było już człowieka, tylko pustka.

Dwie godziny później, gdy sytuacja została opanowana, żona Ulewicza, przestraszona starsza kobieta, uwolniona z łazienki, a Szot z Falewiczem odprowadzeni do auta przez grupę inspektora Kowalika, Marcin dalej czuł się dziwnie. Musiał wyjść z tego domu na świeże powietrze, a najlepiej już nigdy tu nie wracać. Kiedy wychodził z salonu, jego wzrok na chwilę zatrzymał się na fotografii dużo młodszego Radosława Ulewicza w towarzystwie kolegi. Ten kolega też wydał mu się znajomy, ale teraz nie kojarzył mu się z żadnym nazwiskiem. A może to było tylko takie złudzenie spowodowane dylematami sprzed kilku minut? W drodze do Wrocławia zapomniał o zdjęciu.

KONIEC

Dzień, w którym Renata wróciła do domu, spędzili razem. Razem przygotowali obiad, zjedli przy kuchennym stole, obficie zakrapiając jedzenie czerwonym winem. Rozmawiali, śmiali się, myśleli o przyszłości. Renata ani razu nie nawiązała do tego, co się stało. Na razie wystarczyły jej zapewnienia, że to już koniec, nigdy nie wróci, odeszło w przeszłość. Zapominamy o przeszłości i budujemy wspólną przyszłość od nowa, tylko dla nas dwojga, razem.

Od powrotu ze Szklarskiej Poręby Marcin starał się nie zwracać uwagi na burzę, która trwała w kraju. Mimo to docierały do niego jej strzępki. To było klasyczne polskie piekielko, tylko że podniesione do dziesiątej potęgi i sto razy bardziej intensywne. Politycy pluli na siebie nawzajem, w sieci lał się hejt na wszystkich i wszystko. W mediach co chwilę wybuchały informacje o nowych znanych osobach uwikłanych w polowania na ludzi, o kolejnych aresztowaniach. Jedni obwiniali drugich i vice versa. Kiedy te strzępy do niego docierały, myślał, że najlepiej byłoby wyciągnąć wtyczkę z kontaktu i zacząć reset całego państwa. Trzeba było zburzyć wszystko, spalić, przemielić i spróbować zbudować w tym miejscu coś nowego. Nowe państwo, nową Polskę. Tylko że chyba tak się nie da, bo przecież nie w państwie był problem, tylko w jego obywatelach, w nas samych. Cała nasza historia mówi, że my nigdy nie byliśmy w stanie się ze sobą dogadać. Zawsze w końcu przedkładaliśmy swoje prywatne interesy i interesy swojej grupy nad interes państwowy. Rozbiory nie wzięły się znikąd. Czy znowu zmierzamy w tym kierunku? Marcin miał nadzieję, że jednak nie. Na razie oficjalnie był na urlopie i liczyła się tylko Renata. Chciał jej wynagrodzić całe zło, które się wydarzyło.

Z tym że nie dało się od tego uciec. Wieczorem Renata wymusiła na nim włączenie kanału informacyjnego w telewizji. W twarz uderzył ich totalny, nie do ogarnięcia chaos. Nagle jedna informacja szczególnie zwróciła uwagę Zakrzewskiego. Dziennikarz nadawał na żywo na tle hotelu mieszczącego się w budynku z lat dwudziestych poprzedniego wieku. Redaktor był podekscytowany i mówił trochę nieskładnie:

-- Przypomnę tylko, że do zdarzenia doszło po kolacji kończącej spotkanie wojewódzkich komendantów policji z komendantem głównym, na którym omawiano aktualną sytuację w kraju. Nie wiemy jeszcze, kto tak nieszczęśliwie wypadł z balkonu, że poniósł

w tym zdarzeniu śmierć na miejscu. Są podejrzenia, że ofiarą jest jeden z komendantów wojewódzkich. Czekamy na oficjalne oświadczenie rzecznika Komendy Głównej Policji. Na miejscu pracują technicy i prokuratorzy, mający ustalić, jak doszło do tego nieszczęśliwego wypadku...

Dalej redaktor powtórzył jeszcze dwa razy to samo, tylko innymi słowami. Marcin nie słuchał dłużej, pogrążony w niewesołych myślach. Kolejny problem rozwiązany. Co powiedział swojemu głównemu szefowi niedawno? Że mają kreta wśród komendantów i najlepiej by było, żeby każde środowisko oczyściło się samo z psychopatów i zdrajców. No i Kowalik może teraz spać spokojnie. Sami ustalili, kto jest kretem, i sami ten problem rozwiązali. Idealna sytuacja. Nikt nikogo nie oskarży, bo przecież to był tylko nieszczęśliwy wypadek, a od teraz można mówić jednym głosem, że korupcja w policji została wyeliminowana i ta służba mundurowa dalej jest godna najwyższego społecznego zaufania. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Nie wiedział też, czy jeszcze chce w tym brać udział, czy pora się wypisać. Przecież okazja ku temu była idealna.

Widząc zadumę Zakrzewskiego, Renata wyłączyła telewizor i usiadła obok niego. Przez chwilę milczeli. Marcin czekał na to, co ona ma mu do powiedzenia. Już po wyrazie twarzy poznał, że to chyba nie będzie nic miłego. A jednak go zaskoczyła. Jednak miał w życiu trochę szczęścia. Burza przeszła bokiem.

-- Obiecuj mi, że to była ostatnia głupota, którą zrobiłeś w życiu -- powiedziała.

Czy ostatnia? Zastanowił się. Może tak, może nie.

-- Obiecuję -- odrzekł poważnie.

Słowa są lekkie jak puch, bardzo łatwo rzuca się je na wiatr, a one odlatują gdzieś w przestrzeń, zapomniane. Słowa w jego ustach tym razem miały zupełnie inną wagę. Oboje wiedzieli, że zostaną między nimi i żadne z nich ich nie zapomni.

Następnej nocy Marcin obudził się i nie mógł zasnąć. Nie chciał budzić Renaty, więc poszedł do kuchni i siedział przy stole, popijając wodę z butelki. Na chwilę przed zaśnięciem nawiedziła go pewna niepokojąca myśl i teraz nie potrafił jej sobie przypomnieć. Nawet nie wiedział, kiedy Renata stanęła mu za plecami i położyła dłonie na ramionach.

-- Nie możesz spać? -- zapytała.

-- Jakoś tak -- odpowiedział cicho.

-- Martwi cię to wszystko, prawda?

Miała rację i nie potrafił zaprzeczyć. Dlatego tylko pokiwał głową.

-- Ale to już koniec? Mówiłeś, że było dwóch ludzi, którzy to wszystko zorganizowali. Jeden nie żyje, a drugi jest kaleką.

-- Tak jest. Mam nadzieję, że to już koniec, ale płacimy za to straszną cenę.

-- Nic się nie dzieje bez przyczyny. Może to dobrze, że teraz przeżyjemy taki wstrząs? Może coś się w naszej mentalności zmieni?

Marcin nie był takim optymistą. Ile było już takich tragicznych zdarzeń z przeszłości, które na kilka dni spajały społeczeństwo w bólu, a kiedy przemijały, podziały stawały się jeszcze wyraźniejsze? Ból niczego ani nikogo trwale nie łączy. Na bólu niczego się nie zbuduje.

-- J-jasne -- powiedział.

-- Zawsze tak mówisz, kiedy chcesz kogoś zbyć.

-- Naprawdę? -- zdziwił się. -- Nigdy tak o tym nie myślałem. Idź spać.

Uścisnęła jego dłoń, pocałowała go w policzek, a jej włosy poaskotały go w ucho.

-- Przyjdź, jak zachce ci się spać.

Już chciał powiedzieć "j-jasne", ale ugryzł się w język.

Ta krótka rozmowa naprowadziła go na właściwy trop. Polowania na ludzi na pewno zorganizowali Jerzy Ostaszewski i Radosław Ulewicz. A co, jeśli nie było ich dwóch, tylko... trzech? Wstał i podszedł do okna. Przypomniało mu się zdjęcie, które widział w salonie w Szklarskiej. Chyba już wiedział, kto na nim był oprócz młodego Ulewicza. Ta myśl nim wstrząsnęła, zaczął nerwowo chodzić po kuchni tam i z powrotem. Drapał się przy tym po karku i próbował myśleć rozsądnie. Czy to w ogóle jest możliwe? Jak najbardziej. Przy tym wszystko zaczyna składać się w jeden skomplikowany i bardzo misterny, ale przecież logiczny i prawdopodobny plan. Jak odwracać od siebie uwagę? Podstawić śledczym swojego sparaliżowanego współnika jako jedyne żyjące kozła ofiarnego. Przecież nikt nie jest w stanie ich powiązać.

A jednak takie podejrzenie zrodziło się w głowie nadkomisarza Marcina Zakrzewskiego, który nigdy nie odpuszcza. Zawsze szuka drugiego dna, czepia się szczegółów. Taki cholerny upierdliwiec, którego nie da się spławić, zanim nie będzie przekonany.

Przypomniawszy sobie, co ten mężczyzna powiedział w trakcie rozmowy, kiedy byli u niego z Falewiczem:

"Nie da się mieć wpływu na wszystko..."

W tamtym kontekście takie słowa już wtedy wyjątkowo zazgrzytały mu w uszach. Bo przecież w tym wszystkim chodziło właśnie o to, żeby mieć wpływ.

Przemyślał wszystko i po godzinie położył się spać.

Następnego dnia uruchomił swój motocykl. Sportowa honda, model sprzed kilku lat, ale ciągle miała niezłego kopa, kiedy odkręcało się mocniej manetkę z gazem. Renacie powiedział, że musi na parę godzin pojechać do pracy. Po co ma się martwić na zapas? Na głowę włożył kask, dzięki któremu koledzy w firmie nazywali go "Komisarzem Trupia Czaszka". Na kasku namalowana była czaszka z zardzewiałym gwoździem wbitym w czerep. To była charakterystyczna rzecz, dzięki której natychmiast stał się też rozpoznawalny w środowisku motocyklistów, przyjaciół Renaty.

Zamiast na Podwale, pojechał do Szklarskiej Poręby na ulicę Władysława Hofmana. Willa Ulewiczów była obstawiona mundurowymi, a po terenie kręcili się uzbrojeni po zęby antyterrorysty. Szybko uzyskał pozwolenie na rozmowę z Ulewiczową.

Pani Anna była otyłą starszą kobietą z problemami zdrowotnymi. Musiała mocno przeżywać całą tę sytuację, bo pocila się, jękała i była bardzo zdenerwowana.

-- Policja już przeszukała dom -- powiedziała na jego widok. -- Byłam też przesłuchiwana, nie mam nic do dodania.

Przez ostatnie dwa dni postarzała się pewnie o kilka lat i teraz wyglądała żałośnie. Trudno sobie poradzić, kiedy twój idealny świat rozpada się w momencie, kiedy jesteś stary i coraz bardziej zniedołężniały. Nie ma nic gorszego.

-- Chciałem zamienić z panią kilka słów -- powiedział.

Przyjrzała mu się uważniej i go poznała.

-- To pan uratował wtedy mojego męża. -- Rozpromieniła się. -- Proszę, zrobię kawy.

Kawa była naprawdę wyśmienita. Marcin pił z przyjemnością, a pani Anna zaparzyła sobie ziółek. Wytłumaczyła, że nie może już pić kawy. Siedzieli w tym samym salonie, lecz tym razem drzwi na taras były zamknięte, na skraju basenu stała policjantka w mundurze i rozglądała się leniwie.

-- Proszę mi powiedzieć, czy mój mąż naprawdę zrobił takie straszne rzeczy, jak mówią? -- zapytała z nadzieją w głosie, ale chyba nie miała większych złudzeń co do odpowiedzi.

-- Obawiam się, że tak.

-- Mój Boże... -- Załamała ręce. -- To był taki dobry mąż i ojciec. Cieszył się takim szacunkiem u ludzi.

Marcin zbył tę uwagę milczeniem. Pani Anna sama z siebie zaczęła opowiadać o przeszukaniu, przesłuchaniach i o tym, że teraz policja przez cały czas pilnuje męża i nie pozwala mu przebywać na dole. Zakrzewski słuchał cierpliwie, wodząc wzrokiem po salonie. Rzeczywiście widać było ślady przeszukania, lecz na szczęście interesująca go fotografia stała na swoim miejscu. Podszedł do niej, przyjrzał się i zapytał. Fotografia była czarno-biała, pochodziła pewnie z początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

-- To pani mąż? -- rzucił z wystudiowaną obojętnością.

-- Tak! -- Ucieszyła się, że może zmieć temat. -- Przystojny był, prawda?

Tylko że policjant przyglądał się temu drugiemu na zdjęciu. On też był cholernie przystojny.

-- Kto jeszcze jest na zdjęciu?

-- To przyjaciel Radka -- odpowiedziała szybko i wymieniła nazwisko.

Niepotrzebnie, bo Marcin już go rozpoznał i miał pewność.

-- A ma pani więcej takich fotografii?

-- Tak, oczywiście.

Pani Anna poderwała się z fotela, bardzo energicznie jak na swój wiek, wyszła do drugiego pomieszczenia i wróciła z wielkim starym albumem w podniszczonych okładkach. Prośba Marcina była dla niej szansą na chwilową ucieczkę w lepsze czasy od strasznej teraźniejszości. Podała album nadkomisarzowi, a sama przysunęła się do niego, gotowa opowiadać, co znajduje się na zdjęciach i w jakich okolicznościach powstały. Policja przeszukała dom, ale przecież nie interesowała się starymi zdjęciami. A być może tu właśnie leżał klucz do rozwiązania zagadki.

Pierwsze kilka stron to były nic niewnoszące fotografie z czasów wczesnego Gierka. Dużo obcych Marcinowi twarzy, jakieś imprezy, wyjazdy w góry, oficjalne spotkania. Wreszcie dotarł do miejsca, przy którym serce zabiło mu szybciej. Fotografie z polowań. Ale jeszcze takich normalnych. Wtedy na zdjęciach oprócz Ulewicza pojawił

się inny młody mężczyzna. Nietrudno było rozpoznać w nim Sławomira Najmana, znanego później jako Jerzy Ostaszewski. No i oczywiście był ten trzeci, który teraz najbardziej Marcina interesował. To były różne zdjęcia. Najczęściej ich trzech z polowań. Jak pili wódkę przy ognisku, jak chwalili się trofeami, pozowali ze strzelbami, czasem w towarzystwie innych osób.

-- W młodości mąż był myśliwym -- wyjaśniła Ulewiczowa. -- Często jeździł na polowania, nawet bardzo często, ale po kilku latach mu przeszło. Mówił, że to trochę niehumanitarne, takie zabijanie bezbronnych zwierząt.

Na te słowa Zakrzewski omal nie zakrztusił się złością, która gromadziła mu się w gardle. Kurwa, niehumanitarne było zabijanie zwierząt. A zabijanie młodych kobiet było w porządku? Wiedział już, skąd pomysł na polowania na ludzi. Miał przed oczami taką scenę: Ostaszewski, Ulewicz i ten trzeci siedzą przy ognisku po udanym polowaniu, piją wódkę i nagle któryś z nich wpada na genialny pomysł, jak dzięki polowaniom stać się najbardziej wpływowymi osobami w kraju. Może to był już koniec lat siedemdziesiątych lub początek osiemdziesiątych? Czy wiedzieli, że Ostaszewski jest psychopatycznym mordercą, któremu zabijanie sprawia sadystyczną przyjemność? Pewnie wiedzieli. Bo przecież ten interes rozkręcali bardzo długo, ponieważ był bardzo niebezpieczny i trudny do zorganizowania. Może za komuny, kiedy służba bezpieczeństwa była organizacją niezwykle rozwiniętą, nie dało się tego skutecznie zrobić. Dlatego zaczęli od malowania obrazów ludzką krwią. Ostaszewski dostarczał krew, a oni znajdowali chętnych, którzy płacili za możliwość namalowania nią obrazu. Jak to określił Remigiusz Nycz, kiedy wspominał o tych obrazach? Według słów Ostaszewskiego na obrazach były uwiecznione upiory dręczące malującego oraz po części odzwierciedlające ofiary.

Wzdrygnął się. Pewnie dopiero kiedy następowała transformacja ustrojowa i komunistyczne służby poszły w rozsypkę, udało się wreszcie ruszyć ze zbrodniczym procederem. Burdel w kraju doskonale temu sprzyjał. Władza i policja miały inne problemy. Wszecobecna korupcja, a potem walka z mafią. Kiedy wreszcie państwo wygrało tę walkę, byli już na tyle mocni, że polowania odbywały się regularnie i nikt niepowołany się o nich nie dowiedział.

Anna Ulewicz coś tam mu ciągle opowiadała, ale Zakrzewski nie słuchał, pogrążony we własnych myślach. Tak, Ostaszewski, który

wtedy nazywany był Orłem, nie mógł wszystkiego zorganizować sam. On był od spraw technicznych, a naganiaczami byli Ulewicz i ten trzeci. Oni mieli kontakty w najwyższych kręgach władzy i za granicą, nie Orzeł. I tak to się kręciło, aż wreszcie trzeba było Ostaszewskiego wyeliminować, aż Radosław Ulewicz stał się nieczynny z powodu ciężkiej choroby. Trzeci też był już stary i najwidoczniej czuł się trochę zagrożony. Sam nie był w stanie zarządzać interesem, więc go zlikwidował i tak zmanipulował policję i prokuraturę, że całą winę zwałił na swoich współników, sam pozostając w cieniu.

Teraz, kiedy Marcin znał prawdę, czuł tylko wstręt i gorzki smak w ustach. Chociaż nie, tak naprawdę czuł znacznie więcej. Od złości, po satysfakcję, że wreszcie dotarł do prawdy, a także całą gamę innych uczuć mieszczących się pomiędzy tymi granicznymi.

Ku zaskoczeniu pani Anny sfotografował kilka stron z albumu Ulewiczów i bez słowa ruszył do wyjścia. Wołała coś za nim, ale nie zareagował. Musiał stąd wyjść i na pewno już nigdy w to miejsce nie wróci. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Spacerował ulicą Hofmana, uzupełniając układankę w głowie. Wreszcie elementy ułożyły się w logiczny wzór. Wtedy zatelefonował do prokuratora Andrzeja Falewicza. Długo mu opowiadał o swoich odkryciach, przesłał zdjęcia i się rozłączył. Teraz jego ruch. Jak chciał się zemścić za swoją rodzinę, to właśnie dostał taką możliwość. Zrobi, co zechce, jego zabawki i jego piaskownica.

Jedno tylko było pewne. Jak się kiedyś spotkają twarzą w twarz, Zakrzewski i tak da mu w mordę. Ma to jak w szwajcarskim banku.

Prokurator w stanie spoczynku Eugeniusz Nowiński wyszedł od Wierzyńka i przystanął na moment na chodniku. Obiad jak zwykle był bardzo dobry, tylko chyba za dużo zjadł, ponieważ nie czuł się teraz najlepiej. Może to była tylko kwestia tego, że ciągle się oszukiwał? Wydawało mu się, że nadal jest młody i może wszystko, a tak naprawdę był już starym dziadem i jego organizm też się zmienił. Nawet woda, którą zawsze pijał, dzisiaj miała jakiś dziwny posmak. Odetchnął i jak to miał w zwyczaju, ruszył na spacer w kierunku Rynku Głównego. Było gorąco, lecz jedną z bardzo nielicznych zalet starości była duża tolerancja na słońce. Młodzi umierali z gorąca, a on, stary, dopiero rozgrzewał swoje kości.

Po przejściu kilkunastu kroków nagle zobaczył przed sobą znajomą postać.

-- Jaka miła niespodzianka! -- wykrzyknął i zbliżył się do mężczyzny, wyciągając dłoń na powitanie. -- Mogłeś zadzwonić, zjedlibyśmy razem.

Trochę się zaniepokoił, kiedy twarz mężczyzny w białej koszuli z podwiniętymi rękawami nie zmieniła się ani na jotę i nie podał mu ręki. Nawet poczuł lekki niepokój i serce też jakoś dziwnie zaczęło tłuc się w piersi.

-- Dość tego udawania, Eugeniuszu -- powiedział tamten. -- Wiem już wszystko.

Nowiński musiał odpiąć guzik koszuli pod szyją, bo nagle zrobiło mu się duszno.

-- O czym tym mówisz, Andrzeju? Co wiesz? -- zapytał.

Prokurator Andrzej Falewicz stał dwa metry przed nim, nieporuszony. Mijali ich ludzie, lecz to było tylko tło dla rozgrywającej się między nimi sceny.

-- Nie doceniłeś nas, Eugeniuszu -- mówił dalej Falewicz głosem wyzutym z emocji. -- Namawiałeś mnie do współpracy z Zakrzewskim i to cię zgubiło. Wiesz, to bystry i nieustępliwy śledczy. Zawdzięczam mu prawdę o śmierci mojej żony i syna.

Nowiński poważnie się zaniepokoił. Serce jeszcze bardziej przyspieszyło mu w piersiach. Z wolna ogarniała go dziwna słabość. Do tego przyszła złość.

-- Co ty mówisz, do jasnej cholery! -- wybuchnął i jeszcze bardziej poluzował kołnierzyk koszuli.

-- Ostaszewski i Ulewicz mieli jeszcze jednego wspólnika. To byłeś ty, Eugeniuszu. Może nawet ty byłeś tym głównym i wymyśliłeś polowania na ludzi. W życiu miałeś wszystko -- pieniądze, piękne kobiety, znajomości. Może to cię już nudziło i potrzebowałeś silniejszych bodźców. Dlatego wymyśliłeś polowania na ludzi? Z nudów? Powiedz, to i tak pozostanie między nami.

Prokurator Nowiński spojrział na niego z wściekłością w oczach. Maską opadła, prawdziwe oblicze miało w sobie coś niezbyt ludzkiego.

-- Ty cholerna miernoto! -- wybuchnął. -- Wypromowałem cię, byłem twoim protektorem, dzięki mnie jesteś wielkim prokuratorem...

-- ...i zabiłeś mi rodzinę -- wpadł mu w słowo Falewicz.

-- Bo nie dałeś sobą sterować, chciałeś być niezależny, przeszkadzałeś nam w interesach!

-- Tylko tyle? -- Falewicz udał zdziwienie. -- Tylko tyle wystarczy, żeby zabić niewinną osobę i niczego nieświadome dziecko?

-- Zawsze pozostaniesz tylko małym, zadufanym w sobie prokuratorkiem!

-- Mylisz się, Nowiński. -- Głos Andrzeja stwardniał. -- To już koniec.

Stary człowiek coraz bardziej się pocił, serce galopowało mu w piersiach, nogi pod nim dygotały. Był na siebie zły, że w takiej sytuacji jego ciało okazuje słabość.

-- To nie koniec -- wysapał. -- Niczego mi nie udowodnisz, tylko się ośmieszysz. Będziesz skończony.

Po raz pierwszy twarz Falewicza drgnęła. Uśmiechnął się.

-- Nie mam zamiaru niczego ci udowadniać -- stwierdził.

-- Jak to? -- Stary nie zdołał ukryć zdziwienia.

-- Wiesz, jak działają pewne związki chemiczne zawarte w tabletkach na serce? Szczególnie kiedy się je przedawkuje?

-- O czym ty mówisz?

-- W ciągu kilkunastu minut wywołują atak serca. Smakowała ci dzisiaj twoja ulubiona woda w restauracji? Czy może miała jakiś dziwny posmak?

Prokurator Andrzej Falewicz bez słowa wyminał go i odszedł w przeciwną stronę.

-- Ty cholerny skurwysynu! -- dobiegł go jeszcze rozpaczliwy krzyk starego.

Nie zareagował. Po prostu szedł.

-- Ty pierdolony gnoju! -- rozległ się kolejny krzyk, ale więcej wyzwisk nie było.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów Falewicz się odwrócił. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał prokurator w stanie spoczynku, robiło się coraz większe zbiegowisko. Ktoś krzyczał, żeby dzwonić na pogotowie.

-- Dzwóńcie sobie, dzwóńcie -- szepnął do siebie pod nosem.

Po chwili skręcił za róg.

Co czuł? Chyba ulgę. Zatrzasnął za sobą drzwi do straszego okresu w życiu. Teraz może zacząć od nowa. Rozliczył się z przeszłością i będzie mógł o niej zapomnieć.

Wrocław--Szczepanów, kwiecień--wrzesień 2023